

# Pizzey Erin

## Dwie drogi

1

**N**a palenisku ogień tlił się słabym płomieniem. Zapach palonego torfu kojarzył się z przeszłością i miłością do ziemi. Kłęby słodkawego dymu pokryły białe niegdyś ściany chatki żółtym nalotem. Siny obłok zdawał się chronić grupę zebranych przy łóżku położnicy, osłaniać pradawną scenę z dramatu ludzkich dziejów przed rozszalałą teraźniejszością. Fale niechęci i gniewu przetaczały się przez irlandzkie prowincje niemal dokładnie w rok po stłumieniu niepodległościowego zrywu z 1916 r., a najgorsze miało dopiero nadejść.

W tej chwili jednak torf żarzył się na palenisku sprawiając, że mała chatka stała się oazą ciepła i światła w chłodnym lutowym krajobrazie.

Dziecko nie chciało się urodzić. - Nie szkodzi - mruknęła stara akuszerka. - To twoje pierwsze. Jak Bóg da, będzie chłopiec. - Nie mogła się opędzić od ponurych myśli: jaką przyszłość może mieć przed sobą nowo narodzone dziecko w kraju, który okupują żądni krwi i władzy Brytyjczycy?

Twarz rodzącej wykrzywiał grymas bólu i wysiłku, ale jak zauważyła stara akuszerka, dziewczyna nie krzyczała w przeciwieństwie do swoich rówieśnic. Nie bluźniła przeciwko Bogu i Matce Boskiej, nie przeklinała księży, nawołujących kobiety do rodzenia dzieci. Zamiast tego usiłowała odpoczywać między skurczami i ciężko opadała na poduszkę. Nie była to zwykła poduszka. Wypchano ją paprociami zebranych na bagnach. Aromatyczny olejek tych roślin przynosił ulgę położnicom walczącym z bólem. Joanna, akuszerka, sprowadziła na świat połowę mieszkańców wioski. Pamiętała narodziny Mary, która teraz, dwadzieścia jeden lat później,

1

zaciska zęby z bólu. Jako noworodek Mary nie była czerwona, krzykliwa i brzydka jak większość dzieci, o nie. Miała śliczną białą cerę i spokojny uśmiech na buzi. Dzisiaj ten sam uśmiech wypogodził umęczoną twarz. - To nie będzie chłopak - szepnęła.

- Skąd wiesz? - Joanna uważnie obmacywała nabrzmiąły brzuch.

- Po prostu wiem, od początku wiedziałam. Nazwiemy ją Anna, po kobiecie, która rozpoznała Dzieciątko Jezus w ramionach Maryi.

Uśmiechnęła się. Bezkresne godziny cierpienia nie zgasiły blasku niebieskich oczu. Długie włosy upięte na czubku głowy połyskiwały czerwono w świetle ognia. - Zajrzyjcie do Daniela - poprosiła. Nagle zaśmiała się cicho. - On chciałby chłopca, wiem o tym. Zdziwi się, że to dziewczynka, ale Daniel nie wie, że w dniu świętego Lamberta zawiesiłam ślubną obrączkę na jedwabnej nitce i trzymałam ją koło brzucha. Święty zdradził mi, że będę miała córeczkę i że urodzi się ona w dniu jego urodzin. - Ostatnie słowa wypowiadała wysokim, cienkim głosem. - Uf - jęknęła, unosząc brwi - to chyba już, Joanno. Czuję, że się rusza. - Oddychała ciężko.

W jednej chwili małą izbę wypełniły kobiety. Obie szwagierki Mary trwały przy łóżku nieruchome jak nietoperze. Kitty, najbardziej rozśpiewana z całej rodziny, nie mogła opanować dreszczy. - Wszystko w porządku, Mary? To znaczy, chyba nie umrzesz w połogu jak twoja matka, prawda?

- Zamknij się, głupia babo! - w oczach Joanny błyszczał gniew. - Wynoście się stąd i nie straszcie małej. To dzielna dziewczyna. Nie będzie żadnych kłopotów.

Marta, która widywała duchy i elfy i oddawała cześć zmarłym przodkom, podeszła do łóżka. - Nie martw się, kochanie. - Łagodnie oparła dłoń na wzdętym brzuchu. - Już za kilka minut twoje dziecko będzie wśród nas.

- Moja córeczka - poprawiła Mary. - Daniel na pewno będzie rozczarowany.

- Rozczarowany? - powtórzyła Kitty. - A dlaczego, na Boga, miałby chcieć syna? I tak wiadomo, że matki mają wszystkich chłopów w garści!

Marta się roześmiała. - Daniel nie będzie rozczarowany, Mary. Wystarczy, że raz spojrzy na buzię małej, a pokocha trzecią kobietę swego życia.

- Ha! Pierwsza to zapewne matka, co? - Kitty podskoczyła oburzona. - A nie mówiłam, to kobiety trzymają chłopów w garści!

Mary chciała się uśmiechnąć, ale właśnie w tej chwili poczuła wysuwającą się główkę dziecka, a kilka minut później noworodek opuścił ciało matki. Idealnie kształtna dziewczynka spoczywała teraz w doświadczonych dłoniach

Joanny. W izbie zapanowała nagle cisza. Mary ze strachem uniosła głowę. - Czy wszystko w porządku? - szepnęła z obawą.

Zebrane kobiety odetchnęły głęboko, a potem pokój wypełniły ulotne słowa zachwyty nad objawionym im pięknem. - Tej nocy - oświadczyła uroczyście Marta - przyszła na świat dziewczynka pełna światła, światła, które zgasi dopiero Bóg, zabierając ją do

3

siebie. - Słowa wisiały w powietrzu, lśniły i tańczyły nad głowami kobiet, a potem, jedno po drugim, pękły jak bańki mydlane.

Joanna podała Mary dziecko owinięte w białe płótno. - Możesz już wejść., Danielu! Zobacz, jakie cudo zesłał ci Pan! Mężczyzna ostrożnie otworzył drzwi. Czuł się nieswojo w otoczeniu tylu kobiet, choć wszystkie należały do rodziny. Był nieśmiały, cichym człowiekiem. Zawsze widział tylko Mary, ukochaną żonę. Dla niego życie zaczęło się nie w dniu narodzin, lecz kiedy zobaczył Mary po raz pierwszy. Było to szesnaście lat temu. Ona miała wówczas pięć lat, on o dwa więcej. Spotkali się na placu zabaw przed szkołą. Nad brudną kałużą bez słów wyznali sobie miłość.

Teraz pochylił się i musnął wargami policzek żony. - Wszystko w porządku? - zapytał. Stojąc za drzwiami, oczekiwał przerażających okrzyków bóleści, które tak często słyszał z ust własnej matki. To jego narodziny, jak mówiono, były najcięższe, i to wtedy jego matka zasłynęła jako najgłośniejsza położnica. - O! U Kearneyów znów będzie dziecko - zwykli mawiać wieśniacy. Być może to dlatego Daniel był tak cichym chłopcem. Kiedy jednak koledzy nazywali go „babskim królem”, bo bawił się z Mary, reagował z nieoczekiwaną siłą i stanowczością. Mary mogła być pewna jego miłości i oddania i to napawało ją spokojem i zadowoleniem.

- Niestety, to nie chłopiec - szepnęła zawstydzona, podając mu białe zawiniątko.

Daniel uchylił skraj płótna i spojrzął w promienne oczy córki. - Myślałem, że wszystkie noworodki są brzydkie i pomarszczone - stwierdził zdziwiony. - Ale ona... ma takie piękne oczy; spójrzcie! - podniósł dziecko wyżej i odwrócił głowę. - Widzi mnie.

- Oczywiście. - Marta się uśmiechnęła. - To stara dusza. Była już kiedyś na ziemi.

- Ani słowa więcej tych pogańskich bredni, Marto - przerwała jej Joanna. - To dobra mała katoliczka i ojciec O'Brian ochrzci ją jak należy.

- Oczywiście, oczywiście, ale, tak jak ja, mała będzie widziała duchy i wiedźmy. Będzie wiedziała, jak uczcić zmarłych przodków. Zapewniam was, ona już tu kiedyś była. Zapamiętajcie moje słowa.

- Może się czegoś napijesz, kochanie? - Daniel usiadł na krześle obok łóżka żony. Dwie kobiety wycofały się dyskretnie, zostawiając młodych rodziców i ich dziecko w miękkim kokonie światła.

Na twarzy Kitty pojawił się smutek. Kiedyś i ona kochała równie gorąco, ale jej uczucie pozostało nie odwzajemnione. Wygasłe palenisko dawnej namiętności było ciągle jej częścią. Czasami miała wrażenie, że nigdy nie odejdzie w przeszłość. Mary jednak zasłużyła na swoje szczęście. Dzisiaj za jej sprawą w rodzinie pojawiła się nowa mała kobieta. W przeciwieństwie do matki, będzie silną osobowością, ale prowadzona

delikatną ręką Mary, bezboleśnie przetrwa wszystkie burze wieku młodzieńczego.

Obok Kitty przemknęła Joanna z dzbankiem herbaty w ręku. - Dobra robota! - Staruszka pokazała bezzębne dziąsła w szerokim uśmiechu.

Kitty skinęła głową. - A Daniel to porządny chłopak, nie zrobi jej szybko drugiego dziecka. - Przywołała uśmiech na twarz i z dumnie podniesioną głową weszła do pokoju pełnego tytoniowego dymu. - No, chłopaki - krzyknęła, odrzucając głowę do tyłu i mrużąc niebieskie oczy. - Na którego dziś kolej?

Mężczyźni ze śmiechu uderzali dłońmi o kolana. Nikt nie mógł zdobyć Kitty, wiedzieli o tym dobrze. Kitty należała do siebie samej. Każdy z nich mógł pragnąć jej z całego serca, a potem z czystym sumieniem wrócić do żony i spać snem sprawiedliwego. Bardzo często jednak ów sen zakłócały wizje pulchnych, białych kolan i drobnych, miękkich stóp.

**M**arta była jedyną osobą, która starała się pohamować wybujały temperament bratanicy. Mary, matka Anny, była zbyt łagodna, by opanować energiczną dziewczynkę, a Daniel nawet nie próbował okiełznać małej. Kochał ją miłością wielką i bezkresną jak niebo nad jego wymarzoną Ameryką. Marzenia te dzielił nie tylko ze swoim pokoleniem; także jego przodkowie śnili o Nowym Świecie. Od dzieciństwa ojciec i stryjowie karmili go opowieściami o głodzie i niesprawiedliwości, które sprawiły, że rzesze krewnych i przyjaciół z bólem serca opuszczały Irlandię, by szukać szczęścia gdzie indziej. Kiedy dorósł, tęsknoty do Ameryki były już częścią jego samego.

Pierwsze wspomnienie Anny to rześki, czysty irlandzki deszcz padający na szmaragdowozielone doliny. Świadoma wiosennej miękkości ziemi dziewczynka z rozkoszą rozgniatała tłuste grudy. Przyjemne, nieznanne jej uczucie przemknęło ciepłym strumieniem przez całe ciało. Zafascynowana wpatrywała się w brązową ziemię, kiedy usłyszała głośny śmiech Marty.

Wrzesień w powiecie Mayo to drzewa uginające się pod ciężarem owoców. Anna wędrowała polnymi ścieżkami i piaszczystymi drózkami dobrze znanej, kochanej wsi. Kurzy skwapliwie ustępowały jej z drogi; dziewczynka była niepoprawną złodziejką jajek. Nie dla niej jednak Mary gotowała je na śniadanie. Matka musiała niemal siłą zmuszać małą do jedzenia. Anna najbardziej lubiła sam moment podbierania, kiedy jeśli w odpowiedniej chwili uniosło się kurzy ogon, idealnie krągłe jajko wpadało prosto w nadstawioną dłoń. Zadowolona z siebie dziewczynka zanosila zdobycz matce.

W jasnym świecie dzieciństwa Anny małe chmurki pojawiały się tylko za sprawą Kitty. Kochała swoją dużą, barwną ciotkę całym sercem, ale wyczuwała w niej tajony gniew. Ów gniew nigdy nie wybuchał pełną siłą, ale przebijał przez jasny puder na twarzy i napełniał słowa goryczą. Anna miała trzy i pół roku, kiedy po raz pierwszy dotarło do niej, jak bardzo ciotkę zraniono.

- Wszyscy mężczyźni to psy - oznajmiła Kitty, dumnie wkraczając do małej chatki.

- Nie wszyscy. - Mary nakrywała właśnie do stołu.

- A właśnie, że wszyscy - zaperzyła się Kitty. Jej potężne ciało zatrzęsło się z oburzenia na myśl o wszystkich tych nieszczęśliwych kobietach, którym mężczyźni złamali serce i odebrali wiarę w jutro.

- Daniel nie jest psem - zdecydowanie rzuciła Mary. Filiżanka uderzyła gwałtownie o spodeczek, jakby i ona chciała wyrazić swoje niezadowolenie.

Anna podniosła głowę. Pierwszy raz słyszała taki ton w głosie matki. -Pies to jest pies - powiedziała, niepewnie zerkając na ciotkę. - Mój tatuś to nie pies. Mój tatuś to mój tatuś.

Kitty zorientowała się, że przestraszyła dziecko. Porwała małą na ręce i zaczęła tańczyć z nią po izdebce. *Jestem tylko ruiną, którą Cromwell zostawił po sobie...* Silny, czysty kontralt Kitty wypełniał cały dom.

Zatrzymała się w pół kroku. Anna wyciągała ręce do ojca. Mary zauważyła, że mała jest zdenerwowana, i ostrożnie wyjęła ją z ramion bratowej.

- Co powiesz na filiżankę herbaty, Kitty?

- Filiżanka herbaty to twoja odpowiedź na wszystko - zachnęła się zapytana. Po chwili westchnęła ciężko i usiadła przy stole. - Zresztą, czemu nie - mruknęła.

Mary nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy potężna Kitty siadała na jej zgrabnym, filigranowym krzeselku.

- Przyjdę do was, kiedy się umyję - również Daniel starał się opanować śmiech. Przywykł już do domowych wojen prowadzonych przez kobiety.

Był trzecim dzieckiem. Kochał całym sercem matkę, drobną kobietę, która potrafiła sprawić, że jego ojciec, kawał chłopca, tchórzliwie wymykał się z izby. Umarł, kiedy Daniel miał dwanaście lat.

Także w jego domu rządziła kobieta, ale Mary nigdy nie podnosiła głosu. I tak potrafił określić, w jakim jest humorze, obserwując jej włosy. Anna przejęła po mnie tę umiejętność, pomyślał, kiedy potulnie mył ręce.

Większość mężczyzn siadała do stołu w ubłoconych butach i z brudnymi paznokciami, ale nie w domu Mary. Każdy, kto wchodził, wycierał nogi, mył ręce i zachowywał się jak należy. Jeśli łamał zasady, mógł być pewien, że prędzej czy później straci wstęp do tego gościnnego domu.

Daniel dosiadł się do zebranych.

14

- Marta wróciła już z miasta - oznajmił.

Dorośli milczeli przez chwilę, nie chcąc straszyć Anny krwawymi opowieściami. Brytyjscy żołnierze byli niepokojąco blisko. Jeszcze nie wysechł atrament na deklaracji niepodległości Irlandii, a wielu, którzy przywykli do walki o własną tożsamość i w niej zasmakowali, uważało ów dokument za papier bez znaczenia. Starszy brat Daniela już nie żył. Pochowano go w masowym grobie koło Ballyglass.

- Kochanie - Daniel przerwał ciszę. - Chyba powinniśmy zacząć się pakować. Wiesz przecież, że Anglicy nie złotem mnie wynagrodzą.

Mary uśmiechnęła się z trudem.

Anna dostrzegła w oczach dorosłych ciężkie ołowiane chmury. Widziała także bębny, takie same jak te, które słyszała we wsi podczas zabawy. Było to dawno temu. Ojciec posadził ją sobie na ramionach, na szerokich, irlandzkich ramionach i ruszył do wsi. Za nimi biegła matka, która nie mogła nadążyć za szybkimi, długimi krokami Daniela. Tamte dni minęły na zawsze i Anna tęskniła za ich beztroską. Ciocia Kitty zawsze śpiewała *Danny Boy* tak pięknie, że zebrani przestawali mówić, zasłuchani. Kiedyś cisza była spokojną, pogodną przerwą w radosnych rozmowach, ale kiedy ciocia Kitty śpiewała ostatnio, cała wieś, wszyscy ludzie pogrążyli się w smutku. Nawet ciocia Marta, najlepsza tancerka w rodzinie, ciągle gubiła rytm i zapominała kroków.

Anna zaczęła płakać.

- O co chodzi, kochanie? - Mary podniosła i przytuliła córeczkę.

- Musimy wyruszać, Danielu. Anna jest zdenerwowana. - Kitty pochyliła się nad dziewczynką. - Czy ona naprawdę ma dar, jak Marta?

- Tak - Mary westchnęła ciężko. - Ale nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłabym takiego daru. Nie wolno niepokoić przyszłości.

Kitty ciężko opadła na krzesło.

- Lepiej idź i powiedz Marcie, żeby zaczęła się pakować - mruknęła Mary, wstając od stołu. Podeszła do kuchennej szafki. - Trzymaj - podała mężowi małe zawiniątko. - Mój tatuś dał mi to przed śmiercią.

Daniel ostrożnie rozwiązał chusteczkę i uśmiechnął się szeroko. - Na Boga, Mary, to przecież złote suwereny... - Nie wierzył własnym oczom.



- Oczywiście - jego żona uśmiechnęła się lekko. - To na podróż do Ameryki. Zawsze chciałeś tam pojechać. Musimy wyruszyć teraz, Danielu. Jeśli będziemy zwlekać zbyt długo, zabiją nas wszystkich.

Kitty zerwała się na równe nogi. - Lecę uprzedzić Martę. Ty, Danielu, biegnij do mamy. Mówię wam, na pewno nie będzie chciała iść z nami.

- Ale pójdzie. - Twarz Daniela wyrażała zdecydowanie rozbrzmiewające w jego głosie. - Pójdzie, choćbym miał zabrać ją siłą. Nie pozwolę, żeby brytyjskie bękarty zgwałciły i zamordowały moją matkę.

Anna bardzo kochała babcię Biddy. Podbiegła do ojca i objęła jego nogi ramionami. - Ja też pójdę - oznajmiła. - Ja też.

- Dobrze, kochanie. - Wziął ją na ręce.

- Włóż jej płaszcz, Danielu! Na dworze jest zimno! - krzyknęła za nim żona.

Na dworze panował już mrok. Białe obłoki ich oddechów i chrzęst szronu pod butami Daniela zwiastowały rychłe nadejście zimy. W drodze do domu babki mijali smutnych ludzi z opuszczonymi głowami.

- Złe wieści, Danielu! - Przy studni, na placu w centralnym punkcie wioski, stał ojciec O'Brian otulony w czarną opończę. - Danielu, zawołaj braci, pójdziemy pertraktować z poganami, choć to daremny wysiłek. Ale nawet jeśli nas zabiją, kobiety i dzieci zdążą uciec do lasu.

Daniel skinął głową. - Dobrze, zostawię Annę u matki i przyjdę. - Szybkim krokiem przemierzył plac i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi małego domku. W głównej izbie zastał dwóch młodszych braci, Seana i Raymonda oraz matkę, zajętą robieniem na drutach. - Potrzebuję was obu - nie marnował czasu. - Pójdziemy razem z ojcem O'Brianem pertraktować z Anglikami.

Sean, najmłodszy, oderwał wzrok od roztańczonych płomieni na palenisku. - Czy ojciec O'Brian zabierze sakramenty?

- Tak. Namaści nas świętymi olejami, więc nawet jeśli nie wrócimy, nasze dusze pójną do nieba.

Oczy Bidy wypełniły się łzami.

- Nie płacz, mamó. - Głos Daniela był pogodny i spokojny. - Znasz jaskinię w lesie, prawda? Jest pełna opału i jedzenia. Anglicy nigdy jej nie znajdują. Zawiadom sąsiadów, Donalda i Petera Shawów, i ruszajcie. - Czule pocałował Annę. - Do zobaczenia wkrótce, maleńka.

Dziewczynka poważnie skinęła głową. Jej tatuś wróci cały i zdrowy. Wiedziała to.

Daniel przytulił do siebie drobną postać matki. - Zapakuj to co niezbędne i idź do Mary. Musicie opuścić wioskę, zanim nadejdą Anglicy. - Nagle uśmiechnął się krzywo. - Mamó, czy nie twierdziłaś zawsze, że mój ostry język pozwoli mi wydobyć się z każdej matni?

- To prawda. - Błady uśmiech złagodził surowe rysy Bidy.

- No widzisz. Do zobaczenia w jaskini.

Mary, Bidy, Anna i Marta, która ledwo wróciła z miasteczka, patrzyły na mężczyzn zebranych przed kapłanem.

Sean trzymał kadzidło. Ojciec O'Brian kreślił znak krzyża na czołach klęczących. Odgłosy bitwy były coraz wyraźniejsze. Marta oparła dłoń na ramieniu Anny. Dziewczynka spojrzała na ciotkę z uśmiechem.

- Wszystko będzie dobrze, prawda, Anno? - upewniła się Marta. Wyczuwała bijącą od małej siłę. - Mądre z ciebie dziecko - stwierdziła, przypomniawszy sobie światło, jakim jaśniała nowo narodzona dziewczynka.

Anna uśmiechnęła się tylko.

Mężczyźni wstali z klęczek. Ojciec O'Brian włożył Hostię do prostego tabernakulum z drewna i szkła. Uroczystą ciszę przerwał dźwięk dzwon-

11

ków. Anna je uwielbiała. Delikatne uderzenia przypominały dźwięk złotych monet. Pamiętała dzwonki z dni targowych, kiedy tłuste kury, świnie, jajka i warzywa zmieniały właścicieli. Teraz dźwięczne uderzenia głosiły pokój. Mężczyźni, gotowi oddać życie za swoich bliskich, powoli opuszczali wioskę. Sean ostrożnie niósł święte oleje. Tuż przed nim szedł kapłan z krzyżem uniesionym wysoko nad głową. - Święta Mario, łaskiś pełna. Pan z tobą...

- Amen - odpowiedzieli mężczyźni.

Biddy wzięła Annę za rękę. - Chodźmy, dziecko. Czas na nas.

Kobiety podniosły z ziemi tobołki i cicho wymykały się do lasu. Nocną ciszę zakłócał jedynie płacz niemowlęcia. -

Ćśś - uspokajała je matka. -Bo Anglicy zabiorą cię do piekła.

### 3

Przez cichy las wędrowały milczące kobiety. Szły równym, zdecydowanym krokiem. Jak koty widziały drogę w ciemnościach, ale też wiele razy ćwiczone tę nocną eskapadę. Anna od najwcześniejszego dzieciństwa знаła drogę do ukrytej w lesie jaskini. W lecie chodzili tam na pikniki. Pamiętała, że w ciepłe dni kąpała się w małym jeziorku tuż poniżej wejścia do groty. Jaskinia zawsze kojarzyła się jej z radosną twarzą o ustach szeroko rozwartych w powitalnym uśmiechu.

W końcu Kitty postawiła małą na ziemi. Dotarły na miejsce. - Uff! -sapnęła, wyprostowując się z trudem. - Ależ z ciebie kawał dzieciaka, Anno.

Dziewczynka zachichotała i podskoczyła wesoło. - Lekka - poprawiła ciotkę.

Biddy wyciągnęła z tobołka pudełko zapalek i szybko rozpałała ognisko z przygotowanych wcześniej gałązek. -

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek znajdziemy się tu z konieczności, by ratować życie - zauważyła.

Kitty pochyliła się nad swoim tłumokiem. - Mamy masę jedzenia, a także drewna na opał. Musimy się tylko modlić za naszych mężczyzn.

Kobiety zajęły się przygotowaniem posłań na noc. Mary gotowała owsiankę. Mieszała kleik i nuciła coś cichutko pod nosem.

*Przędzie dziewczę białogłowe*

*Przy księżycu srebrnym nowiu...*

Śpiewała tę piosenkę, kiedy Daniel się do niej zalecał. Powróciły wspomnienia: cudowny moment, kiedy ich usta spotkały się po raz pierwszy, delikatne muśnięcia jego warg i zapach świeżo skoszonego siana.

*Ślepa matka zaś przy ogniu...*

- Nie jestem ślepa, Mary - Biddy pochyliła się nad garnkiem. - Ale, na Boga, zostanie ze mnie skóra i kości, jeśli zaraz nie dasz nam tej owsianki. Masz. - Wydobyła z jednej ze swych przepastnych kieszeni płaską butelkę. - Napij się, Kitty. I nie miej takiej ponurej miny. Przecież oni wrócą.

- Wszyscy na pewno nie wrócą - sprostowała łagodnie Marta. - Tak jak Joseph nie wrócił.

Biddy przymknęła na chwilę oczy. - Wiem o tym - mruknęła i pociągnęła spory łyk samogonu. - Spoczywa teraz hen, w dalekim kraju, pod szarym niebem. - Westchnęła ciężko i mocniej objęła Annę. - Ale umarł za słuszną sprawę i jego dusza jest w niebie. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślała, żebym za nim nie tęskniła. Był dobrym chłopcem. Mówią, że najlepsi umierają młodo, a on był taki dobry.

Anna już zasypiała. - Czy jest teraz aniołem? - zapytała, myśląc o ściennych malowidłach w kościele.

- Tak, teraz jest aniołem - potwierdziła Biddy.

Mary podała staruszce emaliowany kubek i dwie drewniane łyżki. - Nakarm małą, Biddy. - Nie chciała, by staruszka na dobre pograżyła się we wspomnieniach. - Mężczyźni wrócą niedługo - oznajmiła rozdając talerze pozostałym kobietom.

Siedziały dookoła ognia. Niewiele padało słów. Pod ścianami jaskini piętrzyły się stosy ziemniaków i cebuli.

Zwisające ze ściany pęta kiełbasy rzucały dziwne cienie.

Anna leżała u boku babki. Sprawy nie wyglądały dobrze, czuła to. Wiedziała jednak, że wkrótce wszystko będzie w porządku.

#### 4

Przez wiele dni Daniel nie zjawiał się w jaskini. Kobiety niecierpliwie wypatrywały posłańców, wyczekiwały wiadomości.

- Chyba nie zabiliby księdza? - Kitty spojrzała na Biddy przez płomień ogniska.

- Nie wahałoby się ani chwili.

Mary zacisnęła usta w wąską kreskę. Ani razu nie okazała, jak bardzo męczy ją bezczynne czekanie. Myślała tylko o bezpieczeństwie i spokoju Anny. Teraz właśnie miała pytać o ojca, otoczywszy szyję matki pulchnymi ramionkami.

- Tatuś wróci - oznajmiła.

Mary ze zdumieniem patrzyła w błyszczące oczy córeczki. - A skąd to wiesz?

Kitty potrząsnęła głową. Marta uśmiechnęła się ciepło. - Mała ma rację. Chodźcie, pójdziemy nad jezioro, zajrzę do wody i dowiemy się, co słychać.

Pośpieszyły zbitą gromadką. Na końcu dreptała Biddy, ściskając rękę Anny.

Nieruchoma tafla jeziora lśniła srebrem nieba o świcie. Tej nocy księżyc szybko się schował, zgorszony rzezią w Irlandii. Zaprawdę, pomyślał, Anglicy to barbarzyński naród. Księżyc wolał spokojne wędrówki nad Dalekim Wschodem, ale i tam dotarli Anglicy i ich potomkowie, Amerykanie, i niszczyli kraje, które tak kochał. Poprawił poły surduta i ruszył w stronę horyzontu, by pocieszyć angielskich skazańców w Australii. Jego siostra, jasna kula słońca, ozłociła czekające kobiety światłem. Nad górami powoli pojawiał się blask poranka.

#### 20

Promienie słońca przedarły się przez lodową taflę. Teraz zebrane widziały małe żabki uwięzione w zamarznionych komnatach, oczekujące wiosny. Anna roześmiała się wesoło, kiedy pierwsze promyki załamały się w przezroczystych kryształkach lodu, rzucając niebieskie i czerwone błyski.

Marta stała spokojnie nad brzegiem. Mary i Biddy czekały. A Kitty się nudziła.

- Wy wszystkie chyba naprawdę wierzycie w ten hokus-pokus. Następnym razem wypatroszycie nietoperza, co?

Marta obrzuciła sceptycznie nastawioną siostrę karcącym spojrzeniem. - Nie robię takich rzeczy - oznajmiła stanowczo. - Zajmuję się białą magią i nie zabijam żywych istot.

Anna pociągnęła ją za rękaw. - Patrz! - podniecona wskazywała środek jeziora. - Tatuś! - śmiała się i wesoło klaskała w dłonie. - Tatuś wraca do domu.

Marta wpatrywała się w obraz, który powoli ukazywał się jej oczom. Widziała twarz Daniela. Nie był ranny, ale bardzo wyczerpany. Tuż za nim podążał inny mężczyzna. Marta nie potrafiła określić, kto to, jego twarz bowiem zakrywał biały bandaż i rdzawe plamy krwi.

- Świeża rana - mruknęła. Najważniejsze jednak, że Daniel żył i nic mu nie groziło. Niemal niezauważalnie skinęła dłonią. - Gdzie chłopcy? - cicho spytała wody.

Twarz Daniela znikła. Po chwili jej miejsce zajęli Raymond i Sean. Szli z Donaldem i Peterem. Wędrowali wiejskimi drogami. Po raz pierwszy od wielu dni Marta uśmiechnęła się szeroko.

- Chłopcom nic się nie stało. Idą na farmę Williamsów. - Odetchnęła głęboko. - Dziękujmy Bogu, że są cali i zdrowi. Teraz musimy tylko czekać na Danny'ego.

- I ojca O'Briana. - W głosie Biddy słychać było zmartwienie. Miała nadzieję, że to właśnie ksiądz szedł za Danielem.

- Jestem przekonana, że mój Daniel nie zostawiłby sługi bożego w potrzebie.

- Nie zapominaj jednak, że towarzysz Daniela jest ranny - odezwała się Marta.

Biddy objęła szczupłą talię Mary. - Przygotujemy bandaże, a potem pójde i nazbieram leczniczego mchu, którym opatrzymy rany.

Mary potakiwała, rozpromieniona. - Na szczęście zabrałam ze sobą naparstnicę, która wspomaga serce, i inne zioła. Nasza apteczka będzie wcale nieźle zaopatrzona, kiedy wyruszymy do Ameryki!

Szczyty gór podchwyciły jej radosny okrzyk. - Kiedy wyruszymy do Ameryki - westchnęły. - Ameryki, Ameryki.

Mary wracała do jaskini tanecznym krokiem. - Zjemy dziś mięso i ziemniaki - oznajmiła wesoło, kiedy wszystkie weszły do środka.

- Ja nalepię pierożków - odezwała się Biddy.

- A ja zaśpiewam - zdeklarowała się Kitty.

- Lepiej umyłabyś naczynia, patrz, jakie są brudne.

- Ależ mam, jeśli pozmywam, zniszczę sobie ręce, a wtedy nie znajdę bogatego męża w Ameryce! - Kitty spojrzała na swoje długie paznokcie. - I tak będę musiała natrzeć dziś dłonie tłuszczem - jęknęła. - Dzięki Bogu wzięłam ze sobą kurzy łój.

Marta parsknęła śmiechem. - Kitty, z pewnością będziesz najpiękniejszą dziewczyną w Nowym Jorku.

- A żebyś wiedziała - zachnęła się. - Na pewno właśnie tak będzie. Zobaczycie, jak tam przyjedziemy. Chodź, dziecko, pokażę ci, jaką piękną suknię zabrałam ze sobą.

Anna opadła na kolana przy tobołku ciotki. Żadna z pozostałych kobiet nie miała równie dużego pakunku.

- Czy spakowałaś chociaż coś do jedzenia? - spytała Marta. - Albo zapalki czy talerze?

- Nie, moja droga. - Kitty zmarszczyła szerokie, dumne brwi. - Nic z tych rzeczy. Nie było potrzeby. Przecież mogę korzystać z waszych, prawda?

- Jesteś niepoprawna. - Marta uniosła oczy do nieba.

- Wiem. - Kitty podniosła głowę i zerknęła na bratanicę. - Spójrz, kochanie - poprosiła, unosząc w górę nagie ramiona. - Wszystko jest w porządku, dopóki skóra nie zwiotczeje. Jeśli nie znajdę sobie bogatego męża teraz, kiedy jestem ciągle jędrna i młoda, pójdę do klasztoru.

Anna przesuwała między palcami śliski materiał sukni. Uwielbiała dotykać satyny i jedwabiu.

Kitty kucnęła obok małej. - Mówią, że w Ameryce robi się filmy. Chciałabym do filmu, wiesz?

Mary nie zwracała na nie uwagi, zajęta ustawianiem garnków na palenisku. Bidy zagniatała ciasto na płaskim kamieniu. Marta zaś siedziała skulona, oplatając kolana rękami. Obok niej leżał stos mchu i zwinięty bandaż.

- Wiecie co - odezwała się. - Chociaż straciłyśmy nasz dom, jesteśmy dziś tak szczęśliwe, jak może jeszcze długo nie będziemy.

Przelatujący nad jaskinią kruk zgodził się z nią głośno. Po chwili odezwał się ponownie z płataniny nagich gałęzi.

- Ludzie - ludzie - ludzie! - krzyczał. Anna drzemała przytulona do ciotki.



5

Anna podniosła się gwałtownie. Na chwilę ogarnęła ją panika, bo nie wiedziała, gdzie jest. Potem zwróciła uwagę na rytmiczne ruchy w klatce piersiowej. Co to? Zdawało się jej, że słyszy uderzenia w bębny.

Obok niej spały skulone kobiety. Do późna w nocy czekały przy dogasającym ognisku. Anna próbowała zasnąć, ale dziwne uczucie nie dawało jej spokoju. Odsunęła się od matki i wstała. Ojciec wracał. Czuli to. Odgłos bębnow oznajmiał jej właśnie tę nowinę. Jedwabne nici uczuć łączące ją z rodzicami były mocno naprężone przez burzliwe wydarzenia ostatnich dni.

Kątem oka zerknęła na pękniętą nić Kitty. Ciotka sama zniszczyła odwieczne więzy, kiedy zaczęła uganiać się za mężczyznami. Marta natomiast była silnie związana z Danielem i Mary, jego żoną.

Poprzez tę jedwabną nić Anna przesłała ciotce niemą prośbę: „Nie budź mamy, jest bardzo zmęczona. Chodź ze mną do lasu”.

Porozumiewając się w ten sposób, przemawiała najstarszą częścią swej duszy, częścią tak starą, że pozostał z niej tylko mały kryształ na dnie źrenicy prawego oka.

Był to gen, który przekazywał tajemnicę cząsteczek DNA. Dźwięk, który istniał, zanim sama się pojawiła. Potężny, dźwięczny głos Stwórcy Wszechświata, skrawek przestrzeni ukryty w dłoniach Buddy. Chwila tuż przed zapłodnieniem, kiedy pierwiastek męski odnajduje swoją żeńską połowę i zanurza się w niej na wieki.

Marta zadrżała. Iskierki światła tańczyły na niej, kiedy się przeciągała.

17

Niś łącząca ją z bliskimi tętniła życiem. Anna zamknęła wewnętrzne oko. Takie postrzeganie świata było. zbyt wyczerpujące. Przecież w tym życiu była tylko trzyletnim dzieckiem. Wkrótce zobaczy ojca i ciężko rannego mężczyznę.

- Chodź, Anno - Marta wyciągnęła rękę. - Dziękuję, że mnie obudziłaś.

Las lśnił w bladym świetle poranka. - Dlaczego ziemia tak drży? - Anna ze zdziwieniem spoglądała na swoje stopy.

- To energia ludzi, którzy się budzą i kochają o świcie. Dziewczynka się uśmiechnęła. - To miłe.

Marta parsknęła śmiechem. - To cudowne - odparła. - To jest jak Komunia Święta. Zrozumiesz, kiedy dorośniesz.

Chociaż ty już teraz rozumiesz więcej niż inni - dodała po chwili.

Ruszyły wąską ścieżką w las. Gdzieś w oddali trzaskały gałęzie. Nie był to znak obecności jelenia. Zwierzęta umieją bezgłośnie mijać suche patyki. Nie zwiastował on także dużego ptaka. Ptaki umieją bezszelestnie prześlizgnąć się wśród drzew. Anna wiedziała, że ów dźwięk oznacza nadejście ludzi. Wiedziała, że zapowiada jej ojca.

Zaczęły biec. Wkrótce zobaczyły Daniela. Bardzo schudł, na jego pobladłej z wysiłku twarzy trwale odbiły się trudy ostatnich dni. Raczej niósł niż prowadził ojca O'Briana. Twarz księdza zasłaniał postrzępiony, zakrwawiony bandaż.

- Nie pozwól jej patrzeć - wysapał Daniel, osuwając się na ziemię. - Nie patrz, Anno. Nie patrz na to.

Mała pochyliła się i dotknęła opatrunku. - Nie ma nosa - stwierdziła, podnosząc wzrok na ojca. Nagle poczuła ów straszliwy moment, kiedy angielska szabla odcięła żywe ciało. Odebrała to równie wyraźnie, jak dwa tysiące lat wcześniej czuła ból człowieka, któremu obcięto ucho. Tamten jednak potrafił dotknięciem uzdrowić rany. Anna była świadoma, że nie posiada równie wielkiej mocy, ale serdecznie współczuła księdzu. Słyszała okrzyki bólu i słowa modlitwy skierowane do Boga:

- Znoszę ten ból w imię cierpienia Twego syna, który umarł za moje grzechy...

Bóg wysłuchał cichej modlitwy i dotyk małych dłoni dziewczynki uśmierzył ból. Okaleczenie jednak miało pozostać na zawsze.

- Kto mnie dotknął? - ksiądz szeroko otworzył oczy.

- Anna - odparła krótko Marta. - Ona potrafi uzdrawiać.

Na twarz Daniela wracały kolory. - Widzicie? - pochylił się nad dłonią córki. - Spójrzcie na linię jej przeznaczenia.

Kapłan ostrożnie dźwignął się z ziemi. Oparł się na ramieniu Marty. - Przeżegnał się. Ma linię przeznaczenia. Może i ma.

Anna zerknęła na swoją rękę. Rzeczywiście, wyraźna linia biegła przez całą dłoń, od nadgarstka do palców.

- Przeznaczenie - mruknął ksiądz.

Czuł na sobie płomienne spojrzenie jej dziwnych oczu.

- Jestem głodna - oznajmiła dziewczynka.

Mary zabrała ojca O'Briana do jaskini. - Na szczęście ten, kto obciął mu nos, zrobił to jednym ruchem - mruknęła. Co prawda do rany wdało się zakażenie, ale życiu księdza nie groziło niebezpieczeństwo.

- Ohyda! - jęknęła Kitty, która podtrzymywała głowę kapłana. - Nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że będę pielęgnować poszatkowanego księdza.

- Cicho, Kitty. - Mary wycierała twarz rannego zwilżonym mchem. - Zaopiekujemy się księdzem w podróży - obiecała. - Wszystko będzie dobrze. Co prawda, nie będzie ojciec zbyt piękny, ale przynajmniej żywy.

Kapłan spróbował się uśmiechnąć. - Mary, ja nigdy nie byłem przystojny. Od dziecka wiedziałem, że poświęcę życie Bogu. Moja matka mawiała, że żadna kobieta nie zechce takiego brzydala jak ja. Ale otarcie się o śmierć pozwala spojrzeć na życie inaczej. Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się zobaczyć Amerykę i odprawić mszę w Bostonie. Mam tam rodzinę.

- Wszyscy mamy krewnych gdzieś za oceanem - stwierdziła Kitty. - Są tam nasi bliscy, którzy mieli dość oleju w głowie, by wyjechać stąd wiele lat temu. Żałuję, że sama tak nie zrobiłam. Podobno na zachodzie jest mało kobiet. Zaraz znalazłabym sobie bogatego farmera.

Mary spojrzała na bratową. Wieczna z niej marzycielka, pomyślała. Po chwili jej uwagę pochłonął Daniel. Leżał na boku koło ogniska, zajęty rozmową z Anną. Ciekawe, co też sobie opowiadają, zastanawiała się.

- Zaopiekuj się ojcem O'Brianem, Kitty. Ja pójdę zobaczyć, jak miewa się Daniel. - Zebrała ciężką wełnianą spódnicę i podeszła do paleniska.

Biddy piekła wieprzowe kiełbaski domowej roboty. Co chwila omiatała je gałązkami świeżego tymianku. Pachnący tłuszcz skwierczał smakowicie. Pieczone w żarze ziemniaki studziły się obok paleniska. Daniel wzrokiem już pochłaniał jedzenie. Anna mocno trzymała go za rękę.

- Widziałam was - powiedziała. - Widziałam was w obrazku cioci Marty. Dużo złych ludzi.

Daniel potaknął. Po chwili się uśmiechnął. - Ale ich już nie ma. Za kilka dni wyruszymy w drogę, a potem wsiądziemy do dużej łodzi i odpłyniemy tak daleko, że będziemy bezpieczni.

- Dobry Boże! - Głos księdza doszedł ich z przeciwnego krańca jaskini. - Oby spełniły się twoje słowa, Danielu!

Biddy przełożyła kiełbaski na cynowe talerze. Daniel parsknął śmiechem. - Widzę mamó, że zdążyłaś zabrać swoją zastawę.

- Oczywiście. - Wyprostowała się dumnie. - Podobnie jak moją najlepszą pościel. W moim domu nie będę tolerować żadnych nowoczesnych bzdur, mój drogi.

25

Daniel potrząsnął głową, usiadł i objął Mary. Przytuliła się do niego i uśmiechnęła do córki. - Wrócił - stwierdziła z zadowoleniem.

- Wrócił cały i zdrowy. - Marta obudziła się po krótkiej drzemce. -I na pewno jest głodny.

- Kitty - zawołała Bidy. - Zanieś księdzu jedzenie.

Kitty spojrzała na okaleczoną twarz leżącego. - On śpi, mamó. Biedaczysko!

- Mam w tobołku chustkę, którą zakryjemy jego ranę - oznajmiła Bidy. Postawiła talerz księdza przy palenisku.

- Danielu, zmów modlitwę.

Daniel pochylił głowę i dziękował Bogu za życie, za jedzenie, za czekającą ich podróż.

Gołębie przed jaskinią zdziwiły się zapewne, słysząc jakim energicznym i żwawym „amen” zakończono modły.

## 6

Dużo czasu miało upłynąć, zanim Anna ponownie poczuła zapach smakowitych kiełbasek. Większość podróży spędziła na barkach ojca, ale często też dreptała tuż za nim. Marta i ciągle narzekająca Kitty podtrzymywały księdza. Kapłan powoli wracał do zdrowia. Podczas długich dni wędrówki nauczył się odnosić do obu kobiet z szacunkiem, którego wcześniej nie odczuwał. Dla niego, człowieka wychowanego w duchu czystości fizycznej, stanowiły kiedyś nie lada pokusę. Pulchne ramiona Kitty sprawiały, że w słoneczne popołudnia zaciskał ręce tak mocno, że paznokcie znaczyły dłonie krwawymi śladami. Kiedy wieśniacy zobaczyli te rany, cofnęli się z szacunkiem, przekonani, że to stygmaty Męki Pańskiej. Ojciec O'Brian wolał narazić się na wieczne potępienie, niż wyznać biskupowi, że owe stygmaty to nic innego jak dowód cielesnej żądzy.

Marta działała na niego inaczej. Melancholijny uśmiech sprawiał, że wyglądała zarazem niewinnie i zmysłowo.

Kiedy w mroku zakrystii zdejmował liturgiczne szaty, wyobrażał sobie, że przesuwa palcami po jej pełnych wargach. Następnie te piękne usta rozchylały się i niewinność ustępowała namiętności. Oczy wyobraźni widział nagość Marty, poznawał najtajniejsze zakamarki jej kobiecości.

Teraz, kiedy niezdarnie szedł wsparty na ramionach obu kobiet, aura tajemniczości zniknęła. Nie tęsknił już daremnie do ich towarzystwa. Poznał je dobrze. Wiedział, że Kitty to niepoprawna, niepraktyczna marzycielka, ale zawsze mógł polegać na jej silnej dłoni. Odkrył, że Marta trzyma się od wszystkich z daleka, z wyjątkiem dziecka, które odziedzi-

czyło jej melancholijny uśmiech. Nadal wyglądała jak rozpustna westalka, ale twardo stapała po ziemi.

Niewiele rozmawiali podczas długich, forsownych marszów od wioski do wioski. Jeśli mówili, wspominali przeszłość, do której nie było już powrotu. Szli ciągle naprzód przez płynącą krwią ziemię ukochanego kraju.

Wszędzie witały ich ślady Anglików, którzy przeszli tę drogę przed nimi. Żołnierze grabili, mordowali, gwałcili i palili wszystko, co stało im na drodze, całe wioski, mężczyźni, kobiety i dzieci.

Rodzina Daniela ze zgrozą patrzyła na dymiące zgliszcza. Anna widziała rozkładające się ciała. Widziała swoich rówieśników śpiących wiecznym snem śmierci. Najbardziej jednak uderzała ją cisza, którą zakłócał jedynie odgłos powolnych kroków rodziny i ojca O'Briana.

- Gdzie kurczęta? - spytała ojca.

- Anglicy je zabrali, Anno. Anglicy zabrali wszystkie zwierzęta.

Zapasy, które Mary przezornie wzięła ze sobą, kończyły się w zastraszającym tempie. Żywili się teraz tym, co Daniel znalazł na porzuconych polach. Nie było tego wiele: kilka ziemniaków, rzepa, i pewnego, błogosławionego dnia, królik. Daniel gonił dużego samca przez całe pole. Zwierzę, świadome, że człowiek może je doścignąć, wrzeszczało przeraźliwie. Anna spojrzała w jego stronę w chwili, kiedy palce ojca przerywały życie królika. Wytrzeszczone ślepia błagały o pomoc. Dziewczynka ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała. Płakała nad wszystkim, co zobaczyła zbyt wcześnie w swoim życiu.

Tego wieczora, kiedy dorośli z apetytem kończyli gulasz z królika, Anna jadła owsiankę. Wiedziała, że dokoła niej przymarzały do ziemi nie pogrzebane ciała dzieci. Nie była w stanie zjeść królika.

- Wkrótce dojdziemy do Liffey, rzeczki, która uchodzi do morza w Dublinie. Jeśli pójdziemy jej brzegiem, nie natkniemy się na Anglików - w głosie Daniela słychać było zadowolenie. Pierwszy od kilku dni pożywny posiłek poprawił mu humor.

Tej nocy spali pod gołym niebem, skuleni pod workami po mące. Anna z całej siły przytulała się do ciepłego ciała matki.

Upłynął następny tydzień zanim Kearneyowie dotarli do Dublina. Już z dala dostrzegli wieżę katedry górującą nad nizinami łąkami. Gościńce pełne były uchodźców, którzy podobnie jak oni spieszyli do miasta. Powietrze rozbrzmiewało pozdrowieniami i życzeniami pomyślności.

- Skąd idziecie?

- Z Tipperary.

- Z Wexfordu.

- Z Killarney.

- Dobry Boże, chyba cała Irlandia wyruszyła w drogę - Mary westchnęła ciężko.

23

- Nie ma sensu tu zostawać - rzucił młody człowiek, który właśnie ich mijał. Szedł beztrząsco uśmiechnięty, niosąc cały dobytek w tobołku zawieszonym na prostym kijku.

Anna nie mogła oderwać wzroku od przemyślnego wynalazku. - Ja też chcę taki tobołek - oznajmiła.

Daniel zgodził się na to z uśmiechem. Ucieszyło go ożywienie Anny. Świadomość, że nie potrafił uchronić córki przed okropieństwami wojny, nie dawała mu spokoju.

Anglicy nie zaatakowali jeszcze Dublina. Oczywiście, nad miastem jak czarne chmury unosiły się ponure plotki. Setki, tysiące ludzi codziennie przybywało do miasta i je opuszczało. Wyjeżdżali głównie ci, którzy współpracowali z Anglikami - poborcy podatkowi i zdrajcy. Jednak nawet oni mogli się na coś przydać. Bardzo często słodki uśmiech Anny urzekał ich do tego stopnia, że dzielili się z Kearneyami chlebem, mięsem czy warzywami. Mary skwapliwie przyjmowała wszystkie dary. Zostało jej już tylko kilka pensów i złota gwinea, ich bilet do Ameryki. Ogrom miasta sprawił, że poczuli się zagubieni.

Przerażały ich tłumy ludzi przelewające się ulicami i setki wozów jadących nie wiadomo dokąd. Wszystko to przypominało Danielowi średniowieczne jarmarki, o których czytał w szkole. Dziesięciolecia walk, zamieszek i wyzysku sprawiły, że nad miastem unosiła się aura ubóstwa. Nic tutaj nie świadczyło o tym, że nadszedł już wiek dwudziesty, wiek zmian. Daniel zdawał sobie sprawę, że jego kraj, uciskany od tylu lat, będzie jeszcze długo opóźniony. Panujący dookoła chaos napełniał go uczuciem beznadziejności. Zawsze będzie kochał Irlandię, ale jego miejsce jest gdzie indziej.

Opiekuńczym gestem otoczył ramieniem Mary i Annę. Marta, Kitty i ksiądz O'Brian stali zbici w ciasną gromadkę. Bidy lękliwie czepiała się rękawa syna.

- I dokąd teraz pójdziemy, Danielu?

- Nie wiem. Ale patrzcie, tu jest Dubliński Urząd Pocztowy. Tak jest napisane.

- Na Boga, Danielu, nie przyszliśmy tu po to, żeby wysłać list. - W głosie Kitty usłyszał zniecierpliwienie. -

Myślałam, że wiesz, dokąd mamy pójść.

- Aha. - Nie słuchał jej. Otwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w przejeżdżający obok powóz zaprzężony w szóstkę czarnych koni. Drzwi powozu zdobił herb: gotowy do skoku lew i biały jednorożec.

Anna nie mogła oderwać wzroku od przerażonej twarzy kobiety w środku pojazdu. Siedziała u boku nieruchomego, ciemnookiego mężczyzny, który obojętnie patrzył przed siebie. Oczy kobiety błagały Annę o litość. Po raz drugi w krótkim czasie dziewczynka czuła, że jest zupeł-

29



nie bezradna. Najpierw królik, a teraz nieznajoma oczekiwali od niej pomocy.

Pociągnęła Mary za spódnicę. - Spójrz! - powiedziała, wskazując powóz. Ten jednak znikł już w tłumie. - Biedna, smutna pani.

Stali bez ruchu, zagubieni, a wtedy ojciec O'Brian zawołał do idącego ulicą księdza.

- Pochwalony! Jesteśmy z powiatu Mayo! - krzyknął wymachując ręką. - Ojczy, proszę mi powiedzieć, gdzie znaleźć nocleg dla moich krewnych?

Kiedy duchowny zorientował się, że woła go sługa boży, zaczął przedzierać się przez ulicę pełną dorożek i wozów i po chwili, zdyszany, przystanął koło małej gromadki.

- A więc jesteście z Mayo. Witamy w Dublinie - serdecznie uściśnął dłonie wędrowców. - Co was sprowadza do miasta?

- Wyruszamy do Ameryki.

Ksiądz nie mógł opanować zdziwienia. - Jak to? Chcecie ryzykować życie na tych okropnych starych łajbach?

Ojciec O'Brian rozłożył bezradnie ręce. - Nie mamy innego wyjścia - wyjaśnił krótko. - Czy nie wie ojciec, co dzieje się na prowincji?

Młody kapłan wzruszył ramionami. - Cóż, słyszałem, że większość tych mrozących krew w żyłach opowieści jest mocno przesadzona. Biskup twierdzi, że przyczyną całego zamieszania są nieuczciwi dzierżawcy, którzy nie chcą płacić czynszów. Anglicy mają za zadanie przywrócić ład i porządek.

- To nie tak. - Ojciec O'Brian z trudem pohamował ogarniający go gniew. - Rządowi dublińskiemu jest na rękę podtrzymywać te kłamstwa, a zapewniam księdza, że to wszystko to naprawdę kłamstwa. Angielskim posiadaczom ziemskim nie podoba się, że nie mają już całkowitej kontroli nad Irlandczykami i ich ziemią, i dlatego wyrzucają dzierżawców. Na każdą próbę oporu reagują tak, jak robili to od lat: bezmyślną przemocą narodu przekonanego o swej wyższości.

Młody ksiądz nie wiedział, co myśleć. Wszak sam biskup tłumaczył mu zawilości aktualnej sytuacji, ale zawziętość w głosie starego kapłana nie dawała mu spokoju. Intrygowała go czarna chusta na białej twarzy ojca O'Briana i grupa wieśniaków przybyłych do miasta.

- Czy macie jakieś dowody potwierdzające wasze słowa?

O'Brian powoli ściągnął chustkę. - Anglicy zabrali mój nos - oznajmił spokojnie.

Młody ksiądz poblądł gwałtownie. Dwie czarne dziury patrzyły na niego ślepych spojrzeniem. - Rozumiem - jęknął.

- Chodźcie. Zaprowadzę was do biskupa. Musi usłyszeć waszą opowieść.

Prowadził ich przez labirynt wąskich uliczek Dublina. Daniel posadził sobie Annę na karku. Mała ciekawie przyglądała się zaafierowanemu tłumowi. Teraz była bezpieczna. Wiedziała, że opatrność zesłała młodego

księdza, żeby im pomóc. Wysoko nad nią głośno krzyczały mewy. -Przyływ, przyływ! - informowały jedna drugą. - Rybackie łodzie już w porcie! Szybko, szybko! - poganiały się wzajemnie. Anna się roześmiała. Bardzo lubiła te plotkarskie ptaki o czarnych oczach.

- Chodźcie, tędy. - Młody ksiądz prowadził ich do budynku na tyłach wielkiego kościoła. - Jesteśmy na miejscu. Zanim porozmawiam z biskupem, poproszę kucharza, żeby was nakarmił i zaprowadził do łaźni. Na pewno macie ochotę na pożywną kolację i gorącą kąpiel.

Mary zadowolona skinęła głową. Cała rodzina przekrzykiwała się w podziękowaniach.

- Przepraszam, nie przedstawiłem się. - Duchowny odwrócił się do nich zawstydzony. - Ojciec Benedykt.

Daniel, zdenerwowany, ale pełen nadziei, nieśmiało rozglądał się po obszernym pomieszczeniu. Drewniana podłoga zwielokrotniała odgłos ich kroków. Weszli do dużej sali, na której końcu miłym ciepłem promieniował kominek.

- Bracie Jonidesie, przyprowadziłem podróżnych. Nakarm ich i zaprowadź do łaźni.

- Zawsze sprowadzasz podróżnych, ojciec - mruknął potężnie zbudowany mnich. - Ciekawe, kogo teraz wynalazłeś. Ostatnio, o ile pamiętam, ściągnąłeś nam na kark bandę włóczędzów i kilka tygodni walczyliśmy z wszami.

- To nie włóczędzy, bracie Jonidesie. Pochodzą z powiatu Mayo. Twierdzą, że Anglicy wyrzucili ich z rodzinnej ziemi.

Ojciec O'Brian stał na czele swojej gromadki, patrzył na olbrzymiego mnicha i bez słowa przysłuchiwał się rozmowie.

- Bracie Jonidesie, biskup na pewno nie ma pojęcia, jakich okrucieństw dopuszczają się Anglicy.

- Ojciec Benedykcie - kucharz mówił powoli, z namysłem. - Oczywiście, że nasz dobry biskup wie, co się dzieje. Mój drogi, jesteś jeszcze bardzo naiwny. Wszyscy wiedzą, że Anglicy nadal wyzyskują Irlandczyków. - Uważnie spojrział na blade, zmęczone twarze wędrowców. -Chodźcie za mną. Zaraz dostaniecie coś do jedzenia. Dokąd się wybieracie?

- Do Ameryki - Anna odpowiedziała pierwsza. - Popłyniemy tam statkiem i będziemy mieszkać w nowym domu. - Podbiegła do potężnego mnicha i pociągnęła go za habit. - A ciocia Kitty będzie śpiewać i tańczyć, aż znajdzie bogatego męża, a wtedy będzie nas wszystkich utrzymywać.

Brat Jonides roześmiał się głośno. - No to z cioci Kitty musi być dobra śpiewaczka. A czym pani się zajmie? - zwrócił się do Marty.

- Och, ja będę rozpieszczać Annę.

Przeszli przez kuchnię i po chwili zasiedli przy długim stole w refektarzu. Brat Jonides znikł. Słyszeli, jak klaszcze w dłonie i wydaje polecenia. Po chwili salę wypełniła procesja młodych mnichów. Znosili wazy zup, owsiankę, bigos, półmiski mięsa i warzyw, aż Daniel dał im

31

ręką znak, że niczego więcej nie potrzeba. Przestał jeść jako ostatni. - Jeśli zjem tę szarlotkę, pękne - oznajmił Mary.  
- Więc nie jedz.

Brat Jonides pojawił się nagle jak duch z lampy Aladyna. - Wasze łóżka już gotowe - oznajmił. - Kobiety przenocują w sypialni po prawej stronie refektarza, mężczyźni pójdą ze mną.

Daniel był zaskoczony takim obrotem sprawy, ale Mary pocałowała go szybko i łagodnie odepchnęła. - Wszystko będzie dobrze - zapewniła. Wzięła Annę na ręce.

Dziewczynka ufnie przytuliła się do matki. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, była kąpiel w ciepłej wodzie i miły zapach czystej pościeli. Potem zasnęła, wtulona w ramiona Mary.

7



Anna jeszcze nigdy nie widziała prawdziwego biskupa. Całą swą religijną wiedzę czerpała z nauk ojca O'Briana.

- Kto cię stworzył, Anno? - zapytał, kiedy tylko zorientował się, że mała potrafi już mówić.

- Pan Bóg, ojciec - wysepleniła. Były to jedne z pierwszych słów, które wypowiedziała.

- A po co Pan Bóg cię stworzył? - To pytanie padło, gdy trochę podrosła. Nie odpowiedziała od razu, by zmanifestować, że dorośli ciągle zadają głupie pytania.

- Oczywiście po to, abym Go czciła, kochała i mu służyła, ojciec. - Od tego czasu, ilekroć dostrzegła wysoką postać w sutannie idącą w jej stronę, Anna uciekała ile sił w nogach.

Teraz ojciec O'Brian wiercił się niespokojnie. Kearneyowie czekali na audiencję u dostojnika.

- Pocałujcie jego pierścień, o tak. - Aby ukryć zdenerwowanie, kapłan wprowadzał kobiety i Annę w zawilóści etykiety.

- Ja nie pocałuję - oznajmiła dumnie dziewczynka.

- Musisz, kochanie. - Mary starała się ją ułagodzić. - Biskup Staley-brass jest namiestnikiem Bożym. Musisz pocałować jego pierścień.

- Nie - upierała się. Mary westchnęła ciężko.

- Naprawdę, Danny, nie mam pojęcia, po kim ona odziedziczyła ten upór. To na pewno krew Kearneyów.

Daniel uśmiechnął się krzywo.

- Nie sądzę. Chociaż ktoś to może wiedzieć...

I oto stali w dużej sali, świadomi swego ubożego wyglądu i prostego pochodzenia.

Marta nie odrywała wzroku od podłogi.

Na złotym tronie siedział biskup. Spoglądał na onieśmiałą grupkę znudzonym wzrokiem. Przynajmniej nie śmierzdzą, pomyślał, z trudem dławiąc ziewnięcie. Właśnie zjadł wyśmienity lunch, na który składał się pyszny jeleni comber i krem ze szparagów.

- Cudownie, mój chłopcze - szepnął do pazia, który dzielił z nim łożo. - Zabawimy się dzisiejszej nocy.

Anna patrzyła na jego małe, tłuste dłonie błyszczące od złota i drogich kamieni. Czuła na sobie spojrzenie malutkich świńskich oczek. Zauważyła ze zdziwieniem, że miał zupełnie białe rzęsy i czarną aurę. To zły człowiek.

Postanowiła ostrzec przed nim rodziców.

- Co mogę dla was zrobić? - Biskup poprawił się na tronie. Ojciec O'Brian chrząknął cicho.

- Chcielibyśmy opowiedzieć Waszej Eminencji o zbrodniach Anglików.

- Podejdźcie bliżej. Możecie ucałować mój pierścień. Udzielę wam błogosławieństwa na dalszą drogę. A dokąd właściwie się wybieracie?

- Do Ameryki - oznajmił Daniel pewnym głosem. - Nie mamy po co tu zostawać. - W jego tonie rozbrzmiewała gorycz.

Ojciec O'Brian pochylił się nad dłonią biskupa. Anna widziała, jak z czcią całuje wielki rubin otoczony wałkami tłuszczu. Dostojnik niedbale nakreślił dłonią znak krzyża.

- Następny - rzucił.

Kitty lekko podbiegła do tronu. Przeszła samą siebie, wdzięcz-nieo padając na kolana i chyląc głowę tak nisko, że niemal dotykała podłogi.

Jak zwykle, przesadza. Marta uśmiechnęła się lekko do Anny.

Dobry Boże, te irlandzkie głupki. Biskup czuł niesmak. Jego nowy paż miał cudownie zwarte, jędrne, drobne pośladki, które aż się prosiły o dokładną penetrację. Różowe, soczyste ciało po znakomitym posiłku... Czy istnieje coś lepszego?

Po kolei podchodzili do tronu.

Anna czuła narastający w sobie gniew.

- A teraz, Wasza Eminencjo, chcielibyśmy opowiedzieć o Anglikach... - zaczął ojciec O'Brian.

- Ach, ci przekłęci Anglicy - biskup przerwał mu zniecierpliwiony. - Wiem o nich wszystko, mój synu. Tu trochę porabują, tam pogwałcą. Nic poważnego.

- Ależ... - O'Brianowi odebrało mowę. - Proszę spojrzeć na moją twarz - wyjąkał w końcu. Jednym ruchem ściągnął chustkę i stał bez słowa, wyprostowany.

34

- Zakryj to! Na Boga, zakryj to natychmiast, ojciec... jak, mówiłeś, się nazywasz? - Biskup nerwowo szurał stopą po dywanie; szukał guzika, który sprawi, że do sali wejdzie ojciec Benedykt i uwolni go od natrętów. Widok okaleczonej twarzy bynajmniej nie wpłynął pozytywnie na jego świeżo powstałą erekcję, a w jego wieku należy wszak wykorzystać każdą okazję. - To musiał być nieszczęśliwy wypadek, ojciec. Po prostu nieszczęśliwy wypadek. O'Brian milczał, zbyt wstrząśnięty, by wykrztusić choćby słowo.

- Podejdz, malutka - biskup skinął na Annę. - Możesz ucałować mój pierścień. - Cóż za ślicznotka, pomyślał nagle. Aż szkoda, że nie lubię dziewczynek. No, przynajmniej dotychczas nie lubiłem, poprawił się. Ma zdumiewające oczy.

Anna nie odrywała od niego spojrzenia.

- Nie - powiedziała głośno. - Nie lubię cię. Jesteś niedobry. - Ostatnie zdanie wykrzyczała wysokim, cienkim głosem.

- Coś takiego! - Biskup z trudem podniósł się z tronu. - Powinniście porządnie przetrzepać skórę temu bachorowi! Jak ona śmie odzywać się do mnie w ten sposób?

Nagle poczuł, że jego serce bije coraz szybciej. Krew szumiała mu w uszach, sprawiała, że widział świat przez czerwoną mgłę. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim upadł, była rozpromieniona twarz Anny. Na Boga, ta mała suka... Chciał krzyczeć, ale było już za późno. Leżał bez ruchu.

Paź przykleknął koło niego. A niech to, pomyślał. Znowu będę musiał ciężko pracować.

Łzy, które zbierały się pod powiekami chłopaka, nie były przeznaczone dla dostojnika, lecz dla niego samego.

Do sali wpadł zdyszany ojciec Benedykt.

- Proszę wybaczyć, Wasza Eminencjo - zaczął, lecz urwał w pół słowa, zobaczywszy, że biskup leży na ziemi. Z przerażeniem i złością spojrzął na ludzi, których kilka minut temu wprowadził na audiencję. - Co się stało? - Nieufnie wpatrywał się w ich pobladłe twarze.

- Nie lubiłam go - oznajmiła uśmiechnięta szeroko Anna. - To zły człowiek.

- Idźcie już. - Ojciec Benedykt nie dał jej skończyć. - Szybko. Macie. - Podał im garść monet. - Statek do Ameryki odbija za dwie godziny, kiedy przyływ jest największy. Zdążycie, jeśli się pośpieszycie. Powiedzcie kapitanowi, że

to ja was przysyłam. Chwileczkę... - szybko zdjął pierścień z małego palca i podał go Annie. - Pokażcie go kapitanowi. Będzie wiedział, że mówicie prawdę.

Anna ciekawie patrzyła na mały pierścionek. W niebieskim kamieniu widziała morze, wysokie fale, statek i wreszcie coś wysokiego, uwieńczonego światłem.

- To akwamaryna - szepnęła Kitty z nabożnym podziwem.

31

Ojciec Benedykt poganiał ich ruchem ręki. - Idźcie już, idźcie - nalegał.

Powoli opuszczali dużą salę.

Biskup nadal leżał bez ruchu. Zabłąkany promień światła zdawał się przyszpilać go do podłogi. Dopiero wtedy paź zrozumiał, że dostojnik nie żyje. Ciszę pokoju zakłócał jedynie szloch chłopca.





Anna ciekawie wychylała się przez reling. Obserwowała, jak fale obmywają pękate burty statku. W ciągu ostatniej godziny zmienił się wiatr. Żaglowiec podskakiwał w górę i w dół, miotany potężnymi falami; nadciągał sztorm.

Obok niej stał nieruchomo Daniel. Reszta rodziny i ojciec O'Brian nie wychodzili na pokład, złożeni chorobą morską. Daniel nie mógł dłużej znieść kwaśnego zapachu wymiocin i zaduchu nie mytych ciał. Wziął Annę za rękę i zaprowadził na wąski pokład. Strome schody prowadziły w górę, na pokład pierwszej klasy.

- Kiedyś, malutka, będziemy tam na górze. Nigdy więcej najtańszych kabin.

Anna podniosła wzrok na ojca. Dziwiła ją zawziętość w jego głosie. Jak można się było spodziewać, rozmowy na statku dotyczyły głównie chaosu, który emigranci zostawiali za sobą. W pomieszczeniu zasnutym dymem z tanich cygar opowieści z różnych części kraju układały się powoli w spójny obraz, jak niesforne elementy skomplikowanej mozaiki. Daniela przerażało to, co w niej zobaczył. Cały naród oszalał. Wojna z Anglikami zmieniła się w wojnę domową. Irlandczycy walczyli z Irlandczykami, każdy przekonany, że to właśnie on wpadł na pomysł, jak rozwiązać odwieczny problem. Daniel przysłuchiwał się burzliwym debatom i rozplómiętionym mówcom i wraz z innymi płakał nad ojczyzną. Dlaczego, zastanawiał się, jego kraj walczy sam ze sobą nawet teraz, kiedy po czterech okropnych latach na świecie zapanował pokój?

Ameryka ocaliła świat. Teraz uratuje jego i jego rodzinę. Ta myśl napełniała go niezrozumiałą goryczą. Anna tymczasem wdrapała się po schodkach. Podeszwy jej ciężkich butów wesoło stuknęły o metalowe stopnie. Na wyższym pokładzie stała mała dziewczynka. Towarzyszyła jej wysoka kobieta w czarnym płaszczu i aksamitnej mufce. Dziewczynka miała długie do ramion ciemne włosy i jasną, niemal przezroczystą cerę. Śmiała się głośno, jakby chciała zagłuszyć wiatr. Miała na sobie drogie futerko.

Anna pożałowała nagle, że nie ma ciepłego płaszcza. Wtedy na pewno nie czułaby lodowatych podmuchów wiatru, nie musiałaby obawiać się dotyku kościstych palców mrozu.

Statek przechylił się gwałtownie. Kobieta i dziewczynka upadły i potoczyły się po pokładzie. Dziewczynka krzyknęła ze śmiechem. Anna mocno trzymała się poręczy, ale nieznajoma wpadła na nią i obie sturlały się na niższy pokład, prosto pod nogi Daniela.

Pomógł im wstać.

- Ocaliłaś mi życie - oznajmiła dramatycznym głosem obca dziewczynka. - Jak ci na imię?

- Anna.

- A ja nazywam się Mary Rose Buchanan i nie boję się niczego.

- Mary Rose? Mary Rose? - Twarz wysokiej damy pojawiła się u szczytu schodów. - Co ty tam robisz? Natychmiast wracaj na górę. Nie powinnaś zadawać się z irlandzką hołotą. Nie wiadomo, czym możesz się od nich zarazić.

- Och, zamknij się, Prinny. Nie nudź tyle. Wróć na górę, kiedy będę chciała.

Anna była wstrząśnięta. - Zawsze zwracasz się do niej w taki sposób? - zapytała z niedowierzaniem. Daniel milczał.

- Tak. - Mary Rose podskakiwała na metalowym stopniu. - Przecież to tylko moja niania. Na dodatek jest bardzo nudna. Poprzednią wylali za dżin, ale tamta przynajmniej była wesoła. Ta, niestety, nie ma żadnych nałogów.

- Nałogów? - Anna była wyraźnie zainteresowana.

- No, tak. Wiesz, mężczyźni, alkohol, papierosy, wszystkie te zabawne rzeczy.

Anna czuła, że luki w jej wykształceniu zapełniają się z każdą chwilą.

- Na nas już czas - rzucił Daniel. - Pożegnaj się, kochanie. - Wziął córkę za rękę.

Odwróciła się, by jeszcze raz spojrzeć na nową przyjaciółkę.

- Spotkamy się tu jutro - wyszeptała bezgłośnie Mary Rose. Anna skinęła twierdząco głową.

- Mary Rose! - Głos niani unosił się nad pokładem.

34

- Mary Rose, Mary Rose! - podchwyciły złośliwie mewy krążące nad masztem

Anna myślała o niej przez cały dzień. Wygląda jak piękny kwiat wśród miękkich liści; to moja przyjaciółka, pomyślała i zasnęła głębokim snem szczęśliwego dziecka.

Następnego dnia Kitty czuła się na tyle dobrze, że można było wyprowadzić ją na pokład. Anna wiedziała, że ciocia Kitty ma słabość do małych dziewczynek i uwielbia futra. - Chodź, pokażę ci moje tajemne miejsce - zaproponowała i złapała ją za rękę.

Było jej trochę nieswojo. Wszak udawała się na spotkanie z Mary Rose, mimo że zdawała sobie sprawę z niechęci ojca do tej przyjaźni. Nie żeby Daniel coś mówił, ale ostry ton, jakim Mary Rose zwracała się do niani, budził jego sprzeciw. Bijące od niego ciepłe światło migotało niechęcią. Także później, kiedy opowiadał Mary o zajściu na pokładzie, Anna widziała czerwone ogniki gniewu w jego aurze. Ale przecież idę tylko z nią porozmawiać, to nikomu nie zaszkodzi, przekonywała samą siebie.

Kitty stała przy schodach, tych samych schodach, na których wczoraj rozegrały się tak dramatyczne wydarzenia, i patrzyła na morze.

- Pewnego dnia... - zaczęła śpiewać. Melodia unosiła się nad wodą. Kitty nieświadoma tego, co się dokoła niej dzieje, śpiewała z głębi serca. I oto szczerłość w jej głosie kazała ludziom zatrzymać się i słuchać. Poprzez arię Pucciniego wyrzucała z siebie gorycz i rozczarowania ostatnich lat. Jej głos sprawiał, że w duszach słuchaczy odzywały się dawno zapomniane uczucia. W jej śpiewie odnajdywali własny ból, własne niepowodzenia. Poczuli łzy w oczach. Kitty śpiewała o tryumfalnym spotkaniu młodych kochanków i o tragicznej śmierci dziewczyny.

Anna uwielbiała głos cioci. Według dziewczynki nie było piękniejszego dźwięku.

Kiedy Kitty przestała śpiewać, wróciła codzienność, ale świat bez tego śpiewu wydawał się przez chwilę szary i nudny. Anna westchnęła głośno i uśmiechnęła się do ciotki.

- Przepięknie. - To pojawiła się Mary Rose. - Masz doskonały głos, kimkolwiek jesteś. - Drobną, władcza figurka zatrzymała się w połowie schodów.

- Jestem Kitty, ciotka Anny. - Kitty z powagą uściśnięła wyciągniętą dłoń. - A ty na pewno jesteś Mary Rose. Mój brat Daniel opowiadał nam o tobie.

Kitty polubiła Mary Rose, Anna widziała to wyraźnie. Ciotka promieniowała ciepłym niebieskim światłem.

- Gdzie twoja niania? - spytała Anna.

- Och, nie mam pojęcia. Pewnie szuka mnie po całym statku.

- Czy to pani tak pięknie śpiewała? - Z góry spłynął silny, męski głos.

Kitty podniosła głowę. Młody, zawstydzony mężczyzna uśmiechnął się do niej niepewnie. - Tak - odparła krótko. - To ja śpiewałam.

- Dzień dobry pani. Jestem ochmistrem na statku - zręcznie zbiegł ze schodów, uklonił się i zdjął czapkę. - Kapitan przesyła pani ukłony i pyta, czy nie zechciałaby pani wypić z nim filiżanki herbaty. - Zerknął na dziewczynki. - Może je pani zabrać jako przyzwoitki. Niania panienki Mary Rose na pewno się ucieszy, kiedy ją zobaczy. Za wszelką cenę starał się powstrzymać złośliwy uśmieszek. Oto Mary Rose Buchanan, najbogatsze dziecko w Irlandii, bawi się z najbiedniejszą dziewczuszką, jaką kiedykolwiek widział. Nie potrafiłby ocenić, która z nich wyrośnie na większą piękność: Mary Rose ze swymi ciemnymi włosami i zimnymi, fascynującymi oczyma, czy to typowo irlandzkie dziecko, złotowłose i niebieskookie.

- Chodźmy więc. - Przepuścił je przodem.

Kitty się zarumieniła. Żałowała, że nie zdąży się przebrać albo przynajmniej uróżwić policzków.

- Ciociu Kitty, wyglądasz prześlicznie - zapewniła ją Anna. Kitty się wyprostowała. Co za dziwne dziecko. Można by pomyśleć, że umie czytać w myślach.

Ruszyły za marynarzem. Mary Rose ścisnęła dłoń Anny. - Może kapitan poprosi twoją ciocię, żeby zaśpiewała dziś wieczorem w sali balowej. To by dopiero było wspaniale. Zapytam mamę, czy będziesz mogła przyjść.

Anna zerknęła na przyjaciółkę, która szła obok ochmistra i Kitty dumnym, pewnym krokiem właścicielki statku.

Nagle poczuła się uboga i brzydka. - Nie mam takich ładnych ubrań jak ty, Mary Rose.

- Nic nie szkodzi. Pożyczę ci coś mojego. I tak mam wszystkiego za dużo. Widzisz, tata zawsze przywozi mi mnóstwo prezentów. To pewnie dlatego, że mu głupio.

- A czemu mu głupio?

- Bo ugania się za innymi kobietami i wie, że ja o tym wiem.

- A twoja mama wie?

Mary Rose skinęła głową. - Tak. Ale bardzo kocha tatę, więc godzi się z tym, co on robi.

Anna pobiegła za ciotką. Była wdzięczna losowi, że ona sama, choć nie ma pieniędzy ani ładnych ubrań, ma rodziców, którzy widzą tylko siebie nawzajem. Ojciec kochał jedynie Mary, a ona nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę. W jakim dziwnym świecie żyła Mary Rose!

Kitty wracała pod pokład, mając dobre wiadomości. Zbiegała po stromych schodach tak szybko, że jej ładną, pulchną twarz pokrył rumieniec. Anna, która bardzo niechętnie rozstała się z Mary Rose, podążała za ciotką. Była tak szczęśliwa, że co chwila podskakiwała jak piłka do tenisa, której rytmiczne puk-puk na górnym pokładzie rozbrzmiewało w dolnym pomieszczeniu.

- Będę śpiewać w sali balowej - oznajmiła Kitty. - I, co więcej, nie musimy się już gnieździć w tej norze. Kapitan dał nam kajutę tylko dla nas! To dawna infirmeria. Jest tam łazienka i osobne łóżko dla każdego, wyobrażacie sobie?! Nie odpowiadali, zbyt zdumieni, by jej uwierzyć. Potem Mary i Biddy wybuchnęły płaczem. - Dzięki ci, Boże - modliła się Biddy.

- Zamknij się, durna babo. - Mężczyzna cuchnący tanią whisky patrzył na nie z niechęcią. - Co Bóg ma wspólnego z tą przeklętą łajbą?

Mary spojrzała na niego przelotnie. - Pakujmy się. Chodź, Anno. Pomożesz mi.

Kitty nerwowo zbierała swoje rzeczy. Ojciec O'Brian spokojnie, powoli układał swoje. - Bill, ochmistrz, da nam klucze. To taki miły człowiek. Szkoda, że już ma żonę. A kapitan jest piękny jak poranek w Mayo, ale głupotą byłoby wydawać się za żeglarza. Cały czas spędzałby na morzu i miałby dziewczynę w każdym porcie.

Marta uśmiechnęła się przekornie. - Ale przecież nie musiałabyś cały czas być mu wierna, prawda?

Kitty westchnęła ciężko. - Marto, Kearneyówny to najwierniejsze kobiety pod słońcem, czyżbyś o tym nie wiedziała?

- Wiem aż za dobrze. - Zaśmiała się smutno Marta. Wyprostowała się i wzięła od Anny ciężką torbę. - Dzięki Bogu, że się stąd wynosimy -mruknęła.

Daniel otoczył żonę ramieniem. - To prawda.

Pijany mężczyzna splunął głośno, kiedy go mijali. - Głupie baby -syknał.

- Durny Irlandczyk - odcięła się Kitty. Ojciec O'Brian zacisnął zęby. Kiedy bieda i smród zostały za nimi, Kitty zaczęła tańczyć. Po chwili

dołączyła do niej Marta, a zaraz po niej również Daniel, Mary i Anna. Ojciec O'Brian przyglądał się im z pobłażliwym uśmiechem.

Tanecznym pochodem dotarli na rufę statku. Ochmistrz czekał już przy drzwiach do ich nowej kajuty. - Domagam się bisu - zawołał. - Czy zawsze tak tańczycie?

- Bez przerwy - odparła Kitty. - To sprawa krwi Kearneyów. Sprawia, że gardło łaskocze tak bardzo, że musisz zaśpiewać, a stopy swędzą do tego stopnia, że chcesz podrapać je w tańcu.

Bill spojrzał na Kitty i nagle pożałował, że jego żona nie jest równie pełna życia. Och, była dobrą kobietą i doskonałą matką, ale nie tryskała energią, nie błyszczała jak Kitty. Marta promieniowała nieco słabiej, ale za to dziecko płonęło jak pochodnia. Jeszcze nigdy nie widział równie intrygujących oczu. Anna popatrzyła na niego i to pomogło mu otrząsnąć się z zadumy. To straszne, pomyślał, otwierając drzwi. Przecież ta mała może zaczarować człowieka.

Nagle zatęsknił za swoją spokojną, nudną żoną. Życie z Kearneyami to wieczny huragan.

Mary uśmiechnęła się do niego i wzięła Daniela za rękę. Ciekawie rozglądała się po infirmerii. Bill miał wrażenie, że to Mary łączy całą grupę.

Kitty i Anna wbiegły do kajuty. Marta poszła do łazienki. - Patrzcie, prawdziwa wanna! Zobacz, Mary!

Biddy, samotna i opuszczona, przysiadła na jednym z łóżek. - Jestem tylko starą kobietą z dala od domu w Mayo - poskarżyła się księdzu.

Kitty podbiegła do niej szybko. - Chodź, mammo. Przygotuję ci gorącą kąpiel. Wsypię trochę soli kąpielowej i poczujesz się, jakbyś miała milion dolarów.

- Raczej milion funtów - poprawiła Marta.

- Pójdę już. - Bill wycofał się uprzejmie. - Przyjdę po panią koło siódmej, dobrze, panno Kearney? - Kitty twierdząco skinęła głową. Kiedy zamykał za sobą drzwi, słyszał, jak Anna błaga o coś ojca.

- Dobrze, kochanie. Ale najpóźniej o ósmej masz być z powrotem. Będę czekał na ciebie przy schodach. - Daniel wyraził zgodę dopiero po naradzie z żoną.

- Cudownie - Anna była zachwycona. - Mary Rose pożycz mi jakąś

39

ładną sukienkę i buciki. Wiecie, że ona ma dziesięć par butów? To więcej niż miałam przez całe życie. - Spojrzała na matkę. - Och, mamusiu, nie miej takiej miny. - Z całej siły przytuliła się do Mary. - Wcale nie chcę takich ubrań.

Wolę być sobą. Mary Rose prawie nie widuje swojej mamy.

Mary się uśmiechnęła. - Kochanie, pewnego dnia dostaniesz wszystko, czego zapragniesz. Najważniejsze jednak, że przez cały czas możesz liczyć na naszą miłość. A teraz zobaczymy, w co ubierzemy Kitty. Ja mogę poświęcić koronkę od mojej najlepszej koszuli nocnej.

Kitty przetrząsała swoje tobołki. - Gdzieś tu mam starą czarną jedwabną sukienkę. Ostatni raz miałam ją na sobie na pogrzebie pana Thompsona - mruczała pod nosem. - Pamiętasz ten dzień, ojczy? - zwróciła się do księdza. - Grabarz był tak pijany, aż się bałam, że wpadnie do grobu.

Ojciec O'Brian wybrał dla siebie łóżko w odległym rogu kajuty. Machinalnie przytaknął słowom Kitty. Od kiedy utracił nos, bardzo się zmienił. Był nowym, innym człowiekiem. Zamiast lamentować nad Irlandią, rozmyślał o stojących przed nim wyzwaniach. Podniecała go myśl

o nowym życiu w nowym kraju. Do niedawna ciągle wracał w marzeniach do lat dzieciństwa. Zapatrzony w minione lata, nie wierzył w jakąkolwiek przyszłość. Dopiero cięcie angielskiej szabli uwolniło go z więzów przeszłości.

Wspomnienia opadły na dno oceanu. Ojciec O'Brian był wreszcie wolny. - Czy zapłacą ci za to śpiewanie? - zwrócił się do Kitty.

- Kapitan nie - odparła ze wzrokiem utkwionym w Mary, Marcie

i Biddy gorliwie przerabiających jej starą sukienkę. - Ale publiczność da mi napiwki, jeśli jej się spodoba to, co śpiewam. - Roześmiała się. - A ja zaśpiewam tak, że wszyscy będą płacić, bylebym nie przestała! I poprosiłam Billa, żeby zapakował dla mnie resztki z kolacji. Nie jesteśmy zarozumiali jak niektórzy, tak mu powiedziałam. Przecież jadaliśmy pomyje w złych czasach, a świnie w dobrych. A dziś wieczorem urządzimy sobie prawdziwą ucztę.

Serce Anny biło jak szalone. Oczywiście wyobraźni wciąż widziała lśniące czarne trzewiki Mary Rose.

**M**ary Rose, jej rodzice i Anna siedzieli przy jednym stoliku. Matka Mary Rose była piękną kobietą, piękniejszą nawet niż Frau Helena, niemiecka gwiazda filmowa, której zdjęcia Anna widziała w gazetach. Córka i matka były do siebie bardzo podobne, różnił je tylko kolor oczu: intensywnie niebieski u Rosaleen, a u Mary Rose - jasnozielony. - Do mamy masz się zwracać lady Roswell, a do taty: lordzie Roswell - tłumaczyła nieco wcześniej Mary Rose, podczas gdy Anna mierzyła liczne sukienki. Ku jej wielkiemu zadowoleniu, Mary Rose podarowała jej te właśnie buciki, o których marzyła. - Weź sobie wszystkie te sukienki. - Przyjaciółka wpychała kolorowy kłęb ubrań do torby. Teraz zaś Anna siedziała cichutko między prawdziwym lordem a jego żoną i z podziwem patrzyła na ciocię Kitty śpiewającą *Kołysanką z Con-nemara*. Ojciec O'Brian nie pochwałaby zapewne takiego repertuaru, jednak ta świadomość nie przeszkodziła Annie zachwycić się cudownym głosem ciotki. Jej śpiew sprawiał, że drżały kryształowe paciorki żyrandola. Kołysanka usypiała słuchaczy, ale klejnoty na piersiach kobiet i brylanty w spinkach mężczyzn zdawały się podejmować melodię, migotać blaskiem do taktu. Cała sala pulsowała muzyką. Miękkie krzesła wyściełane pluszem puszyły się dumnie, a Kitty śpiewała piosenkę za piosenką irlandzką balladę za balladą.

Annie chciało się płakać. Zerknęła na lady Roswell: matka Mary Rose nerwowo przygryzała dolną wargę. Nagle dziewczynka zrozumiała, że sytuacja zebranych nie bardzo różni się od położenia jej rodziny; ci tutaj

40

byli bogaci i sławni, ale i oni udawali się na emigrację, opuszczali kraj, który kochali. Z ciemnego kąta Bill, ochmistrz, przyglądał się śpiewającej Kitty. Wyczuwał jej szczerą radość i ciepło. Miał wrażenie, że uczestniczy w tajemnym religijnym obrzędku, w komunii między nią i zafascynowanymi słuchaczami. W ciągu ostatnich lat nauczył się lubić produkty nowoczesnego amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. Teraz dopiero poczuł, jak bardzo brakowało mu pieśni przodków. Szybko, zbyt szybko płynął czas; oto Anna musiała wracać do czekającego ojca. - Muszę iść - szepnęła do Mary Rose.

- Naprawdę musisz? Czy on nie może poczekać? - Przyjaciółka była wyraźnie rozczarowana. Ale Anna zaprzeczyła. - Nie mogę na to pozwolić. Martwiłby się



O mnie.

Mary Rose skinęła głową. - Dobrze. Spotkamy się jutro, prawda? W tym samym miejscu, o tej samej porze.

- Oczywiście. - Anna zsunęła się z miękkiego krzesła i sięgnęła po torbę. - Dziękuję, Mary Rose. - Wyciągnęła rękę do matki przyjaciółki

i dygnęła. - Dziękuję pani, lady Roswell.

Przez chwilę wydawało się, że kobieta nie wie, gdzie jest. - Wybacz, kochanie - zaszcebiotała wysokim, dziecięcym głosem. - Zamyśliłam się.

Anna podeszła do ojca Mary Rose. - Dobranoc panu, lordzie Roswell.

Uśmiechnął się do niej. - Twoja ciotka ma doskonały głos. Powiedz jej, że równie dobrego nie słyszałem od dawna.

Anna ruszyła do drzwi, nieświadoma zaciekawionych spojrzeń, które jej towarzyszyły. Setki oczu wpatrywało się w małą dziewczynkę o złotych lokach i wzroku pełnym szczęścia. Będę spała w moich bucikach, obiecała sobie, wychodząc z sali.

Obudziła się dużo, dużo później, kiedy Kitty opowiadała o wydarzeniach wieczoru. - I do końca podróży będę śpiewać - oznajmiła na zakończenie.

Anna z rozkoszą wciągnęła smakowity zapach. To jedzenie, uświadomiła sobie. Prawdziwe, dobre jedzenie. Usiadła na łóżku.

- Chodź do nas, Anno - zawołała Mary. - Urządzamy nocną biesiadę! Dziewczynka wysunęła się z ciepłej pościeli.

Nowe buciki wesoło

stuknęły o podłogę, kiedy Anna dreptała do łóżka ciotki. Z zachwytem spoglądała na sterty ciast i kanapek. Na talerzach pyszniły się homary w śmiesznym białym sosie i krewetki z Zatoki Dublińskiej. Ryby, skromnie zjadające swoje własne ogony, patrzyły pustym, martwym wzrokiem. Mary rozdawała talerze.

- Ojczy, czy nie przyłączysz się do naszej grzesznej uczy? - Kitty zerknęła na księdza.

O'Brian się uśmiechnął. - No, może to i jest pogańska biesiada, ale

45

zaraz pobłogosławię to jedzenie, które przecież jest darem bożym. -Podszedł do łóżka ubrany w długą nocną koszulę.

- A nie macie przypadkiem kropelki jakiegoś niezłego wina? - zainteresował się nagle.

- Drogi ojcze, mamy coś lepszego: nie tylko kropelkę, ale całą butelkę, i to nie niezłego wina, ale wyśmienitego szampana. Zdecydowanie najbardziej lubię pić Dom Perignon w nocy. Trzy rzeczy uwielbiam najbardziej na świecie, a jedną z nich jest właśnie szampan.

- Przestań paplać, Kitty - przerwała jej matka. - Usycham już z pragnienia, więc pośpiesz się z nalewaniem.

Anna obserwowała, jak Kitty rozlewa szampana do emaliowanych kubków. Uznała, że musujący napój dużo ładniej wyglądał tam na górze, podawany w kryształowych kieliszkach podobnych do tulipanów. Cieszyła się jednak, że będą pić go tutaj, wszyscy razem. Biddy głośno mlaskała, zającując kraby. Ojciec i ksiądz delektowali się doskonale przyrządzonymi kurzymi udkami, a Mary, Kitty i Marta opychały się bezami.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio bawiłam się równie dobrze - wyznała Kitty z pełnymi ustami. Okruszki beżów opadły na podłogę jak płatki śniegu. Dolała szampana do nadstawionych kubków. - Za nas. - Wstała. -Za rodzinę Kearneyów, która nigdy nie zejdzie na psy. Za naszych przyjaciół. - Uniosła naczynie do góry. Pozostali, porwani uroczystym brzmieniem jej głosu, również wstali i wzniesli kubki, nawet Anna wyciągała rączkę do góry. - Za nas i za tych, co z nami - Kitty mówiła głośno i czysto. Odrzuciła głowę do tyłu i opróżniła kubek.

- Amen - odparli.

- A tym, co przeciwko nam... - Kitty głośno splunęła na podłogę. Anna zrobiła to samo.

- Kogo to przeklinasz, Kitty? - Marta śmiała się pobłaźliwie.

- Tego wrednego dziada, który się nas czepiał, kiedy wychodziliśmy -odparła.

- Daj spokój. To tylko stary pijak. Chyba nie wierzysz w te pogańskie bzdury, co, Kitty? - Ojciec O'Brian był zdumiony. Za odpowiedź starczył mu błysk w jej oczach. - A może i wierzysz - mruknął, idąc do łóżka. Dzięki ci, Panie, że jestem księdzem, pomyślał już w pościeli. Kobiety to same nieszczęścia.

Anna zdjęła buciki, przetarła je i położyła pod poduszkę. W brzuszku przyjemnie ciążyło dobre jedzenie. Jutro znów zobaczy swoją przyjaciółkę Mary Rose. Szampan sprawił, że zamykały się jej powieki. Widziała mamę śpiącą na sąsiednim łóżku i wiedziała, że ojciec leży po drugiej stronie. Bezpieczna między dwojgiem ludzi, których kochała najbardziej na świecie, zasnęła głęboko.

## 11

Zamieszanie panujące na Ellis Island sprawiło, że Anna zapomniała o bożym świecie. Widziała, jak Mary Rose z rodzicami znika po drugiej stronie barierki. Nie dla nich twarde drewniane ławy hali dla pospólstwa. Obserwowała innych ludzi. Niektórzy płakali, załamani, bo odmówiono im prawa wkroczenia do Stanów. Widziała zwartą gromadkę kobiet i mężczyzn otoczoną przez strażników. Plotki rozprzestrzeniały się błyskawicznie; z ust do ust przekazywano sobie wiadomość, że to anarchiści

i terroryści. Stanowili zagrożenie dla amerykańskiej Ziemi Obiecanej. Niektórzy ostentacyjnie spluwali, przechodząc obok nich. Anna współczuła tym ludziom. Wyglądali bardzo sympatycznie i niewinnie.

Wyczuwała strach rodziców. Tylko ojciec O'Brian nie obawiał się niczego. Duchownych zawsze przyjmowano tu z otwartymi ramionami. Daniel, urodzony optymista, wierzył, że wszystko pójdzie dobrze. I tak właśnie się stało.

Małe mieszkanko, które wynalazł ojciec O'Brian, większość ludzi uznałaby zapewne za slumsy, ale Kearneyowie byli nim zachwyceni. W porównaniu z rudą w Irlandii trzy pokoje z łazienką wydawały im się wspaniałym apartamentem. Nie przeszkadzał im brak ciepłej wody. Anna tęskniła za świniami i psami, ale i na to znalazła się rada. Pewnego dnia Kitty, która pracowała w irlandzkim pubie, przyniosła do domu puchaty kłębek.

- Przyjechała tu aż z Chin, żeby zamieszkać z tobą - poinformowała Annę, podając jej malutką suczkę.

Ojciec O'Brian nie musiał długo czekać na nową parafię, ale co niedziela jadał u Kearneyów świąteczny obiad. Marta pracowała w szpitalu, gdzie opiekowała się starszymi ludźmi. Mary zajmowała się domem, a Daniel podejmował się każdej możliwej pracy. Każdego ranka Mary odprowadzała Annę do szkoły.

Ich dzielnicę zamieszkiwali głównie Żydzi i Irlandczycy.

W kieszeni płaszczyka Anna miała adres Mary Rose. Kiedy tylko tu się wprowadzili, napisała do przyjaciółki.

W dniu, w którym Anna po raz pierwszy miała iść do szkoły, Mary stała przy kuchni, smażyła boczek i mamrotała coś pod nosem. - Nie ma to jak dobry irlandzki boczek - oznajmiła, kiedy dziewczynka weszła do kuchni.

- Nie - Bidy się uśmiechnęła. - Ale już nie jesteśmy Irlandczykami. Teraz jesteśmy Amerykanie. - Ostatnie słowa wymówiła z przesadnie amerykańskim akcentem.

Anna bardzo szybko stała się stuprocentową Amerykanką. Od razu pokochała Nowy Jork i hamburgery. Nigdy do tej pory nie widziała tyle jedzenia. Nawet Mary zaokrągliła się od czasu przyjazdu, z czym zresztą było jej bardzo do twarzy.

Anna obawiała się pierwszego dnia w szkole. Wystarczyło jednak, by przypomniała sobie, że ma nowiutki piórniki, tornister i pachnącą gumkę do ścierania, i humor zaraz jej się poprawił. Daniel i Marta zarabiali całkiem nieźle.

Dzięki temu co tydzień rodzina oddawała się szaleństwu zakupów na targu, skąd przynosiła jedzenie i ubrania. Anna wierzyła, że w Ameryce wszystko jest możliwe.

Ojciec O'Brian opowiadał o nowych parafianach z miłością i szacunkiem. Wszyscy widzieli, jak bardzo się zmienił. Jego twarz promieniowała ciepłem i serdecznością. Kearneyowie niecierpliwie oczekiwali jego wizyt.

W pierwszym dniu szkoły podarował Annie elementarz. Od tego czasu co wieczór, już w łóżku, uczyła się dziesięciu nowych słówek. Daniel i Mary wcześniej wpoili jej podstawy czytania i pisania. W Irlandii niełatwo było o książki; dziewczynka nauczyła się czytać na starej Biblii rodzinnej. Wewnątrz Księgi wypisana była długa lista zmarłych członków rodziny. W chwilach zadumy Kearneyowie zastanawiali się, czy Seana i Raymonda też trzeba już zaliczyć do grona umarłych.

- Pośpiesz się. Chyba nie chcesz się spóźnić do szkoły - upomniała córkę Mary.

Anna szcztokowała włosy. Ostrożnie włożyła wypastowane czarne buciki. Miała na sobie jedną z sukienek, które dostała od Mary Rose.

- Kochanie, wyglądasz cudownie - oświadczyła Kitty. Siedziała przy kuchennym stole w koszuli nocnej, otulona długim jedwabnym szalem. Jednym z jej aktualnych wielbicieli był kapitan żeglugi. - Zawsze twierdziłam, że

niedobrze zadawać się z żeglarzami, ale ten daje mi jedwabie i perły, więc dla niego zrobię wyjątek - tłumaczyła.

Kitty często nie

48

wracała do domu na noc. Nikt nic nie mówił, ale zaciśnięte usta Biddy i ponura mina Mary zdradzały, że nie pochwalają takiego postępowania. Ilekroć wracała do domu, miała dla dziewczynki jakiś prezent. A Anna kochała ją i chciała się nią opiekować.

Tego ranka Kitty specjalnie została w domu, żeby towarzyszyć bratanicy w przygotowaniach do pierwszego dnia szkoły.

Kiełbaski się smażyły. Całe mieszkanko, ślicznie odnowione przez Daniela, wypełniał smakowity zapach. Anna kochała cały świat.

W szkole, która mieściła się trzy przecznice dalej, nie była jedyną nową uczennicą. Niecierpliwie ciągnęła za rękę Mary gotową przystanąć przy każdej wystawie.

- Nie mogę się przyzwyczaić do tych wszystkich sklepów - westchnęła. - I do tego, że mam pieniądze. To cud, Anno.

- Spóźnimy się - marudziła dziewczynka.

- Wcale nie, kochanie. Poczekaj. Kupię ci trzy nowe wstążki do włosów.

- Ale ja nie chcę, mamuśka. - Anna odpowiedziała jej, używając amerykańskiego slangu.

Mary się roześmiała. - Wygląda na to, że będę musiała przyzwyczaić się do tego słowa.

Przed szkolną bramą czekała już grupka nowych uczniów i ich rodziców. Jaskrawe dziecięce rysunki rozjaśniały ciemne ściany budynku. Jakie dorosłe wydały się Annie starsze dzieci! Spacerowały w małych grupach i rozmawiały. W gabinecie dyrektora stała obok Mary. Tuż przy niej ustawił się chudy żydowski chłopiec. Już wcześniej widziała go na ulicy, niedaleko domu. Zapytała wówczas Biddy, czemu chłopiec ma naleśnik na głowie.

Babcia wyjaśniła, że jest on Żydem, a Żydzi jadają mięso chrześcijan i piją ich krew. Anna była wstrząśnięta.

- I nikt ich nie aresztuje? - dopytywała się.

- Popelniają te zbrodnie w najczarniejszej godzinie nocy - odparła babcia. - I kradną niemowlęta z wózków.

I oto Anna stała obok chłopca, który zjadał niemowlęta i pił krew chrześcijan. No, z całą pewnością nie utył od tych dzieciaków, pomyślała i przysunęła się do matki.

- Ameryka to kraj wielkich możliwości dla każdego - nauczał dyrektor. - Tu, w naszej szkole chcemy, żeby dzieci i bawiły się, i uczyły równie intensywnie. Nie uznajemy kar cielesnych. Dobry nauczyciel nigdy nie podnosi ręki na

ucznia. Jeśli klasa rozrabia, to dlatego, że nie był w stanie zainteresować ich lekcją. - Uśmiechnął się do Anny. Co za urocza dziewczuszka. Dzieci irlandzkich emigrantów rzadko wyglądały równie schludnie i zdrowo. Anna wiedziała, że jest jej bardzo ładnie w marynarskiej sukience z szerokim kołnierzem i bucikach wyczyszczonych przez Martę do poły-

4 - Dwie drogi

49

Polysku. Nie mogła doczekać się chwili, w której zobaczy swoje nowe podręczniki. W końcu ruszyli do klasy. Niektóre dzieci kurczowo chwytaly się matczynych spodnie, ale nie chłopiec jadający chrześcijan. Szedł spokojnie, drobny i samotny, u boku wysokiej, potężnej matki. Kiedy zatrzymali się przed klasą, kobieta zalała go morzem nerwowych pocałunków. Annie zrobiło się żal ścisiskanego z całej siły chłopca. Przypominał jej zmokniętego kotka podczas burzy.

- Mam na imię Steven - wyszeptał, kiedy wchodzili do klasy - Czy mogę usiąść z tobą? - Pod pachą miał pudełko z lunchem.

Anna zerknęła niepewnie. - Co tam masz?

- *Kasza varniskes* i mleko.

- Mleko? - Anna nie potrafiła ukryć zdziwienia. - A ja myślałam, że wy pijacie krew chrześcijan.

Steven potrząsnął głową. Był jeszcze smutniejszy niż przedtem - To nieprawda.

- Anno - Mary przerwała rozmowę. - Przywitaj się z panią nauczycielką.

Dziewczynka dygnęła. - Dzień dobry pani.

Nauczycielka uśmiechnęła się pogodnie. W jej okularach wesoło odbijało się słońce. - Zwracaj się do mnie pani James. Czy to twój przyjaciel, Anno?

Dziewczynka uściśnęła dłoń chłopca. - Tak, pani James. To Steven. -VV myśli powtórzyła kilka razy, że musi porozmawiać z Bidy. Przecież babcia wszystko ile zrozumiała.

Usiedli w wolnej ławce na końcu klasy. Jednocześnie otworzyli pulpity i wymienili radosne uśmiechy. Z zachwytem wyjęli nowe komplety podręczników i po sześć grubych zeszytów w niebieskich okładkach -Aach - Anna gorączkowo przeglądała wypisy z literatury. Z lubością wdychała charakterystyczny zapach farby drukarskiej, kleju i papieru zapach nowej książki. Miała ochotę zlizywać słowa z papieru. Książki sprawiały, że zapomniała o bożym świecie.

Steven zerknął na nią kątem oka. W ręku trzymał podręcznik do arytmetyki. - Bardzo lubię rachunki - szepnął. -i już dużo umiem.

- A ja najbardziej lubię angielski.

- Anna i Steven, przestańcie gadać, proszę. Otwórzcie książki na strone trzynastej. Porozmawiamy dziś o dziełach wielkiego malarza Leonarda da Vinci.

Anna z przerażeniem patrzyła na tekst. Nie znała żadnego z wydrukowanych słów. Steven uśmiechnął się wyrozumiale. - To łacina - wyjaśnił i podniósł rękę.

- Steven, proszę, przetłumacz dwa pierwsze wersy.

## 12

Dni mijały szybko. Anna czytała wszystko, co tylko wpadło jej w ręce. Większość wieczorów spędzała przy kuchennym stole. Zmuszała całą rodzinę, by razem z nią odrabiała prace domowe. Steven pomagał jej w matematyce.

Nie lubiła ani odwiedzin w jego zimnym, sterylnym domu, ani jego rodziców, nadopiekuńczej matki i agresywnego ojca.

- Co za sikse sprowadziłeś do domu? - wykrzykiwał ojciec w kuchni. Słyszała go z salonu, gdzie siedziała na niewygodnej otomanie i zastanawiała się, czy wszystkie żydowskie domy są urządzone z równym brakiem gustu. Przeładowane wnętrza sprawiały, że Steven wydawał się jeszcze mniejszy i bardziej zagubiony.

Ostatnio często odwiedzał Annę, zawsze serdecznie witany przez całą rodzinę. Mary ciągle podsuwała mu talerze pełne jedzenia.

- Jedz, Steven, jedz. Musisz urosnąć, przecież straszny z ciebie chudzielec. Czym karmi cię mama?

Opuścił głowę. - Mama nie lubi gotować, pani Kearney.

- Nie lubi gotować? - Silny głos Kitty zagłuszył pozostałych. - Ha, skoro nie lubi gotować, to pewnie i za innymi rzeczami nie przepada. - Zaśmiała się.

- Cicho bądź, Kitty. Lepiej daj dzieciom po kawałku placka z jabłkami.

Kitty majestatycznie kroczyła przez kuchnię.

- Mężczyźni gotowi byli oddać życie za kawałek mojego placka. I nie tylko za moje ciasto, ha, ha, ha.



- To znaczy za co jeszcze, ciociu Kitty?

- Nieważne, Anno. I tak kiedyś się dowiesz - Biddy nie dała Kitty dojść do słowa. - No, a teraz weźcie się do lekcji, dzieci.

Kiedy dorośli opuścili kuchnię, Anna przysunęła się do Stevena.

- Słuchaj, czy ty wiesz, o co chodziło cioci Kitty? Zaczerwienił się. - Wiem, ale uważam, że to obrzydliwe.

- Co jest obrzydliwe?

- To.

- To znaczy co? - Nie dawała za wygraną.

- No, mężczyzna wsadza swój interes do dziurki kobiety, rusza się i w ten sposób robi dziecko.

- O Boże, to okropne. Nigdy tego nie zrobię.

- Ja też nie - zapewnił ją Steven. - Chodź, skończymy to zadanie.

- Skąd wiesz, że to właśnie tak?

- Bo widziałem moich rodziców. Kiedyś wszedłem do ich sypialni.

- I twój ojciec zrobił mamie dziecko?

- Nie, właśnie nie wiem, dlaczego.

W końcu Annę znudził ten temat i zajęli się pracą domową.

Następnego dnia otrzymała od dawna oczekiwany list. Przywiózł go szofer. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę i obserwowali, jak elegancki rolls-royce zatrzymuje się przed domem Kearneyów. Anna jak zwykle siedziała ze Stevenem w kuchni, kiedy Biddy wpadła zadyszana, by oznajmić, że przyszedł do niej Ust od Mary Rose. Szoferowi wolno przekazać go wyłącznie Annie do rąk własnych.

Jak na skrzydłach wybiegła z kuchni. Szofer uklonił się nisko. -Panienka Mary Rose zaprasza panienkę na herbatkę w sobotę po południu.

- Czy uważa pan, że mogę również przyprowadzić mego przyjaciela Stevena?

- Na pewno, panienko. - Zauważyła, że jego liberia i karoseria samochodu miały dokładnie ten sam szary kolor.

- Mamusiu, pewnego dnia kupię ci podobny samochód.

Mary przytuliła ją mocno. - Kochanie, nie zależy mi na drogich prezentach. Chcę tylko, żebyś była zdrowa i szczęśliwa, i o to się modlę.

- Steven! - Anna już wróciła do kuchni. Po drodze niecierpliwie rozerwała kopertę. Arkusik grubego, kremowego papieru upadł na podłogę. Mary Rose napisała kilka zdań pod imponującym herbem rodzinnym. „Zardzo za Tobą tęsknię. Nie mogę się już doczekać naszego spotkania”.

- Ty, Steven, też jesteś zaproszony. Czy to nie cudowne? Oboje przejedziemy się tym fantastycznym samochodem. W sobotnie popołudnie jednak Anna wsiadała do limuzyny sama. W piątek rozstała się z przygnębnym Stevenem przed drzwiami jego domu.

50

- Mama nie pozwala mi jechać! Mówi, że to szabas, ale moi rodzice nawet nie palą świec w ten dzień. Nie chcę się kłócić, bo jeszcze zabronią mi przychodzić do ciebie, a tego bym nie zniósł.

Anna ciągle miała przed oczyma jego smutną, bladą buzię. Nie mogła pojąć, jak rodzice mogą być równie niedobrzy dla własnego dziecka. Mama Stevena albo obsypywała go pieszczotami, albo zapominała o mm, a ojciec potrafił tylko krzyczeć. , .

Nawet te ponure myśli nie zdołały zepsuć jej szampańskiego humoru. W końcu miała na sobie nowe ubranie i to nie z bazaru, ale z prawdziwego dobrego sklepu. Długie już do pasa blond włosy spływały luźno spod czarnego beretu na czerwoną sukienkę. Z zachwytem zerknęła co chwila na jedwabne skarpetki i nowe buciki, które zrobił dla niej ojciec. A potem rozpięła błękitny płaszcz i usadowiła się wygodnie na głębokim siedzeniu obitym miękką pachnącą szarą skórą. Bawił ją widok innych samochodów, ustępujących drogi rolls-royce'owi, który z cichym szumem silnika przemierzał Piątą Aleję. .

Zatrzymali się przy bogato zdobionej bramie. Szofer wysiadł i powiedział coś do słuchawki. Chwilę później na ścieżce pojawił się mężczyzna w zielonym kombinezonie i skórzanym fartuchu.

- To Peter Jenkison, główny ogrodnik, panno Kearney.

- Główny ogrodnik? To ilu ich tu macie? \_ .

- Och nie wiem dokładnie, ale teraz chyba dwunastu. W lecie zatrudniamy dodatkowych. Pani Portney jest ochmistrzynią, a Perry -lokajem. Nikt z nas nie wie, jak naprawdę się nazywa, więc mówimy do niego po prostu Perry.

- A jak pan się nazywa? - zapytała Anna.

- James Stephens, panienko.

- Skąd pan pochodzi?

- Z Dorset, z południowej Anglii. Często tęsknię za angielską prowincją - Wiem dobrze, co pan czuje. - Wyglądała przez okno. - Ja też często tęsknię za moimi psami i świnkami, chociaż - westchnęła - w Nowym Jorku życie jest takie ekscytujące. Choćby te wysokie budynki, które mijaliśmy - one chyba sięgają nieba!

James zerknął na rozpromienioną twarz w bocznym lusterku. L.o za miłą odmianą po tym zepsutym bachorze Mary Rose, pomyślał. Jej już nie bawi. Miejmy nadzieję, że ta mała rozrusza trochę naszą damulkę. No, ale też Mary Rose to bardzo samotne dziecko. Ta zaś mieszka z kochającą rodziną. Nagle zapragnął się ożenić. Co u licha, skarcił się w myśli. I co jeszcze? Komu potrzebna kula u nogi?

Zatrzymali się przed imponującymi schodami z białego marmuru. Perry zbliżał się powoli i majestatycznie.

- Panią Mary Rose oczekuje panią w pokoju dziecięcym - oznajmił. Stał bez ruchu, a Anna wpatrywała się w niego bez słowa.

Nigdy jeszcze nie widziała żywego lokaja. Peny wyglądał wspaniale w zielonej liberii, białych rękawiczkach, z koronkowym żabotem pod szyją. – Co mam zrobić? - zapytała niepewnie, onieśmielona splendorem posiadłości.

- Proszę udać się za mną, panno Kearney.

On wie, jak się nazywam, a przecież wcale mu nie powiedziałam zdziwiła się bezgłośnie. Ruszyła za Perrym, nagle malutka i nieważna jak główka szpilki.

- Mary Rose, wyglądasz prześlicznie.

Mary Rose biegła w jej stronę przez duży kwadratowy pokój. Na podłodze leżał gruby, puszysty dywan. Koło okna stał olbrzymi koń na biegunach.

Mary Rose przytuliła się do Anny z całej siły. Miała łzy w oczach.

- Och, Anno, tak bardzo za tobą tęskniłam. Mam tylko nianię i guwernantkę. Nigdy nie wychodzę z domu, chyba że James zabierze mnie na zakupy. Mama i tata ciągle chodzą na przyjęcia. Zobacz, co wczoraj dał mi tatuś. - Machnęła ręką przed jej twarzą.

Dziewczynka zmrużyła oczy, patrząc na lśniące kamienie. - Co to? -zapytała, oszołomiona widokiem tyłu klejnotów.

- Ach, teraz widzę To zegarek.

Mary Rose uniosła wieczko, które zasłaniało cyferblat.

- Masz - powiedziała. - Nie chcę tego. Weź sobie.

- Nie, nie, Mary Rose. Nie mogę. Mama nie pozwoli mi go zatrzymać.

- Wez. Powiesz jej, że ja ci dałam - Mary Rose zdecydowanie kiwała głową - Zresztą, sama jej to powiem. Pojadę z tobą i wytłumaczę. Tęskniłam za tobą, Anno.

- Ja też. - Uśmiechnęła się. - Ale teraz, kiedy już się odnalazłyśmy nigdy nie stracimy się z oczu.

Za oknem przeleciał kruk. - Straciecie, straciecie, straciecie - krakał Anna zadrżała. Dopiero teraz spostrzegła ciemną aurę wokół Mary

Rose. Nie odezwała się.

Odległy szczeł szkła sprawił, że Mary Rose przerwała ciszę -

Chodźmy do mojej bawialni.

- Czy tylko ty mieszkasz na tym piętrze?

- Tak - odparła krótko. - Niania ma sypialnię wyżej. Tatuś ma romans z najlepszą przyjaciółką mamy, więc rzadko bywa w domu.

- Co to znaczy: „romans”?

- No, wiesz. Wkłada jej ten swój dyndający interes. Ona ma na imię Fneda. Jest naprawdę wstrętna i mamusia jej teraz nie cierpi. Mówi że to dziwka.

Annie zakręciło się w głowie. - Czy to znaczy, że twój tatuś chce mieć dzieci?

- Ależ skąd, głuptasie. To miłe uczucie.

- Skąd wiesz?

54

- Mamusia mi powiedziała. To takie jakby przyjemne omdlenie. Nie mogę się już doczekać.

- Ależ, Mary Rose. Musisz poczekać, dopóki nie wyjdiesz za męża.

- Wcale nie. Moja mama zrobiła to po raz pierwszy, kiedy miała szesnaście lat. Mówi, że jej pierwszy mężczyzna był najlepszy. Tatuś jest do niczego. Uważam, że powinna wziąć sobie kochanka, zamiast ciągle płakać i grać w brydża z przyjaciółkami.

Szły długim korytarzem, potem Mary Rose otworzyła drzwi. Anna zamarła na progu.

- To najpiękniejszy pokój, jaki widziałam w życiu - jęknęła zachwycona. Zdawało się jej, że wszędzie słyszy muzykę. - Muszę zatańczyć - oznajmiła.

Mary Rose śmiała się wesoło i klaskała. Ich płasy przerwało dopiero wejście pani Portney. Wtoczyła się do pokoju jak lokomotywa, sapiąc i dysząc. Zielona sukienka niebezpiecznie napinała się na pełnym biuście. Kobieta powitała Annę serdecznym uśmiechem.

- Panienska ze Starego Kraju, co?

- Tak, z powiatu Mayo, najpiękniejszego miejsca na świecie. - Zastygła w tańcu.

- Ja pochodzę z Killarney. Zna panienska tę piosenkę *Gdzie gory z morza powstają...* - zanuciła czystym, silnym głosem. - To o moich stronach. Bardzo, bardzo za nimi tęsknię - był to raczej szloch niż westchnięcie. - Jeszcze tam wrócę przed śmiercią. Nowojorczycy... -z dezaprobatą pokręciła głową. - Włosi są w porządku, ale ci Anglicy! To niedobrzy, brutalni ludzie. Nie to co Szkoci i Walijszczy, w których, tak jak i w nas, płynie dobra celtycka krew. - Postawiła tacę i zapaliła malutką maszynkę spirytusową. - Oto wasza herbata, dziewczynki. Czy mogłabym napić się z wami? Niania ma dziś wychodne, a zwykle razem pijamy herbatkę... . .

- Ależ oczywiście, pani Portney. Niedługo pojedę z Anną do jej rodziców. Bardzo się cieszę, że znowu ich zobaczę i jej ciocie Kitty i Martę. I jeszcze twoją babcie, prawda, Anno? A gdzie jest ojciec O'Brian?

- O, ma już swoją parafię. Wszyscy bardzo go lubią. Co tydzień przychodzi do nas na niedzielny obiad.

- Naprawdę? A czy ja też mogłabym się przyłączyć? Czy mogłabym jutro przyjść do was na obiad?

- Mary Rose - wtrąciła się pani Portney. - Nie wolno wpraszać się do kogoś. To świadczy o złym wychowaniu.
- Pani Portney, rodzina Anny jest mi równie bliska jak moja własna. Kocham ich wszystkich. I przynajmniej Anna nigdy nie jest samotna.
- Mam nowego przyjaciela. Nazywa się Steven. Jego też zaproszę na jutro.

Dziewczynki uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo.

W limuzynie Mary Rose nalegała, by przyjaciółka włożyła nowy zegarek. Anna wstrzymała oddech, kiedy poczuła na skórze chłodny dotyk metalu. - Och, Mary Rose! Jest prześliczny!

- Ty też. Pozwól, że ja sama wyjaśnię wszystko twoim rodzicom. Tym razem Anna czekała cierpliwie, aż James otworzy im drzwi.

Naciągnęła rękawy płaszcza na przeguby i przykryła zegarek. Czuła się winna, jak zwykle w obecności Mary Rose. Mary bardzo serdecznie powitała dziewczynkę.

- Jak to miło, że do nas przyjechałaś - zawołała z miękkim irlandzkim akcentem. Jej głos zawsze kojarzył się Annie z małym strumykiem płynącym koło ich zagrody w Irlandii. Był tak czysty, że nigdy nie omieszkała zaczerpnąć zeń wody. Mary była jak owo źródło, bijące krystaliczną wodą z głębi ziemi. Sprawiała, że świat był piękny i kolorowy.

Anna odmówiła kilka *Zdrowaś Mario*, byleby tylko mama pozwoliła jej zatrzymać zegarek. Wiedziała, że Daniel zgodzi się na wszystko. Prawdziwa władza spoczywała w rękach jego żony.

Mary wprowadziła dziewczynki do kuchni.

- Mary Rose, może zjesz z nami kolację? - zaproponowała. James, który obserwował ją uważnie, ponownie zapragnął ożenić się i mieć prawdziwy dom i rodzinę. Ale gdzie znajdzie drugi taki skarb jak Mary? Na pewno nie w Nowym Jorku. Kobiety w tym mieście są twarde i samolubne.

- Przyjadę po panienkę o ósmej - poinformował Mary Rose i wyszedł.

Kiedy wsiadał do samochodu, dostrzegł nadchodzącą z przeciwnej strony Martę. No, to dopiero piękna kobieta, pomyślał. Szybko otworzył okno.

- Może zechciałaby panienka przejechać się rolls-royce'em? - zaproponował.

W pierwszej chwili Marta, wyrwana z głębokiej zadumy, nie wiedziała, co się dzieje. Potem jednak rozpoznała szofera, który zabrał Annę na spotkanie z Mary Rose.

- Czemu nie? - James wyskoczył z samochodu i przytrzymał jej drzwiczki.

- Proszę wsiadać! Ruszamy w rajd po przecznicach!

- Po ulicach, nie przecznicach. To okropne amerykańskie wyrażenie.

- Bo też i ja jestem prawie Amerykaninem. - Zręcznie prowadził limuzynę przez zatłoczone jezdnie.

- Ja tam jestem Jjlandką i Irlandką zostanę do samej śmierci, chociaż Mary zmusza nas do mówienia po amerykańsku. Co za dzień dziś miałam! Umarła stara pani Welcome. Wielka szkoda, była uroczą kobietą. No, ale z drugiej strony, miała osiemdziesiąt cztery lata i czas było wyruszyć

56

w drogę. Sama ją umyłam i ubrałam, żeby chociaż w ten sposób okazać, jak bardzo ją szanowałam. Nie chciałam, by dotykali jej obcy. Wyglądała bardzo ładnie, zupełnie jakby spała.

James słuchał spokojnego, niskiego głosu Marty. Miała ciemne oczy pełne melancholii i długie, grube włosy, opadające na plecy ciężką falą. Nie promieniowała jak Anna, ale biło od niej ciepło. Wyczuwał, że nade wszystko pragnie spokoju.

Zbyt szybko zatrzymali się przed domem Kearneyów. - Panno Kearney...

- Proszę mówić do mnie: Marta - uśmiechnęła się do mego.

- A więc, Marto, czy nie poszłaby pani ze mną do kina w przyszłym tygodniu? Na Times Square grają bardzo dobry film z Charliem Chaplinem.

- Bardzo chętnie, pod warunkiem, że nie będzie pan nadużywał amerykańizmów - odparła ze śmiechem.

- OK. To znaczy, dobrze.

- Z wielką przyjemnością. A teraz dobranoc. - Po chwili zniknęła w drzwiach domu. .

Tanecznym krokiem wbiegła do kuchni. - Mam randkę w poniedziałek - zaśpiewała silnym kontraltem.

- Z kim? - zainteresowała się Kitty. Siedziała przy stole obok Mary Rose. - Mary Rose zostaje na kolacji. Już nie pozwolimy jej uciec. James przyjedzie po nią o ósmej.

- I to James zaprosił mnie do kina - dodała Marta.

- To fajnie - odezwała się Mary Rose. - Będę mu dokuczać przez całą drogę do domu.

- O, co to, to nie, mała damo. W dzisiejszych czasach trudno o dobrych mężczyzn, a James jest wręcz doskonały. Co masz na ręku, Anno?

Dziewczynka podciągnęła rękaw sukienki.

Pierwsza zareagowała Kitty. - Skąd to masz, dziecko? Czyżbyś obrabowała bank?

Policzki Anny były równie czerwone jak jej sukienka.

- Ja jej to dałam - wyjaśniła szybko Mary Rose. - Mam dużo zegarków, a ten mi się wcale nie podoba. Zresztą, brylanty bardzo pasują do Anny, bo ma jasną karnację.



W tym właśnie momencie do domu wrócił Daniel. Chwilowo zapomniano o zegarku, ale później, kiedy wszyscy zasiedli do stołu, Mary poważnie spojrzała na męża.

- Anno, pokaż tatusiowi zegarek.

Ponownie odwinęła rękaw i zapragnęła, by brylanty nie błyszczały tak jasno. Daniel popatrzył na Mary Rose. Zobaczył samotne dziecko, które nie miało wiele do zaoferowania, i zrozumiał.

- Pozwólmy Annie zatrzymać zegarek - poprosił żonę.

57

- Dziękuję, tatusiu! - Odetchnęła głęboko. - Och, Mary Rose! Nie mogę w to uwierzyć.
- Schowaj go do mojej komody, Anno - poleciła Mary. - Będiesz mogła go wkładać na wyjątkowe okazje. Anna promieniała.

## **18**

Z okazji piętnastych urodzin Anny Mary i Daniel zaprosili córkę i Stevena do teatru. Ciocia Kitty, od kilku lat żona impresaria Joe Rapillana, była gwiazdą Broadwayu, gdzie śpiewała stare irlandzkie ballady. Dla niego nie było to pierwsze, lecz piąte już małżeństwo, co bardzo niepokoiło Mary. Kitty jednak puszczała tylko oko do bratanicy.

- Już ja go nauczę moresu - twierdziła. - Wystarczy go karmić i chołubić, a będzie chodził jak szwajcarski zegarek.
- Doprawdy, Kitty. Nie przy dziecku - oburzała się Mary.

Teraz otulona białym gronostajowym futrem Anna wsiadała do samochodu. Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich lat. Ameryka wywarła szczególnie duży wpływ na Daniela. Rozkwitł jak kasztanowiec, którego korzenie po latach vegetacji odnajdują żyzną, płodną ziemię. Udało mu się zrealizować dziecięce marzenia i się nie rozczarować. Wykorzystywał każdą nadarzającą się okazję, a w tamtych czasach ich nie brakowało. Spryt, inteligencja i zręczne ręce sprawiły, że szybko zyskał opinię świetnego szewca. Była to klasyczna historia dzielnego imigranta: firma, u której początków leżały kuchenny stół i tanie narzędzia, a która potem rozrosła się w małą fabryczkę i sieć sklepów. Powodzenie sprawiło, że Daniel wyzbył się dawnej wiejskiej nieśmiałości. Jej miejsce zajęła ciepła, serdeczna otwartość na ludzi i świat. Swoją pogodą wzbudzał zaufanie u przyjaciół i współpracowników. W miarę jak umacniał się jego charakter, rosły jego zasoby. Wkrótce zainteresował się handlem nieruchomościami. Wydawało się, że Nowy Jork tylko na niego czekał. Nigdy nie dawał ponieść się chciwości. Na to nie pozwalało mu surowe wychowanie w powiecie

Mayo. Ta ostrożność i rozwaga ocaliły jego majątek podczas krachu na giełdzie w 1929 roku. U progu nowej dekady Daniel zbliżał się do mitycznego tytułu milionera.

Mary często żartobliwie szydziła, że sprzedał skromność za „dolce”. Zwracała się do niego „panie Danielu, sir”, podobnie jak oddani pracownicy. Jednocześnie jednak była bardzo dumna z tego, co osiągnął, i ciągle mu o tym mówiła. Pomagała mu we wszystkim, do czego się zabrał. Daniel często nazywał ją „przewodniczącą rady nadzorczej”. Ale w interesach Mary wolała pozostać bierna. Wystarczało jej, że mąż zwierza się ze swoich planów i uważnie słucha rad. Uważała, że powinna być mu przede wszystkim żoną, a nie współnikiem. W rodzinie Kearneyów podział ról był wyraźny: on panował w pracy, ona w domu. Mimo możliwości zerwania z tradycją, zostali na znanym gnicie. Mary stała się doskonałą panią domu, której ciepło i spokój wzbudzały powszechny szacunek. Promieniowała wrodzoną siłą. Żyła w całkowitej harmonii z mężem, choć każde z nich realizowało się na innym polu.

Wyprowadzili się z ubogiej dzielnicy. Także ojciec O'Brian objął nową parafię, ale nadal jadał u Kearneyów niedzielny obiad. Marta była szczęśliwą żoną Jamesa Stephensa, szofera Mary Rose. Dzięki temu dziewczynki spędzały razem dużo czasu.

Steven zdawał sobie doskonale sprawę, że tym goręcej rodzice zachęcali go do przyjaźni z Anną, im bogatsi stawali się Kearneyowie. Dla niego jednak była ona siostrą, nikim więcej. Nie znał prawie żadnych innych dziewcząt. Teraz, kiedy się wyprowadziła, widywał ją rzadziej.

Dziś, w jej urodziny, stał na ulicy, czekając na samochód. W rękę nerwowo ścisnął tom poezji Wordswortha. Dziewiętnasty lutego 1932 roku był wyjątkowo zimnym dniem. Steven przestępował z nogi na nogę i przeklinał matkę za to, że nie pozwoliła mu samemu wybrać ubrań na dzisiejszy wieczór. Wydawało mu się, że w garniturze i meloniku wygląda żałośnie. Czuł się jak miniaturowa kopia ojca. W ciągu ostatnich lat stale lekceważył jego wysiłki, by zmniejszyć dzielący ich dystans. Steven był delikatnym, nieśmiałym marzycielem i to właśnie Anna w nim kochała. Pragnął zostać botanikiem albo szefem kuchni. Czekanie umiłał sobie tworzeniem w myślach nowej wykwintnej potrawy.

Dostrzegł w końcu nadjeżdżający samochód i uśmiechnął się zadowolony.

Anna wyglądała prześlicznie. Jej błękitne oczy śmiały się w twarzyczce okolonej kosmykami złotych włosów. Uśmiechała się. Między pełnymi wargami połyskiwały równe białe zęby. Zabawnie zmarszczyła nos.

Daniel otworzył drzwiczki. - Wsiadaj, Steven - krzyknął.

Chłopiec wgramolił się do samochodu i wcisnął Annie w dłonie pięknie opakowaną książkę.

- Nie wiem, czy będziesz zadowolona z tego prezentu - mamrotał. -Ale jest tu twój ulubiony wiersz.

60

Była zachwycona. Mary wyjęła jej z rąk książkę i odłożyła na bok. -Otworzymy w domu, po kolacji - wyjaśniła. Mary Rose i Kitty czekają już na nas w teatrze. Pomyśl, Anno, jak wiele się wydarzyło, odkąd przybyliśmy do Ameryki. Wiesz, to chyba naprawdę kraj wielkich możliwości.

- Tak. - Anna patrzyła przez okno. - Spójrz, Steven, jak pięknie wyglądają samochody w świetle latami! - zamilkła. Przejeżdżali teraz przez dzielnicę, w której się wychowała. Ze zdumieniem przypominała sobie, że kiedyś te wąskie uliczki wydawały się jej rajem. Z nie mniejszym zdumieniem myślała o losach swojej rodziny, o tym, że powoli, z biegiem lat, znajdowali do nich drogę ci, których uważano za zmarłych. Raymond był w Teksasie. Przeżył masakrę urządzoną przez Anglików. Sean był księdzem w Albuquerque, w Nowym Meksyku. A Donald mieszkał w Bostonie, gdzie kierował znakomicie prosperującą firmą budowlaną.

Biddy bardzo się postarzała. Czekwała w domu. Siedziała przy kominku, otoczona troskliwą opieką pokojówki. Niemal całkowicie niewidoma, przeczuwała, że jej czas dobiega końca, i była wdzięczna losowi, że może uczestniczyć w piętnastych urodzinach wnuczki. W snach i na jawie często widywała swego męża. Także i teraz uśmiechał się do niej serdecznie. Przysunęła się do ognia. Z bliska widziała pomarańczowy żar na palenisku. Słyszała Bridget, pokojówkę, nakrywającą do stołu. Oczyma wyobraźni widziała swoich bliskich, jak zbliżają się do teatru, w którym wystawiano *Malowany las*. Udało nam się, mruknęła do siebie.

Tymczasem Anna opadła na skórzane oparcie i spojrzała na matkę. -Ludzie w tej dzielnicy nie wydają się zbyt szczęśliwi.

- Bo nie są - potwierdził Steven. - Ta okolica bardzo się zmieniła. Ludzie wprowadzają się tu i wyprowadzają się stąd bez przerwy. W ogóle nie opuszczam domu po zmroku. Pamiętasz, kiedyś wychodziłem od ciebie po kolacji i niczego się nie bałem. Teraz wszystko jest inaczej. Nieznajomi chłopcy zatrzymują mnie i pytają, czy jestem Żydem. Prawie nie bywam poza domem, chyba że odwiedzam ciebie albo idę gdzieś z rodzicami. Wszyscy nasi sąsiedzi to Żydzi. Żyjemy w strachu przed nowymi falami imigrantów. To nieprawda, że nie chcemy się zasymilować i dlatego trzymamy się razem. My po prostu nie mamy innego wyjścia, jeśli nie chcemy narażać życia. Spójrz - wskazywał ściany mijanych domów. -Widzisz? Widzisz te napisy? „Żydzi precz”.

Bez słów kiwała głową.

- Porozmawiajmy o czymś miłszym - wtrąciła się Mary. - Zaraz wyjedziemy z tej dzielnicy. Anno, przecież dzisiaj są twoje urodziny.

Dziewczyna podciągnęła rękaw sukienki. Roześmiała się głośno. -Spójrz, Steven, to zegarek od Mary Rose. Do dziś wkładam go tylko przy wyjątkowych okazjach!

Mary odetchnęła z ulgą. U boku Daniela musiała stawić czoło wielkiej nędzy i trudom na początku małżeństwa. Nie chciała, by ponure cienie

przeszłości zmałyły spokój jej ukochanego dziecka. Tak, czasy zmieniały się szybko.

Z Irlandii nadchodziły wieści o próbach zaprzestania walk. Wojna domowa, jaka wybuchła między dwoma frakcjami Sinn Fein, powoli wygasła. Takie przynajmniej wiadomości dotarły do Kearneyów, zawsze spragnionych informacji o kraju, który nadal nazywali ojczyzną. Ostatnio mówiło się o powstaniu niepodległego państwa - Irlandii, czy, jak chcieli nacjonaliści - Eire. Daniel jednak z cynizmem odnosił się do perspektyw trwałego pokoju. Nie wierzył, że politycy są w stanie to osiągnąć. Nie wierzył także, by Anglicy tak łatwo pogodzili się z utratą wpływów w Irlandii. I nigdy, ani w przeszłości, ani teraz, nie żałował, że zdecydował się na emigrację. Jediną rzeczą, która nie podobała mu się w Ameryce, była prohibicja. Ostatnio jednak mówiło się o anulowaniu Dwudziestej Pierwszej Poprawki, co pozwoliłoby dobrej irlandzkiej whisky popłynąć szerokim strumieniem. Mary spojrzała na dwie młode twarze. Byli pierwszym pokoleniem, któremu dane było dorastać w pokoju. Przeżegnała się szybko.

#### **14**

Anna z zachwytem rozglądała się po łoży, której ściany pokrywała gruba, mięsista tapeta. Wyobrażała sobie, że miniaturowi aktorzy występują nie na scenie, lecz na parapecie ich łoży. Zachichotała cichutko.

Dokoła wiercili się widzowie: kichali, kasłali i chrupali cukierki. Obserwowała ich ciekawie.

W sąsiedniej łoży siedział mężczyzna o plecach wyprostowanych gniewem. U jego boku zobaczyła. dwójkę małych dzieci wpatrzonych w scenę. Nie uśmiechały się. Ilekroć publiczność biła brawo albo parskała śmiechem, maluchy zerkały na twarz ojca, by się przekonać, czy jest bardzo zły. Nie uśmiechnął się ani razu. Obok niego siedziała także drobna, chuda kobieta. Anna westchnęła. Czuła bijącą od mężczyzny złość, która wzbudzała paniczny strach w kobiecie i dzieciach. Dlaczego jest taki wściekły, zastanawiała się. Po chwili zrozumiała. Wszyscy się świetnie bawią, ale on nie potrafi. Dla niego rozrywką jest cierpienie innych. Mary Rose usłyszała westchnięcie Anny.

- Nudzisz się? - zapytała szeptem.

- Nie. - Była zdumiona tym pytaniem.

- A ja tak. - W głosie przyjaciółki rozbrzmiewała agresja. - Jesteśmy za duże na przedstawienia dla dzieci.

Anna ponownie skoncentrowała się na spektaklu. Dziecko zabłądziło w malowanym lesie. Zieleń drzew zlewała się z brązami i ochrą leśnej ściółki, łączyła się w jedno z piosenką, którą śpiewało dziecko. Na chwilę zapomniała o Mary Rose i myślami podążyła ku drobnej figurce na scenie. Śpiew zawsze ją pociągał, sprawiał, że chciała się dołączyć. Ludzki głos

rozbrzmiewający nad bezludnym pustkowiem przypominał jej o dawno minionych, odległych latach w Irlandii. Opisywał mały strumyczek koło domu, zapach torfowego ogniska i smugi dymu spowijające wzgórza w powiecie Mayo. Nagła tęsknota wypełniła jej oczy łzami.

- No i czego ryczysz? - Mary Rose szturchnęła ją w bok.

Anna wytarła oczy chusteczką Bidy. - I tak tego nie zrozumiesz - odpowiedziała cicho. Zerknęła na Kitty i Martę. O tak, one by rozumiały, podobnie jak rodzice. Rozejrzała się po łoży. Od całej rodziny było ciepłe, złote światło szczęścia. W jego promieniach grzali się także Joe Rapillano i James. Tylko tuż obok niej czarna aureola tłumiła blask; otaczała ciemnym łukiem piękną, gniewną twarz Mary Rose. Przyjaciółka wydeła usta z pogardą. - Nie całują się - stwierdziła z rozczarowaniem.

Anna uśmiechnęła się łagodnie. - A cóż ty wiesz o całowaniu? Mary Rose zachichotała i w czarnej aureoli pojawiły się purpurowe promyki. - Całowałam się z Evanem - oznajmiła.

Anna była zdumiona. - Czy twoja mama o tym wie?

- Ćśś, dziewczynki - Mary przerwała ich rozmowę.

Zamilkły posłusznie, ale po chwili Mary Rose ponownie nachyliła się do ucha przyjaciółki. - Moja mama mówi, że nic nie szkodzi, jeśli trochę potrenuję - szepnęła, osłaniając usta dłonią.

Anna oparła się wygodnie i znów skoncentrowała się na przedstawieniu. Cieszyła się, że Steven był tak pochłonięty sztuką, że nie usłyszał słów Mary Rose. Anna do tej pory nie całowała się z nikim. Choć od wczesnego dzieciństwa wyczuwała, że fizyczna miłość istnieje, nadal nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego aktu, tak dosadnie opisanego przez Stevena i Mary Rose. Romantyczne marzenia o silnych ramionach ukochanego męża były zbyt cenne, by dzielić się nimi, nawet z Mary Rose. Bardzo często jej rewelacje sprawiały, że Anna czuła się zbrukana. Ostatnio zauważała chwile, kiedy między nią a Stevenem pojawiało się napięcie, delikatne drżenie w powietrzu. Sekunda wahania, kilka nie wypowiedzianych słów niknących w głośnej rozmowie. Znali się przecież tak dobrze. Pierwszy moment, kiedy Steven stawał w drzwiach, nagle onieśmielenie. To pewnie dlatego, że dorastamy, pocieszała się, gdyż za nic nie chciałyby utracić przyjaźni Stevena. Był jej przewodnikiem, jej światłem, a Mary Rose - jej ciemnością. Bez względu na to, dokąd Mary Rose prowadziła, Anna z wahaniem szła za nią. Walczyła z tym jak mogła, ale Mary Rose nadal ją fascynowała.

Wiedziała, że przyjaciółka się nudzi. Nie interesowało jej właściwie nic poza pieniędzmi, które miała, seksem, o którym ciągle mówiła, i władzą. Kiedyś wyznała Annie, że jej ojciec jest w prostej linii potomkiem irlandzkich królów. Jej największym marzeniem było wygnać Anglików i rządzić Irlandią.

Anna zerknęła ukradkiem na Mary Rose siedzącą w pluszowym, połączonym krześle. Ciemne włosy, upięte w kok połyskujący perłami i ametystami, uwydatniały bladość jej cery. Była dumna i władcza jak królowa i nagle Anna zobaczyła ją w innym czasie, wiele stuleci temu. Siedziała na drewnianym rzeźbionym tronie pośrodku wielkiej, ciemnej sali, a u jej stóp klęczał rycerz. Kazała mu wstać. W jego oczach Anna, która zajmowała miejsce przy niej, dostrzegła wściekłą, zwierzęcą żądzę. Przerażona, uniosła rękę do gardła. Zerknęła na Mary Rose, wykrzywającą wargi w dziwnym, zapraszającym uśmiechu. W tej właśnie chwili zawarły pakt, który miał je połączyć na wieki. Ale kim był mężczyzna? Anna nie знаła odpowiedzi na to pytanie, czuła natomiast, że po palcach spływa jej ciepła ciecz. Spojrzała na dłoń i zobaczyła krew. Nie była to jej krew...

Widownia zatrzęsa się od braw. Kurtyna opadła z głośnym szelestem. Wizja zniknęła, ale strach pozostał. Anna powoli wracała do rzeczywistości. Myślała, że sny i przeczucia, które miewała w dzieciństwie, były już przeszłością. Zerknęła na Martę. Ciotka obserwowała ją uważnie.

Pozostali Kearneyowie powoli wstawali z krzeseł i wkładali palta. Daniel śmiał się głośno. Anna podeszła do Marty, która rozmawiała z Jamesem.

- Miałam straszną wizję, ciociu.

- Wiem, kochanie. Nie było cię wśród nas.

Anna wiedziała, że nie wolno jej zdradzać innym, co widziała. Marta mogła być dumna z uczennicy. Przyszłość Mary Rose zależy wyłącznie od niej samej. Tylko ona może pokierować swoim życiem. Anna, dzięki swej wiedzy, powinna jednak być jej przewodnikiem. Urodziła się z niespotykanym darem, który teraz, po latach milczenia, odezwał się znowu.

Anna była szczęśliwa i smutna zarazem. Wiedzieć, ale nic nie mówić, to ciężkie zadanie dla piętnastolatki.

Milczała przez całą drogę do domu.

Biddy czekała na bliskich. Usłyszała kroki Anny i się uśmiechnęła.

Dziewczyna pocałowała staruszkę w policzek. Z bólem serca patrzyła na białe plamy katarakty zasnuwające jej oczy. Z przyjemnością wdychała znajomy zapach wody różanej, której Biddy zawsze używała. Uklękła przy fotelu, a chude, kościste jak szpony ptaka palce babci spoczęły na jej długich, złotych włosach.

Anna nie chciała nawet myśleć o dniu, w którym dusza Biddy opuści ciało i uda się na spotkanie Stwórcy. Cała rodzina pograży się w żałobie, ale nikt nie będzie cierpieł tak jak ona.



Babkę i wnuczkę łączyła jedyna w swoim rodzaju miłość, w której nie było miejsca na kłótnie i starcia. Anna bardzo szybko zrozumiała, że walcząc o niezależność, występuje przeciwko matce. A babka kochała

5 - Dwie drogi

65

Ja bezwarunkowo. Kochała ja taka, jaka była od momentu przyjścia na świat.

Wstała z klęczek. Już dość, pomyślała. Dość przebywania w wewnętrznym świecie. Czas iść na moje przyjęcie urodzinowe.

Niewidzialne drzwi zamknęły się cichutko i Anna wbiegła wesoło do jadalni, by przyłączyć się do biesiadników.

## 15

Kiedy Anna skończyła osiemnaście lat, Daniel zarobił pierwszy milion. W handlu nieruchomościami wykazał się tym samym sprytem i inteligencją, które pozwoliły mu odnieść sukces w przemyśle obuwniczym. Stał się znawcą; od razu wyczuwał prawdziwe piękno i dobry interes.

Na nowe mieszkanie dla swojej rodziny wybrał elegancki trzypiętrowy dom na Manhattanie, z oknami wychodzącymi na zielony Central Park. Mary całkowicie zmieniła wystrój wewnątrz, nadając pokojom specyficzną, przyjazną atmosferę, która sprawiała, że każdy czuł się tam jak u siebie. Nic dziwnego, że właśnie ten dom stał się głównym miejscem spotkań klanu Kearneyów.

Biddy nie wstawała już z łóżka. Wieczorami Daniel znosił ją na dół, do małego saloniku i sadzał w fotelu przy kominku. Zazwyczaj Anna przesiadywała tam razem z nią. Mary martwiła się, że jej piękna córka nie ma przyjaciół oprócz Stevena. Mary Rose na próżno usiłowała zaciągnąć przyjaciółkę na bale i przyjęcia wydawane przez śmietankę towarzyską Nowego Jorku.

- Wolę zostać w domu, z babcią - tłumaczyła Anna matce, obdarzając ją swoim czarodziejskim uśmiechem. - Mary Rose chodzi na wszystkie imprezy i potem opowiada mi co ciekawsze anegdoty. Dzięki temu bawię się dobrze, a jednocześnie nie umieram z nudów na kiepskim przyjęciu. - Nie dodała tylko, że Mary Rose zwierzała się jej także z upojnych nocy z kolejnymi kochankami.

Ramiona jednego wielbiciela szybko przestały jej wystarczać. Mary

Rose zdobywała Nowy Jork. Ekstrawaganckie miasto połowy lat trzydziestych zdawało się czekać właśnie na nią. Podbijała je z całym entuzjazmem i młodzieńczą werwą swego szampańskiego charakteru. W gazetach ciągle pojawiały się jej zdjęcia - pięknej dziewczyny o uwodzicielsko zmrużonych oczach, z wciąż nowym adoratorem. Nawet Daniel poczuł zaprawiony poczuciem winy przyływ namiętności, kiedy pocałowała go w usta pełnymi, czerwonymi wargami. Dotychczas tylko Mary darzyła go tą pieśczęcią. Choć czuł się winny, pochlebiał mu ten pocałunek. Drobne, krągłe piersi Mary Rose przyciśnięte do jego marynarki sprawiły, że nabrzmiały mu żyły na karku. Wiedział, że dopiero bliskość Mary pozwoli mu odzyskać równowagę. Mary stanowiła jego gwiazdę przewodnią. Jej obecność dawała gwarancję spokoju. Inne kobiety były, być może, piękniejsze od niej, ale Daniel wiedział, że w Mary odnalazł coś wyjątkowego I, przede wszystkim, to Mary była matką jego dziecka. To jej rozsądek i mądre kierowanie sprawiły, że Anna do tej pory zachowała pogodną niewinność. Nie chciał myśleć o dniu, w którym oczy córki stracą ten wyraz. Modlił się, aby mężczyzna, który zabierze mu Annę, okazał się jej godny i był w stanie zapewnić jej warunki, do których przywykła. Lata nędzy były teraz mglistym wspomnieniem. I tylko czasem, gdy na ulicach Nowego Jorku Daniel poczuł zapach duszonej kapusty z kotłów Armii Zbawienia, powracały dawno minione dni. Wiedział, że już niedługo zjawi się ktoś, komu córka odda serce. Już teraz kręciło się koło niej wielu mężczyzn. Ilekroć uczestniczyła w jakimś przyjęciu, fotografowie koncentrowali się na niej, oślepiając ją blaskiem fleszy.

Uważano, że Mary Rose i Anna to dwie najpiękniejsze dziewczyny sezonu. Choć tak różne, uzupełniały się wzajemnie. Twarz i sylwetka Anny obiecywały wielkie szczęście mężczyźnie, który ją zdobędzie. W jej uśmiechu widniała zapowiedź wiecznej pogody ducha. Szczere spojrzenie błękitnych oczu mówiło o nieskończonej miłości. Zdawało się, że wraz z Anną do pokoju wchodzi radość i życie.

Mary Rose była jej przeciwieństwem. Mężczyźni pragnęli jej od pierwszej chwili. W jej wolnym, kołyszącym chodzie i powłóczystym spojrzeniu spod współprzymkniętych powiek kryła się inna obietnica; nie ma życzenia, którego Mary Rose nie mogłaby spełnić. Jeśli się wstydzisz, me musisz wypowiadać go głośno: ona i tak wie, o co ci chodzi. Raz znalazłszy się w jej ramionach, nie potrafili od niej odejść. To ona ich rzuciła. Wówczas tułali się jak samotni żeglarze i tęsknili za utraconym rajem. Nie mogąc doń wrócić, chcieli zapomnieć. Ale czy nozdrza potrafią zapomnieć aromat płonącego maku? Czy porzucony nieszczęśnik odnajdzie w ramionach innej kochanki równie wielką rozkosz, zmieszana z bólem?

Mówiono, że mężczyźni zabijają się dla Mary Rose, i Daniel był skłonny w to uwierzyć.

Teraz jednak najwyższy czas znieść matkę do małego saloniku. Tego

wieczora szedł z Mary do opery. Zanucił pierwszą arię z *Cyganerii* i zachichotał. Oto Daniel Kearney idzie z żoną do opery. Któż by w to uwierzył wówczas, w Irlandii?

Trzaśnięcie frontowych drzwi zdradziło Annie, że rodzice wyszli. W domu nie było nikogo. Służący siedzieli w swoich pokojach. Anna ugotowała lekki rosół, a jako drugie danie postanowiła podać pstrąga w sosie z białego wina z ryżem i ze świeżymi szparagami. Biddy uwielbiała lekkostrawną kuchnię wnuczki, dlatego więc tego wieczora wyprawiły sobie małą ucztę. Na ten cel Daniel przeznaczył butelkę młodego białego wina.

Anna przewiązała włosy jedwabną chustką i narzuciła ciepłą, długą podomkę. W miękkich domowych pantoflach zbiegła w dół schodów. Już na półpiętrze usłyszała suchy trzask drewna na kominku w saloniku babci. Cały hol przyjemnie pachniał sosnowym dymem. Nagle z kominka wystrzelił snop iskier. Podniosła wzrok i zamarła, przerażona.

Naprzeciw niej, na ścianie, pojawił się cień. Miała wrażenie, że to iskry zmieniły się w ciemne plamy. Widziała wyraźnie małego ptaszka lecącego ku niebu. Anna nie wierzyła własnym oczom. Mrugnęła. Po chwili wszystko znikło.

Potrząsnęła głową, gotowa zlekceważyć całe zdarzenie, ale niepewność jej nie opuszczała. Była z nią w kuchni, skąd Anna brała półmisek z pstrągiem. Łapała ją za łokieć, klęła w serce, które biło jak oszalałe. Szeptala niezrozumiale, lecz groźne słowa do ucha.

- Coś złego się wydarzy - szepnęła Anna. - Mam nadzieję, że rodzicom nic się nie stanie.

Zabrała butelkę wina ze spżami. Kiedy drzwi zamknęły się głośno, jakby pchnięte niewidzialnymi dłońmi, podskoczyła nerwowo.

Zaniosła tacę do saloniku i się uśmiechnęła. Biddy siedziała wyprostowana w swoim fotelu. W jej oczach odbijał się blask z kominka. Anna postawiła tacę na niskim chińskim stoliku, który uwielbiała. Jako dziecko całymi godzinami potrafiła wodzić palcami po misternie rzeźbionym blacie. ^

- Świetnie dziś wyglądasz, babciu - powiedziała. - Może masz ochotę na kieliszek wina?

- Nie powiem: nie. - Biddy uśmiechnęła się do wnuczki. - Wiesz, dziecko, cały czas mam wrażenie, że spotka mnie dziś wielka przygoda.

Anna zatrzymała się w pół kroku. - Co masz na myśli, babciu? Przecież w domu nie ma nikogo oprócz nas. Co za przygoda?

- Nie wiem, kochanie. Od rana czułam się tak, jakbym miała w piersi małego ptaszka, który chce wydostać się na zewnątrz. - Kościste palce uderzyły w klatkę piersiową, imitując ruchy skrzydełek. - Wiem, że coś się stanie. I ty, i Marta wyczuwacie dużo rzeczy. Dzisiaj Kitty i Marta były

69

u mnie na herbatce. Kiedy całowałam je na pożegnanie, miałam wrażenie, że widzę je po raz ostatni. Jak myślisz, Anno, czy to może znaczyć, że umieram?

Dziewczyna uniosła pokrywę znad półmiska. Czowała, jak zamiera w niej serce. - Nie wiem, babciu. Nie mam pojęcia.

- Jej dłonie drżały. - Ale ty nie umrzesz, prawda?

Biddy się uśmiechnęła. - Cóż, kiedyś na pewno umrę, kochanie.

- Wiem. - W głosie Anny było wahanie. - Nie wiem, jak sobie poradzę bez ciebie. - Odłożyła pokrywkę na bok. Na półmisku leżała ryba otoczona zielonymi szparagami. - Może kawałek pstrąga, babciu? - Zmuszała się, by myśleć o sprawach codziennych.

- Bardzo chętnie, Anno. Wiesz, że od rana czekałam na twoje smakołyki.

Nagle pokój, ryba, babcia, wszystko wydało się Annie zupełnie normalne. Widzę strachy w biały dzień, skarciła się w myśli.

- Co będziesz robić jutro, babciu? - Dziewczyna usadowiła się wygodnie w fotelu i nałożyła sobie porcję pstrąga. Białe wino przyjemnie chłodzące szklankę z bułgarskiego szkła smakowało wybornie. Na kolanach czuła ciężar grubej serwetki z adamaszku.

- Nie wiem, kochanie. W moim wieku przyjmujesz to, co daje ci los. Jutro może nigdy nie nadejść, więc staram się, by każdy dzień był najpiękniejszym dniem mego życia. Modlę się co wieczór i dziękuję Bogu, że tyle dobrego spotkało mnie w życiu. Ale wiesz... - Przerwała, by wziąć do ust następny kawałek ryby. - Czasem myślę, że to dobrze, jeśli w życiu poznałaś cierpienie i widziałaś śmierć bliskich. Wiem, co to ból, i wiem, jak go pokonać. Wczoraj ojciec O'Brian wysłuchał mojej spowiedzi. Powiedział mi, że utrata nosa umocniła jego wiarę. Ja też doznałam bólu i cierpienia; zarówno tam, w Irlandii, i tu, zaraz po naszym przyjeździe. Za to teraz potrafię docenić wszystko, co mamy, i cieszyć się tym. Najbardziej jednak cieszę się tobą. Czy później zaśpiewasz mi kilka starych pieśni?

- Ależ oczywiście. - Anna dopiła wino. - Za ten wieczór - powiedziała - napiję się jeszcze, a ty, babciu?

Biddy potrząsnęła głową. - Nie mogę przywyknąć do wina - mruknęła. - Jeśli zna się smak i aromat guinnessa z beczki, to świństwo smakuje jak woda. Och, Anno! Był u nas w wiosce człowiek, który toczył beczki główną drogą do tawerny. A kiedy twój dziadek miał pensa, co, zapewniam cię, nie zdarzało się zbyt często, biegłam z dzbankiem do zajazdu. Zawsze miałam przy sobie czystą szmatkę, żeby osłonić piwo przed muchami. Wracałam do domu powoli, żeby nic nie rozlać, a potem my wszyscy, my i dziesięcioro dzieci... - Zamilkła na chwilę. - Nie, oczywiście,

że nie dziesięcioro, niektóre przecież odeszły, ale dla mnie zawsze były z nami. Być może ich ciała leżały w ziemi, ale dusze ucztowały z żyjącymi. -Zniosła się kaszlem. Wpatrzona w babcię Anna nagle zobaczyła tę scenę.

**70**

Oto w dużej izbie stoi młoda dziewczyna w czepku na głowie. W dłoni trzyma biały cynowy dzbanek. U szczytu długiego stołu siedzi potężny mężczyzna i się śmieje. Po obu jego stronach - siódemka dzieci, a wśród nich - dusze trójki, która odeszła na zawsze. Przy drugim końcu stołu siedzi ładna, uśmiechnięta kobieta. Odwraca się jak do zdjęcia.

- I podawaliśmy sobie dzbanek - opowiadała Bidy - aż wypiliśmy wszystko, do ostatniej kropelki. A wtedy odsuwaliśmy stół i tańczyliśmy, ach, jak tańczyliśmy, Anno.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnęła się wnuczka. - Chodź, babciu, zaniosę cię do pokoju muzycznego. Potem posprzątam naczynia. - Anna bez wysiłku wzięła staruszkę w młode, silne ramiona. Niosąc babcię do pokoju muzycznego, przekazywała jej część swojej siły.

Z całego domu Anna najbardziej lubiła ten pokój. Na środku parkietu królował dumnie fortepian Steinwaya. W powietrzu unosił się miły zapach pszczelego wosku. Mały kominiek wypełniał pomieszczenie ciepłym blaskiem ognia. Na ścianach połyskiwały złotem i srebrem grube tapety, przedstawiające gondole i kanały Wenecji. Kiedy przed laty Anna spędzała w tym pokoju długie godziny, ćwicząc gamy, wyobrażała sobie, że pewnego dnia także ona będzie patrzeć w gwiazdy lśniące nad Wenecją, wtulona w ramiona ukochanego, wsłuchana w pieśń gondoliera. Posadziła babkę w głębokim pluszowym fotelu, gdzie nie mógł dosięgnąć jej żaden przeciąg. - Co mam zagrać? - spytała.

- *Zabiorę cię do domu, Kathleen* - poprosiła Bidy. Znów trzymała się za serce.

Anna usiadła przy fortepianie z zasmuconą miną. - *Zabiorę cię do domu, Kathleen, gdzie twoje serce nie zazna bólu...* Jej silny, czysty głos wypełniał cały pokój. Dopiero w tej chwili zrozumiała, jak bardzo Bidy tęskniła za domem. Ona jedna, z nich wszystkich, spędziła w swojej małej wiosce większość życia. Nawet teraz, tak daleko od domu ciągle słyszała głosy męża i dzieci pochowanych na skromnym cmentarzu koło kościoła. Ojciec O'Brian i rodzina nie mogli jej zastąpić tego, co utraciła. W ostatnich latach mówiła prawie wyłącznie o przeszłości. Od pewnego czasu Anna widziała, jak terażniejszość i przyszłość tracą dla babki znaczenie. Teraz przeszłość była jej przyszłością. Nie interesowało jej to, co dzieje się teraz. Bidy szykowałą się do podróży.

Smutna melodia się skończyła. Anna zagrała pierwsze akordy *Danny Boy*. Babka siedziała bez ruchu, z dłońmi na kolanach. Głowa opadła jej na pierś. Jest zmęczona. Zaniosę ją do łóżka. Anna dokończyła piosenkę. Słowa pożegnania jeszcze wisiały w powietrzu. Podeszła do Biddy.

Zatrzymała się, jakby jakaś niewidzialna bariera nie dawała jej przejść. - Babciu? - Ciało zsunęło się w jej ramiona. Anna ostrożnie usadziła je z powrotem i uważnie spojrzała na drobną, dziecinną twarz, wygładzoną spokojem śmierci.

Biddy siedziała naprzeciw wnuczki jak duża lalka. Przez chwilę Annę



ogarnęło przerażenie, ale zaraz się uspokoiła. Biddy odeszła. Zaczęła się jej wielka przygoda.

Teraz popłynęły łzy. - W porządku, babciu - szlochała, tuląc staruszkę. - Wszystko w porządku. Zaniosę cię do łóżka, jak zwykle. Potem zadzwonię do ojca O'Briana. Nie martw się. Zajmę się tobą, dopóki rodzice nie wrócą. Potem przyjdą Kitty i Marta i znów będziemy wszyscy razem, jedna wielka szczęśliwa rodzina. Zaproszę Stevena i Mary Rose. Będziemy tańczyć i śpiewać, i cieszyć się twoim szczęściem, gdziekolwiek jesteś.

Zaniosła ją na górę, do sypialni. Ostrożnie ułożyła na łóżku i przykryła grubym wełnianym kocem. - Nie chcę, żebyś zmarła - szepnęła. Sięgnęła po Biblię i wsunęła ją między ukochane palce. Kiedy owijała dłonie Biddy jadeitowym różańcem, przypomniała sobie nagle wszystkie te lata, w których te ręce czesały ją, pieściły i gotowały dla niej.

Ucałowała je obie i wstała. - Idę zadzwonić do Kitty i Marty, i do ojca O'Briana, Będzie wiedział, co trzeba zrobić. Zawsze wie.

Dopiero kiedy odłożyła słuchawkę, poczuła ból. Nie sama śmierć powodowała cierpienie. Spodziewano się jej już od dawna. Nie, najbardziej bolała myśl, że babka musi sama spocząć w zimnym grobie. Biddy, która tak kochała słońce i ciepło, nie czuje ich już nigdy. Anna wiedziała, że ciało to tylko mieszkanie dla duszy, ale także to ciało darzyła miłością. Świadomość, że nigdy już nie zobaczy babci uśmiechu, nie usłyszy jej głosu, była nie do zniesienia.

Anna wróciła do pokoju zmarłej. Przysunęła krzesło do łóżka i zaczęła się modlić.

## 16

Wiele czasu minęło, zanim Anna ponownie mogła się śmiać. Wieczorami nie słyszała już pogodnego głosu babki. Drobną postać nie przesiadywała już w fotelu przy kominku. Z jej ust nie płynęły już słowa, na które wnuczka zawsze czekała, które były dla niej lepszym pożywieniem niż dania kucharza. W opowieściach babki czaiła się egzotyka. Jej słowa pobudzały do życia. Teraz cichy głos zamilkł na zawsze. Drobne dłonie, splecione na wieki, gniły w cmentarnej ziemi.

W pogrzebie uczestniczyła tylko najbliższa rodzina. Anna przetrwała uroczystość ze stoickim spokojem. Stała między rodzicami. Nie mogła mówić; żal ścisnął jej gardło. Pracownicy Daniela przysłali kwiaty i oto na trumnie piętrzył się stos ukochanych róż Biddy. Anna przyniosła jeden czerwony kwiat. Wrzuciła go do grobu w ostatniej, najgorszej chwili, kiedy grabarz zrzucił pierwszą łopatę ziemi. - Żegnaj, babciu - szepnęła.

W następnych miesiącach zamknęła się w sobie. Daniel schudł, bo pracował ponad siły. Mary starała się przywrócić wszystko do dawnego stanu. Kitty i Marta odwiedzały ich często. Nawet jednak stare piosenki wodewilowe

śpiewane przez Kitty nie wywoływały uśmiechu na twarzy Anny. Większość czasu spędzała w ogrodzie różanym, w towarzystwie Filipa, ogrodnika. Staruszek wyczuwał jej ból i pocieszał na swój sposób.

- Śmierć zabiera nas wszystkich - tłumaczył łagodnie. - Ale sztuką jest ją obłaskawić, tak, jak to zrobiła babka panienki. Bo, panienko Anno, samotnie się rodzimy i samotnie umieramy. Nie panujemy nad narodzinami, ale śmierć - to nasz ostatni występ i babka panienki o tym wiedziała.

Anna słuchała go uważnie. Uczyła się, jak przycinać róże. Nadchodziła wiosna i cały świat budził się do życia. - Nie wolno przesadzać sadzonek, dopóki nie wypuszczą trzeciego liścia - pouczał starszek. - A chryzantemy najlepiej wysiać między grządkami warzyw. Owady nie cierpią ich zapachu.

Kiedy lato rozpięło nad ogrodem swój złoty baldachim, rany w sercu Anny zaczęły się goić. Stary ogrodnik patrzył na nią z pogodnym uśmiechem.

Mary Rose nudziła się w towarzystwie przyjaciółki.

- Słuchaj! - Pewnego dnia wpadła do domu Kearneyów jak burza. - Musisz przestać się nad sobą uzalać. Zróbże coś sensownego, zabawnego. Na przykład strać dziewictwo. Zaczynam się za ciebie wstydić. To hańba mieć przyjaciółkę, która tego jeszcze nie robiła. Musisz przestać być dziewicą. To doprawdy nieprzyzwoite.

Anna nie odpowiedziała od razu. Zwykle zbyłaby uwagi Mary Rose dowcipną ripostą, tego dnia jednak nie miała siły na słowne utarczki. - Mary Rose, nie potrafiłabym oddać się mężczyźnie, który wziąłby mnie, zrobił swoje i odszedł.

- Tere-fere. Romans to fantastyczna sprawa. Poza tym, to ja zawsze odchodzę, nie oni.

- Wiem o tym. Ale sprawianie komuś bólu nie ma nic wspólnego z miłością. Moi rodzice na przykład kochają się zbyt mocno, by się kłócić. Jeśli ojciec jest zdenerwowany, matka go uspokaja. Wychowałam się w domu pełnym ciepła i miłości i chciałabym, by moje przyszłe małżeństwo było takie, jak związek moich rodziców. Co w tym złego, Mary Rose?

- Nic, oczywiście, że nic. Ale godzinami przesiadujesz z tym ponurakiem Stevenem. I nie widzisz świata poza książkami.

Anna się roześmiała. - Mary Rose, z twoich słów można by wywnioskować, że jestem samotna. Wiesz przecież, że to nieprawda. Mam dużą, kochaną rodzinę i ojca O'Briana. Steven i ja rozumiemy się doskonale. Za żadne skarby świata nie poszłabym z nim do łóżka, bo seks zniszczyłby naszą przyjaźń. Pewnego dnia spotkam odpowiedniego mężczyznę, wyjdę za niego i będziemy żyli długo i szczęśliwie, zobaczysz.

- Ależ ja ci wierzę, Anno. Tylko że to będzie takie nudne.

- Mylisz się, Mary Rose. Ani ja, ani moi rodzice nigdy się nie nudzimy. Ciągle jestem zajęta albo w kuchni, albo w ogrodzie. Teraz projektuję suknię balową dla mamy. Uszyjemy ją razem. Kupiłam przepiękny czarny aksamit i białe holenderskie koronki. Są prześliczne.

- Na Boga, Anno! Czasami mam wrażenie, że to nie ty, ale anioł wcielony!

- Daj spokój. Lepiej powiedz, co wprowadziło cię w taki zły humor? Kogóż to nie możesz zdobyć?

Nagle różowe usta Mary Rose wygięły się w podkówkę. Po chwili strumyki łez spływały po białych policzkach.

- Naprawdę świetnie to robisz, ale nie zapominaj, że na mnie twoje sztuczki nie działają.

Mary Rose uśmiechnęła się złośliwie. Z jej oczu nadal płynęły łzy. -Wiem, że nie, ale muszę ćwiczyć, żeby nie wyjść z wprawy. Nauczyłam się tego, kiedy byłam mała, a ojciec wracał do domu, pachnąc obcymi kobietami. Jezu, wił się z poczucia winy jak robak na haczyku. Nie, Anno, nie jestem w złym humorze. Wizyty u was zawsze poprawiają mi samopoczucie. Sprawiasz, że się uśmiecham. Jestem po prostu zła, bo nie bardzo mogę się dobrać do Justina Villiasa. Znasz go? Widziałam jego zdjęcia w gazetach. Mama nie pozwala mi z nim tańczyć. Twierdzi, że pochodzi z kiepskiej rodziny. Ale jest taki przystojny! Teraz jest z Virginią Arbuth-not, z tą angielską dziwką, ale wkrótce będzie mój.

- Twój, to znaczy chcesz iść z nim do łóżka?

- Owszem, czemu nie?

- Powiedziałaś to takim tonem, jakby chodziło o dodatkowy kawałek pieczeni.

- Doprawdy, Anno, masz sprośne myśli.

- Wcale nie. Po prostu mam wyobraźnię - sprostowała skromnie Anna.

Mary Rose spojrzała w jej rozmarzone oczy i po raz pierwszy zrozumiała, że kiedy Anna wreszcie spotka swego wymarzonego mężczyznę, odda mu się całkowicie. Nie będzie zapór, murów, zakazów, tylko gorące serce i ciepły dom czekający na strudzonego wędrowca. Zazdrościła Annie tej przyszłości. - Co byś zrobiła na moim miejscu, gdybyś chciała go odbić tej okropnej Virginii?

Zastanawiała się przez chwilę. - Zaprosiłabym go na własnoręcznie przyrządzoną kolację.

- Anno, wiesz przecież, że nie umiem gotować.

- Mam pomysł! Wyślij gdzieś rodziców i daj wychodne służbie, a ja przyjadę i ci pomogę. Będzie ze mną ciocia Marta, bo rodzice nigdzie mnie nie puszcza bez przyzwoitki, wiesz jednak, że z nią nie można się nudzić. Uważam, że powinnaś włożyć jakąś romantyczną, zwiewną sukienkę i na ten wieczór zrezygnować z makijażu. I, Mary Rose, nie wolno ci flirtować i się wymądrzać. Jesteś urocza taka, jaka jesteś.

- Czy powinnam zaprosić Virginię? Ona jest okropna. Patrzy na wszystkich z góry i straszliwie zadziera nosa. No, bo i ma co zadzierać. A wiesz, słyszałam od niej, że zasada, wedle której im mężczyzna ma dłuższy nos, tym ma większego... no, wiesz co, dotyczy także kobiet, z tym, że w naszym wypadku pożądane są małe rozmiary.

Anna zachichotała. - Jakie to głupie - stwierdziła po chwili. - Przecież liczy się nie wielkość, lecz jakość. No, w każdym razie twój Justin to niezły wybór. Natura hojnie go wyposażyła - parsknęła śmiechem, a Mary Rose poczerwieniała.

77

- Gdzieś ty się tego nauczyła, Anno?

- Od cioci Kitty. Miała tysiące kochanków, ale teraz się ustatkowała i nie szuka przygód poza własnym łóżkiem. Chyba dlatego Joe jest ciągle wyczerpany - stwierdziła figlarnie.

Jej śmiech cieszył Mary Rose. Chociaż od śmierci Biddy upłynęło już dużo czasu, dopiero niedawno kolory wróciły na policzki Anny. Mary zajrzała do pokoju zwabiona głośnym śmiechem.

- Mamusiu, gdybyś miała uwieść chłopaka, choć nie uważam, że byłabyś do tego zdolna - pośpieszyła z wyjaśnieniem Anna - co byś dla niego ugotowała?

Mary zerknęła na Mary Rose. - Znowu zakochana?

- Raczej napalona - poprawiła cierpko Anna.

- Pomyślmy. Tak, jako przystawkę podałabym homara w dobrym szampanie. Nie żaden rewelacyjny rocznik, ale niezły szampan, który podkreślałby delikatność homara. Ile osób zapraszasz?

- Niech się zastanowię. Czy mam towarzysza?

- Oczywiście - powiedziała Anna. - Przecież to jak poker.

- Grasz w pokera, Anno? - Mary Rose była zdumiona.

- Pewnie.

- No dobrze - Mary Rose już myślała o czymś innym. - Porozmawiam z ciocią Kitty. Tak. I zaproszę Martina Lowela. W jego żyłach płynie tyle błękitnej krwi, że nawet Virginia nie będzie mogła się przyczepić.

- Moja droga Mary Rose. - Matka Anny z trudem powstrzymywała uśmiech. - Ani ty, ani Anna nie macie się czego wstydzić. Wszak obie nasze rodziny pochodzą od królów Irlandii. Byliśmy cywilizowanym narodem już wtedy, kiedy Anglicy nadal ganiłi w skórach. A wracając do kolacji: następnie podałabym kurze piersi z białymi truflami i *foie gras*. Możesz ozdobić półmisek nadziewanymi pieczarkami z sokiem z cytryny i czarnym pieprzem. Jako danie główne najlepsza chyba będzie wołowa pieczeń z brukselką i pieczonymi ziemniakami. I pamiętaj: klucz do serca mężczyzny spoczywa w sosjerce. Najważniejsze sprzęty w kuchni to drewniana łyżka i sosjerka. Nie żałuj wina do sosu - weź najlepszy rocznik burgunda i zapraw go odrobiną mąki i masła.

A na deser... podałabym mus czekoladowy i bezy. Do tego dobrą brandy, kawę i kruche ciasteczka.

- Brzmi bardzo smakowicie.

- Kiedy zostawisz mężczyzn z cygarami i alkoholem, biegnij do sypialni położonej nad jadalnią i słuchaj co mówią, przez przewód wentylacyjny.

- Ależ pani Kearney! Jak pani może!

Mary uśmiechnęła się łobuzersko. - Moi przodkowie to doborowa kolekcja alkoholików i kryminalistów. Niewiele jest rzeczy, o których nie wiem i przez które nie przeszłam. - A przeszłam dużo, pomyślała. Była jednak szczęśliwa, bo w błękitne oczy córki wracało życie. - Anno, ojciec

79

właśnie dostał list od krewnych w Anglii. Mieszkają w Devon. Zapraszają nas do siebie. Bardzo mi się podoba ten pomysł. Zresztą Daniel już od dawna myślał o rozszerzeniu działalności także na Anglię. Czemu mamy kupować ich towary, skoro nasze są lepsze i o połowę tańsze?

- Święta racja. Ja też bardzo chciałabym pojechać do Anglii. - Anna objęła Mary Rose ramieniem. - Kocham Anglię, jej historię, jej architekturę. Żałuję tylko, że w tym pięknym kraju mieszkają Anglicy.

- Ależ, Anno - odezwała się Mary. - Anglicy to normalni ludzie. To bogacze są źli i prymitywni. Widzisz, my, Irlandczycy nie uznajemy podziału na klasy. Wszyscy żyjemy koło siebie. Anglicy zaś są zupełnie inni. Ale chyba i tak pojedziemy, co?

- Jeśli wy się wybieracie do Anglii, jadę z wami - zdecydowała Mary Rose.

- Dobrze. Ale teraz muszę już iść. Obiecałam ojcu O'Brianowi, że pomogę mu ustroić kościół kwiatami.

## 17

Virginia Arbuthnot zjawi się na pewno o kwadrans za wcześnie -stwierdziła Marta. Stała na środku kuchni Mary Rose. Dokoła piętrzyły się stosy talerzy. Marta przepasała się białym lnianym fartuchem, a włosy ukryła pod zbyt dużą kucharską czapą, która zawadiacko opadała jej na jedno oko. Anna i Mary Rose skręcały się ze śmiechu.

- No już, dziewczęta. Biegnijcie się ubrać. Sama tu wszystko skończę. Przyjmiecie gości w małym saloniku.

Przygotowałam dwa gatunki sherry i biszkopty. Słuchaj uważnie, Mary Rose! Tu masz talerz tartinek. Podasz to gościom, jak tylko się zjawią. Przy odrobinie szczęścia rozkochasz w sobie Justina już na początku!

- Wyobrażasz sobie, Anno? Może porwie mnie w ramiona i uniesie w siną dal...

- Nie udźwignie cię, głuptasie! Musiałby chyba wynająć dźwig!

- Ależ Anno! Jak możesz mówić coś takiego! Muszę iść obejrzeć się w lustrze. Jak mogłaś, zdrajczyń?! - Mary Rose wybiegła z kuchni. Anna puściła oko do Marty i ruszyła za przyjaciółką.

Sypialnia Mary Rose była duża i przestronna. Znajdowała się na końcu korytarza. Teraz, kiedy dziewczyna nie korzystała już z pokoju dzieciennego, zwolniono panią Portney.

- To dziwne - Anna obserwowała, jak Mary Rose wygina się przed lustrem. - Często myślę o twojej pani Portney.

- Tak? Ja nie. Naprawdę uważasz, że jestem gruba? O, do licha! Zobacz, tu, na brodzie chyba robi mi się pryszcz. Niemal czuję, jak rośnie. Spójrz, Anno.

80

Podeszła bliżej i uniosła podbródek przyjaciółki. - Nic nie widzę. Czy ty naprawdę nigdy nie wspominasz pani Portney?

- Nie. Przecież to tylko jedna ze służących. Służba przychodzi i odchodzi. Już jako dziecko nauczyłam się nie przywiązywać do służących, bo one wszystkie i tak znikają z mego życia.

Anna zajrzała głęboko w przepastne oczy Mary Rose. Daleko, w głębi widziała studnię niewypłakanych łez zamrożonych w czasie. W lodowych kroplach zaczęła pojawiać się twarz. Z początku nieostra, powoli stawała się coraz wyraźniejsza. - Mary Rose - szepnęła Anna.

- Co? Widzisz tam przyszłość, czy co? Potrząsnęła głową.

- Nie. Ale widzę kobietą twarz, bardzo bladą, otoczoną burzą ciemnych loków. Ta pani cię szuka, Mary Rose.

Dziewczyna milczała. Odsunęła się od Anny i odwróciła wzrok. - Skąd o niej wiesz?

- Widziałam ją w twoich oczach. Wiesz, że widzę więcej niż inni.



- Tak, tak, wiem. To Wiktoria. Była moją pierwszą nianią, potem matka ją zwolniła. Twierdziła, że to złodziejka, ale to nieprawda, Wiktoria nie ukradłaby nawet szpilki. Moja matka była zazdrosna, bo kochałam Wiktorię, więc się jej pozbyła. Zawsze szybko wyrzucała dobre nianie, a zostawiała te niemiłe i okrutne. - Głos Mary Rose był przesycony goryczą.

Nie po raz pierwszy Anna słyszała tę nutę w jej słowach. Wiedziała, że pochodzi z najczarniejszych zakamarków duszy Mary Rose. Bała się o przyjaciółkę.

- Czy naprawdę zależy ci na Justinie Villiasie, czy chcesz tylko utrzyć nosa Virginii, co?

- I to, i to. - Mary Rose zdejmowała sukienkę. - Nie spotkałam jeszcze odpowiedniego mężczyzny. Pragnę Justina, bo nie chcę wyjść z wprawy. - Zrobiła śmieszny minę. - No, idę się wykąpać. Możesz się przebrać w żółtym pokoju.

Anna zabrała swoją torbę i ruszyła długim, cichym korytarzem. Lor-dostwo Roswellowie bawili w Paryżu, a służący mieli wychodne. Dziewczyna zadrżała. Przytłaczała ją pustka wielkiego domu.

Odnalazła drzwi do żółtego pokoju. I ona, i Marta miały nocować u Mary Rose. James spał w małym domku na terenie posiadłości, ale Marta uparła się, że zostanie z Anną.

- Nie ufam temu Justinowi za grosz - tłumaczyła, kiedy mąż się sprzeciwiał. - Martin to miły chłopiec. Umieściłam ich obu w zielonym pokoju. Mam nadzieję, że Martin będzie miał oko na Justina. Virginia będzie nocowała tuż obok sypialni Mary Rose, więc pewnie jej dopilnuje. Tym sposobem nic się nie stanie, a ja się wyśpię.

- No, Mary Rose! Przecież mają tu być już za dziesięć minut. Ciocia Marta miała rację. Virginia na pewno przyjdzie wcześniej tylko dlatego, żeby nas zdenerwować.

- Zejdź już na dół, Anno. Otworzysz im drzwi. Ja muszę mieć efektowne wejście. Doprowadzisz ich do schodów, a wtedy ja zbiegnę z góry i Justin zobaczy moje kolana, bo uniosę suknię do góry. Mam dziś fantastyczne czerwone podwiązki, a ta suknia pięknie się układa, kiedy ją unoszę. Stój tam na dole, a ja przećwiczę zejście.

Anna posłusznie stanęła przy najniższym stopniu i podniosła wzrok na przyjaciółkę. - Wyglądasz naprawdę cudownie - oznajmiła.

Mary Rose trwała bez ruchu na szczycie marmurowych schodów. W długie ciemne włosy wplotła sznur drobniutkich pereł. Miała na sobie niepokojąco głęboko wyciętą kreację z czerwonego aksamitu. Pełne, mlecz-nobiałe piersi dziewczyny unosiły się i opadały w rytm oddechu. W pewnej chwili Anna poczuła ukłucie zazdrości. Sama miała na sobie skromną zieloną sukienkę z tafty. Jeszcze nie pozwalano jej na zupełnie dorosłe stroje.

- Gotowa? - zawołała z góry przyjaciółka.

- Tak jest! Ruszaj.

Zbiegła z pierwszych kilku stopni.

- O nie. Nie możesz tego zrobić. Widać ci majtki.

- To dobrze. - Nic nie mogło pozbawić Mary Rose pewności siebie. - Cieszę się, że wreszcie zobaczy je ktoś oprócz mnie. Dostałam je od ojca. Są uszyte z najczystszej jedwabiu, a koronka pochodzi z Włoch. - Podciągnęła sukienkę. - Widzisz?

- Mary Rose Buchanan! Co ty wyprawiasz? - Do holu wpadła Marta. - Natychmiast opuść tę sukienkę. No, coś takiego! - mruknęła. - Obie ślicznie wyglądacie - uznała. - Teraz ja idę się przebrać. - Wbiegła na schody w tej samej chwili, w której rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Mary Rose wróciła na szczyt schodów i przygotowała się do występu.

- Co za wariatka - szepnęła Anna. Otworzyła drzwi. Światło latarni oślepiło ją na chwilę.

- Witajcie, jestem Anna Kearney.

Virginia miała minę, jakby wyczuła nieprzyjemny zapach.

- Witaj, Anno - Martin uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. - Cieszę się, że cię widzę.

Anna zarumieniła się i spojrzała na Justina Villiasa, mężczyznę, dla którego wydawały kolację. Przywitał się z wystudiowanym uśmiechem.

Anna ledwo powstrzymała grymas niesmaku. Co też Mary Rose widzi w tym wymoczku? - zastanawiała się. Ohyda. Justin Villias był blondynem o niebieskich oczach. Otaczała go aura bogactwa.

Był typowym wytworem swoich czasów, wiernym odbiciem trendów panujących w wyższych sferach Ameryki. Urodził się w rodzinie dotkniętej bogactwem i powodzeniem. Przez dziewiętnaście lat swego życia ani razu nie pomyślał o kimś innym niż on sam. Nie była to jego wina, raczej

80

wpływ zbyt pewnego siebie, zbyt zamożnego otoczenia. W gruncie rzeczy, Justin był inteligentnym młodym człowiekiem, zdolnym współczuć i pomagać innym, w jego świecie jednak nikt nie oczekiwał od mego tych cech. Najważniejsze to dobrze się bawić. Justin bez problemów stosował się do tej zasady. Pewny siebie i przebojowy, znał wszystkie reguły towarzyskich gier. Był wyśmienitym tancerzem o zwinnych stopach i czarującym uśmiechu. Nosił najmodniejsze irorania, niemal zanim\*pojawiły się w sklepach Znał wszystkie drinki tworzone przez nowojorskich barmanów i usilnie starał się poznać, w biblijnym znaczeniu tego słowa, uroki wszystkich atrakcyjnych kobiet z towarzystwa. Pomagała mu w tym wysoka smukła sylwetka. Marionetka śmietanki towarzyskiej, był równie atrakcyjny dla kobiet, jak Mary Rose pociągająca dla mężczyzn. Mógłby jednak dawać o wiele więcej i na to zasługiwał. Kłopot w tym, że ani jego Środowisko, ani jego przyjaciele nie chcieli tego, co mógłby im zaoferować.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, spojrzał w górę. .

- Ach, moja piękna Mary Rose! - zawołał, podchodząc do schodów. - Wyglądasz prześlicznie, kochanie. - Podał ramię Virginii. - Czy dostaniemy w tym domu coś do picia?

- Oczywiście - Anna nie traciła głowy. - Tędy, proszę. Martinie, nalejesz? - Biedny chłopak, pomyślała. Nie ma żadnych szans. Zaprowadziła gości do salonu. Mary Rose pośpiesznie zbiegała ze schodów.

Usiedli przed dużym kominkiem. Choć nadchodziło już lato, wieczory nadal były chłodne. Martin nalewał sherry, Anna podawała zebrany krysztalowe kieliszki. .

Justin upił łyk alkoholu. - Hm - z namaszczaniem smakował sherry. -Portugalska. Doskonały rocznik. Mary Rose, twój ojciec ma bardzo dobry gust.

Mary Rose patrzyła na Martina. - Mój drogi, opowiedz, co u ciebie słyszeć? Długo się nie widzieliśmy. .

Martin promieniał. Kiedy Mary Rose uśmiechała się do mego, świat stawał się piękniejszy. Nigdy wcześniej nie był zakochany. Teraz dopiero odkrywał, co to miłość. Z miłości gotów był słać Mary Rose swój płaszcz pod nogi, byle tylko nie przeziębila delikatnych stóp. Miłość sprawiała, że zapominał o jedzeniu, zasłuchany w jej głos. Miłość

sprawiała, że zwijał się ze śmiechu, choć inni jedynie uprzejmie wykrzywiali usta. Miłość sprawiała, że potrafił tańczyć na ulicy, tak po prostu, ze szczęścia.

Wszystko to było dla Martina miłością. To i jeszcze dzieci. Synkowie z przepastnymi oczami Mary Rose i córeczka z jej pełnymi ustami. I on sam, ogrzewany ciepłem jej ciała, śpiący na jej piersiach. Jakim cudem jej skóra była tak miękka i jasna, jej talia tak wąska? Bóg zapewne włożył mnóstwo wysiłku w stworzenie Mary Rose. .

Martin wyczuwał napięcie przy kolacji. Odwieczna męska intuicja, zmysł myśliwego i zwierzyny zarazem, ostrzegał go, że Mary Rose chce uwieść Justina. Ten jednak pragnie zdobyć Annę, jak zorientował się

6 - Dwie drogi

81

Martin. To zaś mu się nie podobało. Wiedział, że Anna jest niewinna i należy ją chronić. Choć bardzo kochał Mary Rose, był świadom, że poradzi sobie sama.

Ukradkiem obserwował Justina, który to wyczuł i posłał mu krzywy uśmiech. Martin nie wiedział, co robić. Jeśli powie Mary Rose, że Justin jest zainteresowany Anną, sprawi ból ukochanej. Z drugiej strony nie śmiał ostrzegać Anny, bo nie miał żadnych dowodów na prawdziwość swoich przypuszczeń. Pewne nadzieje wiązał z Martą, ale nie znał jej i nie wiedział, czy może na niej polegać.

Marta nie odrywała wzroku od Justina. Po raz kolejny podziękowała losowi za to, że wyszła za spokojnego, prostego Jamesa. Mężczyźni typu Justina pasowali do takich kobiet jak Virginia Arbuthnot, którą zadowalał byle żigolak.

Jej arystokratyczny nos był długi i ciągle wilgotny, jakby była przeziębiona. Miała wysoki, nosowy głos i szerokie biodra. Od dziecka jeździła konno. Nieco później liczni mężczyźni zaczęli ujeżdżać ją. W tej chwili czubek jej nosa wskazywał Annę. - Podobno wybierasz się do Anglii? - Wysoki, wiedźmowaty głos zagłuszył inne rozmowy. -

Powinnaś zabrać ciepłe ubrania. - W jej stalowych oczach czaiła się zazdrość. - Polujesz?

- Nie, nie. - Anna uśmiechnęła się uprzejmie. - Przeraza mnie pomysł zabijania tak pięknego zwierzęcia jak lis tylko dla sportu.

- Och, nie wygłupiaj się. Wy Amerykanie jesteście wszyscy tacy sami; przypominacie rozhisteryzowane pudle.

- Tak naprawdę jestem Irlandką. - Anna jednym haustem opróżniła swój kieliszek. - A teraz wybaczcie, muszę was opuścić. Idę pomóc w kuchni. Uśmiechnij się, Mary Rose. - Puściła do niej oko. - Ciociu, idziemy. Chyba już czas, by służba wróciła tam, gdzie jej miejsce. - Parsknęła gorzkim śmiechem.

- Co za suka - syknęła Marta, kiedy już schroniły się w kuchni.

- Okropna - zgodziła się Anna. - Ale wiesz chyba, że nie może mieć dzieci?
- Tak, widziałam szary cień na jej podbrzuszu.
- Wiedzie ponure życie, wypełnione jedynie wykorzystującymi ją i bijącymi mężczyznami.
- Tak, ale sama je sobie wybrała. Jest bogata i samodzielna, więc nie można jej porównywać do owych biednych kobiet, które nie mają dokąd odejść od swych prześladowców. Obawiam się, że Mary Rose czeka podobny los.
- Och, nie martw się, ciociu. - Wyraźnie poprawił się jej humor. Sięgnęła po śmietanę i ostrożnie dolała ją do koralowego sosu.

Po wyjściu Anny Justin rozejrzał się po pokoju, jakby czegoś brakowało. Nigdy wcześniej nie odczuwał niczego podobnego. Miał wrażenie,

że na czystym chłodnym kominku serca poczuł pierwszy pocałunek ognia. Oczywiście muskały go już iskry drobne i wątle w Grecji, duże i silne na bezkresnych równinach Afryki. Na wielu plażach świata kochał się z chętnymi dziewczętami i kobietami. Nigdy jednak nie doświadczał takich uczuć jak teraz. Tego wieczoru było bardzo łatwo go zranić. Gdzieś w głębi jego umysłu mały wrażliwy chłopiec chciał się uwolnić. Justin przywykł już do wszystkich Mary Rose tego świata. Wiedział, że dziewczyna chce go wciągnąć w skomplikowane gierki i układy. Do niedawna bawiły go takie podchody. W Annie jednak wyczuwał ukrytą energię. Miał wrażenie, że ona chwyta życie pełną garścią, przyjmuje je takim, jakie jest, i upiększa świat dookoła siebie. Zdawał sobie sprawę, że wiele osób uznałoby Annę za osobę nudną, on jednak ożywał w jej obecności. Po raz pierwszy odczuwał tak silny dreszcz emocji. To było jak dosercowy zastrzyk szampana, niosło wyżej niż heroina. Znał ją dopiero od kilku minut, ale już pragnął złapać ją, złowić jak pstrąga, chciał patrzeć, jak się zwija w ostrym świetle wśród szkockich wyżyn.

Ukryte we mgle góry. Szkocja, daleka obietnica miłości. Zobaczyć jej oczy w chwili pierwszego pocałunku, a potem śledzić niewinność unoszoną odpływem. Anna mogłaby umrzeć z miłości. Mary Rose - zostać zamordowana. Na tym polegała różnica między mmi.

Łączyło je pokrewieństwo duchowe. Były siostrzanymi duszami. Ochraniały się wzajemnie, ilekroć się spotykały, rozstawały się i znów spotykały. Poszukiwały się od stuleci. Bóg zdecydował o ich przyszłości, zanim stworzył świat. Przeznaczeniem Anny było posłuszeństwo, ale zawsze miała mieć prawo wyboru. Do tej pory podporządkowywała się swemu losowi. Mary Rose uczynił przywódczynią, przewodniczką na dobre i złe. Dotychczas zawsze wybierała drogę po lewicy, więc przeznaczenie rozdzielało ją i Annę. Ciągle nie potrafiła zrozumieć, że największe szczęście daje harmonia i pokój.

Mary Rose, która zauważyła, że Justin nie poświęca jej tyle uwagi, ile powinien, dała znak i wszyscy przeszli do jadalni.

- Dałam dziś służbie wychodne - paplała wesoło - i gotowałam od samego rana. Marta i Anna nadają potrawom ostatni szlif. - Weszli do wielkiej jadalni. Na dużym stole pysznił się serwis z najcieńszej porcelany. Złota zastawa połyskiwała w świetle ognia. Płomienie odbijały się w kryształowych kieliszkach. .

- Jakież to wulgarne! - Virginia stanęła w drzwiach. - I amerykańskie! Chyba się ze mną zgodzisz, Justinie?

- Ależ oczywiście. - Nie mógł nie dokuczyć Virgmu. - Wszak jesteśmy Amerykanami i kochamy wygody. Dzięki temu przynajmniej mamy działające ogrzewanie i kible.

- Ubikacje, kochanie, nie kible. To takie prostackie.

- Przecież ja jestem prostakiem, Virginio. Jestem Amerykaninem, me zapominaj o tym.



Zachnęła się.

- I myjemy się - dodał złośliwie Justin, przypomniawszy sobie ^obrzydzeniem nieświeży zapach jej ciała i okropny zwyczaj pierdzenia

Mary Rose była zadowolona. Wieczór zapowiadał się dosyć interesująco. - Usiądziesz po mojej prawej stronie, Justinie. Będiesz dziś gościem honorowym. Marta usiądzie po lewej stronie, a Virginia i Martin u szczytu stołu. Marta i Anna wniosły do jadalni tacę z przystawkami. Na srebrnym półmisku leżały homary. Z ich czerwienią kontrastowała zieleń pietruszki Żółte cząsteczki cytryny lśniły perełkami soku.

Justinowi ślina napłynęła do ust. Marta niosła butelkę szampana.

- Ojej - Mary Rose spojrzała na Martę z prośbą o ratunek. Zapomniała swojej tak dobrze przećwiczonej roli.

- Tatus - bezgłośnie poddała Marta.

- Ach, tak. Tatus.- Mary Rose odetchnęła z ulgą. - Tatus przywiózł kilka skrzynek Veuve Clicquot Ponsardin.

Właśnie ten gatunek wybrano szampanem roku. Tatus kupił go, kiedy pojechał do Walii na wyścigi

- Do Szkocji, kochanie, do Szkocji. I co jeszcze? Boże, ależ z was prostacki naród. To niesmaczne. - Takt i delikatność wyraźnie nie leżały w charakterze Virginii Arbuthnot. Mary Rose zamilkła. Nie wiedziała co odpowiedzieć.

- Czy zawsze jesteś taka wstrętna? - Anna ostrożnie postawiła półmisek na stole.

- Dokuczanie innym to jej hobby. - To Justin odpowiedział na jej pytanie - Uważa, że skoro jest tak bogata, nie musi się nikim przejmować.

- Virginio - Anna poważnie spojrzała na Angielkę. - Nie obchodzi mnie czy jesteś bogata, czy nie. Jeśli jeszcze raz powiesz coś przykrego pod dachem Mary Rose, poproszę cię o opuszczenie tego domu. Zrozumiałaś?

Oczy Virginii się rozszerzyły. - Czy ty mi grozisz? - Jej głos drżał

- Nie, Virginio, me grozę. Obiecuję. Więc zamknij się, jak mawiacie wy, Brytyjczycy.

Marta parsknęła śmiechem. - Bardzo dobrze, Anno - pochwaliła bratanicę. - Martinie, otwórz butelkę. Mam ochotę na dobrego szampana a ty, Mary Rose?

- Podam homary. - Dziewczyna zerwała się z krzesła i sięgnęła po półmisek.

Justin nie czuł nic nawet wtedy, gdy piersi Mary Rose niemal dotykały jego policzka. - Piękna Mary Rose, czy rzeczywiście sama to wszystko przygotowałaś? To bardzo miło, że Anna i jej ciotka zgodziły się nadać potrawom ostatni szlif, prawda? - Uśmiechnął się do niej. Jego instynkt kobieciarza mówił mu, że Mary Rose nie kiwnęła palcem. Kobiety gotują tak, jak się kochają. Mężczyźni uprawiają miłość i zapominają o sprawach



przyziemnych. Natomiast w kobietach to domowe ognisko rozpala płomień namiętności. Zapach homarów skojarzył się Justinowi z Anną, z pięknym, nagim ciałem.

Martin nie myślał o Annie; całą jego uwagę przyciągała Mary Rose. Wiedział, że do siebie nie pasują. Nie był sybarytą. Wychowano go w purytańskim duchu prezbiterianizmu. Wyrzeczenie się wygody i luksusu było jego sposobem na życie. Dla Mary Rose seks to zachcianka, apetyt, który należy zaspokoić, podobnie jak łakomstwo, nie myśląc i nie czując. Kochał ją całym sercem, ale wiedział, że pewnego dnia spotka miłą, spokojną dziewczynę i wyprowadzi się na wieś. Będzie spacerował z dziećmi i żoną, miękka i uległa jak wosk. Życie będzie płynęło powoli i leniwie, aż pewnego dnia Martin spocznie na wiejskim cmentarzu. - To był dobry człowiek. - Niemal słyszał szepty sąsiadów. - Tak, dobry człowiek, który umarł z nudów - mruknął do siebie.

Zerknął na Mary Rose i uniół kieliszek do góry.

- Twoje zdrowie, piękna Mary Rose. - Może nie ma u mej szans, ale przynajmniej przebywa z nią, swoją miłością i nadzieją.

## 18

Marta leżała w łóżku i czytała książkę o Karaibach. Od dawna marzyła o wypoczynku na złotym tropikalnym piasku. Oczywiście James pojechałby z nią. Tylko on wiedział, że do czytania wkłada okulary. Każda kobieta musi mieć jakieś sekrety, pocieszała się. Zasnęła z okularami na nosie. Także Martin usnął szybko po wypiciu dużej ilości szampana

Justin leżał bez ruchu. Na myśl o nadchodzącej rozkoszy załśniły mu oczy. Nigdy jeszcze nie posiadał dziewicy. Z drugiej strony, niewiele ich było wszystkie strzeżone równie pilnie jak Anna. Nie chciał czekać dłużej. Wstał i wymknął się z pokoju.

Jak pantera skradał się korytarzem. Wiedział, gdzie śpi, bo widział, jak zanosila do pokoju termofor. Gdzie indziej znajdzie, pomyślał, dziewczynę, która razem z ciotką zmywa po kolacji i bierze termofor do łóżka. Pociągała go jej niewinność, jej nieświadoma niczego, uśmiechnięta twarz. Delikatnie popchnął drzwi.

Obudziła się przerażona. Jeszcze zanim otworzyła oczy, wyciągnęła rękę w stronę nocnej lampki. Tyle, że lampki nie było. Przecież Anna nie spała w swoim pokoju.

Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie znalazła się nagle w innym życiu, ale nie. W łóżku obok niej naprawdę leżał żywy mężczyzna z krwi i kości.

- Nie bój się, Anno - szepnął Justin. - To tylko ja.

- Co ty, na Boga, robisz w moim łóżku? – Nerwowo szukała bocznej lampki.

- Chcę się z tobą kochać.

## 86

Znalazła wreszcie kontakt i pokój wypełnił się światłem. - Nie wygłupiaj się, Justin. - Ściągnęła z niego kołdrę i znieruchomiała.

- Co to jest, u licha? - Palcem wskazywała nabrzmiąły członek.

- To erekcja. - Przykrył się dłońmi.

- Obrzydliwe. - Anna przyglądała się ciekawie. - Czy naprawdę musisz chodzić z tym dyndającym interesem?

- Przecież nie schowam go do kieszeni, prawda?

- No, rzeczywiście, nie. Tym bardziej mi cię żal.

- Anno, czy nigdy do tej pory nie widziałaś podnieconego mężczyzny? - Justin sięgnął po kołdrę. Teraz i tak nie mógłby wypełnić tego, po co tu przyszedł. Jego broń nie chciała walczyć, miał nadzieję, że tylko chwilowo.

- Cóż, oczywiście widziałam nagich mężczyzn na obrazach i rysunkach, ale nikt nie rysuje erekcji i teraz, kiedy już wiem, że to tak wygląda, cieszę się, że żaden malarz tego nie robi.

Nie miał pojęcia, jak się teraz zachować. Cholera, wyrzucał sobie w myślach, dlaczego zdjąłem szlafrok już przy drzwiach? Nie uśmiechała mu się perspektywa paradowania przed nią nago. Na myśl, że dziewczyna badawczo przyjrzy się jego jądom, zrobiło mu się słabo. Jedno było nieco większe i przypuszczał, że Anna parsknie śmiechem. To ona przerwała przedłużającą się ciszę.

- Ale poczujesz się głupio, kiedy będziesz musiał wstać z łóżka i iść goły do drzwi. Oczywiście, mogłabym pożyczyć ci mój kaszmirowy szal, żebyś nie latał na golasa, jednak nie zrobię tego. Będziesz miał nauczkę na przyszłość: nie odwiedzaj kobiet nie zaproszony, Justinie.

Poczuł, że rumieniec wypływa mu na policzki, rzecz u niego niespotykana. Niech diabli porwą tę dziewczynę. Jakim cudem sprawiła, że poczuł się winny, jak chłopiec przyłapany na wyjadaniu konfitur?

- Chyba już pójdę - mruknął zduszonym głosem. - Czy mogłabyś zgasić światło?

- Niestety, nie, drogi Justinie. Bardzo chcę, żebyś przemaszerował nago przez mój pokój, będę się świetnie bawić. A jutro opowiem Mary Rose i cioci Marcie, jak wyglądasz bez ubrania. Nie masz zbyt wielu włosów na piersi, co?

Justin zerknął na własną klatkę piersiową. - Nie, chyba nie.

- I żadnych mięśni. Wiesz, powinieneś uprawiać więcej sportu.

- Co ty opowiadasz! - oburzył się. - Zobacz, jakie mam mięśnie, dotknij. - Zgiął ramię.

Wbiła ostre paznokcie w żałośnie małą kulkę.

Justin ostatkiem sił powstrzymał się od krzyku. Na Boga, pytał się, dlaczego urodziłem się mężczyzną? Chciało mu się płakać. Oto leżał tu, odarty z godności, urażony w męskiej dumie i boleśnie upokorzony.

- To nie żadne mięśnie, to ziarnka grochu! - W jej głosie usłyszał dziwną nutę i zrozumiał, że Anna wie, co on chce powiedzieć, jeszcze zanim otworzy usta.

- Muszę cię ostrzec, Justinie - kontynuowała. - Jeśli nie przestaniesz zmieniać kochanek na prawo i lewo, zachorujesz na okropną chorobę i ci odpadnie.

- Nie, Anno, nie mów takich rzeczy, proszę.

- Kiedy muszę. - Była nieubłagana. - Muszę cię ostrzec.

- O, Boże, nie. - Już wyobrażał sobie długie lata impotencji. Zdecydował, że lepiej odejść samemu, niż zostać wykluczony z gry.

Odrzucił kołdrę i ruszył do drzwi, do szlafroka, osłaniając się poduszką. Tryumfalny śmiech Anny towarzyszył mu przez całą drogę do pokoju

Leżał w łóżku pokryty potem. Znów był podniecony. Żałował, że nie uda mu się wymknąć z domu i odjechać.

Anna nikomu nie powiedziała o nocnych odwiedzinach Justina. Następnego ranka, kiedy wszyscy zeszli na śniadanie, zauważyła, że odzyskał już spokój ducha. Nadal jednak spoglądał na nią z niepokojem. Odetchnął z ulgą dopiero, gdy delikatnie dotknęła jego ramienia. Teraz był pewien że nikomu nie zdradzi ich tajemnicy. Nie zdobędzie Anny jako kochanki! ale mógł starać się o jej przyjaźń.

Już od dawna dzielił kobiety na kochanki i przyjaciółki. Uważał że seks niszczy każdą przyjaźń. Wystarczy raz pójść do łóżka i można już zapomnieć o dawnych przyjacielskich stosunkach.

Virginia była w złym humorze. Pstryknęła palcami na lokaja. - Dlaczego me ma *kedgeree!* - Była to tradycyjna angielska potrawa z mięsa ryżu i cebuli.

Perry wyduł wargi z pogardą. - Nie gotujemy tego od przyjazdu do Ameryki, panno Arbuthnot. Jeśli jednak pani sobie życzy, kucharz zaraz przygotowuje *kedgeree* dla pani.

Wyszedł.

- Nie wyobrażam sobie śniadania bez tego dania, Mary Rose. - Virginia sięgnęła po półmisek z cynaderkami.

- Aha - mruknął Justin, - Masz ochotę na świńskie siki, Virginio? Rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Oczekiwała go ubiegłej nocy, ale nie

przyszedł. Ona jednak i tak miała wspaniały orgazm, bo śniła swój ulubiony sen: ujeżdża dzikiego, potężnego ogiera.

Zawsze marzyła o prawdziwym ogierze. Była czujna. Zauważyła lekki uśmieszek Anny i błysk w oku Justina.

Trzeba trzymać go z daleka od niej, postanowiła w duchu.

- Mary Rose, czy wybierasz się za granicę w tym roku? - Pochyliła się do przodu tak bardzo, że jej obfite piersi oparty się na talerzu z cynaderkami. - O cholera! - Odsunęła krzesło i zaczęła wycierać sukienkę.

^ - Mary Rose jedzie z nami do Anglii - odpowiedziała za przyjaciółkę

- A dokładnie, dokąd?

93

- Do Devon, odwiedzić moich kuzynów.

- Skoro to Irlandczycy, pewnie ich nie znam - Virginia starała się, by jej słowa zabrzmiały jak najbardziej obraźliwie.

- Pewnie nie, Virginio. Mieszkają pod Axminster. Oczywiście noszą nazwisko Kearney.

- Ach - Virginia z niechęcią spuściła z tonu. - Jednak o nich słyszałam. Hodują konie, prawda?

Anna się uśmiechnęła. - Tak. Ich Bullet wygrał *Grand National*. Teraz jest ogierem rozplodowym, ale ojciec bardzo chciałby na nim pojeździć. Cóż, zobaczymy. Może i ja się odważę. Rzadko zdarza się przecież okazja przejażdżki na koniu, który zwyciężył w *Grand National*.

- Czy dobrze jeździsz?

Anna parsknęła śmiechem. - Nie mogę się równać z Mary Rose; to prawdziwa amazonka! Ja tylko tkwię w siodle, sztywna jak kij, i modłę się, żeby koń sobie poradził.

Długi nos Virginii poczerwieniał z zazdrości. Gdzie się podziewa sprawiedliwość na tym świecie? Nie dość, że te dwie dziwki miary w bród pieniędzy, to jeszcze były piękne! To po prostu niesprawiedliwe. Spojrzała na poplamioną sukienkę i poczuła łzy wzbierające pod powiekami. Nic już nie było takie jak dawniej, za życia tatusia. Tatuś ją rozumiał. Teraz, gdy zabrakło u jej boku okrągłej, rubasznej postaci, została zupełnie sama. Matka jeździła na polowania i zakupy i grała w brydża. Virginia nie miała nic do roboty. W jej środowisku praca uchodziła za coś nieprzyzwoitego. Nie chciała haftować ani układać kwiatów. Brzydziła ją myśl o prowadzeniu domu. Mogła jedynie czekać na mężczyznę, który ją poślubi. Kiedy już spełni swój małżeński obowiązek i urodzi syna, dziedzica, będzie mogła rzucić się w wir nudnych rozrywek londyńskiego towarzystwa. Na razie jednak jej życie wypełniały strach i samotność. Justin w ogóle się nie liczył. Wiedziała, że jest z nią tylko ze względu na jej pieniądze.

Także Mary Rose siedząca po przeciwnej stronie stołu była pogrążona w ponurych myślach. Gdzie też Justin podziewał się ubiegłej nocy? Nie przyszedł do niej. Nie, to nie. Obejdzie się bez niego. - O, Peny niesie twoje *kedgeriee*. - zwróciła się do Virginii.

Rzeczywiście, do jadalni wkroczył dumnie lokaj, niosąc srebrny półmisek.

- Panienko Anno, jak to miło, że pani jeszcze u nas jest. - Perry niechętnie podszedł do Virginii i pochylił się nad jej talerzem. Zdjął pokrywkę i nałożył potrawę. Jego nieruchoma twarz niczego nie zdradzała, ale w głębi duszy śmiał się do łez. Ah Ying, chiński kucharz, zgodził się przygotować *kedgeriee* po mrożącej krew w żyłach serii przekleństw. Podając Perry'emu półmisek, napluł na gotowe danie.

- Niech urodzi smoka - mruknął i odwrócił się na pięcie, by z całej siły kopnąć niewidzialną Virginie.  
Perry uśmiechnął się, wziął tacę i wyszedł. W kuchni Ah Ying rozpra-  
89

wiał się z Angielką za pomocą mistrzowskich pchnięć rzeźnickiego noża. Dziwni ludzie ci Azjaci. Kiedy skończył obsługiwać Virginie, podniósł głowę i puścił oko do Marty. Uśmiechnęła się. Zaraz po śniadaniu Mary Rose i Martin wybrali się na przejażdżkę do Central Parku. Zanim Justin i Virginia wyszli, zdążyli się pokłócić.

- Chodźmy już, Virginio. Nie chcę się spóźnić na spotkanie z matką.

- Mam w dupie twoją matkę - odpowiedziała krótko, ale treściwie. Anna pobiegła na górę i starała się uspokoić roztrzęsioną dziewczynę.

- Nie cierpię, kiedy na mnie krzyczy - szlochała Virginia.

Anna przechyliła się przez poręcz. - Nie bądź chamem, Justin. Zamknij się.

Justin ciężko opadł na fotel i czekał.

Anna była szczęśliwa, kiedy za obojgiem zamknęły się drzwi. Miła cisza otuliła cały dom. Anna odetchnęła głęboko. Marta wyszła ze swego pokoju.

- Uf-jęknęła. - Nie mogę się doczekać chwili, w której zobaczę mój mały, cichy domek.

Anna potakiwała jej słowom. - Tak, ale wiesz, że dokoła Mary Rose nigdy nie ma spokoju. Po prostu otacza się specyficznym rodzajem ludzi. Swoją drogą, Virginia to biedna dziewczyna. A Justin mógłby coś osiągnąć, gdyby tylko zechciał. Kariera żigolaka trwa krótko. Nie ma nic gorszego niż podstarzały amant.

Marta zachichotała. - Oczywiście, masz rację. Ale i tak było wesoło. No i jedzenie było wyśmienite. Ten sos udał ci się nad podziw, Anno. Idź, zabierz swoje rzeczy. Ja poczekam na dole.

Anna pobiegła na górę. Wiedziała, że mówiąc „było wesoło”, Marta miała na myśli coś więcej niż ostatni wieczór. Teraz to jednak nieważne. Całą jej uwagę pochłaniała niedaleka podróż do Anglii.

## 19

Kiedy Daniel wchodził na pokład, wydawało mu się, że ostatnie dwadzieścia lat nigdy nie istniało. U jego boku stała uśmiechnięta Mary.

Anna miała na sobie czarny aksamitny kostium i kremową bluzkę z koronkowym żabotem.

Steven został na nadbrzeżu, smutny i samotny. Przyjaciółka współczuła mu; jego matka nigdy nie pozwoliłaby mu mieszkać u gojów, więc nie mógł jechać z Kearneyami. Wiedziała, że Steven nie wyrwie się z getta aż do jej powrotu.

- Przywiozę ci piękny prezent, Stevenie! - krzyknęła. Odetchnęła z ulgą, kiedy pomachał do niej wesoło, choć nie tak żywiłowo, jak członkowie rodziny Kearneyów stojący obok niego.

Mary Rose niedbale oparła się o reling. Była ciekawa, co też powiedziałyby Anna, gdyby usłyszała, że spędziła całą noc w ramionach Justina. Nie zależało jej na nim, ale zadbała, by Virginia dowiedziała się o wszystkim. Specjalnie ubrudziła mu koszulę szminką. Wiedziała, że Virginia uważnie ogląda jego ubrania.

Z niesmakiem przełknęła ślinę. W ustach nadal miała cierpki posmak po zbyt dużej ilości czerwonego wina. Dałaby wszystko, żeby ten cholerny statek przestał tak kołysać. Na dodatek rodzina Anny, ci niewychowani Irlandczycy, jak zwykle robili z siebie pośmiewisko. Jej rodzice oczywiście nie przyszli na przystań. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak cudownie byłoby widzieć ich machających do niej z nadbrzeża. Zaraz jednak przywołała się do porządku.

Powinna nauczyć się już, że nie można oczekiwać zbyt wiele, zwłaszcza od ojca.



Daniel widział, jak nagle opadły jej drobne ramiona. Przytulił ją serdecznie. Mary Rose spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie wszyscy faceci to psy, pomyślała. Daniel był jedynym znanym jej mężczyzną, który nie pilnował żony, jakby była suką w rui. Nagle wrócił jej dobry humor.

- Będziemy się tu świetnie bawić - oznajmiła. - Chodź, Anno, zapomnij o Stevenie. Idziemy szukać ciekawych mężczyzn.

- Ale ja nie chcę szukać mężczyzn, Mary Rose. Twoja „kolacja dla Justina” dała mi nauczkę na najbliższy czas. Mam ochotę iść do kajuty i poczytać Jane Austen. Postanowiłam poznać wszystkie jej dzieła. Chciałabym nauczyć się używać wszystkich tych skomplikowanych słów, którymi wypełnia swoje książki.

- Boże, Anno, ależ ty jesteś nudna! - Mary Rose komicznie przewracała oczami. - A wiesz, jeśli wszystkie Angielki są takie jak Virginia, to dobra nasza! Bez trudu znajdziemy sobie kochanków.

Po chwili udały się w ślad za Danielem i Mary do swoich kajut. Pokoje Anny i Mary Rose połączone były wewnętrznymi drzwiami. Oba wnętrza urządzone podobnie; ściany miały kolor kości słoniowej, a kominki wykonano z zielonego marmuru. W obu pomieszczeniach stały meble w stylu Ludwika Piętnastego.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Mary Rose po wejściu do kajuty, było zdjęcie pończoch.

- Ach, jakie to przyjemne - mruknęła, przesuwając stopą po grubej, puszystej wykładzinie. - Ten dywan jest taki... seksowny.

- I trzeba go długo czyścić - wtrąciła Anna. Nudziły ją ciągle dywagacje Mary Rose na temat seksu. - Daj spokój, Mary Rose. Zaraz przyniosą nasze bagaże.

Przyjaciółka zdawała się nie słyszeć jej słów. - Anno, pamiętasz tamten statek, którym płynęliśmy do Ameryki? Kiedy byliśmy małe, a ciocia Kitty musiała śpiewać, żebyście dostali kolację?

Anna się skrzywiła. - O, tak. Dobrze go pamiętam. Wtedy wszystko było takie proste. Babcia jeszcze żyła. Wiesz, ciągle za nią tęsknię. - Nie po raz pierwszy ich humor zmieniał się z minuty na minutę.

- Wiem. Czuję to. - Mary Rose objęła ją serdecznie. - No, leć do łazienki. Będę wylegiwać się w wannie. - Już jej nie było.

Obie otrzymały zaproszenia na koktajl wydawany przez kapitana. Miały także jadać przy stole kapitańskim podczas całej podróży. Anna pokręciła głową. To straszny snobizm, pomyślała. Dała napiwek stewardowi, który przyniósł jej bagaże. Mary Rose wyśpiewywała coś w łazience, fałszując niemiłosiernie.

- Hej, Mary Rose, mamy nasze kufry! - Śpiewy ustały. W otwartych drzwiach łazienki pojawiła się ociekająca wodą Mary Rose. Anna szybko zamknęła otwarte do tej pory drzwi kajuty.

- Nie możesz paradować nago. Co będzie, jeśli ktoś cię zobaczy?

98

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Nie ruszyła się z miejsca. Anna dostrzegła błękitne żyłki na zaróżowionych od gorącej kąpieli piersiach. Zazdrościła Mary Rose kobiecych kształtów. Mary Rose mogłaby, i zrobiłaby to, wyjść nago na ulicę. Stałyby na środku jezdni i pozwoliłaby obserwować się oczom pełnym pożądania.

Czasem Anna żałowała, że nie potrafi się zachowywać jak ona. -Ubierz się - poprosiła.

- Ależ nie mam w co, głuptasie. Wszystkie moje rzeczy są w kufrze! Pójdę po torebkę. Wezmę klucz, otworzę kufer i znajdę jakąś szmatkę, by nie obrażać twoich dziewiczych oczu. Doprawdy, Anno, można by pomyśleć, że po raz pierwszy widzisz mnie nago.

Anna się uśmiechnęła. - Ależ z ciebie ekshibicjonistka.

Mary Rose wbiegła z powrotem do kajuty. Wesoło wymachiwała czarną torebką i wyrzucała w górę nogi w skomplikowanych figurach tanecznych.

- Włóż coś na siebie i przestań się wygłupiać. Proszę, daj mi ten klucz. - Anna czuła się jak matka karcąca niesforne dziecko. Nie lubiła, kiedy Mary Rose zmuszała ją do takiego zachowania. Zdawała sobie sprawę, że najczęściej pozwala jej na wszelkie szaleństwa, a potem żałuje, że sama nie może zakosztować żadnego z nich. I nie o seks tu chodzi, przekonywała się pochylona nad kufrem Mary Rose, ale o flirty i zaloty.

- Po prawej stronie, na spodzie. - Mary Rose nadal tańczyła po kajucie. Cały czas obserwowała swe odbicie w lustrze nad kominkiem. Anna wyciągnęła koszulę nocną z fioletowej koronki. - Skąd to masz, do licha?

- Och, podwędziłam matce. Ma komody pełne jedwabnej bielizny. W najróżniejszych kolorach, inny dla każdego kochanka, z którym pieprzyła się w Ameryce. Ten fiolet to pewnie dla biskupa.

Anna wyglądała na zgorszona. - Mary Rose, jak ty się wyrażasz!

Wzruszyła ramionami. - Mówiłam ci, że ostatnio dużo czasu spędzałam w towarzystwie stajennych. Przynajmniej się tego nie wypieram.

- I klniesz przy gościach jak Virginia. Wiesz, mam nadzieję, że nie wszystkie Angielki są takie jak ona. - Anna zerknęła na zegarek. - Ojej, musimy się pośpieszyć. Mamy jeszcze tylko pół godziny do koktajlu.

- Ciekawa jestem, jak wygląda nasz kapitan. Pewnie łysy, stary i kulawy. Anna uniosła pytająco brwi. - Mary Rose, czyżbyś chciała dołączyć kapitana do listy podbojów?- Nie. Interesuje mnie coś wręcz przeciwnego. Ktoś nie z mojej klasy. Powiedzmy, chłopiec okrętowy.- Kim, u diabła, jest chłopiec okrętowy?

93

- Och, myje pokład i tak dalej. Jak widzisz, dobrze się przygotowałam do tej podróży.

Mary Rose opuściła kajutę, kołysząc biodrami.

Anna się nie ruszała. Miała wrażenie, że przyjaciółka zabrała ze sobą kawałek jej duszy. Bez żadnej konkretnej przyczyny poczuła smutek. Po chwili jednak jej humor się poprawił. Gorąca kąpiel wypędzi wszelkie zmartwienia, pomyślała. Właśnie tego mi teraz potrzeba, długiej, gorącej kąpieli.

## 20

Kiedy szli do salonu, Anna trzymała ojca za rękę. Daniel miał na sobie frak i wyglądał bardzo elegancko. Anna była dumna, że ten przystojny mężczyzna to jej ojciec. Tuż obok nich kroczyła Mary, dostojna i piękna w długiej kreacji z niebieskiego jedwabiu. Anna włożyła tego wieczora kremową suknię. Ponieważ od morza wiał chłodny wiatr, narzuciła na ramiona czerwony kaszmirowy szal.

Mary Rose idąc, uwodzicielsko kołysała biodrami opiętymi obcisłą suknią z czarnego jedwabiu. Anna odetchnęła z ulgą, kiedy się przekonała, że dekolt kreacji przyjaciółki, choć głęboki, nie przekracza granic przyzwoitości.

Ludzie zatrzymywali się i posyłali im spojrzenia pełne podziwu. Bo też naprawdę rzadko spotyka się tak malowniczą grupę, uświadomiła sobie Anna. Wzajemna miłość otaczała ich ciepłym blaskiem. Dziewczyna widziała żółte światło ich twarzy i dłoni. Nawet od Mary Rose biła różowa łuna.

Statek majestatycznie przedzierał się przez potężne fale. Silniki rolls--royce'a cicho mruczały pod pokładem.

- Spójrzcie! - Daniel wskazywał ręką srebrny błysk na błękicie oceanu. - Latające ryby.

Mary klasnęła w dłonie jak mała dziewczynka i podbiegła do burty. Daniel czule objął żonę w talii.

- Dużo już czasu minęło, kochanie - szepnął cicho - kiedy ostatnio płynęliśmy statkiem, pamiętasz?

Uniosła głowę i go pocałowała. - Oczywiście, że pamiętam. Od

tamtego czasu przeszliśmy długą drogę, kochany. Pamiętasz, jak bardzo morska choroba dręczyła biednego ojca O'Briana?

- Pewnie, że tak. Lepiej jednak pamiętam nadzieję, jaką wówczas miałem, że uda nam się uciec od Irlandii i koszmarów przeszłości. - Zamilkł i popatrzył na nią. Znała ten smutek w jego oczach. Wiedziała, że zawsze tam jest i zawsze będzie. Jej do szczęścia wystarczał Daniel. Mogłaby żyć gdziekolwiek, byle z nim. Był jej księżycem i słońcem.

Zerknęła na Annę. Stała kilka metrów dalej, pogrążona w cichej rozmowie z Mary Rose. Mary uśmiechnęła się i przytuliła do męża. - Pewnego dnia wrócimy do Irlandii - szepnęła.

- Nigdy. - Zacisnął zęby w niezłomnym uporze. - Kiedy wyjeżdżałem, przysiągłem sobie, że dopóki Anglicy panoszą się w moim kraju, moja stopa nie postanie na irlandzkiej ziemi. A Irlandia to ostatnia brytyjska kolonia. Nie pozwolą jej odejść.

Mary westchnęła ciężko. - Pewnie masz rację, ale nie myśl już o tym. Danielu, spójrz, jaki piękny zachód słońca. Idziemy na koktajl z kapitanem, pamiętasz? Uśmiechnij się. - Oparła mu drobną dłoń na ramieniu i posłała uwodzicielskie spojrzenie, które tak uwielbiał. W jej oczach widział, jak będą się kochać po kolacji. Uścisnął jej rękę. - Święte słowa. Chodźmy, kochanie.

Annę posadzono przy końcu centralnego stołu. Dokoła siebie widziała fragmenty twarzy: usta, wąsy, kolczyki i perły. Około dwunastu osób czekało na nich.

- Przepraszamy za spóźnienie - niemal niezauważalne drżenie w głosie Mary zdradziło jej zdenerwowanie. Jej śmiech jednak był szczery i pogodny.

Oficer siedzący blisko szczytu stołu uścisnął jej dłoń i powitał pełnym galanterii twierdzeniem: - Droga pani, może się pani spóźniać, kiedy tylko pani zapagnie. Jak widzę, czas dla pani nie istnieje.

- Och, dziękuję - Mary przyjęła komplement z uśmiechem.

- Rupert Evans, pierwszy oficer - przedstawił się Mary i pozostałym członkom rodziny. Anna nie mogła oderwać od niego wzroku. Ilekroć pogrążała się w szalonych marzeniach o Rupercie Brooke'u, angielskim poecie, którego szczerze kochała, dokładnie tak go sobie wyobrażała. Nie mogła tego pojąć. Ogarnęło ją dziwne uczucie, które sprawiło, że czerwieniła się i bladła na przemian. Jadalnia wirowała dookoła niej. Zamrugła, chcąc zmusić pokój, by się zatrzymał. Oparła dłoń na rękę matki.

- Anno? Kochanie, wszystko w porządku?

Potrząsnęła głową. - Nie wiem. To chyba przez ten upał. Słabo mi. -Zobaczyła zdziwiony wyraz twarzy oficera. Podchodził coraz bliżej. Anna wiedziała, że zaraz zrobi z siebie idiotkę. Kiedy był o krok od niej, osunęła się w ciemność.

96

Poczuła, że ktoś ostrożnie układa ją na wielkiej skórzanej sofie. Uniosła powieki i natychmiast utonęła spojrzeniem w intensywnym błękitcie innych oczu. Otaczały je długie, lekko podwinięte rzęsy. Anna roześmiała się cicho. Z pochylonej nad nią twarzy zniknął wyraz zatroskania. Ciszę przerwał niski męski głos.

- Co panią tak śmieszy?

- To niesprawiedliwe - odparła. - Mężczyźni zawsze mają ładne, długie rzęsy. Proszę spojrzeć na moje. Są po prostu okropne.

Oficer ostrożnie usiadł koło niej.

- Absolutnie się z tym nie zgadzam. Nie przedstawiono nas sobie, prawda?

Anna nie słuchała go. Zobaczyła zatroskane twarze rodziców.

- Nic mi nie jest, mamó, naprawdę. To przez ten upał. - Opuściła nogi na podłogę i wstała nieco niepewnie. -

Dziękuję panu, panie Evans.

- Rupercie, proszę - poprawił ją. - A pani to...

- Anna Kearney. - Ucisnęła jego dłoń i potrząsnęła nią lekko. Nie mogła powstrzymać się od spojrzenia na jego lewą rękę. Był żonaty. Igła żalu ukłuła ją w serce. Oczywiście, najlepsi zawsze są zajęci.

- Czuję się doskonale - oznajmiła. Jej serce pękało na kawałki. Wrócili do jadalni. U boku Mary Rose siedział młody mężczy-

zna^Anna usiadła naprzeciwko przyjaciółki. Milczała niemal cały czas, w ostateczności tylko odzywając się do siedzącego obok małżeństwa. Państwo Baxterowie spędzili w Afryce niemal całe życie. Teraz wracali na stałe do Anglii, ale już tęsknili za Czarnym Łądem. Snuli nie kończące się opowieści o buszu i polowaniach na słonie i tygrysy. Na myśl o tak bezsensownym zabijaniu Annie robiło się niedobrze, ale słuchała z wdzięcznością. Z wdzięcznością, bo ich słowa zagłuszały jej marzenia, jej pragnienia, by wziąć Ruperta za rękę i uciec. Nie miała żadnego planu, chciała tylko znów patrzeć mu w oczy. Ile może mieć lat? - zastanawiała się w duchu. Koło trzydziestu pięciu--sześciu. Jest bardzo młody jak na pierwszego oficera na tak wielkim statku. Może ma koło czterdziestki. Zresztą, jego wiek i tak był bez znaczenia. Mógł mieć lat sto albo dwa - i tak go kochała. Uśmiechała

się uprzejmie, potakiwała i zaprzeczała, kiedy tego od niej oczekiwano, ale cały czas myślała o swoim uczuciu, wyrwanym z łona jak niedojrzały P<sup>lód</sup> - ^ i Po kolacji przeniesiono się do sali balowej. Mary Rose tańczyła ze wszystkimi. Anna siedziała cicho i śledziła wzrokiem tańczących rodziców. Właśnie tego chce, uświadomiła sobie; mężczyzny, który będzie zawsze przy mnie. Chcę być pewna jego miłości, jak mama jest pewna miłości ojca. Nagle zorientowała się, że ktoś stoi za jej krzesłem.

- Czy mogę prosić? - To Rupert. Wziął ją w ramiona. Orkiestra grała *Ostatniego walca*. Dla nich był to naprawdę ostatni walc. Słyszała, jak

7 - Dwie drogi

97

zegar wybija północ. Straciła poczucie rzeczywistości. Jasne włosy Ruperta mieszały się z jej lokami. Czowała jego ciepły oddech na twarzy.

Był wyśmienitym tancerzem. Wirowali po parkiecie, jakby od zawsze tańczyli razem. Annie wydawało się, że są nasionami groszku w jednym strączku, który brutalna ręka rozerwała przedwcześnie i ich rozdzieliła. Widziała ich wspólną tęczową aurę. Pozostali tancerze zatrzymali się, by ich lepiej widzieć. Kiedy Anna i Rupert skończyli, w sali panowała cisza, a potem wybuchła burza oklasków. Stali uśmiechnięci i zapatrzeni w siebie.

21

Zanim wróciła do kajuty, powiedziała dobranoc rodzicom. Mary Rose znikła gdzieś, więc Daniel poszedł jej szukać. Anna widziała pytanie w oczach matki, ale czuła, że jeśli otworzy usta, będzie tylko krzyczeć i płakać. Pocałowała więc Mary w policzek i odepchnęła ją delikatnie. Wiedziała, że sama musi uporać się ze swoimi uczuciami.

Kiedy weszła do małego saloniku, zerknęła w lustro. Ze zwierciadła patrzyła na nią obca dziewczyna o zarumienionej twarzy. Piękna, ale wyglądająca inaczej niż zwykle. Była inna. Po raz pierwszy w życiu zakochała się, ale miała stracić ukochanego. Weszła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Wtuliwszy twarz w poduszkę, wybuchła płaczem.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - zaklinała Boga. - Jak mogłeś mi, twojej wiernej służebnicy, dać żonatego człowieka? Kocham go - zawodziła.

Przerażał ją jej własny głos. Ostatni raz tak rozpaczała po śmierci babci. Teraz stary ból i nowe cierpienie nałożyły się na siebie. Anna zwijała się w męce, wrzeszczała i płakała. Straciła panowanie nad sobą. Uspokoila się dopiero wtedy, kiedy wyczerpała wszystkie siły. Zasnęła.

Błady świt zaglądał do kajuty. Pierwsze promienie słońca delikatnie gładziły Annę po głowie. Jęczała i rzucała się przez sen, ale słońce ją uspokajało. Nie po raz pierwszy widziało takie cierpienia.

Obudziła się późno. Słyszała, jak Mary Rose krząta się po bawialni.

- Hej, leniuchu, wstawaj! - Mary Rose wsadziła głowę do sypialni Anny. Od razu dostrzegła pogniecioną suknię i zapuchnięte oczy. - O mój Boże - mruknęła. - Nieźle cię wzięło, co?

103

Potwierdziła ruchem głowy. - Tak. Nie przypuszczałam, że ból może być tak dotkliwy.

- Tak bywa. Ale nie martw się; mówią, że pierwszy raz jest najgorszy. Tak jak utrata dziewictwa.

Anna zacisnęła zęby. Dlaczego Mary Rose zawsze musi być taka wulgarna?

- Nie ma o czym mówić. On ma żonę, a ja nie zadaję się z żonatymi mężczyznami.

- Zawsze możesz zmienić zasady.

- Nie, Mary Rose. Ty możesz, ale ja nie. Jeśli złamię którekolwiek z praw rządzących moim życiem, znenawidzę się. Nigdy nie kłamię i nie kocham się z mężami innych kobiet. Ból kiedyś zelżeje, prawda? - spytała pokornie. - Mary Rose, jak długo to potrwa?

- To zależy. - Przyjaciółka usiadła na jej łóżku. Miała na sobie ten sam co wczoraj fioletowy peniuar. Spod niedbale zawiązanej jedwabnej tkaniny wychylały się mlecznobiałe piersi. Założyła nogę na nogę i splótła dłonie na obnażonym kolanie. Anna żałowała, że nie potrafi zachowywać się jak ona. Podejrzewała, że Mary Rose kochała się minionej nocy. Rzeczywiście, wysoko na udzie siedzącej zobaczyła ślad po ugryzieniu kochanka.

- Kto to był tym razem, Mary Rose? - W jej głosie nie było ani aprobaty, ani nagany.

- Och, ten młody oficer, który siedział koło mnie podczas kolacji. Nazywa się Neil Renton. Całkiem niezły z niego kochanek. No, ale nie zmieniaj tematu. Podobno złamane serce goi się powoli. Będiesz się czuła, jakby rozdarło cię na strzępy. A potem, kiedy zejdziesz z pokładu i nigdy już nie zobaczysz Ruperta, zaczniesz wracać do siebie. Naprawdę, Anno, wszystko będzie dobrze. Wiem, że twoim zdaniem świat się kończy, ale tak nie jest.

Mary Rose nie próbowała nawet ukryć swojej troski. Nigdy jeszcze nie widziała przyjaciółki w takim stanie.

Przytuliła ją serdecznie. - Wiesz co? Zadzwońię po stewarda i zamówię dla nas śniadanie. Słyszałam, że na złamane serce najlepiej pomaga jajecznicą i szampan.

Anna podniosła wzrok. - Mary Rose, a ty nie cierpisz? Tak często jesteś zakochana.

Wstała i się przeciągnęła. - Szczerze mówiąc, Anno, jestem na to zbyt cyniczna. Nie oddaję kochankom serca, tylko ciało. - Wzruszyła ramionami. - Tak jest lepiej, naprawdę. Mężczyźni są w gruncie rzeczy nieskomplikowanymi istotami. Pragną tego, czego nie mogą mieć. Uwierz mi i nie dawaj im nic, a rezultaty zwałą cię z nóg. Otoczy cię tłum adoratorów, ale jeśli tylko oddasz serce jednemu, inni odejdą. Oni są naprawdę jak dzieci. Wystarczy ich pogłaskać, nakarmić i wpuścić do łóżka, by jedli ci z ręki. Ale niech tylko jednemu wyda się, że ma cię w garści, przegrałaś.



Anna opuściła głowę. - Och, Mary Rose, czy stosunki między kobietami a mężczyznami naprawdę są takie trywialne?

Zapytana potwierdziła z powagą. - Tak, tak zawsze było i zawsze będzie. Pomyśl o średniowiecznych rycerzach. Zostawiali żony w domu, zakute w pasy cnoty, a sami uganiali się za innymi kobietami. Żaden z nich nie potrafił dochować wierności. Mam wrażenie, że mężczyźni w ogóle nie są do tego zdolni. Masz więc dwa wyjścia: albo przyjmujesz ich reguły gry, tak jak ja to zrobiłam, albo zostajesz zakonnicą i nie masz nic z życia. - Mary Rose sięgnęła po telefon i zamówiła śniadanie leczące złamane serca. Czy też, dokładnie mówiąc, Annie się zdawało, że to zamawiała. Głos Mary Rose był tak pełen pokus i obietnic, że musiał przyprawić biednego kelnera o męki pożądania. - Nie zdziwię się, jeśli wjedzie tu nagi, na srebrnym półmisku, z różą w zębach - rzuciła. - Mary Rose, jak możesz, tak rano? Zwłaszcza że kochałaś się przez całą noc!

- Nie całą - poprawiła przyjaciółka z krzywym uśmiechem. - Tylko część. Kochanie, zjemy w twojej czy mojej kajucie?

- W twojej - zdecydowała szybko. - Muszę się przebrać i wykapać. Mary Rose wyszła i Anna opadła z powrotem na łóżko. Nigdy już me

włożę tej sukni, pomyślała. I schowam na dno kufra te pantofelki. Wstała i podeszła do lustra. Wyglądam okropnie, stwierdziła, patrząc na zapuch-niętą twarz. W tej chwili zadzwonił telefon.

- Halo - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Kochanie, wszystko w porządku? - To była Mary.

- Dzień dobry, mam. - Chciała nadać głosowi radośniejsze brzmienie, ale wiedziała, że nie uda się jej oszukać matki. - Nie czuję się najlepiej.

Mary milczała przez chwilę. - Wiem o tym, kochanie. Oboje z ojcem ufamy ci i wierzymy, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

- Możecie na mnie polegać. Nigdy was nie zawiodę.

- Czasem życie jest bardzo trudne, Anno. Musimy wówczas dokonywać dramatycznych wyborów. Wybierz, jak ci podpowiada honor i sumienie, a w odpowiednim czasie Bóg ci wynagrodzi.

- Mam nadzieję, że tak będzie, mam. - Anna nie była przekonana. - Ale w tej chwili bardzo cierpię.

Mary się zmartwiła. - Czy chcesz, żebym do ciebie przyszła?

- Nie, dziękuję. Mary Rose już znalazła murowane lekarstwo na złamane serce. Zamówiła jajecznicę i szampana, a niewykluczone, że zamówiła także kelnera. - Anna parsknęła wymuszonym śmiechem. To nie złagodziło bólu, ale pomogło na chwilę zapomnieć o rozpaczach.

- To podobne do Mary Rose! - prychnęła Mary. - Ale i tak ona zaopiekuje się tobą lepiej niż ja. Złamała już tyle serc, że jest ekspertem w tej dziedzinie. W razie czego, cały czas jestem w swojej kajucie, kochanie. Jeśli nie zadzwonisz, zobaczymy się dopiero na lunchu.

- Nie mam apetytu, mam. Chyba przyjdę dopiero na kolację. Mam zamiar przeleżeć cały dzień. Chcę poczytać Jane Austen i zapomnieć

O bożym świecie. To jest zbyt okropne miejsce.

- Wkrótce zmienisz zdanie, kochanie - zapewniła Mary.

- Mam nadzieję, mam. Mam nadzieję. Anna odłożyła słuchawkę

i ściągnęła suknię przez głowę. Zapach jedwabiu przypominał jej ostatni wieczór. Ucałowała materiał tam, gdzie obejmowała ją dłoń Ruperta i wtuliła twarz w tkaninę. Łzy napłynęły jej do oczu. Rzuciła sukienkę na podłogę i spojrzała na nowe pantofelki leżące koło łóżka. Podniosła jeden i odwróciła go podeszwą do góry. Na gładkiej powierzchni widniały rysy powstałe podczas tańca z Rupertem. Nabożnie ucałowała najpierw jeden trzewik, potem drugi, a następnie schowała je do torby i włożyła na dno kufra podobnie jak sukienkę. Westchnęła ciężko, opuszczając wieko. Weszła do wanny i zamknęła oczy. Teraz obok bólu pojawiło się pożądanie. Do tej pory jedyny jej kontakt z seksem stanowiły erotyczne sny i nieśmiałe pieszczoty własnymi dłońmi. Teraz wiedziała, kogo pragnie, i wiedziała że nie może go mieć.

Leżała w wannie i ze zdumieniem spoglądała na własne ciało. Jak to możliwe że seks, spółkowanie, jest czymś tak prostym dla zwierząt a skomplikowanym wśród ludzi? Dlaczego tak bardzo pragnie doznać spełnienia w ramionach Ruperta? Dlaczego z nim? Co specjalnego ich łączyło, co sprawiło, że przyciągali się wzajemnie z taką siłą, jakby cała wieczność czekali na tę chwilę? Czy naprawdę tak było? A może to tylko jej wyobraźnia, może Rupert, zajęty wykonywaniem obowiązków, zapomniał o tym, jak z nią tańczył, jak niósł ją zemdloną na sofę? Może sama sobie to wszystko wymyśliła? Nie, wiedziała, że to prawda. Ból był zbyt palący podobnie jak tęsknota za ciałem tego mężczyzny. Chciała śmiać się i płakać razem z nim i opowiedzieć mu o sobie wszystko, poczynając od najwcześniejszych wspomnień.

Jej uszu dobiegło pukanie do kajuty Mary Rose. To pewnie śniadanie, pomyślała. Wyskoczyła z wanny i włożyła różową koszulę nocną. Nawet wyglądam jak dziewczyna, zauważyła, otwierając drzwi łączące oba apartamenty. Zamarła w progu, wpatrzona w barek, wtaczany przez kelnera. Stały na nim dwa przykryte srebrne półmiski z jajecznicą, butelka szampana w wiaderku z lodem i bukiet kwiatów z bilecikiem. To pewnie Neil Renton, pomyślała i nie zwracała więcej uwagi na kwiaty. Usiadła przy stole i czekała na Mary Rose, która wkrótce wbiegła do pokoju ubrana w jasnoniebieski szlafrok. - Kwiaty? Jak miło! - Sięgnęła po małą białą kopertę. Otworzyła ją i oznajmiła z tryumfalnym uśmiechem - To od twojego Ruperta. - Przeczytała bilecik. - „Dla przepięknych przyjaciółek. Zobaczmy się na lunchu. Rupert”. - No popatrz, Anno! Jest tobą zainteresowany!

- No i co z tego, skoro ja nie jestem zainteresowana nim. On ma żonę nie zapominaj o tym.

108

- Oczywiście, ale zasady są po to, żeby je łamać. Daj spokój, nie bądź taką moralistką.

Anna otworzyła szampana. Nalała odrobinę do kieliszka i upiła małejki łyżek. - Dobry rocznik, Mary Rose. - Poprawiła się na krześle i uniosła pokrywkę znad swego półmiska. Uśmiechnęła się. - Tak naprawdę nie jestem głodna, ale i tak zjem tę jajecznicę i wypiję szampana. Skończyło się coś, co się nawet nie zaczęło, a czas, jak powiedziałaś, zagoi wszystkie rany.

Mary Rose się rozpromieniła. - Dobra dziewczynka - mruknęła z pełnymi ustami.

Anna obawiała się kolacji. Nie chciała widzieć Ruperta, a jednocześnie marzyła o spotkaniu z nim. Na samą myśl o nim zaczynała mówić do siebie. Czuła się jak w transie. Przez kilka godzin stała na pokładzie i wpatrywała się w potężne fale, przechylona przez reling.

W ostateczności, pomyślała, zawsze mogę rzucić się do morza i skończyć ze wszystkim. Starła się jednak skupić na przyjemniejszych sprawach. Miała nadzieję, że w Londynie zatrzymają się w hotelu Savoy w którym D'Oyly Carte specjalnie z myślą o Amerykanach przygotował duże, wygodne łazienki. Niecierpliwie czekała na zwiedzanie miasta. Tylko że wszystkie zabytki zobaczy bez Ruperta. Znow zaczęła płakać. Do tej pory nie przypuszczała, że w ludzkim ciele jest aż tyle wody.

Pasażerowie pierwszej klasy mijali ją, idąc na lunch. Została sama. Tymczasem statek niezmordowanie parł do przodu, niosąc ją ku przeznaczeniu, czy tego chciała, czy nie. Na pokład wyjrzał steward, ale wycofał się taktownie, zobaczywszy szlochającą dziewczynę. Zastanawiał się, kto złamał jej serce. Był niemal pewien, że to kolejna zdobycz pierwszego oficera.

Anna drżała podczas ubierania się do kolacji. Włożyła jasnoróżową suknię z zaokrąglonym dekoltem. Spódnica spływała w dół w miękkich fałdach, a góra ściśle przylegała do ciała i podkreślała zgrabną figurę młodej kobiety. Na nogach miała złote sandały zapinane na krzyż. Tego wieczora zrobiła sobie lekki makijaż: musnęła policzki różem i pomalowała usta jasną szminką. Jeszcze tylko kilka kropli perfum Mitsuko i była gotowa stanąć twarzą w twarz ze światem, a zwłaszcza z Rupertem

- Wyglądasz bosko. - Mary Rose spoglądała na nią z podziwem. - Cierpienie wyraźnie ci służy.

Anna posłała jej blady uśmiech. - Mary Rose, wolałabym być brzydka jak noc niż pięknieć poprzez cierpienie. Nie wiem, czy jeszcze raz zdobędę się na posiłek przy stole kapitańskim. Chciałabym jadać w mojej kajucie.

Jej rodzice czekali na dziewczęta przy wejściu do jadalni. Mary objęła córkę ramieniem. - Kochanie, każdy z nas przeżył kiedyś zawód miłosny - szepnęła. - Musimy się po prostu nauczyć, jak z tym żyć.

- Ale mówiłaś, że tobie nikt nigdy nie złamał serca.

- Tak, tak. Pamiętam, co mówiłam, ale dopiero kiedy odłożyłam słuchawkę, przypomniał mi się Johnny Corona. Był najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. Jego ojciec pochodził z Włoch, z Rzymu. Każdej nocy modliłam się, by Johnny zaprosił mnie na tańce. Wówczas nie była to taka uroczystość jak dzisiejszy bal maturalny, tylko zwykła

potkańcówka na zakończenie roku szkolnego. W każdym razie, w końcu mnie zaprosił, a ja oczywiście się zgodziłam. Twój biedny ojciec cierpiał zapewne męki zazdrości. - Mary i Anna przepuściły Daniela i Mary Rose przodem.

-Kiedy przyszedł po mnie z pięknym bukietem kwiatów, prawie zemdlałam z emocji. Tańczył tylko ze mną... aż do chwili, w której zobaczył Vanessę O'Toole. To była taka klasowa prostytutka. Wszyscy chłopcy uganiali się za nią. Johnny Corona nie był wyjątkiem. Zostawił mnie bez słowa. Myślałam, że będę podpierać ściany do końca potkańcówki. I na dobre mi to wyszło, bo twój ojciec kochał mnie od pierwszego wejrzenia. Johnny Corona dużo mnie nauczył. - Mary zamilkła.

- Czego cię nauczył, mamó? - Anna nie chciała urazić matki. Miała wrażenie, że oto odkrywa białą zimną plamę w jej sercu.

- Zrozumiałam, że nie można ślepo ufać. Że zawsze trzeba przestrzegać własnych zasad i poczucia godności. Anno, w twoim życiu pojawi się wielu mężczyzn i każdy z nich będzie twierdził, że może ci ofiarować najróżniejsze cuda.

- Mary uniosła głowę. - Ale nie wolno ci uwierzyć w ich słowa. Sama wiesz, co jest dobre, a co złe. Zawsze pamiętaj o dokonaniu właściwego wyboru.

Anna potakiwała bezmyślnie. Nie mogła się skupić na słowach matki, bo oto widziała jasną głowę Ruperta pochyloną nad panią Baxter, która opowiadała mu coś z ożywieniem. Ponownie przeszył ją ból, ostry i celny jak arabski sztylet. Mary przeszła do przodu i oparła się na ramieniu męża. Anna żałowała, że nie może w ten sposób iść z Rupertem, ale wiedziała, że nigdy do tego nie dojdzie. Kochała rodziców zbyt mocno, by zrobić coś, co mogłoby ich zranić. Wpatrzona w Ruperta modliła się o dość siły, żeby mu nie ulec.

Kiedy tylko ją zobaczył, jego oczy rozbłysły. Anna nie przypuszczała, że stary jak świat banan „jego oczy rozbłysły” może mieć w sobie choćby cząstkę prawdy, ale oczy Ruperta naprawdę lśniły. Poczowała, że także w jej spojrzeniu zapala się ogień. O Boże, pomyślała, miłość to taki kicz.

Ostatkiem woli zwalczyła nagłą pokusę, by pobiec do kuchni i przygotować smakołyki dla ukochanego. Dlaczego nie ma tu Marty o smutnym uśmiechu? Ona wiedziałyby, co robić. Ciocia Kitty zapewne powiedziałyby, że ma przestać się przejmować i iść z Rupertem do łóżka. Anna żałowała, że ciotek nie ma u jej boku. Zanim się obejrzała, już podawała Rupertowi rękę.

- Bardzo dziękuję za przepiękne kwiaty - uśmiechnęła się uprzejmie.

- Ależ nie ma za co - odparł szarmancko. - Kelner zdradził mi, że panie zamówiły szampana na śniadanie. Nie mogłem się powstrzymać, by nie okazać paniom mojej sympatii. Nieczęsto zdarza się, że taki staruch jak ja ma okazję obcować z tak pięknymi młodymi damami. - Uśmiechnął się do Mary Rose. - Moja droga, wygląda pani po prostu bosko.

Anna poczuła nagłe ukłucie w sercu. Nie знаła jeszcze tego uczucia. To pewnie zazdrość, pomyślała. Nie podobało jej się to wcale. Odwróciła się do Mary.

- Mamusiu, nie wiem jak ty, ale ja jestem głodna jak wilk. Co zamówimy na kolację? - Mimo bólu, jaki to jej sprawiało, ignorowała Ruperta podczas całego posiłku.

Kiedy biesiadnicy zaczęli przechodzić do sali balowej, została na miejscu.

- Jestem bardzo zmęczona - powiedziała głośno. - I troszkę boli mnie głowa. Mam nadzieję, że państwo wybaczą mi nieobecność. - Wybiegła z jadalni. Szła długimi, słabo oświetlonymi korytarzami. Czowała się jak pączek kwiatu, któremu nigdy nie będzie dane rozkwitnąć. Wpadła wreszcie do swojej kajuty. Przekręciła klucz w zamku i oparła się o drzwi, dysząc ciężko. Stała w ciemnym pokoju, objawszy się ramionami. Ból powrócił z pełną siłą, ale wiedziała, że nie wolno jej ulec cierpieniu. Musi żyć dalej, dzień po dniu. Za trzy dni przybiją do brzegu. Wtedy opuści Ruperta na wieki. Być może każda kobieta spotyka w życiu jakiegoś Ruperta. Wspomnienie Johnny'ego Corony do dziś sprawiało ból jej matce. Może dzięki tej nieszczęśliwej miłości nauczy się czegoś. Nie poddam się, pomyślała dumnie. Wyciągała właśnie rękę, by zapalić mosiężną lampę, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

- Kto tam - zapytała przerażona. I tak wiedziała, kto to.

- Rupert. Anno, martwię się o panią.

- Nie ma powodu. - Wiedziała, że odpowiada niegrzecznie, ale była zbyt zdenerwowana, by silić się na uprzejmość.

- Proszę, niech pani otworzy. Chcę się tylko przekonać, że u pani wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest, Rupercie. Może pan wracać do gości.

- Jeśli pozwoli mi pani się zobaczyć, odejdę, obiecuję to. Westchnęła. - Dobrze, otworzę drzwi, ale nie wejdzie pan do środka. Rupert był podniecony. Oto osiemnastoletnia dziewczyna, która ośmiela

się mu oprzeć. Zazwyczaj kobiety i dziewczęta same rzucały mu się w ramiona. Pragnął Anny, ale jednocześnie chciał ją chronić.

112

Uchyliła drzwi. Rupert oparł się o nie całym ciałem. Ciężkie drzwi ustąpiły i Anna stała naprzeciw niego całkowicie bezbronna. Objął ją i przyciągnął do siebie. Ich usta spotkały się w namiętym pocałunku. Anna nie miała pojęcia, skąd pamięta smak ust Ruperta, ale ich wargi się znały. Wtuliła się w niego jak zmarznięty gołąb szukający ciepłego schronienia. Przez to samo okno, przez które słońce widziało jej łzy, podglądał ich księżyc.

Wzniósł się wyżej i uśmiechnął. Jego siostra, złota słoneczna kula, często widywała łzawe ranki po namiętych nocach. Dla nich będzie to piękna noc, pomyślał żeglując przez nieboskłon. Gwiazdy świeciły jasno. Droga Mleczna skrzyła się złotem. Orion zamierzył się mieczem na Jowisza, który wkroczył na jego odcinek niebios.

- Podły gnojku! - krzyknął Orion znany w przestworzach z nieprzebierania w słowach.

- Chyba raczej: szczęśliwy gnojku - Jowisz co chwila zerkał na ziemię. - Wiesz, byłem w tym całkiem niezły, oczwście w swoim czasie. Tak sobie czasem myślę, że miło byłoby na chwilę wrócić na ziemię.

Anna słyszała echa gwiazdnych kłótni. Nie mogła złapać tchu. Drżała, wstrząsana dreszczem namiętności. Rupert chciał ją podnieść. Całym ciałem czuła jego nagle napięte mięśnie.

- Nie, Rupercie. - Odepchnęła go delikatnie. - Nie wolno nam się kochać. Jesteś żonaty. Nie mogłabym zrobić tego twojej żonie.

Rupert odetchnął głęboko. - Rozwiode się z nią. - Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. - Naprawdę. Anno. Zrobię wszystko, byle tylko zatrzymać cię u mego boku. - Na Boga, chyba straciłem resztki rozumu, stwierdził w myśli.

Potrząsnęła głową. - Proszę cię, Rupercie, idź już. Obiecałeś, że pójdziesz.

- Dobrze. - Puścił ją i Annę owiał zimny wiatr żalu. Rupert odwrócił się na pięcie i odszedł. W pokoju panowała przerażająca cisza.

Serce dziewczyny wypełniała bolesna pustka. A więc tak bardzo boli samotność, pomyślała zamykając drzwi. Podeszła do okna i spojrzała w górę, na księżyc i gwiazdy. Czuję się jak Julia, zwierzyła się trylionom małych klejnocików.

Ale nie masz żadnego Romea, odparły gwiazdy.

Wiem o tym; Anna rozplakała się ponownie.



23

Następnego ranka samotnie przechadzała się po pokładzie. Ukryła oczy za ciemnymi okularami. Kiedy się odwróciła, wpadła wprost w ramiona Ruperta.

- Musimy porozmawiać - oznajmił stanowczo.

- Nie mamy o czym, Rupercie. Masz żonę. Nie powinieneś spotykać się ze mną na osobności. Moi rodzice byliby wściekli, gdyby się o tym dowiedzieli.

- Wiem. - Rupert był tak smutny, że dziewczyna zmiękła.

- O co ci chodzi? Na tym statku jest wiele kobiet, które możesz mieć w każdej chwili. Dlaczego ja?

- Nie wiem, Anno. Czuję się jak chutliwy satyr polujący na młodą dziewczynę. Uwierz mi, nigdy dotąd nie doświadczyłem czegoś takiego.

Z jego oczu wyczytała, że mówi prawdę, a to czyniło wszystko jeszcze trudniejszym. - Proszę Rupercie, nie komplikuj sprawy! Błagam! Będę jadać w swojej kajucie. Nie zniosę dłużej tego bólu. Pozwól mi odejść. Czas uleczyć rany.

Nie zwracał na nic uwagi. Tulił ją z całych sił. - Nie mogę, Anno! Po prostu nie mogę.

Ostrożnie wysunęła się z jego ramion i zrobiła krok w tył. - Rupercie, nasze gwiazdne drogi krzyżują się, ale nie łączą. Nie mamy szans. Ból twojej żony byłby wiecznym cieniem na naszej miłości. Nie jestem i nigdy nie będę jak Mary Rose. Chcę mieć własnego mężczyznę, a nie cudzego męża. Zegnaj, Rupercie. - Odwróciła się i pobiegła do kajuty, gdzie po raz kolejny upadła na łóżko i pogrążyła się we łzach.

113

Mary zapukała do zamkniętych drzwi. - Czy przyjdiesz na lunch, Anno? - Z rozpaczą patrzyła na zapuchnięte, pełne łez oczy córki. - Och, kochanie, wiem, jak bardzo cierpisz. Idź, umyj buzię, a ja zamówię dla nas coś pysznego.

Powiem ojcu, żeby poszedł do jadalni z Mary Rose, bo musimy porozmawiać jak matka z córką. - Wyszła.

Anna spojrzała w lustro. Wyglądała równie źle, jak się czuła.

Wróciła Mary. - Ojciec kazał przekazać ci, że cię kochą i że zajrzy po lunchu. Na co masz ochotę, kochanie? - Mary studiowała menu.

- Nie jestem głodna. - Obojętnie zerknęła w kartę.

- Weźmiemy homara i butelkę Pouilly-Fuisse.

Mary złożyła zamówienie, usiadła na kanapie i zapraszającym gestem pogładziła miejsce obok siebie. - Usiądź, córeczko. Porozmawiamy o Rupercie.

- Mówi, że mnie naprawdę kocha.

- Wierzę mu, kochanie. - Mary uśmiechnęła się smutno. - Ale musisz pamiętać, że jeśli mężczyzna okłamuje żonę, może, i pewnie to zrobi, oszukać również ciebie. - Westchnęła. - To smutne, ale prawdziwe. Tyle moich przyjaciółek zaufało żonatym mężczyznom, którzy potem potraktowali je jak śmiecie. Dlatego nie wolno ci zaufać Rupertowi. Anna przytuliła się do Mary. - Chciałabym umrzeć, mamusiu. Mary pocałowała ją. - Ale nie umrzesz. Pócierpisz jeszcze trochę, a potem ból minie. Za dwa dni Rupert na zawsze zniknie z twego życia.

- Nie, nie na zawsze - poprawiła Anna. - Nigdy nie zapomnę ani jego, ani bólu, który mi zadał. To tak, jakby rozrywano mi serce na strzępy.

Zjawił się kelner z homarem i winem. Anna wypiła prawie całą butelkę. Potem Mary zaprowadziła ją do łóżka i otuliła ciężką brokatową kołdrą. Nie wiedziała, kto cierpi bardziej: Anna z powodu Ruperta, czy też ona, Mary, patrząc na ból swego dziecka.

Kiedy Daniel otworzył drzwi, Anna spała. Mary siedziała przy łóżku i trzymała córkę za rękę.

- Nic jej nie będzie, kochany - szepnęła.

Daniel musnął dłonią policzek śpiącej. - Jest za młoda, by tak cierpieć. - Stali obok siebie, wpatrzeni w jedyne dziecko.

- Poradzi sobie - zapewniła go Mary. - Każdy z nas miał kiedyś złamane serce. To doświadczenie nauczy ją ostrożności.

- Porachuję kości każdemu mężczyźnie, który się do niej zbliży - Daniel był zły. - Mam ochotę wybiczyć tego podleca.

- Nie trzeba, Danielu. On i tak cierpi. Chyba naprawdę kocha Annę, choć nie powinien był jej tego mówić. To bardzo samolubne z jego strony. Nie mogę się już doczekać, kiedy dopłyniemy do Anglii. Mam nadzieję, że w nowym kraju, wśród krewnych Anna szybciej o nim zapomni. - Mary sama nie wierzyła w to, co mówi. Szkoda, że nie ma z nimi Marty, pomyślała.

Schodząc z trapu, Anna odwróciła się i spojrzała w górę. Rupert patrzył na nią smutnym wzrokiem. Do niej i tak krwawiącego już serca wkradł się ohydny szczur i wbił w nią zęby i pazury. Ból nie pozwalał jej oddychać.

Mary widziała to pożegnalne spojrzenie i posmutniała. Pewnego dnia światło wróci do oczu Anny, ale na razie córkę otaczała ciemna chmura smutku. Mary Rose wykrzykiwała coś głośno.

- Do licha, Anno, przestań płakać tego faceta! Spójrz na mnie-właśnie rozstałam się z moim chłopakiem i wcale nie robię z tego tragedii

Mary rzuciła na nią okiem. - Moja droga, wkrótce się zakochasz! a wówczas zrozumiesz cierpienie Anny. - W jej głosie rozbrzmiewała niezachwiana pewność.

Mary Rose się wzdrygnęła. - Nigdy - oznajmiła twardo. - Żaden mężczyzna nie zdobędzie mojej duszy. - W milczeniu zeszedli na nadbrzeże.

Koło metalowej poręczy stała olbrzymia limuzyna. Anna nie zwróciła na nią uwagi; patrzyła na potężną cumę trzymającą statek na uwięzi. Mogłabym się na niej powiesić, pomyślała.

Z daimlera wyskoczył szofer w brązowej liberii i podbiegł do Daniela

- Czy państwo Kearney?

- Tak, po czym nas pan rozpoznał? - Daniel był zaskoczony.

- Chodziłem do szkoły z Jamesem Stephensem i on przysłał mi zdjęcie pańskiej rodziny.

- Coś takiego! Jaki ten świat jest mały! - Mary wyciągnęła dłoń. - Jestem Mary Kearney, a to moja córka Anna i jej przyjaciółka Mary Rose Buchanan.

115

Johnson uchylił szamerowanej złotem czapki. - Bardzo mi miło. - Otworzył tylne drzwi i Mary, Anna i Mary Rose wsiadły do samochodu. Anna usiadła twarzą do matki, a Daniel zajął miejsce koło córki.

Johnson i spocony bagażowy ładowali ich walizki do bagażnika. Większe kufry umieścili na dachu daimlera.

Anna nie zdjęła okularów. Bezpieczna za ciemnymi szklami, oddała się wspomnieniom o Rupercie. Jego ręce, twarz, szczeka. Dotyk jego ust na wargach. To wszystko należało już do przeszłości. Pamiętała pustkę w jego oczach, kiedy patrzyli na siebie po raz ostami. Więc tak bardzo boli złamane serce, pomyślała. Nigdy, przenigdy więcej.

Samochód ruszył. Statek był jednym z wielu okrętów cumujących w Liverpoolu.

Anna wyglądała przez okno. Jak tu brzydko, zauważyła. Sami biali. Brudne doki. Z rozrzewnieniem wspominała pełen życia port nowojorski. Tu, w Liverpoolu, ludzie byli cisi i smutni. Tam nadbrzeże mieniło się wieloma kolorami skóry: Chińczycy, Włosi, Murzyni razem pracowali w porcie. Tu wszyscy wyglądali jednakowo.

- Czy wszyscy Anglicy mają niebieskie oczy? - spytała ojca. Daniel się uśmiechnął. - Nie, nie wszyscy. Ale pamiętaj, to nie jest

Ameryka. Anglia jest znana z braku tolerancji wobec innych ras.

- W takim razie nie przypuszczam, by mi się tu podobało.

- Spodoba ci się na pewno - wtrąciła się Mary Rose. - Zaraz poznasz jakiegoś miłego chłopaka i zapomnisz o staruszkach Rupercie. Poczekaj, a się przekonasz.

Anna rzuciła jej mordercze spojrzenie. - A właśnie, że się nie przekonam! Już nigdy nie popełnię podobnego głupstwa. Raz mi wystarczy. Zostanę starą panną albo pójdę do klasztoru. Tak, to lepszy pomysł. Pójdę do klasztoru i będę się modlić za twoją duszę.

Mary się uśmiechnęła. W oczach Anny na chwilę pojawiła się blada iskierka wesołości. Zapomni o nim, stwierdziła matka. Na pewno o nim zapomni.

Czy można żyć ze złamanym sercem? Anna nie była pewna. Czy też raczej bez serca; Rupert zabrał je przecież na wieki. Nie wiedział teraz gdzie znajduje się właścicielka. Może odnajdzie ją i pewnego dnia Anna otrzyma małą paczuszkę z czerwoną wstążką. Na opakowaniu będzie napis „doreczyć do rąk własnych adresatki”. Nie wierzyła, że to kiedyś nastąpi.

Tak więc pierwszy dzień nowego życia zaczęła bez serca. Nadal cierpiała. Z trudem zmusiła się do wstania z łóżka. Miała zejść na dół i zjeść śniadanie w wielkim wiejskim domu w Devon.

Mieszkańcy domostwa powitali ich późnym wieczorem. Johnson pomógł Annie wysiąść z samochodu i dziewczyna domyśliła się, że wie o jej smutku. Widziała wielką mądrość w jego oczach.

Wypiła bardzo dużo francuskiego wina i po kawie poszła spać. Potrzebowała samotności. Chciała leżeć na miękkiej kanapie przy oknie patrzeć i czekać, po prostu czekać na koniec życia.

Wyrzła na dwór. Na środku trawnika pysznił się olbrzymi świerk. Kojarzył jej się z sędziwą staruszką noszącą halki z zielonej flaneli. Drzewo musiało być bardzo stare. Świadomość, że świerk będzie rósł jeszcze długo po tym, jak ona i Rupert umrą, przynosiła jej ulgę. Drzewo było uosobieniem stałości i siły. Od stuleci trwało dumnie w tym samym miejscu. Nic nie mogło go zniszczyć.

Anna uśmiechnęła się po raz pierwszy od przyjazdu. Niedługo do ciebie przyjdę, obiecała drzewu. Ja i Jane Austen ułożymy się w twoim cieniu. Pragnęła zagłębić się w dziełach ukochanej autorki. Znajdowała pociechę

112

w jej bystrych obserwacjach i złośliwych komentarzach. Chociaż Jane Austen umarła ponad sto lat temu, jej słowa były równie pełne życia jak wówczas, gdy zostały napisane. Jednak czas jest względny, pomyślała, pudrując twarz. Westchnęła i otworzyła drzwi. Na korytarzu stała Mary Rose.

- Jak spałaś? - zapytała delikatnie. - Zeszłej nocy kiepsko wyglądałaś.

Anna machnęła ręką. - Byłam bardzo zmęczona. Ból wyczerpuje bardziej niż dalekie podróże.

Mary Rose ze zrozumieniem pokiwała głową. - Tak, wiem. I dlatego właśnie nigdy już tego nie zrobisz, co?

- Nie, nie zrobię, możesz być spokojna. - Samą Annę dziwiła gorycz i samotność, jaką odczuwała. Nie mogła nikogo obwiniać o to, że została sama. Rupert nie porzuciłby jej, ale nie wolno mu było jej kochać. Co za parszywy układ, pomyślała, idąc za Mary Rose.

Weszły do obszernej jadalni. Przez chwilę stały w progu i przyglądały się dużej rodzinie. Wszystko wyglądało podobnie jak podczas wspólnego posiłku Kearneyów nowojorskich, tyle że tu nie przestrzegano tak surowo zasad

dobrego wychowania. Angielscy kuzyni siedzieli zgarbieni, na co Mary nigdy by nie pozwoliła. Amelia Kearney była duża, zaborczą kobietą. Jej bluzkę wypychał dziwnie niekształtny biust. Tłusty brzuch wylewał się nad sztruksowych spodni. Kiedy wstała, by powitać dziewczęta, zobaczyły, że ma na sobie grube męskie skarpety i buty z niewyprawionej skóry. Spod stołu dochodziły jęki, skowyty i warczenia. Anna zastanawiała się, czy pani Kearney nie ukrywa tam przypadkiem chorego psychicznie krewniaka. Ale nie, z każdej strony widziała merdające ogony sfory psów.

- To teriery. - Pani Kearney uprzedziła pytanie Anny. - Ostre psi-ska. - Wymierzyła kopniaka w sam środek kudłatego kłębowiska. Anna się wzdrygnęła. - Siadajcie dziewczęta. Oto moi synowie: Crispin, Charlie i Shane. - Trzej mężczyźni uśmiechali się i kiwali głowami.

Crispin machnął szczupłą ręką. - Cześć. Wybaczcie, że nie powitałem was wczoraj, ale byłem na przyjęciu u Fanshawów. Macie szczęście, że was ominęło. Okropne, po prostu okropne.

Mary Rose usiadła do stołu.

- A to Teresa i Catherine. Noszą imiona świętych, bo tak sobie życzył ojciec.

Pułkownik Kearney uniósł głowę nad talerza jajecznicy na boczku. Uśmiech blady jak rzęsy i oczy albinosa pojawił się na wąskich wargach. Był ciągle pochylony, jakby bez przerwy szukał czegoś na ziemi. Pomachał im widelcem i wrócił do jedzenia.

Crispin zabawiał młode Amerykanki rozmową. - Nie oczekujcie, że Shane się do was odezwie. On prawie nigdy nie mówi, co, Shane? Dalej, powiedz coś do naszych gości.

Shane nieśmiało spojrział na Annę. - Cześć - szepnął.

g - Dwie drogi

Do jadalni wkroczyli Daniel i Mary. - Doprawdy, Amelio, macie wspaniały dom - oznajmił Daniel. - Spóźniliśmy się, bo zabłądziliśmy wśród tyłu korytarzy.

Dopiero teraz Anna zauważyła różnicę w akcencie ojca i Anglików. Jego głos był męski i głośny. Ucieszyła się, widząc entuzjazm w oczach rodziców. W porównaniu z nimi, angielscy krewni byli bezbarwni.

Domyślała się, że Mary Rose szacuje trzech młodych Kearneyów. Nie myliła się.

Crispin to z pewnością homoseksualista, zdecydowała Mary Rose. No, może nie homoseksualista, ale napewno ma kłopoty z kobietami. Jest zbyt kobiecy, by wszystko było z nim w porządku. Charlie jest zbyt prostacki. Usiadł do śniadania w brudnych bryczesach i ubłoconych butach. Absolutnie nie! Mary Rose z obrzydzeniem zmarszczyła nos. Czyli zostaje Shane. Prezentował się nieźle, ale był tak nieśmiały, że zastanawiała się, czy będzie musiała się z nim zaręczyć, żeby zaciągnąć go do łóżka. Dziewczyny wyglądały jak ciężarne lamy. Ukradkiem uszczypnęła Annę w udo. Ta odpowiedziała jej kopnięciem w kostkę.

Amelia przyniosła talerze szarej, kleistej brei i postawiła je przed gośćmi. Dziewczęta spojrzały podejrzliwie na dziwną substancję.

- Jedzcie, jedzcie - namawiała pani Kearney. - Dobrze wam to robi. To owsianka. Wszystkie moje dzieci jedzą ją na śniadanie. Od razu polecicie do toalety. Widzicie, ranne wypróżnienie to bardzo ważna sprawa, prawda, Shane? Co wieczór muszę dawać Shane'owi suszone śliwki. Wiecie, ma kłopoty z wypróżnianiem. Taki wstyd. To przez te indyjskie przyprawy, które zajada z takim apetytem. Ostrzegałam go, ale czy mnie słuchał? A skąd! No i teraz ma za swoje.

Daniel i Mary siedzieli naprzeciwko siebie. Anna widziała, że matka zagryzła wargi, żeby nie parsknąć śmiechem, w końcu jednak udało jej się zapanować nad sobą.

- Wiesz, Amelio, dziękuję za owsiankę. Mam za to wielką ochotę na jajka na bekonie.

- Och, oczywiście, możesz jeść co chcesz - odparła Amelia. - Ale kucharka będzie wściekła. Nie cierpi, kiedy goście wybrzydzą na jej jedzenie. Chociaż, może lepiej to zniesie, jeśli jej wytłumaczę, że jesteście cudzoziemcami. Tak, to powinno zadziałać. Nie cierpi cudzoziemców.

Anna nie mogła już powstrzymać śmiechu. - Ależ pani Kearney, przecież wszyscy jesteśmy cudzoziemcami. Wszak pochodzimy z Irlandii, prawda?

- Mów do mnie po imieniu, kochanie. W tym domu nie zwracamy uwagi na etykietę.

Teresa zwróciła się do Anny. - Catherine i ja nie mogliśmy się doczekać waszego przyjazdu. - Mówiła szczerze; jej wargi drżały z przejęcia. - Chciałybyśmy was przedstawić wszystkim naszym przyjaciołom. Na jutro zaplanowałyśmy małe przyjęcie.

120

Crispin z pogardą wyduł usta. - Zapewniam was, że wynudzicie się w towarzystwie ich znajomych. Zaprosiłem też moich przyjaciół. Są o wiele ciekawszy i bardziej zepsuci. - Uważnie popatrzył na Mary Rose. - Jestem przekonany, że ci się spodoba, Mary Rose. - Przeniósł wzrok na Annę. - Ale dla ciebie, miła, ładna dziewczynko, są stanowczo zbyt dekadency.

Anna poczuła się urażona jego szczerością. Miała nadzieję, że nie wszyscy Anglicy są równie otwarci.

Charles energicznie kiwał głową. - O tak, to prawda. Przyjaciele Crispina są dokładnie tak zepsuci i ohydni, jak mówi. To wina mamy, bo nazwała go imieniem swego pierwszego kochanka.

Mary jęknęła cicho, zdumiona, i spojrzała na Daniela. Uśmiechał się. Choć nieco dziwaczni, angielscy krewniacy okazali się zabawnymi ludźmi. Nie przeszkadzał mu ich ekscentryzm. Stanowili miłą odmianę po spokojnych przyjaciołach w Nowym Jorku.

Lato w Anglii zapowiadało się ciekawie.



26

Anna uważnie rozglądała się dookoła. Cóż, z całą pewnością jest tu inaczej niż w domu, uznała. Mary Rose stała tuż obok. Do niej właśnie zbliżał się Crispin. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Mary Rose, chciałbym byś poznała moich przyjaciół, zanim dopadną cię znajomi dziewcząt, nudni jak flaki z olejem. - Spojrzał na Annę. - Chodź z nami, kochanie, choć obawiam się, że nie przypadną ci do gustu.

Mary Rose zmarszczyła brwi. - Dlaczego uważasz, że spodobają mi -się twoi, jak to określasz, dekadencyjni przyjaciele?

- Kochanie, z daleka widać, że jesteś perwersyjną neurotyczką. Pozbawiona towarzystwa ludzi mego rodzaju, zaczynasz się nudzić i manipulować, kim się da. Czy nie mam racji?

Anna parsknęła śmiechem. - Nigdy dotąd - wysapała między jednym paroksyzmem śmiechu a drugim - nikt nie rozgryzł Mary Rose w takim tempie.

Crispin wzruszył lekceważąco ramionami. - To żadna sztuka. Wszyscy jesteśmy młodzi i znudzeni. A jednocześnie wcale nie chcemy dorosnąć, prawda, Mary Rose?

Zacisnęła usta. - Wiesz, Crispinie, jesteś zbyt głupi, by z tobą dyskutować. Gdzie są ci ludzie?

- W pokoju myśliwskim. Czyszczą broń. Chodźcie. - Szły za nim, wpatrzona w smukłą wysoką sylwetkę.

Ściany holu pomalowano smutną, zieloną farbą. Z długiego korytarza wionęło chłodem, podobnie jak z całego domu. Oczywiście wyobraźni jednak Anna widziała ten budynek w latach świetności, kiedy stał, dumny

121

i piękny, w świetle słońca. Kiedyś pielęgnowano ogród i altanę z wielkim oddaniem, ale teraz także one były smutne i zapuszczone. Zamiast dwudziestu, zatrudniano tylko dwóch ogrodników i pomocnika. Resztę personelu stanowili Johnson - szofer i pani Dobbs, nerwowa kucharka.

- Jesteśmy na miejscu. - Crispin otworzył ciężkie dębowe drzwi. Anna zmrużyła oczy, porażone słonecznym światłem. Naliczyła pięciu mężczyzn siedzących w półkolu. Wstali, kiedy zobaczyli dziewczęta.

- Mam zaszczyt przedstawić wam uroczę panny Mary Rose Buchanan i Annę Kearney, która, na swoje nieszczęście, okazała się moją kuzynką -Crispin uśmiechnął się krzywo.

Wszyscy mężczyźni byli wysocy, mieli blond włosy i niebieskie oczy.

Wszyscy z wyjątkiem Ralpa. Anna polubiła go od razu wyłącznie dlatego, że w ogóle nie przypominał Ruperta.

Zerknęła na Mary Rose. Ona także, z zalotnym uśmiechem, oceniała w myśli nowo poznanych.

- Dzień dobry. - Anna wyciągnęła rękę do Ralph. Wziął ją w swoje dłonie i pocałował. Dziewczyna się zarumieniła. Ralph spojrzął na nią, unosząc pytająco brew. Anna uznała, że jest to mężczyzna, który rozumie i lubi kobiety. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nazywam się Ralph Fanshaw. - Podał rękę Mary Rose, ale nie pocałował jej. .

Inni mężczyźni przedstawiali się po kolei, ale Anna nie mogła zapamiętać wszystkich imion. O ile się nie myliła, na grubasa mówiono Kluska, co nie wydało jej się zbyt uprzejme. Oprócz niego w pokoju myśliwskim byli Kot, Królik i Słoń.

- Mam pomysł, Crispin - głos Ralph wybił się nad inne. - Przejdźmy z paniami do biblioteki. Teresa i Catherine na pewno już ich szukają. Zresztą, właśnie skończyłem czyścić strzelbę. Jeszcze tylko muszę ją schować. - Zrecznie wsunął dubeltówkę do futerału i wstał.

- A więc, drogie amerykańskie przyjaciółki, chodźmy.

**Crispin** intrygował Annę. Po pierwsze, nie była pewna, czy interesują go kobiety, czy mężczyźni. Było w nim coś, co nie pozwalało tego dokładnie określić. Po drugie, jego twarz. Kojarzyła jej się z pyskiem owczarka collie - była równie wąska, długa i rasowa. Crispin był przystojny ową niepokojącą, doskonałą urodą, którą tylko mały krok dzieli od brzydoty. Miał jasną, niemal chorobliwie bladą cerę i złote włosy które opadały na czoło niesfornymi falami. Najdziwniejsze jednak były oczy. Jedno spojrzenie w ich lodowatą głębię wystarczyło, by zapomnieć, że jeszcze przed chwilą wydawał się miłym, wrażliwym chłopcem. Jego wzrok zabijał ranił, rozkazywał. Crispin przywodził na myśl wilka-wyglądał, jakby się ciągle skradał. Był wiecznie na łowach i nie ufał nikomu z wyjątkiem przyszłych ofiar.

Anna się zdrygnęła. Crispin patrzył na nią zimnym wzrokiem i chłodnymi wargami musnął jej dłoń. Nie był to jednak niewinny pocałunek. Jego usta szukały władzy. Chwilowo nie zwracała na to uwagi. Chciała być zajęta. Nowi ludzie, których miała poznać, stanowili doskonałe lekarstwo na tęsknotę za Rupertem.

Biblioteka okazała się dużym, niskim pomieszczeniem. Dwie pary oszklonych drzwi prowadziły na trawnik, pośrodku którego królował świerk Anny. Uśmiechnęła się do drzewa. Niedługo będziemy razem ty Jane Austen i ja, pomyślała. W tej chwili jednak była zadowolona, że może <sup>3</sup> x <sup>W</sup> P<sup>o</sup>k<sup>o</sup>J<sup>u</sup> Pe<sup>^</sup>ym tądzi i obserwować Teresę i Catherine uwijające się wśród gości. Zwiewne sukienki dziewcząt upodabniały je do Żółto-różo-  
123

Anna ciekawie rozglądała się po ciemnym pokoju. Od razu przypadł jej do gustu ciężki mosiężny żyrandol i masywne fotele koło kominka.

Było lato; otwarte drzwi wychodziły na ogród. Całą bibliotekę wypełniały głośnie pozdrowienia żab i świerszczy, które mówiły sobie dobranoc. Pszczoły i osy znikły już w ulach. Nadchodziła spokojna nocna cisza, przerywana jedynie głośnym wołaniem kukułki. Przez moment świat wydał się Annie cudownym miejscem, ale kukanie przerwało idyllę.

Westchnęła ciężko. Ilekroć spotykało ją coś miłego, świadomość, że Rupert nie może tego przeżywać wraz z nią, potęgowała ból. Czasami zastanawiała się, czy naprawdę go kocha; może tylko chciała się zakochać, a Rupert po prostu pojawił się na scenie w odpowiedniej chwili. Co za dziwna myśl.

- Chodź, kochanie. - Mary wzięła ją pod rękę. - Przejdźmy się po ogrodzie. Na dworze jest tak ślicznie... - Anna poczuła, że opuszcza ją napięcie, jak zawsze, kiedy Mary była w pobliżu. Jak to dobrze, że mam takich kochanych rodziców, pomyślała. Minęła Mary Rose, zajęta uwodzeniem Słonia. . .

Kiedy przekraczała próg, wiatr uniósł skraj jej sukienki i figlarnie odsłonił zgrabne nogi. Poczula na sobie wzrok Crispina i zadrżała. Miała nadzieję, że Mary Rose będzie się trzymać od niego z daleka.

W drugim końcu ogrodu dostrzegła ojca. Stał, wysoki i elegancki, i uprzejmie słuchał potoku słów płynących z ust Amelii. Zachichotała.

- Tata wesoło spędza czas.

Mary odpowiedziała uśmiechem. - Tak, bawimy się doskonale. - Od kilku dni nękało ją poczucie winy; ona i Daniel rozkoszowali się swoją miłością, a córka cierpiała samotnie. - Czy czujesz się już lepiej, kochanie?

- Chwilami tak. Ale jeszcze dużo czasu upłynie, zanim dam sobie radę z tym wszystkim. Nigdy, przenigdy nie przypuszczałam, że zakocham się w żonatym mężczyźnie. Powtarzam sobie, że to nie była miłość, lecz banalne zauroczenie, ale w głębi serca wiem, że to nieprawda. Należeliśmy do siebie. Kiedy wiesz, że do kogoś należysz, wydaje się, że znaliście się od zawsze i że zawsze będziecie razem, do śmierci i później. I dlatego tak bardzo boli to, że musiałam odejść i porzucić miłość, która jeszcze nie zdążyła rozkwitnąć. Pocieszam się jednak, że dzięki temu przynajmniej wiem, czym jest prawdziwe uczucie. Miliony ludzi pewnie nigdy nie zazna mego cierpienia. Wiem jednak, czego szukać następnym razem. O ile, oczywiście, będzie następny raz!

Płakała otwarcie, nie mogła opanować łez. Mary objęła ją ramieniem.

- Ależ kochanie, oczywiście że będzie następny raz, masz na to moje słowo. Poznasz odpowiedniego mężczyznę i twoje serce od razu ci powie, że to on. Będzie dobrym, uczciwym, wiernym człowiekiem. Dorastanie jest zawsze bolesne, ale z czasem ból złagodnieje, a Rupert stanie się tylko wspomnieniem. Jestem z ciebie dumna. Kiedyś będziesz wspominać to lato u boku męża i moich wnuków.

Anna uśmiechnęła się przez łzy. - A ile ich chcesz, mamó?

- Najlepiej tuzin, kochanie. Ile tylko dasz radę.

- OK, umowa stoi. A teraz wracajmy do gości. Ralph wygląda sympatycznie. Chciałabym z nim porozmawiać.

Ralph był pogodny i normalny. On także miał za sobą niedawny zawód miłosny. Obojgu dobrze robiła możliwość rozmowy z osobą o podobnych doświadczeniach.

Pod koniec przyjęcia stwierdziła ze zdziwieniem, że spędziła bardzo miły wieczór. Rozejrzała się po sali. Mary Rose siedziała koło Crispina i śledziła każdy jego ruch znajomym uwodzicielskim spojrzeniem spod wpełprzymkniętych powiek. To znaczy, znajomym Annie. Do licha, ona jest gotowa się w nim zakochać! Zauważyła, że Ralph także patrzy na Mary Rose.

- Jest piękna, nieprawdaż - zauważył od niechcienia. Poczula leciutkie ukłucie zazdrości. Wiedziała, że jej urodzie nie można nic zarzucić, jednak nie była równie efektowna jak Mary Rose.

- Ale, droga Anno, nie wolno ci zapominać o twojej piękności - dodał po chwili.

Zarumieniła się i opuściła wzrok. - Cóż, nie jestem taka jak Mary

- Ciesz się mną. Mary Rose to dziwka.

- To nieprawda. Ona... jest moją najlepszą przyjaciółką.

- W takim razie poradź przyjaciółce, żeby trzymała się z daleka od Cnspma. On także jest moim przyjacielem, ale nie polecałbym go nawet najgorszemu wrogowi. Jest bardzo niebezpieczny i uwielbia gry o władzę. Wiem o tym aż za dobrze - niemal zameczył moją siostrę.

- Co masz na myśli, Ralphie? Jakże Crispin mógłby kogoś zameczyć?

- Może to zrobić i zrobi. Pod uprzejmą, serdeczną maską kryje się mężczyzna, który jest gotów na wszystko, byle ukarać kobiety. Wszystkie kobiety. Każ twojej przyjaciółce zejść mu z oczu.

Widziała, że Ralph jest zdenerwowany. - Spróbuję, ale Mary Rose niełatwo coś wyperswadować. Ona także uwielbia gry o władzę.

Wieczór zbliżał się do końca. Goście powoli się rozchodzili. Kiedy umilkł warkot ostatniego samochodu, Anna poszła spać. Nie miała siły na rozmowę z Mary Rose. To musi poczekać do jutra.

Już zasypiając, dziękowała losowi za mężczyzn takich jak Ralph. Dzięki nim świat nie był już taki ponury jak przedtem.

Zielony morgan znikł za zakrętem. To Crispin i Mary Rose pojechali na plażę do Lyme Regis. Anna ze smutkiem śledziła ich odjazd. Jeszcze przed śniadaniem daremnie usiłowała nakłonić przyjaciółkę do zmiany planów.

- Mam w nosie, co ty o tym myślisz, Anno. To moje wakacje i spędzam je tak, jak chcę. Poradzę sobie z Crispinem. Przecież dawałam sobie radę z gorszymi od niego. Jeśli myśli, że będę jadła mu z ręki, jest w błędzie.

Anna zrezygnowała. Przekonała się, że kiedy Mary Rose się uprze, nic jej nie przeszkodzi w realizowaniu najbardziej szalonych planów.

- Dobrze. Rób jak chcesz, ale nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy Crispin cię skrzywdzi.

- Nie bój się, nie przyjdę. I tak chyba za często to robiłam. - Takie były jej ostatnie słowa, zanim odwróciła się na pięcie i odeszła.

W holu czekał na Annę Ralph. Zaproponował jej przejażdżkę konno.

- Naprawdę próbowałam ją ostrzec. - Ciągle myślała o Mary Rose. Po chwili dopiero odpowiedziała uśmiechem na uśmiech Ralpa.

Był bardzo przystojny i bardzo angielski. Miał ciemnobrązowe oczy, zupełnie inne niż Rupert. W ogóle w niczym go nie przypominał. Był od niego wyższy i szerszy w ramionach. Tego dnia miał na sobie bryczesy i niebieski kaszmirowy golf. Niecierpliwie uderzał szpicrutą o udo.

Annie, która włożyła džinsy i flauszowy żakiet, wydało się, że jest nieodpowiednio ubrana. Obiecała sobie, że po południu wyskoczy z matką po zakupy i sprawi sobie porządny angielski strój do konnej jazdy.

- Chodźmy już. Szkoda zmarnować taki dzień - ponaglał ją. - Pojedziesz na Nabob, mojej klaczy do gry w polo. Jest łagodna i posłuszna. -Ralph zmierzał już do drzwi. Anna pobiegła za nim.

Spędzili cudowne przedpołudnie. Galopowali przez zielone łąki, beztroscy i pogodni. Anna rozkoszowała się przejażdżką na młodej klaczy, drobnej i smukłej, o pięknych, wielkich oczach, która posłusznie reagowała na najłżejszy nawet ucisk kolan. Dziewczyna śmiała się głośno, zachwycona szumem wiatru w uszach. Nagle koń zatrzymał się, przerażony. Anna spojrzała na ziemię. Zobaczyła szarego węża z czarnym, lśniącym zygzakiem na grzbiecie. Zbladła jak ściana.

- Nie ruszaj się - polecił cicho Ralph. - Nabob sama wie, co ma robić. - Rzeczywiście, koń powoli wycofał się, krok po kroku, byle dalej od gotowego zaatakować gada.

- Co to za wąż? - Anna ciągle jeszcze nie mogła opanować drżenia głosu.

- Jedyna żmija spotykana w Anglii - żmija zygzakowata. Często można je spotkać na nasłonecznionych łąkach. Lubią wygrzewać się na kamieniach. Nabob pochodzi z Indii, więc przyzwyczała się do widoku węży.

- Wiesz, Ralph - Anna mówiła niepewnie, z wahaniem - kiedy spojrzałam na tę żmiję, miałam wrażenie, że patrzę na Crispina. On ma w sobie coś gadziego.

- To prawda. Widziałem, jak odjechał gdzieś z Mary Rose. Minałem się z nimi po drodze. Śmiała się z jego słów. Zobaczmy, co z tego wyniknie. Według mnie, związek dwojga zepsutych ludzi na pewno nie skończy się dobrze.

- Może masz rację. Ale z drugiej strony, lepiej niech to będzie Mary Rose i Crispin, którzy bez przerwy ranią innych, niż my dwoje. Przecież jesteśmy jak żywe trupy! - I znów ukłucie bólu. - Ale czas nas uzdrowi. Zawsze tak jest. - Te zdania były jej modlitwą od chwili przybycia do Anglii.

Ralph się uśmiechnął. - Dalej, ścigajmy się do domu. Pozwól Nabob prowadzić. Trafi do stajni z zawiązanymi oczyma. Puścili się galopem. Tętent kopyt ją uspokajał. Przynajmniej tę część swego życia miała pod kontrolą.

Po-południu Anna miała zamiar udać się do Exeter po zakupy. Ani Crispin, ani Mary Rose nie pojawili się na lunchu.

- Pewnie zabrał ją do Douglasów - zastanawiał się głośno Ralph. - Tam jest zawsze mnóstwo ludzi, a Crispinowi odpowiada liczne towarzystwo.

- Cóż, jeśli Mary Rose tak bardzo chce wpakować się w kłopoty, to jej sprawa. Zresztą, co mnie to obchodzi. Jadę z mamą do Exeter, żeby

wydać fortunę na strój do konnej jazdy. To twoja wina, Ralphie. Pozazdrościłam ci tak eleganckiego ubrania. - Zamilkła na chwilę. - Jak myślisz, czy mogłabym nauczyć się jeździć w damskim siodle? Widziałam takie siodło w stajni.

- No pewnie. - Z trudem powstrzymał uśmiech. - Kobieta w damskim siodle wygląda fantastycznie. Jeśli chcesz, udzielę ci kilku lekcji.

- Chętnie! - Anny już nie było. Pobiegła szukać Mary. Po drodze pomachała mu na pożegnanie. Ralph śledził wzrokiem smugę jasnych włosów znikających w ciemnym holu. Westchnął ciężko. Żałował, że nie zakochał się w dziewczynie jej pokroju. Niestety, ciągle wybierał kobiety, które go wykorzystywały i zostawiały. Życie jest dziwne, skonstatował filozoficznie. Oto spędzam wakacje z uroczą dziewczyną, uczę ją jeździć konno i wcale jej nie pragnę. Potrząsnął głową, zrezygnowany, i pochylił się, by pogłaskać kota, który ocierał się o jego nogi. Doprawdy, łatwiej zrozumieć zwierzęta niż kobiety. I mnie, i Annie złamano serce.

Po chwili humor mu się poprawił. Ralph wyprostował się i ruszył w stronę drzwi, pogwizdując wesoło. Co prawda mieli złamane serca, ale ich leczenie może okazać się świetną zabawą.

Anna była zachwycona Exeter, a zwłaszcza potężną, wiekową katedrą. Podniecona jak dziecko, dotykała grubych murów i wyglądała przez małe brudne okienka. Tyle razy czytała o ulicach brukowanych kocimi łbami; teraz miała historię pod nogami. Chciała śpiewać i tańczyć, wykrzyczeć to dziwne uczucie, które sprawiało, że ostrożnie, z namaszczeniem stawiała stopy na kamieniach.

- Mamusiu, jest mi tak lekko na duszy, że mogłabym latać.

- Wiem, kochanie. To wszystko jest takie ekscytujące. - Daniel upomniął ją, żeby nie oszczędzała, ale też nigdy nie był skąpy, zwłaszcza jeśli chodziło o Annę. Mary była zadowolona, widząc uśmiech na twarzy córki. Towarzystwo Ralph'a to najlepsze lekarstwo na jej cierpienie. Stała w progu sklepu i z rozkoszą wdychała zapach tweedów i kaszmirów. Wtedy właśnie poczuła, jak pierwszy kawałek jej złamanego serca wraca na swoje miejsce. Z zachwytem dotknęła długiej czarnej spódnicy. - To dobry materiał, panienko. Najlepszy z najlepszych. - Stary sprzedawca z zadowoleniem obserwował jej rozpromienioną twarz. Zazwyczaj Amerykanie, którzy odwiedzali jego sklep, zachowywali się głośno i niekulturalnie. Na szczęście od każdej reguły istnieją wyjątki i te dwie damy były tego najlepszym przykładem. - Proszę spojrzeć, jak starannie uszyta. Ma podwójne szwy. W całej Anglii nie znajdzie panienka lepszej spódnicy. - Och, wierzę panu. - Z rozkoszą zagłębiła palce w mięsisty materiał. - Mam nadzieję, że będzie na mnie dobra. - Możemy dopasować, jeśli będzie źle leżeć.



- Tak, tak, ale chciałabym bardzo już dziś zabrać ją do domu. - Znikła w małej przebieralni.

Spódnica pasowała znakomicie. Anna obracała się przed wielkim lustrem.

- Potrzebny mi jeszcze żakiet i koronkowy żabot pod szyję.

- No, no - mruknęła kpiąco Mary. - Widzę, że starannie odrobiłaś pracę domową.

Anna przebierała w niezliczonych fasonach żakietów. W końcu, po długim namyśle, skompletowała całą garderobę.

Wybrała żabot z najdelikatniejszej koronki, spływającej miękką kaskadą, i mały kapelusik do konnej jazdy.

Zawadiacko wcisnęła go na głowę i spojrzała na matkę. - Jak wyglądam?

- Cudownie. - Naprawdę wyglądała ślicznie. Mary była z niej dumna. Żeby wizerunek młodej amazonki był doskonały w każdym calu, dokupiły jeszcze szpicrutę z rączką z kości słoniowej.

Anna wesoło paplała przez całą drogę do domu. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła zaparkowany na podjeździe samochód Crispina.

- Dobrze, że już wrócili - stwierdziła radośnie. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy pokażę Mary Rose moje zakupy.

Weszły do holu. Już z daleka słyszały narastający gwar wielu głosów. Biblioteka była pełna ludzi.

Anna zatrzymała się na progu.

- **No**, dalej - popędzała ją Mary. - Pokaż im, co kupiłaś.

- Nie, mamusiu - Mary ledwo usłyszała jej szept wśród śmiechów i kłótni. - Nikogo to nie obchodzi.

Mary Rose stała w środku grupy. Anna z trudem powstrzymała łzy cisnące się do oczu: po raz kolejny czuła się wykluczona z rozbawionego grona. Znikła gdzieś beztroska, radość i zachwyt, z jakim kupowała swój ekwipunek amazonki. Wydawała się sobie głupia i dziecinna. Odwróciła się na pięcie i odeszła. W ślad za nią podążyła Mary. Dogoniła córkę na schodach.

- Kochanie, ani ty, ani ja i twój ojciec nie pasujemy do tych ludzi. Czy moglibyśmy nie zauważyć, że przestają rozmawiać, ilekroć wchodzimy do pokoju? Nasi kuzyni to uroczy ludzie, ale wybrali styl życia diametralnie różny od naszego. Wychowano cię tak, a nie inaczej, i naprawdę dobrze będzie ci tylko z ludźmi naszego pokroju. A Mary Rose odnajdzie sobie podobnych. - Nie chcąc ranić uczuć córki, nie dodała, że będą to ludzie o niskim morale. - Pomyśl tylko, jak bardzo spodobaś się Ralphowi w nowym ubraniu.

Anna uśmiechnęła się lekko. - Wiesz co... - W jej głosie pojawił się wcześniejszy entuzjazm. - Pójdę do siebie, przebiorę się i odwiedzę was w waszym pokoju. Uprzedź tatę, że przyjdę.

Zniknęła za drzwiami, a Mary odetchnęła z ulgą. Na szczęście nic nie mogło pozbawić jej córki optymizmu na długo.

130

- Hej! - Daniel gwizdnął z uznaniem. - Wyglądasz fantastycznie, kochanie! - Anna okręciła się dokoła własnej osi, zaczerwieniona z przejęcia.

- Zgadzam się z tobą, tatusiu! - Po raz kolejny zerknęła w wielkie ścienne lustro. Mały kapelusik skrywał upięte w kok włosy; dopasowany żakiet podkreślał smukłość talii. W czarnych butach do konnej jazdy, ze szpicrutą w dłoni, wyglądała jak prawdziwa angielska amazonka.

Nie powiedziała nic, ale nagle w powietrzu zawisło nieme pragnienie; chciałyby, żeby Rupert mógł ją zobaczyć. Rupert jednak był hen, na morzu. Nikt nigdy nie spełni tego życzenia. Do oczu Anny wrócił smutek.

## 29

Tygodnie mijały. Anna pokochała angielskich krewniaków. Daniel i Mary bawili się znakomicie. Nie starali się zrozumieć ekscentrycznego stylu życia kuzynów, ale też rzadko przebywali w ich domu. Zwiedzali wszystkie okoliczne zabytki, a potem udali się na wycieczkę po Walii i Szkocji. Dziewczęta zostały w Devon, nie chcąc rozstawać się z nowymi znajomymi.

Ralph okazał się prawdziwym przyjacielem. W jego ramionach Anna odnalazła pocieszenie. Potrafił tak delikatnie tulić i całować. Nie było między nimi tematów tabu. To dzięki niemu ponownie nauczyła się śmiać podczas długiego złotego lata.

Uwielbiała pływać zawsze w zimnej wodzie i spacerować po szerokich plażach zatoki Charmouth. Zwiedzali atrakcje turystyczne, chociaż o wiele bardziej interesowała ją angielska przyroda. Polne kwiaty były drobne i delikatne, zupełnie inne niż duże, agresywne rośliny amerykańskie. Kochała małe, nieśmiałe fiołki i urocze niezapominajki. Tak jak sobie obiecała, spędzała całe popołudnia pod starym świerkiem, czytając Jane Austen. Dopiero teraz mogła w pełni zrozumieć i docenić ironiczny styl wielkiej pisarki. Zeby to naprawdę dostrzec, pomyślała, trzeba chyba pomieszkać z moimi kuzynami. Wszystko, co robią lub mówią, jest dwuznaczne.

- Dlaczego - zapytała kiedyś Ralpa - Crispin się na mnie złości, kiedy mówię „kanapa” zamiast „sofa”?

Przez chwilę nie odpowiadał, pogrążony w myślach. - Po pierwsze, jego zachowanie jest bardzo niekulturalne. Jesteś przecież Amerykanką

126

i mówisz innym językiem. Szczerze mówiąc, uważam, że przyczyną jego postępowania jest okropny snobizm angielskiej arystokracji. Chcą i starają się mówić tak, by ich nie rozumiała reszta ludzi. Nie mogę sobie odmówić drażnienia Crispina i ciągle powtarzam, że ilekroć z nim przebywam, ogarnia mnie *ennui*. Według jego kodeksu nie wypada używać francuskich słów, więc wścieka się na mnie.

Anna pokiwała głową. - Wyszkolił też Mary Rose. Nie powie już „lustro”, tylko „zwierciadło”. - Opuściła głowę. - Ralph, ona chyba nie jest szczęśliwa.

Wzruszył ramionami. - Przecież ją ostrzegałaś. Nie możemy nic zrobić. Zaproponowałem jej wczoraj grę w tenisa, ale nie, wolała wypatrywać Crispina! Szkoda, że człowiek tak inteligentny jak on marnuje swój potencjał na paranoiczne gierki z kobietami. Oczywiście spóźnił się i zaczęła robić mu wyrzuty. W odpowiedzi zwymyślał ją tak, że słyszałem ich aż z kortu. Grałem z Kluską. Opowiadał mi, że dziewczyna, z którą się spotykał po tym, jak Crispin

ją rzucił, zwierzała mu się, iż Crispin w łóżku jest jak zachłanne dziecko. Naprawdę podnieca go wrzeszczenie na kobiety.

Anna się wzdrygnęła. - To okropne. Biedna Mary Rose.

Później chciała z nią porozmawiać. Siedziały w oranżerii, jedynym zadbanym pomieszczeniu w domu. To tu Amelia spędzała niemal cały czas, ubrana w workowatą spódnicę, starą koszulę i zniszczone tenisówki męża. Tego dnia jednak najwyraźniej znalazła sobie jakieś zajęcie gdzieś indziej.

Mary Rose siedziała cicho w wiklinowym fotelu. Miała na sobie białą sukienkę z krótkimi rękawami, jedwabne pończochy i buty na bardzo wysokich obcasach. Na stoliczku obok niej leżał piękny biały kapelusz z szerokim rondem. Była gotowa sięgnąć po niego, kiedy tylko usłyszy kroki Crispina.

- Anno, spóźnił się już godzinę.

- Moja droga, przecież on się zawsze spóźnia. Czy nie widzisz, że robi to specjalnie?

- Nie obchodzi mnie to. Kocham go i wyjdę za niego.

- Poprosił cię o rękę? - Anna starała się nadać głosowi obojętne brzmienie, choć była przerażona.

- Jeszcze nie, ale ciągle opowiada o naszej wspólnej przyszłości, więc pewnie wkrótce się oświadczy. Potrzebuje moich pieniędzy, bo jest bez grosza.

- Naprawdę? Myślałam, że jest bogaty.

- Nie, wszystko co ma, dostał od kochanek. Nawet samochód kupiła mu jakaś kobieta.

- Mary Rose, i ty naprawdę chcesz wyjść za mężczyznę, którego interesują wyłącznie twoje pieniądze?

- Tak, za Crispina tak. Dobrze się rozumiemy.

- Według mnie to szaleństwo, ale ty sama musisz podjąć decyzję.

- Chyba przyjechał, zdawało mi się, że słyszałam jego samochód. - Mary Rose zerwała się z krzesła. - Poczekam na niego w holu.

Anna obserwowała ją ze ściśniętym sercem. Współczuła jej. Crispin upatrzył sobie łatwą zdobycz. Teraz krążył wokół niej jak głodny wilk. Po raz pierwszy Mary Rose oddała komuś inicjatywę. Anna wiedziała, że jej przyjaciółka jest nie partnerką, ale ofiarą Crispina. Najgorsza była świadomość, że Mary Rose wstępuje na drogę, z której nikt, nawet najlepsza przyjaciółka, "nie będzie mógł jej zawrócić. Przypomniała sobie Justina i to, jak Mary Rose igrała z nim, bawiła się jak kot złapaną myszą. Choć Anna nie lubiła go, teraz zrozumiała, że pasował do Mary Rose o wiele bardziej niż Crispin. Justin był nieszkodliwym, rozbawionym chłopcem. Kochał życie i żył pełną piersią. A Crispin miał na pieńku z całym światem i pragnął zemsty.

Jakie to smutne, pomyślała.

Tydzień później, na dziesięć dni przed planowanym wyjazdem Kearneyów do Londynu, wreszcie przybyły bliźnięta. Jeszcze w Nowym Jorku Daniel opowiedział o nich żonie i córce. Anna była wstrząśnięta. Do tej pory trucizna nienawiści kipiąca w Europie jej nie dotyczyła. Czytała

o faszyzmie w gazetach i słyszała strzępy rozmów przy obiedzie, wszystko to jednak działo się w krajach, których nigdy nie widziała, krzywdziło ludzi, których nie знаła. Jego opowieść zmieniła wszystko. Okrutna rzeczywistość wtargnęła do ich domu.

Kiedy Daniel pojechał służbowo do Włoch, poznał tam ojca bliźnięt. Z przerażeniem słuchał o narastającej fali nienawiści. Stary Włoch bał się nie tylko o swoje życie; o wiele bardziej męczył go niepokój o losy najbliższych. Ze łzami w oczach opowiadał Danielowi o jedynym możliwym wyjściu, czyli wysłaniu dzieci za granicę. Poruszony tym strasznym, lecz jakże odważnym wyborem, Daniel zaproponował, że im pomoże. Kierowało nim nie tylko współczucie. Nie zapomniał jeszcze swoich początków w Ameryce, kiedy był biednym irlandzkim imigrantem. Wiedział doskonale, że bez bezinteresownej pomocy innych nie osiągnąłby dzisiejszego dobrobytu. Obiecał, że zaopiekuje się bliźniętami w Anglii. Uprzedził też Annę, że być może zabiorą młodych Włochów do Ameryki i udzielią im gościny w swoim domu.

Mario i Fosca Biancharini, mniej więcej w wieku Anny, wyglądali, jakby przeżyli koszmar. Słabo mówili po angielsku, więc Anna rozmawiała z nimi po francusku, ratując się co chwila angielskimi słówkami. Niewiele jednak rozmawiano owego pierwszego wieczora; bliźnięta były zmęczone, zagubione i onieśmiałe nowym otoczeniem. Po kolacji Anna zaprowadziła ich na górę, do sypialni. Co prawda wcześniej już pokazano im przeznaczone dla nich pokoje, ale widziała, jak niepewnie poruszają się po całkowicie obcym domu.

W pokoju Maria Fosca nieśmiało zapytała, czy w Anglii jada się makaron.

Anna się uśmiechnęła. - Chyba tak. Wiem za to na pewno, że w Nowym Jorku jada się olbrzymie ilości makaronu, bo mamy całą dużą włoską dzielnicę.

Mario ciekawie rozglądał się po obskurnym pokoiku. - Czy twoi kuzyni są bardzo biedni? - zapytał nagle.

- Nie, z tego co wiem, nie. Anglicy po prostu nie lubią marnować pieniędzy na siebie. Wolą je wydawać na konie i polowania. Przynajmniej tak uważam. - Zamilkła na chwilę. - To musiało być dla was okropne; zostawić rodziców i przyjaciół i przyjechać do obcego kraju.

W oczach Foski załśniły łzy. - Tak. Ale nasi rodzice żyli w wielkim niebezpieczeństwie. Faszyści są wszędzie. Z rozkazu Mussoliniego miasta oklejono plakatami nawołującymi ludzi do szpiegowania się wzajemnie. Na szczęście w naszym miasteczku, Asciano, nie ma wielu faszystów... na razie. Mimo to rodzice muszą się ukrywać. Ich przyjaciele z ruchu oporu szykują kryjówki na wypadek, gdyby Niemcy przystąpiły do wojny i wciągnęły w nią Włochy.

Mario objął Foskę ramieniem. - Chciałem zostać i walczyć, ale ojciec powiedział, że najważniejszym obowiązkiem brata jest opieka nad siostrą.

Co za miły chłopiec, pomyślała Anna i się uśmiechnęła.

- Jestem przekonana, że szybko polubicie Amerykę - powiedziała wesoło. - W Londynie urządzimy sobie prawdziwą ucztę. Szczerze mówiąc, nie mogę już patrzeć na ryżowy pudding. Wiecie, przez całe lato zaczytywałam się powieściami Jane Austen. Teraz doskonale rozumiem, o co jej chodziło. Lubicie Jane Austen? - Zobaczyła pusty wyraz na ich twarzach i zwolniła nieco. - Chcecie tu zostać, czy zejdziecie ze mną na dół? Będziemy układać szarady. Ralph jest w tym świetny, zwłaszcza po jednej lub dwóch szklaneczkach whisky.

Mario potrząsnął głową. - Zostaniemy tutaj. Jesteśmy bardzo zmęczeni.

- W porządku. - Pocałowała oboje na dobranoc. Mario miał miękką, złotą skórę i pełne, ruchome usta, które Annie bardzo się spodobały.

Z wielkim żalem Anna zegnała się z Ralphem. Przytuliła się do niego mocno.

- Będę za tobą bardzo tęsknić. Dziękuję za cudowne lato. Nie wiem jak mogę ci się odwdzięczyć za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Spojrzał na zwróconą ku niemu twarz. - Wzajemnie, Anno. Cieszę się ze jesteśmy przyjaciółmi. Z żadną kobietą nie byłem tak blisko jak z tobą!

Zarumieniła się. - Obiecuj mi, że jeśli kiedyś będziesz w Ameryce koniecznie mnie odwiedzisz.

Uśmiechnął się i delikatnie pocałował ją w usta. - Obiecuję.

W środku nocy do pokoju Anny weszła Mary Rose. Było już po dwunastej i dziewczyna spała głęboko.

- Anno, Anno, obudź się!

Usiadła, nieprzytomna i zaspana. - Na Boga, Mary Rose, co się stało?

Przyjaciółka niecierpliwie zapaliła boczną lampkę. - Patrz. - Dumnie wyciągnęła rękę. Na serdecznym palcu połyskiwał pierścionek z wielkim brylantem.

- Ho, ho. - Anna była pod wrażeniem. - Crispin, jak przypuszczam?

- No pewnie. Zaręczyliśmy się.

Anna opadła na poduszki. Zmarszczyła brwi. Nie mogła powiedzieć Mary Rose tego, co wiedziała o Crispinie, gdyż ryzykowałyby utratę przyjaciółki. Rozsądniejszym wyjściem było czekać i mieć nadzieję, że, co z oczu, to z serca", jak mówi przysłowie.

- To cudownie - powiedziała głośno.

Mary Rose promieniała. - Tak bardzo mnie kocha. Nie pójdziemy do

130

łóżka, dopiero po ślubie. Wyobrażasz sobie? Mówi, że jestem inna niż pozostałe kobiety, dużo delikatniejsza. I że teraz, kiedy mnie odnalazł, nie spojrzy już na żadną.

Anna próbowała się uśmiechnąć. - To wspaniale. Cieszę się, że mu ufasz.

Oczy Mary Rose świeciły szczęściem. - Wiesz Anno, jestem zakochana. Po raz pierwszy jestem naprawdę zakochana. To cudowne uczucie. Miałaś rację. Nie ma we mnie szalonej namiętności, nic ze *Sturm und Drang*. -

Zamyśliła się na chwilę. - A propos *Sturm und Drang*, jak tam nasi Włosi?

- Dobrze, dziękuję. Chociaż wydaje mi się, że poczują się lepiej, kiedy stąd wyjedziemy. - Anna zapomniała już o senności. - Wczoraj grałam z nimi w tenisa i postanowiłam nauczyć się włoskiego. Mario obiecał, że mi pomoże.

- A właśnie, Mario. Dlaczego się w nim nie zakochasz? To taki przystojny chłopak.

- Proszę, Mary Rose, ani słowa na ten temat. Dopiero po kilku miesiącach udało mi się przestać myśleć o Rupercie. Nie mam zamiaru zakochać się ponownie. To beznadziejna sprawa. - Przechesała włosy palcami. - Wiesz, tęsknię już za Stevenem. Wczoraj dostałam od niego list. Pisze, że ma dziewczynę, i nawet przysłał mi jej zdjęcie. Wygląda całkiem sympatycznie. Jego matka jest wściekła, bo to nie Żydówka. Głupia siksa, wciąż powtarza. - Anna zachichotała. - A teraz, idź już, Mary Rose, i daj mi pospać. Przecież jutro musimy wcześniej wstać. Czeka nas jazda do Londynu.

Mary Rose ucałowała ją w policzek. - Dobranoc, Anno. Wracam do siebie. Będę podziwiał mój pierścionek. Chcę zobaczyć, jak migoce w promieniach wschodzącego słońca.

- Co z ciebie za romantyczka, Mary Rose.

- Żebyś wiedziała. - Zatrzymała się w drzwiach. - Anno, chyba postępuję właściwie, prawda?

Anna starała się odpowiedzieć jak najbardziej obiektywnie. - Mary Rose, nieważne, co ja myślę. Wiesz, że Crispin żeni się z tobą dla pieniędzy i zgadzasz się na to. Tak więc, dopóki będziesz o tym pamiętać, wszystko będzie w porządku.

Mary Rose odetchnęła z ulgą. - Na szczęście mam masę pieniędzy i możemy wydawać je razem, prawda? - Wyszła. Jej ostatnie „prawda?” zostało w pokoju, jak zagubione jagnię. To nie jest w porządku, myślała Anna, usiłując zasnąć. To wcale nie jest w porządku. Kiedy w końcu zapadła w niespokojny sen, widziała Mary Rose spadającą z wysokiej skały, na której szczycie stał uśmiechnięty złośliwie Crispin.



Samochód zatrzymał się przed Savoyem. Fosca i Mario uśmiechnęli się do Anny niemal równocześnie.

- Po kolacji pójdziemy do teatru - oznajmiła Mary.

Fosca z zachwytem kiwała głową. - Cieszę się na sztukę, ale naprawdę szczęśliwa jestem na myśl o hotelu. - Tego dnia włożyła granatową sukienkę z białym marynarskim kołnierzem. Anna ze smutkiem patrzyła, jak smukłe palce Włoszki splatają się i rozplatają. Bliźnięta starały się nie okazywać swoich uczuć, ale ona i tak wiedziała, że cierpią. Gnębiła ich nie tylko tęsknota za bliskimi, lecz także zmartwienie ogólną sytuacją. Cały hotel był pełen mężczyzn w mundurach. Wcześniej, na Trafalgar Square widzieli tłumy przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

- O, nowe wiadomości z Niemiec. - Daniel wyteżał wzrok, starając się odczytać nagłówek gazety, którą niósł przechodzień. - „Nadchodzi pokój”. Miejmy nadzieję, że to prawda - mruknął z powątpiewaniem.

Dosyć długo trwało załatwianie formalności w hotelowej recepcji, ale w końcu Kearneyowie i ich towarzysze udali się do pokojów.

Dyrektor, który od dawna znał Daniela, poprowadził jego i Mary. - Dla pana, naszego częstego gościa, i pana pięknej żony, wszystko, co najlepsze. - Z namaszczeniem otworzył drzwi apartamentu i przepuścił ich przodem.

Mary nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu. - Jak tu pięknie, Danielu. - Oparła dłoń na jego ramieniu. - Tyle opowiadałeś mi o tym hotelu, ale nigdy nie przypuszczałam, że może istnieć coś tak wspaniałego.

Roześmiał się głośno. - Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Anglii

137

w interesach, nie mieściło mi się w głowie, że w tak wielkim mieście jak Londyn są tylko zimne, niewygodne i brzydkie hotele. Dopiero Savoy spełnił moje oczekiwania. Dla Amerykanina to namiastka domu na obczyźnie. I jest to jedyne miejsce, gdzie można zjeść przyzwoity stek!

Dyrektor hotelu wycofał się dyskretnie. Bezbłędnie wyczuwał, kiedy trzeba zostawić zakochanych sam na sam. Zazdrościł Danielowi tak pięknej żony.

Daniel otoczył Mary ramieniem. Podeszli razem do okna zajmującego właściwie całą ścianę. U ich stóp płynęła Tamiza przecinana wstęgami mostów. Właśnie zapalono latarnie. Punkciki światła rozjaśniały szary mrok.

- Cudowny widok - szepnęła Mary. Daniel przyciągnął ją bliżej i delikatnie pocałował w usta. Uśmiechnęła się i odepchnęła go lekko. - Nie teraz, Danny, dzieci mogą tu przyjść w każdej chwili. Poczekajmy do wieczora.

Wymkniemy się wcześniej i zostawimy ich własnemu losowi.

Błysnął zębami w uśmiechu. - W takim razie zamówię kilka butelek Chambolle-Musigny i dopilnuję, żeby Mary Rose nie wypłała wszystkiego. To nasza noc, kochanie. Od tak dawna chciałem pokazać ci ten hotel i ten widok. Objęła go. - Danny, czy kiedykolwiek zestarzejemy się tak bardzo, że nie będziemy mieć ochoty na miłość? Potrząsnął głową z pełnym przekonaniem. - Nigdy, przysięgam ci. Puścił ją, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Anna wbiegła do pokoju. - Jak widzicie, jestem już gotowa. Bliźnięta właśnie się przebierają. Za to Mary Rose telefonuje do Crispina, więc jest w proszku.

Daniel z aprobatą spojrzał na córkę. - Wyglądasz naprawdę ślicznie. Zarezerwowałem stolik w River Room. Zwykle jadamy w American Grill, tam gdzie i pozostali amerykańscy biznesmeni. Dziś jednak świętujemy. Wszak to ostatni dzień cudownych wakacji. Anno, zejdź z bliźniętami do koktajlbaru. Dołączymy do was jak tylko się przebierzemy. Skinęła głową na znak zgody, ale nie wychodziła z pokoju. Podeszła do okna, zafascynowana widokiem. - Spójrzcie na rzekę. - Nie potrafiła odejść od szklanej tafli. Nadszedł już wieczór; opadł miękko jak jedwabna suknia na piękne kobiece ciało. Rzeka, która do niedawna połyskiwała w bladym jesiennym słońcu, zmatowiała. Anna wyczuwała zmiany zachodzące w ciemnej toni. Tamiza skrywała wiele tajemnic w swych głębinach.

Właśnie tam, przy owym wielkim oknie, Anna po raz pierwszy poczuła, że Rupert staje się częścią przeszłości. Stała bez ruchu. Daniel i Mary obserwowali ją bezradnie, dzieląc jej ból. Mary przytuliła się do męża.

Anna wpatrywała się w przeszłość niewidzącym wzrokiem. Dobry Boże, modliła się, mam nadzieję, że naprawdę o nim zapomnę. Wiedziała, że musi odzyskać dawną formę. Złote lato minęło. Teraz wracała do domu, do ojczyzny.

Od jutra zaczynam nowe życie w Ameryce, przyrzekła sobie.

Odwróciła się i obdarzyła rodziców bladym uśmiechem. - OK, poczekamy na was w barze.

Mary ucałowała ją i odprowadziła do drzwi.

- Ona nadal cierpi - stwierdziła z ciężkim westchnieniem, kiedy córka wyszła.

- Niestety. Ale czas ukoi ból, zawsze tak jest. Na Boga - roześmiał się smutno. - Przez całe lato powtarzaliśmy to zdanie.

Mary odwzajemniła jego uśmiech. - Pewnego dnia wypowiemy je po raz ostatni.

Tego wieczora w hotelu grał amerykański big-band. Dźwięki muzyki uświadomiły Danielowi, jak bardzo tęsknił za Nowym Jorkiem. Brakowało mu szczerego entuzjazmu i bezpretensjonalnego stylu życia przybranych rodaków. <sup>J</sup>

W Anglii często czuł się nieswojo. Brytyjczycy uważali Amerykanów za barbarzyńców. Nie znosił Anglików za rzucane mimochodem antysemityczne uwagi. Także Kearneyowie z Devon ulegli masowemu rasizmowi Pułkownik nie wyrażał się inaczej o Włochach niż „makaroniarze”. Irlandczycy byli dla niego „patrysiami”. Daniel nie wytrzymał i zwrócił mu uwagę, że on także jest „patrysiem”. - Niestety - odparł pułkownik.

Obcując z Anglikami, Daniel często przeklinał luki w swoim wykształceniu. W towarzystwie krewniaka był głupim, niedouczonego ignorantem. Wiedział, że amerykański system edukacyjny nie da światu wielkich naukowców i myślicieli. Być może wynikało to stąd, iż w Anglii dzieci wyrastały wśród zabytków, w atmosferze przesyconej historią, w przeciwieństwie do Ameryki, kraju nadal młodego. Pewnie dlatego Amerykanie są mistrzami nauk przyszłości. Tworzą bowiem przyszłą kulturę narodową.

Usiadł przy stole. Te rozważania-mogą poczekać. Wkrótce będzie w domu, z Mary. Wtedy będą rozpatrywać wszystkie szczegóły, ponownie przeżywając całe wakacje.

Do stolika podszedł *mattre d'hotel*. Widok Daniela sprawił mu przyjemność. W całym hotelu rozpowiadano już, że pan Kearney przybył w towarzystwie trzech ślicznych dziewcząt, ale ich uroda błędnie w porównaniu z pięknnością jego żony. *Mattre d'hotel* był Włochem i, jak większość jego rodaków, gustował w kobietach dojrzałych. Na widok Mary jego oczy rozbłysły.

- Witamy państwa serdecznie. - Ukłonił się. Mimo długoletniego pobytu w Anglii, nadal zachował włoski akcent.

Mary się uśmiechnęła zachwycona jego miękką, śpiewną wymową.

- Piętro - Daniel wskazał Annę. - To moja córka Anna i jej przyjaciółka, Mary Rose. - Piętro skłonił się i uściskał im dłonie. - A ci młodzi ludzie to twoi rodacy, którzy płyną z nami do Ameryki. To Fosca i Mario Biancharini. No, dzieciaki, uśmiechnijcie się.

Piętro spoważniał. - Może nie mają powodu, żeby się uśmiechać. Zagaił do bliźniąt po włosku. Mario z zapalem kiwał głową, a Fosca

140

się rozpromieniła. Oboje byli szczęśliwi, że mogą porozmawiać z kimś

o swoich obawach. Już po chwili trójka Włochów zapomniała o bożym świecie.

Anna ciekawie rozglądała się po dużej, kwadratowej sali. Większość stolików była zajęta. Siedzący przy nich ludzie do złudzenia przypominali angielskich Kearneyów i ich przyjaciół. Kilka metrów od Daniela i Mary, przy długim stole, siedziała większa grupa. Anna oceniła wszystkich biesiadników na mniej więcej trzydzieści lat. Mężczyźni mieli muchy pod szyją, kobiety wystroiły się w wieczorowe suknie. Dumnie prezentowały duże ciężkie piersi w głębokich dekoltach. Anna pomyślała, że wszystkie te biusty razem przypominają wodospad, gotów za chwilę wylać się z jedwabi i koronek. Gdyby wszystkie sześć piersi po lewej stronie jednocześnie wypadło, efekt równałby się pęknięciu tamy. Po raz pierwszy Mary Rose mogła się schować. Anna nie omieszkała podzielić się tymi spostrzeżeniami z przyjaciółką. Mary Rose odrzuciła ciemne włosy do tyłu i prychnęła: . .

- Owszem, Angielki mają duże cycki, ale nie wiedzą, co z nimi robie.

- A skąd wiesz?

- Crispin mi powiedział. Według niego, po prostu leżą i czekają, aż mężczyzna skończy.

- Może Crispin zna Virginie? - zachichotała Anna.

- A żebyś wiedziała. Tutaj wszyscy znają wszystkich, więc jeśli kichniesz w Gloucester, „na zdrowie” powiedzą ci w Dorset. - Mary Rose wzruszyła ramionami. Nudziła się i prawdopodobnie będzie się nudziła aż do ponownego spotkania z Crispinem.

Po kolacji przeszli do koktajlbaru. Wkrótce już Mary wirowała w ramionach Daniela. Tańczyli walca. Anna się zarumieniła. Mario zauważył jej czerwone policzki i poprosił ją do tańca.

- Nie jestem pewien - powiedział po francusku - czy tańczycie walca tak samo jak my, ale pozwól, że ci pokażę nasz sposób. - Objął ją zadziwiająco mocno i poprowadził na parkiet. Kiedy wirowali po sali, zorientował się, że Anna jest ciągle spięta.

- Czy ten taniec budzi w tobie złe wspomnienia? - spytał. Skinęła głową, chwilowo niezdolna mówić.

- Ja także zostawiłem ukochaną w Asciano. Musieliśmy się rozstać. Nie będzie mnie tak długo, że na pewno znajdzie sobie innego. Była taka piękna.

Anna widziała smutek w jego oczach. Tańczyli wtuleni w siebie, każde zagłębione we własnych wspomnieniach, a jednak znajdujące pociechę w ramionach partnera.

Pierwszy wieczór po podróży Kearneyowie spędzili w domu Kitty gdzie zebrała się reszta rodziny, by ich powitać. Był tam również Steven, stęskniony za Anną.

- Bardzo mi cię brakowało. - Jego oczy lśniły szczęściem. Uważnie się jej przyglądał. - Jak się czujesz? Mam na myśli wiesz, tę sprawę na statku.

- Napisałam do ciebie długi list - odparła. - Ale potem podarłam go na kawałki. Powiedz lepiej, co słyhać u twojej dziewczyny? - Oboje najchętniej uciekliby z pełnego śmiechu domu i zaszyli się w cichym kaciku.

Ponowne spotkanie ze Stevenem pozwoliło Annie zrozumieć jak ważna jest dla niej ich przyjaźń. Od tak dawna stanowił część jej życia, że kiedy nie był u jej boku, miała wrażenie, że straciła kawałek siebie Podobnie, a jednak zupełnie inaczej czuła się po rozstaniu z Rupertem.

Teraz zdążyła jeszcze serdecznie uścisnąć dłoń Stevena, zanim Kitty zapędziła całą rodzinę na herbatę. Wydawało się, że nawet przy wielkim mahoniowym stole nie starczy miejsca, ale w końcu wszyscy siedzieli wygodnie. Kitty królowała u jednego końca stołu, Joe, jej mąż, pełnił rolę gospodarza z drugiej strony. Joe nie posiadał się z radości, że Daniel przywiózł dwójkę jego rodaków. Zaraz wybuchnął potokiem włoskich słów.

- Mówiłem do nich po włosku - oznajmił po chwili z szerokim uśmiechem - i patrzcie, zrozumieli.

Mario i Fosca kiwali głowami i śmiali się głośno.

142

- Drogi chłopcze - Joe zwrócił się do Maria. - Dla ciebie i twojej siostry osobiście udam się do kuchni i ugotuję makaron. Nie robiłem tego od wielu lat. No, ale też nie ma co poświęcać się dla durnych Amerykanów. Nie potrafią docenić prawdziwego spaghetti. „Nie za dużo oliwy, kochanie” - zapiszczał z przesadzonym amerykańskim akcentem. - „Pamiętaj, od tego dostajesz sraczki, i bez czosnku, kochanie, bo potem śmierdzi ci z ust”. - Joe promieniał. - Chodźcie, *ragazzi*, pomożecie mi.

- Ależ Joe, przecież kolacja jest już gotowa - zaprotestowała Kitty, choć wiedziała, że to tylko strata czasu.

- Zaraz wracam. Zostawcie sobie dużo miejsca w brzuchach! - Wesoło zbiegł po schodach, pogwizdując arię Pucciniego.

Mary uśmiechnęła się do męża. Od pewnego czasu martwiła się o bliźnięta. Uratować dwoje dzieci to jedno. Zaopiekować się dwójką właściwie dorosłych ludzi to drugie. Szybko zauważyła, że pod wieloma względami bliźnięta były dużo dojrzalsze od Anny.

Rozejrzała się po pokoju. Dopiero kilkumiesięczna nieobecność uświadomiła jej, jak względny jest czas. W życiu Kitty i Marty wszystko było po staremu. Szwagierki nie zmieniły się ani trochę.

- Obawiam się, że mamy dla was złe wieści - zaczęła Marta. - Chodzi o ojca O'Briana. Tuż przed waszym przybyciem miał wylew.

Anna uniosła głowę. - Ale wyzdrowieje, prawda, ciociu?

- Mam nadzieję, Anno. Ma sparaliżowaną lewą stronę ciała, ale rozpoznaje nas i troszkę mówi. - Posłała bratanicy uśmiech pełen otuchy. Bardzo się zmieniła, pomyślała, patrząc na Annę. Moje złociste dziecko straciło część blasku. Świat, niestety, robi to każdemu z nas. Osad stłumi światło duszy, ale nie na długo. Była dumna z Anny, że postąpiła właściwie, wtedy, na statku. Cały czas martwiła się jej nieszczęśliwą miłością, o której czytała w listach od Mary.

- Jutro idę odwiedzić ojca O'Briana - zwróciła się do bratanicy. - Może pójdziesz ze mną?

- Bardzo chętnie, ciociu Marto. - Annie od razu zrobiło się lżej na duszy.

Jednym uchem przysłuchiwała się rozmowom przy stole. Mary Rose opowiadała Stevenowi o Crispinie i pokazywała swój pierścionek zaręczynowy. James i Daniel omawiali nowe trendy w ogrodnictwie.

Zastanawiała się, gdzie jest dziewczyna Stevena, kiedy do salonu wkroczyła kucharka z kolejnym ciastem. Imbryk z herbatą krążył dokoła stołu. Wielokrotnie napełniano go wrzątkiem tego popołudnia. Mała pokojówka biegała do kuchni i z powrotem w szalonym tempie.

- Dziękuję, Kathy - powiedziała w końcu Kitty. - Możesz już iść. Sama się wszystkim zajmę. Wyobrażam sobie, jaki bałagan Joe zrobił w kuchni.

Kathy się rozpromieniła. - To cudownie, pani Rapillano.

- Wychodzisz gdzieś ze swoim chłopakiem, Kathy?

- Tak, idziemy na *Top Hat* z Fredem Astaire'em i Ginger Rogers. Już kilka razy widziałam ten film.  
- Nigdy dość oglądania *Top Hat*, jeśli jest się zakochanym. - Pełny biust Kitty uniósł się w dramatycznym westchnięciu. Nie mogła jednak perorować dalej, bo oto do pokoju wkroczył Joe, dumnie niosąc półmisek parującego spaghetti. Tuż za nim szli Mario z garnkiem sosu i Fosca z tarką w jednej i kawałkiem parmezanu w drugiej ręce.

- Czas na prawdziwe jedzenie! - krzyknął Joe.

Mary obserwowała bliźnięta. Po raz pierwszy śmiali się beztrząsco. Niech Bóg błogosławi Joe Rapillana, który będzie dla nich namiastką ojczyzny.

Odetchnęła z ulgą i podała swój talerz.

33

Anna przeżyła szok, kiedy dowiedziała się, że ojciec O'Brian leży w szpitalu dla ubogich. - Dlaczego, na Boga, nie umieściliście go w prywatnej klinice? - pytała Martę. - Jestem pewna, że tatuś opłaciłby dodatkowe pielęgniarki w dobrym szpitalu!

- Kochanie, ojciec O'Brian nie chciałby opuścić swoich podopiecznych. Zresztą, sam wybrał życie w ubóstwie. I nie myśl, że Kitty i ja nie robiłyśmy wszystkiego, co w naszej mocy, by go przekonać!

Szły długim korytarzem. Zewsząd śmierdziało moczem i brudem. Anna starała się nie zaglądać do sal, gdzie istoty, które z trudem można by nazwać ludzkimi, jęczały i głośno lamentowały. Mały szpitalik był w jej oczach piekłem. Nagle, gdzieś z zakamarków pamięci wypełzły wspomnienia okrutnych poczynań Anglików w Irlandii. Tutaj jednak lekarze i pielęgniarki robili co mogli, aby ratować chorych.

W ich stronę zmierzał nagi mężczyzna. W ręku trzymał oklapłego członka, a z szeroko otwartych ust zwisał mu język. Mężczyzna podszedł do Marty i próbował coś powiedzieć. Uspokajającym ruchem oparła mu dłoń na ramieniu. A potem... Anna raptem poczuła, jak strumień spokojnej energii, który Marta wysyłała do chorego, dochodzi także do niej. Po raz pierwszy od wielu, wielu dni było jej naprawdę dobrze. Zaczęły swędzieć ją dłonie, nagle cieplejsze o dobrych kilka stopni od reszty ciała. Pytająco spojrzała na Martę.

- Masz uzdrawiające dłonie, Anno, tak jak ja. Nie obawiaj się tego. - Nagi mężczyzna odszedł już. - Czekałam na chwilę, w której twój dar się ujawni. Widzisz, kochanie, wszyscy ludzie mają te same zdolności, ale

144



tylko niewielu umie z nich korzystać. Moim zdaniem tymi umiejętnościami potrafią się wykazać ci, którzy współczują, ale i cierpią bardziej niż inni.

- Czy to dlatego nie masz dzieci, ciociu Marto?

- Nie wiem, może. Widzisz, dzieci nigdy nie było na mojej linii życia. Kiedyś bardzo mnie to martwiło, ale potem urodziłaś się ty. Zawsze byłaś mi raczej córką niż bratanicą. - Otworzyła prawą dłoń. - Widzisz tę linię na samym środku? - Anna skinęła głową. - To właśnie jest linia przeznaczenia. Jest wyraźna i długa. - Zamilkła. Bez słów sięgnęła po dłoń Anny. Obie pochyliły nad nią głowy.

Anna pierwsza podniosła wzrok. - Jest taka sama jak twoja. Mamy identyczne linie przeznaczenia.

Marta nie odpowiedziała od razu. Zmarszczyła brwi, zamyślona.

- Anno, kiedyś, nie teraz, dużo później, nadejdą dla ciebie ciężkie czasy. Widzę to w twojej dłoni. Pamiętaj jednak, że cokolwiek nastąpi, ty wyjdiesz z tego bez szwanku. Wybrano cię, byś wypełniła szczególne zadanie. Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale ma to coś wspólnego z ratowaniem ludzi.

Marta potrząsnęła głową, jakby zdziwiona własnymi słowami. Kobiety zatrzymały się przy szerokich schodach.

- Pewnego dnia przypomnisz sobie tę rozmowę. - Zaśmiała się gorzko. - Wiesz, to zabawne. Dlaczego wizje nachodzą w najmniej odpowiednim czasie? Dlaczego nie widziałam tego u siebie w domu, przy popołudniowej herbacie? Czasem mam bardzo wyraźne wizje, kiedy na przykład siedzę w wannie. Wtedy wyskakuję szybko i byle jak owinięta ręcznikiem biegnę wszystko zapisać.

Doszły do szczytu schodów. - Anno, tylko się nie przestrasz. Ojciec O'Brian wygląda bardzo źle. Pożegnaj się z nim. Być może zobaczysz go po raz ostatni. Twoi rodzice przyjdą dziś wieczorem. Widzę ciemny cień dokoła niego. I co chwila łapie się za pierś. To znak, że dusza chce już opuścić ciało i udać się do Stwórcy.

Anna poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Nadal brakowało jej babki, a teraz umierał ojciec O'Brian, którego znała przez całe życie.

Marta prowadziła. Szły przez posępną salę. Oddział dla mężczyzn, jak domyśliła się Anna.

Większość pacjentów leżała na wznak. Milczeli, wpatrzeni w sufit. Między łózkami uwijała się drobna pielęgniarka. Poprawiała kołdry i wstrząsała poduszki. Nic jednak nie było w stanie słumić wszechobecnego kwaśnego zapachu niedomytych ciał i ostrego odoru moczu.

Anna starała się nie marszczyć nosa, ale przychodziło jej to z trudem. Marta spokojnie szła naprzód. Wreszcie, na końcu szeregu łóżek, Anna dostrzegła ojca O'Briana. Nigdy nie był gruby, ale teraz zostały z niego tylko skóra i

kości. Żyły na szyi przypominały liny okrętowe. Jego duże dłonie nerwowo szukały czegoś na klatce piersiowej. Patrząc na te ręce,

146

Anna zauważyła, że kurtka od pizamy jest krzywo zapięta, pochyliła się więc i doprowadziła ją do porządku. Stary ksiądz poczuł jej dotyk. Otworzył oczy i spróbował się uśmiechnąć. Był to żalony, chwytający za serce grymas.

- Anno, to ty? - szepnął niemal bezgłośnie.

Uśmiechnęła się do niego jak mogła najcieplej, wkładając w ten uśmiech całą swoją miłość. Ojciec O'Brian był jej najdawniejszym, najbliższym przyjacielem. Teraz umierał. Marta ją przytuliła. - On jest w dobrych rękach. Uwierz mi.

- Anno, wróciłaś? - mówienie stanowiło dla niego wyraźny wysiłek. Przysunęła usta do jego ucha. - Tak, ojcie.

Wróciłam na dobre. Będę

cię codziennie odwiedzać i dopilnuję, żebyś wyzdrowiał. - Wiedziała, że to puste słowa. Ojciec O'Brian nie zabawi długo na tym świecie. Jego oczy nie widziały już rzeczywistości, wpatrzone w inne wymiary. Ucałowała go w zimny policzek. Potem ucałowała duże dłonie, które nosiły ją, gdy była dzieckiem, i nakryła je kołdrą. Ojciec O'Brian zasnął lub zemdlął.

Marta odciągnęła ją od łóżka. - Chodźmy już, Anno. Zapraszam cię na herbatę. On odnalazł pokój: doczekał twego powrotu, a wieczorem zobaczy twoich rodziców.

- I myślisz, że umrze dziś w nocy?

- Tak mi się wydaje, kochanie. Jest gotów do drogi. Ma za sobą wspaniałe życie w służbie Bogu. Umrze we śnie.

Anna płakała otwarcie. Wiedziała, że zwraca tym na siebie uwagę, ale to jej nie obchodziło. - Och, Marto, dlaczego w życiu musimy tyle cierpieć?

- Bo poprzez cierpienie się uczymy. Tylko w ten sposób naprawdę poznajemy świat. Większość ludzi ucieka przed bólem. Ty jednak musisz nauczyć się przyjmować go z uniesioną głową. Teraz cierpisz... zaakceptuj ten ból. Uczynić go swoim przyjacielem. Pozwól mu przychodzić, zalewać cię falami cierpienia. Powoli, powoli zaczniesz słabnąć. Wtedy ojciec O'Brian będzie ciepłym, pogodnym wspomnieniem.

Wtedy ojciec O'Brian będzie ciepłym, pogodnym wspomnieniem.

- Wiem o tym. ale bardzo za nim tęsknię. I on, i babcia byli dla mnie tacy ważni. Nadal mi jej brakuje, a teraz odchodzi także i on. Dlaczego utraciłam oboje?

- Nigdy ich nie utracisz. Zawsze będą z tobą. Ich dusze są nieśmiertelne. Jeśli tego pragniesz, ojciec O'Brian i Biddy zawsze będą u twego boku. Lepiej jednak pozwolić im odejść i żyć dalej. Wszak na ziemi spędzamy tak mało czasu. Stały na progu szpitala. Karetki pogotowia zatrzymywały się co chwila, wyrzucały pacjentów i znów odjeżdżały. W oczach Anny była to nieskończona rzeka rannych i chorych. Niektórzy mieli połamane ręce i nogi. Wielu leżało na noszach. Prawie wszyscy krwawili. I znów pojawiło się wspomnienie innych ludzi, rannych i krwawiących. Z całą wyrazistością powrócił obraz ojca O'Briana, który patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, kiedy po raz pierwszy zobaczyła jego okaleczoną twarz.

Resztką sił odepchnęła ponure wspomnienia. Marta zatrzymała taksówkę. Milczały przez całą drogę. Późnym wieczorem ze szpitala wrócili rodzice. Mary miała oczy zapuchnięte od łez. Daniel był błydy jak ściana. Wszedł prosto do salonu i nalał sobie i żonie po szklance brandy. Głośno zawołał córkę. Anna zatrzymała się na schodach. Nie chciała wejść do salonu nie chciała usłyszeć strasznej nowiny. W końcu zebrała się na odwagę.

- On nie żyje, prawda? - zapytała cicho.

- Tak, umarł na moich rękach. - Danielowi drżał głos. Anna podeszła do ojca i go objęła.

- Wiem, co czujesz tatusiu. Tak mi przykro. Był naszym najwierniejszym przyjacielem. <sup>J</sup>

Mary dołączyła do nich i stali tak, spleceni ramionami. Ojciec O'Brian przebył długą drogę, zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Teraz jego podróż dobiegła końca. Zaczęła się w 1866 roku w powiecie Mayo ubogim zakątku Irlandii, wciąż trwającej niemal w średniowieczu, i doprowadziła go aż do Nowego Jorku lat trzydziestych. Jak na zwykłego człowieka o prostej wierze, przebył tę drogę godnie i sprawiedliwie. Pamiętał o tym, co było, ale z otwartymi rękami witał przyszłość Dla Anny, podobnie jak dla wszystkich Kearneyów, stanowił pomost, ogniwo wiążące ich z przeszłością, o której tak łatwo zapomnieć w ferworze terażniejszości.

Anna chciała znów być dzieckiem. Chciała, żeby słońce nigdy nie zachodziło. Chciała, żeby ona i Steven nadal chodzili do szkoły. Bycie dorosłą jest zbyt skomplikowane, pomyślała, szukając pociechy w ramionach rodziców. Ona jednak miała przynajmniej gdzie szukać otuchy. Fosca i Mario nie mieli nawet tego.

### 34

Następnego ranka Anna pośpieszyła do Maria, by powiedzieć mu o śmierci ojca O'Briana. Choć od powrotu z Anglii upłynęło niewiele czasu, zaprzyjaźnili się bardzo. Szukała u niego pocieszenia i je otrzymywała. Mario znał życie. Miała wrażenie, że nigdy nie był dzieckiem. Być może to przebywanie w wiejskiej posiadłości, wśród dziewiczej natury sprawiło, że bliźnięta wydorosłały zaskakująco szybko.

Anna zapukała do drzwi. Po chwili nacisnęła klamkę i weszła do pokoju. Mario leżał na łóżku otoczony książkami.

- Ojciec O'Brian umarł - oznajmiła ze ściśniętym sercem. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

Uniósł na nią nieprzytomny wzrok. Domyślała się, że dopiero tłumaczy jej słowa z angielskiego na włoski.

Rzeczywiście, po chwili w jego oczach dostrzegła współczucie.

- Tak mi przykro, Anno. Zorientowałem się już, że wszyscy bardzo go kochaliście. - Jego zrozumienie i zatroskanie sprawiły, że rozplakała się ponownie.

Podeszła do łóżka. Mario już na nią czekał z otwartymi ramionami. Nie zastanawiając się ani chwili, przytuliła się do niego. Zamknął ją w silnym uścisku, Szeptał coś bezgłośnie i pieścił jej włosy.

Mary zobaczyła ich, mijając pokój Maria w drodze do ogrodu. Przemknęła cichutko obok otwartych drzwi, zadowolona, że jej nie zauważyli. Bardzo polubiła bliźnięta. W głębi duszy liczyła, że Mario zajmie w sercu Anny miejsce Ruperta. Chciała, by jej zięciem został mężczyzna o tylu zaletach.

Z uśmiechem na twarzy pobiegła do Daniela, który stał zamyślony nad stawem.

- Wiesz, mój kochany, wcale się nie zdziwię, jeśli Anna i Mario się w sobie zakochają. Obserwowałam go. Wodzi za nią wzrokiem, ilekroć są w jednym pomieszczeniu. Co ty na to?

Daniel wznosił oczy ku niebu. - Uważam - mruknął, przyciągając ją do siebie - że powinnaś przestać bawić się w swatkę. Masz zbyt przystojnego męża, żeby marnować czas na cudze romanse. - Pocałował ją mocno.

Po chwili wyzwoliła się z jego objęć, zdyszana i zarumieniona.

- Danielu Kearney, zachowujesz się jak nienasycony irlandzki wieśniak! I to zaraz po śniadaniu! Skandal!

Westchnął ciężko. - Mary, staram się zachować dobry humor, ale już teraz bardzo brakuje mi ojca O'Briana. Był ostatnim ogniwem łączącym mnie z Irlandią. Wiem, jak bardzo chciał tam wrócić, wiem, jak tęsknił za naszym powiatem. Ale obaj ślubowaliśmy, że nasza stopa nie postanie na irlandzkiej ziemi, dopóki są tam Brytyjczycy. Cóż, nie odeszli z Irlandii za jego życia i nie odejdą pewnie za mego.

Mary wzięła go pod rękę. - Chodźmy do domu. Muszę zadzwonić do zakonnicy i omówić szczegóły pogrzebu. Tak, będzie nam brakować ojca O Bnana, ale pomyśl, Danielu: przeżył wiele lat i umarł w pokoju. Czegóż **więcej** można pragnąć?

Patrzył na mądrą, spokojną, cierpliwą żonę i zastanawiał się, czy kiedyś podobne cechy obudzą się w jego nadwrażliwej córce. Wątpił w to.

Po rozmowie z Mariem Anna czuła się na siłach przyjąć wizytę Mary Rose. Był z nią Crispin, najbardziej enigmatyczny człowiek, jakiego

Zazwyczaj czytała w ludziach jak w książkach. Od najwcześniejszego dzieciństwa widziała aury poszczególnych osób i było to dla niej zupełnie normalne. Z nikim o tym nie rozmawiała. Jedynym wyjątkiem była Marta, ale ona miała podobny dar. Anna bała się poruszać ten temat w obecności innych, bo mogliby uznać ją za wariatkę. Nawet Kitty zbywała ją byle czym, kiedy, jako mała dziewczynka, starała się opowiedzieć jej o żółtych promieniach gniewu bijących od ciotki. „Cicho bądź mała. Jesteś głupia jak but, ot co” - mruzczała wówczas Kitty i zmieniała temat.

Crispin był jedyną osobą, której nie mogła rozgryźć. Co innego jego narzeczona. Jej aura była krystalicznie czysta i przejrzysta, ale kryły się w niej także ciemne, nieprzeniknione głębie. Anna poznała ich sekrety. To tam mieszkały złe humory i napady wściekłości Mary Rose, te cechy jednak nie przeszkadzały Annie kochać przyjaciółki. Ceniła w Mary Rose szaloną chęć korzystania z życia i żywiołową przebojowość, dzięki którym można się było z nią nudzić.

Obawiała się jednak, że obecność Crispina źle na nią wpłynie.

Prawdopodobnie narzeczeni będą się kłócić przez cały lunch. Chociaż, pomyślała idąc do kuchni, może Crispin okaże się sympatyczniejszy, kiedy nie będzie z nim jego przyjaciół.

Niemal cały czas rozmawiano o pogrzebie ojca O'Banana. Stary ksiądz nie miał żadnych krewnych, ale setki parafian wybierało się do kościoła, by go pożegnać. Marta od rana pomagała zakonnicom w organizacji pogrzebu.

- To naprawdę straszne - mówiła, nalewając herbatę. - Był najbardziej lubianym księdzem w irlandzkiej społeczności. Będzie nam brakowało jego poczucia humoru i miłości bliźniego. - Błado uśmiechnęła się do Mary Rose i Crispina. - Wybaczenie, moi drodzy, ale cały czas myślałam o pogrzebie i nie zauważyłam was tam na końcu stołu. Pan to zapewne Crispin?

Anna zerknęła na niego kątem oka. Siedział prosto, blady i spięty. Usiłowała zajrzeć w głąb jego duszy, ale nie widziała nic. Księga była zamknięta.

Mary Rose otaczała ciemna, zimna aura. Pewnie znów się pokłócili. Chciała uśmiechnąć się do Marty, ale efekt tych wysiłków był żalorny.

- Crispin nie znosi Nowego Jorku. Tłumaczę mu, że przyjechał dopiero kilka dni temu i wkrótce przywyknie do hałasu i pokocha to miasto. Nie potrafię sobie wyobrazić, że można nie lubić Nowego Jorku.

Crispin zaprotestował. - Ależ Mary Rose, zaraz na początku zaprowadziłaś mnie na Times Square. Naprawdę tak było, pani Kearney.

- Proszę, mów do mnie Mary. Cóż, Crispinie, zgadzam się z tobą. Kiedy wiele lat temu przybyłam tu z Irlandii, myślałam, że umrę ze strachu. Jednak po jakimś czasie Nowy Jork wchodzi ci w krew. Chociaż znam ludzi, którzy nienawidzą tego miejsca równie mocno, jak inni je kochają Nowy Jork to specyficzne miasto. Tutaj każdy chce robić karierę. Masz wrażenie, że dziewięćdziesiąt procent zużywanej tu ludzkiej energii idzie na marne, ale pozostałe dziesięć wynosi wybranych na szczyt. Tutaj każdy ojciec chce, żeby jego syn był prezydentem, a córka - drugą Bette Davis. Nikt nie uznaje środka, tu liczą się tylko skrajności. To właśnie Nowy Jork jest tą Ameryką, o której marzą emigranci. Każdy chce być sławny.

Crispin nie był już tak spięty. Słowa Mary go uspokoiły. Fosca podała mu talerz z ciastkami.

- Mario i ja baliśmy się wyjść z domu.

Brat przytaknął jej słowom. - Dla mnie najgorsi byli bezdomni i małe dzieci żebrzące na ulicach. W naszym rodzinnym miasteczku, Asciano, nigdy nie widzieliśmy czegoś takiego. Członkowie rodziny są zobowiązani sobie pomagać. Jeśli umrze jeden z braci, drugi opiekuje się jego żoną i dziećmi. Tu, w Ameryce, starych ludzi oddaje się do specjalnych zakładów. To okropne. Żaden Włoch nie zrobiłby tego swoim rodzicom.

10 - Dwie drogi

145



Joe, mąż Marty, pomógł bliźniętom uzyskać skape informacje o rodzicach. Mano zacisnął usta. - Ale teraz wszystko się zmienia

- Niestety, to prawda. - Daniel odnalazł wzrok Crispina. - Ich ojciec uważa, że sytuacja w Europie jest w najwyższym stopniu niepokojąca. Jeśli wybuchnie wojna, niech nas Bóg broni. - Wzruszył ramionami i bezradnie roz ożył ręce. - W całej Europie pogina setki, tysiące ludzi. Wojna zdziesiątkuje rodziny i wyniszczy narody. Jeśli Anglia przystąpi do wojny także ona pozna siłę niemieckiej nienawiści. Teraz to dopiero początki. Jeszcze przez kilka lat świata uda się utrzymać pokój Ale dalekowzroczni, mądrzy ludzie, tacy jak ojciec bliźniąt, wolą być zawczasu przygotowani na najgorsze niż obudzić się w ostatniej chwili. Na razie Hitlera uważa się za nieszkodliwego, szalonego malarza. On jednak jest symbolem Niemca naszych czasów. Wyraża uczucia narodu, który przegrawszy pierwszą wojnę światową, nie da się pokonać w drugiej. Niestety my Amerykanie, pozwoliliśmy Niemcom na zbrojenia i tym samym' daliśmy im bron do rąk. Hitler to zły, opętany człowiek o wielkiej charyzmie Wie, co chcą usłyszeć zmęczeni ludzie, i mówi im to bez wahania. Zamiast zwalczać ignorancję i bezmyślność, podsycy je. Teraz Niemcy obawiają się wszystkiego. Panuje u nich olbrzymie bezrobocie a w wielu rejonach nadal funkcjonuje czarny rynek. Sporo amerykańskich pieniędzy przeznaczonych na odbudowę zniszczonego kraju trafiło do kieszeni skorumpowanych biurokratów. Cały naród pójdzie za Hitlerem Niech tylko obieca, że przywróci prawo i porządek, niech zrobi z Żydów kozła ofiarnego, niech zniszczy przeciwników reżymu - ludzie za nim pójda. Słuchałem jego przemówienia wczoraj wieczorem i poważnie obawiam się o losy Europy. Wasi rodzice mieli rację, wysyłając was stamtąd.

- Tak, ale mimo to żaluję, że nie mogłem z nimi zostać – odparł Mario. – Oczywiście, jestem panu wdzięczny za gościnę, jednak niełatwo jest tylko słuchać o walce i siedzieć beczynnje.

- Drogi chłopcze, świadomość, że tobie i Fosce nic nie grozi daje waszym rodzicom wolną rękę. Mogą robić, co chcą. Nie muszą się obawiać ze to wy zapłacicie za ich działalność. Na razie zresztą faszyci me są zbyt silni, ale ich potęga rośnie. No, dość już. Skończmy z tym przykrym tematem. Mary, kochanie, czy mogłabyś nałożyć mi jeszcze jeden kawałek tego pysznego czekoladowego ciasta? Anno, co słyhać u Ralpha?

Jej odpowiedź pomogła rozluźnić napiętą atmosferę. - Nic nowego Pisze, ze może odwiedzi nas przed Bożym Narodzeniem. Obawiam się jednak, ze me spodoba mu się Nowy Jork, skoro Crispin tak bardzo nań narzeka. Wiesz co, Mary Rose, mam pomysł! Co powiesz na to, żebyśmy po pogrzebie ojca O'Briana zabrały Crispina i bliźnięta do Bostonu, do Rossa Wilhamsa, przyjaciela cioci Kitty? Pozwolisz nam, prawda mamó?

- Ależ oczywiście. Wyjazd dobrze wam zrobi. Pogrzeby są takie przykre.

- Czyżby? - wtrącił się swobodnie Crispin. - Ja tam z trudem powstrzymuję się od śmiechu.

Anna uniosła się gniewem. - Cóż, mam nadzieję, że uda ci się powstrzymać śmiech na pogrzebie ojca O'Briana, Crispinie - krzyknęła. - Ten człowiek cieszył się powszechnym szacunkiem. Nie przychodź lepiej, jeśli nie umiesz nad sobą panować. - Była tak zła, że nie zdobyła się nawet na uśmiech, który złagodziłby ostre słowa.

Patrzyła Crispinowi prosto w twarz i nagle w jego błękitnych oczach dostrzegła płaski łeb żmii. Ze srebrzystej paszczy co chwila wysuwał się czarny język, a oczy gada również były czarne, matowe. Nagle żmija otworzyła paszczę i plunęła jadem prosto na nią.

- Dobrze, Anno, zachowam się jak należy - wymamrotał pokornie Crispin.

- Już ja go dopilnuję. Masz na to moje słowo. - Mary Rose wiedziała, że narzeczony posunął się za daleko.

Marta wstała od stołu. - Muszę już iść. Do zobaczenia jutro. Pamiętajcie, w kościele o drugiej. - Wygładziła spódnicę. - O Boże, ależ ze mnie niechluj. Cała jestem w okruszkach. - Pocałowała Daniela i Mary i pomachała reszcie zebranych. - Do zobaczenia - powtórzyła i wyszła.

W pokoju zapanowała nieprzyjemna cisza.

- Musimy już iść. - Mary Rose skinęła głową do Crispina. - Jesteśmy umówieni na kolację z przyjaciółmi. Moimi przyjaciółmi - syknęła.

Posłusznie wstał i w ślad za nią podszedł do drzwi. - Do widzenia. Zobaczymy się jutro w kościele.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, napięcie opadło.

- Nie mogę doprawdy pojąć, co Mary Rose widzi w tym młodym człowieku. - Mary zwróciła się do córki. - Ilekroć przebywają razem, są głęboko nieszczęśliwi. Jakiż sens ma związek oparty na walce i demonstracji władzy?

- Sama chciałabym to wiedzieć, mamó. Mary Rose jest nieszczęśliwa zarówno kiedy Crispina nie ma, jak i kiedy są razem. Widziałas, nawet mnie nie pocałowała przed wyjściem.

- To dlatego, że on jest bardzo zazdrosny - zauważył Mario. - Nie chce, żeby Mary Rose miała jakichkolwiek przyjaciół. Ma należeć wyłącznie do niego, a to bardzo niedobrze. - Utkwił w Annie poważne piwne oczy. - Miłość oznacza wolność, a nie zniewolenie.

Anna przypuszczała, że miał na myśli swoją dziewczynę z Asciano. Fosca wiedziała to na pewno i ze współczuciem dotknęła ramienia brata. Anna przypomniała sobie jego ciepły, troskliwy uścisk i, ku swemu zdziwieniu, zarumieniła się.

Mario zauważył jej zmieszanie i przez moment znów spoczywali w swoich ramionach.

- Muszę wracać do nauki - oznajmił wstając.

- Ja też. - Fosca ruszyła za nim.

Anna jeszcze chwile została z rodzicami. Smutek wypełniał cały pokój. Wiedziała jednak, że żal za ojcem O'Brianem zniknie z czasem, rozejdzie się jak burzowe chmury. Wkrótce zostaną tylko radosne słoneczne wspomnienia. Taka jest naturalna kolej rzeczy i Anna godziła się z nią. Martwiło ją co innego; aura rozpaczy wokół Mary Rose i Crispina.

35

Ceremonia pogrzebowa odbywała się w kościele ojca O'Briana, w jego parafii. W przednich ławkach zasiadały zakonnice. Za nimi tłoczyło się dziesiątki wiernych. Stary ksiądz miał wielki wpływ na swoich parafian.

- Jaki mały wydaje się po śmierci. - Anna ze smutkiem patrzyła na długą, wąską trumnę.

Mario klęczał obok niej. Była zadowolona, że wyznają tę samą wiarę. Także Fosca znajdowała się niedaleko.

Zaciskała dłonie tak mocno, że pobielaly jej kłykcie, ale nie zwracała na to uwagi, pogrążona w żarliwej modlitwie.

Na skraju ławki siedzieli Mary Rose i Crispin. Anglik zupełnie nie pasował do małego kościółka w ubogiej dzielnicy. Miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny i czerwony szalik. Anna wstydziła się za niego, choć wiedziała, że nie ma sensu się przejmować. Crispin nie dbał o uczucia innych ludzi.

Zakonnice ozdobiły ołtarz żałobnym fioletem. Ten sam kolor znaczył stacje drogi krzyżowej. Choć fiolet sprawiał, że mały, ciemny kościółek był jeszcze ciemniejszy, przydawał mu także dostojęstwa. Po śmierci oddano ojcu O'Brianowi hołd, jakiego poskapiono mu za życia.

Anna schyliła głowę, by nikt nie dostrzegł łez płynących po policzkach. Mario bez słowa podał jej białą czystą chusteczkę.

- Dziękuję - chlipnęła. Przyjęła ją z wdzięcznością i wytarła nos. Zapach jego wody kolońskiej od razu przypadł jej do gustu. Zdecydowanie różnił się od znanych jej aromatów. Postanowiła zaraz po mszy zapytać go, jakiej wody używa.

Przed trumną przechodziła teraz grupka dzieci. Ojciec O'Brian praw-

155

dopodobnie ochrzcił większość z nich. Matki kładły wiazanki na wieko. Maluchy z uwagą obserwowały, co się dzieje. Chciały zrozumieć. Starsze dzieci domyślały się, że z nieznanych im przyczyn w drewnianej skrzyni leży ich dobry, siwy ksiądz. W ich oczach chwilami pojawiał się strach. Młodsze jednak nie obawiały się niczego.

Jakie są szczęśliwe; nie zaznały jeszcze cierpienia, pomyślała zazdrośnie Anna. Przypomniała sobie siebie i Stevena, kiedy byli w tym wieku. Dzisiaj Steven nie przyszedł z nią do kościoła. Jego matka dostałaby ataku hysterii na samą myśl, że mógłby wejść do świątyni gojów. Steven powiedział więc, że odmówi kadisz za ojca O'Briana, ale na pogrzebie nie będzie.

Ostatnio Anna nie widywała już przyjaciela tak często jak kiedyś. Coraz więcej czasu spędzał w synagodze. Anna była jego jedyną znajomą nie-Żydówką. Kiedy tak klęczała obok Maria, przyszło jej do głowy, że Steven może być zazdrosny o młodego Włocha. Od powrotu z Anglii Mario stawał się jej coraz bliższy, a Fosca była jak siostra. Mary Rose nie miała czasu dla nikogo poza Crispinem, tak więc Anna niemal bez przerwy przebywała w towarzystwie bliźniąt.

Czasem łapała się na tym, że wpatruje się w usta Maria, piękne wargi, jakby starannie wymodelowane ręką zdolnego rzeźbiarza. Miał duże, piwne oczy ocienione długimi, wywiniętymi ku górze rzęsami. Wysokie kości policzkowe nadawały mu nieco egzotyczny wygląd.

Nagle uświadomiła sobie, skąd zna jego twarz; w szufladzie biurka od lat przechowywała wyciętą z gazety reprodukcję szkicu Michała Anioła. Mario miał twarz tamtego chłopca. Nie do wiary, pomyślała, od tak dawna mam ten rysunek i oto identyczny mężczyzna klęczy obok mnie. Ta myśl sprawiła jej przyjemność. Uspokój się, zgałła się w duchu. Bez słów prosiła ojca O'Briana o wybaczenie.

Do kaplicy weszli trzej księża, wszyscy w żałobnych fioletowych ornatach. Przed nimi kroczył mały chłopiec. Niósł długi, prosty drewniany krzyż. Za kapłanami szli członkowie chóru w białych komżach.

Pochód zatrzymał się przed ołtarzem. Dym z kadzidła wypełnił cały kościół słodkim zapachem. Najstarszy wiekiem ksiądz przyklęknął, po czym podszedł do tabernakulum i otworzył ostrożnie małe drzwiczki. Z czcią ujął monstrancję i uniósł ją do góry.

Wierni pochylili głowy. Każdy z nich po raz kolejny przeżywał cudowny moment Objawienia Pańskiego. Każdy z nich myślał o człowieku, którego przyszli pożegnać.

Leżał przed nimi w prostej, wąskiej trumnie. Poświęcił całe życie na służbę Bogu, który krył się za szkłem monstrancji. W imię Jego miłości zrezygnował z założenia rodziny. Dniami i nocami niósł pomoc potrzebującym. Teraz miał otrzymać za to nagrodę.

Anna zastanawiała się, co też nią będzie. Sama osobiście marzyła o jednym: zobaczyć twarz Boga. Najbardziej lubiła ten fragment Biblii,

150

kiedy Mojżesz odwraca głowę, by nie oślepnąć od światła bijącego od oblicza Stwórcy. Czasem wydawało jej się, że dostrzega niewyraźne odbicie owej twarzy w oślepiającym błękitnie wczesnego poranka. Miała nadzieję, że Bóg pozwoli jej przeżyć życie szczęśliwie i pogodnie.

Rozstanie z Rupertem było najtrudniejszą decyzją, jaką dotychczas musiała podjąć. Zrobiła to jednak.

Odpowiedzialność za jej wybór ponosił w dużej mierze właśnie ksiądz O'Brian. To on kształtował jej sumienie.

Teraz była wolna. Mogłaby znów pokochać, ale bała się kolejnego rozczarowania. Na razie nie ufała samej sobie, a co dopiero innym.

Msza trwała dalej. Dziesiątki głosów wypełniło świątynię żalobną pieśnią *Te Deum*.

Anna zadrżała, słysząc te słowa. Mario wyczuł jej zdenerwowanie i wziął ją za rękę. Uścisnęła z wdzięcznością jego dłoń. Jego dotyk bez słów zapewniał o przyjaźni i zrozumieniu, których tak bardzo teraz potrzebowała. . . .

Jej świat się zmieniał, ona sama się zmieniała. Bała się. Świat nie był już bezpieczny. Rodzice kochali ją nadal, ale w oczach innych ludzi, w spojrzeniach mężczyzn, widziała uczucia dalekie od miłości i przyjaźni. Mieli puste oczy Crispina; martwe i pełne pożądania. Anna nie chciała mieć do czynienia z ich żądzą. Owszem, pragnęła Ruperta, ale było to uczucie jasne i uczciwe. Nie kryło w sobie żadnych mrocznych tajemnic.

Zupełnie inaczej miała się sprawa z Mary Rose. Ukradkiem zerknęła na przyjaciółkę. Szeptala coś do Crispina.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, bynajmniej nie były to pobożne słowa. No tak, Mary Rose nie miałyby nic przeciwko świntuszeniu w kościele. Annę ogarnął niesmak, ale zaraz przypomniała sobie, że Mary Rose nigdy nie przepadała za ojcem O'Brianem. .

Przestała w ogóle o niej myśleć, kiedy wierni wstali, by wysłuchać ostatniego błogosławieństwa.

Wyciągnęła rękę i dotknęła drewnianego wieka w geście ostatecznego pożegnania.

Później, kiedy stali w strumieniach deszczu nad otwartym grobem, Mario objął ją ramieniem. Przez łzy patrzyła, jak brązowa trumna znika w głębokim dole. Wielu rzucało garście ziemi, ona jednak nie mogła ruszyć się z miejsca.

Wreszcie podeszła do samochodu rodziców, wsparta na ramieniu Maria.

- Na razie, Anno. Musimy już iść, jemy dziś obiad z moją matką. O której mamy być gotowi na wyprawę do Bostonu? - W ślicznej twarzy Mary Rose nie było śladu smutku. Crispin stłumił ziewnięcie. - Jezu Chryste! Wy, katolicy, nie spieszycie się na pogrzebach, co? - zasłonił usta dłonią. Anna straciła panowanie nad sobą. - Nie krytykuj czegoś, czego me rozumiesz. I nie używaj Imienia Bożego nadaremnie, bo pójdziesz do piekła.

151

- Ojej! Cóż to za waleczna dziewczyna. - Crispin nie tracił zimnej krwi Anna posłała Mary Rose spojrzenie pełne wściekłości, ale przyjaciółka miała minę niewiniątka.

7 Zostaw go- - Mario odciągnął ją na bok. - Nie jest tego wart - powiedział to tak głośno, że wszyscy musieli go usłyszeć. Crispin się zarumienił i odszedł w ślad za Mary Rose.

- Dziękuję, Mario. - Nie mogła uwierzyć, iż fakt, że stanął w jej obronie, sprawił jej taką przyjemność. Steven nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Był na to zbyt wielkim tchórzem. Na myśl, że Mario się nie przestraszył, zrobiło się jej ciepło na sercu.

### 36

Wyruszyli do Bostonu nową lagondą Daniela. Mario prowadził, Anna siedziała obok niego. Mary Rose, Crispin i Fosca tłoczyli się na tylnym siedzeniu.

Crispin odzyskiwał dobry humor, w miarę jak oddalali się od pulsującego życiem Nowego Jorku.

- Dzięki Bogu, wyjechaliśmy już z tego twojego molocha - rzucił pod adresem Mary Rose.

- To nie jest mój moloch, Crispinie. Po prostu jesteś zbyt skostniałym angielskim nudziarzem, by dostrzec uroki tego miasta. Nie lubisz galerii, nie lubisz filmów, nie lubisz koncertów. Najbardziej odpowiada ci upijanie się do nieprzytomności w nocnych klubach Harlemu.

- Mary Rose - wtrąciła się Anna zdecydowanym tonem. - Nie możecie kłócić się przez całą drogę do Bostonu. Zobaczcie, dziś jest taki piękny dzień. Czy nie możecie po prostu cieszyć się tym, co macie?

- O Boże, znów bawi się w Pollyannę. - Crispin westchnął głośno. Mario odnalazł jego spojrzenie w lusterku. - Nie, Crispinie. Anna nie

bawi się w Pollyannę. Po prostu głośno wyraziła uczucia nas trojga. Mamy serdecznie dosyć wysłuchiwanie waszych kłótni. Jedziemy do faceta, którego nawet nie znamy. Wszystkim nam takie wakacje dobrze zrobią, ale Annie są one niezbędne. I nie pozwolę wam popsuć jej tego pobytu. Fosca od dawna chciała zobaczyć Boston. Więc uspokójcie się, bo jeśli nie, wysadzę was na środku drogi.

- Od kiedy to stałeś się taki władczy, Mario? Nie zapominaj, że kiedy byłeś w Anglii, mieszkałeś w domu moich rodziców. Jesteś mi winien co

najmniej wdzięczność. I wiesz, naprawdę mógłbyś nauczyć się lepszych manier. <sup>v }</sup>

Mario zjechał na pobocze i zgasił silnik. Z szybkością, jakiej nikt się nie spodziewał, wyciągnął Crispina z samochodu i z całej siły uderzył w twarz.

Mary Rose głośno krzyknęła. Pomogła narzeczonemu wsiąść z powrotem do samochodu. Crispin siadł skulony i cały czas trzymał się za policzek.

Mario wrócił za kierownicę. Ruszyli w dalszą drogę. Nikt się nie odzywał.

Anna obserwowała go kątem oka. Zachowywał się, jakby nic się nie stało. Fosca poklepała brata po ramieniu. Także Anna, choć nie znosiła przemocy, całym sercem aprobowała to, co zrobił.

- Ty świnió! - Męczącą ciszę przerwał drżący głos Mary Rose. - Jeszcze się z tobą policzę. Co ty sobie, do cholery wyobrażasz? W końcu jesteś tylko zakichanym imigranem siedzącym na garnuszku u rodziców Anny.

- Mary Rose, zamknij się natychmiast, bo inaczej ci dołożę. - Anna była wściekła. Wiedziała, nawet nie patrząc na Maria, że Mary Rose trafiła w czuły punkt. Bliźnięta miały ciągle wyrzuty sumienia, że są na utrzymaniu Kearneyów. Niestety, nie sposób było przesłać pieniądze z kryjówki ich rodziców.

Niemal cała dalsza droga upłynęła w milczeniu. Nikt nie zwracał uwagi na piękne krajobrazy za oknem. Mary Rose czule obejmowała Crispina. Co chwila troskliwie przykładła chłodną dłoń do jego podbitego oka.

Wreszcie wjechali do miasta. Zaraz wchłonął ich ruch uliczny.

Anna była w Bostonie wiele razy, ale nigdy nie poznała Rossa Williamsa.

Tuż przed wyjazdem młodych z Nowego Jorku, Mary po raz kolejny wypytywała Kitty o człowieka, któremu powierzała córkę:

- Kitty, ten Ross Williams to naprawdę przyzwoity, szanowany człowiek?

- Ależ, droga Mary, przyjaźnię się wyłącznie z przyzwoitymi, szanowanymi ludźmi. Przyznaję, kochany Ross ma nieco ekscentryczne upodobania, ale to uroczy mężczyzna. Dzieciaki będą się świetnie bawić. Ross uwielbia przyjęcia, a trochę śmiechu dobrze zrobi Annie.

Mary nie pozbyła się wszystkich wątpliwości, ale uległa, naciskana przez krewnych i przyjaciół. Jej znajoma z Bostonu nie miała miejsca dla pięciorga gości, a ów Ross Williams mieszkał w pięknym domu nad rzeką.

Ostatecznie przekonała ją jednak Anna. Wytłumaczyła matce, że w istocie będzie pod opieką niejednego, lecz dwóch mężczyzn. Tym drugim będzie, oczywiście, Mario.

Teraz, kiedy tak stanowczo poradził sobie z Crispinem, okazało się, że tak było naprawdę. Mario wiedział, co robi, i nie bał się użyć siły, jeśli był



przekonany o swojej racji. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Mary Rose i Crispin nie przyniosą im wstydu. Anna wytłumaczyła Włochowi, któredy jechać, i po chwili zatrzymali się przed imponujących rozmiarów domem w stylu art-deco.

- Cudowny - szepnęła Anna. Crispin mruknął coś z dezaprobatą.

Mario wysiadł z samochodu i nacisnął guzik dzwonka. Słyszeli, jak delikatny dźwięk rozchodzi się po całym domu. W otwartych drzwiach stanął szczupły mężczyzna o wyrazistych oczach. Podbiegł do samochodu.

- Witajcie - zawołał. - Jestem Ross Williams. Kitty dużo mi o pani opowiadała, Anno. Bo zakładam, że to pani jest Anną.

Wsadził głowę przez opuszczoną boczną szybę. - Jest pani do niej bardzo podobna i, przypuszczam, równie urocza. Anna się roześmiała. - Nic mi na ten temat nie wiadomo, panie Williams.

- Ross, kochani. Mówcie do mnie po imieniu, proszę. A teraz chodźcie. Właśnie przebieramy się do koktajlu.

Anna wysiadła z auta. Nagła cisza sprawiła, że powrócił żal za ojcem O'Brianem. Zaraz jednak przypomniała sobie ostatnie słowa gospodarza i jej smutek minął. Bawił ją pomysł przebierania się do koktajlu.

Kiedy jechali przez Boston, uderzyła ją schludność i ład tego miasta. Na ulicach przeważali biali. Nieliczni Murzyni nie pasowali do czystych uliczek. W pewnym sensie brakowało Annie kolorowej mozaiki twarzy Nowego Jorku, ale nie tęskniła do hałasu i brudu, jakże charakterystycznych dla jej miasta. Tutaj nawet ruch uliczny był stateczniejszy. Uprzejmi policjanci spokojnie dyrygowali strumieniem aut i uśmiechali się do kierowców. Boston dawał Annie poczucie bezpieczeństwa, którego nigdy nie zaznała w Nowym Jorku. Niektórzy co prawda uważali, że niebezpieczne ulice to atrakcja, ale Anna się nigdy z tym nie zgadzała. W Nowym Jorku nikt nie przebierałby się do koktajlu, ale w Bostonie było to jak najbardziej na miejscu.

Ross wniósł jej walizkę do domu. Inni poszli za nimi. W holu cała piątka zastygła bez ruchu. Anna wstrzymała oddech. Schody prowadzące na drugie piętro były prawdziwym dziełem sztuki. Pięły się do góry węzem z białego marmuru. Poręcz z polerowanego mosiądzu wiła się zygzakiem.

Nawet Crispin był pod wrażeniem.

- Ross, to jest przepiękne.

- Wiem o tym, mój drogi. - Gospodarz uśmiechnął się dumnie. - Sam to zaprojektowałem. Na górze mieszka mój przyjaciel Harry Collins. Zaraz go poznacie. Obaj mamy fioła na punkcie art-deco. Chodźcie, zaprowadzę was do waszych pokoi.

Anna była zachwycona wnętrzem domu. Szeroko otwartymi oczyma chłonęła piękno salonu i biało-czarnej jadalni. Nigdy dotąd nie zetknęła się z takim wystrojem.

162

- Mario, to jest cudowne.

Zgadzał się z nią całkowicie. - Przypomina mi to architekturę włoską. Na przykład katedra w Sienie jest właśnie biało-czarna. Powstała dawno temu i świadczy o niezwyklej oryginalności budowniczych. Tak, bardzo mi się podoba ten styl.

Jego uwagę przyciągnął obraz na końcu korytarza. Uśmiechnął się do siostry.

- Spójrz, jest tak realistyczny, że chciałoby się wejść do tego ogrodu! Kto go namalował, Ross?

- Harry. Zarabia na życie malowaniem właśnie tego rodzaju płócien. Bostońscy bogacze uwielbiają jego dzieła. Miał też kilka wystaw w Nowym Jorku. Ja zajmuję się dekoracją wnętrz, czasem projektuję meble. Obaj kochamy naszą pracę. Dzięki niej jesteśmy wolni. Ale najbardziej ze wszystkiego lubię długo spać. Harry jest inny. Ja jestem sową, on -skowronkiem. Wstaje skoro świt, bo, jak twierdzi, wtedy jest najlepsze światło. Spotykamy się przy koktajlach i kolacji, a potem Harry już ucieka do łóżka. O, proszę. Tu zamieszkacie.

Otworzył drzwi ukryte wśród czegoś, co do złudzenia przypominało amazońską dżunglę. Głowa małpy okazała się klamką.

- Oto wasz apartament. Są tu trzy sypialnie i wspólna łazienka dla dziewcząt. Wy, panowie, podzielicie się dwuosobowym pokojem, tam, po drugiej stronie holu. No, to do zobaczenia. Czekam na was w salonie. Pośpieszcie się, chcę wam zaprezentować moją najnowszą kompozycję -naprawdę zabójczy koktajl kokosowy.

Oczy Mary Rose rozbłysły zainteresowaniem. - A jak go przyrządzasz?

- O, nie, moja kochana. To pozostanie moją słodką tajemnicą. Mogę ci tylko powiedzieć, że zaprawiam go odrobiną dżinu.

Anna, umyta i odświeżona po podróży, zeszła do salonu. Pierwszą osobą, którą zauważyła, był Mario. Stał pośrodku eleganckiego pokoju. Nie było tu śladu po przeładowanych ozdóbkami wiktoriańskich meblach, które tak lubiła Kitty.

Z widoczną obawą spojrzała na dziwaczne krzesło; chromowane pręty, na których rozpięto skórzane siedzenie.

Przycupnęła z wahaniem, ale po chwili się rozluźniła.

- Są bardzo wygodne - stwierdziła zdumiona.

Właśnie wtedy w drzwiach ukazał się wysoki, szczupły mężczyzna. Za nim spieszyła spora grupa ludzi.

Przekrzykiwali się wzajemnie.

- A ja ci mówię, Harry, że ta dziwka Clarice Cliff to kompletne beztalencie. Mówi się o niej tylko dlatego, że sypia z szefem.

- Mylisz się, droga Peggy, i na dodatek skręca cię z zazdrości, bo kupiłem za bezcen piękny serwis Clarice. Ona ma fantastyczne pomysły. Co o tym myślisz, Wernerze?

- Zgadza się z tobą. Kolekcjonuję jej prace. Wiecie, znaleźliśmy

156

z Texem świetną pracownię ceramiczną w Soho, w Londynie. Kupiłem tam rewelacyjny serwis do kawy:

czarno-różowy. Przepiękny, mówię wam. -Werner był niskim, krępy męczyzną o gładkiej twarzy niemowłęcia.

Ross ujął Harry'ego pod ramię. - Mój drogi, przedstawiam ci moich młodych przyjaciół. A to Anna, bratanica Kitty.

Harry uwięził jej twarz w dłoniach.

- Śliczna - orzekł po chwili. - Po prostu śliczna. Kitty w kółko to powtarzała, ale nie przypuszczałem, że jest pani aż tak piękna. Mam nadzieję, że zgodzi się pani pozować dla mnie przed powrotem do tego piekła na ziemi.

- O, słyszeliście - Crispinowi od razu poprawił się humor. - Nie tylko ja nie cierpię Nowego Jorku.

- A cóż się panu stało w oko? - zainteresował się Harry.

- Och, nic takiego. Wpadłem na drzwi.

Ross parsknął śmiechem. - Brzmi to bardzo wiarygodnie, drogi chłopcze - zawołał, wymachując srebrnym shakerem. - Aż za wiarygodnie! Czy aby na pewno nikt panu nie dołożył?

- Na pewno nie.

Anna nagle zdała sobie sprawę, że Crispin musi się czuć zupełnie me na miejscu wśród tych pewnych siebie artystów. Wiedli dokładnie takie życie, o jakim marzył. W domu, na angielskiej prowincji, Crispin i jego przyjaciele mogli wmawiać sobie, że są ekscentryczni, ale tu, w realnym świecie ludzi utalentowanych, był niczym.

- Proszę, Anno. - Ross zręcznie wlał biały płyn do wysokiej szklanki - Ale poczekaj jeszcze chwilę, muszę ozdobić moje arcydzieło. -Podbiegł do małego barku i po chwili wrócił z garścią kolorowych parasolek z papieru. - Czyż nie są prześliczne?

Anna nie spuszczała oka z Mary Rose. Do tej pory to jej, a nie Mary Rose poświęcano najwięcej uwagi. Przyjaciółka zmrużyła oczy. Anna upiła łyk drinka. Przez chwilę smakowała go w milczeniu.

- Przepyszny - pochwaliła. Upiła następny łyk. - Czuję kokos, ananas, dżin i coś jeszcze. Ale dżinu jest mało, prawda?

- Masz absolutną rację. Mówiłem, że tylko zaprawiłem mój drink alkoholem. Przecież nie mógłbym spojrzeć w oczy ciotce Kitty, gdybyś mi się upiła do nieprzytomności zaraz pierwszego wieczora! - Odwrócił się do Mary Rose. - A ty, kochanie? Masz ochotę?

- Nie, dziękuję. Wolę dżin z tonikiem. Moja mama zawsze powtarza, że koktajle są wulgarne. Anna zamarła, przerażona. Fosca zareagowała podobnie. Mano me okazał po sobie, że cokolwiek usłyszał. Crispin wyszczerzył zęby w uśmiechu. Spodobała mu się nietaktowna odzywka Mary Rose.

- Nie ma sprawy, kochanie. - Głos Rossa był wyprany z wszelkich uczuć. Jego przyjaciele dalej rozmawiali między sobą, ignorując Mary Rose. Ross przygotował dla niej dżin z tonikiem.

- Mam nadzieję, że będzie ci smakować, moja droga! I dżin, i tonik przywiozłem z Londynu. Amerykański tonik jest stanowczo za słodki. -Podał jej szklanke.

Mary Rose ciężko opadła na kanapę i pociągnęła Crispina za sobą. Coś takiego, jej wybuch nie spowodował żadnej reakcji. Zignorowano ją!

Kolację podano dopiero o dziesiątej. Gotował Harry, a pomagali mu Tex i Ross. Cały dom rozbrzmiewał beztroskim śmiechem i przyjacielskim przekomarzaniem.

Kiedy Anna obawiała się już, że jej żołądek przyschnie do krzyża, Ross poprosił wszystkich do stołu.

- Jako pierwsze danie podamy dziś bliny. Nauczył mnie je przyrządzać mój przyjaciel, szef kuchni w londyńskim Savoyu. Anno, znasz ten hotel, prawda?

- Tak, nocowaliśmy tam przed powrotem do Stanów. Jest fantastyczny.

- To jedyny hotel w Europie, w którym mogą zamieszkać Amerykanie. No, dobrze, moja droga. A oto kawior.

Norweski, bo jest dużo tańszy od rosyjskiego, a jeśli go podasz tak jak my, z siekanym jajkiem i cebulą, nie musisz tracić pieniędzy na droższe gatunki.

Z zachwytem spoglądała na pięknie przybrane półmiski i apetyczne, pachnące bliny.

- Jeśli zawsze tak dobrze gotujecie, to nie dziwię się, że ciocia Kitty bardzo was lubi.

Ross promieniał. - Obaj kochamy gotować i obaj kochamy jeść. Ja jestem tylko kuchcikiem i barmanem, za to Harry to prawdziwy mistrz. Jest jednym z najlepszych kucharzy Bostonu. Proszę, spróbujcie tego wina. To San Gimignano, wyśmienity rocznik. Sprowadziłem je specjalnie dla moich włoskich gości.

Fosca uśmiechnęła się i podsunęła swój kieliszek.

Jest taka ładna, kiedy się śmieje, pomyślała Anna. Szkoda, że robi to tak rzadko.

Na stole pojawiały się kolejne potrawy, a przed Mary Rose stało coraz więcej pustych szklanek.

Anna wiedziała, że przyjaciółka ma zamiar się upić, a to zazwyczaj kończyło się utratą kontroli nad sobą. Ross puścił do niej oko, a wtedy od razu poczuła się lepiej; dawał jej do zrozumienia, że nikt nie wini jej za zachowanie Mary Rose i Crispina, który też nie wylewał za kołnierz. Podniesionym głosem tłumaczył coś Wernerowi.

- Będę miał pracę w City - bełkotał. - Tatko mi to załatwia. Wyda kupę szmalu, ale twierdzi, że jestem tego wart.

- Tylko Anglik użyłby tak infantylnego słowa: „tatko"! - Anna niechcący usłyszała lekceważący komentarz Harry'ego. - Zaraz będzie tak zalany, że zacznie mówić „pan ojciec" i „pani matka".

Anna uśmiechnęła się pod nosem. No, niewieleś jeszcze widział, brachu, pomyślała, przedrzeźniając Kitty.

Podano główne danie: somalijskie curry. Mięso było nieco za miękkie, ale smakowało wyśmienicie.

- Widzisz, najważniejsza sprawa to odpowiednia temperatura i dobór ziół - Harry tłumaczył coś Peggy. Kobieta obojętnie grzebała widelcem w talerzu. - Ejże, Peggy, chyba się znowu nie odchudzasz?

- Oczywiście że się odchudzam, ty durniu. Kobieta nigdy nie jest zbyt bogata ani zbyt szczupła.

- Ależ kochanie, z ciebie i tak został już tylko szkielet! - krzyknął przerażony Tex. - Jesteś przezroczyista, pewnego dnia po prostu rozpląniesz się w powietrzu. Czemu się tak katujesz?

- Bo chcę sobie znaleźć młodego bogatego i przystojnego kochanka, który nosiłby mnie na rękach. Zresztą, odchudzanie to nic takiego. Moja matka połknęła tabletkę z jajami solitera. To dopiero były czasy!

Kiedy Mary Rose usłyszała jej ostatnie słowa, zaczerwieniła się, zakryła dłonią usta i wybiegła z pokoju.

- Odłot - mruknął Werner, kiedy znikwała za drzwiami.

- O, pewnie usłyszałeś to słowo w Harlemlu, co? - zapytał domyślnie Crispin.

Werner uniósł drwiąco brwi.

- Błąd, mój drogi. Ja pierwszy użyłem tego słowa w Harlemlu. To ja tworzę tamten styl. - Odsunął jedwabny mankiet koszuli i spojrzął na złoty zegarek w kształcie klauna. Roześmiał się głośno. - A teraz, chłopcze, idź i zaopiekuj się koleżanką. W końcu, jeśli jesteśmy na tyle duzi, by jadać z dorosłymi kolację, powinniśmy także umieć się zachować, prawda, mały?

Wreszcie Crispin pojął, że zrobiono z niego durnia. Zerwał się na równe nogi i wyszedł.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Rozmawiano o rozmaitych sprawach, głównie jednak dyskutowano o sztuce i teatrze.

Wydawało się, że przyjaciele Rossa znają wszystkich liczących się artystów. Anna bawiła się świetnie. Ku jej zadowoleniu, także Fosca i Mario miło spędzali czas. Uświadomiła sobie, iż oni prawdopodobnie wiedzą dużo więcej na poruszane tu tematy niż ona. Na pewno brakowało im świata pełnego zabytków, który musieli opuścić.

Postanowiła, że we trójkę będą częściej chodzić do teatru.

Dużo później, kiedy Fosca i Mary Rose spały już w swoich pokojach, Anna zatrzymała się przed dużym lustrem.

Patrzyła na nią blondynka o zarumienionych policzkach i roziskrzanej twarzy. Może rzeczywiście jestem całkiem ładna, przyznała z zadowoleniem. Poszła spać w wyśmienitym humorze.

Po pierwszych kilku dniach, które upłynęły na intensywnym zwiedzaniu pięknego, starego miasta, Anna zatęskniła za samotnością i spokojem.

Gwiazdka była już tuż-tuż, a bostońskie sklepy kusily olbrzymim wyborem towarów. Nie miała pojęcia, czym obdarować bliźnięta. Z Mary Rose sprawa była prosta - jak zwykle kupi dla niej ładną, jedwabną bieliznę.

Kiedy Anna, Mario i Fosca zwiedzali muzea i galerie, Mary Rose i Crispin zabijali czas w restauracjach i klubach nocnych. Anna odmawiała, ilekroć proponowali wspólny wypad do knajpy. Nie odpowiadały jej lokale, w których Mary Rose i narzeczony spędzali całe noce.

Siedziała beczynn timer w salonie, zapatrzona w widok za oknem. Bezlistne drzewa wyciągały w górę nagie gałęzie, jakby błagały niebiosa o łagodną zimę. Na dworze było zimno, ale ten chłód nie przypominał okropnego, przenikliwego mrozu Nowego Jorku.

Ucieszyła się, kiedy przypomniała sobie, że tego wieczora wszyscy razem idą na przyjęcie. Odbywało się ono w klubie, którego współwłaścicielem był Werner, przyjaciel Rossa i Harry'ego. Anna już dawno postanowiła, że włoży jasnoniebieską suknię i odpowiednie do niej rękawiczki.

Wiedziała, że Ross i Harry są kochankami i uważała, że jest to wyłącznie ich sprawa. Mary Rose zaczęła kiedyś mówić coś na ten temat, ale zgasła ją jednym spojrzeniem:

- Mary Rose, mówisz o przyjaciołach mojej ciotki, a tym samym o moich. Nie życzę sobie żadnych plotek na ich temat.

160

- O Boże, ale z ciebie nudziara. Crispin chyba ma rację: to dlatego, że podoba ci się ten makaroniarz.

Wtedy Anna zdecydowanie odrzuciła taką możliwość, teraz jednak, kiedy dokładnie się zastanowiła, musiała przyznać, że rzeczywiście Mario zajmuje bardzo istotne miejsce w jej życiu. Już od kilku miesięcy bliźnięta mieszkaly u Kearneyów, a ona w tym czasie nawet nie spojrzała na innego mężczyznę. Tu, w Bostonie, wielu mężczyzn starało się zwrócić na siebie jej uwagę, ale była zbyt nieśmiała, by w jakikolwiek sposób zareagować na robione jej awanse.

Z Mariem wszystko było inaczej; znał ją bardzo dobrze i zawsze był gotów spieszyć z pomocą, jeśli jakiś wielbiciel stawał się natrętny.



Intensywne rozważania sprawiły, że nagle zgłodniała. Poszła więc do kuchni, zaparzyła sobie kawy i zabrała się do przeszukiwania ogromnej lodówki. Lato w Anglii nauczyło ją doceniać zalety mieszkania w Ameryce. Przerazała ją fatalny stan albo zgoła brak kuchennego sprzętu w domu krewnych. Poza tym miała wrażenie, że Anglicy nigdy się nie myją. I nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę opłakany stan kanalizacji.

' Znalazła w zamrażalniku pudełko włoskich lodów. Postanowiła, że później opróżni je do spółki z Mariem.

Kiedy już zjadła pośpiesznie przyrządzony lunch, wymknęła się z domu. Uprzedziła Foscę i Maria, że nie wie, kiedy wróci, ponieważ idzie na zakupy.

Zaraz za bramą posiadłości Rossa złapała taksówkę.

- Skąd jesteś, lalczko? - Taksówkarz nie należał do najuprzejmiejszych ludzi na świecie. j .

- Z Nowego Jorku. - Nagle Anna przestała uważać, że samodzielna wyprawa do centrum miasta to taki doskonały pomysł.

- A co tu u nas robisz?

- Przyjechałam w odwiedziny do przyjaciół. - Usiadła, skromnie skrzyżowawszy nogi. Niepewnie zerknęła na kierowcę. W lusterku zobaczyła jego twarz: smutne, pozbawione złudzeń spojrzenie i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Nagle poczuła jak jego nastrój przechodzi na nią, ogarnia ją ponurą falą. Wiedziała, że kiedy tylko wysiądzie z taksówki, zapomni o tym, ale ten biedny człowiek będzie żyć z ową goryczą do końca swoich dni. Uśmiechnęła się promiennie, chcąc dać mu odrobinę radości. Zobaczył jej twarz w lusterku i, po chwili wahania, spróbował się odwzajemnić. Od dawna już tego nie robił, ale pamiętał przecież czasy, kiedy ta jędza, jego żona, posyłała mu równie radosne uśmiechy. Ta dziewczyna wypełniła jego taksówkę złotym światłem. Jej obecność sprawiła, że ogarnął go spokój.

- Mam nadzieję, że się panience u nas podoba.

- O tak, nawet bardzo - zapewniła pośpiesznie, zachwycona zmianą słyszalną w jego głosie. - Czy mógłby mi pan doradzić, gdzie znaleźć ładne prezenty gwiazdkowe? . .

- Hm... Najlepiej niech panienka spróbuje w Onental Emporium w samym centrum. Mają tam cuda z całego świata.

U - Dwie drogi

- Świetnie. Proszę mnie tam zawieźć, dobrze?

Wzruszył go sam fakt, że powiedziała „proszę”. Ściszył radio i w dużo lepszym humorze zawiózł uroczą pasażerkę do centrum miasta

Anna zauważyła, że tu, w Bostonie, nawet w gorączkowym okresie przedświątecznym ludzie nie przepychali się, nie tłoczyli tak, jak w Nowym Jorku.<sup>J</sup>

Pchnęła duże obrotowe drzwi i po chwili znalazła się w zdumiewającym sklepie. Zbudowano go na planie okręgu; piętro za piętrzem wznosiło się do góry, a całość wieńczył szklany strop.

Głośne okrzyki windziarzy w szkarłatnych liberiach wyrwały ją z zadumy. Wsiadła do windy i wjechała na siódme piętro. Siódemka zawsze była jej ulubioną liczbą. Symbolizowała siódme niebo, miejsce, w którym miała szczerzy zamiar spędzić większą część życia.

Wysiadła z windy i podeszła do pierwszego z brzegu stoiska. Jak zwykle, siódemka jej nie zawiodła. Sprzedawano tu jedwabną bieliznę podomki i kimona z Japonii. Od razu postanowiła, że właśnie kimono kupi' dla Mana. Długo przebierała w sztukach miękkiego jedwabiu, aż wreszcie dokonała wyboru. Strój był ciemnoczerwony, z drobnym wzorkiem jing i jang.

- Wezmę je - oświadczyła sprzedawczyni i przeszła do innego stoiska. Sprzedawczyni pośpieszyła za nią. Była to starsza kobieta o miłej pogodnej twarzy. Pewnie co tydzień chodzi do kościoła i piecze przepyszną szarlotkę, pomyślała Anna i zarumieniła się gwałtownie. Uświadomiła sobie, że w obecności tej poczciwej kobiety chce kupować seksowną bieliznę dla Mary Rose. Przecież sprzedawczyni od razu pomyśli, że Anna kupuje to dla siebie!<sup>J</sup>

- Szukam... hm... bielizny... na prezent dla przyjaciółki - wymamrotała z wahaniem.

- Ależ oczywiście, moja droga. - Sprzedawczyni pokazała jej kilka ładnych przyzwoitych kompletów. Annie wystarczyło jedno spojrzenie by się przekonać, że Mary Rose nigdy nie włoży czegoś takiego.

- Cóż... wszystkie są bardzo ładne, ale widzi pani... moja przyjaciółka jest... jest bardzo modną kobietą. - Spojrzała na nią błagalnie. - To znaczy chciałam powiedzieć, że lubi... seksowną bieliznę. - Anna czuła się idiotycznie.<sup>V</sup>

Sprzedawczyni zacisnęła usta w wąską linię. - Proszę za mną - rzuciła sztywno.

Anna szła ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Proszę się rozejrzeć. Tutaj mamy artykuły tego rodzaju. Zawstydzona, czerwona po uszy, szukała jak najskromniejszej bielizny.

Wszystkie majtki miały rozcięcia w kroku, a staniki otwory na sutki. Nie o tego typu bieliznie myślała, ale była tak zmieszana, że nie ośmieliła się wytłumaczyć sprzedawczyni, o co jej naprawdę chodzi. Chwyliła na chybił trafił kilka sztuk i zbiegła na niższe piętro.

162

Dobry Boże, Mary Rose uzna, że oszalałam, pomyślała, z ulgą wychodząc ze sklepu.

Później, już w domu, kiedy pakowała podarki, postanowiła jednak zatrzymać jedną parę majteczek dla siebie. Z cichym chichotem upchnęła je na dno walizki. Nie powie o tym nikomu, nawet mamie ani ciotce Kitty, to będzie jej mała tajemnica.

Klub był położony w dużym, dzikim ogrodzie. Ross ostrożnie prowadził czarnego Bentleya po polnej drodze wijącej się wśród świerkowego lasu.

Anna siedziała cicho, otulona kaszmirowym kocem. Obok niej Crispin czule obejmował Mary Rose. Tego wieczora była ona jeszcze piękniejsza niż zwykle. Miała na sobie jasnozieloną suknię na ramiączkach, która podkreślała kolor jej oczu i bladość skóry. Mario, w czarnym fraku i czerwonej kamizelce, obojętnie wyglądał przez okno.

- Bardzo ładnie wyglądasz, Mario. - Anna przerwała ciszę. - I ty też, Fosco - dodała szybko. Nie mijała się zresztą z prawdą. Włoszka wybrała na ten wieczór kreację z cienkiego kremowego jedwabiu i odpowiednie rękawiczki. To za jej sprawą Anna zrozumiała, czym naprawdę jest moda; Mary Rose chciała sposobem ubierania się podnieść swoją atrakcyjność, przywabić mężczyzn. Fosca po prostu podkreślała swoją kobiecość.

Wśród przyjaciół Wenera było wielu Włochów. Anna była zachwycona ich galanterią, kiedy całowali Peggy w rękę. Wiedziała, że ją, jako niezamężną, ominie ta przyjemność, ale głośno wyraziła swoją tęsknotę za nią:

- Teraz już rozumiem, dlaczego Włoszki mają takie wypielęgnowane dłonie. Jeśli po ślubie wszyscy przystojni

Włosi będą mnie całować w rękę, jestem gotowa całymi dniami piłować i malować paznokcie.

- A kto ci powiedział, że będą chcieli cię całować? - Mary Rose była wyraźnie w złym humorze. Ani Ross, ani Harry nie zwracali na nią uwagi.

Mario uśmiechnął się do Anny.

- Pocałuję cię w rękę, tak, dla wprawy, żebyś wiedział, jak się zachować wtedy, kiedy będziesz już żoną wielkiego szczęściarza.

Zsunął jej rękawiczkę i uniósł dłoń do ust. W tej chwili w Annie coś pękło. Po erotycznych snach o Rupercie, po szalonych nocach pełnych marzeń o mężu bez twarzy, prosty gest Maria ujął ją za serce. Nagle ogarnęła ją

nieśmiałość. Zdała sobie sprawę, że postrzega Maria w nowy, inny niż dotychczas, sposób. Czowała się tak, jakby do tej pory patrzyła na niego przez ciemne okulary. Teraz szkła zniknęły.

Mario także wyczuwał zmianę w ich wzajemnym stosunku. Delikatnie poprawił jej rękawiczkę i opuścił dłoń.

Tylko Fosca zauważyła, co się stało, i zareagowała uśmiechem pełnym aprobaty.

Samochód zatrzymał się przed imponującą rezydencją. Do tej pory Anna myślała, że takie domy można znaleźć tylko na dalekim południu.

172

- Ojej, a gdzie Scarlett O'Hara? - zażartowała.

- Siedzi obok ciebie - odparł szarmancko Crispin.

Mary Rose promieniała. - Tak, zawsze wyobrażałam sobie, że jestem Scarlett - zaszcebiotała z przesadnym południowym akcentem i posłała do Maria tęskne spojrzenie spod omdlałych powiek. Wsiadł z samochodu i otworzył tylne drzwiczki z głębokim ukłonem.

- Proszę, panienko Scarlett - zwrócił się do Anny. - Wielbiciele czekają. - Wsiadła, ostrożnie trzymając fałdy sukienki.

Wszyscy wyglądali tego wieczora bardzo elegancko, zwłaszcza Harry w kamizelce haftowanej złotą nicią. Anna cieszyła się na jutrzejsze pozowanie, ale w tej chwili marzyła tylko o tym, że zaraz zatańczy z Mariem. Na tę myśl przeszedł ją przyjemny dreszcz.

38

Siedząc bez ruchu w pracowni Harry'ego, Anna wspominała ostatni wieczór. Tańczyła z Mariem, ale był to inny taniec niż uderzające do głowy, pełne erotyzmu chwile w ramionach Ruperta. Nie, pomyślała wpatrzona w drobinki kurzu, doskonale widoczne w promieniach słońca. Taniec z Mariem niósł pewność i stałość. Miała niemal wrażenie, że tej nocy ślubowali sobie wierność i miłość. Bez słów, tak, że nie zauważył tego nikt oprócz nich. Ale oni wiedzieli. Przetańczyli razem całą noc. Mario był jednak zupełnie innym partnerem niż Rupert. Tamten tańczył z nią tak, jakby zaraz mieli się kochać: przyciągał ją do siebie, wsuwał kolano między nogi, dążył do maksymalnego zbliżenia.

Mario zachowywał się całkowicie inaczej. On oddawał oboje, siebie i ją, we władanie muzyki. Muzyka była bardzo ważnym elementem jego życia; jak ważnym, Anna mogła się przekonać, mieszkając z nim pod jednym dachem.

Mario obejmował ją silnymi ramionami i pewnie prowadził przez skomplikowane figury quickstepa. Taniec z nim sprawił, że zaczęła w nowy sposób odbierać muzykę. Kiedy wirowali po sali w takt walca angielskiego, czuła się tak, jakby oni sami byli muzyką: ona - wdzięcznym, łagodnym brzmieniem fletu, a on - głęboką, namiętą wiolonczelą. Był to wspaniały wieczór. Mary Rose zapomniała, że postanowiła dąsać się na gospodarzy, i tańczyła i z Rossem, i z Harrym. Peggy dotrzymała słowa i zjawiła się w towarzystwie przyjaciół, którzy potrafili rozbawić całe towarzystwo.

173

Werner szarmancko pocałował Annę w rękę i stwierdził, że jest najpiękniejszą kobietą na przyjęciu. Mary Rose na te słowa pobladła z zazdrości. Humoru nie poprawił **jej** również jeden z Włochów, który nie nazywał Anny inaczej *mibellissima*

Cnspin, oczywiście, był zły, bo Mary Rose chwilowo porzuciła go dla innych partnerów. Nie mogło się zatem obejść bez kłótni w drodze powrotnej, ale Anna była zbyt szczęśliwa, by zawracać sobie nimi głowę

- Pensa za twoje myśli. - Głos Harry'ego wyrwał ją z zadumy – Od lat nie miałem równie wytrwalej modelki.-

Przecież tobie nie drgnął nawet jeden miesiąc!

Anna poczuła, że jej policzki płoną. Śmiesznie zmarszczyła nosk -Właśnie zastanawiałam się nad miłością. Nie rozumiem, dlaczego ludziom tak trudno znaleźć odpowiedniego partnera.

- Wszyscy się nad tym zastanawiają, moja droga. Jestem z Rossem od dwudziestu lat. Mamy szczęście. Jesteśmy sobie wierni, a to nader rzadka cecha w naszej gejowskiej społeczności.
- To niezwykle rzadka cecha w jakiegokolwiek społeczności, Harry. Nie mogę pojąć, z jaką łatwością niektóre kobiety przeskakują z łóżka do łóżka.
- Moim zdaniem seks ma z tym niewiele wspólnego. Dużo ważniejszą sprawą jest odnalezienie sensu życia i wiara w siebie. Zanim poznałem Kossa, tkwiłem po uszy w nieudanym, nieszczęśliwym małżeństwie i zmieniałem kochanki jak rękawiczki. Nie myślałem samodzielnie; robił to za mnie mój ptak. Przy czym nie sam stosunek interesował mnie najbardziej. Podniecała mnie świadomość, że kobiety rozbierają się dla mnie. Sprawiały, że czułem się ważny. Sam seks często okazywał się nudnym, rutynowym ćwiczeniem.

Teraz dużą część energii poświęcam na twórczość i jestem szczęśliwy Ross jest nie ty ko moim kochankiem, lecz także przyjacielem. Ufam mu całkowicie i żyję dla niego. I wiem, że on odczuwa to samo w stosunku do mnie. - Uśmiechnął się do Anny. - Udany związek między dwojgiem ludzi to niebo na ziemi. Wiemy, że wszystko może się stać. W przeszłości spotkało nas niejedno niepowodzenie - Ale mamy siebie i możemy wznieść się ponad klęski. W lodówce zawsze stoi butelka szampana i puszka kawioru. Kiedy coś jest nie tak, zabieramy smakoliki do łóżka i mamy w nosie cały świat.

- To doskonały zwyczaj! A w zamrażalniku macie włoskie lody. Objadłam się nimi wczoraj - wyznała ze śmiechem.
- Anno, ty kochasz Maria. Masz to wypisane na twarzy. Poza tym widziałem, jaką miałaś minę, kiedy z nim tańczyłaś.
- Nie wiem, czy to miłość, Harry. Wiem tylko, że bardzo mi na nim

zależy. Widzisz, ostatniego lata ktoś złamał mi serce. Byłam na tyle głupia że zakochałam się w żonatym mężczyźnie. Nigdy nie przypuszczałam że' można aż tak cierpieć. Teraz już o nim nie myślę, ale mimo to czasem ból

175  
powraca z taką intensywnością jak na początku. Mary Rose powtarza w kółko, że to kwestia czasu i chyba ma rację. Jednak mam także miłe wspomnienia o nim, choć tak niewiele czasu spędziliśmy razem. Wiesz, co mnie martwi? Kiedy zakochałam się w Rupercie, cały świat wyglądał inaczej. Kolory były żywsze, bardziej jaskrawe. Teraz wszystko złagodniało, nabrało pastelowych odcieni. Nie bardzo wiem, co o tym myśleć.

- To znaczy, że teraz kochasz bardziej dojrzałe, droga Anno. W lecie byłeś jeszcze dzieckiem, ale cierpienie sprawiło, że wydorostałaś i stałaś się kobietą - bardzo piękną kobietą, pozwolę sobie zauważyć. Podejdź tu i zerknij na swój portret.

Anna przeciągnęła się z rozkoszą. Bolały ją wszystkie kości.

- O rany, Harry, to naprawdę ja! Jesteś świetnym malarzem.

- Dziękuję. No, dosyć na dzisiaj. Jeśli jutro znajdziesz chwilę, znów zmuszę cię do tej mordęgi - zażartował.

- Nie ma sprawy. Uciekam już. Idę poszukać Maria i splądrować lodówkę.

Wybiegła z pracowni zadowolona, że miała z kim porozmawiać o nurtujących ją problemach.

Zaraz po powrocie z Bostonu Crispin odpłynął do Londynu, gdzie ojciec załatwił mu pracę na giełdzie.

Anna była zadowolona, że wyjeżdża. W dniu jego odjazdu zaprosiła Mary Rose na obiad. Postanowiła, że spędzą popołudnie we dwie bo przyjaciółka prawdopodobnie zechce porozmawiać o Crispinie.

- Chyba nie będziecie się gniewać, jeśli zjem obiad tylko z Mary Rose? - zapytała nieśmiało Maria i Foscę.

Chłopak roześmiał się głośno. - Ależ skąd - zapewnił. - Pójdziemy z Foską na pizzę.

- OK, czyli wszystko już załatwione. Rodziców wysłałam do kina tak że będziemy miały cały dom tylko dla nas.

Mary Rose jest w kiepskim humorze, więc na pewno dobrze nam zrobi trochę typowo babskich plotek

Mario skrzywił się zabawnie. - Oj, to dobrze, że mnie tu nie będzie. Wy, kobiety, jesteście okropnymi gadułami.

- Dzięki za wyrozumiałość. - Anna musnęła ustami jego policzek Pobieгла do kuchni poprosić kucharkę, żeby przygotowała eskalopki cielece, ulubione danie Mary Rose. Potem poszła do swojego pokoju i sięgnęła po książkę ukochanej Jane Austen.

Westchnęła ciężko. Życie jest takie skomplikowane, pomyślała. Oto siedzi w domu, choć tak naprawdę chciałaby teraz być na miejscu Foski i iść z Manem do restauracji. Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, z jakim zapałem pochłaniał jedzenie, a pizzę w szczególności. Wspomnił kiedyś, że we Włoszech brakowało podstawowych produktów spożywczych. Faszyści specjalnie podtrzymywali ten stan rzeczy, bo głodni ludzie

168

byli bardziej skorzy do donoszenia na sąsiadów w zamian za worek mąki albo cukru.

Przestała czytać, bo usłyszała odgłos zapalnego silnika. To Mario i Fosca wzięli jeden z samochodów Daniela.

Dlaczego w ogóle musiała się znowu zakochać? Samotność jest o wiele lepsza. Daje poczucie bezpieczeństwa. Już wcześniej Anna przysięgała sobie, że zrobi wszystko, byle uniknąć powtórzenia sytuacji z Rupertem. Zazdrościła matce, ale wiedziała też, że Mary nie jest w stanie jej pomóc. W jej życiu był tylko jeden mężczyzna. I tak, jedyną kompetentną osobą pozostawała Mary Rose, która, zakochawszy się w Crispinie, wpadła w gorsze kłopoty niż ona. Teraz Anna liczyła, że po wyjeździe Anglika będzie mogła porozmawiać z przyjaciółką o Mariu.

Nie miało sensu ponowne sięganie po książkę. Dziś pełna magii proza Jane Austen i tak nie przyniesie ukojenia.

Może to dlatego, że jest czwartek, pomyślała. Czwartek był dla niej zawsze najgorszym dniem tygodnia.

Mary Rose wkroczyła do salonu owinięta grubym, kaszmirowym szalem.



- Dostałam go od Crispina - pochwaliła się, rzucając szal na kanapę. Zatrzymała się przed lustrem i uważnie przyjrzała swojemu odbiciu. - Chyba bardzo schudłam, prawda? - Tak. - Anna spojrzała na jej szczupłą sylwetkę. - Mary Rose, czy ty się odpowiednio odżywasz?

- No... nie bardzo. - Unikała jej wzroku.

- Co to znaczy: nie bardzo? - Anna zaniepokoiła się nie na żarty. Dopiero teraz dostrzegła głębokie cienie pod oczyma przyjaciółki i jej chudziutkie nadgarstki. Przypomniała sobie, jak w Bostonie Mary Rose bez przekonania grzebała widelcem w talerzu. Wtedy jednak Anna bawiła się tak dobrze, że nie przywiązywała wagi do jej braku apetytu. Wszystkie zmiany w wyglądzie przypisywała nie przespanym nocom i ciągłym kłótniom z Crispinem. Mary Rose spróbowała się uśmiechnąć, ale z kiepskim skutkiem,

- Anno, Crispinowi staje tylko wtedy, kiedy wyglądam jak patyk, czyli, jeśli to możliwe, kiedy jestem jeszcze chudsza niż teraz.

Anna zmarszczyła brwi. - Ależ to śmieszne.

- Tak, wiem, tobie wydaje się to śmieszne, ale ja wcale nie żartuję, moja droga. Obawiam się, że jeśli jeszcze bardziej nie schudnę, Crispin mnie rzuci. A ja go kocham, Anno. Naprawdę go kocham.

Przestraszyła ją panika w głosie przyjaciółki. Rozumiała strach i obawę Mary Rose. - Kochanie, musisz z nim o tym porozmawiać.

- Myślisz, że nie próbowałam? Twierdzi, że to nie zależy od niego. Widzisz, wszystkie jego byłe i aktualne kochanki wyglądają tak samo: są chude jak patyki. I wiesz, nie podobają mu się moje piersi. Twierdzi, że są

zdecydowanie za duże. Zastanawiam się, czy nie zrobić sobie operacji plastycznej, żeby je zmniejszyć. - Spojrzała na swój biust. Rzeczywiście, teraz, kiedy tak bardzo schudłam, bujne piersi nie pasowały do szkieletowatej figury.

- Nie mogę go stracić. To jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochałam.

Jeszcze niedawno Anna skwitowałaby to wyznanie ironicznym uśmiechem, bo też nie po raz pierwszy takie słowa padały z ust Mary Rose. Wiedziała jednak, że tym razem przyjaciółka mówi szczerą prawdę.

Mary Rose opowiadała dalej. - Straciłam kontrolę nad własnym życiem. Zawsze grałam główną rolę; to ode mnie uzależniali się mężczyźni. Teraz czuję się jak zając złapany w sidła. Anno, czy to co opowiadam w ogóle trzyma się kupy?

- Jak najbardziej. - Wydawało się, że te słowa rozbiły szklaną taflę - Anna widziała poplamione krwią odłamki leżące na podłodze. - Doskonale wiem, o co ci chodzi. Nie zapominaj, co przeżyłam z Rupertem. Może Crispin potrzebuje czasu. Może po ślubie, kiedy już będzie pewien twojej miłości, zniknie ta śmieszna zależność od chudych kobiet.

- Może tak. - W głosie Mary Rose nie było przekonania. - Poczekamy, zobaczymy.

- Słuchaj, zamówiłam na dziś cielęce eskalopki, bo to twoje ulubione danie. Tatuś zostawił dla nas butelkę wysmienitego wina. Właśnie się chłodzi. Chodźmy jeść. Pomyśl, Crispin wyjechał i pewnie nieprędko przyjedzie.

Nie martw się na zapas i nie psuj naszego wspólnego wieczoru.

Przy stole Anna zauważyła, że Mary Rose znowu prawie nic nie je.

- Nie smakuje ci?

- Och, skąd, jest pyszne, ale wiesz, jakoś nie jestem głodna. Zupełnie straciłam apetyt. - Zjadła jeszcze kilka kęsów, upiła łyk wina i odłożyła sztućce na talerz. - Wiesz, zaczyna do mnie docierać, że Crispin ma o wiele bardziej pogmatwany charakter niż wszyscy inni mężczyźni razem wzięci. Zazwyczaj wystarczy dać im jeść i iść z nimi do łóżka. W Crispinie są jednak tajemnice, których nawet nie próbuję poznać.

- Chyba masz rację. - Obie zamilkły, każda zajęta przemyśliwaniem własnych problemów.

- Mary Rose, od początku obiadu zbieram się na odwagę, żeby ci to powiedzieć: zakochałam się w Mariu. - Anna skrzywiła się zabawnie. - Nie bardzo mi się to podoba, bo jeszcze nie do końca wróciłam do siebie po tej sprawie z Rupertem. Co ty na to? Nie uważasz, że się wygłupiam?

Przyjaciółka uśmiechnęła się ciepło. - Od dawna zastanawiałam się kiedy wreszcie przejrzysz na oczy. On cię kocha, Anno. Kiedy jesteście razem, oboje promieniejecie szczęściem, a kiedy Mario wychodzi, masz minę jak szczeniak, któremu zabrano kość. Nie mam twojego daru ale czytam w tobie jak w książce. - W jej śmiechu pojawiły się gorzkie nuty -

Masz dużo szczęścia, wiesz o tym? Mario nigdy cię nie skrzywdzi. Tacy jak on są zawsze wierni.

Pokojówka uprzątnęła ich talerze i podała kawę oraz owoce.

- Przejdźmy do salonu - zaproponowała Anna. - Usiądziemy sobie przy kominku.

Usadowiły się w starych, obitych skórą fotelach. - Dobry Boże, ileż to lat temu siedziałyśmy w tych fotelach, planując naszą przyszłość? - westchnęła melancholijnie.

- Och, wieki, wieki temu, moja droga. Wtedy wszystko wydawało się takie łatwe. Ja miałam być sławną aktorką, a ty chciałaś mieć dobrego męża i sześcioro dzieci. No i popatrz na nas; siedzimy tu, dwie stare panny. Chociaż, z drugiej strony, nie jest tak źle: ja jestem zaręczona i niedługo wyjdę za mąż, ty pewnie wkrótce pójdziesz w moje ślady.

- Pewnie tak - odparła cicho Anna. - Ale wiesz, muszę ci wyznać, że często obawiam się przyszłości. Czasem myślę, że lepiej byłoby iść do klasztoru i dać sobie spokój z mężczyznami.

- No tak, ale pomyśl, że zakonnice nigdy nie zasmakują prawdziwego seksu!

- W życiu są także inne ważne rzeczy, ale nie twierdzę, że nie masz racji. - Parsknęła śmiechem. - Dobra, przekonałaś mnie. Na razie nie wstąpię do klasztoru.

Po wyjściu Mary Rose Anna pobiegła do rodziców, do biblioteki.

- Mary Rose strasznie schudła - zauważyła Mary.

- Tak, to prawda. Może kiedy wyjdzie za Crispina, wszystko się ułoży. Oboje są tacy nerwowi. - Anna paplała beztrąsko, ale cały czas nadśluchiwała, czy nie usłyszy trzaśnięcia frontowych drzwi. Fosca i Mario powinni wrócić lada chwila. Oboje hołdowali włoskiemu zwyczajowi spacerowania zaraz po jedzeniu. Na początku bardzo to Annę dziwiło, ale wkrótce nauczyła się lubić i cenić te przechadzki po zatłoczonych ulicach.

Włosi zdecydowanie różnili się od innych gości pizzerii. Amerykanie zwykle wpadali jak po ogień i równie szybko wychodzili. Wydawało się, że w ogóle nie siadają. Kiedy dostali jedzenie, po niecierpliwym pstrykaniu palcami, oczywiście, pochłaniali je błyskawicznie, natychmiast płacili i znikali za progiem. W przeciwieństwie do nich, Mario i Fosca delektowali się każdym kęsem.

Anna nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo amerykański styl życia różni się od podejścia Włochów. Nawet Daniel, zawsze pełen energii i entuzjazmu do pracy, wydawał się przy nich nieokrzesanym gburem.

Usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

- Mario wrócił - oznajmiła radośnie.

Mary odnalazła spojrzenie Daniela i leciutko skinęła głową. Miało to oznaczać „a nie mówiłam?”. Daniel uśmiechnął się: „strzał w dziesiątkę”.

180

Mario oświadczył się Annie, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Dwa poprzednie lata upłynęły im na poznawaniu się wzajemnie.

- Muszę się nauczyć ci ufać - tłumaczyła mu kiedyś. - Nigdy więcej nie chcę cierpieć tak, jak wtedy. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy znowo abym taki ból jeszcze raz. Zawsze rozumiałam Annę Kareninę. Uwielbiam *Przemięło z wiatrem*, ale nie wierzę, że Scarlett O'Hara umiała przestać myśleć o Rhettie Butlerze, mówiąc po prostu „jutro też jest dzień”. Kiedy ma się złamane serce, nie ma jutra, tylko nieskończone wieczne „wczoraj”.

Dopiero wtedy Mario zrozumiał, że Anna nadal cierpi.

- Przysięgam ci, że z nami tak nie będzie. Nigdy cię nie skrzywdzę. Za bardzo cię kocham, zbyt wiele dla mnie znaczysz. Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu. Czy ty naprawdę powiedziałaś, że mnie kochasz?

- Tak, Mario, tak. Ale musisz być cierpliwy, bo wiele czasu upłynie zanim będę mogła ci w pełni zaufać. Nie wiem też, czy będę w stanie przeżywać coś tak intensywnie, jak miłość do Ruperta. Sama nie wiem czy tego chcę. Tamto uczucie przypominało buzujący ogień. Poparzyłam się wtedy i do dziś czuję ten ból.

Przytulił ją ze zrozumieniem. - Znam to. Dowiedziałem się, że moja dziewczyna poślubiła innego. Wydawało mi się, że cały świat pograżył się w mroku, ale wtedy ty byłaś u mego boku i pomogłaś mi odważnie patrzeć w przyszłość. Na początku obawiałem się, że kocham nie ciebie, tylko bezpieczeństwo i opiekę, którymi mnie otaczałaś. Ale teraz, *cara*, nie mam żadnych wątpliwości: kocham cię, bo jesteś piękna i mądra.

- Tak, tak, Mario, ale czy zawsze będziesz mnie kochał? Zobacz, jak mało osób jest szczęśliwych przez całe życie. Moi rodzice to tylko wyjątek potwierdzający regułę.

- Daj spokój, *cara*. Za dużo myślisz. - Przyciągnął ją do siebie i zamknął usta pocałunkiem. Anna nie chciała poddać się uczuciom, ale sama bliskość Maria dawała jej pocieszenie. Mario zdał sobie sprawę, że dużo czasu upłynie, zanim odważy się kochać z Anną. Stare rany nadal sprawiały ból.

Jej rodzice obserwowali zakochanych z pobłażliwym uśmiechem. Mario pracował jako asystent Daniela. Uważał, że zdobyta w Stanach wiedza okaże się nieoceniona po powrocie do Włoch.

Nie wyobrażał sobie przyszłości inaczej niż z Anną u boku. Tylko Fosce wtajemniczył w te plany, a ona aprobowała je całkowicie. Na razie nie robił nic, cierpliwie czekając na moment, w którym Anna będzie gotowa podjąć decyzję.

O małżeństwie zaczęli rozmawiać, kiedy miała dwadzieścia lat. Do tej pory mówili o rodzinie i dzieciach, nie zagłębiając się w szczegóły.

- Tamtego ciepłego majowego dnia grali w tenisa. Anna bez trudu wygrała dwa pierwsze sety.

- Hej, Mario, zaraz wygram cały mecz - odgrażała się wesoło. - Za dużo przesiadujesz w biurze i przez to tracisz kondycję.

- Zobaczymy. Zaraz cię pobiję - odkrzyknął. Anna widziała jednak, że nie koncentruje się na grze. Jego myśli zaprzętało coś innego.

Wygrała bez problemów. Podali sobie ręce nad siatką.

- Chodźmy pod drzewo, do cienia - zaproponowała. - Jestem cała mokra od potu.

- Damy się nie pocać, Anno. W każdym razie - nie włoskie damy.

- Może i nie, ale ja nie jestem włoską damą. Jestem Amerykanką i bardzo się pocać. - Z ulgą rzuciła się na miękką trawę.

- Och, jak tu przyjemnie - mruknęła zachwycona.

Mario ukląkł nad nią i otoczył ramionami. - A czy chciałabyś zostać włoską damą?

Anna szeroko otworzyła oczy. - Och, Mario. - Pocałowali się. Nigdy później nie mogli zrozumieć, skąd i kiedy nadeszła potężna fala namiętności, która uniosła ich ze sobą.

Mario sam nie wiedział, kiedy pomógł Annie zsunąć majteczki. Drżała i oddychała ciężko, ale nie potrafiła go odepchnąć. Wyciągała ręce, chcąc dotknąć jego nagich teraz ramion, pomagała mu rozpinąć bluzkę. Uniosła ręce, żeby szybciej uwolnił ją z koronkowego stanika. Ku swemu zdumieniu, nie czuła wstydu, tylko tęsknotę. Chciała poczuć go w sobie.

Delikatnie rozsunał jej kolana. Wszedł w nią. Oplotła go ramionami i uniosła biodra, by go przyjąć. Przez chwilę zdawało jej się, że widzi ich splecione ciała z góry, z korony drzewa.

Mario drżał. Objęła go udami, chcąc przyciągnąć go jak najbliżej.

Oboje zatracili się w narastającym rytmie miłości. Poczuli nagle ukłucie bólu. Potem me myślała już, wsłuchana w drżenie swego ciała.

Krzyknął cicho, a później zamarł w bezruchu. Przesunął się na bok ale nie wyszedł z niej.

- Czy coś poczułaś, Anno? - szepnął.

- Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie wiem, co miałam poczuć

- P<sup>a</sup>J- pokażę ci. - Wsunął dłoń między jej uda. Powoli, ostrożnie głaskał wrażliwą skórę.

Ogarnęła ją fala ciepła. Przyjemny dreszcz wędrował od stóp, poprzez nogi, coraz wyżej. Nagle usłyszała swój jęk.

- Nie przestawaj Mario, proszę, nie przestawaj. - Była zawstydzona swoim zachowaniem, ale nie sposób powstrzymać raz rozbudzonej namiętności. Wygięła się w łuk i zagryzła wargi, żeby nie krzyczeć.

- Zakryj mi usta dłonią - jęknęła.

Zamknął je pocałunkiem. Potem pieścił językiem rozpalone piersi i smukłą szyję I wtedy to nadeszło. W jej wnętrzu wybuchł wulkan, a ona spadała w bezdenny krater, spadała niżej i niżej, wtulona w ramiona Maria. Potem ogarnął ją błogi spokój.

Przez chwilę milczeli.

- Mario, będę cię kochać do końca moich dni.

Nagle wszystkie strachy przeszłości zniknęły bez śladu. Teraz mogła mu zaufać. Wreszcie wiedziała, co leży u podstaw związku między kobietą a mężczyzną. Nie był to ten rodzaj seksu, jakiego szukała Mary Rose. Nie krył w sobie nic mrocznego, trudnego ani groźnego. Był **to** akt połączenia dwóch dusz. Anna miała pewność, że nigdy nie zapragnie czegoś innego Teraz знаła już sekret i cieszyła się na nadchodzące lata, w których ona i Mano będą się kochać i odkrywać tajniki erotyki.

- Przykro mi, Anno. - Jego słowa wyrwały ją z zadumy - Nie przypuszczałem, że do tego stopnia stracę kontrolę nad sobą. Wszystko w porządku? Czy nie zrobiłem ci krzywdy?

Przewróciła się na brzuch. Mario leżał obok, wspierając się na łokciu Uśmiechnął się i przejechał palcem wzdłuż jej kręgosłupa

Poczuli wilgoć między nogami. Wsunęła tam dłoń, żeby sprawdzić, co to.

- Nie krwawię - stwierdziła zdumiona. - A myślałam, że zawsze się krwawi za pierwszym razem.

- Nie zawsze.

Skąd wiesz? - podniosła na niego wzrok. - Byłam pewna, że ty także jesteś... że to także twój pierwszy raz?

- Włosi szybko tracą dziewictwo, w przeciwieństwie do naszych kobiet.

- To niesprawiedliwe. Mary Rose byłaby wściekła, gdyby się o tym dowiedziała.

- Nie obchodzi mnie to. Cieszę się, że jestem twoim pierwszym mężczyzną.

184

Anna usiadła. - Słuchaj, musimy się ubrać. Ale by było, gdyby znaleźli nas tu ogrodnicy!

Rzeczywistość ściągnęła ich na ziemię. Anna, nagle zawstydzona własną nagością, pośpiesznie wkładała bieliznę i nerwowo zapinała guziki bluzki.

- Mario, ja nie zajdę w ciążę, prawda?

- Mam nadzieję, że nie. Ale jeśli będzie inaczej, po prostu pobierzemy się od razu.

- Nie chcę wychodzić za mąż dlatego, że jestem w ciąży. To nie byłoby właściwe.

- Anno, na pewno nie zajdziesz w ciążę, zapewniam cię.

- Ile kobiet już miałaś? - Nie chciała zadać tego pytania, ale już zawisło między nimi. Była zazdrosna o wszystkie jego kochanki.

- To nieważne. Anno, one należą do przeszłości. Zostawmy ją w spokoju. Dzisiaj zaczęła się nasza przyszłość. -

Pocałował ją w czubek głowy.

Szli przez duży trawnik w stronę domu. Anna nagle posmutniała.

- Moi rodzice nie byliby zachwyceni tym, co się stało.

- Więc im nie mów. Kochanie, najwyższy czas, żebyś rozpoczęła samodzielne życie. Nie chciałem wcale, byśmy się kochali, ale skoro do tego doszło, jest to tylko i wyłącznie nasza sprawa.

- Masz rację. - Uświadomiła sobie, że z nikim nie potrafiłaby rozmawiać o dzisiejszym dniu. To dotyczyło tylko ich dwojga. Byli kobietą i mężczyzną zagubionymi w kosmosie, którzy połączyli się i odnaleźli w akcie miłości. Była to ich tajemnica, która sprawiła, że różnili się od innych zakochanych tego świata.

Z uśmiechem spojrzała na Maria. Znała już odpowiedź na wszystkie swoje pytania. Odnalazła pokój, który się osiąga dzięki zjednoczeniu dwóch ciał.



41

Anna wiedziała, że Mario ma zamiar oficjalnie poprosić o jej rękę. Ze śmiechem wypchnęła go za drzwi, kiedy zajrzał do sypialni mówiąc, że jest bardzo zdenerwowany.

- Przecież nie masz żadnych powodów - tłumaczyła. Ani razu nie kochali się w jej pokoju ani w ogóle w domu. Nie chcieli być niełojalni wobec rodziców, więc uprawiali miłość na dworze. W zimie Anna rozkładała swój gronostajowy płaszcz, który służył im za koc wśród śniegu. Kiedyś nawet myli się śniegiem. Anna do dziś pamiętała cudowne uczucie, gdy zimny śnieg dotykał rozpalonego ciała.

- No dalej, fajtłapo. Przecież wiesz, że tatuś się zgodzi.

- Nie jestem fajtłapą. - Mario zmarszczył brwi. - Każdy mężczyzna denerwuje się w takiej chwili. Jak już będzie po wszystkim pokażę ci, jaki ze mnie fajtłapa.

- Trzymam cię za słowo. Powiedz gdzie, a będę czekała niecierpliwie.

- Tam, gdzie kochaliśmy się po raz pierwszy.

Jej oczy rozbłysły. - Dobrze. Więc do zobaczenia pod naszym drzewem.

Mario różnym krokiem udał się na poszukiwanie Daniela.

- Co za cudowna kobieta - mruknął do siebie. Dotknął kieszeni. Przez materiał spodni wyczuł mały pierścionek z akwamarynem. Należał do jego siostry, ale kiedy tylko zwierzył się jej ze swoich planów, wymogła na nim obietnicę, że da go Annie w dniu zaręczyn.

Uśmiechnął się. Jego siostra bardzo polubiła przyszłą bratową. Wierzył, że wkrótce w trójkę powrócą do Włoch. Nie mógł już się doczekać dnia,

185

w którym pokaże Annie *fattorię*, rodzinną farmę. Była duża, piękna i spokojna.

Zapukał do drzwi. Nacisnął klamkę, kiedy Daniel krzyknął, że może wejść.

- Danielu - Mario był na siebie wściekły, bo trząsał się ze zdenerwowania. - Danielu, czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym poślubił twoją córkę, to znaczy Annę?

Daniel zerwał się na równe nogi. - No, wreszcie. Już myślałem, że nigdy nie zdobędziesz się na odwagę. Ależ oczywiście, mój chłopcze. I Mary, i ja będziemy zachwyceni, mając cię za zięcia. Choć i tak już jesteście, ty i Fosca, członkami naszej rodziny!

- To cudownie! - Mario uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. - A teraz już pójde powiedzieć to Annie, dobrze? - Miał nadzieję, że Daniel nie zauważy rumieńca winy na jego policzkach. Myśl o Annie czekającej pod drzewem podniecała go. Cały czas myślał o jej pięknej, miękkiej, jedwabistej skórze.

- Leć już, leć. Dziś wieczorem uczymy to szampanem.

Mario wybiegł do ogrodu. Po drodze zerwał tuzin czerwonych róż. Anna czekała. Leżała na trawie, w cieniu drzewa.

- Twój ojciec się zgodził. - Objął ją i przytulił mocno. - Jesteś moja, tylko moja. - Ułożył się obok niej na trawie. -

Proszę - powiedział bez tchu - oto pierścionek. Tak naprawdę należy do mojej siostry, ale chciała, żebym ci go dał.

Kiedy pojedziemy do Włoch, dostaniesz inny, porządny. Moja mama przechowuje nasz rodowy klejnot, pierścień z brylantem. Ma go dostać moja narzeczona, czyli ty, Anno. - Odwrócił jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni.

Objęła go i kochali się na trawie, w cieniu drzewa, dokładnie tak jak rok wcześniej.

Kiedy błędziła dłońmi po jego plecach, spojrzała na błękitne oczko pierścionka. Przypomniała sobie, że kiedyś, wiele lat temu, Bidy również dała jej pierścionek z niebieskim kamieniem. To mój szczęśliwy kolor, przemknęło jej przez głowę. A potem nie myślała już o niczym.

Ślub miał miejsce w starym kościółku ojca O'Briana. Mary Rose była starszą druhną. Fosca, także druha, pilnowała trzech aniołków w błękitnych sukieneczkach, czyli siostrzenic Joe Rapillana.

Anna miała na sobie prostą, długą sukienkę z czystego jedwabiu. Biały materiał zdawał się szeptać słowa zachęty, kiedy kroczyła do ołtarza wsparta na ramieniu ojca.

Daniel powinien pękać z dumy, ale w głębi serca czuł tylko smutek i żal. Anna była dla niego najważniejszą osobą. Była, jest i zawsze będzie częścią jego życia. Nie wyobrażał sobie domu bez niej.

Państwo młodzi wybierali się w podróż poślubną na Karaiby. Po powrocie mieli zamieszkać w małym domku, niedaleko rezydencji Kearneyów.

Jako matka panny młodej, Mary zajmowała honorowe miejsce. Nie ocierała łez radości, które płynęły po jej policzkach. Patrzyła, jak Mario czule uśmiecha się do narzeczonej. Potem młodzi ruszyli do ołtarza, za nimi zaś, jak welon, dreptały małe druhny.

Mary westchnęła. Oto zbliżał się najszczęśliwszy moment w życiu jej córki. Ona także powinna się cieszyć, ale nie mogła. Powróciły wspomnienia o tych, którzy już odeszli i nie zobaczą Anny jako panny młodej.

Kitty i Marta z mężami stały tuż obok. Tyle się zmieniło, pomyślała Mary. Z drugiej strony jednak, ze zła, smutku i tęsknoty powstało dużo dobrego. Tak, Anglicy nadal dręczyli Irlandię, tak, Kearneyowie nadal tęsknili za ojczyzną, ale dziś Anna wychodzi za mąż i cała rodzina powinna się cieszyć.

178

Otrząsnęła się z zadumy, kiedy córka przystanęła koło niej i pocałowała ją w policzek. Mary nigdy nie widziała takiego szczęścia na jej twarzy.

Mario, wysoki, szczupły i przystojny stał tuż obok. Także on pochylił się i ucałował przyszłą teściową. Ruszyli dalej. Organy wypełniły kościół tryumfalnymi dźwiękami *Marsza weselnego*.

Mary pograżyła się we wspomnieniach. Jak bardzo różniła się ta uroczystość od zaślubin jej i Daniela! Brali ślub w malutkim kościółku ojca O'Briana. Oprócz młodej pary, tylko Kitty i Marta uczestniczyły w ceremonii. Reszta klanu Kearneyów miała zakaz wstępu do kościoła. Ojciec O'Brian nie mógł znieść ich pijackich śpiewów, awantur i bójek. Uśmiechnęła się na wspomnienie nocy poślubnej. Miała nadzieję, że Mario będzie równie czuły i delikatny dla Anny, jak Daniel był dla niej. Przypuszczała, że Mario miał już pewne doświadczenie z kobietami, ale była przekonana o niewinności córki. Nagle jednak się zawahała; Anna bardzo się zmieniła przez ostatni rok.

Wydoroślała i spoważniała. Biła od niej świadomość własnej kobiecości, ale w niczym nie przypominało to jawnego

pożądania, które widniało w oczach Mary Rose. Nie, Anna po prostu znalazła swoje miejsce we wszechświecie. Nie czerwień się już i nie spuszczała oczu, zażenowana. Zachowywała się tak, jakby bardzo dobrze знаła swoje ciało i ta wiedza dawała jej radość, jakby świadomie zostawiła za sobą dzieciństwo i rozpoczęła życie dorosłej kobiety. Czasem Mary widziała, jakim namiętym, wielce obiecującym wzrokiem Anna wpatruje się w Maria. Więc może nie jest już dziewicą? Nie przejmowała się tym jednak. Kochała Maria jak syna i, bez względu na to, co zaszło między młodymi, wiedziała, że będzie kochał Annę do końca życia. To jej wystarczało.

Daniel wsunął bilety do koperty. Nie mógł pozbyć się natrętnej myśli; oto, w gruncie rzeczy, płaci mężczyźnie za deflorację córki.

Nie była to przyjemna refleksja, toteż czym prędzej skierował myśli na inne tory. Zdążył jeszcze zauważyć, że skoro ktoś kiedyś ma pozbawić Annę dziewictwa, niech to będzie Mario. Daniel kochał bliźnięta jak własne dzieci.

Nie mógł jednak w pełni rozkoszować się dzisiejszą ceremonią. Był przekonany, iż teraz, jako żonaty mężczyzna, Mario będzie chciał wrócić do Włoch i rozpocząć samodzielne, niezależne życie. Tu, w Stanach, podlegał Danielowi, który widział, że to drażni i deprymuje młodego człowieka. W ciągu ostatnich lat Mario zgłębił wszystkie tajniki przemysłu obuwniczego. We Włoszech mógłby założyć własną firmę. W Asciano czekała na niego także inna możliwość - mógłby przejąć po ojcu majątek i zamieszkać na wsi. Mario kochał wieś i pracę na roli. W Nowym Jorku dużo i często pracował w ogrodach otaczających rezydencję Kearneyów i pomagał staremu Filipowi, a warzywami, które uprawiał, zachwycała się cała rodzina.

Po mszy, kiedy otarto z oczu łzy, Daniel i Mary zaprosili zebranych na przyjęcie.

Mario i Anna rozcinali weselny tort. Złote ostrze miękko zagłębiało się w grubej warstwie lukru, by po chwili uderzyć o srebrną patelnię.

Anna się uśmiechnęła. Do tej pory wszystko poszło dobrze. Miała nadzieję, że żadne smutne wydarzenie nie zakłóci najpiękniejszego dnia w jej życiu.

Nic złego się nie stało i Anna w niebieskim kostiumie ucałowała na pożegnanie obie ciotki, wsiadła do samochodu i pomachała rodzicom.

Głośny, przenikliwy dźwięk syreny przerwał ciszę. Anna wychyliła się przez reling. Na nadbrzeżu kłębiły się tłumy ludzi, roześmianych i smutnych. Nagle poczuła się bardzo samotna. Całe dotychczasowe życie spędziła w otoczeniu rodziny. Teraz została sama, tylko z Mariem. Jej przyszłość miała minąć u jego boku. Czy ich miłość zdoła wypełnić szczęściem nadchodzące lata? Czy może zmęczy ich ciągle przebywanie we dwoje? Nie wiedziała.

- Kiedy statek odbił od brzegu, wróciła do kajuty. Mario drzemał na łóżku, ale otworzył oczy, kiedy weszła.

- Boli mnie głowa - wyjaśnił. - Nasi znajomi to cudowni ludzie, ale strasznie hałaśliwi.

- O tak, wiem o co ci chodzi. - Przysiadła koło niego. - Słuchaj, mam pomysł: nie idźmy dzisiaj na kolację.

Zamówimy sobie coś do kabiny i zjemy tutaj.

Uśmiechnął się szeroko. - To doskonały pomysł, *amore*. Na co masz ochotę?

- Och, to, co zwykle - zażartowała Anna. - Homar, kawior i jakaś sałatka, a potem kawa ze śmietanką.

- Doskonale. Zaraz zadzwonię. Uważam, że powinniśmy wypić dziś szampana. W końcu, cóż warta noc poślubna bez butelki szampana?

- OK. - Wstała z łóżka. - Masz jakieś plany na dziś wieczór?

- Zaczekaj, to się przekonasz - przekomarzał się.

- W takim razie idę wziąć kąpiel, namaścić się wonnymi olejkami i w ogóle przygotować dla mego pana i władcy.

Dotknęła stopami grubego dywanu. Nie musiała zawracać sobie głowy rozpakowaniem bagażu. Wszystkim zajęła się pokojówka. Wyjęła z szuflady jedwabną koszulkę i weszła do łazienki. Jedwab zawsze wzbudzał w niej przyjemny dreszczyk rozkoszy.

Była pewna, że nie będą się nudzić podczas tej podróży. Dokładnie mówiąc, nie przypuszczała, by w ogóle wychodzili z kabiny. Wreszcie mogli się kochać całymi dniami. Bardzo ją cieszyła ta perspektywa.

Po kolacji Mario przebrał się w jedwabne kimono. Wszedł do saloniku i usiadł wygodnie w fotelu. Wtedy Anna, która siedziała w drugim kącie kabiny, wstała, podeszła do niego i opadła na kolana. Powoli zsunęła z ramion kwiecisty peniuar i została w samej jedwabnej bieliźnie.

**190**

Oparł dłoń na jej ramieniu i zsunął ją w dół, na jędrne piersi o sterczących sutkach. Oboje dyszeli ciężko. W jej oczach błyszczało pożądanie.

Anna ostrożnie rozsunęła fałdy kimona, wzięła nabrzmiałą męskość w dłonie i ugryzła delikatnie.

- To cudowne - stwierdziła między jednym a drugim pocałunkiem -móc robić to w ciepłym, wygodnym pomieszczeniu.

Mario odetchnął głęboko i z zamkniętymi oczyma opadł na miękkie oparcie fotela. Anna przejawiała zadziwiająco dużą inwencję jak na kobietę, której jedynym kochankiem jest własny mąż. Zapadająca noc niosła obietnicę bezkresnej rozkoszy.

Na podstawie wcześniejszych doświadczeń z kobietami potrafił docenić, jak wielkie miał szczęście, mogąc poślubić dziewczynę, dorównującą mu namiętnością i temperamentem. Oboje uważali, że udany seks polega na zrozumieniu partnera. Podczas niebiańskich momentów spełnienia odnajdywali się w innej rzeczywistości. Właśnie te chwile leżały u podstaw ich małżeństwa; wszystko inne traciło przy nich znaczenie.

Poczuł na sobie jej usta i jęknął z rozkoszy.

### 43

Po wyjeździe Anny Mary Rose stwierdziła ze zdumieniem, że brakuje jej przyjaciółki. Do tej chwili nie uświadamiała sobie, jak bardzo małżeństwo Anny wpłynie na ich stosunki. Teraz dotarło do niej, że to Mario będzie najważniejszą osobą w życiu Anny, a ona musi usunąć się na dalszy plan. Chciała porozmawiać o tym z Crispinem, ale narzeczony zlekceważył jej problemy.

- Doprawdy, Mary Rose, nie jest to temat, którym chciałbym zawracać sobie głowę - syknął. - Wy, Amerykanie, bez przerwy grzebiecie się w uczuciach. To po prostu nudne. - Z tymi słowami wyszedł z sypialni.

Została sama wśród pogniecionej pościeli pachnącej ich namiętnością. Nie mogła opanować łez. Crispin nie po raz pierwszy uraził jej uczucia. W obecności innych udawał, że jest gotów przychylić jej nieba, ale ona nie dawała się już oszukać.

Dlaczego go kochała? Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Może pokochała w nim tę pewność siebie, arogancję niemal, której sama nie miała. Bo Mary Rose była tak naprawdę przerażoną, zagubioną kobietą. Teraz, kiedy Anna zdobyła się na ów decydujący krok w dorosłość, nie chciała zostać w tyle. Postanowiła uporządkować swoje życie i wydawało się jej, że Crispin jej w tym pomoże.

Mimo to łzy nie chciały przestać płynąć. Zagryzała wargi, żeby nie szlochać głośno, ale kiedy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi, przestała walczyć z rozpaczą.

Płakała. Płakała, bo Anna była szczęśliwa, a ona - nie. Płakała, bo

182

wiedziała, że nie powinna wychodzić za Crispina, ale była zbyt uparta, żeby z tego zrezygnować.

Dopiero pół godziny później wstała i zadzwoniła po pokojówkę. Kazała jej sprzątnąć pokój, a sama poszła do łazienki. Zabrała ze sobą czarne jedwabne spodnie, czerwoną bluzkę i pantofle na niewiarygodnie wysokich obcasach.

Z rozkoszą weszła do wanny z kremowego marmuru. W powietrzu unosił się różany zapach płynu do kąpieli.

Zmrużyła oczy i zamyśliła się głęboko. Nie mogła się zdecydować, co dać Crispinowi na Gwiazdkę. Może spodoba mu się pół tuzina pięknych koszul od Fortnuma i Masona? Mary Rose uwielbiała zamawiać ubrania, ale on zwykle kręcił nosem na wszystko, co mu kupiła. A może zegarek od Gucciego, ten ze złotym cyferblatem, który kilka dni temu widziała u Bonwitsa? Najlepiej zrobi, jeśli zaraz pojedzie do miasta i obejrzy go jeszcze raz.

Na razie nie musiała się martwić, co kupić Annie. Ona i Mario wrócą z Jamajki dopiero po świętach, więc ma jeszcze dużo czasu.

Mary Rose wiedziała, dlaczego tak bardzo lubi kupować ludziom prezenty; w ten sposób zabijała czas. Nie mogła podjąć żadnej pracy, tyleż z braku kwalifikacji, co i ochoty. Współczuła swoim przyjaciółkom, które bawiły się w karierę zawodową. Nie zmieniało to jednak faktu, że często nie miała co zrobić z czasem. Nieoceniona okazywała się wówczas butelka dzinu: świat zasnuwała przyjemna mgła i chociaż na krótko Mary Rose mogła zapomnieć o dręczących ją problemach. Uciekała się do tego sposobu tak często, że ostatnio zaczęła się tym przejmować. Ale z drugiej strony, Crispin też nie stronił od kieliszka i to jego konsumpcja alkoholu naprawdę martwiła Mary Rose. Ojciec zawsze przestrzegał ją przed pijakami. „Zawsze poznasz faceta po tym, jak pije”. Była to jedna z jego ulubionych sentencji. Crispin bez wątpienia był alkoholikiem. Co gorsza, po dwóch czy trzech szklaneczkach whisky stawał się agresywny. Zawsze wówczas krzyczał na nią, a określenie „ty pieprzona dziwko” należało do najłagodniejszych. Oczywiście, kiedy wytrzeźwiał, przeproszał ją ze łzami w oczach, ale to nie zmniejszało jej cierpienia.

Może na niego zasługuję, pomyślała, owijając się puszystym ręcznikiem, przecież złamałam już tyle serc. Posłała smutny uśmiech kobiecie w lustrze i wyszła z łazienki.

Sypialnię zastała w idealnym porządku. Żaden szczegół nie zdradzał tajemnic ostatniej nocy.

Crispin był szybkim, agresywnym kochankiem, ale osiągnięcie orgazmu zajmowało mu dużo czasu, a to ją irytowało. Czasem zastanawiała się, czy Crispin naprawdę lubi seks z kobietami, czy też uprawia go, ponieważ sądzi, że tego się po nim oczekuje. Przecież zdecydowanie lepiej czuł się wśród mężczyzn. Wtedy był dowcipny i błyskotliwy, ale ilekroć towarzyszyła mu tylko Mary Rose, dąsał się albo spał. Nie znała nikogo,



kto potrafiłby spać tyle ile on. Często wymykała się z sypialni wczesnym rankiem, bo nudziło ją czekanie, aż się obudzi. Nawet ranne kochanie się me poprawiało jej humoru. Nakładając płaszcz, doszła do wniosku że zmęczyła ją wieczna nuda. Dzisiaj będzie inaczej. Zaraz pojedzie do centrum i odda się szaleństwu zakupów. Kiedy cały samochód wypełni się małymi i dużymi pakunkami, wróci do domu i spędzi miły wieczór na owijaniu sprawunków w kolorowy, świąteczny papier. Crispin jest w złym humorze, me ma więc sensu zabierać go na kolację tylko po to, by publicznie znosić jego fochy, zdecydowała. Miała jednak ochotę zjeść coś w mieście. Postanowiła zadzwonić do jednego ze starych przyjaciół i namówić go na wspólny wypad.

Już z centrum, z Bonwitsa, zadzwoniła do Justina Villiasa.

- Dawno się nie widzieliśmy - zaczęła z uśmiechem. Zareagował szybko. - Czyżbyś już spławiła angielskiego żigolaka? Skrzywiła się. - Jeszcze nie. A tak w ogóle, to jestem z nim zaręczona i wkrótce wychodzę za mąż.

- Mary Rose, zaskakujesz mnie. Zawsze uważałem cię za jedną z tych kobiet, które nie dają włożyć sobie smyczy.

- Bo też wcale do nich nie należę. Słuchaj, Justin, nie zaprosiłbyś mnie na kolację? Nie widzieliśmy się od dawna.

- Bardzo chętnie, ale pod jednym warunkiem.

- Wiesz, że nigdy nie zgadzam się na żadne warunki. Więc, o co ci chodzi?

- Po kolacji wpadniemy do mnie na kawę. Co ty na to?

- Brzmi kusząco.

Nagle przypomniał sobie Annę i gorące uczucia, jakie w nim wzbudziła. Dlaczego nie potrafił zdobyć takiej kobiety? Flirtował z Mary Rose przez telefon i wiedział, że dzisiejszy wieczór zakończy w łóżku. Wiedział także, że nie zadzwoniła do niego bez powodu. Prawdopodobnie pokłóciła się z brytyjskim wymoczkim i chce mu dać nauczkę. Nie obawiał się jednak zemsty Crispina. Poznał go na jakimś przyjęciu i od razu zauważył że nie jest to człowiek, który staje do walki w obronie kobiecej czci.

- Do zobaczenia, Justin. Idę poszukać jakiegoś seksownego łaszka -Mary Rose odłożyła słuchawkę.

Wstał z fotela, przeciągnął się i zadzwonił na lokaja, starego Anglika.

- Edwardzie, proszę zmienić pościel.

- Czy na jedwabną? - Stary lokaj dobrze znał młodego pracodawcę.

- Edwardzie, jesteś nieoceniony. Oczywiście, że na jedwabną. Dobrze teraz zadzwonię do restauracji. Wrócę koło jedenastej. Zostaw światło w holu' rozpal ogień na kominku i sprawdź, czy barek jest należycie zaopatrzony' Pewnie przed snem wypijemy po szklaneczce czegoś mocniejszego.

Edward słuchał go jednym uchem. I tak wiedział, co ma robić. Teraz zastanawiał się, kim jest owa dama i czy jego chlebodawca kiedykolwiek wydorosłeje. Prawdopodobnie nie, pomyślał i wyszedł.

184

Sklepy kusiły tysiącem towarów. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Mary Rose naprawdę przyjemnie spędzała czas. Kiedy tak spacerowała jasno oświetloną Piątą Aleją, doszła do wniosku, że to Crispin psuł jej humor. Owszem, nie stronił od perwersji, ale jednocześnie był tak nerwowy, że nie zaspokajał jej w łóżku. Co innego Justin - on był doskonałym kochankiem. Postanowiła nawiązać z nim romans dłuższy niż tylko dzisiejsza noc.

Chociaż od dnia zaręczyn z Crispinem Mary Rose znacznie zastrzyła własne normy lojalności i przyzwoitości, nadal nie widziała nic złego w tym, że mając wyjść za jednego, planuje romans z innym. Obaj całkowicie się różnili. Zawsze uważała, że nie istnieje na świecie mężczyzna, który spełniałby wszystkie jej oczekiwania: byłoby to zbyt wiele jak na jednego człowieka. Tak więc, jedyne wyjście to stworzyć całość z pojedynczych elementów. Nie mogła oczekiwać od Crispina, że ofiaruje jej coś, czego sam nie posiadał; to samo dotyczyło Justina. Brała od obydwu to, czego potrzebowała.

Zaletą Justina, oprócz niezaprzeczalnych talentów erotycznych, był jego wygląd. Podniecał ją. Przypominał Johnny'ego Weissmiillera: szczupły, o szerokich ramionach i drobnych, jędrnych pośladkach, które przechodziły w długie, kształtne nogi. Justin był świadomy swego wyglądu. Obnosił swoją urodę jak sztandar, dumnie i jawnie. Tylko włosy obaj mieli podobne, chociaż Justin miał modną, krótką fryzurę, a Crispin?

Tak, Crispin. Crispin był jej fatalnym zauroczeniem, dziwnym, potężnym magnesem, który ją przyciągał z taką siłą, że poddawała się jego woli, bezradna i słaba. Pociągało ją nie tylko to, co widziała i słyszała, lecz także ukryta w nim mroczna głębia. Dlatego właśnie potrzebowała kontrastu -kogoś takiego jak Justin, który niczego nie taił.

Postanowiła, że na razie nic nie powie Crispinowi. Co prawda zmarnuje doskonałą okazję, żeby wzbudzić w nim zazdrość, ale przecież nie miał to być jej ostatni wypad z Justinem. Może, jeśli spotka się z nim od czasu do czasu, będzie w lepszym humorze.

Aż do wieczora kupowała prezenty. Sprawiała też sobie nową bieliznę -malutką koszulkę z kremowego jedwabiu i dobrane do niej, równie malutkie majteczki wykańczane koronką. Z uśmiechem przesuwała między palcami śliski materiał. Włożyła purpurową sukienkę i norki, postanowiła.

Futro z norek dostała od ojca rok wcześniej; był to kolejny prezent, mający uspokoić jego sumienie. Do dziś pamiętała grymas wściekłości na twarzy matki.

- Doprawdy, kochanie - wycodziła ze swoim fałszywym brytyjskim akcentem. - Nie powinieneś traktować własnej córki jak kolejną kochankę.

Kiedyś taka uwaga zraniłaby ją, ale nie teraz. Od kiedy odkryła, jaką władzę ma nad mężczyznami, zerwała wszelkie więzy uczuciowe łączące ją z oschłą, zimną, nieprzystępną matką. W swoich kochankach odnajdy

195

wała pocieszycieli. Większość namiętnych romansów z nimi przeradzała się w szczere, serdeczne przyjaźnie. Z uśmiechem weszła do salonu.

- Wychodzę dzisiaj ze starą przyjaciółką - oznajmiła od niechcienia.

- To świetnie. - Crispin był agresywny. - Dobrze mi zrobi trochę spokoju.

Spojrzała na niego z namysłem. - Crispinie, chciałam cię zapytać... - zaczęła cienkim głosikiem rozkapryszonej dziewczynki. Podeszła do niego i usiadła na kanapie. Obok siebie położyła świąteczne prezenty, które wysypywały się z papierowych toreb drukowanych w święte Mikołaje, aniołki, sanie i renifery. - Chciałam cię zapytać, kiedy się pobierzemy?

Crispin zaszczycił ją znudzonym spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Była piękna, szczególnie teraz, kiedy wiatr rozwiały czarne włosy i zaróżowił blade policzki. Tak, była piękna i, do cholery, piekielnie bogata. Sam nie wiedział, co pociąga go bardziej, kobiety czy pieniądze. Pieniądze, zdecydował po chwili. Kobiety mógł mieć w każdej chwili, czego nie dałoby się powiedzieć o pieniądzach. - Niedługo - burknął. - Bardzo niedługo.

- Cieszę się. - Mary Rose wstała, zebrała pakunki, pocałowała go w czoło i wyszła. Nie rozumiała, czemu właściwie ucieszyły ją jego słowa. Przecież fakt, że będą mężem i żoną, nie sprawi, że Crispin stanie się mniej nudny.

Rzuciła torby z zakupami na łóżko i niecierpliwie rozpakowała nową bieliznę. Szybko zsunęła z ramion płaszcz, zdjęła spodnie, ściągnęła bluzkę.

- Fantastycznie - mruknęła, przeglądając się w lustrze w nowym komplecie. - Po prostu fantastycznie.

Potem zajęła się pozostałymi sprawunkami. Rozpakowała prezenty dla Crispina: trzy jedwabne koszule, zegarek od Gucciego i małą aksamitną myszkę. Miał to być ich wspólny sekretny żarcik. Kiedy się kochali, Crispin często mówił, że wchodzi do jej „myszy”.

Kupiła bogato ilustrowany album o sztuce włoskiej dla Anny i Maria, i jeszcze parę kolczyków dla niej. Fosca dostanie piękną muślinową bluzkę i sześć srebrnych łyżeczek. Mary Rose miała wrażenie, że Fosca dużo lepiej niż ona przyjęła małżeństwo brata z Anną. Dziewczyna nadal uśmiechała się przy każdej okazji. Ilekroć się spotykały, opowiadała, jaki to cudowny miesiąc miodowy spędza młoda para.

Mary Rose uwielbiała dotyk jedwabiu na skórze. Powoli wsunęła rękę między nogi. Szybki, gwałtowny orgazm pozbawił ją sił. Zwinęła się w kłębek i zasnęła w wianuszkach prezentów.

Kilka minut później Crispin zajrzał do sypialni i się uśmiechnął. Cała Mary Rose, stwierdził. Żałował, że nie jest w stanie sprostać jej seksualnym potrzebom. Może małżeństwo ją trochę ostudzi, pomyślał. Wrócił do salonu i zadzwonił do matki, do Anglii.

- Mamo, chciałbym wyznaczyć datę ślubu z Mary Rose. Czy moglibyśmy pobrać się w naszej kaplicy?

- Ależ oczywiście, kochanie. To cudownie. Wszyscy będziemy zachwyceni. Mary Rose to miła dziewczyna. Crispin się skrzywił. Matka zmieniłaby zdanie, gdyby zobaczyła Mary Rose śpiącą z ręką między nogami i z anielskim uśmiechem na twarzy.

Odłożył słuchawkę i odetchnął z ulgą. Teraz, kiedy już podjął decyzję, poczuł się o wiele lepiej. Choć nie był przekonany, czy chce tego małżeństwa, musiał zapewnić sobie źródło dochodów. Kiedy już zostanie mężem Mary Rose, będzie miał do dyspozycji tysiące, setki tysięcy dolarów. Wykrzywił twarz w złośliwym uśmiechu.

Oczywiście, że jego rodzice będą zachwyceni - oni także potrzebowali dolarów Mary Rose, żeby wyremontować dom. Crispinowi odpowiadała rola syna marnotrawnego, który sprowadzi do domu tłustą krowę. Żył jednak nadzieję, że Mary Rose się w tłustą krowę nie zamieni, nie miał bowiem erekcji, jeśli jego kochanka była grubsza niż kij golfowy, a Mary Rose miała skłonności do tycia.

Leżąc na białym leżaku na złocistej plaży, Anna doszła do wniosku, że przeżywa najpiękniejsze dni swego życia. Z miłością spjrzała w duże oczy Maria, ciągle pełne namiętności i pragnienia. Przez pierwsze dwa dni w ogóle nie wychodzili z pokoju.

- Cieszę się, że nadal ci się podobam - wyznała nieśmiało. - Obawiałam się, że po ślubie szybko się mną znudzisz.

- Kochanie, przysięgam, to nigdy nie nastąpi. - Mario obsypał ją gradem pocałunków. - Jesteś najatrakcyjniejszą kobietą, jaką znam.

- Ładniejszą nawet niż twoja dawna dziewczyna?

- Dużo ładniejszą. - Żaden cień nie zasnuwał głębi jego oczu. Kochała te oczy i kochała silne, szczupłe ręce. Pochylił głowę i po chwili poczuła na piersiach jego język. Jej ciało niemal natychmiast wygięło się w łuk. Cieszyła się, że teraz mogli kochać się, kiedy tylko zapragną. Wykorzystywali tę okazję właściwie. Kochali się za dnia, na plaży, w ostrym blasku słońca, i pod osłoną nocy, w ciemności rozjaśnianej jedynie ogieńkami świetlików. Kochali się w morzu, unoszeni łagodnymi falami.

Do tej pory wydawało się Annie, że poznała Maria najlepiej jak można. W pierwszym tygodniu podróży poślubnej musiała jednak zmienić zdanie. Pod pewnymi względami nie znała go wcale. Teraz spędzali we dwoje cały czas. Nikt nie śmiał zakłócić ich idylli. Pozostali goście hotelowi kiwali ze zrozumieniem głowami i uśmiechali się ciepło, zachwyceni pięknem młodych ludzi, od których biło szczęście, miłość i pożądanie.

Anna wzięła jedną z kilkunastu pocztówek. „Drogi Stevenie”, napisała, „bawię się świetnie”.

198

Jakie to banalne, pomyślała i zaczęła od początku. „Tęsknię za tobą. Chyba zzieleniejesz z zazdrości na widok mojej opalenizny”. Naprawdę jej go brakowało. I miała nadzieję, że wszystko u niego w porządku, ale nie wspomniała o tym na pocztówce. Postanowiła odwiedzić go po powrocie. Liczyła, że straszna matka pozwoliła mu się usamodzielnąć.

Teraz kartka do Foski. „Droga szwagierko”, zaczęła chichocząc. „Twój brat i ja bawimy się świetnie. Często o tobie myślimy i cieszymy się już na spotkanie po powrocie”.

Odłożyła pióro. Splotła ręce pod głową i pograżyła się w myślach, które w głównej mierze dotyczyły Mary Rose. To dziwne, ale nie tęskniła za przyjaciółką nawet w połowie tak bardzo, jak za Foską. Fosca była cicha i delikatna i respektowała cudzą prywatność. Mary Rose natomiast na pewno się obrazi, jeśli Anna nie będzie chciała opowiadać jej ze szczegółami o swoich erotycznych doświadczeniach. Mary Rose nie szczędziła jej drobiazgowych opisów

narządów swoich kochanków. Ostatni miał, jak to barwnie określiła, „penisa jak mała nieszczelna sikawka”. Anna nie mogła opanować głupkowatego chichotu, kiedy na jakiejś kolacji wypadło jej mieć za sąsiada właśnie właściciela owej „małej, nieszczelnej sikawki”. Owszem, Mary Rose jest kochana, jednak Anna musi odpocząć od jej szalonego świata. Choć w życiu Anny było teraz tyle samo seksu, było to zjednoczenie nie tylko ciał, ale i dusz.

- Nie musimy już używać tego paskudztwa - powiedziała niedawno do Maria. - Jeśli zajdę w ciążę, to w porządku. Pragnę twojego dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Odetchnął z zadowoleniem. - Wiesz, nigdy nie przypuszczałem, że ucieszą mnie te słowa - wyznał. - Zwykle był to znak, że czas zbierać manatki i dać nogę. Ale z tobą jest inaczej. Więc kiedy zabierzemy się do pracy nad powiększeniem rodziny?

W drugim tygodniu Anna zauważyła, że Mario zaczął się od niej oddalać. Nie żeby był mniej czuły, zakochany czy namiętny, ale czegoś jej brakowało. Nie chciała go naciskać. Po prostu czekała cierpliwie. Wiedziała, że prędzej czy później powie jej, co go dręczy. Tak też się stało.

- Anno, ostatnio dużo myślałem...

- Wiem o tym, kochanie. I wiem, że nie były to zbyt pogodne myśli.

- Zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy wrócić do Włoch. Wojna wisi w powietrzu od kilku lat, a jednak nic się nie wydarzyło, więc chyba musimy po prostu żyć z tą groźbą. Twój ojciec wiele mnie nauczył i myślę, że mógłbym otworzyć fabrykę butów w Asciano. Wiem, że Fosca też marzy o powrocie do domu. Naprawdę kocham Amerykę, ale Włochy to zupełnie inny, bliższy mi kraj. Amerykanie są dobrzy i sympatyczni, ale ich tani purytanizm i fałszywa uprzejmość doprowadzają mnie do szału. Czasem myślę, że jeśli jeszcze raz usłyszę „miłego dnia życzę”, to nie wytrzymam i uderzę. Co gorsza, chyba się do nich upodabnam. Rozma-

wiają tylko o baseballu i seksie, przy czym ten ich seks nie ma nic wspólnego z miłością. Potrafią tylko pieprzyć. Anna się uśmiechnęła. Ilekroć Mario tracił panowanie nad sobą, mówił z silnym włoskim akcentem.

- Czekałam na dzień, w którym zaczniesz planować powrót - odparła. - Wyobrażam sobie, jak bardzo tęsknisz za rodziną i przyjaciółmi. Ja też ostatnio dużo myślałam. I doszłam do wniosku, że choć bardzo będzie mi brakować rodziców, pojedę z tobą. Rozumiem, że chcesz wrócić. W gruncie rzeczy ja sama też pragnę zamieszkać we Włoszech. Tyle przecież o nich czytałam! I moglibyśmy zwiedzać zabytki, zamiast tylko o nich czytać. Tak, kochany. Jeśli chcesz wrócić, pojedę z tobą. Rodzice mogą często przyjeżdżać w odwiedziny, prawda? Siedzieli na tarasie hotelu i jedli kolację. Długie ramiona palm muskały złoty piasek. Mario wstał bez słowa. Wziął leżącą koło palmy maczetę, odrąbał orzech kokosowy i zręcznie odciął czubek. Wrócił do stolika i wsunął słomkę do łupiny.

Dostrzegła ślady łez na jego policzkach. Nie powiedziała nic, ale uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę po kokos.

- Za nas, kochany - wzniosła toast orzechem. - Za naszą przyszłość we Włoszech.

- *Salute!* - Pocałował ją żarliwie. - Nigdy nie pożałujesz, że podjęłaś taką decyzję - zapewnił.

Nagle duża, ciemna chmura zasłoniła księżyc. Na chwilę świat pogrążył się w mroku.

Anna szybko mrugała powiekami. - Ojej, co to? Dostałam gęsiej skórki.

- To tylko chmura. Zaraz znowu wyjdzie księżyc.

Prawie w ogóle nie spała tej nocy. Kręciła się i rzucała na łóżku, a wiatr dmuchał i wył. Pod koniec tygodnia wsiadła na statek i najcudowniejszy okres jej życia dobiegnie końca.

Przeszła do saloniku i zapaliła boczną lampkę. Na chybił trafił otworzyła tomik wierszy Judith Lamont, swojej ulubionej poetki amerykańskiej. Czytała:

*„Nic nie trwa wiecznie” mówiłeś a ja nie wierzyłam że odejdiesz. Przez pamięć tamtych słów Nie mówię nigdy „Do widzenia” Mówię „Żegnaj”.*

Nie mogła czytać dalej: słowa nie chciały przejść przez ściśnięte gardło. Teraz, kiedy odnalazła miłość swojego życia, bała się, że ją utraci.

**200**

Dopóki miała tylko rodziców, wszystko było takie proste. Tak, cierpiała z powodu Ruperta, ale wiedziała, że ich związek nie miał szans. Mario natomiast należał do niej teraz i na zawsze, jednak wiersz przypominał, że „na zawsze” nie istnieje. Czytała dalej:



*Przez łzy i ból i śmiech zapamiętam cię Słyszę twój głos w świetle księżyca Widzę twoją twarz wśród gwiazd Wołam cię jesienią Tęsknię zimą Skoro nic nie trwa wiecznie Nie mówię „Do widzenia” Mówię „Żegnaj”.*

Płakała. Płakała nad Judy Lamont, która popełniła samobójstwo, i nad sobą: oto bez słowa skargi musi opuścić rodziców i udać się za mężem do obcego kraju. Gubiła się w uczuciach. - Dlaczego życie niesie nam tyle cierpienia? - szepnęła.

Odpowiedziało jej tylko wycie wiatru.

Kolacja z Justinem Villiasem była niezapomnianym przeżyciem. Mary Rose nie pamiętała już, jak dobrze można się bawić w jego towarzystwie. Justin ją znał i rozumiał, co tylko podnosiło jego atrakcyjność. Oboje byli ulepieni z tej samej gliny. Wspólny wieczór pozwolił jej odpocząć od uciążliwego życia z Crispinem. Miała też czas, by zdać sobie sprawę, co właściwie robi.

- Mary Rose, nadal ci się nie znudził ten wymoczkowaty Anglik?

- Nie. - Wiedziała, że nie uwierzył. Prawdziwą odpowiedź wyczytał z jej oczu.

A prawda była taka, że narzeczony nie tylko ją nudził, lecz także przerażał. Justin był zupełnie innym człowiekiem, w niczym nie przypominał skomplikowanego, skrytego Crispina, w którym pod czarującą powłoką uroczego uwodziciela krył się zmaltretowany, kapryśny dzieciak. Choć Amelia Kearney wyglądała jak poczciwy niegroźny labrador, pod licznymi warstwami flaneli, wełny i tweedów czaiła się potężna, władcza kobieta. Kobieta, która potrafiła zastraszyć całą rodzinę. Nikt nigdy nie słyszał, by podnosiła głos. Wystarczyło jedno jej spojrzenie, zaciśnięcie warg, ruch głową. Poskromiła męża i dzieci tak, jak poskramiała narowiste konie.

Mary Rose także nie były obce tajniki manipulowania ludźmi. Teraz jednak była zmęczona wiecznymi walkami z Crispinem. Chciała po prostu zjeść dobrą kolację w eleganckiej restauracji i rozerwać się w towarzystwie przystojnego mężczyzny.

Justin nie chciał jej powiedzieć, co zamówił.

202

- Pycha - zapewniał. - Odkryłem to danie, kiedy tu ostatnio byłem.

- Smakowało jej? - spytała niewinnie.

Justin się skrzywił. - Pewnie tobie będzie smakowało bardziej. Ona się nie zna na dobrej kuchni.

- Więc w łóżku też jest do niczego.

- Strzał w dziesiątkę. Ale to miła dziewczyna. Bawi mnie. Ograniczyłem moje kontakty z kobietami. To się robi zbyt skomplikowane. Kilka dni temu wróciłem do domu, gdzie zostawiono dla mnie dziesięć wiadomości od dziesięciu różnych kobiet. - Westchnął ciężko. - Mary Rose, chciałbym, żeby któraś naprawdę pokochała mnie takim, jaki jestem.

- Daj spokój, Justin. Przecież nigdy nie będziesz żadnej wierny. Kiedy kelner zbliżał się do stolika, Justin zerknął ukradkiem na Mary

Rose. Ty też nie, pomyślał.

Mary Rose wiedziała doskonale, że pod koniec wieczoru wylądują w łóżku, i czekała na ten moment z niecierpliwością. Justin był dobrym kochankiem.

- Ummm - z lubością wdychała zapach pysznego sosu. - Co to?

- Salami z suszonymi śliwkami, gotowane w wódce. Potem dolewa się wermutu, soku z cytryny i doprawia gałką muszkatołową.

- Raj na ziemi, Justin.

Te same słowa wypowiedziała dużo później, zanim odwróciła się na drugi bok i zasnęła w jego łóżku. - Obudź mnie o pierwszej - wymamrotała i już spała.

Kiedy wślizgnęła się do sypialni, Crispin głośno chrapał. Ostrożnie ułożyła się koło niego. Wcześniej wzięła prysznic i dokładnie nasmarowała całe ciało aromatycznym olejkiem, żeby pozbyć się zapachu Justina. Każdy mężczyzna pachniał inaczej. Kiedy miała jednocześnie kilku kochanków, czuła się jak chodzący shaker do koktajli. Leżała czysta i świeża u boku przyszłego męża, ale nie mogła zasnąć. Z przykrością przyznała się sama przed sobą, że nudzi ją mężczyzna jej życia. Justin przypominał jej dawne czasy.

Owszem, zrealizuje swoje plany i wyjdzie za Crispina. Chce mieć status żony. Nie podobała jej się wizja życia w samotności, a na słowa „stara panna” dostawała gęsiej skórki. Zasnęła, planując swój ślub.

Następnego ranka obserwowała Crispina przy śniadaniu. Nie znosiła sposobu, w jaki jadł tosty. Wyglądał wtedy jak mysz. Marszczył nos, trzymał kromkę dwiema rękami i wpychał ją do ust. Wystające przednie zęby szybko wgryzały się w chleb. Na wargach nieapetycznie lśniło masło. Czy naprawdę chce być jego żoną? - pytała się po raz kolejny, choć dobrze знаła odpowiedź. Tak, chce wyjść za Crispina, choć wygląda on jak mysz, ma humory i śmierdzące stopy. No, ale, pocieszyła się, nie ma mężczyzn idealnych. Nawet jeśli mają czyste nogi, to cuchnie im z ust. Szkoda, że nie dbają o siebie tak jak kobiety, pomyślała. Zastanowiła się też przelotnie,

13 - Dwie drogi

193

czy nie przenieść swego zainteresowania na kobiety, ale wiedziała, że to tylko czcze rozważania. Mężczyźni są przecież tacy zabawni, a jak łatwo ich oszukać! Uśmiechnęła się do narzeczonego.

- Kochanie, powinniśmy poważnie zastanowić się nad naszym ewentualnym małżeństwem. **Co** ty na to?

- Szczerze mówiąc, Mary Rose, nie wiem co o tym myśleć. Czy sądzisz, że razem będziemy szczęśliwi?

- Ależ oczywiście! Przecież nieźle nam się żyje pod jednym dachem prawda?

Poprawił się na krześle i przełknął ostatni kęs tosta. Czuł na sobie jej spojrzenie. Oczywiście, że się z nią ożeni, głównie ze względu na pieniądze. Ostatnimi czasy wydawało mu się także, że zapanował nad jej temperamentem. Choć nie pociągała go zbyt, uwielbiał władzę, jaką miał nad nią. Kiedy szczytowała, traciła kontrolę nad sobą, a on czuł się potężny i mocny. To właśnie owo uczucie dominacji i pieniądze sprawiły że nadal z nią był. Mary Rose dawała mu wszystko, czego mógłby pragnąć mężczyzna: seks, władzę i bogactwo. Była bardzo hojna i do tej **pory nie** próbowała ograniczyć jego wydatków. Kiedy już będzie jego żoną, to on zajmie się finansami, a to oznacza, że do końca życia będzie mógł robić **tylko** to, na co mu przyjdzie ochota.

- No dobrze, Mary Rose. W takim razie wyskoczę zaraz do kwiaciarni kupię ci bukiet róż i wielką bombonierkę, a potem oświadczę ci się z całą pompą, jak nakazuje tradycja. Zapytam matkę, czy będziemy mogli pobrać się w naszej kaplicy, OK?

- Och, kochanie, to byłoby cudownie! Myślisz, że się zgodzi?

- Nie wiem, czemu miałyby mieć coś przeciwko temu. W końcu jestem najstarszym synem i dziedzicem. - Był zadowolony, że już omówił wszystko z matką.

Pocalował dziewczynę w czubek głowy i wyszedł po kwiaty i czekoladki. Postanowił, że wieczorem zaprosi ją na kolację. Najlepiej do Capnce - jest to dosyć elegancki lokal, a najważniejsze, nie ma tam żadnych starych długów, co niestety blokowało mu wstęp do wielu dobrych restauracji.

Pogwizdywał wesoło, przeciskając się przez tłum. Już za trzy tygodnie Gwiazdka, uświadomił sobie nagle. Kupi Mary Rose seksowny neglig. Po kolacji namówi ją, żeby go włożyła, a potem przełoży ją sobie przez kolano i przetrzepie jej skore. Uwielbiał to robić, a ona nauczyła się lubić rolę ofiary.

Była to jedyna rzecz, za którą był wdzięczny Amelii. Każde lanie było niezapomnianym erotycznym przeżyciem dla syna i matki. Zazwyczaj kazała mu kłaść się sobie na kolanach. Opuszczone spodnie od pizamy krępowwały mu kostki. Wymierzała karę szybko i zdecydowanie. Kiedy skończył dwanaście lat, za każdym razem miał erekcję, a Amelia wiedziała o tym doskonale. Kiedy miał piętnaście lat, wytrysnął na jej nogach. Był

czerwony jak burak ze wstydu, ale w jej oczach zobaczył dziwny błysk. Nigdy więcej go nie uderzyła.  
Teraz, mając przed oczami krągły tyłeczek Mary Rose i jej kostki spętane koronkową bielizną, przeżywał ponownie  
tamte chwile z matką i szczytował błyskawicznie.  
Wszedł do kwaciarni.

Podróż do domu upłynęła Annie na intensywnych rozważaniach. Myślała o przyszłości i wspominała ostatnie dni. Wydawało jej się, że na Karaibach przeżyła tak wiele, że starczy jej wspomnień do końca życia. Nie wierzyła, że przyszłość stanowić może równie szczęśliwy okres. Nic nie mogło dorównać leniwym dniom topniejącym pod gorącym słońcem Jamajki. Nigdzie więcej nie odnajdzie równie intensywnych kolorów i światła. To właśnie gra światła fascynowała ją najbardziej. Po południu, tuż przed zachodem słońca rozpalony błękit przechodził nagle w oślepiającą żółć słoneczników Van Gogha, by po chwili ustąpić miejsca bladej różowości, która delikatnie barwiła bielone chaty.

Teraz, kiedy to wszystko było już za nią, odpoczywała na leżaku na rufie okrętu i usiłowała przypomnieć sobie kolor nieba nad Nowym Jorkiem. Jak będzie mogła żyć pod szarym, ponurym sklepieniem, skoro gdzieś nad Karaibami niebo jest jaskrawobłękitne, a po chwili smoliście czarne?

Kiedy statek wpływał do portu, niecierpliwie wychylała się przez reling, wypatrując ojca. Powoli wracała do rzeczywistości po rajskiej podróży. Gwiazdka już minęła. Świąteczne upominki dla najbliższych stanowiły główną zawartość jej bagaży.

Stevenowi kupiła wyplatany ręcznie kapelusz. Kitty i Marta dostaną maty z rafii, Daniel i Mary - kolorowe, wyspiarskie koszulki. Najpiękniejszy jednak prezent wiozła dla Mary Rose. Był to naszyjnik z czarnych koralii, idealna biżuteria dla wyrafinowanej kusicielki, jaką była jej przyjaciółka.

206

Mario otoczył ją ramionami. - Zadowolona z powrotu do domu, kochanie? - wyszeptał prosto do ucha.

- Och, tak, ale już tęsknię za pięknymi kolorami Karaibów.

- *Cara*, we Włoszech znów je zobaczysz. Mieszkamy tylko o półtorej godziny jazdy od morza. Włochy to piękny kraj, Anno.

Widziała tęsknotę w jego oczach. Zbyt długo przebywał na obczyźnie. Wiedziała, że wkrótce wyruszą w następną podróż - przez Atlantyk, do Włoch. Mario należał do ludzi, którzy naprawdę dobrze czują się tylko we własnym domu. Ameryka to kraj nie dla niego. Oboje, Mario i Fosca byli Europejczykami z krwi i kości, z urodzenia i z wyboru. Nie mogli odnaleźć się w Ameryce, wśród ludzi, którzy generalnie odrzucali historię na rzecz teraźniejszości. Amerykanie bez przerwy ich denerwowali. Choć Joe Rapillano i Daniel byli chodzącymi dowodami, iż nie wszyscy Jankesi to niewykształceni durnie i ignoranci, uważali to za wyjątek potwierdzający regułę.

Po burzliwym, serdecznym powitaniu Daniel i Mary zabrali młodych do domu, gdzie czekała już cała rodzina. Wszyscy chcieli uściskać młodą parę. Nawet Crispin okazał się na tyle uprzejmy, że uklonił się grzecznie. Anna ze zdziwieniem, ale i zadowoleniem patrzyła na promieniejącą Mary Rose.

- W czerwcu Crispin i ja bierzemy ślub! - oznajmiła z dumą przyjaciółka. - Już nie mogę się doczekać. Zawsze chciałam być uroczą, zarumienioną panną młodą!

- Ojej, w takim razie już teraz zacznij ćwiczyć ten rumieniec! -zażartowała Anna. Jej, która miała za sobą beztrudne tygodnie pełne Maria i miłości, styl życia Mary Rose wydał się głupi i niedojrzały. Miała nadzieję, że po ślubie przyjaciółka się ustakuje. I ona, i Crispin wyglądali na szczęśliwych. Biła od nich aura miłości i zadowolenia. W jasnej poświacie Anna nie mogła dopatrzeć się niczego groźnego.

Pomachała im z uśmiechem i poszła poszukać męża. Mario stał w salonie, pogrążony w rozmowie z Foską. Nawet z drugiego końca pokoju słyszała ich ożywione głosy i melodyjny, szybki język.

Kiedy Marta i Kitty wyściskały ją już i wycalowały, uznała, że właśnie teraz powinna poinformować rodzinę o planowanym wyjeździe. Być może nie był to najlepszy moment, ale nie chciała zwlekać z przekazaniem im swego postanowienia. Była pewna, że właśnie o tym rozmawiał Mario z siostrą. Jeszcze nigdy nie widziała na jej twarzy tak wielkiego szczęścia.

- Moi kochani - zaczęła z wahaniem. - Mario i ja podjęliśmy pewną decyzję. Uważamy, że powinniśmy wrócić do Włoch. Mario chce założyć fabrykę butów i nawiązać z tobą współpracę, tato. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nadal istnieje niebezpieczeństwo wybuchu wojny, ale Anglicy, których poznaliśmy na Jamajce, powtarzali za premierem Chamberlainem, że do wojny nie dojdzie. Tak więc chcemy wyjechać do Włoch tak szybko, jak to będzie możliwe.

- Nie mogła mówić dalej. Z całych sił starała się

opanować własne nerwy. Chciało jej się płakać. Wiedziała, że będzie bardzo tęsknić za bliskimi. Niestety, jako mężatka ma obowiązek udać się za mężem, gdziekolwiek on pójdzie.

Myślała o rodzicach. Przecież wiele lat temu także oni musieli porzucić Irlandię i wszystko, co kochali. Nigdy do końca nie zasymilowali się w Ameryce, cały czas czuli się nieco obco, choć stworzyli wspaniały świat dla siebie i swoich bliskich.

Daniel odezwał się pierwszy. - Cóż, Anno. Oczywiście, jesteśmy trochę zaskoczeni tempem, w jakim podjęliście tę decyzję, ale spodziewaliśmy się tego wszyscy. Będziemy się o was bardzo martwić. Nie ufam temu chytremu Anglikowi, kiedy twierdzi z taką pewnością, że nie będzie wojny. Chociaż ostatnio, muszę przyznać, sytuacja w Europie nieco się poprawiła. A zatem i ja, i twoja matka, zgadzamy się na twój i Maria wyjazd do Włoch. -

Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Chyba już kiedy prowadziłem cię do ołtarza, wiedziałem, że cię tracę.

Mary prawie się uśmiechała. - Oczywiście, że pojedziesz z Mariem, kochanie. Z tego, co opowiadał, Włochy to piękny kraj. Fosca ciągle rozwodzi się nad urokiem ich starej farmy. Tak, Anno, musisz jechać! Każda mężatka powinna mieć własny dom.

- Przyjedziemy do was w odwiedziny - obiecała Kitty.

- Macie na to moje słowo! - dorzucił Joe.

Jedynie Marta milczała. Widziała cienie i duchy szalejące nad głowami młodych. Zamknęła oczy, by odepchnąć okropne wizje. Nikomu nie wspomniała o nich ani słowem. Zresztą, czemu przesady irlandzkiej wieśniaczki miałyby zepsuć ten szczęśliwy wieczór?

I tylko Anna poczuła nagły dreszcz, przelotny niepokój i zwątpienie, kiedy spojrzała na szczerą, dobrotliwą twarz ciotki. Podobnie jak ona, bez słów potrząsnęła głową. Nie piśnie ani słóweczka. Mario był taki szczęśliwy; nie chciała mu psuć humoru.

Mary Rose odwiedziła ją kilka dni później. - Podoba mi się, że już niedługo będę zamezną kobietą.

Anna uśmiechnęła się blado. - Mary Rose, wyjeżdżam do Włoch.

- Ale chyba nie wyjedziesz przed moim ślubem, co? Obiecałaś już, że będziesz druhną.

- Wiesz przecież, że za żadne skarby świata nie opuściłabym twojego ślubu! Chcę się przekonać na własne oczy, że jesteś szczęśliwą, radosną panną młodą. Wiesz co, chciałabym, żebyś była matką chrzestną moich dzieci. Przekażesz im wszystkie swoje złe nawyki. Zawsze uważałam, że matka chrzestna powinna być zła i zepsuta do szpiku kości. -

Już poważnie spytała. - Bo chyba będziesz szczęśliwą panną młodą, prawda, Mary Rose?



- O niczym innym nie marzę. Zresztą, jakiegokolwiek będzie moje małżeństwo, na pewno uda się bardziej niż związek moich rodziców. -

209

Miała nadzieję, że Anna nie dostrzegła ciemnych sińców na jej nadgarstkach. Ostatniej nocy Crispin wziął ją, brutalnie trzymając za przeguby. To wspomnienie podniecało ją i przerażało jednocześnie.

- Chyba w końcu zawarliśmy kompromis - niepewnie podjęła wątek. - Czasem doprowadza mnie do szału, ale wtedy idę do łóżka z kimś innym. Później do niego wracam i wszystko jest OK, dopóki znowu nie zaczniesz zanudzać mnie na śmierć. Problem polega na tym - westchnęła ciężko - że nie wierzę w istnienie jednego mężczyzny, który byłby w stanie zaspokoić mnie całkowicie.

- I tu się mylisz, Mary Rose. Problem polega na tym, że ciągle wybierasz niewłaściwych mężczyzn.

- Wiem - skrzywiła się. - Ale najbardziej na świecie lubię drani, szampana i białe trufle.

Anna roześmiała się, ale w jej śmiechu nie było radości. Choć z warg Mary Rose nie schodził wesoły uśmiech, miała podkrążone oczy. Nagle zatęskniła za Mariem. Kiedy była z nim, czuła się bezpieczna. A Mary Rose niosła zagrożenie. Sama jej obecność była dla Anny przestroga: każdy związek ma swoje ciemne strony. Ona tymczasem nie chciała nawet o tym słyszeć.

Pamiętała o mrocznych głębiach kryjących się w Mary Rose. Wołała sobie nie wyobrażać, jakie stworzenia obrały sobie te bezdenne czeluście na mieszkanie.

- Kochanie - szepnęła, obejmując przyjaciółkę. - Z wielką przyjemnością będę twoją druzną. Czy już wyznaczyliście dokładną datę?

- Tak. Dwudziestego pierwszego czerwca, w domowej kaplicy w Devon. Podobno Amelia, stary nietoperz, nie może się już doczekać. Nie dziwię się jej: liczy, że za moje pieniądze odnowią dom. Mam nadzieję, że będę się dobrze bawić, dekorując wnętrza i polując. Podobno myśliwi są świetni w łóżku. Pewnie dlatego, że ciągle uganiają się za zwierzyną, wszystko jedno, cztero- czy dwunożną - Wzruszyła ramionami.

- Mary Rose! - Anna parsknęła śmiechem. - Jak możesz myśleć o kochankach? Przecież nawet nie jesteś jeszcze po ślubie!

- Mnie to nie przeszkadza, moja droga. Będę Crispinowi wierna przez kilka miesięcy, a potem... hulaj dusza bez kontusza!

Anna odprowadziła ją do drzwi, a potem pobiegła do męża. - Wiesz, mimo zaręczyn Mary Rose nie zmieniła się ani na jotę.

Przyciągnął ją do siebie. - Cara/kiedy dasz sobie spokój i przestaniesz starać się ją zmienić?

- Nigdy. - Zdążyła odpowiedzieć, zanim ich usta połączyły się w pocałunku.

199

Mary Rose przyglądała się zebrany spod zmrużonych powiek. Odrzuciła welon dumnym gestem. Jej oczy zabłyśły tryumfalnie, kiedy zerknęła na Crispina.

Tuż obok stał ojciec. Wiedziała, że w głębi duszy bawi go dzisiejsza ceremonia. W kościele z trudem powstrzymywał śmiech, kiedy słyszał, jak jego zepsuta córka grzecznie powtarza słowa małżeńskiej przysięgi. Nie wierzył, że dotrzyma obietnic, które tak wdzięcznie składała. Kiedy jednak przechodziła obok niego, szepnął: - Daleko zaszłaś, kochanie!

Po tym odgadła, jak bardzo był wzruszony. Jej matka była wzruszona jeszcze bardziej; wszak córka brała ślub w rodowej kaplicy starej irlandzkiej rodziny. Mary Rose nie miała jednak złudzeń - kiedy matka ocierała łzy, prawdopodobnie nie myślała o jedynaczce, już prędzej o niefortunnie przegranej partii brydża.

Z ojcem było inaczej. Kochał Mary Rose na swój zagmatwany dziwaczny sposób i była ona jedyną osobą, jaką darzył szczerym uczuciem.

Crispin miał potężnego kaca. Nie dość, że ostatniej nocy wypił za dużo, to jeszcze w pewnej chwili planowane małżeństwo zawisło na włosku.

- Ty pieprzona dziwko - wrzasnął o północy.

Odpowiedziała mu złośliwym grymasem. - Trudno, kochany - jej głos ociekał jadem. - Nic nie poradzę, że ci nie staje. Nudzisz mnie. Nie wiem, jak wytrzymam z tobą przez całe życie. - Odwróciła się na drugi bok i wypięła na niego gołe pośladki.

Uderzył ją z całej siły. Widział, jak na białej skórze wykwita czerwony odcisk ręki.

## 200

Położyła się na plecach. Zagryzła wargi z bólu, ale z jej oczu nie zniknął ironiczny uśmiezek.

- Aha, mamy ochotę na trochę sado-maso, zanim wyruszymy do ołtarza, co? I jak? Stanął ci teraz?

Zdesperowany, opadł na nią ciężko i gorączkowo usiłował w nią wejść. Za wszelką cenę chciał udowodnić, że jest prawdziwym mężczyzną, ale jednocześnie wiedział, że nigdy jej nie zaspokoii.

Oczyma wyobraźni widział setki dolarów oblepiające jej ciało. Niestety, ojciec Mary Rose zarządził, że tylko córka może podjąć pieniądze z banku. Tak więc nie będzie wspólnego konta dla nowożeńców. O tak, stary Buchanan dobrze znał Crispinów tego świata.

Kiedy osiągnął orgazm, był wyczerpany i zdeprymowany jak koń, który dobiegł do mety na szarym końcu. Przez sen usłyszał słowa Mary Rose:

- Taak, dobry, miły chłopiec.

Teraz, jako świeżo upieczony małżonek, ledwo trzymał się na nogach. Humoru nie poprawiała mu nawet świadomość, że wygląda rewelacyjnie w nowym fraku. Uśmiechnął się do braci i postanowił w duchu, że w najbliższej przyszłości kupi im, i siostronom nowe ubrania. Czas najwyższy, żeby Kearneyowie zaczęli wyglądać jak ludzie. Miał dość dziwacznych strojów swoich bliskich.

Zrezygnowany potrząsnął głową i udał się na poszukiwanie Królika i Kluchy.

Anna i Ralph spotkali się w bibliotece. Westchnął ciężko, kiedy spojrzał w jej promienne oczy. Nie dla niego przeznaczony jest ich blask. Od dawna już przekonywał się, że nie pasowałiby do siebie, ale wiedział, że to tylko mydlenie oczu. Teraz było już za późno. Kiedyś, dawno temu, miał szansę, ale ją zaprzepaścił. Musi zdławić w sobie uczucie do Anny zarówno ze względu na nią, jak i na samego siebie. Szanował ją tak bardzo, że nigdy nie dopuściłby do sytuacji, w której musiałaby wybierać między dwoma mężczyznami. Nie mógłby zakłócić jej szczęścia.

Błyskawicznie pojął, że właściwie nie ma żadnego wyboru - musi się trzymać od niej z daleka, wytworzyć między nimi dystans, geograficzny i emocjonalny. W innym wypadku zniszczy łączącą ich przyjaźń. Nigdy, pod żadnym warunkiem nie wolno mu okazać, że darzy ją uczuciem większym niż platoniczna, niezobowiązująca przyjaźń.

- Ralph, to naprawdę ty! Wszędzie cię szukam! - W świetle słońca włosy Anny lśniły złotem. Tego dnia jej oczy były błękitne jak niebo w bezchmurny dzień. Nigdy dotąd nie widział takich oczu. Były w nich wszystkie odcienie morza i nieba.

Objął ją delikatnie i z zachwytem wciągnął znajomy zapach jej włosów. Pachniała karmelem.

- Hej! Ściskasz moją żonę! - Mario żartobliwie pogroził mu palcem.

- Wiem, wiem. Niestety, Mario, uprzedziłeś mnie. No, co prawda Anna

wygląda na całkiem zadowoloną z takiego stanu rzeczy. Ale pamiętaj-dopilnuj żeby zawsze była taka szczęśliwa, bo inaczej porwę ci ją, nawet jeśli miałbym wpływ przepłynąć ocean!

- Naprawdę będziesz musiał przepłynąć, ale nie ocean, tylko morze. -Anna klasnęła w dłonie z uciechy. -

Zamieszkamy we Włoszech, w Ascia-no, niedaleko Sieny. Rodzice Maria mają tam farmę. Nie mogę się już doczekać wyjazdu.

- Nie dziwie ci się. Kocham Włochy. To piękny kraj. Właśnie stamtąd wrocilem.

- Obiecuj, że nas odwiedzisz! - Złapała go za rękę. - Bardzo mi się przydadzą odwiedziny przystojnych Anglików. Pewnie na początku będzie mi bardzo ciężko, bo przecież nie znam włoskiego. Wiem, że z czasem się go nauczę, ale to nie będzie łatwe.

- Z wielką przyjemnością was odwiedzę. - Czuł, że musi zaraz natychmiast odejść. Jego serce wypełniały uczucia, których nigdy wcześniej nie doświadczał. Anna była światłem jego życia. W porównaniu z nią wszystkie kobiety były płytkie i sztuczne. Wcale nie zmieniła się od ich ostatniego spotkania i prawdopodobnie nigdy się nie zmieni.

Była pełna życia, a jednocześnie emanowała spokojem. Nie rozdrapywała starych ran nie wracała do przeszłości, podobnie jak nie starała się poznawać przyszłości Teraz jedź do Włoch. Ma w nosie ciemne chmury gromadzące się nad Europą. Ralph chciałby podchodzić do życia w taki sposób, ale wiedział, że nigdy tego nie osiągnie.

Otrząsnął się z ponurych myśli i wyszedł z biblioteki. Chciał odnaleźć Alice, swoją kochankę. Wreszcie dostrzegł jej wysmukłą postać. Opierała się niedbale o ścianę i zabawiała rozmową Słonia, który nerwowo rozglądał się po pokoju, zewsząd oczekując pomocy. Alice była zbyt jaskrawa zbyt dorosła dla jego przyjaciół, którzy byli chłopcami raczej niż mężczyznami. Interesowały ich kobiety, które polują i pieprzą, a nie takie, które pieprzą i walczą Alice należała do tej drugiej grupy.

Ralph poczuł znajomy dreszcz pożądania, ale znał siebie na tyle iż wiedział, co to oznacza. Najbardziej pragnął swoich kochanek na krótko przed rozstaniem. Zatem dni jego związku z Alice były policzone.

- Cześć. - Przesunął dłoń po jej plecach. Zareagowała na pieszczotę jak kotka; wyprężyła grzbiet i mruknęła cicho. Poczul ostry, uwodzicielski zapach jej perfum.

- Chodźmy. - Odciągnął ją za rękę od biednego Słonia. - Musimy już wracać do Londynu. Moi rodzice zaprosili nas dzisiaj na kolację. Przepraszam, Ollie, ale naprawdę na nas już czas.

- Nie ma sprawy. W takim razie pójdę ucałować pannę młodą. Teraz kiedy jest stateczną mężatką, już nie będzie ku temu wielu okazji

- Nie liczylibym na to. - Sam Ralph był zdumiony agresywnością w swoim głosie. W ciągu ostatnich lat stał się większym cynikiem, niż gotów był przyznać. Kiedy opuszczał dom pełen weselnych gości, myślał  
214

o jednym; Anna zapraszała go do Włoch. Wiedział, że kiedyś nie oprze się pokusie i skorzysta z oferowanej mu gościny.

Mary Rose cisnęła bukiet w stronę druhen. Ku jej niezadowoleniu, złapała go Teresa. Chciała, żeby dostał się Catherinie, która chociaż udawała, że lubi nową bratową. Teresa nie ukrywała niechęci do żony ukochanego braciszka.

Mary Rose pobiegła na górę, żeby się przebrać. Przed domem czekał na państwa młodych biały rolls-royce, kolejny prezent od tatusia. Miał numer rejestracyjny MR 1. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. MR - 1, potem MR - 2, 3, 4. Kochany, zabawny, złośliwy staruszek.

Pod deszczem ryżu Mary Rose ucałowała rodziców na pożegnanie. -Zadzwoń z Paryża.

- Jeśli znajdziesz na to czas, moja droga. Mówiono mi, że apartament dla nowożeńców w hotelu George V jest rewelacyjny.

Brzydził ją znaczący uśmiezek matki. - No, nie wiem, mam -odparła chłodno. - Pieprzyliśmy się przez całą noc, więc teraz padamy z nóg.

Odbiegła, nie chcąc, by ktokolwiek zobaczył jej łzy. Dlaczego matka nie powiedziała jej nic ciepłego? Ale dlaczego nagle, po tylu latach, miałyby to robić?

Mary Rose uchyliła okno i pomachała zebranych dłonią w czarnej rękawiczce. Przez chwilę zastanawiała się, czemu właśnie czerń wybrała na kolor poślubnego kostiumu. Przecież to barwa odpowiedniejsza na pogrzeb niż na ślub, pomyślała nagle. Opadła na miękkie siedzenia obite ciemnożółtą skórą. Crispin oparł dłonie na kierownicy. Mary Rose musnęła jego policzek. .

- Kochanie, czy myślisz, że będziemy żyli długo i szczęśliwie? -  
zapytała.

- Mam taką nadzieję, Mary Rose. - Crispin przekręcił kluczyk w stacyjce. - Mam taką nadzieję.

## 48

Anna i Mario bez przerwy rozmawiali o planowanym wyjeździe Fosca krzątała się gorączkowo - tęskniła za domem, ale nie chciała rozstawać się z rodzicami Anny.

Do tej pory nie poznała żadnego interesującego mężczyzny. Uważała, że młodzi Amerykanie są gruboskórni i natrętni. Tylko Steven zdobył uznanie w jej oczach. Choć odwiedzał Annę, najwięcej czasu spędzał z Foską

- Będzie mi ciebie brakowało - oświadczył podczas jednego z ich ostatnich spotkań.

- Mnie też, Stevenie. Ale przecież niedługo ożenisz się z twoją dziewczyną, prawda?

Potrząsnął głową. - Sam nie wiem. Tak, pewnie się z nią ożenię. Przynajmniej matka nie będzie jej gnębić, bo Sophie to nasza daleka krewna. Nie mam siły nawet myśleć o innym wyjściu. Małżeństwo z nie-Zydówką jest wykluczone.

Matka dostałaby ataku szału. Już dość problemów nastęrczyła mi przyjaźń z Anną. To przecież matka sprawiła ze w pewnym momencie przestaliśmy się spotykać. Cieszę się, że Anna odezwała się do mnie. Wiesz, że napisała do mnie z podróży poślubnej -przerwał i zmarszczył brwi. - Kiedyś myślałem, że może ja i Anna pobierzemy się, a Te... -

potrząsnął głową. - Moja matka zatrułaby jej życie. Lepiej, że stało się inaczej. - Nieśmiało uniósł głowę. - Fosco, jesteś mi' bardzo droga i nie chciałbym stracić z tobą kontaktu. Czy mogę do ciebie napisać?

Skinęła głową. Gula w gardle nie pozwalała jej odpowiedzieć. Kąciki oczu zalśniły łzami.

## 215

- Och, Stevenie, czemu pożegnania są zawsze takie smutne? Dlaczego człowiek musi rozstawać się z bliskimi? Będę o tobie myślała. Nigdy nie zapomnę twoich łagodnych oczu i smukłych palców.

Powoli uniosła jego dłoń do ust i pocałowała na pożegnanie. Nieśmiało przyciągnął ją do siebie. Na mgnienie oka ich wargi się połączyły. Steven nie odważył się przytulić Foski z całej siły. Ma narzeczoną i musi dochować jej

wierności. Nie wolno mu kochać innej. Wolno mu jednak cierpieć nad rozstaniem z Foską.

Zaskoczona i trochę przestraszona, odwzajemniła pocałunek o ułamek sekundy za długo. Czowała, że Steven chciał objąć ją ciaśniej, ale nie zapomniała, że był związany z inną. Odepchnęła go delikatnie.

- Nie wolno nam. - W jej głosie usłyszał szczery żal. - Za późno.

- Dla mnie zawsze jest za późno. - Spojrzał na nią ze smutkiem. - Nigdy nie mam dość odwagi, by wypowiedzieć głośno słowa, które muszą być wypowiedziane. Przez to straciłem Annę, a teraz tracę ciebie.

- Kochałeś Annę?

Potwierdził ruchem głowy. - Bardzo. Jako mała dziewczynka o złotych włosach i niebieskich oczach wyglądała jak anioł, którym straszili mnie rodzice. Mówili, że anioły chrześcijan porwają niegrzeczne żydowskie dzieci. Zawsze chciałem, żeby Anna porwała mnie na zawsze. - Uśmiechnął się do tych wspomnień.

Jaki on przystojny, zauważyła Fosca.

- Tak, właściwie Anna była moją pierwszą dziewczyną. Niedługo potem nasze drogi się rozdzieliły.

Zapadła cisza, którą zakłóciło dopiero wejście Anny.

- Stevenie, chciałam się pożegnać... — przerwała. W jej oczach rozbłysły iskierki zrozumienia. - Wiem, że to boli - powiedziała łagodnie. - Czasem dostrzegamy pewne rzeczy zbyt późno i tracimy szansę. - Widziała ich krwawiące serca, z których wyrwano załóżek uczucia. Był to jeszcze maleńki, niedojrzały płód, więc rany zagoją się szybko, ale bolesne wspomnienia pozostaną.

Trzy kobiety miały na stałe zamieszkać w sercu Stevena. Trzy portrety miał na zawsze przechowywać w pamięci. Na pierwszym widniała Anna, na drugim Sophie, jego narzeczoną, a na trzecim Fosca. Różne będą jego losy, lecz lampka oliwna przed pierwszym portretem nigdy nie zgaśnie.

Fosca spokojnie pakowała swój dobytek. - Och, Mario. Przyjechałam tu z jedną walizką, a spójrz, ile mam teraz!

- Tak, Daniel i Mary byli dla nas bardzo hojni - zgodził się. - Mary dała mi olbrzymie ilości cukru, mąki i kawy. Nie mogę się przyzwyczaić do myśli, że w Asciano nie można dostać tych produktów, choć pamiętam, że trudności zaczęły się jeszcze przed naszym wyjazdem. Wiesz, cały czas



zastanawiam się, czy podjąłem słuszną decyzję? Co będzie, jeśli naprawdę wybuchnie wojna?

- Mario, Anna nie zgodziłaby się tu zostać bez ciebie, wiesz o tym. Zresztą, niebezpieczeństwa czyhają wszędzie. Przecież mogłaby wpaść pod samochód na Piątej Alei. Spróbuj tylko powiedzieć jej, że nie chcesz, żeby z nami jechała! - Fosca parsknęła śmiechem.

- Kto mnie obgaduje? - Anna wpadła do pokoju jak burza. - Spójrz tylko, kochanie. Kupiłam tę suknię na nasz pierwszy wieczór w twoim domu.

- To nie dom, *cara*. To *fattoria* - duża farma z mnóstwem zabudowań; są tam także domy robotników, chociaż teraz większość z nich świeci pustkami. Wielu pracowników odeszło: wypędzili ich faszyci.

Mrugnął do Anny, która przykładała do siebie elegancką kreację z ciemnoniebieskiej tafty. - Obiecuję, kochanie, że nawet jeśli będę musiał zanieść cię tam na rękach, zaprezentujesz swoją suknię na balu w Sienie.

- Dziękuję, najdroższy. - Zrzuciła mu ręce na szyję. - Nie mogę się już doczekać wyjazdu. A teraz *parleremo italiano, ma molto lento* -zadecydowała, bardzo z siebie dumna.

Mario otworzył kolejną walizkę. Dobry Boże, modlił się w duchu, miej Annę w swej pieczy. Wyobrażał sobie, że o to samo proszą Boga Mary i Daniel. Świadomość, że Anna jest światłem w życiu tak wielu osób, ciążyła mu niezmiernie.

Ostatnie pożegnania były dokładnie tak bolesne i rozdzierające serce, jak przewidywał. Czuł się winny, bo zabierał Annę od rodziców, od Kitty i Marty, które płakały rzewnymi łzami, i od Mary Rose, która z ustami wygiętymi w podkówkę przypominała małe, smutne dziecko. Od powrotu z podróży poślubnej Mary Rose nie była już tak zadziorna jak dawniej. Crispin natomiast nabrał pewności siebie. Mario był ciekaw, na ile Crispin jest świadom swojej władzy nad żoną. No, ale to w końcu nie jego sprawa. Miał co innego do roboty.

Oparł rękę na ramieniu Anny.

- Kochanie, musimy już iść. Statek nie będzie na nas czekał.

- Mamo, tato, obiecujecie, że niedługo przyjdziecie nas odwiedzić?

- Oczywiście, kochanie. Ani się obejrzysz, a już będziemy u was. Danielowi serce pękało z bólu. Tak bardzo cierpiał tylko raz w życiu -

kiedy ukochane brzegi Irlandii ginęły za horyzontem. Miał wówczas nadzieję, że wkrótce wróci do ojczyzny, ale okropne podejrzenie, że może po raz ostatni patrzy na zieloną wyspę, nie opuszczało go ani na chwilę. Teraz jest inaczej, pocieszał się. Być może w ogóle nie będzie żadnej wojny albo Włochy do niej nie przystąpią. Tak, na pewno nie ma się czym przejmować. Objął żonę ramieniem.

- Kiedy przyjedziemy odwiedzić młodych, wpadniemy też do Wenecji i zamieszkamy w wielkim *palazzo*.

**218**

Mary uśmiechnęła się przez łzy. - A postawisz mi przejażdżkę gondolą?

- Postawię ci, co tylko zechcesz. - Gdyby nie Mary, nie przetrwałby rozstania z Anną.

Po raz ostatni przytulił córkę, odwrócił się i, trzymając Mary za rękę, odszedł. Ani razu nie spojrzął za siebie.

Wyprzedziły go Kitty i Marta z mężami. Jechali z młodymi do portu. Daniel nie chciał robić z siebie pośmiewiska na nadbrzeżu. Wiedział, że Anna go rozumie i wybacza mu. Marzył o jednym - zaszyć się w gabinecie i pozwolić, by duże ilości whisky ukończyły nieznośny ból.

## 49

Podczas całej podróży do Włoch Mario i Fosca rozmawiali głównie po włosku, aż Anna myślała, że zacznie rwać sobie włosy z głowy. Na statku było wielu Włochów; wszyscy wracali do ojczyzny omamieni pokojowymi prognozami.

Regina d'Albro, z którą zaprzyjaźniła się zaraz pierwszego dnia podróży, wyraźnie usiłowała upodobnić się do Joan Crawford. Miała szerokie jak na kobietę ramiona, talię osy, czarne, długie włosy i jeszcze dłuższe nogi. Zdaniem Anny, wyglądała oszołamiająco

- Zabieram mojego nowego kochanka do Palermo, żeby poznał moją rodzinę. Matka twierdzi, że to niedobry człowiek, aleja zawsze powtarzam: *mamma*, nie lubię porządnych facetów. Lubię podłych drani, takich jak mój Tony.

Anna parsknęła śmiechem. - Jakbym słyszała Mary Rose, moją najlepszą przyjaciółkę. Zwykła mówić to samo. Właśnie niedawno wyszła za mąż.

- Za drania? - Regina uniosła czarne brwi.

- Mam nadzieję, że nie. Chociaż pewnie twoja matka nie uznałaby go za porządnego człowieka. Mary Rose jednak będzie szczęśliwa, dopóki jej mąż nie stanie się nudnym, przyzwoitym obywatelem, a przynajmniej tak mi się wydaje. - Ostatnie słowa wypowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

W ciągu dnia przyjaciółki spacerowały po pokładzie, opalały się i rozmawiały. Pod pokładem Fosca i Mario bez przerwy snuli plany życia w Asciano.

## 208

W kajucie Reginy ciszę przerywało głośnie chrapanie. To Tony odsypiał nocne popijawy i erotyczne zapasy.

- Tony nadaje się do pieprzenia - oznajmiła Regina z szokującą szczerością. - Nie nadaje się do zarabiania pieniędzy, nie nadaje się do niczego, tylko do łóżka. - Skrzywiła się. - Za to ja się nadaję do zarabiania pieniędzy, więc go utrzymuję.

- Nie kochasz go, Regino?

- Phi! Ja nikogo nie kocham, z wyjątkiem mojego ojca. To wielka figura w Palermo. Wszyscy się go boją. A zwłaszcza Tony - zachichotała. - Chyba wie, że mu się nie spodoba. Staruszek nie lubi żigolaków.

- Ależ Regino, Tony nie jest żigolakiem. Przecież ciężko pracuje jako kierowca ciężarówki.

- Nie może jednocześnie pracować i być ze mną. Jest wiecznie w trasie. Kiedyś z nim pojechałam, ale ma za wąskie łóżko i nie można się dobrze pieprzyć. Zresztą, wszędzie jeździ z nim kumpel, wiesz, zmiennik. Bez przerwy gadają

i chleją piwo. Okropne, mówię ci. Zatrzymaliśmy się w motelu dla kierowców. Wsiadam. W końcu jestem jego dziewczyną, prawda? Ale wszędzie, gdzie jedziemy, są kobiety, które pieprzył. Dalej je pieprzy, ilekroć wyrusza w trasę. Więc postanowiłam -koniec z ciężarówkami. Jedziemy do Włoch. Przedstawię go moim rodzicom. Jeśli się im spodoba, wyjdę za niego *e basta*. Będzie mnie pieprzył, ja będę pracować i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Regino, sama powiedziałaś, że Tony jest nudny. Jak możesz planować małżeństwo z mężczyzną, który cię nudzi?

- Większość mężczyzn to niepoprawni nudziarze, Anno. Włoszki

o tym wiedzą, więc szukają sobie mężów, na których jest przyjemnie popatrzeć, takich, którzy szybko nie utyją i nie wyłusieją. Potem biorą ślub

i żyją sobie spokojnie. Włoszki mają dużo lepsze życie niż Amerykanki. Amerykanki ciągle pilnują swoich mężczyzn. Pracują, gotują i sprzątają, ale nie mają przyjaciółek, w przeciwieństwie do Włosek. W Palermo kupimy sobie mieszkanie. Ale jeśli Tony mnie znudzi, wyniosę się do koleżanek. Żadnych problemów. Żadnych kłótni. Zostanę u nich tak długo, aż Tony'emu zrobi się przykro. Może wtedy do niego wrócę. Widzisz, tym sposobem Włoszki nie muszą troszczyć się o swoich mężczyzn. Za to powinny bardziej martwić się o swoje figury. No, ale ja na przykład nigdy nie utyję, i to dzięki pieprzeniu. Wiesz, to też dobrze robi na skórę. Spójrz - mam jakieś zmarszczki?

Anna nie mogła już dłużej powstrzymać śmiechu. Regina miała rzadki dar. Słowa, które w ustach kogoś innego byłyby wulgarne i niesmaczne, u niej brzmiały niewinnie i zabawnie. Ocierając łzy śmiechu, przyznała jej słusność:

- Masz rację. Pieprzenie dobrze robi na cerę. I na duszę też. Regina także zaniósła się śmiechem w bladym świetle księżyca. Anna

z przyjemnością słuchała przejawów jej nieskrępowanej, żywiołowej rado-

14 - Dwie drogi

**209**

sci. Wyczuwała, że piękna Włoszka nie przeżywa takich rozterek jak Mary Rose. Regina przypominała brylant. Przetrwaj wszystkie burze nie zmieniona, zawsze pociągająca i wesoła. Anna żałowała, że nie może powiedzieć tego samego o Mary Rose.

- Anno, idź i zajmij się Mariem. Zobaczę, jak tam Tony. Jeśli nie jest zbyt pijany, zaciągnę go do łóżka.

Anna cicho wślizgnęła się do kajuty. Mario drzemał. Nachyliła się nad mm.

- Regina kazała mi obudzić cię i się z tobą pokochać - wyszeptala mu do ucha. Przytuliła się do niego. Jej dłonie rozpoczęły wędrówkę po zakamarkach jego ciała. Wyczuła, że jest gotów, więc zręcznie wprowadziła go w siebie. Z góry patrzyła w jego ciągle wółprzymenne oczy. Uwielbiała patrzeć na jego twarz kiedy się kochali. Regina ma rację pomyślała, zanim cudowny rytm miłości pozbawił ją resztek rozsądku To naprawdę dobrze robi na cerę. I ja też mam rację - kochanie się jest dobre na duszę.

- Wiesz co, Mano? - zapytała potem. - Może popełniłam błąd. Może powinnam była trzymać cię tylko do pieprzenia, jak mówi Regina.

- Nie wygłupiaj się. Masz mnie, ilekroć tylko zapragniesz, a do tego zarabiam pieniądze i troszczę się o ciebie. Czego jeszcze chcesz?

Westchnęła zadowolona. - Masz rację, kochany. Rozmowy z Mary Rose i Regmą trochę zamąciły mi w głowie.

- Anno, nie zapominaj, że mówisz o dwóch przerażonych kobietach błądzących w ciemności. Zawsze uważałem, że udane małżeństwo to niebo na ziemi. Oboje pochodzimy z domów szczęśliwych ludzi. Nigdy nie chciałem mieć nic dla siebie. Teraz mam ciebie i nic nie jest w stanie zakłócić mego szczęścia. - Przyciągnął ją do siebie i całował różowe sutki aż sterczały jak dwie maliny.

W środku nocy obudziła się i nie mogła ponownie zasnąć. Wyszła na pokład. Tej nocy księżyc nie miał litości. Zalał cały statek potokiem srebrnego światła.

Jej uwagę przyciągnął nagły ruch, gdzieś koło burty. Przyjrzała się uważniej; pomyślała, że to jakaś para kocha się w świetle księżyca. Kiedy jednak podeszła bliżej, zorientowała się, że obserwuje nie akt miłosny lecz walkę.

Kobieta głośno szlochała i próbowała wyrwać się z żelaznego uścisku mężczyzny. Chwilę później ten zamachnął się i z całej siły uderzył ją w twarz. Uszu Anny dobiegł cichy jęk, a potem głośny, wysoki krzyk, który zresztą zaraz został stłumiony przez wiatr. Ten krzyk przypominał jej pisk królika schwytanego w sidła. Zamarła z przerażenia.

Mężczyzna tymczasem szykował się do następnego ciosu.

Anna oprzytomniała. Rzuciła się do przodu i już-już miała złapać

mężczyznę za rękę, kiedy rozpoznała oboje. To Tony unosił dłoń, a kobietą o przerażonych oczach była Regina.

- Odejdź stąd, Anno - błagała przyjaciółka. - Proszę, odejdź.

- Nie pozwolę mu cię bić. - Spojrzała na Tony'ego. - Za kogo ty się uważasz, co? Ty śmierdzący tchórze, kto to widział: bić kobietę? - Trzęsła się z wściekłości.

Ramiona Tony'ego opadły bezradnie. Potrząsnął głową. - Przepraszam cię, Regino. Ale zrozum, nie mogę znieść tego, że flirtujesz z każdym mężczyzną, którego spotkasz. Wiesz dobrze, że tego nie cierpię, jednak ciągle to robisz.

- Teraz patrzył na Annę. Niebieskie oczy błyszczały niezdrowo. Pewnie znów za dużo wypił, pomyślała.

- Jestem zwykłym kierowcą ciężarówki. Nie wiem, po co jadę do tych Włoch. Nie lubię wina, bo mnie po nim boli głowa, ale ona mówi, że prawdziwi mężczyźni nie pijają piwa. Tęsknię za moim kumplem i naszą ciężarówką.

Dobra, idę do baru na drinka. Napiję się porządnego amerykańskiego piwa. Anno, ja nie jestem tchórzem. Nie wiem, co się dzieje. Mówi, że mnie kocha. Mówi, że to nie szkodzi, że jestem szoferem. Nie wiem, po prostu nie wiem.

Odszedł chwiejnym krokiem. Anna delikatnie uniosła podbródek Reginy i dokładnie przyjrzała się jej twarzy.

- Nie ma siniaków, ale musiało cię bardzo boleć, prawda?

- Ach, drobiazg. Biedaczysko przesadził z alkoholem. Jest dobry w łóżku, ale nigdzie poza nim. Ciągle truje o ciężarówkach, kumplach, trasach, baseballu i piłce nożnej. Mnie nie interesuje żadna z tych rzeczy. Rozmawiałam z jednym facetem przy kolacji. Miły, inteligentny, ale nie taki przystojny jak Tony. Czasem chciałabym mieć dwóch facetów. Jednego na noc, do pieprzenia, a drugiego na dzień, do gadania. Dlaczego do cholery nie mogę znaleźć ideału na całą dobę?

Gdyby Mary Rose powiedziano, że nie będzie tęskniła za Nowym Jorkiem, nigdy by w to nie uwierzyła. Jednak apartament na Manhattanie, kolejny prezent od ojca, stał pusty. Młodzi małżonkowie wprowadzili się do domku, który strzegł bram posesji Amelii.

- Doprawdy, Crispin, to niepoważne. To twoi rodzice powinni zamieszkać w tym domu, a my w rezydencji. Przecież te domki budowano właśnie po to, żeby stare matki miały gdzie mieszkać, kiedy najstarszy syn i dziedzic wprowadza pod rodzinny dach żonę, czyli mnie, tak?

- Ależ, proszę. Już widzę, jak moja matka potulnie wyprowadza się z rezydencji. Prędzej wolałaby umrzeć. Ty jej nie znasz, Mary Rose. Co prawda wygląda jak przemiła żona ogrodnika, ale tak naprawdę ma żelazną wolę i trzyma nas silną ręką. Wszyscy się jej boją.

- Ja nie. W każdym razie nie mam zamiaru mieszkać w omszałej ruderze. Sama ją doprowadzę do przyzwoitego wyglądu. Zaprojektuję takie wnętrze, że wam wszystkim oko zbieleje. No tak, wobec tego muszę jechać do Londynu po zakupy.

- A czy mógłbym pojechać z tobą? - Crispin błagalnie patrzył na młodą, piękną i bogatą żonę.

- Nieee. To nie ma sensu, kochany. Zanudziłbyś się na śmierć. Muszę kupić zasłony i lambrekiny. Poza tym chciałabym spotkać się ze znajomym taty, znanym dekoratorem wnętrz. Specjalizuje się w przywracaniu angielskim domom dawnego wyglądu. Nikt lepiej nie zna się na angielskim stylu życia niż imigrant z Ameryki. Ja jestem tego najlepszym przykładem.

- O Boże, czy to znaczy, że zafundujesz nam kretonowe pokrowce na

meble? Daj spokój, Mary Rose. Przed ślubem uważałaś się za zwolenniczkę *art nouveau*.

Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. - To było przed ślubem, kochanie. Teraz dużo rzeczy będzie inaczej.

Pamiętasz „...w zdrowiu i w chorobie, i tak dalej, dopóki śmierć nas nie rozłączy”? Więc, mój drogi, dopóki śmierć nas nie rozłączy, będę robiła to, na co mam ochotę. Nie zapominaj, że to moje pieniądze i mogę je wydawać, jak mi się podoba. Dłużej nie będziesz mi rozkazywał, jasne? - odwróciła się na pięcie i wyszła, a Crispin poświęcił wszystkie siły na opanowanie morderczej furii.

Pierwsze kroki w Londynie skierowała do Savoya. Crispin uwierzył, że jego żona ma swoje życie pod kontrolą, ale tak naprawdę, nie wiedziała, co ma robić i była bardzo zdenerwowana.

- Do licha - mruknęła dla dodania sobie odwagi. - Czego ja się właściwie boję?

- Czy pani życzy sobie zapłacić czekiem, czy gotówką? - Szef hotelu nie poznał jej. Nic dziwnego, w końcu od tamtej wizyty minęło już kilka lat. Uśmiechnął się zachęcająco. W Savoyu nieczęsto spotykało się kobiety eleganckie, bogate i samotne.

- Czekiem. - Wpatrywała się w niego zza bardzo ciemnych okularów. Był wysokim, przystojnym blondynem o szerokich ramionach. Przemknęło jej przez głowę, czy nie byłoby przyjemnie go uwieść, ale po chwili uznała, że to rzecz nie warta zachodu. Skoro Savoy miał być główną kwaterą w Londynie, nie może zepsuć sobie opinii. A szkoda, pomyślała.

Hotelowy boy bez trudu dźwignął obie jej walizki.

- Zostanę przez co najmniej kilka dni - Usiłowała, niestety daremnie, mówić z brytyjskim akcentem.

- Tędy, proszę. - Szef hotelu postanowił osobiście zaprowadzić ją do apartamentu.

Odetchnęła z ulgą, kiedy tylko otworzyła drzwi. Pierwsze, co zobaczyła, to stojące na małym stoliku bukiet róż i butelka szampana.

- Cudownie! - Tanecznym krokiem podbiegła do wielkiego okna. Widok zapierał dech w piersiach; Tamiza lśniła w promieniach słońca.

Mężczyzna uśmiechnął się z pobłażaniem. Była o wiele atrakcyjniejsza, kiedy odrzuciła pretensjonalne maniere. Szkoda, że jest gościem hotelowym. Miał wielką ochotę poznać ją bliżej. Ale cóż, zasad należy przestrzegać, pomyślał zrezygnowany i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Mary Rose napatrzyła się już do syta na rzekę, z dziecinną radością rzuciła się na wielkie małżeńskie łóżko w sypialni. Potem wstała, by przejść do łazienki, gdzie czekała na nią olbrzymia marmurowa wanna, lustro w złoconej ramie i buteleczki z najróżniejszymi olejkami i solami kąpielowymi.

Odkręciła kurek i patrzyła, jak zwierciadło zasnuwa się parą. Pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. To na pewno pokojówka,



pomyślała i miała rację. Wręczyła dziewczynie suty napiwek, ale nie chciała, by rozpakowywała jej bagaż. Pragnęła samotności.

Rozebrała się pośpiesznie i zapaliła papierosa. Dlaczego świadomość, że mieszka w luksusowym hotelu, wprawia ją w podniecenie? - zastanawiała się, patrząc na zgrabne ciało.

Wróciła do łazienki. Zakręciła wodę, dołała do wanny wonnego olejku i zanurzyła się po szyję. Zamknęła oczy, pogrążona w marzeniach o młodym pracowniku hotelu. Wyobrażała sobie, że razem z nią siedzi w wannie. Pochyliła się nad nim, krople wody z jej wilgotnych włosów spadają na jego ramiona...

Namydliła czubki palców i wsunęła je między uda. Słyszała, jak w rytm ruchów jej dłoni chlupie woda.

Po chwili otworzyła oczy i nagle zdała sobie sprawę, że płacze. Zerknęła w lustro. Co z tego, że jest piękna, skoro nikt tego nie widzi?

Może ten dekorator wewnątrz poprawi mi humor, pomyślała, wychodząc z wanny.

Naga, podeszła do telefonu.

- Słucham, Travis Mainwaring.

Dawno nie słyszany amerykański akcent sprawił, że omal nie wybuchła płaczem.

- Dzień dobry - wykrztusiła. - Przyjechałam do Londynu, żeby znaleźć kogoś, komu mogłabym powierzyć urządzenie domu, a mój ojciec, lord Roswell polecił mi właśnie pana. Pomyślałam więc, że moglibyśmy się spotkać i zobaczyć, czy możemy współpracować.

- Bardzo chętnie. Skąd pani dzwoni?

- Z Savoyu. - Od razu polubiła jego głos.

- W porządku. Gdzie się spotkamy, u pani czy u mnie? Zachichotała. - Może przyszedłby pan tutaj na kolację dziś wieczór?

O ile, oczywiście, ma pan czas!

- Moja droga, na kolację w Savoyu zawsze znajdę czas.

- Świetnie. Zarezerwuję już stolik... Powiedzmy, na ósmą? - Wtedy zdaży jeszcze pójść do fryzjera.

- OK. Punktualnie o ósmej będę w holu.

- A tak przy okazji, nazywam się Mary Rose Buchanan.

- Piękne imię, Mary Rose. Więc do zobaczenia.

Odłożyła słuchawkę i się uśmiechnęła. Wszystko zdecydowanie szło ku lepszemu.

Punktualnie o ósmej zadzwonił telefon.

- Niejaki pan Travis Mainwaring do pani. - W głosie recepcjonisty wychwyciła słabiutką nutę niechęci. Boże, mam nadzieję, że nie przyszedł w dżinsach i bez krawata, przestraszyła się. Już zdążyła zwrócić uwagę na głośnych, nieokrzesanych rodaków przebywających w hotelu.

- Proszę przysłać go na górę - poleciła. Modliła się, by gość nie przyniósł jej wstydu.

214

Po kilku minutach nerwowego zaciągania się papierosem usłyszała energiczne pukanie do drzwi. Otworzyła i zamarła w bezruchu.

W progu stał najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego zdarzyło jej się widzieć. W rękę trzymał trzciniową laskę z dużą mosiężną gałką na końcu, co tłumaczyło głośne pukanie. Błysnął zębami w uśmiechu, a potem wyciągnął wielką dłoń.

- Travis Mainwaring. A pani to oczywiście urocza Mary Rose Buchanan.

Ku własnemu zdumieniu zarumieniła się. Po pierwsze, nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że jest na świecie Amerykanin wyglądający jak, wypisz wymaluj, malarz z ulubionego miejsca artystycznej cyganerii, lewego brzegu Sekwany. Travis miał na sobie długi niebieski płaszcz, który doskonale podkreślał intensywny kolor jego oczu. Zamiast krawata zawiązał pod szyją czerwoną aksamitkę; jego kamizelka była dokładnie w tym samym odcieniu. Zerknęła w dół. Jej matka zwykła powtarzać, że najłatwiej ocenić mężczyznę po rodzaju noszonych przez niego butów. Travis nosił ładne, wygodne półbuty z miękkiej czarnej skóry.

- Czy mogę wejść? - Z lekkim uśmiechem założył długie włosy za uszy.

W sypialni mogłabym mieć zasłony w kolorze jego oczu, zdecydowała. Zawsze uważała, że kwieciste, w dosłownym tego słowa znaczeniu, porównania oczu do bratków są śmieszne. Teraz zmieniła zdanie. Oczy Travisa naprawdę przypominały bratki, jakie widywała w ogrodzie botanicznym. Żółte tęczęwki otaczała ciemnoniebieska obwódka, przechodząca w głęboką czerń.

Cofnęła się o krok i wpuściła go do środka.

- Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna - zaczęła z wahaniem. - Ale nie spodziewałam się, że będzie pan tak wyglądał. To znaczy, chciałam powiedzieć... - wiedziała, że plecie bzdury jak idiotka i czuła się nie lepiej. - Amerykanie w Londynie, a przynajmniej ci, których widziałam...

- To banda hałaśliwych, ordynarnych prostaków. Owszem, ale to tylko turyści. Można ich spotkać w każdym kraju. Ci z nas, którzy zostają tu na stałe, bo kochają starą Anglię, wtapiają się w tło, żyją cicho i spokojnie. Moja droga - nagle zmienił temat. - Po prostu muszę się czegoś napić - wyznał ze zniewalającym uśmiechem. - Tylko w Savoyu

serwują moją ulubioną amerykańską whisky. Niewiele jest teraz miejsc w Europie, gdzie można ją kupić. Wszystko przez pogłoski o wojnie.

Weszli do salonu.

- A więc myśli pan, że będzie wojna? Moja najlepsza przyjaciółka, Anna, wyszła za Włocha i teraz wybierają się do jego rodziców. Chcą tam zostać na stałe. Bardzo się o nich martwię, chociaż ojciec Anny twierdzi, że do wybuchu wojny nie dojdzie. Tam, w Ameryce, wielu ludziom wydaje się, że to burza w szklance wody. Chciałabym, żeby mieli rację.

Travis wzruszył ramionami. - Nie znam się na polityce, ale na miejscu

227

tej Anny poważnie przemyślałbym wszystko jeszcze raz. Jeśli coś się zacznie, zaraz cały kontynent stanie w płomieniach. Mary Rose zadzwoniła po obsługę.

- Niech pan zamówi swoją whisky... Najlepiej od razu całą butelkę, żebyśmy nie zawracali im głowy co pięć minut.

- Dzięki. - Travis zdjął płaszcz. - Gdzie mogę go powiesić? Najlepiej zostawię w przedpokoju. - Wszedł.

Nie pojmowała, czemu tak bardzo denerwuje się w jego obecności. To pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie spotkała kogoś takiego. Żałowała, że nie ma z nią Anny, która czytała w ludziach jak w książkach. Zawsze ufała jej osadom. Travis ją fascynował, ale nie wiedziała dokładnie, czego od niego oczekuje. Owszem, pociągał ją fizycznie, ale nie wyczuwała w nim pożądania. Wszystko to było bardzo skomplikowane. Liczyła, że z czasem wiele spraw się wyjaśni.

- Piękny apartament, Mary Rose. A gdzie twój mąż? Odruchowo dotknęła obrączki i obrzuciła Travisa powłóczęstym spojrzeniem spod długich rzęs.

- Crispin nie ma zielonego pojęcia o projektowaniu. Wolałam, żeby został w domu, z przyjaciółmi, a nie utrudniał mi życie wiecznymi humorami. Teraz jest szczęśliwy: może upijać się do nieprzytomności i wspominać stare dobre czasy, kiedy chodził do szkoły. Mam wrażenie, że wspomnienia szkolnych lat to ukochany temat Anglików. Co prawda nie mam pojęcia, co dobrego widzą w owych barbarzyńskich instytucjach. -Roześmiała się i wpuściła kelnera.

Po jego wyjściu Travis zaczął ostrożną rozmowę o jej domu. Ostrożną, bo, jak zauważyła, nie znali się jeszcze. Wiedzieli, że prawdopodobnie w ciągu najbliższych miesięcy przez olbrzymią większość czasu będą skazani na własne towarzystwo.

Wszyscy projektanci wewnątrz, których dotychczas zatrudniała Mary Rose, byli homoseksualistami. Zawsze świetnie się z nimi rozumiała i bawiła w ich towarzystwie. Travis, według niej nie był gejem, ale... no właśnie. Miała wrażenie, że w powietrzu zawisł wielki znak zapytania.

Miała już dość poważnych rozmyślań. Przygotowała sobie dzin z to-nikiem i upiła potężny łyk. No, jeśli dalej będzie tak powoli sączył swoją whisky, nie dotrzyma mi kroku, pomyślała. Travis rzeczywiście nie spieszył się z piciem.

Po następnych dwóch szklaneczkach whisky i czterech drinkach Mary Rose byli gotowi zejść na kolację. Uprzejmie przepuścił ją przodem i przytrzymał drzwi. Dopiero wtedy uświadomiła sobie z całą wyrazistością, jaki jest wysoki i szeroki w ramionach.

Szedł równym, spokojnym krokiem, pewny siebie, jakby był właścicielem tego hotelu. Wielu gości odwracało się za nim, ale nie zwracał na to uwagi.

Wsiedli do windy.

229

- Spójrz, Mary Rose. Ta winda to małe dzieło sztuki. Jestem przekonany, że ładniejszej nie ma w całym Londynie.

- Często bywasz w Savoyu? - spytała.

- Oczywiście. Nas, Amerykanów ciągnie tu jak wilka do lasu. Ten hotel zachował cały wdzięk starej angielskiej siedziby, a jednocześnie oferuje komfort, który dla nas jest synonimem nowoczesności. Dlatego jestem tu stałym bywalcem.

Jakby na potwierdzenie jego słów, kelnerzy porzucali gości i witali się z nim serdecznie. Mary Rose nie wiedziała, co o tym myśleć. To było tak, jakby towarzyszyła gwiazdorowi filmowemu. Jego blask obejmował także i ją.

- A kimże jest pana urocza towarzyszka? - Włoch, *mattre dhôtel*, musnął jej dłoń w przelotnym pocałunku.

- Moja nowa klientka, pani Mary Rose Buchanan, córka starego przyjaciela. Razem zajmiemy się wnętrzem jej domu.

Szybko zorientowała się, że wielu gości w restauracji zna Trávisa. Widziała, jak ludzie, do tej pory zajęci jedzeniem, podnosili głowy, odwracali się dyskretnie, szeptali do siebie. Całą salę wypełniał cichy szmer plotek, słowa pochwały ociekające miodem mieszały się z dziegiem insynuacji i pomówień.

Usiadła i głęboko zaciągnęła się papierosem. Nieważne, o czym plotkują. I tak prędzej czy później się dowie. Zawsze była bardzo wrażliwa na atmosferę w danym pomieszczeniu. Instynkt mówił jej tym razem, że jeśli cokolwiek było nie w porządku z Travisem, ci ludzie z pewnością znają jego sekret.

Nie spieszyło się jej. Poczeka.

Z zaciekawieniem rozglądała się po dużej sali. Świeczki na stolikach rozjaśniały pomieszczenie łagodnym, tajemniczym światłem. Pomocnicy kelnerów bezszelestnie pchali wózki zastawione półmiskami. Stoły ugięły się pod ciężarem smakołyków.

Pobieżnie przejrzała kartę dań i stwierdziła, że zdaje się na Trávisa w wyborze. Nie chciała się przyznać, że jej francuski jest mniej niż ubogi.

- Jeśli lubisz ostrygi, polecam. Właśnie trwa sezon. Szczególnie gustuję w portugalskich, bo są małe i słodkie. Homar jest wyśmienity, podobnie jak przepiórki. Kurczak nie umywa się do pieczonej przepiórki.

- Dobrze, przekonałeś mnie. Wezmę oba dania.

- W takim razie wypijemy najpierw białe, a potem czerwone wino. Do ostryg proponuję Pouilly-Fuissé, a potem może włoskie Brunello?

- O tak - uśmiechnęła się lekko. - Wypijemy wtedy toast za Annę i Maria. - Ani się spostrzegła, a już opowiadała mu ze szczegółami historię bliźniąt. Wydawał się naprawdę zainteresowany. Rozmawiali i jedli, choć z każdym kęsem Mary Rose nabierała przekonania, że nie przełknie ani kawałka więcej.

Zakończyli kolację brandy i bardzo mocną kawą.

217

W windzie, wiozącej ich do apartamentu, poczuła się bardzo dziwnie. Nie była pijana, ale beztroska i pogodna.

Kiedy szła korytarzem u boku Trávisa, miała wrażenie, że unosi się w powietrzu.

Mężczyzna szedł pewnie, ale wolno. Nie zostawili ani kropelki w obu butelkach wina, nie poprzestali też na jednej brandy.

Na kominku w salonie płonął ogień. Zniknęły brudne szklanki i popielniczki.

- Może strzemiennego, Travis? - zapytała. Miała nadzieję, że nie odmówi. Mocna kawa postawiła ją na nogi.

Wiedziała, że nie będzie mogła zasnąć.

- Chętnie. Jutro pogadamy o interesach, a teraz, po tej wyśmienitej kolacji, porozmawiamy o nas.

Ciężko opadł na kanapę. Mary Rose podała mu szklankę whisky. Sama piła, jak zwykle, dzin z tonikiem. Sięgnęła po srebrną tackę z czekoladowymi truflami.

- Mmmm... pyszne. - Smakowita kulka zniknęła w jego ustach. Mary Rose usiadła na podłodze u jego stóp. Chciała być jak najbliżej

ziemi. Do tej pory nie zdarzyło się jeszcze, by jakikolwiek mężczyzna wymknął się z jej władzy. Zawsze wiedziała, kiedy ściągnąć, a kiedy popuścić lejce. Teraz jednak w ogóle nie miała ich w ręku. Postanowiła pozwolić Travisowi mówić.

Wspominał dzieciństwo spędzone w małej wiosce na Alasce. Opowiadał o górach lodowych, zorzach, które kochał jako mały chłopiec, i o trudnym dorastaniu, kiedy nie chciał skończyć jako komiwojażer, jak jego ojciec, i nie mógł patrzeć na ciężką pracę matki, która odejmowała sobie od ust, byle on miał co jeść.

- Nie nudzę cię? - spytał nagle.

- Nie, skąd. Miałeś cudowne dzieciństwo. Jesteś jedynakiem?

- Miałem siostrę, ale utonęła. - Ton jego głosu zdradzał, że nie chce o tym mówić i Mary Rose uszanowała jego wolę.

- Przepraszam - mruknęła tylko.

Skończył swoją whisky jednym haustem i zrozumiała, że niechcący rozdrapała starą ranę. Podniosła się, żeby przygotować nowe drinki, ale z trudem utrzymywała się na nogach. Jestem zalana, stwierdziła ze zdziwieniem.

Zataczała się tak bardzo, że część alkoholu wylała się na dywan.

- Chlup! - zachichotał Travis.

Chciała ponownie usiąść na podłodze, ale źle wymierzyła i wskutek tego z wdziękiem upadła na Trávisa. Podciągnął ją tak, że siedziała tuż obok niego.

- Musimy uważać, żebyś nie spadła na podłogę, prawda?

- Tak - szepnęła. Tylko centymetry dzieliły ich twarze. Wyczuwała napięcie jego ramion. Wydawało się, że jego ciało jej pragnie, ale twarz pozostała niewzruszona. Zazwyczaj od razu wyłapywała nieomylnie oznaki

232  
pożądania w twarzy mężczyzny. Błyszczące oczy, pulsujące żyły na skroniach... Ale żadnego z tych objawów nie znalazła w twarzy Trávisa.

- O co chodzi? - spytała łagodnie. - Nie podobam ci się?

- Och, nie, podobasz mi się od pierwszej chwili! Tylko że... ja nie mogę.

- Nie możesz? Jesteś żonaty, masz kochankę?

- Nie, Mary Rose, nic z tych rzeczy. Widzisz, jestem impotentem. Zdumiona wpatrywała się w jego piękną twarz.

- Nie możesz być impotentem, Travis. To niemożliwe.

- Wiem aż za dobrze, że to możliwe - odparł spokojnie. - Próbowalem już wszystkiego. Lekarze mówią, że moja impotencja ma podłoże psychologiczne, a psychologowie - że medyczne. Freud pewnie powiedziałby, że nienawidziłem matki, ale to nieprawda. Bardzo kochałem oboje rodziców.

- Więc w ogóle nie możesz uprawiać seksu? - Nie dawała za wygraną.

- Nie taki, o jakim myślisz - mruknął w odpowiedzi.

Powoli rozpięła mu rozporek. Wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać, ale nie zwracała na niego uwagi.

- Daj spokój, Travis. Nie baw się w cholernego purytanina. Miłość francuska to fantastyczna sprawa. - Zsunęła się na podłogę, uklękła przed nim i rozsunęła jego uda. Musnęła językiem podbrzusze. Spodobał się jej jego zapach.

Obsypała go deszczem delikatnych pocałunków. Travis czule głaskał jej czarne włosy. Mary Rose odniosła zwycięstwo.

- Naprawdę to lubisz? - Z uwagą spojrział w jej oczy.

- Przepadam za wszystkim, co ma jakikolwiek związek z seksem, Travis. To świetna zabawa. A tobie się podoba? - Ugryzła go leciutko.

- Jest bosko. - Jęknął z rozkoszy. - Gdzie ty się tego nauczyłaś?

- Lata praktyki - zachichotała. Z satysfakcją czekała na jego orgazm. Oto duży, silny, wyrafinowany mężczyzna był jak glina w jej rękach.

To był cudowny dzień, uznała później, na chwilę przed zaśnięciem. Crispinowi nawet do głowy nie przyjdzie, co się wydarzyło. Był święcie przekonany, że wszyscy dekoratorzy wnętrz to pędzie, jak nazywał homoseksualistów.

Westchnęła z zadowoleniem i zasnęła.



W genueńskim porcie nikt na nich nie czekał. Początkowo Mario nie rozumiał, dlaczego tak było, ale setki mężczyzn w mundurach stanowiło oczywistą odpowiedź. Możliwość wybuchu wojny spowodowała restrykcje w swobodnym przemieszczaniu się po kraju. Drogę wiodącą do portu tarasowały olbrzymie ciężarówki dostawcze.

- Mam wrażenie, że wszyscy, ale to wszyscy ludzie noszą mundury. - Anna wyglądała przez okno taksówki.

- Och, Włosi kochają mundury, a groźba wojny pozwala im usprawiedliwić tę namiętność. - Mario nagle zacisnął usta. Obok samochodu przechodziła grupa młodych mężczyzn w czarnych koszulach. Jeden z nich zajrzał do taksówki i krzyknął coś głośno.

- Co powiedział? - Anna nie ukrywała zdenerwowania.

- Po prostu pytał, dokąd jedziemy. - Mario się uśmiechnął. - Nie martw się, kochanie. Damy sobie radę. Przecież jesteśmy w domu, wśród swoich. - Był taki szczęśliwy i ufny. Dopiero po jego słowach zrozumiała, że to, co jej wydało się agresją, to po prostu tutejszy sposób bycia.

Taksówka zawiozła ich na główny dworzec kolejowy w Genui. Miejsce pulsowało ludźmi. Kobiety, dzieci i mężczyźni tłoczyli się, przepychali, tratowali, ale w całym tym ścisunku, jak zauważyła Anna, wszyscy pomagali starszkom wsiadać i wysiadać z pociągów. Za to dzieci, przerażone i zagubione, bez celu i opieki plątały się między nogami dorosłych.

- Kobiety wywożą rodziców i dzieci na wieś - wytłumaczyła Fosca. Mimo wrzasków, krzyków i przepychanek, wszyscy ludzie uśmiechali się do siebie.

233

Wsiedli do pociągu, który miał zawieźć ich do Florencji, a stamtąd dalej, do Sieny. Anna w duszy błogosławiła przezorność Daniela - uparł się, że mają podróżować pierwszą klasą. Wcisnęła się głębiej w miękkie siedzenie i podziwiała widok za oknem. Na początku ziemia była płaska, monotonicznie równa. Słońce świeciło mocno; żar palił brązową glebę. Kilka godzin później teren zaczął się wznosić, a temperatura opadać. Wtedy zasnęła.

Obudziła się z zaschniętymi ustami i bólem głowy. Mario wziął ją za rękę.

- Kochanie, przespałaś prawie całą podróż. Już dojeżdżamy do Florencji. Przenocujemy tu, a jutro pojedziemy dalej, do Sieny i Asciano.

Uśmiechnęła się blado. Wyjrzała przez okno. Pierwsze, co zobaczyła, to wysokie, smukłe drzewa, stojące na straży wzgórz.

- To cyprysy - wyjaśnił. - O Boże, jak bardzo brakowało mi ich widoku! Najbardziej tęskniłem właśnie za cyprysami i tokańską zupą fasolową. Liczę, że rodzice będą w domu, żeby nas powitać. Sytuacja w kraju jest bardzo skomplikowana, a oni wszystko nam wytłumaczą. Nie wiem jak ty, Fosco, ale ja na razie nie widzę żadnego niebezpieczeństwa. Owszem, wiele osób jest przerażonych i na ulicach widzi się masę żołnierzy. O, mam pomysł: pójde porozmawiać z konduktorem, pewno ma świeższe informacje niż my. Anno, jesteś głodna? Przecież przespałaś lunch.

Potrząsnęła głową. - Nie, nie mam teraz apetytu. Wolę podziwiać krajobraz.

Kiedy wyszedł z przedziału, Fosca nachyliła się do niej.

- Mario denerwuje się dużo bardziej niż to okazuje. Przypuszczam, że spodziewał się jakiejś wiadomości od rodziców, zanim wyjechaliśmy ze Stanów. Ale nie martw się, na pewno się nami zaopiekuje. - Zmarszczyła brwi. -

Anno, czy masz adres Reginy? Spotkałam ją dziś tuż po śniadaniu. Mówiła, że do ciebie idzie. Miała podbite oko.

- Wiem. To sprawka Tony'ego. - Przerwała na chwilę. - Tak, wpadła do mnie i zostawiła mi adres swojej matki w Genui. Bardzo ją polubiłam. Uważam, że powinna jak najszybciej pozbyć się Tony'ego, chociaż nie wierzę, że to zrobi. A jeśli już, to zaraz sobie znajdzie jego włoską wersję. Myślałam, że tylko Mary Rose lubuje się w niebezpiecznych związkach, ale teraz widzę, że Regina jest taka sama. Dzięki Bogu, ja nie mam takich skłonności. W porównaniu z nimi żyję prosto, skromnie i szczęśliwie.

Fosca się uśmiechnęła. - Szczerze mówiąc, miałaś w życiu dużo szczęścia. Rodzice chronili cię przed złem tego świata. Mnie także wychowano w ten sposób, ale zdażyłam już poznać cierpienie. Kiedy wyjeżdżałam z Włoch, myślałam, że umrę z rozpacz. Nigdy nie zapomnę bólu rozstania z najbliższymi. Anno, jeśli jest ci pisane cierpienie, a mam szczerą nadzieję, że tak nie jest, nie będzie ci łatwo. Nie wiesz jeszcze,

czym jest ból, bo tylko raz otarłaś się o niego, wtedy, na statku do Anglii. I bardzo dużo cię to kosztowało.

- Tak, ale też wiele się wówczas nauczyłam. Chyba właśnie tamto doświadczenie pozwoliło mi zrozumieć Mary Rose i teraz Reginę. Gdybym zobaczyła Reginę i Tony'ego, zanim spotkałam Ruperta, pewnie zerwałabym z nią kontakt. Przedtem nie wyobrażałam sobie, że można stracić głowę dla mężczyzny. Tak, Rupert dał mi niezłą lekcję dorosłości.

- O czym tak rozprawiacie? - Mario wsadził głowę do przedziału.

- A, takie tam, babskie gadanie - zbagatelizowała sprawę Fosca. -Wydajesz się bardzo zadowolony.

- Bo jestem. Z tego, co mówił konduktor, wynika, że komuniści i faszyci kłócą się między sobą, ale Niemcy się wycofują, więc w najbliższej przyszłości nie grozi nam wojna. Mówił też, że najaktywniejszym punktem ruchu oporu jest góra Amiata, a to niedaleko naszego domu.

Anna była zbyt zmęczona, żeby się kochać, więc Mario tylko trzymał ją w ramionach, kiedy zasypiała. Patrzył na nią i zastanawiał się, czy aby postąpił słusznie. Czy Anna, amerykańska dziewczyna przywykła do luksusu i wygody polubi życie na tokańskiej farmie? Owszem, mieli w domu łazienki, tyle że bez pryszniców. Siena to piękne miasto, ale jego mieszkańcy krzywo patrzą na cudzoziemców, a zwłaszcza na Amerykanki. Był jednak dobrej myśli. Swoją optyzm czerpał z założenia, że żaden Włoch nie oprze się dobremu sercu Anny. Poza tym, pomyślał i skrzywił się ponuro, była niebieskooką blondynką w kraju smagłych brunetek o piwnych oczach. Mężczyźni będą ją nazywali Madonną, choć już on zadba, by Madonną nie była.

Kiedy tak leżał i patrzył na nią, pogrążoną we śnie, żywił nadzieję, że będzie go kochała do końca swoich dni i że nigdy nie znudzi im się uprawianie miłości. Okazała się nader pojętną uczennicą. Poczuł, że narasta w nim pożądanie. Wsunął dłoń pod jej plecy.

- Anno - szepnął.

Odwróciła się w jego stronę, rozgrzana snem, z którego się jeszcze na dobre nie ocknęła, i rozsunęła nogi. Przesunął dłonią po jej płaskim brzuchu i niżej. Wygięła się w łuk i jęknęła cicho. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

- Wejdz we mnie - szepnęła, całkiem już obudzona.

- Mój pierwszy raz we Włoszech - stwierdziła potem z zadowoleniem w głosie. - Teraz jestem głodna. Szczerze mówiąc, umieram z głodu po tej gimnastyce. - Usiadła i zapaliła nocną lampkę. Światło wydobywało z ciemności pokój, przeładowany tandetnymi ozdobami, ale pogodny. Czarne fotele kojarzyły się jej z wdowami widzianymi na dworcu w Genui.

- Na co masz ochotę? - Mario wyciągnął się wygodnie obok niej. Kiedy się śmiała, jej piersi drgały. - Uważam, że powinniśmy to jakoś

236

uczcić. Co powiesz na szampana? A do szampana... nie, ty zdecyduj, co należy zjeść do szampana we Włoszech o...

- spojrziała na zegarek -drugiej w nocy?

- Proponuję pieczeń z perliczki na zimno i puchar włoskich lodów. Co ty na to?

- Zgoda. - Pochyliła się nad nim. - Możesz mnie pocałować - oznajmiła ze śmiechem.

Najpierw musnął wargami obie jej piersi, dopiero potem - usta.

- Lepiej zamówię jedzenie - zdecydował. - Inaczej umrzesz mi z głodu.

## 52

Travis okazał się najlepszym kompanem, jakiego Mary Rose miała od dłuższego czasu. Choć nie mówił wiele w towarzystwie innych ludzi, kiedy zostawali sami, doprowadzał ją do łez parodiowaniem poznanych osób, anegdotami i dowcipami. Pokazywał jej Londyn. Zabierał na zakupy do Harrodsa i Fortnuma, gdzie kupiła pyszną marmoladę cytrynową. Odkrywał przed nią uroki brytyjskiej kuchni.

- Nigdy nie przypuszczałam, że Anglicy potrafią tak dobrze gotować. - Siedzieli u Simpsona. Mary Rose właśnie skończyła pudding Yorkshire.

- Moja droga, Anglicy potrafią dobrze robić wiele rzeczy, ale niestety ostatnio za bardzo naśladują Amerykę. Jeśli nauczą się naszego zamiłowania do wygody, to wszystko w porządku, ale jeśli zapragną przejąć wspańiały amerykański styl życia, skończą się jako odrębny naród.

- Naprawdę tak bardzo nie znosisz Ameryki? - W głosie Mary Rose zabrzmiało niedowierzenie.

- Naprawdę. Przy czym nie chodzi mi o Amerykanów, którzy zachowali dawne tradycje i kulturę swego narodu, tak jak Włosi i Żydzi. Nie, najbardziej nie cierpię przytłaczającej większości; emigrantów w pierwszym, drugim lub trzecim pokoleniu, którzy zatracili swoje korzenie, a teraz żyją tylko „amerykańskim snem” i marzą o pieniądzach oraz jeszcze większych, jeszcze szybszych samochodach. I uwierz mi, nie jestem jedynym Amerykaninem, który tak uważa. - Westchnął ciężko. - Ale brakuje mi Stanów. Tęsknię za San Francisco. Tęsknię za pustymi drogami ciągnącymi się setki mil. Brakuje mi pustyń i lasów. Mary Rose,

224

jechałaś kiedyś z Los Angeles do Colorado? To chyba najpiękniejsza szosa na świecie.

- Bardzo słabo znam Amerykę - przyznała.

- W takim razie któregoś dnia zwiedzimy ją razem.

- Tak, a Crispin będzie narzekał na tylnym siedzeniu - prychnęła. - A skoro o wilku mowa - chyba zadzwonię dzisiaj do drogiego męża. Pewnie już się zastanawia, czemu przepadłam na tak długo, o ile jeszcze ma siłę myśleć po tylu polowaniach.

Później, wieczorem, już po wyjściu Trávisa, oparła się wygodnie na poduszce i pogрузzyła w myślach. Travis nigdy nie zostawał na noc. Był bardzo wdzięczny, ilekroć ustami doprowadzała go do orgazmu, a i jej sprawiało to wielką przyjemność. Właściwie nie wiedziała, dlaczego; przecież zostawiał ją niezaspokojoną, rozpaloną, ale w dawaniu mu rozkoszy kryła się jakaś nieegoistyczna satysfakcja. Lubiła widzieć, jak jego zwykle smutne oczy rozjaśnia szczęście. Lubiła, kiedy brał ją w ramiona.

Znała mężczyzn na tyle, by wiedzieć, że nie powinna wnikać w jego przeszłość. Zastanawiała się, czy na jego życie seksualne składały się wyłącznie doświadczenia z mężczyznami. Możliwe też, że należał do tych ludzi, którzy zupełnie rezygnują z seksu. Stanowili bezpłciowe wyspy na morzu kopulujących ciał. Seks zdawał się leżeć u podstaw wszystkiego, co zachodziło między ludźmi. Mary Rose dawno już przekonała się, że nie zna się dobrze mężczyzny, o ile nie było się z nim w łóżku. Travisa jednak nadal nie znała tak dobrze, jak by chciała, ale na razie wystarczało jej czekanie. Mieli przecież tyle czasu przed sobą. Powoli rodziła się między nimi przyjaźń, a to wiele dla niej znaczyło.

Wyjazd Anny do Włoch był równoznaczny z utratą ważnej części jej samej. Teraz nie miała nikogo. Co prawda, wychodząc za Crispina, poślubiła także jego rodzinę, ale źle się czuła w ekskluzywnym, ironicznym, zamkniętym brytyjskim światku (a Kearneyowie stali się bardzo brytyjscy). Wydawała się sobie niezdarna i prostacka, a Crispin i jego siostry wcale nie starali się wyprowadzić jej z błędu.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Wyskoczyła z łóżka, przekręciła klucz w zamku i wróciła do ciepłej pościeli. Wtedy dopiero krzyknęła do kelnera, że może wejść.

Usiadła wygodnie. To już środa, zauważyła ze zdziwieniem. Jak ten czas leci.

Sięgnęła po tacę ze śniadaniem. Talerze o różowych brzegach, ze złotą gondolą na środku wносиły słońce w pochmurny ranek. Nie zamówiła kawy. Nawet w Savoyu parzono lurę, nie mogącą się nawet umywać do dobrej amerykańskiej kawy. To pewnie sprawa wody, stwierdziła, sięgając po dzbanek z herbatą. Postanowiła zadzwonić do Crispina, zanim zje apetycznie wyglądającego grejpfruta.

- Kochanie, nie obudziłam cię, prawda? - w odpowiedzi usłyszała soczyste przekleństwo.

15 - Dwie drogi

225

Crispin pluł jadem. - Wiesz, że nienawidzę, kiedy rano dzwoni telefon. A w ogóle, skąd dzwonisz?

- Z Savoyu - odparła niewinnie. - Bardzo ciężko pracowałam z Tra-visem Mainwaringiem. To miły, twórczy człowiek. Współpraca układa nam się bardzo dobrze.

- Rozumiem, że masz na myśli projektowanie wnętrz. - Nie był do końca przekonany.

- Ależ oczywiście, kochanie. Travisa nie interesuje nic innego -skłamała gładko, myśląc o tym, jak bardzo interesują go inne rzeczy.

- Dobrze. - Crispin otworzył zapuchnięte oczy. Pierwsze, co zobaczył, to stanik na poręczy fotela. Cholera, z kim spał? Nie pamiętał nawet, czy spotkał kogoś ciekawego, a tym bardziej, czy kogoś pieprzył. Ostrożnie zajrzał pod kołdrę. O, święci pańscy, to Philippa, najlepsza przyjaciółka Teresy. Na pewno wszystko jej wypapla.

- Kiedy wracasz? - rzucił do słuchawki. Przed jej przyjazdem musi uporać się z ową małą komplikacją, w innym wypadku Mary Rose zrobi z niego krwawą plamę. Jeśli chodzi o pozamałżeński seks, miała takiego nosa, że najlepsze ogary mogły się schować.

- Może w niedzielę? Przyjedź tu do mnie, a w poniedziałek razem wrócimy do domu. W dwa samochody zabierzemy za jednym razem wszystko, co kupiłam.

- OK. Będę u ciebie w niedzielę. Do zobaczenia, kochanie. Brakuje mi ciebie. - Skrzywił się. Nie skłamał. Brakowało mu jej praktycznego podejścia do seksu. Teraz czeka go rozprawa z Philippą. Musi się jej pozbyć ze swego łóżka i życia. Nie miał zamiaru ryzykować utraty szansy na próżniacze życie u boku Mary Rose dla szybkiego numeru na sianie. Philippa nie była nawet dobra w łóżku, ale przynajmniej nie była też wymagająca. Im więcej szczegółów z poprzedniego wieczora sobie przypominał, tym lepiej się czuł. Philippa była tak przerażona jego zalotami, że poczuł się męski i silny.

Obudził ją. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Chcesz się znowu kochać? - wysepleniała z nadzieją. Potrząsnął przecząco głową.

- Kochanie, przed chwilą dzwoniła Mary Rose.

Usiadła jak dźgnięta ostrogą. - Chyba nie jest już w drodze do domu, prawda? - Podciągnęła kołdrę pod szyję. Była drobna i chuda. Miała duże, brązowe sutki, przypominające zatyczki do wanny. Crispinowi zrobiło się jej żal.

Philippa tak bardzo różniła się od Mary Rose. Jedna poddawała się przemocy, druga odpowiadała tym samym.

- Filippo - opadł z powrotem na poduszkę i zaczął wygłaszać dobrze przećwiczoną mowę pożegnalną. - Nie ma potrzeby krzywdzić Mary Rose. Przeżyliśmy cudowną noc pełną namiętności, prawda?

- Tak, o, tak - odparła z pewnym wahaniem. - Crispinie, czy tobie też było dobrze? Wydawało mi się, że jesteś trochę pijany.

240

- Kochanie, to było niezapomniane przeżycie. Masz piękne ciało i me chichoczesz bez przerwy. Seks z Mary Rose to jak konny pościg za pociągiem ekspresowym. - Uspokajającym gestem oparł rękę na jej ramieniu. - Wierzę, że to zostanie między nami, Philippo. - W podtekście kryło się ostrzeżenie, żeby niczego nie mówiła Teresie, zapalonej plotkarce.

- Och nie, Crispinie, nie pisnę nawet słóweczka. Kiedy wraca twoja żona?

- Jadę po nią w niedzielę, bo tylko w dwa samochody damy radę przywieźć wszystko, co kupiła.

- W takim razie mamy jeszcze czas, prawda? - W jej głosie słyszał ton, dobrze mu znany z innych seksualnych eskapad.

- Cóż... jeśli tego naprawdę chcesz...

- Chcę. I nic się nie martw. Nie zajdę w ciążę.

- No to wszystko w porządku.

Spojrzała na niego wyczekująco. Na jej twarzy widział okropny wyraz desperacji, kiedy na siłę usiłowała przeciągnąć coś, co z założenia miało być szybkim numerem.

Brzydził się nią. Wyciągnął rękę z rosnącym wstrętem i z całej siły uszczypnął ją w pośladki. Philippa, która pracowicie starała się go podniecić, wybuchła płaczem. Crispin wytrysnął z uśmiechem zadowolenia, a potem ją przeprosił.

- Wybacz, kochanie. Nie wiem, co mnie naszło. Tak bardzo ciebie pragnąłem.

Przestała płakać.

- Och, Crispinie - szepnęła.



Mario otaczał Annę ramieniem. Stali na stacji w Asciano, gdzie czekał już na nich Tommaso, zarządca. Uśmiechnął się tak szeroko, że zęby błysnęły w słońcu.

- Ach, Mario! - krzyknął i po chwili mąż Anny znikł w niedźwiedzim uścisku jego ramion. Potem przytulił Foscę. - Wasi rodzice wrócą do domu dziś wieczorem. Pamiętajcie Lisę? To ona przygotowuje kolację. Kucharka wyjechała do Genui. Straszny bałagan panuje teraz we Włoszech. Wszyscy biegają bez celu jak kurczaki z obciętymi łbami. Opuścili malutki peron, przeszli przez pustą stacyjkę i wsiedli do samochodu. Czy kiedykolwiek opanuję ten dziwny język? - zastanawiała się Anna. Podczas jazdy Mario tłumaczył potok słów płynący z ust Tommasa. Anna z zachwytem chłonęła piękno krajobrazu.

- Teraz jedziemy przez *crete* - objaśniał Mario. - Spójrz tam. Widzisz tę górę? To Amiata. Od piątego wieku rosna tam kasztanowce, z których budowano galery.

- Mario pasjonuje się historią tego zakątka świata - wtrąciła się Fosca.

- O tak. W Ameryce bardzo brakowało mi właśnie codziennego obcowania z historią - zgodził się. - Tutaj jest moje miejsce. Moje korzenie tkwią w glinie *crete*. Moje serce jest na szczycie Amiaty. W zimie pojeździmy tam na nartach, Anno. Zjeżdżasz z góry wolna jak ptak. A w lecie pojedziemy w góry Maremma, żebyś zobaczyła *chianini*, woły, które hodowano już w starożytności. I kiedy tylko zechcesz, będziemy pływać w morzu. - Z rozkoszą wciągnął powietrze do płuc. - W Toskanii

każdy znajdzie coś dla siebie. Najważniejsza jest jednak Siena, od której nie ma piękniejszego miasta na całym świecie.

Zatrzymali się przed dużym, wysokim domem. Anna nie była pewna, czy dobrze trafili. - Ależ Mario, przecież to nie jest zwykły dom na farmie. To rezydencja!

- Wiem o tym, kochanie. To prędzej willa niż dom. Niezbyt podoba mi się myśl, że jestem właścicielem ziemskim, wolę więc nie nazywać rzeczy po imieniu. Tym samym troszkę oszukuję samego siebie i wmawiam sobie, że jestem zwykłym rolnikiem. Moim rodzicom nie przeszkadza, że są kapitalistami. Dla mnie jednak nie zawsze było to takie łatwe, zwłaszcza że miałem przyjaciół w wiosce i wiedziałem, że z nas wszystkich ja jeden mam przed sobą przyszłość.

Fosca potakiwała jego słowom. - Tak, czułam to samo. Wielu moich przyjaciół pracuje od świtu do nocy, a ich żony mają więcej dzieci niż są w stanie wyżywić. We Włoszech ciężko jest być robotnikiem. Nieliczni są bardzo bogaci, a olbrzymia większość klepie biedę. Młodzi szukają pracy w mieście. Na wsi zostają dzieci i starcy. Oczywiście, tak dzieje się wszędzie, nie tylko we Włoszech. Ale Ameryka na przykład to taki duży, nieprzeludniony kraj. Każdy może tam po prostu wstać, wyjechać i rozpocząć życie gdzie indziej. - Uśmiechnęła się do Anny. - Tutaj ludzie żyją tak, jak nakazuje im tradycja. Jesteśmy związani z przeszłością. W Toskanii uprawia się rolę od dziesiątego wieku i nikt nie chce tego zmienić. Dlatego właśnie tak mi się podoba otwartość Amerykanów na nowe pomysły. Teraz muszę na nowo przystosować się do włoskich obyczajów. Nie wolno mi już nosić džinsów, nie w Asciano.

Wchodząc do kościoła, muszę pamiętać o nakryciu głowy. Muszę nauczyć się spuszczać wzrok w obecności mężczyzn, jeśli nie chcę, by mnie wyzwano od najgorszych. Mimo wszystko jednak cieszę się, że tu wróciłam. Chodź - wzięła Annę za rękę. - Oprowadzę cię po domu.

Prostopadle do willi stał stary dom, gdzie teraz mieszkał Tommaso. Naprzeciwko znajdowała się murowana szopa. Ostatnią ścianę kwadratu stanowiło ogrodzenie z bramą z kutego żelaza. Na środku podwórza znajdowała się studnia.

Anna stała na schodach werandy i rozglądała się dokoła. Narastało w niej przekonanie, że już kiedyś tu była.

- Czy kiedykolwiek zdarza ci się, że widzisz jakieś miejsce po raz pierwszy, a jednak wydaje ci się, że skądś je znasz, Mario? Mam wrażenie, że doskonale znam ten dom. Jestem gotowa się założyć, że nasza sypialnia jest na końcu korytarza, po lewej stronie. To duży, jasny pokój z wielkim łóżem z baldachimem. Są tam dwa okna z jasnoniebieskimi okiennicami, a na podłodze jest klepka. - Spojrzała pod nogi. - Ale nie taka jak tutaj. Tamta wygląda jak rybie ości.

Mario pocałował ją w czubek głowy. - Moja mała czarownica -mruknął. - Naprawdę już tu byłaś. Nie wiem, skąd to wiesz... Ty zawsze

wszystko wiesz; czytasz w moich myślach, zgadujesz na co mam ochotę, potrafisz opisać naszą sypialnię... Czy na pewno nie jesteś czarownicą?

Fosca oddaliła się, pogrążona w rozmowie z Tommasem. Zostali więc sami na werandzie. - Przez dłuższy czas myślałam, że utraciłam celtycki dar widzenia rzeczy zakrytych przed wzrokiem innych. Martwiło mnie to, bo lubiłam tę wiedzę. Myślę, że owa umiejętność nigdy nie zanika, po prostu przytłoczyła ją hałaśliwa, codzienna krzątanina. Mam nadzieję, że tutaj na nowo ją w sobie odnajdę.

Z rozkoszą wdychała zapach dzikiego tymianku, który rósł na podwórzu. Z daleka dochodziło ich przytłumione gdakanie kur i kwakanie kaczek. Naprzeciwko domu wznosiła się Amiata, chłodna i wyniosła nawet teraz, w upalny tokański poranek.

- Chodźmy - Mario pociągnął ją w stronę drzwi. - Tommaso na pewno wniósł już nasze bagaże do domu. Chcę się z tobą kochać, po raz pierwszy pod tym dachem. Nie będziemy czekać do powrotu rodziców. Mogą przybyć bardzo późno, a wtedy będziemy zbyt zmęczeni na miłość.

- Szybko! - zawołała Anna.

Pobiegli korytarzem i skręcili w lewo. Zanim nacisnął klamkę, wstrzymała oddech. Pokój był dokładnie taki, jak mówiła. Spojrzała pod nogi. Nawet klepka układała się, zgodnie z jej słowami, w jodełkę. Z okrzykiem radości rzuciła się na łóżko.

- Weź mnie, jestem twoja - oznajmiła teatralnym, egzaltowanym głosem. Nakrył ją sobą. Chichotali jak dzieci, aż przyszło pożądanie. Ciszę zakłócały jedynie ciężkie oddechy, a potem słaby jęk Anny.

- Teraz - oznajmiła leniwie - możemy całymi dniami robić dzieci.

- Oto moi rodzice: Elisabetta i Francesco. - Oczy Maria błyszczały dumą i radością, kiedy przedstawiał im nową synową.

Elisabetta serdecznie objęła Annę i ucałowała ją w oba policzki.

- Moje drogie dziecko. Bardzo się cieszę. Będę miała z kim ćwiczyć mój angielski.

Francesco ucałował jej dłoń, a potem przycisnął do piersi. Stali na loggii, otaczającej całą willę. Między łukami murów rozciągał się widok zapierający dech w piersiach.

- To cudownie, że wróciliście do domu. - Elisabetta objęła dzieci ramionami. - Bardzo za wami tęskniliśmy. No, ale gdybyście zostali tutaj, Mario nie miałby takiej pięknej żony.

Anna się zarumieniła. - Bardzo za wami tęsknili. I ciągle opowiadali o Włoszech, a zwłaszcza o Toskanii. Teraz rozumiem, dlaczego. - Była świadoma swego nieeleganckiego wyglądu. Jej stroje były drogie i modne, ale nie tak świetnie skrojone i stylowe jak Elisabetty.

- Muszę jechać do Sieny na zakupy - powiedziała zdenerwowana. - Amerykańskie ubrania nie najlepiej wyglądają we Włoszech.

**244**

- Pojedziemy razem - zaproponowała Fosca. - I zabierzemy mamę. Zna właścicieli wszystkich sklepów i ma najlepszą krawcową w mieście. Wiem dobrze, co czujesz. Ze mną jest to samo. W ciągu tych kilku lat w Ameryce przyzwyczaiałam się do tamtejszej mody, ale to, co odpowiednie za Oceanem, razi we Włoszech. Brakuje mi amerykańskiej swobody, wiesz? Oczywiście nie wszystkiego, cieszę się na przykład, że koniec już ze złymi manierami. Uważam jednak za wspaniałe to, że Amerykanie nie muszą się martwić, co powiedzą sąsiedzi.

- *Ouffa*, Fosca - wtrąciła się matka. - Nie powinnaś zawracać sobie głowy sąsiadami w Asciano. Jeśli sytuacja znów się pogorszy, nikt nie będzie miał głowy do plotek.

Z kuchni wyjrzała Lisa.

- *Tutti a tavola, signori.*

Elisabetta wzięła synową pod rękę. - *Grazie, Lisa. Andiamo!* Kolacja podana. Tędy, Anno. To będzie twój pierwszy toskański posiłek, prawda?

Anna puściła oko do męża. Nie zapomniała pieczeni z perliczki i lodów z ostatniej nocy. Mario odpowiedział jej uśmiechem.

Bardzo, bardzo zakochani, skonstatowała Elisabetta z radością. Nowa synowa przypadła jej do gustu.

Zdenerwowana Mary Rose czekała na Crispina. Pustym wzrokiem wyglądała przez okno. Po Tamizie płynęły barki i motorówki policyjne, za to stateczki turystyczne, których zwykle było najwięcej, niemal całkowicie zniknęły z rzeki. Pewnie dlatego, że kończy się już sezon, przecież zaraz jesień, pomyślała. Poza tym, do Londynu przyjeżdżało teraz zdecydowanie mniej turystów niż zazwyczaj. To z powodu zagrożenia wojną, która ciągle wisiała w powietrzu. Kiedy z Travisem przemierzali ciasne uliczki i buszowali po sklepikach i antykwariatach w poszukiwaniu skarbów do jej domu, spotykali tylko nielicznych przechodniów, przy czym najczęściej byli to żołnierze w brązowych mundurach. Przemykali ukradkiem przez St James Square. Najwięcej kłębiło się ich na Victoria Station. Gazeciarze co dzień zdierali sobie gardła, wykrzykując nowiny z ostatniej chwili. Najwięcej mówiło się o Austrii. Oparła czoło o chłodną szybę. Chciałaby szczerze cieszyć się z przyjazdu Crispina. Jeśli będzie miała szczęście, mąż będzie w dobrym humorze. W takich chwilach wypełniał całe pokoje śmiechem i doprowadzał ją do głośnych wybuchów wesołości. Wtedy przekonywała się, że go kocha i że nie popełniła błędu, wychodząc za niego. Niestety, dużo częściej marzyła o tym, żeby po prostu wyrzucić go ze swojego życia. W napięciu czekała na telefon z wiadomością o jego przybyciu.

- Pan Kearney oczekuje pani w holu - zatrzeszczało w słuchawce.

- Proszę go przysłać tu na górę - poleciła nerwowo. Crispin uśmiechał się od ucha do ucha.

232

- Świetnie wyglądasz, kochanie. Jakie majteczki masz na sobie? Założę się, że te czarne jedwabne, od Harrodsa.

- Pudło. Tych, które mam na sobie, jeszcze nie widziałeś i nie zobaczysz aż do wieczora. Zarezerwowałam stół. Za pięć minut mamy być na dole, więc ruszajmy już.

- OK - wzruszył ramionami. W ciągu kilku ostatnich dni Philippa wymęczyła go za wszystkie czasy, bo łzami i groźbami zatrzymywała go w łóżku. Groziła, że wszystko powie Teresie. Tak więc teraz nie martwił się zbyt, że nie musi od razu wypełniać obowiązków małżeńskich. Musiał jednak przyznać, że Mary Rose wygląda uroczo.

- Chyba trochę schudłaś, co, staruszko? Jak ci się to udało?

- Po prostu mało jadłam - odparła skromnie i pomyślała o Travisie. Crispin zmrużył oczy. Przesadna niewinność w głosie Mary Rose to

znak, że należy wzmocnić czujność. Nie chciał innych łowców na swoim terytorium.

- Z kim się ostatnio spotykałaś? Bo przecież nie siedziałaś tu cały czas sama, prawda? Jacyś starzy znajomi?

- Nie, jedyni ludzie, których znam w Anglii, to twoi przyjaciele. Zresztą nie nudziło mi się, bo nie miałam na to czasu. Całymi dniami robiłam zakupy z Travisem.

Weszli do sali restauracyjnej. *Maitre dhdtel* uśmiechnął się uprzejmie, choć w głębi duszy życzył Crispinowi jak najgorzej. Nie rozumiał, co ta urocza Amerykanka widzi w takim wymoczku.

- Witam szanowną panią - uklonił się i zaprowadził ich do najlepszego stolika. - Specjalnie zatrzymałem ten stolik dla pani, i, oczywiście, jej czarującego męża. - Skinął Crispinowi głową.

Ten odpowiedział bladym uśmiechem. *Maitre dhdtel* widywał go już w tej restauracji z najróżniejszymi kobietami. Wszystkie miały jedną cechę wspólną - było je stać na zapłacenie rachunku, zarówno za jedzenie, jak i za pokoje na górze. A zresztą, pomyślał, teraz obchodzi mnie to tyle co zeszłoroczny śnieg. Obecnie miał za żonę worek dolarów i mógł patrzeć na wszystkich z góry.

- Mam ochotę na szampana - oznajmił kelnerowi. - Proszę mi podać jakiś dobry rocznik Dom Perignon.

Kelner skinął głową i oddalił się pośpiesznie.

- Ale z niego cwaniak - mruknął do siebie *maitre dhdtel*, który obserwował ich ukradkiem. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim Mary Rose straci rumieńce, a wesołe iskierki znikną z jej oczu. Przypuszczał, że Crispin nie pozwoli im błyszczeć zbyt długo.

Po obfitym posiłku, suto zakrapianym alkoholem, Crispin usiłował ją uwieść, ale mu nie uległa. Choć kochanie się z Travisem nie mogło jej zaspokoić, wołała ich delikatne pieszczoty niż brutalność męża. Zresztą, znała go już na tyle dobrze, że wiedziała, o co mu naprawdę chodzi. Chciał móc potem powiedzieć sobie, że kochał się z żoną w

najlepszym aparta-

mencie w Savoyu. Pewnie jego kochanek nie stać było na tak drogie pokoje.

- Nie, Crispinie. Właśnie zaczął mi się okres. - Na jej szczęście, Crispinowi przechodziła ochota na samą myśl o tym. Zadzwoiła po szefa recepcji, żeby oddać mu klucze.

Zjawił się z bukietem fioletowych irysów. Podziękowała z uśmiechem. Jak to miło, że pamiętał, pomyślała. Irysy miały dokładnie ten sam odcień co kostium, w którym przyjechała do Savoyu.

Kiedy wyszli z hotelu, portier wręczył jej kluczyki do samochodu i pocałował w rękę. Nie musiała nawet oglądać się na Crispina, by wiedzieć, że z dezaprobatą patrzy na grupę personelu śpieszącą ją pożegnać.

- Wy, Amerykanie wyrzucacie pieniądze w błoto. Nic dziwnego, że wszyscy się do ciebie pchają. To takie wulgarne - syknął jej do ucha, udając, że chce ją pocałować.

- Zazdrość przez ciebie przemawia, najdroższy - odparła słodko. Ale kiedy zatrzasnęła za sobą drzwiczki samochodu i odjechała spod hotelu, oazy spokoju, rozpląkała się. Niedługo tu wrócę, obiecała sobie. Bardzo jej teraz brakowało cichego, wiecznie pustego domu w Nowym Jorku. Tęskniła także za rodzicami. Co prawda, matka była dziwką, a ojciec hulaką, ale przynajmniej byli wykształceni i czytani. Rozmowy z Crispinem prowadziły donikąd. Może uda jej się go pozbyć, jeśli wybuchnie wojna. Wtedy jednak Travis na pewno wróci do Ameryki. Nie, nie będzie teraz o tym myśleć. Skoncentruje się na jego obietnicy, że wpadnie do nich w czasie weekendu, obejrzy i wymierzy dom. Minęła Chiswick House i postanowiła, że zajrzy tam za następnej bytności w Londynie. Travis gorąco polecał jej ten lokal.

W domu czekał na nią list od Anny pełen zachwytów nad toskańską przyrodą. Jestem tu naprawdę szczęśliwa" - czytała głośno. „Rodzice Maria to przemili ludzie, ale nadal bardzo za tobą tęsknię. Myślałam, że nigdy nie spotkam drugiej takiej kobiety jak ty, ale, wyobraź sobie, na statku poznałam twój włoskiego sobowtóra. Nazywa się Regina d'Al-bro. Mam nadzieję, że za miesiąc odwiedzę ją w Genui, choć o wiele bardziej wolałabym spotkać się z tobą. Czy nie ma szans, żebyście złożyli nam wizytę? Wiem, że trudno jest załatwić wizę, ale może uda ci się coś wymyślić?"

Mary Rose naprawdę chciała odpisać. Ale tygodnie mijały tak szybko, że odłożywszy list na biurko, zapomniała o nim zupełnie.

Powoli, pod jej wprawnym okiem, dom nabierał charakteru. A ona sama stała się bardziej pewna siebie, co w dużej mierze było zasługą Trávisa. Przez kilka miesięcy regularnie wpadał do Devon, ona zaś jeździła do Londynu, ilekroć mogła się wyrwać. Crispin dąsał się, ale nie chciał jej towarzyszyć. Wolał siedzieć w domu i grzać się w cudzym blasku; w małej społeczności Mary Rose zasłynęła jako gospodyni najwystawniejszych

przyjęć i bali. Kiedyś uważano go za obiboka, tym bardziej więc spragniony był pochwałą i uznania. Zainteresował się hazardem. On i Kluska coraz częściej gościli w domu gry Jimmy'ego Leadbettera. Na początku, kiedy Crispin nie miał czym spłacać długów, Mary Rose okazywała mu współczucie.

- Czy nie mógłbyś wycofać sumy, którą postawiłeś na początku, i dalej grać tylko tym, co już wygrałeś? - zapytała kiedyś.

- Masz rację, powinienem tak zrobić. - Miał smutny głos. Nie dlatego jednak, że musiał prosić ją o pieniądze. Po prostu czuł, iż pcha się w pułapkę, z której nie ma wyjścia. Samo wygrywanie już go nie podniecało. Nie, on grał dla tej jednej chwili, w której mógł wszystko stracić, ale i wygrać. Ta sekunda ryzyka sprawiała, że puls bił szybciej, a olbrzymie dawki adrenaliny dodawały sił. Potrzebował tego bardziej niż seksu.

Mary Rose nie miała nic przeciwko jedynie sporadycznym stosunkom. Wolą zaspokajać Trávisa i szaleć w Londynie z jego przyjaciółmi.

W końcu nie było już pretekstów do wyjazdów z Devon. Domek był gotów. Po raz ostatni wprowadziła się do apartamentu w Savoyu.

Travis zapukał do drzwi w piątkowy wieczór. Był dziwnie małomówny.

- O co chodzi? - Mary Rose miała na sobie czarny koronkowy peniuar, ale nie próbowała już uwodzić gościa. Byli dobrymi przyjaciółmi i znali się jak tyse konie.

- Jestem smutny - odpowiedział po prostu. - Wiem, że na pewien czas musimy się pożegnać i wcale mi się to nie podoba. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Mary Rose, nie kochałem się z nikim, dopóki cię nie spotkałem.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś... prawiczkiem? - Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Tak. Pewnie, zabawiałem się sam ze sobą, ale nigdy z nikim nie byłem.

- A niech mnie, Travis. Jakim cudem uniknąłeś seksu jako nastolatek? Przecież wtedy wszyscy eksperymentują.

- Nie wiem. - Nerwowo splatał palce. Jedli kolację w apartamencie. Stół stał tuż koło otwartego szeroko okna. Do pokoju docierał szum samochodów. Liście wysokich drzew ozłocila nadchodząca jesień. Mary Rose uwielbiała właśnie tę porę roku. Sięgnęła po kieliszek z winem.

- Za nas - mruknęła cicho. - Mnie też będzie ciebie brakowało, Travis. - Postanowiła nie drażnić dalej tematu seksu.

- Mary Rose, ostatnio dużo myślałem. - Nakrył jej dłoń swoją. - Co powiesz na propozycję pracy dla mnie? Wiem doskonale, że nie potrzebujesz pieniędzy, ale masz talent, a kobieta w firmie byłaby nieoceniona. Bardzo często



bogaci cudzoziemcy czują się lepiej, przebywając z kobietami. To dotyczy zwłaszcza Arabek. Nie odpowiada im wyłącznie męskie towarzystwo.

235

- Travis, ty nie żartujesz, prawda?

- Ależ skąd. Długo się nad tym zastanawiałem. Wszyscy chłopcy są zachwyceni, że będzie z nimi pracowała Jankeska.

- Travis, jeśli chcesz tylko poprawić mi humor, mówiąc to wszystko...

- Mary Rose, wiesz, że nie zrobiłbym czegoś takiego! Moja praca ma dla mnie zbyt duże znaczenie. Spójrz. - Wyjął z teczki blok rysunkowy i ołówek. - To projekt domu Jacka Yena w South Kensington. Jego żona chce mieć własny apartament, kilka pokoi. To będzie twoje pierwsze zadanie.

Po jego wyjściu weszła do wanny. Musiała to przemyśleć. Zaraz po kolacji, kiedy zaspokajała go, leżąc na wielkim łożu, postanowiła, że musi spróbować skruszyć bariery, które trzymają go z daleka od kobiet.

Zanim zasnęła, przejrzała jego blok rysunkowy. Patrzyła na genialne projekty i ciągle myślała o ich autorze.

Miała już odłożyć teczkę i zgasić światło, kiedy spomiędzy kartek wysunął się mały szkic. Był to portret małej dziewczynki, tak reauustyczny i pełen życia, że Mary Rose zaparło dech w piersiach. - To na pewno jego siostrzyczka, która utonęła. Teraz zrozumiała, że Travis, świadomie lub nie, podrzucił jej ważny kawałek układanki; tak, jakby tonął, zobaczył ją stojącą na brzegu i pojął, że może go uratować.

Zgasła światło, szczęśliwa, że z nikim, a zwłaszcza z Crispinem, nie musi dzielić łoża. Na pewno może pomóc Travisowi. Ale czy da radę pomóc sobie samej? Bardzo w to wątpiła.

55

Anna uważała zmiany, które ostatnio zaszły w jej życiu, za tyleż fascynujące, co irytujące. Denerwowało ją zwłaszcza całkowicie odmienne poczucie czasu. Tu, w Toskanii, musiała się nauczyć żyć wolniej. Miała wrażenie, że jakaś tajemnicza siła spowalnia pracę jej zegarka. Często okazywało się, kiedy odruchowo sprawdzała, która godzina, że od ostatniego zerknięcia upłynęło zaledwie kilka minut. Początkowo złościła ją toskańska ospałość i dni podobne do siebie jak dwie krople wody, niepostrzeżenie przechodzące jeden w drugi. Kiedy jednak nadeszła zima, nauczyła się już żyć w nowym dla siebie świecie.

Męczyło ją poczucie wyobcowania. Wreszcie zrozumiała, jak musieli czuć się Mario i Fosca w Ameryce. Teraz, kiedy sama była w podobnej sytuacji, przypuszczała też, że wysiłki jej rodziny, by umilić im pobyt na obczyźnie, wydawały się im natrętne i nie na miejscu. Tak jak teraz namowy Foski i jej matki, by Anna wciągnęła się w ich obowiązki.

Do ich niemal codziennych zajęć należało odwiedzanie kobiet mieszkających na terenie posiadłości. Fosca i Anna maszerowały za Elisabetą. Niosły garnek rosółu, kawał pieczeni, a jeśli ktoś był chory, lekarstwa. Według Anny było to żenujące.

Nie lubiła wchodzić do malutkich chatek, których mieszkańcy patrzyli na trzy kobiety jak na królowe. Często zostawała na zewnątrz i żałowała, że nie może być gdzie indziej. Otaczał ją zapach moczu, tak jak w szpitalu, gdzie umarł ojciec O'Brian. Z gorzkim uśmiechem przypominała sobie własną przysięgę, że nigdy więcej nie dopuści w swoim otoczeniu do tego

251

odoru. Stało się jednak inaczej i prawie codziennie marszczyła nos, wchodząc do ciasnych izdebek. Oczywiście, nie wszystkie chaty były brudne i zapuszczone, ale Ehsabetta bywała w tych schludnych o wiele rzadziej. Uważała, że jej pomocy najbardziej potrzebują pokrzywdzeni przez los. W chatach, do których chodziła, witały ją kobiety z brakującymi zębami i podbitymi oczami. Przypominały Annie Reginę i tym bardziej nie chciała ich odwiedzać.

- Czy nie możesz jakoś pomóc żonie Cato? - zapytała kiedyś Maria. - Jest wiecznie posiniaczona. Czy nie mógłbyś go postraszyć, że go wyrzucisz, jeśli nie przestanie się nad nią znęcać?

- Nie, *cara*, to nie jest moja sprawa. Tych dwoje od początku żyje jak pies z kotem, ale jeśli go wyrzucę, ona spakuje manatki i ruszy za nim. A co się wtedy stanie z dziećmi? Płacę dobrze i odpowiednio traktuję moich ludzi. Nic więcej ode mnie nie zależy. Zresztą, nie chcę go wyrzucać. To dobry pastuch.

Nie znalazłszy zrozumienia u męża, Anna zwróciła się do Foski, ale i tu spotkało ją rozczarowanie:

- Przykro mi, ale Mario ma rację. Nie rozumiesz tego, bo w Ameryce wszyscy wtrącają się do życia innych. Bez przerwy rozprawiacie o teoriach doktora Freuda. Według nas, Europejczyków, cierpicie na chorobliwe gadulstwo. Życia nie da się wytłumaczyć słowami. Cato i jego żona żyją tak, a nie inaczej, bo sami tego chcą. Gdyby chciała od niego odejść w każdej chwili może to zrobić. Ona jednak woli z nim zostać i jest to jej prywatna sprawa.

- Ale przecież wy też się wtrącają w cudze sprawy, tyle że w inny sposób. Przecież tutejsi ludzie oczekują, że twoja matka będzie lekarzem, akuszerką i Bóg wie czym jeszcze!

- Tak, ale matka to robi tylko wtedy, kiedy się ją poprosi. Widzisz, tutaj ludzie są dużo wrażliwsi niż w Ameryce, czy na przykład w Anglii. - Wzdrygnęła się na wspomnienie posiłku w domu brytyjskich Kearneyów! - Stranieri, cudzoziemcy, nie rozumieją nas. Nasza kultura opiera się na wzajemnym szacunku i respektowaniu prywatności.

- Chyba już na zawsze zostanę cudzoziemką! - Anna szlochała w objęciach Foski.

- Pleciesz bzdury. Ludzie cię kochają i ciągle się zachwycają, jaka jesteś piękna.

A potem Anna zaszła w ciążę. Mario nie posiadał się z radości. Natychmiast zamówiła rozmowę do rodziców.

Daniel, przejęty, wrzeszczał do słuchawki na całe gardło.

- Przyjedziemy w odwiedziny!

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Bardzo tęskniła za rodzicami, ale wiadomości ze świata napawały ją niepokojem. Co noc Hitler wykrzykiwał w eter szaleńcze groźby. Faszyci wzmogli aktywność. W Asciano jednak

nikt nie wierzył, że wybuchnie wojna. II Duce nigdy do tego nie dopuści, zapewniali się wzajemnie ludzie. Także Anna, która często spacerowała po małym ryneczku i wąskich uliczkach z kocimi łbami, uważała, że Niemcy są zbyt daleko, żeby tamtejsze wydarzenia miały jakiś wpływ na Włochy.

Pewnego dnia zbierała się właśnie do powrotu, kiedy dostrzegła w lesie małą chatkę ukrytą za starą sosną. Z komina bił dym. Po raz pierwszy od dawna ogarnęło ją znajome uczucie. Coś lub ktoś w chatce wzywał ją do siebie. Nie chciała usłuchać, próbowała zignorować wezwanie, ale tajemnicza siła nie ustępowała.

Niepewnym krokiem ruszyła ku chatce. Nadal nie widziała nikogo, ale od strony domku napłynęła do niej fala zachęty i odwagi. Na chwilę ogarnęła ją panika, ale zaraz odetchnęła głęboko i odzyskała spokój. Zmrużyła oczy, bo słońce świeciło zbyt mocno, by mogła wyraźnie zobaczyć aureę nad chatką.

Ku jej uldze, nad dachem unosiła się delikatna żółta poświata. Nie wyczuwała już zagrożenia, więc różnym krokiem ruszyła naprzód.

- Buon giomo - ktoś powitał ją starczym drżącym głosem.

- Mi scusi - odparła, zła, że tak mało czasu poświęca na naukę włoskiego.

Zadziwiająco silna, pomarszczona dłoń wciągnęła ją do środka. W pierwszej chwili Anna przyzwyczajona do ostrego słońca niczego nie widziała, ale po chwili jej oczy przywykły do półmroku.

W mdłym świetle zobaczyła bardzo starą kobietę. Uginała się pod ciężarem lat i ogromnego garbu. Miała haczykowaty nos, tak długi, że niemal dotykał dolnej wargi. Widać było, że kobieta cierpi na jakąś tajemniczą, niewidoczną gołym okiem chorobę wyniszczającą ją od wewnątrz. Jej twarz i ramiona pokryte były dużymi naroślami.

Wskazała fotel koło kominka. Następnie przelała do filiżanki wywar, który kipiał nad paleniskiem, i podała Annie naczynie.

- Grazie. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Mam na imię Pilar. - Anna była zadowolona, że zrozumiała choć tyle.

- Dziękuję, Pilar. - W obecności staruchy zanikał jej instynkt samozachowawczy. Czuła, że jest tu bezpieczna. Bez wahania upiła łyk dziwnego napoju. Smakował ziołami.

- Dla dzieci - zakrakała Pilar. - Nosisz dwoje dzieci, wiesz o tym? Oczy Anny się rozszerzyły. - Naprawdę?

Starucha kiwała głową. - Due.

Wypiwszy do końca ziołowy wywar, Anna niemal biegiem ruszyła do domu. Znalazła Maria w szopie i rzuciła mu się na szyję.

- Staruszka, która mieszka w małej chatce w lesie powiedziała, że urodzę bliźniaki.  
Mario objął ją mocniej. - To Pilar, wiedźma - stwierdził. - Cóż, jeśli ona mówi, że będą bliźniaki, to na pewno będą.  
Nigdy nie słyszałem, żeby się pomyliła.

239

- Bliźnięta! - Anna nie mogła w to uwierzyć. - Tak się cieszę. Teraz musimy kupować wszystko podwójnie. Wolałbyś dwóch chłopców, dwie dziewczynki czy i jedno, i drugie?

- Nie ma znaczenia, byleby dzieci były zdrowe i podobne do ciebie. -Pocałował ją.

Szła do domu pogrążona w marzeniach. Teraz, kiedy spodziewała się dzieci, Włochy nie były już tak obce i niezrozumiałe. Za kilka tygodni przyjadą rodzice.

W jej kroku pojawiła się sprężystość, a w oczach blask, którego, uświadomiła sobie, od dawna w niej nie było.

56

Mary Rose dowiedziała się, że Anna jest w ciąży, między jednym kęsem jabłka a drugim.

- Anna zawsze wszystko robi jak należy - mruknęła z ledwie wyczuwalną nutą zazdrości. - A zatem Danny i Mary będą dziadkami.

Ta wymiana zdań miała miejsce w niedzielę podczas jak zwykle okropnego, rodzinnego lunchu Kearneyów. Tym razem do stołu zasiadła cała rodzina. Catherine i Teresa przyjechały z Londynu i teraz uporczywie wpatrywały się w Mary Rose.

- Chyba nie jesteś bezpłodna, prawda? - zapytała słodko Teresa, unosząc głowę znad miseczki z galaretką. Mary Rose z obrzydzeniem spojrzała na drgającą masę.

- Nie, nie jestem, ale dziękuję, że zapytałaś, Tereso. Po prostu na razie nie chcę mieć dzieci. - W tej chwili nie miała odwagi spojrzeć na Crispina. On jeden wiedział, że nigdy nie używali środków antykoncepcyjnych.

Poczerwieniała ze złości. Powoli docierało do niej, że Amelia oczekiwała od niej nie tylko wsparcia finansowego, lecz również kolejnego dziedzica.

Ostatnio teściowa otwarcie mówiła, co trzeba kupić lub odnowić w posiadłości. Wypiwszy kawę, odsunęła krzesło i wstała.

- Omawialiśmy z ojcem kwestię kortów tenisowych i doszliśmy do wniosku, że zdecydowanie lepsza będzie nawierzchnia gliniasta. Utrzymanie trawnika byłoby zbyt drogie, czyż nie tak, tatku?

Pułkownik był na tyle przyzwoity, że zdobył się na rumieniec zakłopotania.

16 - Dwie drogi

241

- Ależ kochanie, ty sama zdecydowałaś, że musimy mieć gliniaste nawierzchnie.

- Mama ma rację - mruknął Crispin.

Mama ma zawsze rację, pomyślała zniecierpliwiona Mary Rose. Crispin pochwycił jej złośliwe spojrzenie i zamilkł. Do końca tygodnia miał uregulować kolejny dług. Jimmy Leadbetter był przemiłym człowiekiem, ale na pomocników dobrał sobie wyjątkowo brutalnych oprawców. Umywał ręce od wszelkich przypadków połamanych kości i jednego czy dwóch tak zwanych samobójstw. Nieszczęścia te spotkały dłużników, którzy nie zdołali w terminie uiścić należności. Jimmy rozumiał hazardystów i znał potęgę strachu, za co Crispin považał go jeszcze bardziej. On także cenil strach. Mieszkając z Mary Rose, odkrył wiele sposobów, dzięki którym mógł ją kontrolować, sprawiać, że była zastraszona i podatna na wpływy. Najlepszą bronią okazała się delikatność i czułość przeplatana brutalną przemocą.

- Wiesz, mamó. - Teraz chciał załagodzić wiszący w powietrzu spór. - Może wstrzymamy się z budową kortów do przyszłego roku. I tak wydaliśmy już bardzo dużo pieniędzy na remont i basen.

- Właśnie, basen - Amelia pogardliwie wydeła usta. - Szczyt złego smaku. To takie amerykańskie. - Dumnie odeszła od stołu. W ślad za nią ruszyła sfora psów. Żle uczesane, tłuste kosmyki wpadały jej do oczu.

- Muszę iść. Mam dziś dużo do zrobienia, czego nie można powiedzieć o wielu z was.

Mary Rose zerwała się od stołu. - Na mnie też czas. Jutro rano mam spotkanie z ważną klientką, a jeszcze nawet nie zaczęłam się pakować.

- Nie mogę pojąć, po co ciągle jeździsz do Londynu - mruknął Crispin. - Przecież tutaj też jest dużo do zrobienia.

- Crispinie, ja chcę pracować. Nie mogłabym wylegiwać się i nic nie robić całymi dniami tak jak ty i twoi przyjaciele. Czuję potrzebę obcowania z ludźmi, którzy mają zainteresowania zbliżone do moich. Przecież ty nawet nie czytasz książek!

- Nikt z nas nie czyta, moja droga. Jesteś nieszczęśliwa, bo musisz przebywać wśród ludzi nie tak błyskotliwych jak ty? Proszę bardzo, wracaj do Ameryki. Nie musimy bez przerwy udowadniać, że jesteśmy wykształceni. Jesteśmy Anglikami. To wystarczy.

- O tak, wiem o tym doskonale. - Spojrzała na niego złośliwie. - Wasze teatry i opery należą do czołowych scen świata, ale i tak jesteście bandą filistrów! - Wybiegła z jadalni, gdzie zapanowała martwa cisza. Zakłóciło ją tylko pytanie pułkownika.

- O co jej chodziło z filistrami? Czy to nie ci faceci oślepiłi Samsona?

Mary Rose słyszała, jak Teresa wzdycha ze zniecierpliwieniem.



Po chwili uśmiechnęła się: przynajmniej teść nie udawał, że czytuje coś więcej niż Horse and Hound.

- Mary Rose, właściwie dlaczego ciągle jeszcze jesteś z Crispinem? Przecież on cię wykańcza. - Siedziała z Travisem we włoskiej restauracji przy King's Road w Chelsea.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam innego wyjścia. Crispin to jedyny bliski mi człowiek. Moi rodzice żyją własnym życiem, ja ich nie obchodzę. Najczęściej jakoś tam dajemy sobie radę z Crispinem, tylko że on chyba nie potrafi być szczęśliwy. Zawsze wszystko komplikuje. To jak życie z terrorystą. Już, już zaczyna się między nami układać, a tu dowiaduję się, że zaciągnął kolejny dług albo kupił następnego konia, na którego go nie stać. Najgorsze jest to, że nie może zrozumieć, czemu chcę pracować. Ja z kolei nie mogę pojąć, skąd w nim taka awersja do pracy.

- Mary Rose, on jest po prostu niewyobrażalnie leniwy. Znam wielu takich ludzi. To produkty ekskluzywnych szkół. Mam wrażenie, że ci faceci całe życie chcą spędzić w szóstej klasie. Czas przecieka im przez palce. Dla mnie są, jak dinozaury, gatunkiem skazanym na zagładę.

- Teściowa jest na mnie wściekła, bo nie zaszłam jeszcze w ciążę. A Anna spodziewa się bliźniąt. To do niej podobne; nie dość, że postępuje właściwie, to jeszcze do kwadratu. Może, jeśli ją ładnie poproszę, da mi jedno dziecko i będę udawała, że to moje. - Śmiała się, ale Travis wiedział, że cierpi. Kiedy na nią patrzył, ścisnęło mu się serce.

Była chuda jak patyk. Obojczyki zdawały się przebijać bladą skórę, a nadgarstki przypominały łapki wróbla. Okazała się doskonałym pracownikiem. Potrafiła ułagodzić nawet najbardziej kapryśnego bogacza.

- Jutro czeka cię spotkanie z panią Gulbenkian - przypomniał. - Odwiozę cię do hotelu, żebyś mogła porządnie wypocząć, bo będziesz potrzebowała tyle cierpliwości, ile zdołasz z siebie wykrzesać.

Dlaczego, zastanawiała się Mary Rose, stojąc przy oknie, Anna może zająć w ciążę, a ja nie? Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w księżyc, który odbijał się w opustoszałej teraz rzece. Może rzeczywiście jestem bezpłodna. Podeszła do lustra.

- Ty bezpłodna suko - syknęła. Nie lubiła swojej twarzy. - Nie martw się - mruknęła do siebie. - Jutro też jest dzień. Pójdziemy na zakupy z panią Gulbenkian i wydamy kupę forsy.

Umówiły się w holu u Harrodsa. Mary Rose była pewna, że milionerka się spóźni. Bogacze nigdy nie przychodzili na czas, zawsze kazali na siebie czekać. Ona była chlubnym wyjątkiem. Był to wpływ matki, której ciągle „och, przepraszam za spóźnienie” należało do zdań znienawidzonych przez małą dziewczynkę.



Miała ze sobą tomik poezji. Odkąd Anna wyjechała do Włoch, Mary Rose nie miała z kim rozmawiać o literaturze. Dawniej Anna pochłaniała wszystko, co jej wpadło w ręce, a potem streszczała przyjaciółce najlepsze książki. Teraz Travis zabierał ją często do teatru i do galerii, gdzie robił jej wykłady ze sztuki współczesnej. Mary Rose zaczynała naprawdę interesować się kulturą.

Całą godzinę siedziała w wygodnym fotelu wyściełanym skórą. Potem postanowiła napisać do Anny. Szybko wodziła piórem po papierze. Gratulowała przyjaciółce ciąży i pisała o sobie. „Życie jest bardziej skomplikowane niż myślałam, ale jakoś daję sobie radę. Pracuję jako projektantka wnętrz i wyobraź sobie, bardzo to lubię. To dziwne, Anno: nigdy nie przypuszczałam, że chciałabym mieć dziecko, a teraz o tym marzę. Nie wiem, czy byłabym dobrą matką, ale chciałabym spróbować. Czy mogę być matką chrzestną bliźniąt? Jeśli coś się stanie z tobą, zajmę się nimi. Oczywiście, wszystko będzie w porządku. Po prostu mam ochotę być szaloną, dobrą matką chrzestną, psuć je i rozpieszczać i uczyć samych złych rzeczy. Każde dziecko powinno mieć taką chrzestną jak twoja ciocia Kitty. Co tam u niej słychać? I u Marty? Brakuje mi ich. Czy masz jakiś kontakt ze Stevenem? Wszystko wydaje się takie odległe, a jednocześnie takie bliskie”.

Wtedy zauważyła, że do holu wchodzi niska, pulchna kobieta. To na pewno pani Gulbenkian, pomyślała i nie myliła się. Tylko nowo przybyła wyglądała na bajecznie bogatą mieszkankę Hongkongu.

Była ubrana w turkusowy kostium. Tajlandzki jedwab, oceniła Mary Rose fachowym okiem. Nie miała za to pojęcia, skąd pani Gulbenkian zdobyła ohydny czarną bluzkę z wielkim kołnierzem i buty na zabójczo wysokich obcasach. Na jej palcach i w uszach błyskały olbrzymie brylanty. Kobieta rozglądała się, niecierpliwie uderzając stopą w posadzkę.

- Pani Gulbenkian, prawda? - Mary Rose podeszła do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

Kobieta potwierdziła energicznym ruchem głowy.

- Ruszamy, moja droga. Umówiłam się z kierownikiem sklepu.

- Chodźmy więc. - Mary Rose zgodziła się chętnie. Przynajmniej wypiją dobrą kawę, zanim rzucą się w wir zakupów. - Idziemy, pani Gulbenkian?

W ślad za niską, władczą osóbką opuściła hol. Tta szczęście po drodze zdążyła wrzucić do skrzynki list do Anny.

Anna siedziała na drewnianej ławeczce przed domem. Teraz, kiedy spodziewała się dziecka, czuła się w Toskanii jak w domu. Leniwie podniosła rękę i zerwała owoc ze starego figowca, którego korona zapewniała odrobinę cienia w skwarne popołudnie. Wbiła zęby w dojrzały owoc i nie zwracała uwagi na sok, który ściekał jej po brodzie.

Zamyślona wpatrywała się w daleką, gliniastą ziemię. Była to zwłaszcza teraz, w suche, gorące lato, dziwna, bezpłodna kraina. Nic tam nie rosło. Podczas gdy większość ludzi nie lubiła tego księżycowego krajobrazu, Anna go kochała. Wyobrażała sobie, jak dawno, dawno temu, przed milionami lat, Amiata wypływała strumienie lawy i magmy, z których powstały tokańskie góry. Władcza przyroda do dziś rządziła życiem mieszkańców Asciano. Hodowano tu specjalny gatunek owiec, którym wystarczyła skąpa roślinność jałowej ziemi. Może dlatego Annie wydawało się, że w owczym serze pecorino czuje smak magmy. Z wielkim apetytem zajadała ten ser, którego tajniki produkcji do perfekcji zgłębił Tommaso.

Te rozważania skłoniły ją do udania się na poszukiwanie kawałka pecorino. Weszła do długiej, niskiej kuchni i westchnęła z zadowoleniem. Upalne lato zmierzało ku końcowi. Drzewa ugiwały się pod ciężarem owoców, a pola falowały łanami zbóż. Rodzice mieli przyjechać za tydzień.

Zauważyła, że Włosi nie uprawiają jadalnej kukurydzy, tylko twarde, wielkie kolby na paszę. A szkoda, pomyślała. Może, jeśli rodzice przyślą nasiona, Tommaso zasieje trochę w przyszłym roku.

Daniel i Mary pochodzili ze wsi; wychowali się w irlandzkiej wiosce.

Anna była ciekawa, jak odnajdą się w Toskanii, gdzie wszystko, owoce, warzywa i owady były większe niż w Ameryce. W wysokich trawach czaiły się jadowite węże. Przypomniała sobie opowieść, jak to Tommaso stracił palec u nogi. Był w polu, gdzie z Mariem kosili trawę. Nagle podskoczył i uderzył w ziemię kosą. Niestety, za późno. Żmija już wbiła długie zęby w twardą skórę buta. Poblądły z bólu Tommaso ściągnął go i jednym ruchem odrąbał sobie palec u nogi.

- Lepiej żyć bez palca - powiedział potem - niż umrzeć w drodze do szpitala.

Mario niemal przyniósł go, wyczerpanego upływem krwi, do domu.

Od tego czasu w lodówce zawsze było kilka fiolek z surowicą.

W maju, kiedy żmije wpełzały na drzewa, Mario pilnował, żeby Anna zawsze wkładała kapelusz, jeśli szła do lasu na grzybobranie.

Przeciągnęła się rozleniwiona. Włochy były tak ciekawe, tak wielu rzeczy jeszcze nie wiedziała. Ale to nic, ma przecież całe życie na zgłębianie tajemnic tego kraju.

Zgłodniała. Zamarzyły się jej grzyby porcini, tak delikatne i kruche, że uważano je za kawior świata roślinnego.

Objadała się nimi od początku ciąży. Przez chwilę zastanawiała się, czy jechać do Pienzy, gdzie w małym sklepiku odkryła najlepsze suszone porcini pod słońcem.

Niedługo walczyła z łakomstwem. Po kilku minutach siedziała już za kierownicą samochodu. Może dostanie u rzeźnika trochę dziczyzny, kolejnego przysmaku.

- Będę gruba - oznajmiła radośnie tego wieczora. Mario słuchał jej z pobłażliwym uśmiechem. - Kupiłam prosciutto, dziczyznę i grzyby porcini. Jutro ugotuję ci prawdziwy tokański obiad. Niedługo będę idealną włoską żoną.

- Ty już jesteś idealną żoną. Kocham cię taką, jaka jesteś! - Przytulił ją. Zasnęli spokojni i szczęśliwi.

Pod koniec tygodnia przyjechali rodzice. Anna promieniała.

- Włochy ci służą, kochanie - stwierdził Daniel. Do tej pory nie uświadamiał sobie, jak bardzo za nią tęsknił. Cieszył się ogromnie, że ma ją teraz blisko siebie, ale przecież wkrótce musi wyjechać i znów ją opuści. Należała do innego mężczyzny. Myśl o tym ciągle sprawiała mu ból. Próbował porozmawiać na ten temat z Mary, ale go nie rozumiała. Całe swoje życie poświęciła jemu. Daniel tymczasem kochał córkę równie mocno jak żonę. I kiedy stał na podwórzu, wśród pięknej tokańskiej przyrody, marzył, by Anna z mężem i dziećmi wróciła do domu, do Stanów. Po chwili jednak odepchnął od siebie ponure myśli. Objął żonę ramieniem i poprowadził ją w stronę domu.

- Chodź, zobaczymy, co Anna poda nam na śniadanie.

Lisa nakryła już do stołu w loggii. Usiedli na drewnianej ławie, ale w pierwszej chwili nie myśleli o jedzeniu. Z zachwytem pochłaniali cudowny widok na dolinę. Wszędzie widać było pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Korony drzew mieniły się złotymi liśćmi. Wśród wzgórz co chwila rozlegały się strzały. To myśliwi wyruszali na łowy.

Mario właśnie wrócił z pola. - Anna powinna zjawić się tu lada chwila.

- Świetnie wyglądasz, Mario. - Teściowa uśmiechnęła się ciepło. - Małżeństwo wyraźnie ci służy. .

- O, tak. - Jego oczy rozbliły. Mary pomyślała z zadowoleniem, że to wielkie szczęście mieć takiego przystojnego i zakochanego męża.

W drzwiach pojawiła się Fosca. - Właśnie liczyłam sztuki pościeli. Mario, znowu brakuje czterech prześcieradeł. To chyba ta okropna rodzina z domu przy drodze. Czy na pewno nie możemy nic na to poradzić? Tommaso mówił mi, że kradną również owce.

- Niestety, Fosco. To brutalni, prymitywni ludzie i z pewnych względów nie chcę z nimi zadzierać. Jedyne, co możemy zrobić, to przywiązać psa koło suszącej się bielizny i wypędzić owce na wyżej położone pastwiska.

Fosca dopiero teraz zauważyła Daniela i Mary.

- Przepraszam - zwróciła się do nich. - Nie chciałam psuć wam humoru, ale mam już tego dosyć. Wszyscy mówią, że nie dojdzie do wojny. Tutaj jednak ludzie zachowują się tak, jakby wojna już wybuchła: wykorzystują sytuację, kradną bez opamiętania, przekonani, że w ogólnym rozgardiaszu wszystko ujdzie im na sucho. Uf! - Oparła się o ścianę. - A gdzie nasz śpioch?

- Tutaj. - Anna z uśmiechem usiadła koło Daniela. Miała na sobie długą jasnoniebieską podomkę. - Postanowiłam leniuchować przez całą ciążę. Skoro urodzę dwójkę dzieci, pewnie potem nie będę miała już chwili spokoju. - Ucałowała oboje rodziców. - Dzisiaj zabieram was do San Gimignano na pranzo, więc nie jedzcie zbyt dużo colazione. No tak... to mniej więcej wszystko, co mogę powiedzieć po włosku.

- To nieprawda i doskonale o tym wiesz, kochanie - przerwał jej Mario. - Rozumiesz już prawie wszystko, szkoda tylko, że sama odzywasz się tak rzadko. Masz talent do języków. Powinniście zobaczyć ją na targu - zwrócił się do teściów. - Potrafi zapytać o co tylko chce. Co więcej, plotkuje na każdy temat i wszyscy ją rozumieją. Marta mawiała, że Anna to dziecko światła. Może właśnie owa światłość bijąca od niej przyciąga ludzi. . .

Zarumieniła się. - No, dzisiaj w każdym razie me ma we mnie dużo światła. Czuję się jak ciężka gruba ropucha.

Mario pocałował ją w policzek. - Żałuję, że nie mogę pojechać z wami do San Gimignano. To urocze, stare miasteczko, wybudowane w XII wieku. Do dziś przetrwały resztki murów obronnych. Zobaczycie trzynaście wież. Kiedyś było ich siedemdziesiąt. Anno, zabierz rodziców do naszej ulubionej restauracji, dobrze? ,  
Zabawnie zmarszczyła nos. - Tak, ale obawiam się, że zjem takie ilości pasta, że nie będę mogła się ruszyć. Na pewno nie możesz z nami pojechać?

247

- Niestety - zdecydowanie potrząsnął głową. - Muszę dziś dopilnować zmw i pomóc w dojeniu owiec. Trzeba także przygotować wszystko do jutrzejszego winobrania.

- Winobranie!?! - Daniel był podniecony jak dziecko. - To brzmi wspaniale. Czy będziemy mogli w czymś pomóc?

- Oczywiście. Nigdy nie ma za dużo rąk do pracy. Przyjdą wszyscy wieśniacy. Będziemy pracowali tak długo, aż zbierzemy ostatnie grono. Potem zawieziemy owoce do sąsiada. Ma nowoczesną wyłaczarkę, więc w tym roku nikt nie musi już deptać winogron. - Skrzywił się - Pamiętam, jak wszyscy włąziliśmy do kadzi. Sok plamił stopy na długie tygodnie a ubrania przesiąkały specyficznym zapachem, którego nie tłumilo żadne mydło, żadne perfumy. Kiedy ludzie z nostalgią wspominają „stare dobre czasy”, przypominam im, że niewiele było wówczas dobrego. Teraz mamy gorącą wodę, elektryczność i, przede wszystkim, telefon.

Przerwała mu Lisa, która wniosła olbrzymi półmisek wędlin i wiklinowy koszyk z chlebem. Mała dziewczynka, córka jednego z pracowników, postawiła na stole butelkę wina.

- To farmerskie śniadanie - wyjaśnił Mario. - Tommaso i ja wstajemy o piątej, pijemy filiżankę kawy i idziemy w pole. Dopiero o dziewiątej wracamy na porządny posiłek. - Uśmiechnął się. - Ale naprawdę dużo jadamy w zimie. Nie wyobrażacie sobie, jak ostre są toskańskie zimy - Rozciął skórkę i wycisnął surową kielbasę na kromkę chleba. Lisa pojawiła się ponownie, tym razem z dzbankiem kawy w ręku. Anna sięgnęła po miskę owoców stojącą na parapecie.

- Proszę, mamó. Spróbuj pomarańczy. Zapewniam, że nigdzie nie znajdziesz lepszych. Ja też nie przełknę rano ani kawałeczka mięsa. Zwykle pijam tylko kawę. - Podała Lisie swoją filiżankę. - Tutejsza kawa to niebiański napój, mamó. Już zupełnie zapomniałam, jak smakuje amerykań-

- Z całą pewnością nie jest tak mocna jak ta. Nie zmrużę oka dzisiejszej nocy.

- Skądże, zaśnieś jak zabita. Po przyjeździe właśnie to dziwiło mnie najbardziej. Przez pierwsze dni budziły mnie skoro świt odgłosy zwierząt. Nie wierz, jeśli ktoś ci powie, że włoska wieś jest cicha i sielska. Potem spałam jak zabita, aż zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie wpadłam w śpiączkę. Teraz zasypiam i śpię spokojnie jak dziecko. I co rano cieszę się, że zaraz zobaczę błękitne niebo. Nie wyobrażam sobie życia bez tego widoku. Bardzo tęsknię za Mary Rose. O, właśnie, Mary Rose chce podawać bliźnięta do chrztu. Co wy na to? Mówi, że gdyby coś się nam stało, ona zajmie się dziećmi. Oczywiście, wszystko będzie w porządku, ale to miło z jej strony, prawda?

Postanowiła być zupełnie szaloną matką chrzestną, trochę jak Kitty. I ciągle pyta w listach o Kitty i Martę.

- A one pytają o nią. - Wpadła jej w słowo Mary. - Mamy nadzieję, że jest szczęśliwa, ale z Mary Rose nigdy nic nie wiadomo. Ciotka Kitty



trochę chorowała, ale Joe szybko postawił ją na nogi. Marta bardzo za tobą tęskni. Pracuje jako ochotniczka w domu starców. Chyba jest zadowolona. Oczywiście, spotykamy się jak zawsze i wspominamy dawne czasy, kiedy dopiero co przybyliśmy do Nowego Jorku, a ojciec O'Brian przychodził co niedziela na obiady. Pamiętasz, jak poznałaś Stevena?

- Oczywiście. Tak bardzo się cieszyłam, że znalazłam przyjaciela.

Fosca uniosła głowę. - Wczoraj dostałam od niego list. Píše, że u niego wszystko w porządku. Pracuje w firmie ojca. Wydaje się zadowolony z życia.

Anna się skrzywiła. - Nie wierzę, że jest szczęśliwy. Uważam, że po prostu wybrał najłatwiejsze rozwiązanie.

Wiedziała, ile bólu sprawił Fosce ten list. Korespondowali już od wielu miesięcy, ale Anna nie wierzyła, by wynikło z tego coś więcej. Steven za bardzo obawiał się matki.

Wzruszyła ramionami. - Szkoda mi go - stwierdziła. - Zapowiadał się na wspaniałego człowieka. - Po tych słowach zapanowała cisza, niemal żałobna chwila zadumy nad kiedyś chłopcem, dziś już mężczyzną, który był częścią ich życia, a teraz odszedł na zawsze. W sercu Anny wyrósł mały kopczyk z jego imieniem.

58

Anna zatrzymała samochód na wzgórzu. Przed nimi rozpościerało się San Gimignano. Wysokie, majestatyczne wieże celowały w bezchmurne niebo.

- Wygląda jak miniaturowy Manhattan - zażartował Daniel. Roześmiała się beztrąsko, a potem skrzywiła złośliwie. - Pewnie

dziękujecie Opatrzności, że jeszcze żyjecie, co? Miło z waszej strony, że nie komentowaliście mojego stylu jazdy. Przejęłam włoską manierę: jedź gdzie chcesz i nie myśl o innych. Widziałam, jak trzymaliście kciuki. No, ale jesteśmy na miejscu, cali i zdrowi.

- Nie przesadzaj, kochanie. Wiesz, że nigdy nie czułem się dobrze w roli pasażera. Teraz tylko twojej matce pozwałam kierować moim samochodem, oczywiście poza szoferem. Mary, spójrz na to. Mam wrażenie, że wskoczyliśmy do środka obrazu.

- Tak, znam to uczucie - Anna kiwała głową ze zrozumieniem. - Wiem, że jest na świecie dużo pięknych miejsc. Pamiętam Boston jesienią i Long Island spowite w październikowych barwach, ale tutaj wszystko żyje. Nie potrafię tego wytłumaczyć... Wyczuwam tu wibracje. Chodźmy, pokażę wam najpiękniejszy krużganek.

Niewiele później Daniel stał na malutkim dziedzińcu, perle dawnej architektury, i wsłuchiwał się w dźwięki muzyki. Obok niego Mary chciwie chłoneła nuty Mozarta, które wyczarowywał młody flecista. Kearneyowie i Anna siedzieli na resztkach muru. Nie było tam nikogo oprócz nich, ale flecista tego nie zauważał. Miał zamknięte oczy, nawet nie patrzył na rozłożone nuty. Dla Anny stał się jednością z muzyką. Tymczasem

266

dźwięczna mozartowska melodia ulatywała w powietrze, oplatała stare mury, spływała po kamieniach jak krople rosy. Przez chwilę krużganek był muzyką, a muzyka krużgankiem.

Anna zauważyła samego flecistę dopiero, kiedy przestał grać. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem, nieśmiało jak dziecko przyłapanie na wagarach.

- Kimże jesteś, ty, który tak pięknie grasz? - zapytała bez namysłu.

- Mam na imię Claude - odparł.

- Mieszkasz tutaj? A może studiujesz? - Nie mogła opanować ciekawości.

- Nie, po prostu podróżuję. Przyjechałem tu, żeby grać dla turystów, ale teraz, kiedy sezon się skończył, muszę wracać do Szwajcarii, gdzie studiuje. Jednak tak bardzo kocham Toskanię, że nie chcę .stać wyjeżdżać. Mam jeszcze miesiąc wakacji, ale nie mam mieszkania.

Mówił spokojnie, lecz wyczuwało się w nim ukrytą pasję. Anna polubiła go od razu. Po raz kolejny uległa spontanicznemu odruchowi, zamiast spokojnie wszystko przemyśleć.

- Chodź z nami. Mamy duży dom, w którym na pewno znajdzie się wolny pokój. A jeśli nie boisz się pracy w polu i pomożesz przy winobranii, mój mąż będzie szczęśliwy, że cię przywiozłam. - Odwróciła się do rodziców. - Mam rację, prawda?

Daniel i Mary się przedstawili. Daniel parsknął śmiechem. - Cała moja córka. Najchętniej zabrałaby do domu cały świat. Ale ma rację. Mają duży dom i kochają muzykę. Jestem pewien, że wszyscy powitają pana z otwartymi ramionami.

Claude się rozpromienił. - Mówicie państwo poważnie? Chociaż właściwie wcale nie powinienem się dziwić. Przecież nie ma na świecie gościnniejszego narodu niż Włosi. W takim razie pójdę się spakować. Będę gotów za pół godziny. Gdzie się spotkamy?

Anna była bardzo zadowolona z siebie. - Znasz restaurację Bel Sog-giorno na tamtym wzgórzu?

Uśmiechnął się lekko. - Pewnie. W każdym razie znam ją z zewnątrz. Nigdy nie byłem w środku. To zanadto nadwreżyłoby mój skromny budżet.

- Dzisiaj ja funduję. - Daniel był w szampańskim humorze. - Wreszcie mogę wypić tyle wina, ile dam radę, bo moja córka prowadzi. Kiedy tak o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie tyle mogę, co muszę wypić tyle wina, ile się da, żeby nie umrzeć ze strachu w drodze powrotnej!

- Zatem do zobaczenia. - Claude pomachał im szczupłą, wąską dłonią i znikł w labiryncie ciasnych uliczek.

Anna i rodzice spacerowali po miasteczku.

- Claude będzie odpowiednim towarzystwem dla Foski - stwierdziła Anna w pewnej chwili. Uśmiechnęła się. Wiedziała, jaka będzie reakcja Mary i się nie zawiodła.

- Anno, ty się chyba nigdy nie zmienisz. Znowu bawisz się w swatkę.

- Może i tak - przyznała. - Ale nic nie poradzę na to, że czuję się winna wobec Foski. Mario i ja jesteśmy tacy szczęśliwi, a ona nie ma nikogo. Może Claude pomoże zapomnieć jej o Stevenie. Poza tym -dodała po chwili - cieszę się, że moje dzieci już teraz zaczną słuchać Mozarta.

Im bliżej byli domu, tym większe zdenerwowanie ogarniało Annę. Wiedziała, że Mario zaakceptuje Claude'a od razu, ale nie była pewna reakcji teściów. Elisabetta i Francesco to mili, uprzejmi ludzie, ale nauczyła się już, że we Włoszech, gdzie całe rodziny żyją pod jednym dachem, rzadko zaprasza się do domu stranieri, cudzoziemców. Claude zaś, wysoki i jasnowłosy, był zdecydowanie straniero. W prawym uchu miał złoty kolczyk, a na przegubie - bransoletkę.

Przez całą drogę rozmawiał i żartował z Mary i Danielem. W bagażniku leżała gitara i flet. Oprócz tego, zabrał ze sobą skórzany plecak, w którym zapewne mieścił się cały jego ziemski dobytek. Anna spojrzała w jego zielone jak trawa oczy i dziękowała losowi, że nie ma tu Mary Rose; uwiodłaby chłopaka w ciągu pięciu minut, ona tymczasem przeznaczyła go dla szwagierki. Nawet jeśli Fosca się w nim nie zakocha, przynajmniej, pochłonięta muzyką, nie będzie myślała o Stevenie.

W ostatnim gorączkowym okresie, pełnym plotek o wybuchu wojny, koncerty muzyki klasycznej należały do rzadkości. O wiele łatwiej niż symfonie Beethovena można było teraz usłyszeć groźby Hitlera albo zapewnienia II Duce, że Włochy nie przystąpią do wojny. „Nie martwcie, się moje dzieci, wszak jestem dla was ojcem! Daję wam słowo, że...”

Ufali mu prawie wszyscy, ale nie Francesco. Ilekroć słyszał te obietnice, spoglądał na żonę, a ona tylko potrząsała głową. Annie ten ruch wydawał się bardziej tragiczny niż słowa. Te ostatnie zresztą rozumiała już całkiem dobrze, o ile rozmowa nie toczyła się za szybko. Kiedy rozmówców ponosił południowy temperament, od razu traciła wątek.

- To jest Claude. - Nagle onieśmielona, przedstawiła muzyka mężowi. - Przepięknie gra na flecie. Nie ma gdzie mieszkać, więc powiedziałam, że może zatrzymać się u nas, jeśli pomoże ci na farmie.

Mario zmarszczył brwi, ale w jego oczach świeciły wesołe ogniki. -Widzę, że moja żona już cię zaadoptowała.

Witaj. W tym domu nigdy nie ma za dużo muzyki. Chodź, przedstawię cię moim rodzicom. Są w loggii.

Przerwał im tupot na schodach. To Fosca, wychylając się przez poręcz, zawołała:

- Jak to dobrze, że wróciłaś, Anno. Przed chwilą dzwoniła Mary Rose. Zamówiła następną rozmowę na szóstą. - Zamilkła, bo zobaczyła Claude'a. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

- Oto Claude. Zamieszka z nami przez jakiś czas. Uznałam, że moim maluchom przyda się trochę muzyki, a Mario nie powie „nie” dodatkowej parze rąk do pracy. - W głębi duszy Anna nie wierzyła, by Claude nadawał

269  
się do pracy w polu. W każdym razie szwagierka będzie miała towarzystwo, a to najważniejsze.

- Ciao. - Fosca wyciągnęła drobną dłoń.

Claude zmrużył oczy i uśmiechnął się figlarnie. - Anno, nie mówiłaś mi, że masz taką śliczną szwagierkę.

- To miała być niespodzianka. - W odpowiedzi zaniósł się beztroskim śmiechem.

Po kolacji Francesco poprosił Claude'a, żeby zagrał coś na flecie. Kiedy poszedł po instrument, Anna odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że kto raz usłyszy jego grę, będzie chciał mieć go u boku. Oparła się wygodnie i czekała wpatrzona w płomienie tańczące na kominku. I wtedy poczuła pierwsze ruchy w łonie.

Zagrał dopiero kilka nut, a już z ust zebranych wydobył się jęk zachwytu. Wysokie, czyste dźwięki wirowały w powietrzu. Francesco i Elisabetta przysunęli się do siebie. Mario i Anna trzymali się za ręce. Potem jego dłoń delikatnie spoczęła na jej brzuchu.

Claude nie odrywał oczu od Foski. Postąpiłam słusznie, pomyślała Anna. Nie wiadomo dlaczego przyszła jej na myśl Mary Rose. Co naprawdę dzieje się w jej sercu? Niedawna rozmowa telefoniczna nie zaspokoila ciekawości Anny. Połączenie było fatalne; nie była nawet pewna, czy przez szумы i trzaski dotarło do Mary Rose zapewnienie, jak bardzo ją i Maria cieszy myśl, że właśnie ona będzie podawać dzieci do chrztu.

Nagle ogarnął ją smutek, jakby nie wierzyła, że szczęście może trwać dłużej niż tylko chwilę. Na dworze zadomowiła się już chłodna noc. W domu ogień wypełniał pokój przyjemnym ciepłem.

Melodia dobiegła końca. Anna wstała, żeby podziękować Claude'owi. W jego oczach zobaczyła łzy.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo jesteście dla mnie tacy dobrzy - odparł zażenowany. - Jestem szczęśliwy, że mogę tu z wami być. Chciałbym móc jakoś wyrazić moją wdzięczność.

- Drogi chłopcze. - Elisabetta objęła go serdecznie. - Człowiek z twoim talentem nie musi być za nic wdzięczny. A nasz dom zawsze będzie dla ciebie otwarty. - Ucałowała go w oba policzki.

On ucieka, zrozumiała nagle Anna. Ucieka przed okropnymi wspomnieniami z przeszłości. Postanowiła za wszelką cenę dowiedzieć się, dlaczego tak cierpi.

Tej nocy kulila się pod naporem wiatru. Na świecie szalała straszliwa burza. Anna nie przywykła jeszcze do potężniejszego zawrota wicheru i ognistych błyskawic przecinających niebo. Zazwyczaj podczas takiej

nawałnicy tuliła się do męża i drżała ze strachu. Tym razem jednak zawierucha szalała w jej śnie, a ona nie mogła się obudzić. Coś złego wciągało ją w ciemność. Jakiś potwór trzymał ją za nogę i odciągał od

najbliższych. Przerazała ją myśl o zniknięciu w złowieszczej lodowatej głębi, ale gorszy był dochodzący z oddali rytmiczny tupot podkutych butów.

Niemal udało się jej obudzić, ale koszmar nie dawał za wygraną. Choć wiedziała już, że to tylko sen, nadal chciała uciekać.

- Wszystko w porządku, Anno, jestem przy tobie. - Mario pocałował ją w kark. Przyłgnęła do niego całym ciałem.
- Nie zostawiaj mnie, Mario. Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz.
- Anno, wiesz przecież, że wolałbym nie żyć, niż cię utracić. Jesteś całym moim światem. - Uśmiechnął się do niej. Zasnęła już. W jej łonie spały jego dzieci. Mario nie pamiętał, kiedy ostatnio był taki szczęśliwy.

59

Szczęście w głosie Anny stanowiło dla Mary Rose pewną pociechę. Nie zazdrościła przyjaciółce, bo wiedziała, że umarłaby z nudów, gdyby żyła tak jak Anna. Jednak zazdrościła jej ciąży. Sama próbowała zająć w ciążę co miesiąc, ale za każdym razem daremnie.

Chciała dziecka nie z powodu nagle rozbudzonych uczuć macierzyńskich, lecz dlatego, że umocniłoby ono jej pozycję w rodzinie Crispina. Mary Rose doskonale wyczuwała wszelkie napięcia w klanie Kearneyów. Na próżno starała się pozyskać sympatię teściowej. Szybko zrozumiała, że to pieniądze czy raczej ich brak trzyma tę rodzinę razem.

Szwagierki nie lubiły jej, a Amelia okazywała przyjaźń tylko wtedy, kiedy spodziewała się jakichś korzyści materialnych.

Teraz, pracując dla Trávisa, Mary Rose dużo zarabiała. Pani Gulben-kian była tak zadowolona z poczynionych zakupów, że wynagrodziła ją sownie i zaproponowała, żeby zajęła się wystrojem jej nowego domu w Hongkongu.

- Naprawdę chciałabym pojechać, Crispinie. To dla mnie niepowtarzalna szansa wyrobienia sobie nazwiska w zawodzie.
- Mary Rose, przecież wcale nie musisz pracować! Co się, do cholery, z tobą dzieje? Może gdybyś zaszła w ciążę, przestałabyś zajmować się tymi bzdurami.
- Nie zapominaj, mój drogi, że do robienia dzieci potrzeba dwoje.
- Wiem o tym - syknął ostrzegawczo. Mary Rose się wycofała. Głupi spór nie był wart całego wieczoru dąsów.
- Mów, co chcesz, i tak pojedę - oznajmiła, zanim wyszła z sypialni.

271

Nie tylko pojedę, ale jeszcze namówię Justina, żeby tam do mnie przyjechał, postanowiła zbiegając ze schodów. Podróż do Hongkongu była długa i nudna. Mary Rose nie podobał się zwłaszcza postój w Delhi. Przerazała ją wszechobecna nędza i tłumy żebraków.

Żeby się nie nudzić, poderwała młodego chłopca, który jechał na wakacje do rodziców w Makao. Wzruszała ją jego niezdarna, gorliwa niewinność. Po kilku godzinach w dusznym hotelu Imperial doszła do wniosku, że drzemka zrobi im lepiej niż zwiedzanie zabytków.

- To o niebo lepsze niż świątynie i komary - mruknęła, kiedy szczytował po raz trzeci.

Potem leżała obok niego i wyobrażała sobie, jak bardzo ta scena zgorszyłaby Annę. Ile z tego, co robiła, miało szokować, prowokować ludzi? Czy naprawdę chciała przespać się z tym chłopcem? Zanim zasnęła, doszła do wniosku, że rzeczywiście się jej podobał. Z wysiłkiem przypomniała sobie, jak miał na imię. Robin.

Kiedy wstali, kąpali się w głębokiej wannie i pod prysznicem. Nie mieli czasu na nic więcej, bo musieli ponownie wsiąść do dusznego, ciasnego samolotu.

Kiedy maszyna schodziła do lądowania, Mary Rose była przekonana, że za chwilę dojdzie do katastrofy. Robin uspokajającym gestem wziął ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, dumny, że dodaje jej odwagi. Parsknęła śmiechem.

- Czas się pożegnać, Robinie. Nie wydaje mi się, że twoja matka byłaby zachwycona, gdyby zobaczyła nas razem. - Uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Teraz, kiedy już wiesz, na czym to polega, możesz do woli uganiać się za ślicznymi Chinceczkami.

- Nie chcę żadnych ślicznych Chinceczek, Mary Rose. Chcę ciebie.

- Nie wygłupiaj się. Po pierwsze, jestem dla ciebie za stara, a po drugie, mam męża...

- ...który cię źle traktuje.

- Skąd wiesz? - Była zaskoczona jego przenikliwością.

- Bo szczęśliwe mężatki nie podrywają takich smarkaczy jak ja. Mary Rose, ty go nie kochasz.

- Do pewnego stopnia masz rację, ale tylko do pewnego stopnia. Jesteś zbyt młody, żeby to pojąć, Robin. Mój mąż mnie rozumie i z tego powodu warto z nim przebywać. Znam tylko dwa naprawdę szczęśliwe małżeństwa. Bardzo je kocham, ale umarłabym z nudów, żyjąc tak jak one. Jedź do Makao i baw się dobrze. I zachowaj miłe wspomnienia z postoju w Delhi.

Zamknęła oczy, kiedy koła uderzyły o nawierzchnię pasa startowego. -Miękkie lądowanie - stwierdziła wesoło.

Samolot się zatrzymał. Stewardesy już otwierały drzwi i wpuszczały



do kabiny gorące wilgotne powietrze. Po chwili w pierwszej klasie pojawił się umundurowany pracownik lotniska.

- Przyszedłem po panią Kearney. - Był to wysoki, przystojny Sikh w białym turbanie.

- Oto zostałam VIP-em - zachichotała Mary Rose. Pocałowała Robina w policzek, poklepała pó ramieniu i już jej nie było.

Robin tęsknie spoglądał na pusty fotel. Wcale nie jest taka szczęśliwa, jak się jej wydaje, pomyślał. Aż do popołudnia w Delhi był prawiczkim, ale od razu zorientował się, że ten drań, mąż Mary Rose, nie potrafi jej zaspokoić w łóżku.

Po chwili jednak jego myśli zaprzętnęły inne sprawy. Może rzeczywiście warto zainteresować się Chinczkami? Pani Gulbenkian siedziała w rolls-roycie wyprostowana i schludna jak zadbany pekińczyk. Mary Rose zajęła miejsce obok niej i ciekawie wyglądała przez okno. Co chwila szofer jak oszalały walił w klakson i obrzucał pieszych stekiem najgorszych przekleństw. Kłął tak niemal przez całą drogę do rezydencji nad zatoką Repulse. Samochód skręcił w stronę podjazdu. Dwaj Chińczycy w liberjach otworzyli bramę. Pod kołami rolls-royce'a zazgrzytał żwir.

Mary Rose wzdrygnęła się z obrzydzeniem, kiedy zobaczyła dom. Była to budowla rodem z koszmarnych snów hollywoodzkiego scenografa. Wrażenie potęgował okropny odcień różu, na który pomalowano ściany.

- Co za oryginalny kolor - wykrztusiła wreszcie, czując, że musi coś powiedzieć.

- Podoba ci się? To świetnie. - Pani Gulbenkian poprawiła się na siedzeniu. - Namówił mnie na ten odcień mój tutejszy dekorator. To Amerykanin, najlepszy projektant wewnątrz w całym Hongkongu. Wyobraź sobie, moja droga, on żyje ze swoim przyjacielem. I to całkiem jawnie! Chyba wiesz, co mam na myśli? - Uniosła farbowane brwi i próbowała obrzucić Mary Rose zgorzonym spojrzeniem.

- Tak, wiem, co pani ma na myśli. - Z trudem udało jej się opanować wybuch śmiechu. - Bardzo dobrze wiem, co pani ma na myśli. Ale czy nie sądzi pani, że ten róż jest nieco zbyt... jaskrawy?

- Naprawdę tak uważasz, Mary Rose? W takim razie, zaraz do niego zadzwonię i zobaczymy, co na to powie.

- Nie, nie! Proszę tego nie robić, pani Gulbenkian! - Mary Rose już widziała oczyma wyobraźni, jak rozwścieczony homoseksualista ściga ją po całym Hongkongu. - Na pewno przywyknę do tego koloru. Po prostu zaskoczyła mnie jego intensywność, to wszystko.

Samochód zatrzymał się przed imponującym tarasem. Mary Rose w najgorszych snach nie przypuszczała, że będzie miała nadać angielski styl takiemu okropieństwu.

Pani Gulbenkian wyprzedziła ją, z wawo wbiegła po schodach i złapała za telefon.

17 - Dwie drogi

257

- George, mojej dekoratorce nie podoba się kolor domu. Już ci ją daję, mój drogi. — Podała słuchawkę Mary Rose.
  - A co do cholery jest nie tak z tym kolorem? - Wrzask w słuchawce niemal ją ogłuszył.
  - Ależ wszystko w porządku. To śliczny odcień. Po prostu nie jestem przyzwyczajona do tak jaskrawych tynków. Za kilka dni pewnie uznam, że jest wręcz boski.
  - Zaraz do was jadę. Pani Gulbenkian to jedna z moich najlepszych klientek. Nie chcę, żeby się niepotrzebnie denerwowała.
  - Nie ma potrzeby, żeby pan się teraz fatygował. Na pewno jakoś sobie z tym poradzimy. W końcu ja też pracuję dla amerykańskiej firmy.
  - Dla kogo? - Głos w słuchawce był już nieco spokojniejszy.
  - Dla Trvisa Mainwaringa.
  - Ach, tak. Dobra, w takim razie umówię się z panią Gulbenkian. Obejrzymy razem, co przywiozła z Londynu. Przypuszczam, że nic z tego nie nadaje się do jej domu.
  - Delikatnie mówiąc. Kupowałyśmy tylko rzeczy będące kwintesencją angielskości.
  - No, upchniemy to gdzieś, tak jak upchnąłem już rupiecie z Tajlandii, Persji i Bóg jeden wie skąd jeszcze. Możemy też urządzić każdy pokój w innym stylu.
  - Owszem, możemy. Albo zwalić wszystko na kupę i urządzić wielkie ognisko. - Zanim to powiedziała, upewniła się, że pani Gulbenkian nie ma w pobliżu.
  - To dobrze, że ma pani poczucie humoru. Z której dokładnie części Stanów pani pochodzi?
  - Z Nowego Jorku. - Poczła nagle, że się uśmiecha. - I już za nim tęsknię. - Cholera, po co ściągałam tu Justina, przeklinała się w myślach. Ten George to chyba niezły numer. - Jutro odbieram znajomego z lotniska. Potem możemy się spotkać.
  - Znajomego?
  - Bardzo... bardzo bliskiego znajomego. - Rozbawił ją domyślny chichot w słuchawce.
  - Dobra, spotkamy się, kiedy pani już się nim nacieszy.
- Podczas wyśmienitej kolacji panią Gulbenkian ogarnęły wspomnienia.
- A wtedy powiedziałam do mojego trzeciego męża... A może był to czwarty, sama już nie wiem...
  - Wychodziła pani za mąż wiele razy, prawda, pani Gulbenkian?
  - Oczywiście, moja droga. Mażeństwo było comme il faut. Zresztą, za każdym razem dziedziczyłam sporą sumkę. Mój piąty mąż twierdził, że wykańczam go w łóżku. Teraz zrezygnowałam z seksu na rzecz zakupów.

- Widzę to. - Mary Rose starała się nie patrzeć na szkaradny stolik na powyginanych mosiężnych nóżkach, ale w pokoju nie było niczego, co nie budziłoby w niej dreszczu obrzydzenia. Najgorsze chyba były reumatycz-  
276

nie powykręcane kinkiety na ścianach. Jutro tym się zajmę, obiecała sobie. Teraz była zbyt zmęczona.

- Jutro przylatuje mój znajomy, Justin Villias, pani Gulbenkian.

- Aha. To twój kochanek, jak przypuszczam? Wy, nowoczesne kobiety nie zasypiacie gruszek w popiele. Wyślę po niego samochód. Czy chcesz, żeby miał oddzielny pokój, czy żeby zamieszkał z tobą?

- Ma rezerwację w hotelu Peninsular.

- Bzdura! Zatrzyma się tutaj. Tym sposobem będziesz mogła zabawić się w nocy i nie zmarnujesz czasu na dojazdy do hotelu.

- Jeśli pani tak uważa, pani Gulbenkian... Przepraszam, ale muszę już iść spać. Jestem bardzo zmęczona.

- Nie rozumiem, co wy, młodzi ludzie, robicie całymi dniami. Ja w twoim wieku mogłam przetańczyć całą noc.

Mary Rose wyszła. No, ja też, w pewnym sensie, hulałam całą noc, pomyślała, kładąc się do łóżka. Była to okropna mosiężna maskara. Skąd u pani Gulbenkian taki fatalny gust?

Zasnęła natychmiast po zgaszeniu światła.

*Ciąża* dawała się Annie we znaki, ale ją to tylko cieszyło. Dopiero bowiem tego dnia, kiedy poczuła pierwsze ruchy dzieci, uwierzyła, że naprawdę będzie matką. Oczywiście, wcześniej też wiedziała, że spodziewa się dziecka, ale dopiero teraz pojęła całą doniosłość tego faktu.

Nadeszła chwila rozstania z rodzicami. Dla wszystkich był to trudny moment

- Nie martw się, mamó. Jestem tu pod doskonałą opieką. Mam Maria i jego rodziców. Fosca jest dla mnie jak siostra. Poza tym zawsze mogę liczyć na Pilar, czarownicę, która poi mnie ohydnyimi miksturami. Znana jest ze skutecznej opieki nad ciężarnymi. - Uściskała Mary. Całując matkę w policzki, dostrzegła delikatne zmarszczki pod jej oczami. Daniel przycisnął córkę do piersi. - Uważaj na siebie, kwiatuśku. Będę za tobą tęsknił. Mam nadzieję, że już niedługo nasz dom wypełni śmiech twój i moich wnucząt. - Miał łzy w oczach. Wytarł je wierzchem dłoni i podszedł do matki Maria. - Elisabetto, wróćmy tu niedługo. Toskania to raj na ziemi.

Odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

- I dlatego tak ją kochamy - odparła. Cały czas myślała o ich ostatniej rozmowie poprzedniego wieczora. Wszyscy, zarówno Włosi, jak i Amerykanie, uważali, że wojna jest nieunikniona. Postanowiono jednak oszczędzić Annie tych wieści.

- Kiedy tylko coś się zacznie, natychmiast wyślijcie kobiety do mnie - nalegał Daniel. - Ameryka nie przystąpi do wojny. Wy tutaj będziecie pewni, że Annie, Fosce i dzieciom nic nie grozi.

260

Mario postawił sprawę jasno: zostanie z rodzicami i będzie walczył.

Mary i Daniel po raz ostatni wsiadali do samochodu Francesca. Na schodach domu stała nagle posmutniała rodzina Biancharinich. Mario rozważał nerwowo, czy aby nie powinien już teraz wysłać żony i siostry do Ameryki.

Odpowiednia chwila na podjęcie tej decyzji minęła. Samochód znikł za zakrętem.

Mario objął ramionami Annę i Foscę.

- Mam pomysł - powiedział. - Właśnie dojrzał świeży pecorino, ale trzeba spróbować, czy da się jeść. Otworzę butelkę barolo i utopimy smutki w kieliszkach, zagryzając owczym serem. Co wy na to?

Rodzice już wcześniej udali się do sypialni. Francesco zdawał sobie sprawę, jak bardzo Elisabetta przejęła się rozmową z poprzedniego wieczora.

- Nie zniosę rozstania z Foską i Anną - stwierdziła. - Boże, kiedy to się skończy?

- Sam chciałbym wiedzieć. - Nie starał się opanować goryczy. - Mussolini wygłasza patetyczne przemówienia i kłamie jak najęty. Namawia ludzi do donosicielstwa. Więzienia są pełne torturowanych ludzi, winnych i niewinnych. Komuniści walczą przeciwko nam. Cały kraj jest podzielony, w rozgardiaszu zaginęła prawda. Zewsząd ciemność i kłamstwa, znikąd światła.

Przyciągnął Elisabettę do siebie i powoli rozpiął jej sukienkę. Delikatnie pieścił pełne, ciągle jędrne piersi. Czas był dla niej łaskawy. Nadal miała miękką skórę koloru miodu. Podczas gdy znakomitej większości jej przyjaciółek nie udało się uniknąć starzenia, Elisabetta wciąż miała silne, zgrabne ciało.

- Masz taką cudowną skórę - szepnął, patrząc na nią z podziwem. Leżała naga na łóżku.

Wyciągnęła ku niemu ramiona. - Chodź, najdroższy. Sprawię, że zapomnisz o zmartwieniach.

Uśmiechnął się. - O tak, zawsze ci się to udawało.

Na dole Mario kroił pecorino specjalnym nożem. Tommaso i on wstrzymali oddech. Był to najważniejszy moment. Wiele pracy włożyli w przygotowanie czterdziestu gomółek sera, które teraz leżały na drewnianych półkach. Przez kilka miesięcy przewracali sery codziennie, żeby świeże powietrze miało do nich dostęp. Nie mogli też zapomnieć o doprowadzeniu każdej gomółki odrobiną czarnego pieprzu.

Efekty ich pracy napawały Maria dumą. Sprzedadzą sery w okolicznych wioskach. Ukroił plaster pecorino i nalał szklaneczkę wina. Ostrożnie oderwał skórkę i ugryzł. Po chwili podał kawałek Tommasowi.

- Spróbuj, chyba nam się udał. - Na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

Tommaso ujął cienki plaster zgrubiałymi od ciężkiej pracy palcami. Powąchał go i ugryzł.

- Bardzo dobry, signore, bardzo dobry. Najlepszy w tym roku. Pana ojciec robi dobre sery, ale z pana to prawdziwy maestro. - Upił łyk wina. -Znakomite.

Stali w milczeniu i z apetytem degustowali efekty wielomiesięcznej pracy.

- A czy dla nas coś zostanie? - zapytała żartobliwie Fosca. - Wy, mężczyźni, nie widzicie świata poza serem i winem. A co z nami?

Tego dnia listonosz przyjechał później niż zwykle. Anna dostała list w niebieskiej kopercie. To Ralph pisał z wojska. Niedługo będzie w Rzymie. Pytał, czy może przyjechać na weekend. Ponieważ list szedł wyjątkowo długo, miał być w Toskanii już za dwa dni, jak wyliczyła. Zawołała Lisę i kazała jej sprzątnąć gościnny pokój.

Krzążąc się po kuchni, pomyślała, że miała szczęście, wychodząc za męża za Włocha. Odpowiadało jej życie w dużej rodzinie. Czuła się jak za dawnych lat, kiedy mieszkały z nimi Kitty i Marta, a ojciec O'Brian prawie codziennie wpadał z wizytą. Ameryka nie sprzyjała podtrzymywaniu więzi rodzinnych. Zanim przyjechali Fosca i Mario, miała tylko rodziców. Teraz otaczali ją liczni krewni męża i ludzie zatrudnieni na farmie.

Przypomniała sobie nagle, że rano opowiadała matce o Pilar. Sama myśl o staruszce dodawała jej otuchy. Zdjęła fartuch i pobiegła do lasu.

- Signora. - Zapukała do drzwi. - Dzieci się poruszyły. - Oparła dłonie na brzuchu. - Czułam, jak się ruszają.

Pilar z trudem wstała z krzesła przed paleniskiem. Lekko dotknęła brzucha Anny rękami powykrecanymi przez artretyzm, jak stare drzewo. Z zadowoleniem kiwała głową.

- Bene, bene. Lei avra due bambini. Un maschio e una femmina bellissimi.

- Chłopiec i dziewczynka? - Anna nie posiadała się ze szczęścia. Pilar skinęła głową i wciągnęła ją do środka. Chata staruszki zawsze

na nowo ją zadziwiała. W świecie, gdzie kobiety całe życie poświęcały rodzinie i domowi, Pilar uparcie trwała w prymitywnym ubóstwie. Mała chatka mogła zawalić się w każdej chwili. Z krzesel i stołu zliziła farba. Po pierwszej wizycie u Pilar Anna usiłowała nakłonić męża, żeby przysłał staruszce robotników, kupił nowe meble i kazał odnowić dom. Mario nie chciał nawet o tym słyszeć.

- Nie zapominaj, że jesteś Amerykanką, a wy Amerykanie wtrącać się do wszystkiego. Nikt nie śmiałyby rozkazywać Pilar. Rzuciłaby przekleństwo na takiego śmiałka. - Roześmiał się niepewnie i przeżegnał. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ona jest potężna. Wszyscy ją znają i szanują, ale jeśli nadepniesz jej na odcisk...

Anna przypomniała sobie tę rozmowę, obserwując krzątanicę staruszki. Pod nie zasłanym łóżkiem miauczały koty.

- Seder la. - Pilar pchnęła ją na trzynogie krzeselko. Z zabrudzonej

półki zdjęła butelkę z zielonego szkła, otrzepała ją z pajęczyn i wlała zawartość do brudnej filiżanki. Nie spuszczała oka z Anny, więc ta musiała do końca wypić miksturę. Była smaczniejsza niż zioła, które Pilar zaaplikowała jej podczas pierwszej wizyty.

Kobieta chrząknęła, uklękła i wypędziła spod łóżka stado gdaczących kurcząt. Z posłania obserwował Annę biało-czarny kot.

Pilar wstała z klęczek i podała jej wiązkę suszonych paproci.

- Prendere! - zaskrzeczała rozkazująco. Anna posłusznie wzięła rośliny, domyślając się, że ma z nich zrobić napar.

Podziękowała Pilar swoim ciągle kulejącym włoskim i poszła do domu, pogrążona w myślach o dzieciach. Zaraz pobiegła poszukać Maria, żeby powtórzyć mu słowa Pilar. Uszczęśliwiony, pocałował ją namiętnie.

- To wspaniale - powiedział. W głębi duszy marzył, że do dnia narodzin chłopca i dziewczynki groźba wojny zblednie. Sam w to jednak nie wierzył.



61

Mary Rose była zachwycona Hongkongiem. Pojechała po Justina w szampańskim humorze, on jednak był wściekły, że musi zrezygnować z hotelu Peninsular.

- Ale ja wcale nie chcę mieszkać u jakiejś nudnej staruchy - marudził w drodze z lotniska.
- To nie jest nudna starucha. Pani Gulbenkian to jedna z moich ważniejszych klientek. Jeśli mówi, że zamieszkas u niej, tak właśnie będzie, Justinie.
- Od kiedy to robisz, co ci się każe, Mary Rose? - zapytał drwiąco.
- Odkąd zarabiam kupę pieniędzy. A teraz przestań tyle gadać! Jedziemy na zakupy. Muszę wybrać coś ślicznego dla dzieci Anny.

Przy Nathan Road znaleźli sklep z dziecięcymi ubrankami. Mary Rose uważnie oglądała każdy kaftanik.

- Spójrz na to. Piękne, prawda? - Podsunęła mu pod nos małą haftowaną koszulkę.
- Mary Rose, mężczyźni nudzą dziecięce fatalaszki, nie wiesz o tym?
- Ha! Ale nie nudzi was robienie dzieci, co?
- Nie bądź wulgarna.

Uśmiechnęła się krzywo. - Lubię być wulgarna i lubię być w takim nastroju jak teraz. Nie zabrałam tu Crispina, bo nie miałam ochoty na jego humory, i nie będę znosić twoich fochów. Albo się rozchmurz, albo do widzenia!

Justin widział determinację w jej oczach, a jako że nie chciał zwiedzać Hongkongu samotnie, uśmiechnął się z trudem.

264

- Dobrze już, dobrze. Ale czy nie możemy już kupić tych łachów i iść na lunch?
  - Oczywiście, mój drogi. - Ze sklepu wyszli jednak dopiero pół godziny później. Justin niósł dwie wypchane torby ozdobione podobizną tłustego niemowlaka, którego jedyne odzienie stanowił kapelusz.
  - Przekłęci Chińczycy. Czy ten bachor musi mieć ptaka na wierzchu? - mruczał. Nic dziwnego, że był niezadowolony. Torby niszczyły jego starannie wypracowany wizerunek dandysa-lekkoducha.
- Jego problemy bawiły Mary Rose.
- Ta wygląda nieźle - zatrzymała się przed małą restauracyjką. W środku powitał ich cichy szum klimatyzacji i rozkosznie chłodne powietrze.

- O, jak dobrze. - Justin skwapliwie podał torby kelnerowi, który prowadził ich do stolika. Po obfitym lunchu poczuł dobry humor. - No... - nonszalancko rozparł się na krześle. - To już lepiej. A teraz możemy wracać do domu i iść do łóżka.

- Ty owszem, ale ja nie. Idziemy na zakupy z panią Gulbenkian. Na Cat Street można podobno dostać niezłe antyki. Muszę z nią iść, bo ma okropny gust i więcej pieniędzy niż rozumu.

Justin był wściekły. - Ty... Przyleciałem tu aż z Nowego Jorku, żeby się z tobą kochać, a ty idziesz na zakupy!

Uśmiechnęła się. - Cóż, mój drogi, teraz jestem zwykłą pracującą dziewczyną. - Wstała i figlarnie spojrzała na niego z góry. - Idę poprawić makijaż. Zapłać rachunek, dobrze?

W łazience wykrzywiła się do lustra, zupełnie jak mała złośliwa dziewczynka. Zdecydowanie bardziej odpowiada mi takie życie, uznała. Małżeństwo jest nudne. Była zaskoczona faktem, że właściwie w ogóle nie tęskni za Crispinem. Teraz myślała tylko o tym, że wieczorem będzie się kochać z Justinem, a to wywoływało przyjemny dreszczyk podniecenia. Jeśli chodzi o sztukę miłosny, Crispin nie umywał się do niego. Ciekawe, jak kreatywny okaże się dzisiaj, zastanawiała się. Mała zwłoka nie zaszkodzi, sprawi, że będą jeszcze bardziej spragnieni swoich ciał. Poza tym, naprawdę cieszyła się na zakupy z panią Gulbenkian.

Kiedy jednak myszkowały w kolejnym antykwariacie, a milionerka tęsknym wzrokiem spoglądała na, jakżeby inaczej, mosiężne maskary, nie wytrzymała.

- Pani Gulbenkian - syknęła. - Rzeczy, które przywiozła pani z Anglii, w żaden sposób nie da się połączyć z indyjskim mosiądzem. Nie, moja droga, słoniowa noga to nie najlepszy pomysł. - Poczula na sobie spojrzenie malutkich oczek. No, to koniec mojej kariery dekoratorki, pomyślała zrezygnowana.

- Dobrze, Mary Rose. - Twarz pani Gulbenkian rozjaśniła się uśmiechem. - Chodźmy do domu. Daję tobie i George'owi wolną rękę. Pewnie będzie już na nas czekał.

- Świetnie. - Mary Rose odetchnęła z ulgą. - Może weźmiemy jeszcze tylko te alabastrowe wazy? Są piękne.

George rzeczywiście już czekał. Z jego nieprzeniknionej twarzy nie można było niczego wyczytać.

- Przeglądałem pani angielskie zabytki, droga pani G. - rzucił poufale. - I nie mam zielonego pojęcia, gdzie chce pani to wszystko umieścić.

Pani Gulbenkian szukała wsparcia u Mary Rose. - No... myślałam, że może w tylnej loggii. Chciałam urządzić jeden kąt domu w angielskim stylu.

George nadal nie był przekonany. - Może powinniśmy omówić to na osobności - zaproponował.

Mary Rose od pierwszej chwili zorientowała się, że jest on mistrzem w manipulowaniu starymi milionerkami.

Potencjalny konflikt między nią a Georgem sprawił, że pani Gulbenkian poczuła się nieswojo.

- Może załatwicie tę sprawę między wami? Ja zaś zajmę się twoim przyjacielem Justinem, Mary Rose. Poznałam go rano. To doprawdy uroczy młody człowiek. - Nie czekała na ich reakcję, tylko oddaliła się pewnym, szybkim krokiem.

Mary Rose obrzuciła George'a pytającym spojrzeniem.

- Słuchaj - zaczęła. - Nie musimy przecież skakać sobie do gardła. Całkowicie wystarczy mi loggia. Ty możesz dalej królować w całym domu. Ale zrozum, to dobra klientka i nie chcę jej utracić.

Nie odzywał się przez chwilę. Zmarszczył brwi, jakby intensywnie myślał, a potem uśmiechnął się szeroko. -

Zawsze możemy spróbować - powiedział. - W tym mieście niełatwo się pracuje. Nie brakuje tu bogatych staruszek, ale pani G. bije wszystkie na głowę. To cała ona: przytaszczyć sterty oryginalnych chesterfieldów i angielskich kotar i oczekiwać, że uda mi się upchnąć to w hollywoodzkim wnętrzu, przy którym się upierała. To cud boski, że nie dostałem zawału, pracując nad tym domem. Pani G. ma cholernie dużo energii i cholernie mało do roboty.

Wydawało mi się już, że jestem jej mężem. Co chwila chwyta za słuchawkę, a najlepsze pomysły przychodzą jej do głowy o piątej rano, wyobrażasz to sobie? Mój przyjaciel pracuje w banku i już nie może wytrzymać ciągłych pobudek w środku nocy.

Uśmiechnęła się. - Nie martw się. Odciążę cię przez 1e dwa tygodnie, które tu będę. Odpoczniesz sobie. -

Wyciągnęła rękę. - Bądźmy przyjaciółmi, OK?

- OK. - George miał bardzo miły uśmiech. - Spokojnie twórz swoją mini-Anglię. A może wpadniesz do mnie jutro? Jonathan i ja urządzamy przyjęcie. Jesteśmy weselszym towarzystwem niż znajomi pani Gulbenkian. My bawimy się hucznie.

- Brzmi całkiem niezłe.

- Świetnie. W takim razie do zobaczenia jutro o dziesiątej. Mieszkam

284

na drugim końcu miasta. Pani G. wie, gdzie. Zadzwoń do niej, może też wpadnie.

Justin był co najmniej głęboko nieszczęśliwy.

- Coś mi się zdaje, że nieźle się bawiłaś z tym projektantem wnętrz. Nawet stąd słyszałem wasz śmiech.

Dąsał się cały czas. Owszem, podobał mu się jego pokój, ale był zły, że musiał tak długo czekać, aż pójdzie z Mary Rose do łóżka. Zresztą nawet wtedy się rozczarował. Skończyła przed nim, odwróciła się na drugi bok i zasnęła.

A niech ją, pomyślał. Leżała obok niego, naga i kusząca. To okrutne z jej strony. Potem jednak przypomniał sobie, że zawsze imponowała mu bezpośredniość, z jaką brała od mężczyzn to, czego chciała.

Usiadł na łóżku i zapatrzył się na morze. Fale monotonnie uderzały

o brzeg. Podszedł do okna. Na dworze palmy kołysały się, pieszczone podmuchami wiatru.

Przez chwilę poczuł się samotny i nieszczęśliwy. Dlaczego, w przeciwieństwie do swoich przyjaciół, nie ma żony i dzieci? Westchnął głęboko. Mógł mieć jedno i drugie, ale wiedział, że nie potrafi być wierny jednej kobiecie. O ile lepiej być wolnym, w każdej chwili móc wsiąść w samolot

i lecieć na randki z pięknymi kobietami. Mary Rose mruknęła coś przez sen. Wrócił do łóżka i delikatnie pociągnął ją za ramię.

- Kochanie, ja jeszcze nie skończyłem - przypomniał czule. Wyrwała się zirytowana. - Odpieprz się, Crispin. Jestem zmęczona. Położył się na wznak. Zaczynał wątpić, że słusznie zrobił, przyjeżdżając tutaj.

Przyjechał Ralph. Anna robiła wszystko, co leżało w jej mocy, żeby się odprężył, ale okoliczności nie ułatwiały jej tego zadania.

- Nie mogę jeździć konno, bo jestem w ciąży. Spróbuj namówić Maria na przejażdżkę. Niestety, teraz ma tyle pracy, że nie myśli o koniach. Zresztą, pasą się wysoko w górach i zejda na dół dopiero na zimę.

Ralph wodził za nią zachwyconym wzrokiem. Poruszała się z wdziękiem, jakby nabrzmiały brzuch w ogóle jej nie przeszkadzał. Zazwyczaj był zażenowany widokiem ciężarnych, ale z Anną było inaczej. Uważał, że jest jeszcze piękniejsza niż zwykle. Dlaczego za każdym razem, kiedy z miłością patrzyła na męża, Ralphowi pękało serce.

Kiedyś miał szansę i mógł poprosić ją o rękę. Teraz Anna świata nie widziała poza Mariem. Zresztą Ralph niczego innego się nie spodziewał. Zawsze wiedział, że Anna odda się całkowicie swojemu wybranemu.

- Ten twój Mario to szczęściarz - stwierdził zachrypniętym głosem.

- A ja jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Zagrożenie wojną przyniosło także coś dobrego; gdyby nie to, w ogóle byśmy się nie poznali.

Nie wypowiedziane nigdy słowa z przeszłości zawisły nagle w powietrzu.

Anna uśmiechnęła się lekko. - Cóż... - spojrzała na Ralpha, który nadal miał na sobie mundur. - O dziewiątej cała rodzina spotka się na kolacji. Może chcesz się przebrać?

Żałował, że zmieniła temat, chociaż jałowe rozważania i tak nie zmieniłyby rzeczywistości.

285

- O, tak. Podróż dała mi się we znaki. Niektóre drogi są nieprzejezdne, tylu na nich uchodźców. A ty, Anno, nie obawiasz się wojny?

- Nie, szczerze mówiąc, nie. To pewnie dlatego, że Asciano jest zupełnie odcięte od świata. Nikt tu nie myśli o wojnie. Teraz mamy najwięcej pracy. Mężczyźni zwożą zboże i owoce, a kobiety robią przetwory. Kiedy to się skończy, dojrzeją oliwki. Potem, w okolicach świąt Bożego Narodzenia odbędzie się świniobicie. Wtedy nauczę się, jak przygotować salami i szynki. Nie mogę się już doczekać, kiedy zrobię moje pierwsze prosciutto. Wówczas dopiero poczuję się prawdziwą Włoszką.

Ralph patrzył, jak znika na schodach; nie był to odpowiedni moment, by pytać, czy tęskni za Nowym Jorkiem. Życie na włoskiej wsi nie było łatwe, a Anna pochodziła z bogatej rodziny. A jednak, stwierdził zdejmując mundur, ten tryb życia wyraźnie jej służy. Postanowił jak najszybciej porozmawiać z Mariem na temat wojny.

Siedząc w wannie, z przyjemnością wspominał beztroskie chwile w Devon, kiedy on i Anna całymi dniami galopowali po obsypanych kwiatami łąkach.

Obudziła go kakofonia dźwięków. Wstał szybko i zszedł na śniadanie. Anna, śliczna i świeża, czekała już.

Uśmiechnął się na jej widok.

- Wiem już, co miałaś na myśli, kiedy pisałaś, że nie ma bardziej hałaśliwego drobiu niż toskańskie kury. Obudziły mnie dzisiaj głośnym gdakaniem.

Mario zjawił się kilka minut później. Miał już za sobą trzy godziny pracy w polu. - Ralphie, masz ochotę na przejażdżkę?

- Nie, Mario, dziękuję, ale nie. Po pierwsze, jesteś zbyt zajęty, żeby zawracać sobie mną głowę, po drugie, wolę poplotkować z Anną. Ostatnio tak rzadko bywam we Włoszech, chociaż kocham ten kraj z całego serca. - Nie dodał już, że jeśli wojna wybuchnie, długo go nie zobaczy. Większość czasu będzie zapewne spędzał w sztabie, pracując u boku dowódcy, Winstona Churchilla. Nie podobała mu się ta perspektywa: Ralph chciał być tam, gdzie coś się dzieje.

Zanim się obejrżeli, weekend dobiegł końca. Zwłaszcza Anna żałowała, że Ralph musi wracać. Zapomniała już, jakim dobrym jest towarzyszem. Razem karmili kurczaki i razem rozwieszali pranie.

Lisa i Tommaso polubili go od razu.

Annie było przykro, że Ralph wyjeżdża, także dlatego, że bardzo jej odpowiadała obecność człowieka, który mówi jej ojczystym językiem. Dwa dni jej nie wystarczały.

Przy pożegnaniu uściskała go serdecznie. - Jestem tylko głupią ciężarną wieśniaczką - szepnęła. - Naprawdę, nic mi nie jest. Po prostu bardzo tęsknię za rodzicami.

Przed wyjazdem Ralph wziął Maria na stronę.

- Jeśli dowiem się czegoś konkretnego, zadzwonię. Prawdopodobnie wszystkie rozmowy będą kontrolowane. Jeśli powiem „balon poszedł w górę”, będzie to znaczyło, że musisz natychmiast wysłać kobiety do Ameryki. Mario wpatrywał się w niego uważnie. - Więc sądzisz, że to się zacznie?
- Ja wiem, że to się zacznie, Mario. I nie chcę, żeby Annie coś się stało. Jest dla mnie bardzo ważna.
- Dla nas wszystkich także. - Piwne oczy Maria były pełne troski. -Dzięki, Ralph. Mam nadzieję, że nigdy nie zadzwonisz z tą wiadomością.

63

Dzieci przyszły na świat bez problemów. Anna nie posiadała się ze szczęścia.

Podczas wizyty u Pilar zapytała, kiedy nadejdzie rozwiązanie. Staruszka odparła, że podczas pełni księżyca.

Wszystko było gotowe, kiedy oczekiwany moment wreszcie nadszedł. Lisa, akuszerka, stanowczo wyprosiła Maria z sypialni.

- Żadnych nowoczesnych wymysłów - stwierdziła. Niezdecydowany, stał w progu i patrzył na żonę.
- Nic mi nie będzie, Mario. Zawołamy cię, kiedy już będzie po wszystkim. Lisa ma rację. Przecież będzie przy mnie twoja matka. Idźcie z ojcem na wino. Poradzę sobie.

Kiedy wyszedł, Annę ogarnęła panika, ale zaraz się uspokoiła. Obok łóżka stał dzbanek herbaty malinowej, powstrzymującej krwawienie. Lisa właśnie przywiązywała prześcieradło do poręczy łoża.

- Kiedy powiem, masz z całych sił ciągnąć za ten koniec - poleciła. Anna skinęła głową. Ćwiczyły to od wielu tygodni.

Elisabetta wbiegła do pokoju z naręczem czystych prześcieradeł i poduszką wypchaną ziołami.

- Zrobiłam ją specjalnie dla ciebie. Zapach lawendy uspokaja i odpręża. Podczas ciąży Anna nieraz zastanawiała się, czy nie bezpieczniej byłoby rodzić w Ameryce. Tam jednak, choćby leżała w najlepszej klinice, byłaby wśród obcych. Tutaj otaczała ją rodzina i przyjaciele. Zresztą Pilar i Lisa były doświadczonymi akuszerkami. Po dwunastu godzinach nie miała już siły. Mario zaglądał do sypialni nieskończenie wiele razy.

287

Nagle poczuła, że skurcze są coraz częstsze i intensywniejsze. Wpadła w panikę.

- Mario! - krzyknęła. - Mario! - Słyszała, jak biegnie po schodach.

- Co się stało, kochanie? - Wpadł do pokoju, nie zwracając uwagi na Lisę.

- Zostanę z tobą, Anno - obiecał. - Liso, nie wyjdę stąd. - Był zdecydowany.

- Jak pan chce. Ale dopiero teraz zabierzemy się do pracy. Położyła dłonie na brzuchu Anny.

- Oddychaj głęboko między skurczami i przyj, przyj z całej siły. Wkrótce potem Elisabetta i Lisa trzymały w ramionach dwoje dzieci,

a Anna, zmęczona ale szczęśliwa, odpoczywała w objęciach Maria.

- Chłopiec i dziewczynka, tak jak mówiła Pilar - szepnęła radośnie. - Jak ich nazwiemy, Mario?

- Sama wybierz, kochanie. Braliśmy pod uwagę tyle imion, że zupełnie się pogubiłem.

- Chyba Giulio i Nicoletta są najpiękniejsze.

- Poczekaj, aż dokładnie obejrzysz dzieci - wtrąciła się Elisabetta. Pocałowała ją w spocone czoło. - Mario, idź do ojca i otwórzcie szampana. Posprzątam tutaj, a potem przyjdziecie zobaczyć dzieci. Francesco nie mógł już doczekać się wnuków. - Maluchy krzyczały głośno. - Wyraźnie odziedziczyły głos po dziadku.

Anna, umyta i uczesana, promieniała. - Dwa cudowne, śliczne maleństwa - szepnęła i ucałowała dwie główki. - Nasze własne dzieci. - Z dołu dobiegł ją głośny wybuch śmiechu i huk otwieranego szampana. Wtedy dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona.

Upiła kilka łyków szampana, ale marzyła o kubku gorącej herbaty. Nie chciała jednak psuć radości mężczyznom, którzy, podnieceni jak dzieci, wnieśli do pokoju tacę zastawioną kieliszkami i półmisek świeżych ciastek.

- Wiem, co czujesz. - Elisabetta pochyliła się nad synową. - Ja marzyłam o filiżance kawy.

- Czy mogłabyś powiedzieć Pilar, że wszystko poszło dobrze? - Anna złapała Lisę za rękę. - **1** że miała rację, że to będzie chłopiec i dziewczynka. Powiedz też, że przyjdę do niej, kiedy tylko będę mogła wstać. I podziękuj jej ode mnie, dobrze?

Lisa biegła przez las. Było już po północy, ale Pilar czuwała. Czekwała na wiadomości.

- Wszystko w porządku - wydyszała Lisa. Staruszka uśmiechnęła się szeroko.

- To dobrze, to dobrze.

Lisa dostrzegła miskę wody stojącą na stole. Pilar podchwyciła to spojrzenie.

- Pytałam wodę o przyszłość, Liso. Widziałam wojnę. Wybuchnie za kilka miesięcy.



Lisa nie chciała o tym myśleć, ale posłusznie zajrzała do miski. Choć nic nie zobaczyła, czuła się niepewnie: Pilar zawsze miała rację.

- Może nie wybuchnie - szepnęła z nadzieją.

- Wybuchnie, wybuchnie. I świat już nigdy nie będzie taki jak przedtem.

Lisa przeżegnała się i pobiegła do domu. Od razu zajrzała do pokoju Anny. Spała, podobnie jak dzieci. Z bólem w sercu patrzyła na jej złote włosy i jedwabiste rzęsy.

- Boże, miej w swojej opiece ją i maleństwa - szepnęła.

Dzieci ochrzczono w grudniu, tuż przed Gwiazdką. Rodzice Anny nie przyjechali. Daniel niedawno przeszedł łagodny wylew i lekarze zabronili mu podróżować.

- Ojciec czuje się dobrze, Anno, ale nierozsądnie byłoby ryzykować, prawda? - Mary była smutna i zdenerwowana, kiedy rozmawiała z córką przez telefon. - Serce nam się kraje na myśl, że nie będziemy na chrzcinach. Kochanie, czy wszystko w porządku? Z gazet wynika, że wojna wybuchnie lada dzień.

- Nic nam nie będzie, mamusiu. Mary Rose przyjeżdża w ten weekend. Crispin też, ale ona nie jest tego zadowolona. Martwię się o nich. Mary Rose chyba nie jest szczęśliwa. Bardzo się cieszę, że to ona będzie matką chrzestną. Ojcem miał być Ralph, ale nie może przyjechać. Przebywa służbowo na Dalekim Wschodzie, więc Claude go zastąpi. Ralph pisał, że się żeni. To głupie, ale przeżyłam szok. Zawsze mi się wydawało, że on jest mój.

Roześmiała się. Wiedziała, że plecie bzdury. - Nie mogę się już doczekać spotkania z Mary Rose. Mario otworzy najlepsze wino i poda najsmaczniejsze prosciutto. W tym roku mieliśmy bardzo dobre zbiory. Wkrótce zaczniesz się świniobicie, a potem nadejdzie Gwiazdka. Kiedy będziecie mogli przyjechać?

- Spróbujemy zaraz po Nowym Roku. Anno, bardzo za tobą tęsknimy. Dzięki za zdjęcia naszych wnucząt. To śliczne dzieci, ale zupełnie do siebie niepodobne. Giulio ma ciemną karnację Maria, a Nicoletta wygląda zupełnie jak ty w jej wieku. Kochanie, tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa. Tylko żałuję, iż mieszkasz tak daleko.

Odkładając słuchawkę, miała łzy w oczach. Zazwyczaj starała się po prostu nie myśleć o rodzicach i w ten sposób spychała tęsknotę na dno świadomości. W ciężkich chwilach jednak pragnęła ich bliskości.

Nie przyjadą, trudno. Za to jutro zjawi się Regina D'Albro z nowym kochankiem. Tony wyraźnie należał już do przeszłości. Jego następca miał na imię Orlando i był armatorem.

- Zapewne nie różni się niczym od innych kochanków Reginy. Umieszczę ich w najdalszej sypialni, tak żeby nikomu nie przeszkadzały ich krzyki - oznajmiła Mariowi.

- Szkoda, że nawet ciotki nie mogą przyjechać. - Myślał o jej rozmowie z matką. - Może, kiedy dzieci trochę podrosną, całą rodziną wybierzemy się do Nowego Jorku?

- Och... bardzo bym chciała. Chociaż nie wiem, czy potrafiłabym znaleźć się w wielkim mieście. Czuję się straszną wiejską prostaczką.

Mario roześmiał się głośno. - Kochanie, dla mnie zawsze będziesz najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie jesteś też wiejską prostaczką, ale wiem, o co ci chodzi. Jestem jednak szczęśliwy tutaj na wsi. Lubię pracę w polu, a teraz, kiedy mam ciebie i dzieci, wiem, dla kogo pracuję. No, muszę już iść. Tommaso i Nico czekają na mnie.

Wyszedł, odprowadzany jej spojrzeniem. Fizyczna praca sprawiła, że uwierzył w siebie. Zmęźniał i wyprzystojniał. Była zadowolona, że minęły już ostatnie, uciążliwe miesiące ciąży. Teraz znów mogli się kochać.

Spojrzała w lustro. No tak, dwoje dzieci, z których każde ważyło prawie cztery kilogramy, zostawiło na niej swoje ślady. Miała brzuch sflaczały i obwisły jak pusty termofor. Postanowiła jeździć więcej konno. Mario prawdopodobnie zechce do niej dołączyć. Ostatnio mieli dla siebie bardzo mało czasu, więc długie przejażdżki pozwolą im odnaleźć minione, beztrudne chwile zabawy.

## 64

Obserwując tłum gości, którzy przyjechali na chrzest jej dzieci, Anna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Regina rzeczywiście przywiozła nowego kochanka. Zgodnie z przypuszczeniami Anny, wyglądał na strasznego łajdaka. Zwracał uwagę surową, prymitywną urodą. Miał czarne, błyszczące oczy pirata i bujne wąsy. Co chwila obłapiał Reginę, na co reagowała egzaltowanym piskiem. Wtedy wszyscy patrzyli na nich i uśmiechali się wyrozumiale.

Tylko Elisabetta zachowywała powagę. Była jak zwykle uprzejma i miła, ale Anna obawiała się, że Regina wyczuje w niej pewien dystans.

- Kocham mojego nowego chłopca - oznajmiała Regina tyleż często, co głośno.

Trzeciej nocy od ich przyjazdu Anna usłyszała jej krzyk. Uderzył ją, pomyślała. Następnego ranka, przy śniadaniu, uważnie przyglądała się przyjaciółce, szukając na jej twarzy siniaków. Regina była wesoła jak ptaszek.

- Pewnie myślisz, że mój Orlando mnie uderzył, co? Przyznaj się, Anno.

- Cóż, nie będę ukrywać, że przyszło mi to do głowy.

- Mój Orlando jest na to za sprytny. On się tylko śmieje i zaraz idzie spać. - Wykrzywiła twarz w zabawnym grymasie. - To dobry człowiek i chcę wyjść za niego za mąż. Ech, w życiu zawsze się coś napłacze, prawda? Podczas ceremonii chrztu nie odstępowała kochanka ani na krok. Tego dnia włożyła obcisłą sukienkę z czerwonej wełny. Tkanina szczelnie oblepiała

291

jej pośladki i groziła pęknięciem na bujnych piersiach. Wzruszenie ścisnęło jej gardło i zasnuło oczy mgiełką. Anna zazdrościła jej umiejętności zatracania się w terażniejszości. Był to dar nieobcy wielu Włochom, dzięki czemu potrafili cieszyć się wspólnie każdym drobiazgiem.

Niedaleko Reginy stała Mary Rose, a w jej ramionach spoczywała mała Nicoletta. Claude zaś niezdarnie trzymał Giulia.

Anna z zadowoleniem patrzyła na Foscę, która siedziała obok Claude<sup>^</sup>. Jak dotąd, wszystko szło po jej myśli. Tych dwoje spędzało razem coraz więcej czasu. Claude co wieczór grywał dla Foski na gitarze.

Teraz dziewczyna pomogła mu wygodniej usadowić Giulia, który uznawszy, że zajmuje już odpowiednią pozycję, spokojnie zwymiotował na marynarkę Claude'a.

Anna za wszelką cenę starała się powstrzymać śmiech. Nadal karmiła piersią i liczyła, że uda jej się dotrzeć do końca ceremonii bez poplamienia ubrania.

Ksiądz polał dwie małe główki święconą wodą i umieścił na językach dzieci po szczypcie soli. Nicoletta była zachwycona, ale Giulio głośnym płaczem dał wyraz swej dezaprobacie. Maluchy ubrano w sukieneczki do chrztu należące przedtem do Maria i Foski.

Anna kochała je mocno, aż do bólu. Uścisnęła dłoń męża.

- One są prześliczne, najdroższy.

Spojrzał na nią z miłością. - Podobnie jak ty.

Wszyscy goście zgromadzili się w salonie. Na kominku wesoło buzował ogień, gdyż wieczory były już zimne, a chłód tokańskich nocy przenikał aż do kości.

Co chwila dolewano kawy i vinsanto. Mario przygotował tę malinową nalewkę specjalnie dla Mary Rose. Ponownie napełnił jej szklanekę, a Anna podała ją przyjaciółce z uśmiechem. Jak na razie, nie znalazły nawet chwili, żeby spokojnie porozmawiać. W ciągu ostatnich trzech dni miały zbyt wiele do zrobienia w związku ze chrzcinami. Teraz, kiedy uroczystość już minęła, Anna nie mogła doczekać się rozmowy z przyjaciółką.

Crispin siedział w drugim końcu pokoju. Jego sąsiadką była Regina, która przewracała oczami i klepała go po udzie.

- Crispin bawi się chyba całkiem nieźle - parsknęła Mary Rose. - Ale Regina jest dla niego zdecydowanie za kobieca. Choć wychudzona, była urocza jak zwykle. - Tak się cieszę, że cię widzę, Anno. Słuchaj, mam pomysł. Urządźmy sobie jutro wycieczkę do Sieny!

- Dobrze. Zostawię Lisie kilka butelek z mlekiem i wyruszymy z samego rana. Zjemy lunch na Campo. O tej porze roku jest tam przepięknie, a teraz, z powodu sytuacji politycznej, nie będzie turystów, dzięki Bogu.

- Anno, turystów nie ma we Włoszech nie tylko przez sytuację polityczną. Wszystko wskazuje na to, że lada dzień wybuchnie wojna. Nasze konta są zablokowane. Miałam problemy ze zdobyciem wystarczającej ilości gotówki na tę wyprawę. Czy nie uważasz, że powinnaś na jakiś

293

czas przyjechać z dziećmi do Anglii? Albo, jeszcze lepiej, do rodziców, do Stanów? Kiedy wojna się zacznie, nie będziesz mogła stąd się wydostać.

- Och, Mary Rose, nie psuj nam zabawy. Proszę, napij się nocino. Sama ją zrobiłam z orzechów włoskich i wódki. Wiesz, tę nalewkę można nastawiać tylko ósmego czerwca. Wtedy orzechy są najlepsze. Proszę -podała jej szklanekę.

- Spróbuj. , Mary Rose wiedziała, kiedy należy dać spokój. Wyglądało na to, że jej przyjaciółka upodobniła się także pod tym względem do Włochów. Zamiast zmierzyć się z brutalną rzeczywistością, woleli chować głowy w piasek, udawać, że wszystko jest w porządku, i wierzyć w cuda.

Kiedy stała na werandzie starego pięknego domu, zrozumiała, dlaczego tak robią: po całym podwórku biegały kaczki i gęsi i co chwila zanurzały łebki w piasku, szukając smakowitych robaków.

Nadchodził wieczór. Słońce powoli znikało za Amiatą. Cienie robiły się coraz dłuższe. Za plecami Mary Rose pogodni ludzie żartowali w przytulnym salonie. Nagle opanował ją nieznany od dawna spokój i zadowolenie. Crispin także się odprężył, chociaż obserwował ją stale, nawet podczas flirtu z Reginą.

Zeszła po niskich, wydeptanych stopniach i głęboko wciągnęła powietrze przesycone zapachem majeranku i tymianku. Wokoło ogród mienił się coraz to inną barwą w zachodzącym słońcu; geranium było niemal fioletowe w pierwszym zmierzchu. Kaczki i gęsi powoli maszerowały do kurnika, skąd dochodziło ospałe gdakanie kur.

Wydawało się, że jakaś tajemnicza siła kazała Mary Rose wstąpić na wąską, ocienioną ścieżkę. Ruszyła, jakby wbrew swej woli, szpalerem cyprysów. Podskoczyła, kiedy dostrzegła idącą z przeciwnej strony postać. Zgarbiona starucha zmierzała do domu. Mówiła coś do Mary Rose, która nie rozumiała ani słowa. Bezradnie potrząsnęła głową. Nie wiedziała, jak wytłumaczyć staruszce, że nie zna włoskiego. Nic jednak nie mogło powstrzymać starej kobiety. Zalewała ją potokiem bełkotliwych słów, a potem wyprostowała się na chwilę i spojrzała na nią uważnie.

W wielkich, kocich oczach staruchy młoda kobieta zobaczyła nagle straszną scenę; widziała, jak Crispin ją dusi. Przez chwilę poczuła na szyi jego palce. Co za bzdury, przywołała się zaraz do porządku. Crispin nie robi mi krzywdy. Przecież mnie kocha.

Starucha przecząco kręciła głową i groziła palcem.

Wypiłam za dużo wina i niepotrzebnie przejmuję się głupstwami, powtarzała w myślach Mary Rose. Zniecierpliwiona odepchnęła staruchę na bok. Kobieta straciła równowagę i upadła. Mary Rose miała już dość samotnych spacerów. Odwróciła się na pięcie i biegiem wróciła do domu.

- Anno, kim może być ohydna śmierdząca starucha, którą spotkałam na ścieżce?

- To nie jest żadna ohydna, śmierdząca starucha, Mary Rose. To Pilar, wiedźma, bardzo dobra kobieta.

277

- No, dla mnie wcale nie była dobra! - W kilku słowach przedstawiła całe zajście. - To naprawdę głupie - zakończyła. Spojrzała na Crispina, który opróżnił kolejną butelkę wina. - Nie odważyłby się mnie skrzywdzić. Beze mnie nie ma nic, a jest już zbyt stary, żeby znów bawić się w żigolaka.

Anna obserwowała ich z zadowoleniem. Wydawali się tacy szczęśliwi ze sobą. Dużo później, przed zaśnięciem w ramionach Maria, westchnęła głęboko.

- Chyba niepotrzebnie martwiłam się o Mary Rose i Crispina. Układa im się lepiej, niż przypuszczałam.

Mary Rose, która nie wytrzeźwiała jeszcze zupełnie po wypiciu dużej ilości nocino i vinsanto, przytuliła się do pleców Crispina.

- Kochany, prawda, że nie zrobiłbyś mi krzywdy? - spytała, wsuwając dłoń między jego uda.

- Pewnie, że nie. - Odwrócił się twarzą do niej. - Za bardzo lubię cię pieprzyć. - Podobało mu się jej chude ciało. Miejmy nadzieję, że nie przytyje, pomyślał i zaczął mozolną wspinaczkę po orgazm.

## 65

Mary Rose odnalazła w Reginie pokrewną duszę. Całymi dniami plotkowały i chichotały na loggii.

Orlando obserwował je z pobłażliwym uśmiechem. - Jedna Włoszka, jedna Amerykanka. Obie piękne i obie dużo kłopotów.

Anna parsknęła śmiechem. - Tak, ale kocham je obydwie. Są takie zabawne. - Była zadowolona, że Orlando zna angielski, choć rozumiał dużo więcej niż umiał powiedzieć.

Anna nagle miała mnóstwo zajęć. Zanim nakarmiła, wykapała i przebrała dwoje dzieci, trzeba było wszystko zaczynać od początku. Mario, który teraz doglądał orki, wracał do domu skrajnie wyczerpany. Wolałaby, żeby tyle nie pracował, ale zdawała sobie sprawę, że żadne zajęcie nie da mu tyle satysfakcji. Nie było już mowy o fabryce obuwia, dawne plany poszły w zapomnienie.

Nico miał sprowadzić owce i konie z górskich pastwisk. A tymczasem robotnicy sprząтали owczarnię.

Nico, owczarz, pochodził z Sycylii. W Asciano nikt go nie lubił, bo pochodził z daleka. Był to duży, silny mężczyzna, którego uśmiech od razu budził zaufanie Anny. Lubiła obserwować jego mocne, zręczne dłonie.

Francesco nieraz opowiadał jej, jak to Nico sypiał w owczarni nawet podczas największych mrozów. Jeśli któreś zwierzę chorowało, pielęgnował je troskliwie i tulił w ramionach.

Kiedy przez okno widziała, jak pędzi swoje stado, uderzyło ją, że takie same sceny rozgrywają się na tej ziemi od dwóch tysięcy lat. Silny, wysoki pasterz poganów owieczki, które wesoło brzęczą dzwoneczkami.

296



Czas jest względny, pomyślała kiedyś. Mimo że była ciągle zajęta i tak miała go dużo dla siebie. Wtedy siadała w bujanym fotelu teściowej i obserwowała góry. Miała szczęście: kiedy karmiła jedno dziecko, Lisa bawiła się z drugim. Bóg jeden wie, jak sobie radzą matki bliźniąt w Ameryce. We Włoszech ze wszystkich stron wyciągały się ramiona skore do pomocy.

Ilekcję pchała podwójny wózek z niemowlętami przez rynek Asciano, drżała. Na środku, u zbiegu dróg do Rapolano i Sinalunga, królował nowo wybudowany posterunek policji. Nawet nieświadoma wielu spraw Anna wiedziała, że w tym budynku umierają w mękach niewinni ludzie. Zawsze mijała go szybko i wracała do sielankowego życia na farmie. I tam jednak docierała okrutna rzeczywistość.

W eterze wykrzykiwał swoje groźby Hitler. Piskliwy, proszący głos z Anglii starał się ułagodzić wicherzyciela. We Włoszech Mussolini obiecywał, że uratuje świat i ofiarował się jechać do Hitlera na rozmowy. Część jego rodaków ufała mu, ale Francesco zwykle kreślił znaczące kółko na czole i wyłączał radio.

Anna nie miała pojęcia, że Mario i jej teść regularnie uczęszczają na spotkania grupy oporu. Mieli zdecydować, co zrobić z zapalonymi faszystami mieszkającymi w domku niedaleko farmy. Niektórzy uważali, że jeśli nie posłuchają ostrzeżenia i nie wyniosą się, trzeba będzie sięgnąć po radykalniejsze środki. Zdaniem Francesca było to bardzo niebezpieczne posunięcie, ale i on, i Mario przyznali, że lepiej zaryzykować, niż mieć gniazdo os pod bokiem.

- Nie mówcie nic Annie, bo jej mleko skwaśnieje - ostrzegła przejęta Elisabetta. Mario, który z największą niechęcią ukrywał coś przed żoną, zgodził się po długich namowach.

Anna kołysała dzieci do snu, a potem dołączyła do Mary Rose.

Crispin spędzał wieczory w małej knajpce w Asciano. Nieznajomość włoskiego nie przeszkadzała mu w uprawianiu hazardu. Szybko przyswoił sobie reguły tamtejszej gry i z radością wygrywał i przegrywał drobne sumy pieniędzy.

- Bez problemów dostosowałeś się do Włoch - zażartowała kiedyś Anna.

Odpowiedział śmiechem.

- Jestem jak kameleon, wtopię się w każde otoczenie.

Nudził się już, wręcz umierał z nudów. Włoszki nie chciały flirtować z żonatymi mężczyznami, a nie mógł przecież zdjąć obrączki w tak małej dziurze. Tak więc, jak żmija wygrzewająca się w słońcu, przyciął się i czekał na powrót do Anglii. Męczyło go także to, że ciągle musi być uprzejmy. Tutaj, w domu Maria, nie mógł kłąć, trzaskać drzwiami ani kopać w ściany.

Mary Rose natomiast piękniała z każdym dniem. W jej oczach pojawił się dawny blask, a gardłowy śmiech rozbrzmiewał w całym domu. Nabrała

rumieńców i wigoru. Anna patrzyła na nią z przyjemnością, ale nie z takim zachwytem, z jakim obserwowała Foscę i Claude'a.

Pewnego wieczora widziała, jak się całują w ogrodzie. Nie zauważyli jej. Claude oparł smukłe, długie palce muzyka na szyi Foski i przyciągnął ją do siebie.

Anna uciekła. Ależ ze mnie sentymentalny głuptas, skarciła się z westchnieniem. Nie mogła jednak nic poradzić na to, że przez moment zazdrościła tamtym magicznych, niewinnych chwil. Oczywiście, magia nie zniknęła w jej stosunkach z Mariem, ale oboje byli zbyt zajęci, by móc się nią w pełni rozkoszować.

- Claude i Fosca są zakochani - oznajmiła tego wieczora. Mario jak zwykle zajrzał do dziecinnego pokoju, żeby pobyć z dziećmi.

- Bawisz się w swatkę? - zapytał pobłaźliwie.

- Widziałam, jak całowali się w ogrodzie. To chyba coś poważnego. Przecież ostatnio są nierozłączni.

- Cieszy mnie to ze względu na Foscę - odparł Mario. - Bardzo lubiła Stevena, a on przestał do niej pisać.

- Claude nadal studiuje, ale już teraz świetnie gra. Po powrocie do Szwajcarii na pewno przyjmą go do jakiejś dobrej orkiestry.- Jeśli w ogóle wróci do Szwajcarii. Będzie mi go brakowało. -Zmrużył oczy. Nie chciał, żeby dostrzegła w nich troskę. Pocałował jasny puszek na główce Nicoletty i podał ją Annie.

- Nadchodzą ciężkie czasy, ale damy sobie radę. Kochanie, muszę iść do Asciano. Idź, porozmawiaj z Mary Rose. To wasz ostatni wspólny wieczór. Zakładam, że Crispin już ogrywa wieśniaków w Asciano.

Mary Rose siedziała przy kominku. Wszystkie okiennice zamknięto już, więc pokój wypełniały dziwaczne cienie.

Anna co chwila zerknęła w ciemne okna, przyzwyczajona do majestatycznej Amiaty górującej nad crete.

Nie wiedziała, że Mario i Francesco poszli na tajne spotkanie przeciwników faszyzmu. Nie wiedziała też, że aresztowano już dwie osoby z tego samego oddziału, do którego należeli jej mąż i teść, i że je torturowano. Zginęły w męczarniach, ale nie wydały nikogo. Pograżona w głębokiej nieświadomości, planowała już Boże Narodzenie.

- Mary Rose, dam ci trochę suszonych grzybów porcini. Trzeba je namoczyć we wrzątku. Kiedy napuchną, dodasz i grzyby, i wywar, do gotowanej potrawy. Mary Rose się skrzywiła. - Przestałam bawić się w gotowanie. Po powrocie do domu zatrudnię kucharkę i sprzątaczkę. Crispin to straszny bałaganiarz, na dodatek uczulony na masę potraw. To się robi nie do zniesienia.- A ja myślałam, że jesteście bardzo szczęśliwi ze sobą.

- Tak ci się tylko wydaje. Poza tym, pod waszym dachem nie odważy się na mnie wrzeszczeć.

Anna spojrzała na nią uważnie. - Skoro jest już tak źle, czemu go nie zostawisz?

- Nie wiem. Jeszcze nie brałam tego pod uwagę, w każdym razie, nie na poważnie. - Mary Rose zamilkła na chwilę.

- Znam tylko dwa szczęśliwe małżeństwa: twoje i twoich rodziców. Chociaż, może tak naprawdę, jestem zbyt leniwa, żeby się go pozbyć. Zresztą, mam dwóch kochanków. Jeden to fantastyczny człowiek, chociaż impotent, a drugi to Justin Villias. Pamiętasz go?

- Oczywiście. Mary Rose, czy ty nie możesz po prostu ustatkować się i być szczęśliwa?

- Kochanie, zgodziłyśmy się z Regina, że na twoim miejscu umarłybyśmy z nudów. Chociaż wydaje się, że Regina znalazła sobie wreszcie odpowiedniego mężczyznę.

- Kto mnie obgaduje? - Regina wsadziła głowę do pokoju. - O, nie ma chłopów. To dobrze. - Z gracją opadła na sofę.

- Porozmawiajmy o mężczyznach. Anno, opowiedz, jak twój Mario sprawuje się w łóżku?

- Regino, nie odpowiadam na takie pytania i doskonale o tym wiesz.

- Wiem, ale lubię patrzeć, jak się rumienisz.

Anna starała się zmienić temat. - Twój angielski bardzo się poprawił, Regino.

- Nic dziwnego! - zachichotała Mary Rose. - Od tygodnia porównujemy nasze doświadczenia z mężczyznami.

Regina twierdzi, że Orlando może dać jej tuzin orgazmów jednej nocy.

- Doprawdy, Mary Rose, robisz się nudna, kiedy rozprawiasz wyłącznie o seksie.

- A o czymże tu jeszcze można rozprawiać? - zaśmiała się. - No, chyba że masz ochotę na rozmowę o tych ślicznych młodych chłopcach z wioski...

- Mary Rose! - głos Anny był lodowaty. - Nie śmieję tknąć któregokolwiek z nich. Ich matki, ciotki i babki zabiłyby nas.

- Nie martw się, mam swoje zasady. Nie idę do łóżka z nikim, kogo matki, ciotki lub babki znam. Kiedyś przespałam się z szesnastolatkiem. Boże, ale się potem najadłam strachu. Myślałam, że Crispin zatłucze mnie na śmierć.

- Nie wiedziałam, że on cię bije! - Anna była przerażona. - Myślałam, że tylko obrzucacie się obelgami. Ty zawsze lubiałaś robić awantury. Ale czy on naprawdę cię bije?

- Pewnie. I nie on jeden podnosi rękę na żonę.

- W takim razie musisz od niego odejść, Mary Rose. Nie masz innego wyjścia.

Nagle zorientowała się, że obie kobiety patrzą na nią z pobłażaniem.

- Anno - to Mary Rose przerwała ciszę łagodnym głosem. - Anno, czas się obudzić i przejrzeć na oczy. Ten świat to okrutne miejsce. Ludzie musieli się do niego dostosować.

300

Regina objęła ją, chcąc pocieszyć. - Kochanie, masz szczęście bo dostał ci się dobry mąż i dwoje wspaniałych dzieci, ale życie nie zawsze jest takie piękne. Teraz mam Orlanda i mam nadzieję, że będziemy razem szczęśliwi, ale kiedy poznasz kogoś, nigdy nie wiesz, jak skończy się wasz związek. Mężczyzna będzie ci mówił to, co chcesz usłyszeć, a kiedy przejrysz na oczy, będzie już za późno, o wiele za późno. - Podwinęła rękaw sukienki i pokazała Annie długą, srebrzystą bliznę. - To pamiątka po Giuseppem. - Skrzywiła się. - Odpłaciłam mu pięknym za nadobne. Uciekał jak skarcony pies.

Anna się wzdrygnęła. - Nie chcę tak żyć. Nie chcę widzieć bólu i krwi. Wolę moje spokojne życie. Ciszę nocy przerwał przedśmiertny krzyk królika, który przegrywał walkę o życie z głodnym lisem. Nawet w moim rajach czai się przemoc, stwierdziła Anna ze smutkiem.

Annie bardzo brakowało Mary Rose i Reginy. Żałowała, że musiały tak szybko wyjechać. Bez nich dom wydawał się pusty i cichy. Orlando uściskał ją na pożegnanie i skrzywił się zabawnie.

- Zabieram Reginę do domu. Spróbuję z niej zrobić dobrą, porządną kobietę - oświadczył z dumą.

- Dobrą, może tak - rzuciła Regina - ale na pewno nie przyzwoitą! - Odciągnęła Annę na bok.

- Wiesz, wczoraj wieczorem poprosił mnie o rękę - wyznała cichym, łagodnym głosem. - To wasze szczęście przekonało go, że powinniśmy spróbować. - Wzruszyła ramionami. - Dobrze, czemu nie.

- Bardzo się cieszę. - Anna ucałowała ją w oba policzki. Przyjaciółka była jej teraz jeszcze bliższa niż przedtem. - Kiedy dzieci trochę podrosną, przyjedziemy do was do miasta.

Potem machała ręką, aż samochód wiozący przyjaciół znikł za zakrętem.

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Już tylko cyprysy zieleniły się w ponurym krajobrazie, chociaż słońce nadal świeciło mocno, jakby chciało ogrzać jaszczurki, które już zapadały w sen zimowy.

- Brakuje mi jaszczurek - stwierdziła pewnego dnia. - Tak zabawnie wyglądały, kiedy czaiły się na ścianach i co chwila wysuwały długie języki.

- Tak, kochanie. Teraz ich już nie zobaczymy. Jaszczurki oznaczają lato.

Mario tulił ją do siebie, ale myślami był zupełnie gdzie indziej. Co zrobią nie chciani faszyci, gdy dostaną ten anonimowy list? Wyprowadzą

301

się od razu, czy może zawiadomią carabinieri? Jeśli zdecydują się zostać, ilu mężczyzn zginie? I czy on sam będzie musiał kogoś zabić? Odpowiedź na ostatnie pytanie była, niestety, twierdząca. Francesco był za stary, żeby skradać się w ciemnościach, a on, Mario był jego jedynym synem. Będzie musiał zabić ze względu na honor rodziny i bezpieczeństwo żony i dzieci. Nie podobała mu się ta myśl. Przerazała go. Wiedział jednak, że nie ma prawa obciążać tym kogoś innego. Odbył już poważną rozmowę z ojcem. Obaj zdawali sobie sprawę, że wszystko może pójść nie tak, jak powinno i Mario może zginąć. Miał wyrzuty sumienia, że nie powiedział o tym Annie, ale nie chciał jej niepokoić. W głębi duszy liczył, że faszyci wyprowadzą się dobrowolnie i nie będzie potrzeby stosowania przemocy.

Tej nocy kochał się z Anną tak, jakby miał to być ich ostatni raz.

Odwzajemniała jego pieśczoły równie namiętnie.

- Kochany - szepnęła bez tchu. - Co się stało?

- Nic, Anno. Kocham cię, to wszystko. Kocham cię tak bardzo, że nie mogę znieść myśli, iż mógłbym cię utracić.
- Nigdy mnie nie utracisz, Mario. Wiesz o tym. - Czuła go w sobie. Oplotła udami jego biodra.
- Nigdy, nigdy - jęczała w ekstazie. - Na zawsze...

Boże, oby tak było, pomyślał. Skulił się i zapadł w niespokojny, płytki sen.

Zdaniem Anny, dzień Bożego Narodzenia był dniem małych cudów.

Myśl, że sama ma przygotować świąteczny obiad, najpierw ją przerażała. Przecież Elisabetta to taka wspaniała kucharka! Po telefonicznej rozmowie z Mary zdecydowała, że poda tradycyjny amerykański posiłek, żadnego makaronu. Często tęskniła za barami szybkiej obsługi, zwłaszcza za chińskimi daniami na wynos. Claude, Mario i Fosca z apetytem zajadali kurczaka, którego przyrządzała w sosie słodko-kwaśnym. Francesco wykrzywił się na wszystkie obce potrawy, ale przepadał za jej hamburgerami i frytkami.

W łagodny, błękitny toskański dzień siedzieli wszyscy przed kominkiem. Anna trzymała na kolanach Nicolettę, Mario zajmował się synkiem.

Posłała mężowi całusa. Fosca i Claude trzymali się za ręce. Teraz już wszyscy widzieli, jak bardzo są zakochani. Lisa podawała do stołu. Podobnie jak reszta mieszkańców, nie mogła już się doczekać, kiedy skosztują cudzoziemskiego dania z indyka i brzoskwiń.

Zanim usiedli do stołu, Anna zaniósła Pilar koszyk z jedzeniem. Starucha powitała ją bezzębnym uśmiechem.

Kochała Annę i dlatego martwiły ją ciężkie czasy, które miały nastać lada dzień. Pilar nie dbała o własne życie, ale niepokoił ją los Biancharinich. Próbowwała ostrzec Francesca, ale osiągnęła tylko tyle, że obiecał wysłać kobiety i dzieci w bezpieczne miejsce. Mężczyźni zostaną i będą walczyć.

Teraz, kiedy rozpromieniona Anna przyszła w odwiedziny, Pilar się wahała. Znała prawa rządzące wszechświatem. Wiedziała, że młoda kobieta musi przejść przez życie, doświadczając na sobie skutków niewłaściwych decyzji. Ufała jej jednak. Odkąd została matką, bardzo wydorosłała. Nie to, co jej przyjaciółka, rozmyślała Pilar po wyjściu Anny. To nie jest mądra kobieta. W jej życiu dominują cienie i mrok. Strach i ból towarzyszą jej na każdym kroku. Serce staruszki wezbrało współczuciem. Biedna dziewczyna. Nikt nie wskazał jej właściwej drogi. Wyczytała z jej pięknej, smutnej, mrocznej twarzy gorzką prawdę: żadne z rodziców nie obdarzyło jej światłem. Dla każdego jednak jest nadzieja i szansa na odpuszczenie grzechów, pocieszyła się między jednym kęsem pysznego indyka a drugim. Ta kobieta nie jest wyjątkiem, chociaż ona, Pilar, osobiście rzuciła na nią zaklęcie. Uznała, że teraz, w dzień Bożego Narodzenia, powinna jej wybaczyć.

Uśmiechnęła się. Zjadła już wszystko, co przyniosła jej Anna. Wstała i ciężkim krokiem podeszła do łóżka. Po długich poszukiwaniach wyciągnęła spod niego małą woskową laleczkę. Ostrożnie wyjęła igłę wbitą w jej plecy i wrzuciła wszystko do ognia.

- Ze względu na twoją przyjaźń z signorą mojej rodziny - wypowiedziała uroczyście - odpuszczam ci twój grzech.  
- Mary Rose zawiniła brakiem szacunku. Pilar zdawała sobie jednak sprawę, że Mary Rose nie szanuje nikogo prócz Anny.

Tymczasem w domu Anna tłumaczyła Francescowi, jak podpalić tradycyjny angielski pudding. Znała tajemnicę przyrządzenia tej potrawy, bo nauczyła ją tego kucharka Kearneyów w Devon. Długo nie mogła uwierzyć, że pudding szykuje się już w październiku, aby był gotów na Święta.

Zdecydowanie bardziej odpowiadały jej włoskie zwyczaje. Przed samą Gwiazdką odbyło się świniobicie. Kiełbasy, *prosciutto* i salami wisały w kuchni i w spiżarni, dojrzewały, czekały na gorące lato, kiedy zostaną zjedzone z soczystymi figami. Farma dostarczała im żywności na cały rok.

Anna przeciągnęła się z rozkoszą. Mała Nicoletta, teraz już trzymiesięczny bobas, kręciła się niespokojnie. Była jak żywe srebro, w przeciwieństwie do Giulia. Chłopiec tylko gaworzył coś spokojnie i uśmiechał się do ojca.

Lisa sprzątnęła ze stołu i zmywała naczynia. Elisabetta i Francesco zabrali wnuki do swojej części domu, żeby psuć je z dala od oczu rodziców. Claude brzdąkał na gitarze i nucił serenady dla Foski. Anna i Mario trzymali się za ręce i trwali w spokojnej zadumie.

O pogodnej zadumie nie było mowy w domu Kearneyów w Devon. W pierwszy dzień Świąt Mary Rose i Amelia skoczyły sobie do gardła. - Nie wolno ci oddać mojego prezentu! - wrzeszczała Mary Rose. -

Zawsze wymieniasz wszystko, co ode mnie dostaniesz. Jeśli ci się nie podoba, oddaj mi, chętnie będę to nosić! A na dobry początek weź sobie te twoje ohydne gałki kąpielowe! - Cisnęła w teściową pudełkiem jaskra-woczerwonych kulek i wybiegła z jadalni.

Upadła na łóżko, zanosząc się od płaczu. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, nie miała dokąd pójść. Zadzwoiła do matki do Nowego Jorku. Nieznajomy głos poinformował, że rodzice wyjechali. Nie, głos nie wie, dokąd ani na jak długo. Chciała zadzwonić do Mary, ale odłożyła słuchawkę. Nie ma prawa psuć innym świąt.

- No, trochę chyba przeholowałaś, co? - To Crispin. - Staruszka bardzo się zdenerwowała.

- Ja też. - Wyprostowała się. - Od powrotu z Włoch bolały mnie plecy; dzisiaj wreszcie przestały. Co za ulga!

- Mary Rose, nie próbuj zmienić tematu. Zraniłaś uczucia mojej matki.

- Wiesz co? Czemu ty właściwie nie pieprzysz twojej cholernej matki? Mam w nosie jej uczucia. Gdyby zależało ci na mnie choć w połowie tak bardzo jak na niej, nasze małżeństwo miałoby szansę.

Zdawała sobie sprawę z tego, że zapuszcza się na niebezpieczne tereny, ale było za późno, żeby się zatrzymać.

Crispin bardzo łatwo dawał się sprowokować. Powoli zaczęła się rozbierać.

- Nie waż się mówić w ten sposób o mojej matce!

- W jaki sposób, Crispinie? Co, mam może przemilczeć fakt, że jej pragniesz?

Wiedziała, że uderzył ją w twarz, jeszcze zanim poczuła ból. O, cholera, pomyślała, nie obejdzie się bez siniaka, a za dwa dni mam spotkanie z panią Gulbenkian.

Nie okazała po sobie strachu. Odwróciła się na pięcie i poszła do łazienki. W drzwiach zatrzymała się na chwilę.

- Tylko tchórze i słabeusze podnoszą rękę na kobiety - wycodziła. - A ty, Crispinie, zaliczasz się do obu kategorii.

Spojrzała w lustro. Rzeczywiście, pod okiem wykwitł fioletowy siniak.

- Może mi połamać wszystkie kości, ale jego słowa już mnie nie ranią. Już nie - powiedziała do siebie. - Skończyło się. Rzucę go, to już tylko kwestia czasu. Pieprzony neurotyk.

- Kiepska erotyka u boku neurotyka - poinformowała kobietę w lustrze. Od kiedy przestała tak bardzo przejmować się Crispinem, zwierciadło stało się jej powiernikiem.



Asystowanie przy świniobiciu przerastało możliwości Anny. Ubrała dzieci w co miała najcieplejszego i zabrała je do Pilar. Ostatnio jej włoski poprawił się na tyle, że bez problemów plotkowała ze staruszką.

Podziwiała Maria za odwagę, ale też on dorastał na wsi i rozumiał potrzebę zabijania zwierząt. Mimo to jednak rozumiał także jej niechęć, co nie przeszkadzało mu drwić z niej dobrotliwie.

- Pewnie już masz ochotę na nowe salami, cara?

- Owszem. Ale nie na kaszanke.

Wzruszył wtedy ramionami i pocałował ją na pożegnanie. I oto siedziała w chatce Pilar na trójnogim krześle.

- Przyda się ci szynka z tego uboju, oj, przyda - mruzczała staruszka. Nie wyjaśniła jednak, w jak dziwnych okolicznościach Anna będzie ją jeść. Nie pomoże nawet jej własne światło teraz przytłumione obowiązkami rodzinnymi: nie miała czasu, żeby podtrzymywać jasny, czysty płomień.

Anna kręciła się niespokojnie pod badawczym spojrzeniem staruchy. Wszystkie Włoszki pomagały teraz mężczyznom. Fosca na przykład miała trzymać drewnianą miskę, do której spłynie krew potrzebna do wyrobu kaszanek i innych wędlin. Elisabetta i Francesco już od tygodnia dyskutowali nad wyborem świni. Elisabetta twierdziła, że mąż wybrał zbyt tłuste zwierzę. Dąsała się nawet dzisiaj przy śniadaniu, chociaż prosiaka już szykowano do egzekucji.

Młoda kobieta wzdrygnęła się i szybko odsunęła od siebie ponure myśli. Pilar pogładziła ją po ramieniu i podała kubek gorącej gęstej kawy.

305

- Masz, napij się - zachęcała. - I nic się nie martw. Nie każdy musi lubić dzisiejszy dzień. Najważniejsze, żebyś wychowała dzieci na dobrych ludzi. Może kiedyś Toskania stanie się lepszym miejscem. Może robotnicy i rolnicy będą mieli łatwiejsze życie. Teraz muszą tylko pracować i pracować. Nie mają czasu na odpoczynek i zabawę. - Westchnęła ciężko. - Mój mężczyzna umarł z przepracowania.

Anna z trudem stłumiła okrzyk zdumienia. Nie przypuszczała, że w życiu Pilar był jakiś mężczyzna.

- Miałaś męża?

Staruszka potwierdziła ruchem głowy i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Był jedyną miłością mego życia. Pewnej zimy zachorował na zapalenie płuc i umarł, chociaż twój teść sprowadził z Sieny najlepszego lekarza. - Podreptała do kąta. Po chwili wróciła, niosąc starą dachówkę.

- Znalazłam to w ogrodzie, już po jego śmierci. - Starła kurz, żeby Anna mogła przeczytać koślawe litery: „życie jest ciężkie”.

- Naprawiał dach na dzień przed tym, jak zachorował. Było wtedy zimno, bardzo zimno, Anno. - Uśmiech znikł z jej twarzy. - Twoja rodzina to wyjątkowi ludzie. W niczym nie przypominają innych bogaczy. Tamci mieszkają w Rzymie albo Florencji i zjawiają się tutaj raz na rok. Płacą ludziom głodowe stawki. Lekceważą stare tradycje dzielenia się z wieśniakami. Okradają biedaków i wykorzystują swoich pracowników. Mówię ci, Anno, to się musi zmienić. Nie obchodzi mnie polityka, ale dumy biedaków i garstka bogaczy zawsze ściągają kłopoty.

Wracała do domu pogrążona w myślach. Wieczorem w milczeniu wpatrywała się w świeże kiełbasy wiszące pod sufitem. Siedziała w kuchni. Cała rodzina upodobała sobie to pomieszczenie jako miejsce spotkań. Na środku stał duży drewniany stół. Pod ścianami ciągnęły się proste drewniane ławy. Wszyscy zgromadzili się przy stole, żeby omówić dokładnie przyrządzanie prosciutto. Na półce stały misy świeżej krwi.

Nico i Tommaso z zapalem rozprawiali o wydarzeniach minionego dnia. Dopiero teraz do Anny w pełni dotarło, jak bardzo ich fattoria różni się od okolicznych posiadłości.

- Co się stało z tą rodziną z domu przy drodze? - spytała nagle. - Już od pewnego czasu ich nie widuję, a zazwyczaj przecież ciągle kręcili się w pobliżu.

Nagle zapanowała cisza.

- Postanowili się wyprowadzić - powiedział w końcu Mario. Nie ukrywała zaskoczenia. - Naprawdę? A dlaczego? Mario wzruszył ramionami i błagalnie spojrzał na ojca.

- To sprawy rodzinne - uciął Francesco. Z jego tonu Anna wywnioskowała, że dalsze pytania na nic się nie dadzą.

- Aha... ojej, muszę iść nakarmić dzieci. - Czuła się niepotrzebna. Coś się działo za jej plecami.

Mario objął ją ramieniem. - Pomogę ci - szepnął. - Nie przejmuj się,

19 - Dwie drogi

289

Anno. - Razem wyszli z kuchni i weszli na schody. - Kochanie, dzieją się tu okropne rzeczy. Lepiej, żebyś nie miała o tym pojęcia.

- Ale dlaczego, Mario?

Westchnął. - Żebyś nie musiała kłamać, kiedy będą cię przesłuchiwać. Wszyscy bardzo cię kochamy i nie chcemy, żeby spadł ci choćby włos z głowy.

Zatrzymał się przy łóżeczkach dzieci. Maluchy obudziły się i pokazywały w uśmiechu bezzębne dziąsła.

- Żyję tylko dla was trojga. Zrobię wszystko, żeby was chronić. - Pocałował ją mocno. Wyczuwała w nim tęsknotę za spokojną, pogodną przyszłością - Zobaczysz, kochanie, w tym roku zrobimy najlepsze pro-scuitto w Toskanii. To będzie dobry rok.

Wiedział, że próbuje oszukać nie tyle ją, co samego siebie.

Tymczasem w Anglii Mary Rose jechała na spotkanie z panią Gulbenkian. Wcale nie miała na to ochoty, bo nie chciała, by ktokolwiek widział ją z podbitym okiem. Nałożyła co prawda grubą makijaż i starannie przypudrowała fioletowy siniak, ale i tak był widoczny. Czemu jestem taka głupia? - zastanawiała się. Czemu go po prostu nie spławię? Znała odpowiedź na to pytanie. Crispina nie można spławić. Nie pozwoli jej odejść, a już z pewnością nie zechce utracić jej pieniędzy. Musi więc stworzyć sobie nowe życie, w którym mąż będzie grać jedynie drugoplanową rolę. Travis bardzo jej to ułatwiał.

Pani Gulbenkian znów wyruszyła na poszukiwanie antyków. Tym razem miały ozdobić jej nowy apartament przy Eaton Square. Wspaniałomyślnie oddała jeden pokój do wyłącznego użytku Mary Rose, która doceniała ten gest. Powoli obie kobiety połączyła szczerą przyjaźń. Ku zdumieniu Mary Rose, pani Gulbenkian często rozumiała ją bez słów. Choć ani jedno zdanie nie padło na temat Crispina, milionerka odgadła, w jakim położeniu jest jej młoda przyjaciółka.

Mary Rose wiedziała, że bystre oczy pani Gulbenkian wypatrzą jej siniaka i wcale nie była z tego zadowolona. Nie pomyliła się.

- Więc cię uderzył - tymi słowami powitała ją pani Gulbenkian w Tate Gallery. Mary Rose żałowała, że nie może wtopić się w szaromglisty pejzaż Turnera, przy którym stały.

- Wpadłam na drzwi - odparła wymijająco.

- Wcale nie wpadłaś. Też kiedyś dostałam w twarz, ale drań nie ważył się zrobić tego ponownie. Przepędziłam go nożem.

Wizja pani Gulbenkian wymachującej rzeźnickim majchrem poprawiła jej humor. Niestety, był to jedyny radosny moment podczas pobytu w Londynie.

Cispina, ku jej ubolewaniu, nie powołano do wojska, w przeciwieństwie do większości jego przyjaciół.

**308**

Codziennie ktoś przychodził się pożegnać. Mary Rose brakowało dowcipnego Kluski. Ralph ożenił się, zanim służbowo wyjechał na Daleki Wschód. Crispin jednak został w domu. Miał słabe płuca, więc uniknął poboru. Głupkowato cieszył się, że nie musi iść do wojska, i leniuchował całymi dniami. Wszystko wskazywało na to, że ma zamiar spędzić w ten sposób resztę życia.

Pani Gulbenkian i Mary Rose buszowały po sklepach w poszukiwaniu ręczników, dywaników i zasłon. Przy szklaneczce dobrego wina, po wyśmienitym lunchu odprężyła się po raz pierwszy od powrotu z Włoch. Dlaczego jeszcze utrzymuje Crispina za swoje pieniądze, w swoim domu? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie. Postanowiła czekać. Na razie nie miała innego wyboru.

68

Anno, śpisz? - Mario uniósł się na łokciu. Zmarszczył czoło, zmartwiony. Zmęczonym gestem masował sobie kark. Faszyści z domu przy drodze przestraszyli się i zniknęli, ale było to tylko małe, nic nie znaczące zwycięstwo. W całym kraju faszyzm znajdował coraz więcej zwolenników. Na jesieni Trzecia Rzesza zaatakowała Polskę. Europę ogarniała panika, bo Hitler wyraźnie dążył do dominacji nad całym kontynentem. Anglia przystąpiła do wojny.

Międzynarodowy kryzys wchodził w krytyczną fazę. Wszystko wskazywało na to, że żaden kraj nie uniknie wojny.

- Nie. - Obudziła się od razu. Słyszała zdenerwowanie w jego głosie. - Nie śpię jeszcze, kochany. O co chodzi? - przysunęła się bliżej.

- Postaram się dodzwonić do twoich rodziców. Powinniśmy wysłać ciebie i dzieci do Stanów.

- Och, nie. Mario, chcę zostać z tobą. Nic mi nie będzie.

- Cara, sytuacja jest dużo poważniejsza, niż ci się wydaje. Nic ci nie mówiliśmy, ale lada dzień Włochy przystąpią do wojny. Wtedy zaś już nie uda nam się was wysłać.

Łzy napłynęły jej do oczu. Od dnia ślubu nie rozstawali się nawet na jeden dzień. Nie wyobrażała sobie życia bez niego. - Nie, proszę, nie odsyłaj mnie - szepnęła błagalnie.

- Ależ kochanie, nie odsyłam cię. Chcę po prostu ocalić życie twoje i dzieci. Wojna na pewno szybko się skończy i wtedy do mnie wrócicie. Będzie mi dużo łatwiej, jeśli będę miał pewność, że nic wam nie grozi. Anno, obiecaj mi, że to przemyślisz.

309

- Obiecuję. - Była bardzo nieszczęśliwa.

Leżał bez ruchu. Dopiero kiedy jej równy, spokojny oddech upewnił go, że zasnęła, pocałował ją i wstał. Nie mógł znieść myśli o rozłące z żoną, ale wiedział, że pozostanie we Włoszech byłoby zbyt ryzykowne. Postanowił od razu zadzwonić do teściów.

- Przepraszam, że cię budzę o tej szaleńczej godzinie - mówił cicho, niemal szeptem - ale muszę z tobą porozmawiać. Chcę wysłać Annę do was. Claude i Fosca jadą do Szwajcarii.

- Słusznie. - Choć zaniepokojony, Daniel był serdeczny jak zwykle. - Zobaczę, co da się zrobić. I tak miałem do was dzisiaj dzwonić. Sytuacja wygląda naprawdę nieciekawie. Wszystko wskazuje na to, że niedługo i nasi chłopcy pójdą na front. Na razie nikt w to nie wierzy, Roosevelt też nie spieszy się z działaniem. Moim zdaniem, powinien pomóc Anglikom i...

Mario już nie słuchał. Najważniejsze, że Daniel obiecał użyć swoich wpływów. Może Annie i dzieciom uda się bezpiecznie opuścić Europę.

Wzdrygnął się. Przeraziła go nie tyle wojna, co rosnąca nienawiść do mniejszości narodowych i etnicznych. Każdy chciał walczyć z każdym. Nienawiść wkradła się nawet do Asciano. Kiedy wczoraj jechał z ojcem do Sinalunga po świeże ryby, widzieli napisy „Żydzi precz” czerniejące na murach. Był to dla niego szok. Nie lepiej się poczuł, kiedy jakiś człowiek krzyknął im w twarz „precz z bogaczami”. Po tej uwadze postanowił niezwłocznie wysłać Annę w bezpieczniejsze rejony świata.

- Jesteś tam, Mario?

- Tak, tak, Danny. Przepraszam, zamyśliłem się.

- O nic się nie martw. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Jutro do ciebie zadzwonię. Bądź pod telefonem.

- Dobrze. Ucałuj Mary i całą rodzinę.

Odłożył słuchawkę i wolnym krokiem poszedł do sypialni. Wślizgnął się do łóżka. Po chwili delikatnie pieścił śpiącą żonę. Szybko zaczęła odwzajemniać jego pieszczoty. Wydawało się, że na wieczność całą zamarli w przestworzach. Znowu stali się jedną duszą.

To właśnie tego będzie mi najbardziej brakowało, pomyślał Mario z nagle ściśniętym gardłem. Tego i promiennego blasku jej oczu.

Rano czekały na nią dwa listy od obu ciotek. Kitty donosiła głównie ploteczki o mężu i znajomych. List Marty był spokojniejszy. Pisała, że martwi się o Annę, która wiedziała już, że Mario rozmawiał z Danielem.

Odpisała od razu i poszła do Asciano na pocztę. Po drodze wstąpiła do matki Lisy na filiżankę kawy. Staruszka mieszkała w małym domku na końcu wąskiego zaułka.

Gina otworzyła drzwi i palcem nakazała jej milczenie. Usiadły koło radioodbiornika. Malutki pokoik wypełniały głośnie tony marsza.

- Coś się stało - wyjaśniła. - Za chwilę będzie przemawiał II Duce. Anna spojrzała na drobną kobietkę. Przesuwała między palcami

paciorki różańca. Nad jej głową patrzył na pokój srogi mężczyzna w mundurze z pierwszej wojny światowej. Była to fotografia ojca Lisy, który zginął na froncie.

Ił Duce zaczął mówić. Anna niewiele zrozumiała z potoku słów. Nagle odniosła wrażenie, że to nie Mussolini, ale Hitler przemawia po włosku.

Gina zaczęła płakać. Puste do tej pory uliczki zaludniły się rozgorączkowanymi ludźmi. Trzaskały drzwi. Kobiety łkały głośno. Mężczyźni się przekrzykiwali.

- Wojna, wojna!

Więc tak wygląda wojna, przemknęło jej przez myśl. Mężczyźni biegną, kobiety płaczą.

Przykucnęła koło Giny i objęła ją troskliwie. Przez chwilę obie kołysały się, targane rozpaczą. Płakały nad przyszłością. Stopniowo, między szlochami Giny, udało jej się pojąć przesłanie Mussoliniego: Anglia rozpoczęła działania wojenne przeciwko Niemcom. W butnych, okrutnych słowach II Duce jasno określił, kogo popiera i jakiej ofiarności spodziewa się po swoim narodzie. Słowa zawisły w powietrzu jak ponure proroctwo.

Anna opuściła ramiona. - Gino, muszę wracać do Maria i dzieci -oznajmiła, delikatnie odsuwając ręce staruszki.

Ucałowała ją i wybiegła.

W samochodzie zorientowała się, że płacze. Teraz na pewno będzie musiała rozstać się z mężem. Płakała nad sobą i nad wszystkimi, których pokochała w Asciano: Lisą, Tommasem i Nikiem. Nie chciała nawet myśleć o pożegnaniu Pilar. Bóg jeden wie, czy stara czarownica doczeka jej powrotu. Wbiegła do domu. Wszyscy siedzieli przy radioodbiorniku.

Poblady Mario przygarnął ją do siebie. - Wojna - powiedział. -Muszę cię stąd wydostać.

Próbował dodzwonić się do Daniela, ale nie uzyskał połączenia. Pojechał do Sieny, a potem do Florencji, do konsulatu amerykańskiego. Czekał w długiej kolejce. Domyślał się, że to Amerykanie chcą wyjechać. Wieczorem wszedł do pokoju wymęczonego urzędnika.

- Przykro mi - pracownik konsulatu potrząsnął głową. - Nikt stąd nie wyjedzie przez najbliższych kilka tygodni.

Powinniście państwo byli zdecydować się na wyjazd kilka miesięcy temu.

Mario wrócił do domu załamany, ale błysk w oczach Anny poprawił mu humor.

- Przynajmniej nie musimy się rozstawać - stwierdziła z zadowoleniem.

Przycisnął ją do piersi. - Prędzej sam zginę, niż pozwolę, żeby cię skrzywdzono - obiecał.

Byli już spóźnieni, więc cichutko wślizgnęli się bocznymi drzwiami. Stali teraz na galerii dla publiczności w gmachu parlamentu. Właśnie zapadła decyzja o podjęciu działań wojennych. Salę ogarnęło podniecenie zmieszane z paniką. Mary Rose utkwiła nieruchome spojrzenie w Lordzie Kanclerzu, wysokim mężczyźnie w peruce i todze, który rezydował za długim stołem.

- Spokój! Spokój! - krzyczał. Nad wrzawą wzburzonych głosów górował ostry dźwięk elektrycznego dzwonka. Travis przytulił ją, chcąc dodać otuchy.

- To straszne - mruknął ponurym głosem. - Biedni młodzi chłopcy, którzy zginą na froncie. Wojna to najgorsze, co się może zdarzyć. Zabiera zawsze najlepszych i najzdolniejszych.

Mary Rose poczuła na sobie ciężkie spojrzenie woźnego.

- Szszsz - przyłożyła palec do ust, ale ani Travis, ani pani Gulben-kian nie zwracali na nią uwagi. Nie obchodziło ich, że Mary Rose nie chciała nawet myśleć o wojnie.

Pani Gulbenkian chlipała cichutko i co chwila ocierała oczy chusteczką. ...

- Już kiedyś to przeżyłam - jęknęła. - Miałam nadzieję, że ominie mnie kolejne szaleństwo. Tylu uroczych chłopców zginęło podczas pierwszej wojny.

Woźny zmarszczył brwi.

- Chodźmy już - zaproponowała Mary Rose. - Muszę się czegoś napić.



Przepchnęli się przez tłum i w milczeniu przemierzali opustoszałe nagle korytarze. Nie zwracali uwagi na utkwione w nich niewidzące spojrzenia posągów.

Na zewnątrz z przerażeniem zobaczyła, że z żadnego okna nie płynie światło: obowiązywało zaciemnienie. Tylko nieliczni przechodnie przemykali wymarłymi ulicami. Wszyscy milczeli, z wyjątkiem mężczyzny stojącego na rogu.

- Wojna, wojna! - krzyczał i wymachiwał gazetą. - Hitler da nam w dupę! Żabojady nie wiedzą, co robić!

Amerykanie zostawią nas na lodzie! Wojna! Wojna! Na front!

Po chwili dotarło do niej, że jest on kompletnie pijany. Jeszcze później zauważyła, że ma tylko jedną nogę i jedno oko, z którego teraz ciurkiem płynęły łzy.

- Pieprzone szkopy! Trzeba ich było zgnieść na miazgę po pierwszej wojnie!

Minęli go w milczeniu.

Na Eaton Square pani Gulbenkian zaczęła gorączkowo szukać czarnej tkaniny, by choć prowizorycznie zasłonić okna.

Mary Rose co kilka minut próbowała dodzwonić się do Anny, ale wszystkie połączenia z kontynentem były zablokowane.

- Martwię się o nią - szepnęła do Trávisa.

Starał się ją uspokoić. - Lepiej, jeśli Anna nie ruszy się z miejsca, niż gdyby miała teraz wyjeżdżać. Czytałem, że miliony ludzi chcą się wydostać z Włoch. Słuchaj, nie wiem jak ty, ale ja umieram z głodu. Zajmę się kolacją, ale najpierw wypijemy po kieliszku. Coś mi się wydaje, że łyk czegoś mocniejszego wcale ci nie zaszkodzi.

- Dzięki, Travis. - Z wdzięcznością przyjęła szklankę whisky. - Zazwyczaj nie pijam tego świństwa - dodała po chwili. - Ale dzisiaj wypiłabym cokolwiek.

- Jak bardzo wysmażony ma być twój stek, Mary Rose?

- Średnio. - Zdziwiająco dużo czasu upływa, zanim pozna się upodobania drugiego człowieka. Travis już zaczynał orientować się w jej gustach. Powoli stawał się jedyną ostoją w jej niepewnym życiu. Justin był zabawny i dobry w łóżku, ale ostatnio coraz bardziej wyczekiwała spotkań z Trayisem, a nie z nim. Po humorach Crispina, Travis wydawał się oazą spokoju. Chociaż nie mogli kochać się w pełnym tego słowa znaczeniu, wołała ich niespieszny, łagodny seks niż brutalność męża.

Gubiła się w swoich problemach. Z sąsiedniego pokoju dobiegało głośnie chrapanie pani Gulbenkian. Travis spał obok Mary Rose, a ona tymczasem poważnie zastanawiała się, czy ma szansę pozbyć się Crispina. Zasnęła, śniąc o strzałach i wybuchach.

## 70

Zycie w Asciano uległo dramatycznym zmianom. Mieszkańcy nie zatrzymywali się już na wąskich uliczkach i nie dyskutowali o prawdopodobieństwie katastrofy. Wojna stała się rzeczywistością. Młodzi mężczyźni odchodzili z domów, odchodzili z farm. Nikt nie orał pól, nie szykował ich na wielkanocną siejbę. Tommaso i Nico byli za starzy, żeby iść do wojska, ale został powołany brat Lisy, Emanuele. Dziewczyna co dzień zalewała się łzami.

Także Fosca płakała, kiedy przyszło jej pożegnać najbliższych. Postanowili z Claude'em przedostać się do Szwajcarii. Już na miejscu mieli się pobrać.

- Opiekuj się nią, Claude - poprosił Mario zdławionym głosem. Wzruszenie nie pozwalało mu dodać nic więcej.

Niewiele wcześniej Anna objęła szwagierkę serdecznie. - Czy naprawdę chcesz za niego wyjść? - spytała cicho.

Fosca odpowiedziała jej szczerym spojrzeniem piwnych oczu i przez chwilę Anna wyraźnie widziała w nich łagodną twarz Stevena.

- Kobieta oddaje serce tylko raz - zauważyła.

- Wiem. - Fosca nadal patrzyła jej prosto w oczy. - Claude to dobry człowiek i bardzo mnie kocha. Tak, chcę wyjść za niego.

Po tej rozmowie Anna poszła na górę, do sypialni. Była szczęśliwa, że spotkała Maria i właśnie jemu oddała serce.

Claude na pewno okaże się dobrym mężem, ale wspomnienia o Stevenie będą wiecznym cieniem na ich szczęściu.

Intrygowało ją, czy Mary Rose naprawdę kocha Crispina, człowieka, który ją bił. Po głębokim namyśle uznała, iż jest to nader

wątpliwe. Dotychczas Mary Rose nie darzyła nikogo szczerym uczuciem. Może zresztą wcale nie umiała kochać. Czasem tak jest lepiej, pomyślała.

A potem nadszedł moment rozstania. Mario i Anna stali na schodach, ciasno objęci.

- Nie martw się, Mario. Dojadą cali i zdrowi.

- Cara, nie o nich się martwię, lecz o ciebie i dzieci. Co prawda, robimy wszystko co w naszej mocy, ale... Muszę iść. Tommaso na mnie czeka.

Mężczyźni szykowali pola pod kwietniową siejbę. Najwłaściwszy moment to dzień po pełni księżyca.

Mijały tygodnie. Anna robiła wszystko, żeby nie chodzić do Asciano. Teraz Lisa zajmowała się zakupami. Tym sposobem Annie oszczędzony był widok konwojów ciężarówek pełnych żołnierzy. Wojna jednak docierała wszędzie, nawet na ich fattorię. Anna pomagała Elisabecie pakować zapasy. Słyszała, jak Francesco zdecydował, że trzeba ukryć w jaskiniach na crete szynki, cebulę i rzepę. Pamiętała jego słowa: „kiedy nadejdzie czas, kobiety i dzieci pójdą do kryjówki. Nie możemy pozwolić, żeby zabrakło im jedzenia”.

W ich domu pojawił się nowy lokator: tajemniczy mężczyzna, który nie opuszczał strychu. Nikt nie wspominał ani słowem o jego obecności, aż zirytowana Anna spytała Maria wprost.

- Nie pytaj - zbył ją. - Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.

W miasteczku wrzało od plotek i domysłów. Wieczorami Lisa i Tommaso powtarzali wszystko, co zdołali usłyszeć. Pewnego ranka obudził ich chrzęst żwiru pod podkutymi butami. Mario wyskoczył z łóżka i ubrał się błyskawicznie, jakby od dawna ćwiczył takie wstawanie. Anna leżała bez ruchu, bojąc się oddychać. Poderwała się, kiedy usłyszała podniesione głosy. Wyjrzała przez okno i zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć. Na podwórzu stał pluton żołnierzy.

Lufy wszystkich karabinów celowały w Maria i Francesca. Wydawało się jej, że trwa tak przy oknie od wielu godzin, gdy żołnierze nagle odwrócili się i odmaszerowali. Mario i Francesco weszli do domu. Anna pobiegła na dół.

- Czego chcieli? - dopytywała się. Na piętrze szlochały dzieci, jakby i one wyczuły zło bijące od żołnierzy. Na pewno nie wszyscy są źli, upominała się Anna. Przecież większość z nich to zwykli ludzie: w domu czekają na nich żony i dzieci.

- Musimy ukryć go gdzie indziej - wyszeptał Francesco zbielełymi wargami. - Mieliśmy cholernie dużo szczęścia.

Ktoś nas wydał. Żołnierze nie obstawali przy przeszukiwaniu domu tylko dlatego, że znam brigadiere, ale niewiele nam to pomoże. Wrócą tu i tym razem będą mieć nakaz rewizji. Zrobimy tak: weźmiesz Annę i dzieci do samochodu.

Ukryjemy go pod kocami na podłodze. Niechętnie ryzykuję życie jej i małych, ale nie mamy innego wyjścia. Jeśli ty

albo ja pojedziemy sami, dokładnie przeszukają samochód. Powiem Elisabecie, żeby przyszykowała wam kosz z prowiantem. Udacie, że jedziecie na piknik. Zawieziecie go do jaskiń.

316

- Kochanie, bardzo mi przykro, że musisz brać w tym udział - szepnął Mario. - Nie chciałbym narażać cię na niebezpieczeństwo, ale jeśli przeszukają dom i znajdą go, wszyscy będziemy w tarapatkach. W okolicy nie ma już bezpiecznych zagród, w których moglibyśmy go ukryć.

- Nie przejmuj się. W dzisiejszych czasach wszyscy musimy podejmować jakieś ryzyko. Pójdę przygotować dzieci. Lekkim krokiem pobiegła na górę. Była przerażona, ale także podniecona: wreszcie i ona może się na coś przydać. Zatrzymano ich przy wyjeździe z Asciano. Brigadiere, potężny mężczyzna, wsadził głowę do samochodu. Był starym znajomym Bianchari-nich.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, że przeszukamy bagażnik? -w jego głosie czaiła się nieufność i rezerwa.

- Ależ skąd. - Mario podał mu kluczyki. - Ale znajdziecie tam tylko prowiant na piknik. Postanowiliśmy sobie urządzić majówkę. Szkoda takiego pięknego dnia. - Mario zdał sobie nagle sprawę, że plecie bzdury.

Brigadiere pochylał się nad bagażnikiem. - W porządku - uśmiechnął się. - Jak tam pańska żona?

Mario z trudem opanował chęć, by do oporu wcisnąć pedał gazu, i odpowiedział spokojnie. - Bardzo dobrze, dziękuję. Bardzo się cieszy na nasz piknik, prawda, kochanie?

Anna uniosła na brigadiere niewinne błękitne oczy.

- O, tak. *Arrivederci* - pomachała do *brigadiere* i *carabinieri*. Ruszyli. Mario odetchnął z ulgą. Ostatkiem woli powstrzymał się, aby

nie otrzeć potu z czoła. Czuł, że cały jest mokry, choć pogoda nie rozpieszczała ich tego dnia. Było zimno, mimo bezchmurnego słonecznego nieba. Wszyscy milczeli, tylko dzieci gaworzyły beztrąsko.

Anna czuła, jak pod jej stopami mężczyzna się odprężył. Kiedy samochód stanął, zeszywniał ze strachu. Cały czas próbowała w myślach wlać weń otuchę, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Po półgodzinnej jeździe Mario skręcił w starą przesiekę. Rozglądał się uważnie. Nie widział nikogo, ale obserwator mógł ukrywać się wśród wzgórz, niewidoczny dla nich.

Wreszcie zatrzymał samochód w gęstym zagajniku.

- Zanieś dzieci w tamte krzaki. Nie chcę, żeby go widziały. - Pomógł Annie wysiąść i patrzył, jak razem z Giuliem i Nicolettą znika wśród zarośli. Wtedy zdjął koc z mężczyzny skulonego na podłodze.

Wyprostował się z uśmiechem. - Na Madonnę— mruknął. - Myślałem, że już po nas.

- Madonna ma nas w swojej opiece. - Mario podał mu rękę. - Jakiego imienia teraz używasz?
- Luciano. Straciłem poprzednią kryjówkę, bo wydała mnie moja ukochana. Podła suka. Musiałem ją zabić, bo inaczej zdradziłaby wszystkich.

Mario wyjął z bagażnika koszyk z prowiantem i podał go Lucianowi. Następnie odsunął zarośla maskujące wejście do jaskini.

- Wchodź - polecił. - I czekaj tutaj. Wieczorem ktoś po ciebie przyjdzie i zaprowadzi do przyjaciół w San Giovanni d'Asso. Powodzenia, Luciano.

- Dziękuję, przyjacielu. Ty i twoja rodzina uratowaliście mi życie. Mario pocałował go w oba policzki i wrócił do samochodu. Przy całym

swym okrucieństwie, wojna ujawnia to, co w mężczyznach najlepsze, pomyślał. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o wszystkich kobietach. Dotychczas obawiał się, że nie mógłby zabić człowieka, ale tego ranka, kiedy widział lufy wycelowane w siebie i ojca, zmienił zdanie.

W drodze powrotnej zatrzymano ich ponownie. Tym razem byli to ci sami żołnierze, którzy rano wyrwali ich ze snu. Kazano im wysiąść z samochodu. Mario wziął Giulia, a Anna Nicolet-tę. Dzieci płakały w niebogłosy.

Jeden z żołnierzy próbował je uspokoić.

- Sam mam małe dzieci - wyjaśnił. Po chwili już pokazywał zdjęcia sympatycznych maluchów. Anna wpatrywała się w małe buzie, podczas gdy carabinieri przeczesywali ich samochód.

Mario dziękował Bogu, że starannie złożył koc i umieścił go na siedzeniu, a nie zostawił na podłodze. Po piętnastu ciągnących się bez końca minutach pozwolono im odjechać.

- Dzięki ci, Boże - szeptała Anna w drodze do domu. Francesco i Elisabetta wypatrywali ich niecierpliwie.

- Złe nowiny. - Teść nie zwlekał z przekazywaniem wiadomości. - Oddział partyzantów schodzi dziś z gór.

Wysadzali pociągi, żeby nie dopuścić Niemców do granicy francuskiej. Mamy się z nimi spotkać i doprowadzić do Montalcino. Stamtąd zabierze ich nasz człowiek.

Mario skinął głową. - Zaczynamy mieć dużo pracy.

Nicoletta spała w ramionach matki. Mario zaniósł Giulia na górę.

Tej nocy Anna i Elisabetta razem czekały na powrót mężczyzn.

- Przed nami jeszcze wiele takich nocy - zauważyła Elisabetta. Anna dziękowała losowi za opanowanie teściowej.

Według Mary Rose, wojna była po prostu nudna. Wszyscy znajomi uciekali z Londynu. Przyjaciele nie wytykali nosa z wiejskich posiadłości.

Nie było dnia, w którym nie myślałaby o Annie, zwłaszcza po tym, jak Włochy oficjalnie wypowiedziały wojnę Wielkiej Brytanii. Anna była uwięziona w Toskanii jak mysz w pułapce, na siłę związana z krajem dalekim raczej w sensie politycznym niż geograficznym. Mary Rose nie chciała nawet wyobrazić sobie, jakie życie prowadzi teraz przyjaciółka.

Jedynych emocji dostarczały jej bombowe ataki na Londyn. Od początku września niemieckie bombowce pluły na miasto gradem śmiertelnych ładunków wybuchowych. Ludzie wpadali w panikę, a Mary Rose odczuwała podniecenie na samą myśl o eksplozjach, strachu, wyciu syren. Nie przyznała się nikomu, że ten koszmar budzi w niej rozkoszne dreszcze. Zataiła to nawet przed Crispinem, który był najbardziej perwersyjnym mężczyzną, jakiego znała. Skrzętnie skrywała swoje emocje i udawała, że umiera z nudów.

- Jeśli jeszcze raz usłyszę coś o „naszych chłopcach na froncie”, zacznę wrzeszczeć - stwierdziła pewnego dnia.

Crispin leżał obok. - Mary Rose, tam giną ludzie, a twój zakichany kraj ma to w nosie.

- To nie moja wina. Zresztą, dlaczego mielibyśmy uprzętać wasz bałagan?

- Roosevelt przyczynił się do tego bałaganu, sama o tym wiesz. Gdybyście włączyli się na początku, zrobilibyśmy z Niemców krwawą miazgę.

Opadła na plecy. - Na Boga, Crispin, ale z ciebie prowincjusz. -

Nudził ją. Chciała wracać do Londynu. - Jutro muszę być w mieszkaniu pani Gułbenkian. Obiecałam jej, że dopilnuję wieszania nowych zasłon.

- Unikasz mnie, prawda?

- Ale skąd, kochany. - Przysunęła się bliżej i oparła dłoń na jego udzie. Ciekawe, ile kobiet przekonuje w tej chwili swoich mężów, że mają na nich ochotę, chociaż tak naprawdę seks z nimi jest ostatnią rzeczą, o której marzą, zastanawiała się, automatycznie wykonując odpowiednie ruchy. Chyba miliony, stwierdziła później. Crispin dyszał ciężko. Po długich staraniach udało mu się osiągnąć orgazm.

Wstała z łóżka i zniknęła w drzwiach łazienki. - Małżeństwa umierają z nudy - oznajmiła swemu odbiciu. - Ze śmiertelnej nudy.

W Londynie czekała na nią wiadomość od Justina. Był w mieście.

- Cześć! Co ty tu robisz?

- Przyjechałem służbowo. Musimy się spotkać! Chcę, żebyś zobaczyła mój nowy mundur. Wyglądam fantastycznie! Musiała się roześmiać. Justin był dumny jak mały chłopiec. - Z wielką chęcią. Zaproś mnie dzisiaj na kolację. Potem zadzwoniła do Trávisa.

- Słuchaj, nie możemy się dzisiaj spotkać. Mam randkę z Justinem. -Przez chwilę opanowało ją poczucie winy, kiedy usłyszała żal w jego głosie. Wzruszyła ramionami. Trudno, Travis musi się pogodzić, że w jej życiu istnieje także Justin. Poza tym, nie chciała zbyt uzależniać się od jednego mężczyzny. Justin to dobry kompan, przekonywała się, wkładając niebieską suknię z trenem.

- Jezu, Justin, wyglądasz po prostu bosko! - Wsiadła do jego taksówki. - Zaprosisz mnie do Savoya?

- Jasne, złotko. - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. - Bardzo schudłaś, Mary Rose.

Savoy był elegancki i wytworny jak zawsze, chociaż grube, czarne zasłony nadawały sali restauracyjnej ponury nastrój.

Przy wędzonym łososiu i ostrygach Mary Rose poczuła, że znika jej napięcie. Niecierpliwie czekała na moment, w którym pójdą do łóżka. Justin był znakomitym kochankiem, a ona od dawna już nie kochała się z normalnym, zdrowym mężczyzną.

W jej mieszkaniu rozebrał się szybko i nagi wszedł do kuchni.

- Wiesz, Mary Rose, bardzo nam dobrze ze sobą, prawda?

- Owszem. - Wyszła z łazienki ubrana w biały szlafrok.

Justin przyciągnął ją do siebie i wsunął dłonie pod miękką tkaninę.



- Od dawna na to czekałem - mruknął ochryple.

- Ja też. - Mary Rose oplotła jego szyję ramionami.

Później leżeli w ciemnościach, rozjaśnianych jedynie rozżarzonymi czubkami papierosów.

- Uważam, że trzeba mieć kochanka, który pali. - Mary Rose głęboko

**321**

zaciągnęła się dymem. - A Crispin nie pali. Pije jak smok, ale nie zna się na winach. I jest do niczego w łóżku.

- Czyżbym słyszał niezaspokojoną mężatkę? - zapytał drwiąco.

- Owszem. Spróbuję pozbyć się go, ale to nie będzie łatwe. Nie na mnie mu zależy, lecz na moich pieniądzech. Jego okropna matka będzie się sprzeciwiała rozwodowi, bo wie, że beze mnie zostaną bez grosza. Nie uśmiecha mi się jednak utrzymywanie bandy darmozjadów do końca życia.

- Olej go i wracaj do Nowego Jorku. Będziemy hulać do upadłego.

- Nieee, nie chcę wracać do Nowego Jorku. Lubię Londyn. Dobrze mi w tym mieszkaniu. Kocham Sloane Square, a Travis jest cudownym przyjacielem. Nie, nie chcę wracać. Zresztą, dopóki trwa wojna, cywile nie mają szans, żeby się stąd wydostać.

Przesunął dłonią po jej brzuchu. - Robisz się za chuda. Rozsunęła uda. - A tobie staje. Powinniśmy coś z tym zrobić, nie uważasz?

Papierosy wylądowały w popielniczkach. Pokój spowiły kłęby dymu.

- Było wspaniale. - Oddychała szybko. - Zawsze byłeś świetnym kochankiem, Justin. Aż szkoda, że jesteś takim draniem w stosunku do kobiet.

- Nie do wszystkich, przyznasz. Przecież ciebie nie traktuję źle?

- Tylko dlatego, że ci na to nie pozwalam, mój drogi. Lubię mężczyzn, ale wiem, że tylko nieliczni potrafią dochować wierności. Ci z kolei są zazwyczaj nudni. Tak więc wybieram sobie najlepsze okazy, a ty jesteś jednym z nich... Chce mi się spać - oświadczyła nagle i w chwilę potem zasnęła.

Justin spojrział na nią czule. Tutaj, w swojej sypialni, w swoim łóżku, wydawała się taka młoda i wrażliwa.

Pokój, elegancki i wygodny, odzwierciedlał jej charakter.

Szkoda, że nie potrafię być wierny takiej kobiecie jak ona, pomyślał. Na świecie istnieje jednak tyle pięknych dziewcząt. Wynajdywał je jak wyżeł kaczki. Zanim zasnął, obiecał sobie, że kiedy się zestarzeje, ożeni się z dziewicą i ustatkuje.

Mężczyźni wrócili dopiero wczesnym rankiem. Mario nie mógł utrzymać się na nogach. - Doszliśmy do Montalcino - opowiadał. - Ojciec został z partyzantami, a ja poszedłem do baru i zamówiłem kawę. Teraz, kiedy już jestem w domu, muszę przyznać, że oszukiwanie Niemców to niezła zabawa. Na razie nie mają tu nic do roboty i pewnie dlatego zaczęli dobierać się do naszych kobiet. Na szczęście, tylko nieliczne im ulegają. W każdym razie, szybko znalazł mnie tamtejszy łącznik. Podał hasło. Wyszedłem z baru i wróciłem na wzgórze za miastem, gdzie czekał ojciec. Przez ten czas tamten człowiek szedł za mną. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Tym sposobem żaden z nas nie zdradzi drugiego, jeśli wpadniemy w ręce Niemców, przecież nie znamy nawet naszych imion.

Położyli się spać, ale on był zbyt podekscytowany, by zasnąć. Anna przypominała sobie, że nie jadł nic od południa.

- Chodźmy do kuchni. Zrobię ci kanapkę z prosciutto. Cichutko wymknęli się z sypialni.

- Myślałem o tobie cały czas - szepnął. - O tobie i o dzieciach. Modliłem się, żebym mógł do was wrócić.

- I wróciłeś, Mario.

Patrzył, jak starannie kroi szynkę i rozlewa wino do kubków. Nagle zachichotała jak mała dziewczynka.

- Przyznasz, mój drogi, że nieczęsto zdarza się nam ucztować o wpół do piątej rano.

Kiedy wrócili do łóżka, zupełnie odechciało jej się spać.

### 322

- Kochaj mnie, Mario.

Posłusznie wziął ją w ramiona. W jej ciepłym wnętrzu był bezpieczny. Zasnęli wtuleni w siebie.

Wojna wywierała swoje piętno na Asciano. Coraz więcej twarzy zniknęło z tłumu na rynku, bo Niemcy zachęcali do donosicielstwa. Na *crete* i w lasach ukrywało się dziesiątki ludzi. Mario i Francesco spędzali coraz więcej nocy poza domem.

Niemców ogarnęła istna obsesja: ęchcieli wiedzieć wszystko o wszystkich. Otwierali kopniakami drzwi i wyciągali śpiących z łóżek. Walili kolbami karabinów przechodniów na uliczkach. Pijani niemieccy żołnierze grali w piłkę nożną z Żydami, którzy wpadli im w ręce, a potem odstawiali ich na stację kolejową. Stamtąd zaplombowane wagony zabierały ich w dal i nikt już o nich nie słyszał.

Pół roku później znowu obudził ich chrzęst żwiru pod wojskowymi butami.

- Czy ukrywacie kogoś w stodole? - gruby niemiecki oficer nonszalancko kiwał się na obcasach.

- Nie, w naszej stodole nikogo nie ma. Proszę iść i sprawdzić. - Mario zachował zimną krew.

Oficer poczłapał do stodoły.

- Zaczyna się - mruknął Francesco do syna. - Są za leniwi na Wchodzenie po schodach, więc strzelają w sufit. W ten sposób zabili kilkanaście kobiet i dzieci w sąsiedniej miejscowości.

- Sukinsyny. - Mario zacisnął zęby z wściekłości.

Anna była w pokoju dziecięcym. Trzymała dzieci na ręku. Bliźnięta, które niedawno zaczęły chodzić, krzykiem domagały się powrotu na ziemię.

- Wyjdź stąd! - wrzasnął do niej Niemiec. - i ucisz te bachory. Idąc przez pokój, dźgał bagnetem obicia mebli. W salonie porysował

lakierowany stół. Im dłużej bezowocnie szukali, tym bardziej się denerwował. . . . .

Zawołał swoich żołnierzy i razem wtargnęli do spiżarni. Mano nie przejmował się tym, bo, podobnie jak inne rodziny z Asciano, zostawili w spiżarni tyle tylko, by zaspokoić żołdecką żądę grabieży i niszczenia. Większość zapasów ukryto w lesie i w jaskiniach.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, kiedy naburmuszony oficer obejrzał dokładnie ich dokumenty i opuścił farmę.

Anna wybuchła płaczem. - Jak ludzie mogą być tacy okropni? -szlochała. Nagle zamilkła.

- Muszę iść zobaczyć, co z Pilar. - Niemal wpełchnęła dzieci Elisabet-cie i wybiegła z domu.

Pilar siedziała przy palenisku. Na jej kolanach leżała kotka.

20 - Dwie drogi

**305**

- Postrzelili ją - chlipała. Łzy spływały po starej twarzy prosto na małe ciało. - No, malutka, nie martw się. Pilar ci pomoże. - Wiedziała jednak, że nie przywróci zwierzątku życia. Kula przeszła żołądek Krew barwiła szkarłatem ręcznik i fartuch staruszki.

Anna oparła dłoń na kościstym ramieniu. Widziała, jak w oczach kota gaśnie ostatnia iskierka życia.

- Tak mi przykro, Pilar - szepnęła. - Tak mi przykro. Pilar uniosła stygnące ciało do ust. - Żegnaj, maleńka.

- Daj mi ją. Tommaso ją pochowa. Sama nie dasz sobie rady, ziemia jest jeszcze za twarda.

- Dziękuję. - Pilar nadal płakała, ale była już dużo spokojniejsza. Anna wracała do domu z martwą kotką w ramionach.

- To zły znak, signora. - Tommaso wziął od niej nieżywe zwierzątko. - To bardzo zły znak.

## 73

Tego roku odbywało się niewiele bali. Mary Rose tylko z nudów chodziła na męczące koktajle i monotonne kolacje na wsi.

Belinda, żona Ralpa, mieszkała niedaleko. Była to cicha, niepozorna istotka i Mary Rose nie przepadała za jej towarzystwem, jednak co jakiś czas spotykały się na herbacie.

- Jestem w ciąży - wyznała Belinda pewnego dnia. - Ralph bardzo się ucieszył. Niedawno dzwonił z Szanghaju.

Zdażył tylko krzyknąć, żebym uważała na siebie, i już przerwano połączenie, ale wystarczyło mi, że słyszałam jego głos. Mary Rose nie potrafiła opanować zazdrości na widok jej rosnącego brzucha. Nie mogła też słuchać jej beztroskiego paplania zakochanej kobiety, bo sama czuła coś wręcz odwrótnego. Ostatnio coraz częściej wyobrażała sobie, jakie cudowne byłoby życie bez Crispina.

Na początku, zaraz po ślubie, nie znała w Anglii nikogo i ciągle szukała jego towarzystwa. Później, kiedy poznawała coraz więcej osób, zaczęło do niej docierać, jak zepsuty i dziecinny jest Crispin. Amelia spełniała każdą jego zachciankę. Wystarczyło, by wszedł do pokoju, a matka już kręciła się koło niego jak troskliwa kwoka i nie spoczęła, dopóki nie zaspokoila jego życzeń. Siostry rozpieszczały go i odpychały jednocześnie, rywalizując o względy matki. Pułkownik trzymał się na uboczu i ze stoickim spokojem obserwował rodzinne przepychanki. Nieraz przychodził do małego domku ponarzekać na zaborczą żonę, nigdy jednak nie spotkał się z odzewem ze strony Mary Rose.

Nauczyła się już, że wszystko, co powie, i tak trafi do rezydencji. W tej

rodzinie wszyscy szpiegowali wszystkich. Zaczynała mieć tego serdecznie dosyć.

Nie mogła spakować się i uciec do Anny, bo nie miała jak przedostać się na kontynent. Z podobnych przyczyn nie mogła wrócić do Nowego Jorku. Nie chciała też roztkliwiać się nad nieudanym małżeństwem w czasach, kiedy ludzie umierali jak muchy.

Większą część dnia Kearneyowie spędzali, studiując w Timesie listy poległych i zaginionych.

- Peterson dostał. - Pułkownik sięgnął po tosta. - Co, mój chłopcze, udało ci się z tym płaskostopiem, prawda? Gdyby nie to, tkwiłbyś już hen, w okopach, tak jak ja, w błocie po pas i...

- Tak, tak, tatku. Wiem, pamiętam. Sam widziałeś, jak rozwalili wasz pluton. Czy wywarło to na tobie aż takie wrażenie, że od tamtego czasu nie skalałeś rąk pracą?

Pułkownik poczerwieniał, a Crispin wycofał się, jak zwykle unikając otwartego starcia.

- Nie miałem nic złego na myśli - bronił się.

- Lepiej, żebyś to ty znalazł sobie jakieś zajęcie, a nie leniuchował całymi dniami.

Catherine przewróciła oczami i wykrzywiła się do siostry.

- Na Boga, przestańcie się kłócić. Powinniście obaj zająć się działalnością charytatywną.

- Co? Ja miałbym zwijać bandażę? A może szykować paczki z jedzeniem? - Crispin nie posiadał się z oburzenia.

Mary Rose przyglądała się szwagierkom z nie skrywaną niechęcią. Catherine odpowiedziała jej fałszywie słodkim uśmiechem.

- A jak ty służysz krajowi, Mary Rose? - rzuciła po chwili. Zapytana uśmiechnęła się szeroko.

- Cóż, moja droga, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, wybieram się do szpitala St George. Będę podawać rannym herbatę i czytać im gazety.

- Mary Rose, nie zrobisz tego! - Crispin był zgorszony.

- Dlaczego nie? Wczoraj widziałam się z Belindą i to ona namówiła mnie do tego. Skoro takie chuchro może się na coś przydać, to mogę i ja. Właśnie staram się wymyślić jakiś seksowny mundurek.

- Ależ, moja droga, uniformy wolontariuszek zaprojektowano już dawno. - W głosie Amelii słyszała lekceważenie i pogardę.

- Nie szkodzi. Hartnell zaprojektuje nowe specjalnie dla nas. Travis go o to poprosi.

Crispin ciągle jeszcze nie otrząsnął się z zaskoczenia. - Mówisz poważnie, Mary Rose? Zdawało mi się, że chciałaś siedzieć w domu i mieć dziecko. Nie wiem czy wiesz, że dzieci nie da się robić na odległość.

- Wiem. - Zbladła nagle. - Ale nie wiem, czy ty wiesz, że żeby robić dzieci, trzeba się pieprzyć, a ostatnio nieczęsto nam się to zdarza, prawda?

**326**

Zaszokowała ich tymi słowami. Kearneyowie pograżyli się w lodowatym milczeniu. . .

Przez kilka ostatnich miesięcy Crispin wychodził wieczorami i pił. Kiedy wracał, usiłował spełniać małżeńskie obowiązki, ale rzadko odnosił sukcesy. Nienawidziła jego przesyconego alkoholem oddechu. Brzydziły ją nieporadne ręce szarpiące jej ciało. A im bardziej się od niego odsuwała, tym silniej chciał ją zatrzymać.

Pewnej nocy usłyszała, jak niezdarnie wspina się na schody. Niepewna, czy jest pijany, czy naćpany, zamknęła się w łazience. Słyszała, jak ją woła.

- Mary Rose! Gdzie jesteś? Chodź do mnie! - Po odgłosach zorientowała się, że na chwilę wrócił do salonu. Zaraz jednak wznowił mozolną wspinaczkę po schodach. - Mary Rose! I tak cię znajdę!

Po raz pierwszy przestraszyła się naprawdę. Crispin doczłapał już do sypialni. Zapalił światło; jasna smuga przeniknęła pod drzwiami do jej kryjówki. Słyszała, jak sapie ze złością, kiedy odkrył, że nie ma jej w łóżku. Potem zatoczył się na drzwi łazienki.

- Wylaż, ty dziwko! - Walił pięściami w drzwi, aż wreszcie, wyczerpany, osunął się na podłogę. Z wahaniem uchyliła drzwi. Crispin zerwał się na równe nogi i złapał ją za ramię.

- O co chodzi? - Nie chciała już go prowokować; nie zależało jej na nim, już nie. Spojrzała na niego z obrzydzeniem. Wtedy zrozumiał, że nie ma już nad nią władzy. Jego reakcja sprawiła, że zaniemówiła ze zdumienia.

Crispin zachował się jak rozkapryszony pięciolatek: tupał, wymachiwał pięściami, skakał i krzyczał.

- Chcę, żeby mnie kochano takim, jaki jestem - szlochał i młócił pięściami powietrze.

- Takim, jaki jesteś, może cię kochać tylko twoja nienormalna matka. - Sama nie mogła uwierzyć, że to ona mówi tak spokojnym głosem. - Idź do łóżka. Rano porozmawiamy.

Sama nie zmrużyła oka. Przez całą noc snuła plany na przyszłość.

Kiedy świt przeradzał się w nowy dzień, uświadomiła sobie, że te plany dojrzewały w niej od dawna, od dnia, w którym po raz pierwszy wyjechała do Londynu na randkę z Travisem.

Spojrzała na śpiącego męża i szybko otarła pojedynczą łzę spływającą po jej policzku. Nigdy się nie kochali, ani ona jego, ani on jej. Zbliżyły ich inne wartości: on potrzebował pieniędzy, ona - stabilizacji. Małżeństwo nie zaspokoilo jednak żadnego z nich.

Czuła, że zawiodła. Anna miała Maria, Belinda niecierpliwie wyglądała powrotu Ralpha. Tylko ona była nieszczęśliwa.

Być może nie jest jej pisane szczęście u boku mężczyzny, ale nie pozwoli odebrać sobie wolności. Nie chce dłużej żyć w strachu. Nie pamiętała już, co to znaczy żyć bez wysłuchiwania wiecznej krytyki i nagany.

**309**

To Travis pokazał jej, czym jest partnerstwo. Nauczył ją delikatności, bo sam nigdy nie ranił bliskich mu osób. Ze wstydem przypomniała sobie, ile razy sprawiła mu ból swoimi zjadliwymi uwagami. Przyjeżdżała do Londynu najeżona, ciągle przygotowana na ataki Crispina. Zamiast tego krzywdziła Trávisa, zapominając, że ostre słowa nie są w jego stylu.

Czekała, aż Crispin ocknie się z pijackiego snu.

- Ile, Crispin? - spytała twardo. Pili właśnie ranną kawę. Na dole warczał odkurzacz. To pani Birstall, sprzątaczką, buszowała po salonie z właściwym sobie wigorem.

Jego oczy zaświeciły jak u wilka. Wprostował się i odstawił filiżankę na spodek.

- Zakładam, że masz na myśli, ile będzie cię kosztowało usunięcie mnie z twojego życia?

- Tak. - Nie poruszyła się. Teraz, kiedy poczuł zapach pieniędzy, zaczyna się dławić własną chciwością.

- Cóż, staruszko, muszę się nad tym zastanowić. Jestem zaskoczony twoją decyzją. To znaczy, przecież mówimy o naszym małżeństwie.

- Wiem o tym doskonale, Crispin. Dziwi mnie, że tak cię zaskoczyłam. - Wiedziała, że kłamał. Być może od początku planował doprowadzić ją do tego, by zażądała rozwodu. Może chciał znęcać się nad nią tak długo, aż zechce kupić sobie wolność. Była idiotką. Teraz jednak, kiedy wolność jest tuż-tuż, nie pozwoli mu na żadne sztuczki.

- Nie mogę ci udzielić natychmiastowej odpowiedzi. - Starął się nie okazywać swego podniecenia, ale i tak wychwyciła niemal niesłyszalne drżenie jego głosu.

- Dzisiaj po południu jadę do Londynu i wrócę za dwa dni. Może wtedy się zdecydujesz?

To da mu czas na naradę z matką, pomyślała. Razem zdecydują, jaka suma pozwoli mu żyć w luksusie. Wtedy ona wróci do Stanów i jej noga nigdy już nie postanie w małym domku.

- Dziękuję, Crispinie. - Wstała z łóżka i naga poszła do łazienki.

- Ej, staruszko, nie masz ochoty na szybki numer? W imię starych, dobrych czasów? - Na myśl o pieniądzech dostał erekcji.

- Wielkie dzięki, ale nie. - Mary Rose starannie zamknęła za sobą drzwi. Była zmęczona, ale szczęśliwa. Była wolna. Teraz musi tylko umiejętnie przeprowadzić negocjacje.



Pilar bardzo ciężko przeżyła śmierć kotki.

- Moje koty są dla mnie jak dzieci - tłumaczyła Annie.

- Wiem, Pilar, wiem. - Przytuliła ją do siebie. - A one kochają cię i chronią. Zobacz, ten malec wygląda zupełnie jak szary szal, kiedy tak układa ci się na stopach.

Starła się codziennie zajrzeć do chatki Pilar. Za każdym razem przyprowadzała ze sobą dzieci.

Asciano się zmieniło. Nie było to już urocze miasteczko, w którym każdy przyjaźnił się z każdym. Strach i troska o własne życie zburzyły harmonię. Nikt już nie przychodził do Pilar po pomoc. Francesco zaproponował, żeby przeniosła się na farmę, ale stara wiedźma dumnie potrząsnęła głową.

- Tu się urodziłam i tutaj zostanę. Proszę bardzo, mogą mnie zabić. Przeżyłam już swoje życie. I tak na mnie czas. - Splunęła z pogardą. - Sukinsyny! - prychnęła i zniknęła w chatce.

Francesco parsknął śmiechem. - To dopiero charakterek!

Mimo hartu ducha Pilar, Anna nie mogła uporać się z okrutną rzeczywistością. Mario nie mówił jej, gdzie spędza większość nocy. Czasem on i Francesco przepadali na całe dni.

Nie mogła dojść do ładu z własnymi uczuciami. Należała do tej rodziny i do Maria, ale nadal bardzo tęskniła za Ameryką i za rodzicami. Sytuację pogarszał fakt, że od dawna nie mieli żadnych wiadomości zza Oceanu: wojna na to nie pozwalała.

Wszyscy wiedzieli, że na strychu ukrywają się ludzie. Kiedy Lisa niosła

na górę tace jedzenia, milkły wszelkie rozmowy. Dzieci wyczuwały, że nie należy zadawać żadnych pytań. Na listach osób zaginionych codziennie pojawiały się nowe nazwiska. Przyjaciele Elisabetty, Żydzi, ukrywali się we Florencji.

Anna wiedziała dużo więcej o okropnościach wojny niż jej najbliżsi. Niewiele wiadomości docierało do Asciano, ale ona widziała bombardowanie Londynu. Martwiła się o Mary Rose. Czy nadal jest w Anglii? A może zdążyła wyjechać do Stanów?

Zdawała sobie sprawę, że we Francji ci, którzy nie współpracują z okupantem, umierają w męczarniach. Ameryka była o krok od przystąpienia do wojny.

I wtedy dowiedzieli się o Pearl Harbor.

Wpadli w euforię. Co chwila powtarzali sobie nowinę, którą ktoś usłyszał w radioodbiorniku ukrytym w lesie.

- Amerykanie nadchodzą! - Mario wpadł do domu z rozjaśnioną twarzą. - Już niedługo wypędzimy Niemców.

Zgnieciemy ich! Będą gryźli piach!

Nie poznawała go. Nie mogła uwierzyć, jak bardzo wojna zmieniła męża. Pałał nienawiścią i żądzą krwi. Wiedziała, że był świadkiem okrucieństw, o których jej nie mówił i nigdy nie powie. Była tego pewna, bo nocami tuliła jego ciało wstrząsane koszmarami. Ze ściśniętym sercem słuchała rozkazów wydawanych przez sen.

Pewnej nocy obudził ją krzyk:

- Nie strzelaj! Nie strzelaj! - i szloch. Obudziła go. - Kochany, co ci się śniło?

Spojrzał na nią poważnym wzrokiem. - Nie chciałybyś słuchać, cara. Tę noc przespał spokojnie aż do rana.

Teraz wyciągał z ukrycia butelkę wina. - Chowałem na specjalną okazję. Nie będzie lepszej niż dzisiaj. Już niedługo koniec wojny.

Następnego dnia Anna zauważyła zmianę w postawie mieszkańców Asciano. Do ich oczu powróciła nadzieja, ich krok odzyskał dawną sprężystość.

Anna szła ostrożnie. Starła się nie ściągnąć na siebie uwagi Niemców, od których roiło się w miasteczku. Stali na rogach ulic. Siedzieli w barze przy kościele, skąd uprzednio przepędzili starców.

- Nie liczcie, że Amerykanie wam pomogą! - pokrzykiwali co chwila. - Będziemy mieli kim palić w piecach!

Minęła ich ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wyczuła, że grupa żołnierzy wskazuje ją palcem. Zapewne tłumaczyli sobie, że to jedyna Amerykanka w Asciano. Śpieszyła się do domu. Chciała opowiedzieć o wszystkim Mariowi.

- Jutro ukryjemy was w jaskini - zdecydował. - Dzisiaj wieczorem zrobimy próbę generalną.

O dziesiątej, kiedy umyto już naczynia po kolacji, Mario i Francesco

ustawili Annę, Elisabetę, Lisę i dzieci gęsiego i rozdzielili między nie tobołki z ubraniem i jedzeniem.

- Idźcie do lasu i nie wracajcie, dopóki nie zawołam - polecił Mario. Posłusznie ruszyła w stronę zarośli. Niosła Nicolettę. Za nią szła Lisa z Giuliem na rękę.

Przebiegły przez trawnik i zniknęły wśród drzew.

Wtedy zobaczyły reflektory. Drogą zbliżały się samochody pełne żołnierzy. Anna chciała wracać, ale Elisabetta złapała ją za ramię.

Lisa wzięła od niej Nicolettę. - Pójdę z dziećmi przodem - szepnęła i puściła się biegiem.

Elisabecie zdawało się, że słyszy, jak synowej wali serce.

- To Niemcy - szepnęła Anna. - Przyjechali po mnie. Muszę wracać, bo w innym wypadku zabiorą Maria i Francesca i będą ich torturować. - Chciała się uwolnić, ale Elisabetta trzymała ją mocno. Anna była zaskoczona siłą teściowej.

- Nie możesz tam iść, Anno. Zabiją nas, jeśli zobaczą, że wychodzisz z lasu. Musimy iść do dzieci.

- Ja chcę wracać do Maria! - Nie dawała za wygraną.

- Ale Mario wcale by tego nie chciał, zrozum. Chciałby, żebyś się zaopiekowała jego dziećmi. Słuchaj - syknęła. - Noblesse oblige. Znasz motto naszej rodziny. Czas na nas.

Słyszały, jak Niemcy co chwila powtarzają słowo Amerikaner. Elisabetta głośno wciągnęła powietrze, kiedy ujrzała wzniesioną kolbę karabinu. Jeden z mężczyzn upadł na ziemię.

Elisabetta jęknęła i przycisnęła głowę Anny do swojej piersi.

- Chodźmy już - ponaglała. - Musimy już iść.

Anna nie ruszała się z miejsca. - Mario - błagała. - Boże, nie pozwól mu zginąć. - Płakała ze strachu.

Strzał rozniósł się echem po okolicznych wzgórzach. Mężczyzna na ziemi zadrgał konwulsyjnie, a potem znieruchomiał. Drugim był Francesco. Stał wyprostowany i dumny w jasnym świetle księżyca. Przez chwilę spoglądał w stronę lasu i Elisabetta wiedziała, że myśli o niej.

- Żegnaj, ukochany - szepnęła przez łyzy. - Zawsze będę cię kochała. Obie płakały, kiedy biegły przez ciemny las. Z dala dochodził rubaszny śmiech i gardłowe głosy Niemców.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała Anna, był Mario rzucający się w przedśmiertnych drgawkach. Potem jej umysł zgasł jak zdmuchnięta świeca.

75

Kochanie? - Elisabetta uklękła koło Anny. Młoda kobieta siedziała nieruchomo, splótszy ręce na podolku. Nie zwracała uwagi na dzieci, które bawiły się tuż obok.

- Co się jej stało? - Lisa była przerażona.

- Nie wiem. Chyba jest w szoku. - Elisabetta nie dawała za wygraną. - Anno, spórz, to Nicoletta, twoja córeczka. Nicoletto, daj mamusi buziaczka.

Lisa podniosła małą. Dziewczynka złożyła wargi do pocałunku i głośno cmoknęła matkę w policzek. Na ustach Anny pojawił się słaby uśmiech, ale żadne światelko nie rozjaśniło jej pustych oczu.

Elisabetta odgarnęła włosy do tyłu i rozejrzała się po jaskini. Mężczyźni odwalili kawał dobrej roboty. Kobiety miały do dyspozycji drewniane prycze, sienniki i koce. Pod ścianą piętrzył się stos drewna na opał. Jaskinię zaopatrzone w tak wiele zapasów, że uciekinierzy mogli bez obaw spędzić tam dłuższy czas.

- Byle nie za długo - mruknęła Elisabetta, z trudem powstrzymując łzy napływające do oczu. Nie mogła teraz płakać, miała zbyt dużo do zrobienia.

Lisa pochlipywała od początku, od kiedy schroniły się w jaskini poprzedniej nocy. Dzieci drzemały najedzone.

Elisabetta ugotowała rano duży garnek makaronu.

Nie była to jedyna jaskinia w okolicy i kobiety spodziewały się, że niedługo skontaktują się z nimi inni mieszkańcy crete. Elisabetta rozpaczliwie czekała na wiadomości o Francescu. Chciała wierzyć, że Mario

332

jeszcze żyje, ale w głębi duszy wiedziała, że to złudna nadzieja. Zbyt wielu mężczyzn umarło na jej rękach, kiedy pielęgnowała ich na strychu. Cały czas miała przed oczyma agonię syna. Już nigdy go nie zobaczy.

- Może to i lepiej, że Anna na razie nie wie, co się dzieje - powiedziała do Lisy. - Wierzę jednak, że wróci do siebie. Na pewno. - Nawet w jej uszach te słowa zabrzmiały mało przekonywająco.

Nie wiedziała, czy dadzą sobie radę, dwie kobiety z dwójką małych dzieci i Anną, obecną tylko ciałem, ale nie duchem. Nie podda się jednak. Wyprostowała się i uśmiechnięta zawołała dzieci.

- Czas na mycie, szkraby!

Z trudem przechyliła pojemnik z wodą. Nie mogła go utrzymać i strumień chlusnął na ziemię zamiast do miski. Tego było już za wiele dla Elisabetty. Zaczęła płakać.

Lisa wepchnęła pojemnik na miejsce i objęła szlochającą kobietę.

- Niech pani nie płacze, signora. Wszystko będzie dobrze. Bóg nie opuści nas w potrzebie.

W takich chwilach Elisabetta zazdrościła prostej Lisie jej szczerzej wiary. Otarła łzy i ponownie sięgnęła po pojemnik.

- To zabawne. W milczeniu przyjmuję najboleśniej ciosy, a kiedy wyleję trochę wody, rozpadam się na kawałki. Och, Liso, wydaje mi się, że to po prostu koszmarny sen. Zaraz się obudzimy i będziemy w domu, bezpieczne i szczęśliwe.

- To jest koszmar, ale niestety nie można się z niego obudzić. Garnek był już pełen, więc Lisa zawiesiła go nad ogniem. Palenisko

było usytuowane przy wylocie jaskini, tak że dym ulatywał na zewnątrz.

Elisabetta wyszła na dwór. Nad nimi wznosiły się strome ściany głębokiego wąwozu. Wiosna nie zazieleniła jeszcze wzgórz i otaczał je ponury, księżycowy krajobraz.

Kobieta szczerzej otuliła się szalem i zadrzała. Nad *crete* hulał przenikliwy, ostry wiatr. To *tramontana*, wiatr samobójców, przypomniała sobie. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Wróciła do jaskini, uspokojona, że przynajmniej wichura rozwieje dym i na razie nic nie zdradzi ich kryjówki.

W ciągu dwóch następnych dni wykopały z Lisą prowizoryczne szambo za wątlym drzewkiem tulącym się do ścian wąwozu.

Elisabetta zajęła się pracą ponad siły, byle nie myśleć o śmierci syna i cierpieniach męża. Odkopła sześć wielkich szynek, które mężczyźni ukryli w lesie. Powiesiła je w jaskini na gałęzi, którą przyniosła z wąwozu. Był to umęczony, powykręcany wiatrami konar. Elisabetta widziała w nim siebie. Tylko że ona nie mogła się poddać, nie mogła się złamać. Musiała przetrwać dla wnucząt.

- Dobrze, że mamy drewno na opał i jedzenie, inni są pozbawieni nawet tego - pocieszała się.

Czwartego dnia umyła Annę i posadziła na sienniku. Synowa będzie siedziała tam tak długo, aż ktoś wyprowadzi ją na zewnątrz.

- Anno - Elisabetta nie ustawała w wysiłkach, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Jediną odpowiedzią na ich starania był blady uśmiech. Anna nie reagowała, kiedy Giulio i Nicoletta wdrapywali się jej na kolana. Maluchy nie rozumiały, czemu mama nie zwraca uwagi na ich całusy. Wtedy Lisa szybko wymyślała dla nich nową zabawę. Elisabetta zbierała siły przed kolejnym zadaniem. Powinny wykopać nowe szambo.

Nagle znieruchomiała. Ktoś szedł wąwozem. Szybko wróciła do jaskini i, przykładając palec do ust, nakazała ciszę.

- Ktoś jest na zewnątrz - szepnęła.

Dzieci schowały się za nią. Lisa wzięła Annę za rękę, ale szybko zorientowała się, że młoda kobieta nie czuje strachu. Żyła w swoim świecie.

Wysoka postać przesłoniła im słoneczny blask.

- W porządku, to ja. Nie bójcie się. - Podszedł do Elisabetty.

- Tommaso! - Rzuciła mu się na szyję. - Tommaso, to naprawdę ty? Nie odrywał wzroku od pustej twarzy Anny.

- Co się stało z signorą Anną? - Był przerażony jej nieobecny spojrzeniem.

- Widziałyśmy, jak Niemcy strzelali do Maria. Nie żyje, prawda?

Ze smutkiem pokiwał głową. - Tak. Pochowaliśmy go, ja i Nico. Nie dostaną jego ciała. - Pobladł. - Niemcy wieszają na drzewach ciała zabitych, żeby zastraszyć ludzi. My jednak nie tracimy nadziei. Powiedziano mi, że signor Francesco żyje, wywieziono go do Niemiec. - W jego oczach zabłyśły łzy. - Och, Dio, wierzę, że wróci. To był, chciałem powiedzieć, to jest bardzo dobry człowiek.

Elisabetta uśmiechnęła się smutno. - Dziękujemy, że przyszedłeś nam o tym powiedzieć, Tommaso. Teraz czuję, że mam po co żyć. Mój Francesco da sobie radę. Niestraszna mu praca i zimno.

Lisa klasnęła w dłonie. - Przynajmniej jeden z nich żyje. - Spojrzała na Annę. - Dobrze, że ona nas nie słyszy.

Powinniśmy zabrać ją do lekarza.

- Lekarz nic tu nie pomoże, Liso. - Tommaso spuścił głowę. - Musimy mieć nadzieję, że czas zaleczy jej rany.

Aż do wieczora Tommaso opowiadał im nowiny z ostatnich dni.

- Niemcy zajęli dom - mówił. - Na szczęście to oficerowie, więc może nie poniszczą wszystkiego jak prości żołnierze. Chociaż - zamyślił się - z Niemcami to nic nie wiadomo. Amerykanie wkroczyli do Paryża, chociaż walki nadal trwają. Mamy niewiele wiadomości stamtąd. Mój przyjaciel Heinz mówi, że jeśli Paryż padnie, niemieckie wojska zaczną odwrót. Heinz ma już dosyć wojny i chce wrócić do domu, do swojej dziewczyny. Szkoda mi go. To dobry, uczciwy chłopak. Serce mu się kraje, kiedy widzi tyle okrucieństwa i zbrodni. Opowiadał, że z przyjemnością

obserwował Annę i Maria, bo byli tacy zakochani. Chciałby być równie szczęśliwy ze swoją narzeczoną. Bardzo mu przykro, że Mario nie żyje. Poradził mi, żebym już nie wracał do Asciano, bo będą mnie szukać.

Nico wraca na Sycylię. Kazał was pozdrowić i uściskać. Tak więc -uśmiechnął się - jesteście skazane na moje towarzystwo. Przyda się wam mężczyzna do cięższych robót, prawda? - uszczypnął Nicolettę w policzek. - Chodź, maleńka. Wujek Tommaso wykopie nowe szambo. To nie jest praca dla signory.

Wyszedł z Nicolettą na rękę. Giulio podreptał za nimi.

Elisabetta odetchnęła z ulgą. Nie mogła pogodzić się z myślą, że Mario zginął, ale pocieszała ją świadomość, że Francesco żyje. Przeżegnała się pośpiesznie i zaczęła przygotowywać kolację.

- Bóg jest miłosierny - powiedziała do Lisy.

- E vero. Bóg jest miłosierny. To ludzie nie znają litości.

Zupełnie straciłeś rozum, Crispinie! - Amelia poczerwieniała ze złości. - Chyba się jeszcze na nic nie zgodziłeś, prawda?

- Właściwie nie. Powiedziałem, że muszę się nad tym zastanowić. Nie rozumiem, czemu uważasz to za zły pomysł. Nasze małżeństwo w gruncie rzeczy już nie istnieje. Mary Rose ciągle jeździ do Londynu, a ja siedzę tutaj i nudzę się jak mops. Nie chcę marnować resztek młodości. Wyobrażałem sobie, że po ślubie będziemy hulać i podróżować po świecie, ale ona zmieniła się z dnia na dzień. Teraz interesuje ją tylko ta cholerna praca. Jestem pewien, że ma romans ze swoim szefem, Travisem Mainwaringiem. Kiedy chcę ją zdenerwować, mówię o nim Napalony Travis. Odał wargi jak niezadowolone dziecko. Amelia uważnie przyglądała się najstarszemu synowi. Miał trzydzieści cztery lata i zaczynał się starzeć. W jego jasnych włosach pojawiły się pierwsze pasemka siwizny. Znała go na wylot. Wiedziała, że martwi się, bo jest już za stary, żeby podrywać wszystkie dziewczyny, na jakie miał ochotę.

- Byłbyś ostatnim głupcem, gdybyś pozwolił jej wymigać się tak łatwo. Utrzymanie domu pochłania fortunę, a nie zapominaj o twoim stylu życia. Nieważne, ile ci da; i tak przepuścisz to błyskawicznie. Nie, Crispinie. Skoro już złapałeś kurę znoszącą złote jajka, nie powinieneś wypuszczać jej z rąk. Rozwód to najgorsze wyjście. Ona może sobie pozwolić na najlepszych prawników, a nas stać tylko na starego Rydera.

Przez chwilę myślała intensywnie.

- Chyba, że... chyba, że złożyłbyś pozew o rozwód z jej winy... Z powodu cudzołóstwa. - Uniosła znacząco brwi. - Albo tylko zagroził,

336

że to zrobisz. Brukowce rzuciłyby się na taki kasek. Nagłówki w stylu „Pani Kearney w łóżku z Napalonym Travisem”... Może zgodzi się zapłacić za milczenie, a może nie.

- Znasz mnie na wylot, prawda, mamó? - Nie patrzył na nią.

- Tak, Crispinie. I muszę przyznać, że coraz mniej podoba mi się to, co widzę.

- Trudno. To dzięki mnie jednak możesz tkwić w swojej oranżerii i nie martwić się o pieniądze.

Wyszedł. Amelia westchnęła ciężko. Nie może powtórzyć tej rozmowy mężowi, bo pułkownik z uporem bronił Mary Rose. Wstydził się, że ma syna z płaskostopiem i słabymi płucami.



Była zadowolona, że udało się jej powstrzymać syna przed podjęciem zbyt pochopnych decyzji. Nieważne, jak wielką sumę zostawi mu Mary Rose; on i tak przepuści wszystko na hazard i kobiety, a skąd wtedy wezmą pieniądze na utrzymanie domu?

Wzdrygnęła się. Oby dziewczęta wyszły za amerykańskich lotników z pobliskiej bazy. Wtedy wyjadą z kraju i będzie miała cały dom dla siebie. Mąż jej nie przeszkadzał. Zawsze milczący, przesiadywał całymi dniami w fotelu, jak manekin. Lubiła jego towarzystwo.

Tymczasem Crispin dzwonił do starego prawnika Keameyów.

- Panie Ryder - zaczął poufnym tonem. - Na początek muszę mieć pewność, że nikt nie dowie się o naszej rozmowie. Moja matka nie przeżyłaby takiego szoku.

Ryder przewrócił oczami. Już od wielu lat odbywał z Crispinem poufne rozmowy. Zazwyczaj dotyczyły one długów karcianych i zobowiązań wobec kobiet. Nadzieje, że po ślubie z bogatą Amerykanką Crispin się ustatkuje, okazały się płonne.

- O co chodzi tym razem? - zapytał. Starał się ukryć dezaprobatę.

- Podejrzewam, że moja żona ma romans. - Teraz Crispin był naprawdę zły. Jak ona mogła mu to zrobić?

- Rozumiem. Czy ma pan jakieś dowody? - staruszek z trudem stłumił ziewnięcie.

- Mary Rose ma współlnika o nazwisku Napalony... to znaczy, chciałem powiedzieć, Travis Mainwaring. Poza tym, ostatnio prawie nie bywa w domu. Wyprowadziła się do mieszkania swojej klientki przy Eaton Square. Jestem załamany. Nie chcę się dłużej zajmować tą sprawą. Wolałbym, żeby robił to prywatny detektyw. Wie pan, taki, który specjalizuje się w rozwodach i śledzi niewierne żony. No i mężów oczywiście.

- Znam kogoś takiego w Exter. Podam panu telefon do niego. Jeśli pańska żona naprawdę ma romans, mój człowiek zdobędzie dowody. Zakładam, że wtedy zażąda pan rozwodu?

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem, panie Ryder.

- No cóż, mam nadzieję, że da mi pan znać w odpowiednim czasie. - Odłożył słuchawkę. Nie znosił spraw rozwodowych. Strona obwiniana była

najczęściej dużo sympatyczniejsza niż świętoszkowaci pokrzywdzeni, Crispin zaś był najgorszym z nich. Biedna kobieta, jeśli da się złapać na gorącym uczynku, słono za to zapłaci.

Ryder nalał sobie filiżankę herbaty i kichnął potężnie.

„Rodney March, detektyw prywatny” głosiła wizytówka, którą Crispin trzymał w ręku. Znajdował się w małym, ciasnym lokalu, przypominającym biuro detektywistyczne z kiepskich kryminałów.

Coraz bardziej odpowiadała mu rola pokrzywdzonego małżonka.

- W ogóle nie zwraca na mnie uwagi. - Ukrył twarz w dłoniach. Co chwila zerkał na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie biurka wzrokiem, w którym, miał nadzieję, widnieje ból oszukanego kochanka.

- Och, te baby, co? - Rodney przyglądał mu się małymi oczkami ukrytymi w nie ogolonej twarzy.

Miał połamane i popsute zęby. Dlaczego angielska klasa pracująca musi straszyć takimi zębami, zastanawiał się Crispin.

- Nie wiem nic na pewno, ale bardzo dużo czasu spędza poza domem... i ostatnio nie układało nam się zbyt dobrze.

- Wiem, o co panu chodzi. Pewnie nie za wiele... - Rodney pomógł sobie jednoznacznym gestem.

- No, można tak powiedzieć. - Crispin był zażenowany. Czegóż jednak spodziewać się po człowieku, który zarabia na życie szpiegowaniem cudzych żon?

- Dobra, szefie. Rozejrzę się. To na Eaton Square, tak?

Crispin skinął głową. - Proszę, tutaj ma pan jej numer telefonu. Będzie tam przez najbliższe trzy dni.

- Jutro tam pojedę. Niech się pan nie martwi. Jeśli ona kogoś ma, przyłapię ich na gorącym uczynku. - Uśmiechnął się oblesnie. - To jest najlepsze. Przydybać ich na gorącym uczynku.

Crispin z ulgą opuścił biuro detektywa. Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Nie podobała mu się myśl o „gorącym uczynku” z Mary Rose. Nie chciał jej, ale nie chciał też, żeby ktoś inny miał ją, a zwłaszcza jej pieniądze.

Tej nocy śniło mu się, że próbuje kochać się z rudą dziewczyną bez owłosienia łonowego, a Rodney obserwuje go w milczeniu.

Nad crete zawisł księżyc w pełni. W wąwozach tańczyły fantastyczne cienie. Tommaso leżał na plecach, pogrążony we wspomnieniach. Nadszedł już kwiecień, ale on nie pracował w polu, chociaż tam właśnie powinien być. Z wiosną nadchodził czas siewu. Pierwszego dnia po pełni księżyca wysiewano młode ziarno.

Nie potrafił dokładnie określić uczuć, jakie wywołuje w nim myśl

o pracy w polu. Wiedział tylko, że tęskni za kontaktem z tłustą ziemią, przywierającą do butów. Kochał ją. Kochał ciepły zapach. Dbał o pola

i pieścił je tak, jak pieściłby kobietę.

Patrzył w okrągłą twarz księżyca i wyobrażał sobie, że idzie przez zaorane pola z płachtą przewiazaną przez ramię. Dla Tommasa sianie ziarna i kochanie się z kobietą to to samo. Zazwyczaj po siewie jechał do Buonconvento, gdzie w lokalnym burdelu oczekiwała go Maria, gruba i miła prostytutka. Kochał się z nią do utraty sił. W ciągu lat zaprzyjaźnili się, więc, zaspokojony, często zapraszał ją na obiad do pobliskiej restauracji.

Teraz bardzo mu jej brakowało. Usłyszał szelest za sobą, więc się odwrócił; to Lisa nadchodziła od strony jaskini.

- Wszystko w porządku, Tommaso? - Światło księżyca tańczyło w jej czarnych włosach.

- Tak - mruknął. - Usiądź tu i porozmawiaj ze mną.

Stłumiła westchnienie. - Martwię się o signorę Annę. Wcale się jej nie poprawia. Tyle w niej życia, co w dużej lalce.

- Nic nie można na to poradzić, Liso. Jeśli Bóg da, signora wróci do

21 - Dwie drogi

321

siebie. Jedyne, co możemy zrobić, to dbać o nią i mieć nadzieję, że nikt nas nie wyda. To nie do wiary, że front dochodzi już tutaj, do nas. Niemcy są w odwrocie, ale nadal torturują i zabijają naszych braci. My zaś tkwimy na crete. Nie mogę tego znieść. Chciałbym walczyć; jestem człowiekiem czynu.

Lisa przysiadła koło niego. Otoczył go czysty, świeży zapach jej ciała. Tommaso, który dotychczas nie zwracał na nią uwagi, ciągle nie mógł uwierzyć, że taka drobna osóbką może mieć tyle siły. Prała, gotowała, kopała i sprzątała bez słowa skargi. Zawsze wesoło uśmiechnięta, nigdy nie okazywała strachu, a przecież na pewno martwiła się o matkę. Wyręczała w pracy Elisabetę, zajmowała się Anną i bawiła dzieci. Próbowwała urozmaicić ich jadłospis, gotując kaszę i nasiona na kilkanaście sposobów.

Kiedy patrzył w jej duże ciemne oczy, ogarnęła go fala czułości. W ostatniej chwili opanował się i nie musnął palcami jej gładkiego policzka. Nie wiedział, czy to, co odczuwa, to szczere uczucie, czy tylko pożądanie, wiosenny wpływ księżycy.

Żałował, że Lisa jest przyzwoitą dziewczyną z katolickiej rodziny. Wolałby widzieć w niej namiętną, gotową na wszystko kusicielkę.

Postanowił nie myśleć więcej o swoich marzeniach. Odwrócił się na brzuch, żeby nie dostrzegła oznaki jego podniecenia. Ciężki jest los mężczyzny, stwierdził markotnie.

Z ponurych rozmyślań wyrwał go cichutki śmiech. Uniósł szybko głowę.

- Z czego się znowu śmiejesz, Liso?

- Z ciebie. - Z chichotem odrzuciła głowę do tyłu. - Potrzebujesz kobiety, co?

- Skąd wiesz? - spytał, zbyt zaskoczony, by się wypierać.

- Czuję to. - Pochyliła się i mocno pocałowała go w usta. - Żałujesz, że nie jestem Marią z Buonconvento?

Odbiegła. Tommaso nie ruszał się z ziemi.

- O, Madonno! - jęknął. - Co za czarownica!

Rodney March włożył swój najlepszy płaszcz. Tego wieczora miał obserwować Mary Rose. Rzadko trafiała mu się taka gratka, chciał więc pokazać się w dobrej dzielnicy z jak najlepszej strony.

- Cześć, mała - uszczyptał żonę w pośladek i przestąpił próg.

- Odpieprz się. I trzymaj łapy przy sobie, a ptaka w rozporoku. - Amy March była mizerną, wiecznie zapracowaną kobietą.

Rodney z rozkoszą wsiadł do wysłużonego austina. Na ulicy mógł wreszcie puścić wodze wyobraźni. Nie snuł szalonych marzeń o niewiarygodnych przygodach czy wielkim bogactwie. W myślach wolał zdobywać dziesiątki, setki kobiet. Właśnie długie godziny czuwania w ciasnym austinie pozwalały mu rozkoszować się tymi fantazjami. Dociskając pedał gazu, wyobrażał sobie, że prowadzi rolls-royce'a z otwartym dachem. Zapach miękkiej skóry był prawie tak samo podniecający, jak zapach ciemnowłosej piękności, która zaspokajała go ustami. Posuwał się coraz dalej; teraz miał już do dyspozycji cały harem.

Rodney March nie narzekał na nadmiar wolnego czasu.

Na przedmieściach Londynu omal nie wpadł pod autobus. Dopiero to ściągnęło go na ziemię. Minał Chiswick i Hammersmith, potem skręcił w Sloane Street przy Knightsbridge. Nigdy dotąd nie pracował w tej części Londynu. Na Eaton Square stracił dobry humor.

- A skąd mam niby śledzić tę lalunię? - zastanawiał się głośno.

Nie uzyskał zadowolającej odpowiedzi. Stary austin rzucał się w oczy wśród rolls-royce'ów i bentleyów, więc zaparkował w bocznej uliczce.

- Nie pasujemy do tego świata. - Czule poklepał dach samochodu. -

Nasze miejsce to stara dobra Old Kent Road. Tam każdy mnie weźmie za miejscowego, a tutaj?

Na Sloane Square kupił gazetę, z za której później obserwował dom. Miał szczęście. Wkrótce przed budynkiem zatrzymał się samochód. Wsiadła z niego kobieta, w której Rodney od razu rozpoznał Mary Rose. Nie musiał wcale patrzeć na zdjęcie ukryte w kieszeni płaszcza.

Chciałbym dostać się do jej łóżka, rozmarzył się na chwilę. Nic dziwnego, że szuka sobie kochanka, skoro ma za męża tamtego fajtlapę.

Przez chwilę stała bez ruchu. Rodney zasłonił twarz gazetą.

Pierwsze kroki skierowała do kuchni. Z ulgą postawiła na stole torby z zakupami u Fortnuma i Masona. W całym mieszkaniu, które urządziła dla pani Gulbenkian, najbardziej lubiła właśnie to pomieszczenie. Było pogodne i wesołe. Na ścianach i podłodze dominowała żółć i błękit. Od tego tła odcinały się białe marmurowe blaty szafek i duży kuchenny stół. W domu, w Devon, Mary Rose nie zwracała sobie głowy gotowaniem. Crispin zawsze kręcił nosem na jej dania. Tutaj jednak przyrządzanie potraw stawało się przyjemnością, od kiedy przyjmowała Trávisa lub Justina.

Tego wieczora próbowała swoich sił w kuchni włoskiej. Travis zapowiedział się na kolację. Postanowiła podać wołowe zrazy z szynką i serem, zielony groszek i ziemniaki. Z zapalem przystąpiła do pracy. Już wkrótce kuchnię wypełniały smakowite zapachy, a Mary Rose zniknęła w łazience.

Poza kuchnią, było to jej ukochane miejsce w mieszkaniu, przede wszystkim dlatego, że zainstalowała sobie prysznic. W żadnym angielskim domu nie spotkała się z tym urządzeniem. Anglicy wyraźnie woleli pławić się we własnym brudzie. Niemal równie wielką radością napełniał ją fakt, że ma do swojej dyspozycji bidet. Z rozkoszą powitała gorący strumień. Czysta i pachnąca, włożyła jedwabną bieliznę. Travis lubił dotykać jedwabiu.

Po kolacji, kiedy leżeli w łóżku zmęczeni miłością, zapaliła dwa papierosy i jednego podała Travisowi.

- Crispin chyba pozwoli mi odejść. Co prawda, nie mówiliśmy o rozwodzie, ale jasno postawiłam sprawę. Obiecał, że to przemyśli.

- Oby tak było. Szkoda cię dla takiego sukinsyna, Mary Rose. Myślałem, że wykańczają cię ciągle podróże między Devon a Londynem, ale to nie to, prawda?

- Nie, Travis, to nie to. Dopiero teraz, kiedy mam dokąd uciec, widzę z całą wyrazistością, jaką udręką stało się życie z Crispinem. Czuję się jak niańka rozkapryszonego dziecka, pracująca dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mam już siły. Potrzebuję mężczyzny, który potrafiłby się mną zaopiekować, a nie niedojdy, która nie skalała sobie rąk pracą. - Zaciągnęła się głęboko. - Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, że polubię pracę, roześmiałabym mu się w

twarz. I tu chyba tkwi cała tajemnica. Wyszłam za Crispina, bo był leniwy i zepsuty jak ja. Problem w tym, że ja dorosłam, a on - nie. No, ale to już nie moja sprawa. Niech ktoś inny się nim zajmuje.

343

Na dworze Rodney wiercił się niespokojnie. Znudzony monotonnym czekaniem, zdążył wypić kilka piw w pobliskim pubie. Teraz pełny pęcherz dawał mu się we znaki i upominał o swoje prawa. Niestety, na Eaton Square nikt nie pomyślał o publicznych szaletach, a Rodney nie chciał opuszczać posterunku. Wcześniej pozwolił sobie na zmniejszoną czujność, bo zakładał, że mężczyzna przyszedł na kolację i nie wyjdzie przed ósmą.

Biedacy muszą mieć żelazne zamki, pomyślał wściekły. Przystanął koło gęstego żywopłotu. Różane kolce wcale nie ułatwiały mu zadania. Cholera, cholera, cholera, przeklinał w myślach. Nerwowo rozglądał się po opustoszałych teraz ulicach. O szóstej wypełniał je tłum kobiet w drogich futrach i krótkich sukienkach. Towarzyszyli im mężczyźni w garniturach i krawatach. Ze śmiechem spieszyli na koktajle. O ósmej wyruszyli z domu panowie we frakach i muchach i panie w wieczorowych kreacjach - zbliżała się pora uroczystych kolacji i bali.

Teraz nie było w okolicy nikogo. W ciemnych domach świeciły się tylko pojedyncze światła - to nianie bawiły maluchy w dzieciennych pokojach. Pewnego dnia, obiecał sobie Rodney, Amy, ja i dzieciaki zamieszkamy w takim domu i nie będę musiał łać w żywopłot.

Zapach moczu mieszał się z gryzącym odorem kocich odchodów. Wyraźnie nie tylko on upodobał sobie to miejsce. Ukrył się pod rozłożystą wierzbą. Zapalił papierosa i czekał. Odpychał od siebie kuszące wizje wyuzdanych piękności. Kiedyś do tego stopnia pogrążył się w marzeniach, że przegapił wyjście kochanka i stracił dobrego klienta.

Los wynagrodził jego cierpliwość. Rodney widział, jak Travis wychodzi od Mary Rose. Była szósta rano; pierwsze światło brzasku nieśmiało zaglądało w okna.

Udało się zrobić zdjęcie. Wierzba skutecznie zasłaniała go przed oczyma ciekawskich. Zadowolony schował aparat do kieszeni. Miał nadzieję, że numer domu, z którego wychodził Travis, będzie czytelny. Zaraz wywoła zdjęcie i umówi się ze zleceniodawcą.

Swoją drogą, ten jej kochaś wygląda na sensownego gościa. Nic dziwnego, że woli dawać jemu niż swojemu mężusiowi, żigolakowi, rozmyślał Rodney, jadąc do domu, do Amy.

Pod koniec kwietnia do jaskini przyszedł mężczyzna w panterce.

- Musimy was przenieść w inne miejsce - oznajmił. - Niemcy są w odwrocie. Niedługo dojdą i tutaj. Podobno ktoś zdradził drogę do jaskiń.

Tommaso pobladł gwałtownie. I on, i kobiety zdążyli się już przyzwyczaić do życia w grocie.

Mężczyzna nie zwracał na niego uwagi. - To list do signory Anny. - W jego ręku pojawiła się pognieciona, brudna koperta. - Co z nią? Chora?

- Nie. Widziała, jak zabili jej męża. Od tego czasu jest taka. - Tommaso odpowiadał krótkimi, urywanymi zdaniami. Elisabetta wzięła kopertę od partyzanta. - O Boże - jęknęła. - To Ralph. Wrócił już do Anglii. Jego żona umarła przy porodzie i osierociła synka. To straszna tragedia. - Jej wzrok zatrzymał się na synowej. Przynajmniej tych okropnych nowin oszczędził jej los. - Kiedy wyruszamy? - zapytała cicho, z zalem rozglądając się po jaskini.

- Jutro w nocy. Przyślę wam trzech ludzi. Czy signora Anna może iść sama?

- Tak, tak. A signora Elisabetta i ja poniesiemy bliźnięta - zapewniła Lisa.

- Moi ludzie pomogą wam nieść zapasy. Spalcie wszystko, czego nie dacie rady zabrać. Nie będziemy karmić sukinsynów.

- Gdyby nie mój przyjaciel Heinz - zauważył Tommaso, pakując szynki - znenawidziłbym wszystkich Niemców.

- Nie wolno nikogo nienawidzić - odparła smutno Elisabetta. - Znakomita większość ludzi woli pokój od wojny, ale o nich nigdy się nie

344

słyszysz. W Niemczech żyje na pewno tyle samo dobrych Niemców, co i nazistów. Jestem dumna z nas, Włochów.

Mamy faszystów, ale są oni mniejszością, podobnie jak kolaboranci. - Ze łzami w oczach gładziła Giulia po główce.

- Biedny, biedny chłopczyk bez tatusia. - Rozpłakała się.

Lisa wzięła małego na ręce. - Chodź, Giulio. Pobawimy się na dworze.

Tommaso śledził ją wzrokiem. Kiedy wychodziła z chłopcem z jaskini, zrozumiał, że się zakochał. Niewiele ze sobą rozmawiali, ale urzekła go bijąca od niej radość życia. Cały czas miał w pamięci tamten pocałunek przy pełni księżyca. Teraz jednak nie czas na miłosne wyznania; trzeba zająć się pracą.

Następnego dnia zjawili się sześciu uzbrojonych po zęby mężczyzn. W czarnych ubraniach i maskach na twarzy wyglądali obco i groźnie.



- Mamy was stąd zabrać - burknął jeden z nich.
- Dokąd pójdziemy? - Elisabetta nie starała się ukryć zdenerwowania.
- To nie ma znaczenia - usłyszała w odpowiedzi.

Wręczono im czarne opończe i maski. Mężczyzna, który był u nich poprzedniego dnia, poprosił kobiety, żeby zdjęły biżuterię.

- Złoto lśni w świetle księżyca - wyjaśnił.

Następnie zawołał do siebie dzieci. - Słuchajcie, maluchy - powiedział. - Macie być cicho jak dwie myszki, jasne?

Proszę... - podał Elisabecie garść cukierków. - Niech pani im daje co jakiś czas.

Bliźniakom oczy wychodziły z orbit z zachwytu. Niemal zapomniały smaku słodczy.

Wędrowali od kilku godzin. Partyzanci wzięli dzieci od kobiet i maluchy szybko zasnęły w ich ramionach. Elisabetta była zadowolona, że nie musi już nieść Nicoletty. Droga przez crete była i bez tego uciążliwa.

- Ora basta - szepnął dowódca o świcie. Bez trudu odnalazł zamaskowane wejście do małej grotty.

- Zatrzymamy się tu do zmroku, potem ruszymy dalej - oznajmił. Tej nocy zostawili crete za sobą. Wędrowali na południe. Wkrótce

toskańskie wyżyny ustąpiły miejsca łagodnym równinom. Podczas całej podróży Tommaso dbał o dobry humor wędrowców. Niósł potężny gąsior wina. Ilekroć się zatrzymywali, Tommaso zniknął na kilka godzin, po czym wracał z pełnym naczyniem. Bez przerwy dokuczał Lisie, która zadawała sobie wiele trudu, by tłumić chichot podczas marszu.

Kiedy upłynął tydzień, odkąd wyruszyli w drogę, stało się jasne, że Toskania została daleko za nimi. Prawie nie widywali innych ludzi.

Przez całą drogę Lisa prowadziła Annę za rękę. Myła ją, ubierała, czesała i pomagała przy załatwianiu fizjologicznych potrzeb. Niestety, nic nie wskazywało na to, że Anna wie, co się dookoła dzieje. Elisabetta zamartwiała się jej stanem.

W ostatnią niedzielę miesiąca zaczęli mozolną wspinaczkę na wysoką górę.

Giulio i Nicoletta rozkwitli podczas forsownej wędrówki. Partyzanci kochali ich jak własne dzieci. Sadzali je sobie na karku i nosili „na barana”, opowiadali bajki i grali w piłkę nożną. Maluchy przejęły od nich silny toskański akcent, który przywodził uśmiech na twarz ich babki. Wędrówka powoli wchodziła wszystkim w krew.

- Nie wiem, czy potem wytrzymam bez ciągłych wspinaczek - żartowała Elisabetta.

Jej śmiech sprawił, że Tommasowi kamień spadł z serca. Obserwował ją uważnie, jak, wychudła i opalona, ale piękna jak zawsze, stara się dotrzymać kroku mężczyznom.

Lisa biegła pod górę, nucąc coś pod nosem. Na szczycie wyczerpany Tommaso usiadł ciężko i sięgnął po swój „magiczny” gašior.

- Starzec z ciebie, Tommaso - drwiła Lisa. - Patrz, mam jeszcze tyle siły, że mogę tańczyć. - Wyrzuciła nogę wysoko w powietrze.

- Zaraz zobaczymy, kto tu jest starcem - odburknął. - Poczekaj, moja mała, ja ci jeszcze pokażę.

- Toteż czekam - odparła. W ciszy, która pomiędzy nimi zapadła, była napiętość i oczekiwanie. Oczyma wyobraźni Tommaso zobaczył nagą Lisę oplatającą nogami jego biodra gdzieś, w lesie nad strumykiem. Przestań, skarcił się. Masz mnóstwo roboty.

Jeszcze przed wschodem słońca partyzanci zniknęli w półmroku. Mała grupka znów została sama.

## 80

Tak, to jest Travis Mainwaring. Crispin patrzył na fotografię. Mimo złego oświetlenia i kiepskiej jakości odbitki, nie miał żadnych wątpliwości. Co prawda spodziewał się, że zobaczy właśnie przyjaciela i współnika żony, ale nie przewidywał własnej reakcji.

Niewiele wcześniej Rodney March zadzwonił do niego i z triumfem w głosie pochwalił się zdobyczą. Opis mężczyzny, który spędził noc z Mary Rose, pasował do Travisa, jednak Crispin nie mógł w to uwierzyć.

- Jak ona śmiała? - mamrotał wpatrzony w fotografię. - Dziwka. Cholerna, pieprzona dziwka. - Zrobiło mu się niedobrze. Rzucił pieniądze na stół i wybiegł z biura Rodneya. Wściekły, postanowił utopić złość w kieliszku. Tym sposobem zawędrował do pobliskiego pubu.

Była to ciasna, źle oświetlona spelunka. Za barem stała chuda kobieta o tlenionych włosach i wyzywająco czerwonych ustach.

- Gin z tonikiem - rzucił. Wdrapał się na wysoki barowy stółek.

- Z lodem?

Potwierdził ruchem głowy. Nie miał ochoty na rozmowę. Przyglądał się swojemu odbiciu w brudnym lustrze i próbował ocenić, jak wielkie szkody poczynił czas w jego urodzie. Bóg jeden wie, ile już razy Mary Rose mówiła mu, że jest za stary na żigolaka. Przyszłość go przerażała. Co ma zrobić? Dotąd żył teraźniejszością, dlatego tym straszniejsze wydawało mu się planowanie przyszłości. Po namyśle doszedł do wniosku, że ma tylko dwa wyjścia: znajdzie sobie inną bogatą kobietę albo zostanie z Mary Rose.

347

Ewentualności, że odpowiadałby sam za siebie, nie brał w ogóle pod uwagę. Przy czym nie pieniądze były główną tego przyczyną, bo i tak wyszarpie od Mary Rose tyle, ile się da. Przerazały go bezkresne połacie wolnego czasu. Niedawno ze zdumieniem odkrył, że w gronie jego przyjaciół tylko on i Mary Rose nie mieli dzieci. Wszyscy oprócz nich wydorosleli nagle, w ciągu kilku lat osiągnęli wiek średni. Ci sami mężczyźni, którzy kiedyś z pasją rozprawiali o seksie i wyścigach, dzisiaj z równym zaangażowaniem dyskutowali o szkołach i uczelniach. Oto co się dzieje, kiedy kobiety przejmują władzę, stwierdził ponuro. W tym kontekście perspektywa zerwania więzów małżeńskich wydała się mniej straszna.

Przecież gdzieś na świecie są piękne, spragnione mężczyzn kobiety. Już niedługo wyruszy na łowy. Wyjedzie z prowincjonalnego Devon na podbój Londynu, Paryża i Nowego Jorku. W końcu znajdzie sobie następną bogaczkę i z nią zamieszka.

- Jeszcze raz to samo. - Pchnął szklanekę w stronę barmanki. Niezła dupa, pomyślał, obserwując, jak wprawnie wlewa alkohol do szklanki. Była chuda i miała małe sterczące piersi, takie, jakie lubił. Uśmiechnął się do niej.

Odpowiedziała zachęcającym grymasem. Nawet przystojny, na swój sposób, jeśli gustuje się w myszowatych wymoczkach, oceniła. Nosił drogie ubranie. Na pewno nie poskapi piątaka, uznała. Podała mu szklanekę i, niby niechcący, musnęła jego dłoń. Nie poruszył się.

- Wołają cię jakoś, skarbie? - spytała.

- Owszem. - Crispin wyszczerzył zęby. - Nazywam się Travis... Travis Mainwaring. Przyjaciele mówią o mnie Napalony Travis.

Przyjaciele i żona, dodał w myśli. Pieprzona suka. Jednym haustem opróżnił szklanekę. - Jeszcze raz podwójnie.

Wlała mu tyle dżinu, że zostało miejsce zaledwie na kilka kropli toniku. - Proszę. Na koszt firmy - dodała.

Nagle zapragnął jej.

- Wiesz, że jesteś piękna? - banalność całej sytuacji budziła w nim niesmak.

Dziewczyna nie owijała niczego w bawełnę. - Masz ochotę na szybki numerek?

Podniósł na nią wzrok. - Czemu nie?

Jeszcze nigdy nie dał się poderwać w barze. Może Mary Rose nie ma racji i nadal jest atrakcyjny i młody. W życiu trzeba wszystkiego spróbować, postanowił i zsunął się z wysokiego stołka. Czekał, aż kobieta wyjdzie z kontuaru i zaprowadzi go do małego ciemnego magazynu.

- Daj - mruknęła. - Ja to zrobię. - Zręcznie rozpięła mu rozporek. W chwilę później Crispin patrzył na swojego smutno zwisającego członka.

- A co tak słabo, kochaniutki? - rzuciła z wyrzutem. Zabrała się do intensywnego masażu, ale nie dało to żadnych rezultatów. Tyle, że poczuł

**349**

przedsmak nadchodzącego wstydu i paniki. Co on do cholery robi w jakiejś spelunce w Exeter?

Barmanka tymczasem opadła na kolana i ssała go intensywnie i sumiennie jak odkurzacze.

Czujnie zerkał na drzwi. Nie chciał, żeby nakrył ich właściciel knajpy. Opuścił wzrok na podskakującą rytmicznie głowę kobiety. Nawet w mdłym świetle ciemne odrosty raziły na tle farbowanych loków.

- To bez sensu - powiedział cicho. - Nie stanie mi. Widzisz, właśnie się dowiedziałem, że moja żona ma romans. -

Łzy napłynęły mu do oczu. Kobieta przysiadła na piętach.

- Więc byłeś u Rodneya - stwierdziła raczej niż zapytała. Nie zaprzeczył.

- No, to przez jakiś czas nie będzie z ciebie pożytku, chociaż nie rozumiem, czemu mężczyźni aż tak się przejmują zdradami żon. Przecież sami nie dochowują im wierności. - Wyciągnęła rękę. - Należy się piątek -oznajmiła rzeczowym tonem.

Crispinowi zbierało się na wymioty. Przecież od początku wiedział, że to dziwka. Odepchnął jej pomocną dłoń i sam zapiął spodnie. Tym samym oszczędził sobie ostatecznego upokorzenia; nie musiał patrzeć, jak dziewczyna chowa zwiędłego członka.

Kiedy wrócili do pustej sali, uśmiechnął się najszerzej jak potrafił.

- Dzięki. - Nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć w takiej sytuacji.

- Nie martw się - rzuciła nonszalancko. - Następnym razem ci stanie. Z pochyloną głową pobiegł do samochodu.

Chciał wrócić do domu, do

matki. Ona będzie wiedziała, co zrobić. Zawsze wiedziała.

## 81

Elisabetta głęboko wdychała rześkie majowe powietrze. Wiosenny wiatr przynosił wspomnienia; o tej porze roku Mario i Francesco zwykle siali tytoń.

Ból po stracie syna nieco stępiał, ale nadal co wieczór modliła się o bezpieczeństwo Francesca.

Lisa i Tommaso nie mieli czasu na wspomnianie nieobecnych. Całą energię wkładali w zorganizowanie znośnego bytu. Nawet na owej pozornie bezludnej górze znajdowali ślady innych uchodźców.

Czasami Elisabetę ogarniała taka tęsknota za ludźmi, że chętnie powitałaby każdego przechodnia.

- Jakie to dziwne; żyjemy tu sobie cicho i spokojnie, a cała Europa toczy śmiertelną walkę - Powiedziała kiedyś do Lisy. Potrząsnęła głową, jakby nie mogła uwierzyć we własne słowa. Wiedziała, co się dzieje na świecie, bo partyzanci opowiadali jej o sytuacji na frontach.

Elisabetta z nawiązką zapłaciła wojenną daninę. Straciła syna, jej męża torturowano w więzieniu, a reszta rodziny ukrywała się po górskich bezdrożach. Zapomniała już, co to znaczy radość czy zadowolenie. Cały czas miała przed oczami tamtą okropną scenę oświetloną księżycowym blaskiem.

Nie skarżyła się jednak. Jej bliscy żyli, cali i zdrowi, i nie głodowali, chociaż brakowało jej warzyw. Nigdy nie przypuszczała, że tak bardzo zapragnie pomidora.

Były to ostatnie dni maja. Postanowiła sprawić Tommasowi i Lisie niespodziankę.

350

- Dzisiaj sama zajmę się Anną i dziećmi - oznajmiła. - Oboje pracujecie ponad siły. Proponuję, żebyście urządzili sobie piknik. Przez jeden dzień damy sobie radę bez was.

Początkowo Tommaso nie był zachwycony tym pomysłem.

- Signor Francesco nie pozwoliłby mi zostawić pani samej.

- Wszystko będzie dobrze, nie martw się. - Elisabetta nie chciała przyznać tego nawet sama przed sobą, ale cieszyła się na dzień samotności, jedynie z dziećmi i wiecznie milczącą Anną.

- Dzięki - odparła prosto Lisa. - Chodź, Tommaso, pomożesz mi zapakować jedzenie.

Wyruszyli. Tommaso niósł długi kij, żeby płoszyć żmije, które właśnie budziły się ze snu.

Lisa narzuciła chustę na głowę i zadrżała.

- Nienawidzę węży. Kiedyś żmija spadła z drzewa prosto na moją matkę.

- Obronię cię - stwierdził lakonicznie Tommaso. W głębi duszy liczył, że tego ranka nie spotkają żadnego gada; panicznie bał się węży. Musnął palcami myśliwski nóż, ostry jak brzytwa. Aby dodać sobie animuszu, pociągnął

spory łyk z flaszki z winem. Partyzanci zostawili mu kilka butelek, ale i tak musiał nim oszczędnie gospodarować. Tragedią dla Toskańczyka jest brak chleba, ale bez wina - umiera.

Zatrzymali się na polanie. Trawa zieleniła się nieśmiało. Malutki strumyk szemrał cicho i opowiadał coś okrągłym głazom. Młode listki wysokiego drzewa lśniły srebrem w blasku słońca.

- Przepięknie tu. - Lisa była zdenerwowana. Także Tommaso czuł się niepewnie. Zapomnieli już, co to znaczy przebywać tylko we dwoje; przecież od tak dawna otaczały ich Elisabetta, Anna i bliźnięta.

Lisa zabrała się do szykowania posiłku. Tommaso postawił na ziemi butelkę wina. Usiadł, ale nadal ścisnął kij.

Nawet tutaj, w bezludnej głuszy, musiał zachować ostrożność. Rozejrzał się. Otaczały ich niedostępne góry, znane jedynie partyzantom, ludziom, którzy dorośli na ich stokach. Wspinali się po górskich drzewach i pływali w górskich jeziorach; znali te góry tak, jak mężczyzna zna ciało kobiety.

Zerknął na Lisę i spłonął rumieńcem. Tak bardzo jej pragnął.

Dostrzegła jego wzrok. Odpowiedziała delikatnym uśmiechem i dotknęła jego dłoni.

- Napijmy się wina - zaproponowała. Po chwili siedzieli naprzeciwko siebie i pili wino z drewnianych kubków, które przezornie zabrała ze sobą.

Po chwili milczenia Tommaso pogładził ją po policzku.

- Od tygodni chciałem to zrobić - wyznał cicho.

- A ja chciałam, żebyś to zrobił - odpowiedziała. Patrzyła na niego szczerym, poważnym wzrokiem. - Tommaso, chcę, żebyś się ze mną kochał. Dużo o tym myślałam, właściwie tylko o tym myślałam. Wojna nie skończy się prędko i być może oboje zginiemy. Nie chcę umierać, nie

zaznawszy miłości z tobą. - Przerwała. - To nie szkodzi, że mnie nie kochasz ani że się ze mną nie ożenisz. Chcę tylko, żebyś wziął mnie w ramiona i... - spuściła wzrok.

Tommaso poczuł gulę w gardle. - Ależ ja cię kocham, Liso. Kocham cię już od dawna. - Przyciągnął ją do siebie. - Po wojnie weźmiemy ślub. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, bez twojej radości i energii.

Już po chwili całował jej miękkie usta. Był tak szczęśliwy, że chciało mu się płakać.

Odwzajemniała jego pieszczoty z namiętnością, jakiej nie zaznał u żadnej kobiety. Maria podchodziła do sprawy rzeczowo i praktycznie. Inne kobiety, które próbował zaciągnąć do łóżka, były mistrzyniami wykrętów i oszustw. Lisa tymczasem oddawała mu się szczerze i chętnie. Leżał obok niej na miękkiej trawie i żałował, że nie może zatrzymać czasu.

Kiedy w nią wszedł, jęknęła z bólu.

- Mam przestać? - spytał, przestraszony.

- Nie, błagam, nie przestawaj. - i tak Tommaso i Lisa kochali się nad małym górskim strumieniem, który szemrał z aprobatą.

Elisabetta siedziała na progu jaskini, wpatrzona w ostre słońce. Miała szczerą nadzieję, że gdzieś tam wśród wzgórz Lisa i Tommaso się kochają. Obserwowała ich od tygodni; był już najwyższy czas, żeby odnaleźli się wzajemnie. Seks sprawiał jej teraz, kiedy młodość miała już za sobą, więcej przyjemności niż kiedyś. W swoim wieku nie musiała już obawiać się ciąży, a Francesco był wspianiałym kochankiem. Westchnęła. Dzieci bawiły się na dworze, a Anna siedziała obok niej. Zaraz weźmie synową za rękę i pójdzie z nią i bliźniętami na spacer. W tej chwili jednak rozkoszowała się leśną ciszą, którą zakłócał jedynie śmiech dzieci i świergot ptaków.

## 82

Dobrze się bawiłaś? - zapytał niewinnym głosem Crispin, kiedy Mary Rose stanęła w drzwiach. Wiedział, że wróciła, bo słyszał, jak gwałtownie hamuje. Zazwyczaj przypominała sobie o tym za późno; odpryski schodów zaśmiecały zwirowany podjazd.

- Tak, świetnie, dziękuję.

Czuł się oszukany. Gdzie przepadła szalona, rozrzutna Mary Rose, którą poślubił? Co się z nią stało? Przecież był dobrym mężem. Pewnie, szturchnął ją kilka razy, ale uważał to za przywilej małżonka. Wszyscy tak robią, powtarzał sobie.



- Czy zastanowiłeś się nad moją propozycją? - spytała bez wstępu.

- Tak. - Był zdenerwowany. - Muszę się napić, zanim przejdziemy do rzeczy.

Naprawdę wszystko przemyślał. Przez pół nocy przemierzał w tę i z powrotem sypialnię rozważając, ile uda mu się wyciągnąć, nie wychodząc przy tym na chciwego skapca. Zdecydował się zażądać stu pięćdziesięciu tysięcy funtów gotówką, domu i samochodu. Taka suma pozwoli mu na wygodne życie. Zainwestuje pieniądze w jakiś dochodowy interes. Może wystarczy mu nawet na kupno garsoniery przy Dolphin Square. Będzie to idealne miejsce na przyjmowanie kochanek.

- Chyba sobie poradzę, jeśli mi dasz sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. Oczywiście zatrzymam też dom i samochód. - Kiedy już to powiedział, wróciły wątpliwości. W głowie wirowały mu maleńkie trybiki. Zażądał zbyt wiele? Czy może zbyt mało?

Uśmiechnęła się i skinęła głową. - Jutro zadzwonię do banku. - Wyszła.

353

Crispin biegł do matki bardzo z siebie zadowolony. Robiło mu się gorąco na samą myśl o pieniądzach.

- Ty durniu - syknęła Amelia przez zaciśnięte zęby. - Mówiłeś, że masz kompromitujące ją zdjęcie, tak? Przecież masz ją w garści. Możesz z niej wycisnąć pięć razy tyle, jeśli oskarżysz ją o cudzołóstwo.

- Kiedy ja wcale tego nie chcę, mamusiu.

- A dlaczegóż to? Przecież cię zdradzała?

Skrzywił się. - Nie chcę, żeby ludzie wytykali mnie palcami jako rogakza.

- Ależ synku, nikt się o tym nie dowie. Mary Rose zrobi wszystko, żeby nie dopuścić do skandalu. Na pewno będzie się obawiała o swoją reputację. Przecież jej klienci nie zechcą zadawać się z rozwódką.

- Mamo, czasy się zmieniły. Nikt już nie potępia rozwódek. Nie, to nie ma sensu.

- Mój drogi, sensu nie ma jedynie twoje przekonanie, że sto pięćdziesiąt tysięcy funtów zapewni ci dostatnie życie. Nie masz pojęcia, ile kosztuje utrzymanie domu. Ani się obejrzysz, a już przejesz połowę tej sumy. Nie, Crispinie, musisz z niej wyciągnąć co najmniej pół miliona.

- Jej doradcy finansowi nigdy się na to nie zgodzą.

- Pewnie, że nie. Ale możemy wpłynąć na nią, prawda? Czy nadal utrzymujesz kontakt z tym detektywem?

Potwierdził ruchem głowy. - Tak. Mary Rose wraca do Londynu w ten weekend. Rodney chce przyłapać ich na gorącym uczynku i zrobić zdjęcie. Wtedy mogę przystąpić do ataku.

- Wreszcie mówisz do rzeczy, Crispin. A już się obawiałam, że kochasz tę dziwkę.

Przemierzając trawnik szybkimi krokami, zgodził się z matką: kochał tylko siebie samego. Obawiał się jednak, że życie bez Mary Rose będzie bardzo nudne.

- Proszę mu nie dawać ani grosza - zatroskanym głosem radził przez telefon doradca finansowy. Oczyma wyobraźni widziała pana White'a w przestronnym biurze przy Grosvenor Square.

- Wolalabym zapłacić, ile chce, i pozbyć się go... jeśli podpisze oświadczenie, że otrzymał ustaloną sumę...

- Cóż, moja droga, rób to, co uważasz za stosowne, ale uwierz mi, ten facet to kawał skurczybyka.

Zdziwiła ją nienawiść w jego głosie. Stary White uchodził za łagodnego, opanowanego człowieka.

- Wiem o tym. - Skrzywiła się. - Najwyraźniej mam talent do wyszukiwania skurczybyków.

Odpowiedział jej głośny śmiech.

- Nie martw się, następnym razem trafisz na porządnego człowieka.

354

- Nie będzie żadnego następnego razu, panie White.

Stary doradca odłożył słuchawkę. - Mam nadzieję, że się mylisz -mruknął do siebie.

Mary Rose nie mogła doczekać się powrotu do Londynu. Ku jej zdziwieniu, Crispin nie okazał zadowolenia z jej zgody na jego warunki.

- Ponieważ jesteśmy w separacji - oznajmiła zdecydowanie - uważam, że powinieneś wyprowadzić się z sypialni.

- To mój dom - burknął w odpowiedzi. - Sama się wynieś z mojej sypialni.

- W porządku.

Zamieszkała w pokoju gościnnym.

- Wyprowadzę się stąd, kiedy tylko skończę dom na Belgrave Square. Ani Travis, ani ja nie mamy chwilowo porządnego mieszkania.

Tak, nie macie gdzie się pieprzyć, pomyślał Crispin, nagle rozgoryczony. Ogarnęła go wściekłość. Nie życzył sobie, by wyrzucano go jak niepotrzebną zabawkę. Mary Rose nie ujdzie to na sucho. Tylko jemu wolno kłamać i kręcić. Jakim prawem sądziła, że może postępować tak jak on? Nie zastanawiał się długo. Od razu sięgnął po telefon, upewniwszy się, że drzwi są dokładnie zamknięte.

- Mamo, miałaś rację - zaczął. - Miałaś całkowitą rację. Wystąpię

0 rozwód. Zapomnij o tym, co wcześniej mówiłem. Niech ta suka dostanie to, na co zasłużyła.

- Wreszcie mówisz rozsądnie, Crispinie - Amelia nie ukrywała zadowolenia.

Nie mógł się doczekać chwili, w której Rodney przekaże mu koronny dowód zdrady.

Rodney tymczasem czekał pod wierzbą. Młode listki stanowiły doskonały parawan, toteż był pewien, że Mary Rose nie zauważyła go, kiedy w piątkowe popołudnie zatrzymała samochód na Eaton Square.

Detektyw żywił szczerą nadzieję, że Travis spełni jego oczekiwania

1 zabierze ją do łóżka. Tego dnia Arsenal grał z Fulham; traci dobry mecz, więc przynajmniej niech dobrze na tym zarobi. Niestety, Amy nie poda mu wyniku. Ta kobieta w ogóle nie zna się na futbolu. Dobrze przynajmniej, że ma jakie-takie pojęcie o gotowaniu. Nikt nie smaży takich sadzonych jajek jak ona. Ślinka napływała mu do ust na samą myśl o smakowicie ściętym białku i miękkim żółtku. A jej frytki... palce lizać! Oddałby wiele za porcję takich złocistych frytek. Zgłodniał już.

- Czas na kanapkę - mruknął do siebie. Ue to już razy zajadał w ukryciu kanapki, obserwując facetów, którzy sięgali po cudze kobiety?

Mimo wszelkich uciążliwości związanych z pracą detektywa, Rodney lubił swój zawód. Jeśli dziś uda mu się zdobyć kompromitujące zdjęcie, zgarnie tyle forsy, że zabierze Amy i dzieciaki na wakacje. Małe wyjce zajmą się sobą, a on

spróbuje nieco ożywić żonę. Doprawdy, to straszne, że się tak zmieniła. Jeszcze kilka lat temu nie mógł dorównać jej kroku.

22 - Dwie drogi

337

Travis zjawił się na Eaton Square tylko kilka minut po przybyciu Mary Rose. Miał ze sobą listę nowych zamówień. Niósł teczkę wypchaną próbkami tkanin, a pod pachą trzymał butelkę szampana. Cieszył się już na wyśmienitego kraba, którego właśnie szykowała Mary Rose. Z przyjemnością ogarnął wzrokiem ładny, zadbane plac. Był szczęśliwy. Ich związek się rozwijał i chociaż nie mogło dojść między nimi do pełnego fizycznego zbliżenia, dawali sobie radość i zaspokojenie.

Zadzwoił do drzwi.

Rodney uwiecznił to na zdjęciu. Bomba, pomyślał, facet z butelką szampana pod pachą na progu miłosnego gniazdka. Uważał, że żaden mężczyzna nie dawałby kobiecie szampana, nie planując jej uwiedzenia.

Mary Rose otworzyła Travisowi i szybko wróciła do kuchni. Posypała kraba tartym żółtym serem i ponownie wsunęła go do piecyka. Kiedy ser przybrał apetyczną, złocistobrazową barwę, wyjęła gorące naczynie.

- Otwórz szampana! - krzyknęła. Z uśmiechem spełnił jej polecenie.

Po kolacji przystąpili do pracy. W pewnej chwili uniosła głowę.

- Crispin zgodził się na separację, Travis. Mimo to jestem trochę niespokojna; tydzień temu nie chciał słyszeć o rozstaniu. Obawiam się, że może jeszcze zmienić zdanie, ale nie dlatego, że mnie kocha. Pewnie myśli, że beze mnie zanudzi się na śmierć. Z drugiej strony ostatnio spędzaliśmy razem bardzo mało czasu. Właściwie jesteśmy sobie obcy, więc chyba rozstaniemy się bez bólu.

- Mary Rose, każde rozstanie jest bolesne. Teraz wydaje ci się, że wszystko pójdzie dobrze, ale jeszcze zatęsknisz za Crispinem. Niełatwo jest pozbyć się starych nawyków.

Miała poważną minę. - Travis, z nikim nie rozmawiałam o moim małżeństwie, nawet z tobą. Crispin to oszust i sadysta. W ciągu ostatnich kilku lat przeszłam piekło. Zachowuje się jak dziecko. Jeśli nie spełnia się jego zachcianek, wpada w szał jak rozkapryszony pięciolatek. Jest dumny z tego, że nie wydorósł. - Zamilkła na chwilę.

- I bije mnie.

- Biję cię?

- Tak. Kiedyś sama go prowokowałam, ale już dawno temu dałam spokój, a on bije mnie nadal. Szczerze mówiąc, boję się go. - Potrząsnęła głową. - Nie mówmy już więcej na ten temat. Wracajmy do pracy. Chciałabym jak najszybciej iść spać. Jestem zmęczona, a na myśl o Crispinie od razu tracę humor.

Pracowali do drugiej. Travis pierwszy położył się do łóżka. Mary Rose nie miała nawet siły szukać nocnej koszuli, więc naga wślizgnęła się w jego ramiona. Lubiła być blisko niego. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Po długich poszukiwaniach Rodney dostrzegł rynnę na tyłach budynku. Ponieważ przez cały czas obserwował dom, wiedział, gdzie zgasło ostatnie światło - tam zapewne była sypialnia, po prawej stronie. To dobrze, będzie  
358

miął stosunkowo łatwe zadanie. Po raz kolejny podziękował losowi, że w młodości specjalizował się we włamaniach.

Zręcznie wspinał się na górę. Zadanie okazało się dziecinnie łatwe -ktoś zapomniał zamknąć okno na klamkę. Po chwili stał już w ciemnej kuchni.

Teraz musi cichutko otworzyć drzwi wejściowe. Błysk flesza obudzi śpiących i Travis na pewno rzuci się za nim w pościg. Otwarte drzwi zasugerują, że włamywacz wybiegł na zewnątrz. Wtedy jednak Rodney będzie spokojnie zsuwał się po rynnie, a razem z nim - dowód niewierności Mary Rose.

Ostrożnie otworzył drzwi sypialni. Z aparatem fotograficznym w rękę podszedł do łóżka. Był zachwycony tym, co zobaczył. Sam nie ułożyłby ich lepiej.

Flesz rozjaśnił pokój białym blaskiem.

- Co, do cholery...

Travis zerwał się błyskawicznie, ale Rodneya już nie było. Wybiegł do kuchni i zręcznie wyślizgnął się za okno.

Kiedy dotknął stopami ziemi, Travis dobiegł właśnie do drzwi wejściowych. Rodney czekał. Travis nie zajdzie daleko, nie miał przecież czasu, żeby się ubrać. Zaraz zorientuje się, że na ulicy nie ma nikogo i wróci na górę. Nie może nawet wezwać policji, bo musiałby tłumaczyć, co robił w cudzym mieszkaniu z żoną innego mężczyzny.

Rodney się uśmiechnął. Czasami praca jest lepsza niż seks.

Znów mieli wyruszyć w drogę. Przyszli po nich kolejni partyzanci. Nigdy nie znali swoich przewodników, za każdym razem prowadziła inna grupa. Elisabetta była już zmęczona. Tęskniła za ładem, który stanowił niepodzielną część jej życia od wielu lat. Urodziła się, wychowała i ukończyła szkołę w Asciano; знаła tam wszystkich i wszyscy znali ją. Teraz po budowanych dziesiątki lat przyjaźniach nie został nawet ślad.

Nie chciała dłużej nad tym się zastanawiać. Na samą myśl, że Niemcy są teraz w jej domu, śpią w jej łóżku, odczuwała fizyczny ból.

- Pospiesz się, Tommaso - poprosiła. - Wyruszamy dzisiaj, po zachodzie słońca. Ciekawe, dokąd teraz pójdziemy... Dzieciom bardzo się tutaj podobało. Podobno jednak Niemcy się wycofują więc musimy uciekać dalej na południe. Przywódca mówił mi, że nawiązała z nim kontakt jakaś przyjaciółka Anny, gotowa zabrać nas do siebie. - Zmarszczyła brwi. - Nie mam pojęcia, kto to może być, chyba że... - Rozpogodziła się. - Tak, to na pewno Regina. Anna nie miała innej przyjaciółki we Włoszech.

Lisa nuciła coś pod nosem. Wołałaby, żeby zostali tutaj. Nocne schadzki z Tommasem weszły jej już w krew. Kiedy dzieci spały, spotykali się na dworze, wśród drzew.

Był dobrym kochankiem. Nie zachowywał się jak mężowie jej przyjaciółek, którzy myśleli tylko o sobie. Dawał jej rozkosz tak wielką, że jęczała w jego ramionach. Była mu wdzięczna za delikatność i czułość, z jakimi wprowadzał ją w arkana sztuki miłosnej. Co noc kochali się wśród ciszy przerywanej jedynie trelami słowików.

Choć nie chciała stąd odchodzić, nie przejmowała się tym zbyt.

340

Niech się dzieje co chce, byle był z nią Tommaso. Lisa po raz pierwszy w życiu się zakochała. Warto było czekać tak długo, pomyślała.

Pocałowała Nicolettę i pogłaskała Giulia po główce. Z ciężkim westchnieniem pomogła Annie wstać. Nie chciała patrzeć w jej puste oczy. Czy jeszcze kiedyś błysnie w nich isierka życia? Mogli się tylko modlić i nie tracić nadziei. Wkrótce po raz ostatni stali na polance przed jaskinią. Przywódca partyzantów szeptem poinformował Elisabetę, że okres ich samotności dobiegł końca.

- Sprowadzimy was z gór. Włączycie się w tłumy uchodźców z północy, a w Neapolu czekają na was przyjaciele. Z uśmiechem kiwała głową. - Anna ma tylko jedną przyjaciółkę. Ma na imię Regina i mieszka w Genui. Mężczyzna przyłożył palec do ust.

- Żadnych nazwisk! - Westchnął ciężko. - Przed wami trudna droga. Trasa do Neapolu jest jeszcze bombardowana. Idziemy w największy chaos, ale wkrótce wkroczą wojska alianckie i zrobią porządek. W ostatnich miesiącach wiele się wydarzyło, a ponieważ mamy mało czasu, opowiem wszystko w skrócie. Wygląda na to, że faszyci stracili już nadzieję na zwycięstwo i niebawem ogłoszą kapitulację. Najgorsi są jednak Niemcy; chcą odeprzeć Amerykanów, z armią włoską czy bez niej. Alianci już wylądowali na Sycylii, a teraz przygotowują desant na ląd. Postanowiliśmy przeprowadzić was za Unie niemieckie. Musicie być jak najbliżej wojsk alianckich, bo kiedy wybuchną walki, rozpęta się piekło na ziemi. Niemcy są wszędzie. Pójdziemy za wami, zrobimy, co w naszej mocy, żeby was chronić, ale jeśli was zatrzymają, nie będziemy mogli wam pomóc. Nie śmierci się obawiamy, lecz tego, że podczas tortur zdradzilibyśmy towarzyszy.

Elisabetta widziała troskę w jego oczach.

- Sama śmierć nie jest straszna - ciągnął. - Ale zdrada... Nie, w żadnym wypadku. Wolałem więc uprzedzić panią już teraz. Proszę, oto wasze dokumenty - podał jej plik papierów. - Blondynka figuruje w nich jako pani synowa. Jej mąż zginął na wojnie i osierocił bliźnięta.

- Jak dotąd, wszystko się zgadza. - Elisabetta poczuła, że jej głos drży. Była wściekła na siebie. Nie powinna tracić kontroli nad sobą w towarzystwie ludzi, którzy dla niej ryzykowali własne życie. Z twarzy partyzanta wyczytała dezaprobatę dla swojej słabości.

- Druga kobieta i mężczyzna to małżeństwo. Pani synowa jest Szwajcarką, co tłumaczy jej niebieskie oczy i blond włosy. Niemcy nie mogą się w żadnym wypadku dowiedzieć, że to Amerykanka. Jeśli was zatrzymają, jesteście zdani na siebie. Niech pani już teraz zacznie przyzwyczajając dzieci do nowych imion. - Spojrzał w dal. - Życzę wam powodzenia. No, chodźmy już.

- Chciałabym podziękować panu i pana ludziom. Wiem, że narażacie dla nas życie.

360



Mężczyzna spojrział na nią poważnie.

- Znałem pani syna - odparł krótko, niemal niechętnie. - **1** znam pani męża.

Fakt, że mówił o Francescu w czasie teraźniejszym, umocnił nadzieję w jej sercu. - Dziękuję - szepnęła. Opanowała ciekawość i milczała, choć dziesiątki pytań cisnęło się jej na usta.

- No, czas na nas - ponaglał mężczyzna.

Tak oto zaczęła się najstraszniejsza część ich podróży.

Wędrowali zatłoczonymi drogami na południe przez wiele dni. Słońce prażyło niemiłosiernie. Dzieci płakały. Zazwyczaj szli pod osłoną nocy, bo tylko wtedy cichł warkot bombowców i myśliwców. Elisabetta nauczyła się obcować ze śmiercią. Lisa najpierw płakała nad każdym zabitym dzieckiem, ale wkrótce i jej twarz zastygła w ponurym grymasie.

Wszyscy mieli siniaki powstałe wskutek krycia się przed strzałami. Kolce i gałęzie krzewów doprowadziły ich ubrania do opłakanego stanu.

Już wkrótce oceniali na pierwszy rzut oka, jak długo wędrują inni uchodźcy. Niektórym głód doskwierał do tego stopnia, że jedli trawę i korzonki. Świadczyły o tym ich usta, zabarwione na zielono.

Elisabetta na szczęście nie musiała martwić się o jedzenie. Co jakiś czas partyzanci dostarczali im trochę ziemniaków, chleb, odrobinę mięsa. Kiedyś sprawili im niespodziankę, przynosząc cały garnek risotta z groszkiem.

- Co za smakołyki! - krzyknęła Lisa z błyszczącymi oczami. Siedzieli na ziemi, zbici w ciasną gromadkę. Elisabetta obawiała się,

że wygłodniali uchodźcy mogliby pozazdrościć im tej odrobiny pożywienia i pozbawić go siłą, ale ze zdumieniem przekonała się, jak pomocni i wielkoduszni byli inni wędrowcy.

Na drogach do Neapolu można było spotkać najróżniejszych ludzi. Cyganie radzili sobie najlepiej i ochoczo pomagali lekarzom, sklepikarzom, stolarzom i innym mieszczuchom, nieprzywykłym do wiejskiego życia.

- Przed Neapolem jest niemiecki posterunek. - Elisabetta w skupieniu słuchała starego Cygana. - Uważajcie.

Najpierw strzelają, potem pytają. Nikogo chyba nie przepuszczą.

- A jak wy się przedostaniecie?

Cyganów, podobnie jak Żydów, izolowano i albo zabijano od razu, albo wysyłano do Niemiec, do specjalnych obozów. Nikt nie wiedział na pewno, co się tam działo, ale od dłuższego czasu krążyły mroźące krew w żyłach plotki o zorganizowanym ludobójstwie. Elisabetta codziennie modliła się o życie Francesca. W pewnym sensie była

zadowolona ze swego losu. Myśl, że Francesco cierpi samotnie, byłaby nie do zniesienia. Tymczasem teraz oboje przechodzili własne piekło. Tylko wiara, że pewnego dnia znów będą razem, dawała jej siły na dalszą wędrówkę.

- Skręcimy w las, zanim dojdziemy do posterunku straży - wyjaśnił

362  
Cygan. - Może chcecie iść z nami? Nie macie szans, jeśli Niemcy zobaczą blondynkę. Gwałcą większość kobiet, które wpadną im w ręce. Przyjrzałem się pani synowej: jest bardzo piękna. Na pewno zabiorą ją do polowego burdelu.

- Co za ludzie. - Elisabetta z niedowierzaniem potrząsnęła głową. -Dlaczego są tacy bezwzględni?

- To aryjska krew, którą się tak szczycą - mruknął. - Przecież są potomkami najgroźniejszych wojowników. Setki lat temu ich przodkowie dziesiątkowali Europę. My, Cyganie, jak nikt znamy się na hodowli rasowych koni i psów. I wiemy, że należy dbać nie tylko o ciało, lecz także

o duszę. Niemcy są gorsi niż najgorsze kundły! Przerasowane bestie! -Splunął głośno. - No, zrobiłem, co do mnie należało. Zaproponowałem pani pomoc. - Patrzył na nią wyczekująco.

- Dziękujemy - odparła. - Chętnie skorzystamy z pana propozycji. -To dziwne, że wojna wyzwala w ludziach zarówno głęboko ukryte zło, jak

1 dobro, pomyślała. Uśmiechnęła się do młodej kobiety z dzieckiem na ręku, która właśnie ich mijała.

- Z daleka pani idzie?

- Z Florencji. - Odgarnęła włosy z czoła. - Jestem Żydówką. Całą rodzinę aresztowano, uratowałam się tylko ja z dzieckiem. Uciekamy już od trzech miesięcy.

Elisabetę uderzył blask jej oczu. Ta kobieta była poza cierpieniem. Nie uciekała przed bólem, jak Anna, ale wyłakała już wszystkie łzy.

Nieraz widziała ten wyraz twarzy. Nawet dzieci, w tym także jej wnuki, nie śmiały się już i nie bawiły na postojach. Każdą krótką chwilę wypoczynku należało wykorzystać na sen. Trzeba było zbierać siły do pokonania kolejnego odcinka nocnego koszmaru.

Usiłowała przypomnieć sobie twarz Reginy. Jeśli to do niej szli, wiedziała, że mogą liczyć na pomoc. Orlando zajmie się wszystkim. Muszą tylko wytrwać do końca podróży.

## 84

O Boże, to Crispin. - Mary Rose usiadła na łóżku. - Travis, tak mi przykro. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że nie podoba mi się jego zachowanie? To na pewno sprawa tej starej wiedźmy, jego matki. - Uśmiechnęła się z trudem. - A więc będą chcieli mnie szantażować!

Travis przysiadł na skraju łóżka i szczerzej owinął się szlafrokiem. -Co zamierzasz teraz zrobić?

- Poczekamy, zobaczymy. Nie wiadomo jeszcze co z tego wyniknie.

- Pamiętaj, że nie musisz ulegać z mojego powodu. Jestem Amerykaninem i nie obchodzi mnie, co powypisują o mnie brytyjskie brukowce. Tobie będzie trudniej, bo twoje nazwisko często pojawiała się w kronice towarzyskiej. - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się ponuro. -Najśmieszniejsze, że w gruncie rzeczy wcale nie popełniliśmy cudzołóstwa.

- Wiem - mruknęła zamyślona. - I jeśli dojdzie do walki, będzie to nasz as w rękawie. Mam nadzieję, że Crispin nie posunie się do ostateczności. Postaram się wyciągnąć z niego, co zamierza. Coś mi mówi, że za tym wszystkim kryje się Amelia. Nie chce, żebyśmy się rozstali, bo wie, że wówczas Crispin straciłby źródło utrzymania. Nie wystarcza jej, że zgodziłam się na jego żądania. Jestem gotowa dać mu sto pięćdziesiąt tysięcy funtów i ten cholerny dom. Nie chcę niczego, co by mi go przypominało. Pragnę tylko uwolnić się od tej cholernej rodziny.

Dopiero teraz w pełni zrozumiała słowa Trávisa. Nie tylko chciał ją chronić. Był gotów pozwolić, by cała Anglia dowiedziała się, że jest impotentem.

363

- Dzięki. - Nie wiadomo kiedy jej oczy wypełniły się łzami. -Przywracasz mi wiarę w mężczyzn.

- Mary Rose, ty nie poślubiłaś mężczyzny, lecz psychopatę.

- Wiem. Jestem idiotką. Dzisiaj znowu idę do szpitala. Lubię tam pracować. Żołnierze są przemili i mają takie zabawne poczucie humoru. -Westchnęła ciężko. - Cholera, akurat teraz, kiedy wszystko zaczęło układać się jak trzeba. Ciekawe, co na to powie pani Gulbenkian?

Travis parsknął śmiechem.

- Z całą pewnością będą to słowa godne zapamiętania. Nie zapominaj, że mówisz o specjalistce w tej dziedzinie.

- Taak. Dziś wieczorem idziemy razem na kolację. Będą też Jonathan i George. Może i ty się z nami wybierzesz? - Nagle dotarło do niej, jak bardzo pragnie, by przyjął jej zaproszenie. Ostatnio polegała na nim coraz bardziej. To dlatego, że nasza współpraca tak dobrze się układa, przekonywała samą siebie. Poza tym, Travis bardzo lubił Jonathana i George'a.

- OK. - Uśmiechnął się i na jego lewym policzku przez chwilę widniał zabawny dołeczek. - Z wielką chęcią dowiem się, co pani G. sądzi na temat naszej obecności na pierwszych stronach gazet.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - odparła Mary Rose grobowym głosem. Niestety, miała przeczucie, że bez tego się nie obejdzie. Amelia straciła kontakt z rzeczywistością; wyobrażała sobie, iż sam fakt przynależności do brytyjskiego establishmentu daje jej gwarancję bezkarności. Mimo że, jak zapewne tłumaczyła sobie ta stara krowa, pułkownik nie ukończył żadnej znanej szkoły, jej koneksje zapewniały mu odpowiednią pozycję.

Mary Rose miała odczuć na własnej skórze, że w Anglii istnieje, istniał i zawsze będzie istnieć system klasowy. A Amerykanie zajmowali w oczach Brytyjczyków najniższą możliwą pozycję. Ale Mary Rose im wszystkim pokaże; Crispinowi, jego matce i tym obrzydliwym dziewczuchom.

- Jutro zawiadomię mojego adwokata.

- Ta dziwka pewnie się domyśla, że to moja sprawka. - Crispin oparł głowę na rękach.

Amelia siedziała naprzeciw niego. - Pewnie tak, zwłaszcza jeśli twój detektyw nie kłamał i zrobił naprawdę dobre zdjęcie. No i dobrze jej tak. Kto popełnia cudzołóstwo, powinien dostać za swoje. Ja nigdy, przenigdy nie zdradziłam twojego ojca - prychnęła z dezaprobatą.

Crispin stłumił uśmiech cisnący mu się na usta. Śmieszyła go sama myśl, że kogokolwiek mogłoby pociągać zaniedbane, przesiąknięte psim zapachem ciało matki. Ale nie zawsze tak było, przypominał sobie. Poczul, że płoną mu policzki.

Amelia spojrzała na syna i ciężko westchnęła. Taki był z niego

kochany mały chłopczyk. Ilekroć pułkownika nie było w domu, wkradał się do jej łóżka. Jaka szkoda, że teraz wpadł w takie kłopoty. Nie dość, że żona go zdradziła, na dodatek chciała pozbawić go środków do życia. Amelia nie pozwoli, by skrzywdzono jej syna.

- Zadzwoń do Rydera - zdecydowała. - A ty jedź po zdjęcie. Musiała przyznać, że podobało jej się to całe zamieszanie.

- Aha, moim zdaniem, nie powinieneś mówić o tym wszystkim ojcu. Wiesz, zawsze lubił tę sukę.

Crispin zacisnął zęby. Może i Mary Rose była suką, ale jego suką, prawda? Sam już nie wiedział, co myśleć.

Kilka dni później wsiadł do samochodu. Amelia usadowiła się obok syna. Wszelkie próby przekonania jej, że da sobie radę sam, spełzły na niczym.

- Mamo, na Boga, jestem dorosłym mężczyzną. Sam potrafię rozmawiać z adwokatem. Proszę, nie jedź.

- Crispin, nie marudź. Muszę osobiście zadbać o twoją przyszłość. A co będzie, jeśli poznasz jakąś miłą dziewczynę, zakochasz się i zechcesz mieć dzieci? Nie stać cię na kolejne małżeństwo. Nie, mój drogi, Mary Rose zabrała ci najlepsze lata i teraz musi za to zapłacić.

Crispin odrzucił głowę do tyłu.

Nie dość, że o wszystkim za niego decyduje, to czy musi jeszcze nosić tak ohydny kapelusz?!

Ryder skrzywił się, zobaczywszy zdjęcie. - Cóż, nie ma żadnych wątpliwości. - Patrzył na Mary Rose śpiącą w objęciach mężczyzny, którego nie znał. To na pewno odpowiedniejszy dla niej człowiek niż ten chciwy wymoczek, pomyślał. Co do jego straszliwej matki, miał już z nią do czynienia. Dreszcze przechodziły go na samo wspomnienie.

- Co ma pan zamiar zrobić?

- Rozwieść się z nią, to oczywiste. - Amelia odpowiedziała za syna. - Crispin musi także uzyskać odszkodowanie za wszystkie te lata, podczas których troskliwie się nią opiekował.

- Co dokładnie pan robił, panie Kearney?

- Cóż... hm... prowadziłem jej interesy. To bardzo skomplikowane. Mary Rose ma duży portfel akcji.

- Rozumiem. - Ryder doskonale wiedział, czym Crispin się zajmował w ciągu ostatnich kilku lat. Miał w biurku plik weksli z jego podpisem. Kearney wydawał fortunę na ubrania, płyty, posiłki w drogich restauracjach. Odrębną pozycję stanowiły karciane długi u Jimmy'ego Leadbettera. Nie ukrywał swojej dezaprobaty, ale nie chciał stracić klientów.

- Zapewne pańska żona nie ma nic, czego w sądzie mogłaby użyć przeciwko panu?

- Absolutnie nic - zapewniła Amelia. - Był idealnym mężem.

- Chciałbym usłyszeć to od pana Kearneya - wycedził Ryder. -Przecież to on rozwodzi się z żoną, prawda?

366

Amelia zaczerwieniła się i zamilkła. Nerwowo ścisnęła brązowe rękawiczki. Do sądu muszę mieć nowe, pomyślała. Podobała jej się rola matki skrzywdzonego męża. Postanowiła, że sprawi sobie nowy kostium i kapelusz.

- Tak, mama ma rację. Nie ma nic, czego mogłaby użyć przeciwko mnie - oznajmił Crispin zdławionym głosem. - Robiłem wszystko, by nie złamać przysięgi małżeńskiej. Wie pan, Mary Rose ma trudny charakter...

Po minie Rydera można by przypuszczać, że w biurze śmierdzi zgniłą rybą.

- Panie Kearney, nie musi pan dzielić się ze mną detalami swego prywatnego życia. Zakładam, że żąda pan rozwodu z winy żony, tak?

- Tak jest, panie Ryder. Dam jej ostatnią szansę. W ten weekend przyjeżdża do domu. Zobaczymy, czy uda się nam dojść do porozumienia.

To znaczy, czy da nam pół miliona funtów, uściśliła w myślach Amelia, ale nic nie mówiła. Postanowiła jak najszybciej skontaktować się ze znajomymi sędziami. Musi zrobić wszystko, byle Crispin postawił na swoim.

- Cóż, panie Kearney, mam nadzieję, że da mi pan znać, kiedy podejmie pan już decyzję. - Adwokat podał mu zdjęcie.

- Nie, nie, proszę to zatrzymać. Mam jeszcze kilka odbitek.

Ryder wpatrywał się w nieszczęsną fotografię jeszcze długo po wyjściu Kearneyów. Biedna kobieta, pomyślał.

Crispin zgotuje jej istne piekło na ziemi. Oby tylko ten kochanek nie zostawił jej na lodzie.

Tymczasem w ekskluzywnej restauracji pani Gulbenkian uważnie słuchała relacji z wydarzeń ostatniego ranka.

- Co za wredny, tchórzliwy dupek - stwierdziła w końcu. - Tak się kończą małżeństwa z żigolakami, moja droga. Nie daj się, Mary Rose. Walcz. Żaden sędzia nie przyzna mu racji, a gazety zmieszają go z błotem. Nikt nie lubi żigolaków. Mężczyźni, którzy żyją z pieniędzy kobiet, mają zazwyczaj tyle przyzwoitości, by wycofać się w odpowiedniej chwili. Niestety, Crispin nie jest sam; wie, że matka poprze wszystkie jego decyzje. Przypuszczam, że on się jej boi. - Tu pani Gulbenkian przybrała ton światowej, znudzonej damy. - To maminsynek. Kocha mamuszkę najbardziej na świecie.

- Kazirodztwo matki z synem to narodowa choroba Anglików. -Jonathan wypił swoje wino. - Wszystko przez to, że wysyła się ich do szkół z internatem, gdzie dostają w tyłek; to ich podnieca. Najokrutniejsi sadyści to Anglicy.

- Miałam okazję doświadczyć tego na własnej skórze. - Mary Rose się wzdrygnęła. Nie zapomniała o uderzeniach i siniakach.

Travis nakrył jej dłoń swoją. Z przerażeniem zauważył, że drżała. Crispin naprawdę ją skrzywdził, pomyślał. Nawet teraz się go boi.

347

Kolacja dobiegała końca. . .

- Zostanę u ciebie na noc - oznajmił zdecydowanie. - Crispin nie może już nam nie może zrobić. Ma zdjęcie, które chciał. Teraz może nam...

Mary Rose uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Tak trzymać, mój drogi! To mi się podoba. - Pani Gulbenkian klasnęła w dłonie. - W domu wypijemy szampana za nasze przyszłe zwycięstwo.

Jonathan i George wsiadali już do taksówki. - Do widzenia, chłopcy. Pamiętajcie, jutro punktualnie o ósmej - pomachała im milionerka. Mary Rose zamknęła oczy.

- A wiecie, kiedy rozwodziłam się z moim trzecim mężem... Uśmiechnęła się. Dzięki ci, Boże, za bogate doświadczenie pani

Gulbenkian. Była zadowolona, że starsza pani pograżyła się we wspomnieniach. Mechanicznie potakiwała jej w odpowiednich momentach, ale nie słuchała zawilej opowieści. Nieraz już słyszała tę historię i jeszcze nieraz JĄ usłyszy.

Za oknami taksówki przesuwał się Londyn okaleczony bombardowaniami. Kiedyś było to zupełnie inne miasto. Przypomniała sobie pierwszy pobyt w stolicy; powiew historii, patyna lat onieśmiały ją i fascynowały jednocześnie. Do niedawna jeszcze Londyn przypominał starego dżentelmena, o skroniach już posiwiałych, o niepewnym kroku, ale nadal uroczonego, dowcipnego i eleganckiego, któremu nieobce są szalone eskapady. Wojna i walka zniszczyły ten wizerunek. Blizny szpeciły każdą ulicę, każdy skwer. Najpiękniejsze budynki Londynu, projektu architekta Wrena, legły w gruzach. Mary Rose z bólem patrzyła na to świętokradztwo. Najbardziej jednak cierpiała, widząc ruiny zwykłych domów mieszkalnych, których nie żałował nikt z wyjątkiem ich lokatorów. Widziała, jak płoną, a wraz z nimi nadzieje i bezpieczeństwo zwyczajnych ludzi, tych samych, którzy chętnie, z entuzjazmem, albo z rezygnacją oddawali swoich synów, braci i mężów rozszalałej wojnie. Teraz nie mieli nawet własnego kąta, gdzie mogliby choć na chwilę zapomnieć o strasznej rzeczywistości. Ale nie poddawali się; walczyli z losem i zwyciężali. Mary Rose, szczęśliwa posiadaczka milionów dolarów, nie pojmowała, skąd czerpią odwagę. Jeszcze przed chwilą płakali nad zgliszczami domu, a teraz przeszukują gruzy, pogwizdując wesoło. Widziała tłumy kobiet, starców i dzieci porządkujących zbombardowane osiedla z energią i zapałem, które budziły w niej wstyd i pokorę. W tej gromadzie zawsze znalazł się ktoś, kto gwizdał skoczną melodyjkę albo nucił najnowszą piosenkę, jakby dobry humor był talizmanem chroniącym od zła.



Podziw Mary Rose dla tych ludzi wciąż rósł, ale jednocześnie pogłębiała się jej depresja i poczucie wyobcowania. Wiedziała, że nie jest tu do niczego potrzebna. Londyn wstanie z gruzów bez jej pomocy, niech mu Bóg błogosławi. I niech go szlag trafi.

85

Czy ten koszmar kiedyś się skończy? - Elisabecie opadły ręce. Mała grupka od rana powtarzała swoje nowe nazwiska. Musieli być przygotowani na wypadek, gdyby Niemcy ich zatrzymali. Cygan, który miał na imię Nino, szedł ich śladem.

Tej nocy przywódca partyzantów odwiedził ich po raz ostatni. To on poprosił Nina o opiekę nad nimi.

- Tysiącrotne dzięki. - Elisabetta ścisnęła w dłoniach węzełek z ziemniakami i jajkami.

Wieczorem zaprosiła Cygana i jego potężną żonę na skromny posiłek.

Elisabetta się zamyśliła. Gdyby nie wojna, pomagałaby teraz przy zbiorach. Pędy winorośli uginałyby się pod ciężarem zielonych i granatowych kiści, śliwki i wiśnie wezbrałyby sokiem. Była jednak wdzięczna losowi za te kilka jajek. Serafina, żona Nina, dorzuciła do wspólnej kolacji puszkę anchois.

Nino rozciągnął usta w uśmiechu.

- Moja żona to postrach Niemców. Jakiś żołnierz ma dziś gorszą kolację, bo my zjemy jego anchois. Widzi pani, Serafina przepowiada im przyszłość i przesądne sukinsyny jej się boją.

Cyganka zachichotała. - Grozę, że rzucę na nich zły urok i że interesy im odpadną. - Zniosła się głośnym śmiechem.

Lisa i Tommaso siedzieli cicho. Obok nich przycupnęły dzieci. Ich widok łamał Elisabecie serce; oboje wychudli podczas morderczej wędrówki. Nicoletta apatycznie żuła jedzenie, które Lisa wsuwała jej do ust. Wszyscy byli brudni, ale Elisabetta nie zwracała na to uwagi.

369

Koncentrowała się na smaku soli. Od wielu miesięcy nie miała w ustach nic słonego.

Dziesięć kilometrów przed niemiecką blokadą Nino dał znak, by szli za nim.

Wszystko wskazywało na to, że Cygan przebywa tę drogę nie po raz pierwszy. Pewnym krokiem zagłębiał się w las, coraz dalej od szosy i tłumów. Nadal słyszeli warkot samolotów i echo strzałów, ale Elisabetta zobojętniała już na odgłosy wojny. Szła, zacisnąwszy zęby, i cały czas modliła się, by Regina czekała na nich na miejscu przeznaczenia. Sił dodawały jej marzenia: o gorących posiłkach, parujących, pożywnych zupach i, przede wszystkim, o kąpieli. Nie znosiła zapachu własnego zaniedbanego ciała. Przetłuszczone włosy były sztywne od kurzu, skóra wyschnięta i pomarszczona, usta spękane. Nino niósł niewielki zapas wody. Co pewien czas każdy z nich mógł upić mały łyk z cennej butelki. Elisabetta często oddawała swoją porcję małuchom.

Wędrowali nocą, a dni spędzali w kolczastych zaroślach.

Czwartego dnia, kiedy widzieli już miasto na wzgórzu, natknęli się na małą grupkę Niemców. Elisabetta, która szła z bliźniętami na czele, zobaczyła ich pierwsza.

- O Boże! - krzyknęła po trosze dlatego, że się przestraszyła, ale głównie po to, by ostrzec pozostałych. Niestety, było już za późno. Lisa i Tommaso wyprowadzili już Annę zza drzew. Tylko Nino i Serafina rozplynęli się bez śladu.

Elisabetta nie mogła już nic zrobić. Zamarła w bezruchu. Żołnierze otaczali ich zwartym kołem. Jeden z nich, wyraźnie najstarszy rangą, włożył czapkę i wstał.

- Kim jesteście? - zapytał po niemiecku.

- Nie rozumiem. - Elisabetta starała się opanować swój strach. Tymczasem jeden z żołdaków uniósł dłonią podbródek Anny.

- Ależ ładniutka - mruknął. Oficer podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Jest piękna - stwierdził bezbłędym włoskim.

- To moja synowa - wyjaśniła Elisabetta. - Nie mówi. Na początku wojny straciła męża i rozum zarazem.

W twarzy oficera nie było żadnych uczuć. - Dokumenty proszę. - Wyciągnął rękę.

Elisabetta podała mu plik papierów.

Oficer przeglądał je uważnie. Nagle podniósł głowę.

- Skąd jesteście? - spytał.

- Z Asciano w Toskanii.

- Daleko zawędrowaliście.

- Chcemy dotrzeć do Neapolu, do mojej ciotki, ona nam pomoże. Spalono nam farmę. W całym Asciano nie było nic do jedzenia. - Kiedyś nie uwierzyłyaby, że potrafi tak kłamać. Nicoletta chowała się za mat-

**371**

kę. Giulio lekliwie patrzył na żołnierzy zza jej spódnicy. Anna nie reagowała.

- Jakie to straszne - stwierdził oficer. - Ona naprawdę straciła rozum.

- Tak. - Elisabetta poczuła łzy na policzkach. - Miejmy nadzieję, że w Neapolu znajdzie się lekarz mogący jej pomóc.

- Chciała dać mu do zrozumienia, że nic nie zdoła ich powstrzymać w wędrówce na południe.

Zamyślił się. Po dłuższej chwili milczenia krzyknął coś głośno do swoich ludzi. Żołnierze patrzyli na niego z niedowierzaniem.

- Możecie iść - oznajmił po włosku.

Elisabetta uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Dziękuję panu - głos jej załamał się ze wzruszenia.

- Nie wszyscy Niemcy krzywdzą kobiety i dzieci - mruknął. - Poza tym, mam córkę niewiele młodszą od pani synowej. Też jest blondynką o niebieskich oczach. Chciałbym wierzyć, że gdyby kiedykolwiek znalazła się w opałach, ktoś by jej pomógł. Ma pani szczęście, signora, że trafiliście na mój oddział.

- Wiem o tym i zawsze będę o tym pamiętała, panie...?

- Gustavenson. Jestem berlińczykiem. Hej, ty - wskazał palcem jednego z żołnierzy. - Zapakuj trochę kawy i chleba dla signory. I daj dzieciom owoców.

Elisabetta nie mogła uwierzyć w tak wielkie szczęście. Dzieci zachłannie przyciskały do piersi jabłka i gruszki. Tej nocy dorośli wypili po kubku bezcennej kawy.

- Prawdziwa włoska kawa! - Z zachwytem wciągnęła nosem gorzki zapach.

Zanim zasnęła, życzyła nieobecnemu mężowi dobrej nocy.

Nie rozumiem Mary Rose, dlaczego pozbywasz się mnie jak starej rękawiczki. - Crispin odął usta jak niezadowolone dziecko i przycupnął na krześle w jej sypialni.

- Wcale się ciebie nie pozbywam, Cnspime. Sam chciałeś odejść, pamiętasz?

- Wcale nie. Spytałaś, ile chcę pieniędzy. To coś zupełnie innego. Byłem dotknięty. A potem dowiedziałem się, że mnie zdradzasz z tym frajerem...

- Travis nie jest frajerem. A ty nie miałaś prawa nasyłać na mnie prywatnego detektywa. Byliśmy już w separacji, mieliśmy osobne sypialnie. Tak więc nie zrobiłam nic złego.

- Mary Rose, nadal jesteśmy małżeństwem.

- Już niedługo, Crispin. Przyjechałam po moje rzeczy. Wyjeżdżam stąd jeszcze dzisiaj. Niech was wszystkich piekło pochłonie. Jesteście siebie warci.

- Cóż, moja droga, skoro nie chcesz być moją żoną i mieszkać ze mną, muszę wnieść pozew o rozwód. Przecież popełniłaś cudzołóstwo, prawda? Czy wyobrażasz sobie, jaki skandal wybuchnie?

- Pewnie. A od kiedy to ja obawiam się skandalu? - zmusiła się do chłodnego uśmiechu. .

- Naprawdę nie zmienisz zdania? Przecież pół miliona to dla ciebie pestka. Owszem, na początku może odczujesz brak gotówki, ale po wojnie będziesz pływała w pieniądzach. Ameryka będzie zbroić Europę, a ty masz udziały w przemyśle zbrojeniowym.

372

- Nic ci do moich finansów, Crispin.

- OK, OK. Pamiętaj, sama tego chciałaś; ty i Travis w łóżku będziecie świetnie wyglądali na pierwszych stronach brukowców.

Wzruszyła ramionami.

- No i co z tego? Nie dorastasz mu do pięt.

Pobiegła na strych, skąd wyciągnęła kilka walizek. Wieczorem już mnie tu nie będzie, pocieszała się w myślach.

Spakowawszy się, zeszła do salonu. Jak przypuszczała, Crispin topił swe smutki w alkoholu.

- A więc - żegnaj. Wszelkie dokumenty bądź łaskaw przesyłać do kancelarii Simpsona w Londynie. Będzie mnie reprezentował w sądzie.

- No, no, no, nie zasypiamy gruszek w popiele. - Jego głos ociekał jadem. - Cóż, dzięki za wszystko. - Wstał, chwytając się niepewnie.

Mary Rose po raz ostatni trzasnęła frontowymi drzwiami. Bogu dzięki, jestem już wolna, pomyślała, wsiadając do samochodu. Cały bagażnik był wypełniony ubraniami. Nie zabrała niczego więcej z wyjątkiem kilku srebrnych bibelotów. Nie chciała, by cokolwiek przypominało jej Crispina. Niech ktoś inny dźwiga ten garb na grzbiecie.

Przycisnęła pedał gazu i pomknęła do Londynu.

Crispin nadal siedział w salonie. Płakał. Nie wiedział, ile czasu upłynęło od jej wyjścia. Nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. W całym domu dźwięczała nienaturalna cisza. Opróżnił butelkę whisky do dna i cisnął nią o ścianę.

Dużo, dużo później obudził się na niewygodnym krześle przy wygasłym kominku. Niepewnym krokiem udał się do sypialni. Przez cały czas zastanawiał się, co też porabia teraz Mary Rose. Pewnie pieprzy się z tym cholernym Amerykańcem. Ta myśl sprawiła, że znów zaczął płakać.

- A niech to - wybełkotał. - Byłem takim dobrym mężem, a ona mnie zdradziła. Już ja jej pokażę! Nikt bezkarnie nie przyprawia rogów Kearneyowi!

Mary Rose, samotna w swym łóżku w Londynie, żałowała, że nie może porozmawiać z Anną. Tylko ona zrozumiałaby jej cierpienie. Tylko jej mogłaby opowiedzieć wszystko o koszmarze życia z Crispinem. Anna uwierzyłaby jej bez zastrzeżeń. Przecież to ona odradzała jej małżeństwo. To Anna widziała jej siniaki. Gdzież jest Anna teraz, kiedy Mary Rose jej potrzebuje?

Anna nadal była bardzo daleko. Czasami wydawało się jej, że jakaś twarz patrzy na nią współczującym wzrokiem. Znała ją skądś, poznawała delikatne rysy i melancholijny uśmiech. Dzięki tej twarzy o wielkich oczach pełnych światła nie czuła się taka samotna.

Tkwiała w długim, ciemnym szybie. Wysoko nad nią migotało słabe światełko. Co jakiś czas próbowała go dosięgnąć, ale nigdy jej się to nie udawało. Rezygnowała wyczerpana, wiedząc, że wkrótce znów spróbuje. Elisabetta obudziła się w wyśmienitym humorze. Kawa i obfity posiłek nastroiły ją optymistycznie, a cukier dodał energii.

Już w Neapolu, godzinami błądzili po wąskich uliczkach. Elisabecie powiedziano, że ma doprowadzić swoją grupkę do Piazza Giovanni Bovio. Tam mają czekać przy fontannie Neptuna. Już samo szukanie placu było okropne; co chwila natykali się na niemieckie patrole, ale żołnierze nie zwracali uwagi na tłumy wycieńczonych mieszkańców. Interesowały ich kafejki i bary, za co Elisabetta była bardzo wdzięczna losowi.

Niemal każdy Niemiec miał u swego ramienia młodą Włoszkę.

- Kolaborantki - syknęła Lisa z nienawiścią.

Tommaso wzruszył ramionami. - Nigdy nic nie wiadomo, cara. Przecież i one mają dzieci i matki na utrzymaniu. W tej wojnie najważniejsze jest przeżyć, nieważne, w jaki sposób.

Elisabecie krajało się serce na widok zniszczeń, jakich dokonali hitlerowcy. Uważała Neapol za drugie, po Sienie, najpiękniejsze miasto Włoch. To tutaj ona i Francesco spędzili swój miesiąc miodowy. Nagle

374

zateśniła za tamtym dawno minionym latem, kiedy na pustej plaży kochali się w świetle księżyca.

No, koniec wspomnień, przywołała się do porządku. Muszę znaleźć Reginę przed zmrokiem.

Zmierzchało już, kiedy dotarli na Piazza Giovanni Bovio. Na próżno liczyła, że umyje sobie twarz w wodzie fontanny. Powitały ich smutne ruiny. Syreny wyły niemal bez przerwy. Ludzie uciekali ze środka placu, szukali schronienia pod arkadami domów.

Spojrzała w niebo. Nie sposób opisać uczuć, których doznała, zobaczywszy symbole aliantów na samolotach. Była szczęśliwa i przerażona zarazem; wojska sprzymierzone bombardowały Niemców, ale jednocześnie zabijały niewinnych Włochów.

W wojnach prowadzonych przez mężczyzn giną głównie kobiety i dzieci, zauważyła. Śmierć nie przerażała jej już; obojętnym wzrokiem patrzyła na drgające konwulsyjnie ciała. Szlochy i jęki stanowiły nieodłączną część ryku bombowców. Była to okrutna, bolesna pieśń wojny.

Wojna miała także swój specyficzny zapach: ciężki, mdły odór krwi.

Wojna miała swoje kolory: szarość gnijących zwłok, czerwień świeżej krwi i żółć eksplozji.

I płacz. Do końca życia nie zapomni płaczu.

Leżeli pod chwiejną ścianą. Dorośli nakrywali sobą dzieci. Ostatnia bomba wstrząsnęła budynkiem i już można było wstać. Pierwszą osobą, którą dostrzegła, była wysoka kobieta. Elisabetta zmrużyła oczy i przyjrzała się jej dokładnie.

- Regina - stwierdziła raczej niż spytała. - Wiedziałam, że to ty. Regina uśmiechnęła się blado. - Modliłam się, byście dotarli bez

przeszkód. - Spojrzała na Annę. - Co z nią? - W jej głosie było zmęczenie, smutek i rezygnacja.

- Widziała, jak zastrzelili Maria. Nie zniosła tego.

Regina zakryła dłonią usta. - To okropne - szepnęła po chwili. - Niech diabli wezmą tę pieprzoną wojnę! - Objęła Elisabetę i przytuliła serdecznie. - Tak mi przykro, naprawdę. - Przez chwilę stały tak, ciasno objęte, nieświadome szalejącego wokół nich chaosu. Potem Regina uniosła głowę.

- Orlando czeka w bocznej uliczce. Mamy ciężarówkę. Szybko przywitała się z Tommasem i Lisą.

- Chodźmy! Musimy się pospieszyć. Nie możemy ryzykować, że Niemcy zarekwirują samochód. To nasz jedyny środek transportu.

Orlando czekał. Uśmiechnął się szeroko na ich widok. Elisabetta odetchnęła z ulgą. Orlando bezceremonialnie zapakował ich na platformę i opuścił plandekę.

- Im mniej Niemcy widzą, tym lepiej - wyjaśnił, zanim on i Regina wsiedli do szoferki.

Elisabetta nie zwracała uwagi na zimno ani ciągle podskakiwanie na wyboistej drodze. Do jej serca powoli wracała nadzieja. Poczula się lekka,

jakby zdjęto z niej wielki ciężar. Teraz już nie ona ponosiła odpowiedzialność za losy całej gromadki. W ciągu ostatnich kilkunastu lat przywykła do tego, że wieśniacy zwracali się do niej z wszystkimi problemami, ale wówczas był u jej boku Francesco. Od początku wędrówki Lisa i Tommaso oddali władzę w jej ręce. Teraz dopiero poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Najwyższy czas, żeby ktoś inny przejął stery.

Było już zupełnie ciemno, kiedy zatrzymali się przed dużym domem położonym w najgłębszym lesie, jaki Elisabetta mogła sobie wyobrazić. Przenikliwy chłód przenikał ciało aż do kości. Ciaśniej otuliła się łachmanami. Dzieci przestępowały z nogi na nogę.

- O nic się nie martwcie. - Orlando był wyraźnie dumny ze swojej zaradności. - Mamy tu żywność, odzież i ciepłą wodę. Co wy na to?

- Słów mi brak. - Elisabetta ledwo trzymała się na nogach. - Po prostu brak mi słów. - Ciężko osunęła się na ziemię. Jeden Orlando nie uległ ogólnemu zamieszaniu: podniósł ją i wniósł do domu.

- Chodźcie. Elisabetta jest wyczerpana. Zaraz wróci do siebie. Zaprowadzono ich do dużej izby. Na kominku buzował wesoło ogień. Elisabetta ocknęła się na kanapie. - Pójdę przygotować kąpiel dla dzieci. - Z trudem wsparła się na łokciu, ale Lisa nie pozwoliła jej wstać.

- Nie, nie, signora. Pani zrobiła już wystarczająco dużo. Ja zajmę się dziećmi.

Nie miała siły protestować. Z ulgą opadła na poduszki. Wtem jej uwagę zwróciła Anna.

- Spójrz, Liso! Ona patrzy na płomienie. Tommaso skinął głową twierdząco.

- Tak, widzę, że porusza oczami. I jej wzrok nie jest taki bezmyślny jak kiedyś. Ona do nas wróci, signora.

- Mam taką nadzieję - mruknęła Elisabetta i zasnęła.

Obudziła się po, jak jej się zdawało, wielu tygodniach snu. Regina siedziała na stołeczku przy dogasającym ogniu.

- Elisabetto, przygotowałam dla ciebie gorącą kąpiel i czyste ubrania. Przede wszystkim jednak musisz coś zjeść. Nie mamy tu smakołyków, ale gorąca, pożywna zupa dobrze ci zrobi. Dzieci już jadły. Teraz śpią, podobnie jak Lisa i Tommaso. Nie martw się o nic. Kiedy już coś zjesz i się wykąpiesz, pójdiesz spać. Orlando i ja zajmiemy się wszystkim. Niemcy się cofają. Koniec wojny zbliża się wielkimi krokami. Tutaj, w leśnej głuszy, nic nam nie grozi. Z trudem przełknęła pierwszą łyżkę zupy. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio jadła gorący posiłek, jeśli nie liczyć dwóch kubków kawy. Była zbyt wyczerpana, żeby odczuwać głód, ale zmuszała się do jedzenia.

Potem Regina zaprowadziła ją do łazienki, gdzie stała wielka, staromodna wanna.

- To luksus, o jakim nie marzyłam. - Elisabetta przymknęła oczy i wstydliwie zakryła piersi.



- Nie krępuj się. - Regina myła jej plecy dużą, szorstką gąbką.
- Regino, czy jest jakiś sposób, bym mogła dowiedzieć się czegoś

o Francescu? Jestem przekonana, że on żyje.

- Pewnie. Skontaktujemy się z Czerwonym Krzyżem. Odnaleźli już tysiące osób. Słuchaj, Elisabetto, wiem, że to nie będzie łatwe, ale teraz musisz spać i wypoczywać. Przecież chcesz wyglądać ładnie dla France-sca, prawda?

Elisabetta tylko kiwnęła głową.

Regina ze współczuciem patrzyła na jej opuszczone ramiona. To śmierć syna przygniatała jej barki nieznośnym ciężarem. Wojna dodała jej wiele lat. Regina wierzyła jednak, że teraz, kiedy inni odciążyli ją w obowiązkach, uśmiech powróci na jej twarz. Ta kobieta przeżyła piekło i przeszła je zwycięsko. Podała jej ręcznik i się odwróciła. Nie mogła patrzeć na wyniszczone ciało. Dzieci wyglądały równie żałośnie. W najlepszej formie byli Lisa i Tommaso, ale też wieśniacy przywykli do ciężkiego życia.

Z westchnieniem wślizgnęła się do łóżka. Wreszcie wszyscy byli bezpieczni. Bezsenne noce, podczas których wpatrywała się w ciemność

i zamartwiała ich losem, należały do przeszłości.

Obok pochrapywał Orlando. Czule pocałowała go w łysiejący czubek głowy. To on odnalazł Biancharinich po długich, uciążliwych poszukiwaniach. Poprzez kontakty w Ruchu Oporu dowiedział się, że Mario nie żyje, Francesco został aresztowany, a kobiety i dzieci uciekły. Szukał ich bez wytchnienia, aż wreszcie kilka tygodni temu powiedziano mu, że idą na południe, otoczone opieką partyzantów.

Regina poprawiła poduszkę i zamknęła oczy. Pod powiekami mignęła jej pusta twarz Anny. Wrócisz, Anno, masz na to moje słowo. Do czego jednak miała wrócić? O tym Regina nie chciała myśleć.

Mary Rose obudziła się z potężnym kacem. Travis nadal spał. Z czułością spojrzała w jego spokojną, piękną twarz. Co za burdel, pomyślała. Wygram, bo Crispin nakrył mnie z facetem, który nie może się pieprzyć, więc właściwie nie popełniliśmy cudzołóstwa. Biedny Travis. Co za pech, że to trafiło na niego. Szkoda, że nie przyłapano jej z mężczyzną pokroju Justina Villiasa, który przyjmował wszystkie ciosy z podniesionym czołem i szyderczym śmiechem. Travis był bardzo wrażliwy. Czuła się winna, że wciągnęła go w swoje prywatne bagno. Zastanawiała się nad tym, kiedy otworzył oczy.

- O co chodzi, Mary Rose?

- O nic. Mam potężnego kaca. Chyba wypiliśmy morze szampana.

- Dwie butelki, o ile dobrze pamiętam, przy czym ty piłaś najwięcej. Mary Rose, czy nie gryziesz się przypadkiem tym, że prawdopodobnie cała Anglia dowie się o mojej impotencji?

Potwierdziła ruchem głowy.

- Nie ma to dla mnie większego znaczenia. Zrozum, dopóki cię nie poznałem, w ogóle nie uprawiałem seksu. Cóż, na Boga, miałbym powiedzieć kobiecie? „Nie mogę się z tobą kochać, ale może strzelisz mi minetę?” Nie brzmi to zbyt zachęcająco, prawda? Poza tym - dodał z krzywym uśmiechem - okazaliśmy się wielce kreatywni w łóżku, czyż nie?

- Tu muszę przyznać ci rację. - Rozpogodziła się. - A propos; co powiesz na mały numer, żeby wyleczyć kaca?

- Nie ma sprawy. - Travis ukląkł na krawędzi łóżka. Ujęła jego

nabrzmiałą męskość kształtnymi, miękkimi stopami. Oddychał coraz szybciej; narastające w nim napięcie było niemal nie do zniesienia. Pochylił się do przodu, kiedy zaczęła go masować, i wsunął w nią palce. Była wilgotna i gotowa. Osiągnęli orgazm jednocześnie.

Opadł na nią ciężko. Leżała pod nim, spocona i gorąca. Po raz pierwszy było mu z tym dobrze. Nie brzydziła go bliskość kobiecego ciała. Mary Rose wyczuła w nim zmianę. Trwała w bezruchu, nie chcąc go przestraszyć.

Zsunął się z niej i, ku swemu zdumieniu, rozplakał. Pogłaskała go po ramieniu.

- Travis? Co się stało?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie wiem, czy płaczę nad tobą, nad sobą, czy nad całym tym brudem. - Otarł łzy. - Jak tam twoja głowa?

- W porządku. - Przeciągnęła się. - Słuchaj, chodźmy spać. Jutro będzie lepiej. - Owinęła się w kołdrę i zasnęła.

Coraz częściej myślała o Annie. Jak na razie próby uzyskania jakichkolwiek wiadomości o rodzinie Biancharinich spełzły na niczym. Zadzwoiła do Ministerstwa Spraw Zagranicznych tylko po to, by usłyszeć arogancką informację: - Proszę pani, mamy teraz wojnę.

- Do cholery, wiem o tym doskonale! - Była wściekła. - Ale być może grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. To w końcu wasza praca, o ile się nie mylę? Czyżby w Rzymie nie było ambasady amerykańskiej? Ani konsulatu we Florencji?

- Zobaczymy, co da się zrobić. A pani powinna zwrócić się do Czerwonego Krzyża.

Z wściekłością cisnęła słuchawką. Wtedy usłyszała szczęknięcie skrzynki pocztowej. Szczelnie otuliła się szlafrokiem i zeszła na dół.

Bardzo lubiła dom pani Gulbenkian. Lubiła spiralne schody wiodące do holu, do ciężkich dębowych drzwi wejściowych. Podobały się jej duże, komfortowo urządzone pokoje, szczególną zaś sympatią darzyła sypialnię i łazienkę

Otworzyła skrzynkę na listy. Pierwszą przesyłką, jaką zobaczyła, była gruba, podłużna koperta z nadrukiem „Ryder & Synowie, kancelaria adwokacka”. O, cholera, pozew rozwodowy, domyśliła się. Wyjęła wszystko ze skrzynki i wróciła na górę. Kiedy siadała na kanapie, żałowała, że nie ma z nią Trávisa. Nie chciała otwierać tego listu w samotności. Aby opóźnić nieuniknioną chwilę, zrobiła sobie kawę i dla kurażu dołała brandy. Zapach alkoholu pomógł jej odzyskać panowanie nad sobą. Usiadła wygodniej i spojrzała na dwie inne przesyłki. Był to rachunek za wędzonego łososia z Fortnum & Mason's i list od Marty.

Pisała, że wszyscy zamartwiają się brakiem wiadomości o Annie. Czy ona, Mary Rose, dowiedziała się może czegoś nowego?

Nie, niczego się nie dowiedziała. Przynajmniej jednak napisze im, że MSZ obiecał zająć się tą sprawą. Upiła kolejny łyk kawy. Brandy parzyła

w język. Teraz sięgnęła po podłużną kopertę. Przez chwilę rozkoszowała się dotykiem grubego, mięsistego papieru, dopiero potem spojrzała na pismo. Nie było tam wiele do czytania. Trávisa Mainwaringa nazwano współwinnym. Crispin wnosił o rozwód z jej winy, jako że nakryto ją z kochankiem in flagranti. Innymi słowy, pomyślała, przyłapali nas bez majtek. Nagle się roześmiała. Nieważne, co głosił urzędowy dokument, co znaczyły łacińskie słowa. Nie można zmienić faktów, a tamtej nocy ona i Travis spali w jednym łóżku, ale nie posunęli się ani o krok dalej. Crispin włożył tyle wysiłku i pieniędzy, żeby ją zniszczyć i zaspokoić własną chciwość: prywatny detektyw, prawnicy, proces... Wszystko po to, żeby ją szantażować. Ona jednak nie ulegnie. Podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Rydera.

- Proszę pana. - Nie potrafiła ukryć zdenerwowania. - Znamy się już od dłuższego czasu. - Na drugim końcu kabla panowała niezręczna cisza. -Panie Ryder, wiem, że nie wolno panu ze mną rozmawiać, gdyż jest pan pełnomocnikiem mojego eks-małżonka, ale proszę, błagam na wszystko, niech pan spróbuje przemówić mu do rozsądku. Proszę mu powiedzieć, że ja nie ulegam szantażystom. Zaproponowałam sto pięćdziesiąt tysięcy funtów i moją część domu. Czy mógłby pan spróbować nakłonić go, by wycofał pozew i zaoszczędził nam wszystkim czasu i pieniędzy? Dzisiaj dostałam odpis pozwu rozwodowego. Jestem bardzo wdzięczna, że pan mi go przesłał. Oczywiście, zgodzę się na rozwód, ale nie z mojej winy. Przykro mi, że doszło do takiej sytuacji.

- Mnie też, moja droga.

Szczerłość jego głosu pocieszyła ją. Odłożyła słuchawkę i wybuchła płaczem. - O Boże - mruknęła przez łzy. - Najpierw Travis, a teraz ja beczę, jak powiedziałby Crispin.

- Pańska żona zgadza się na rozwód, ale nie godzi się z pańskimi zarzutami, panie Kearney. - Ryder natychmiast zadzwonił do swego klienta.

- Chyba oszalała. - Crispin nie wierzył własnym uszom. - Przecież mamy zdjęcie.

Ryder się zachnął. - Cóż, proszę pana - wycedził chłodno - czy jest pan pewien, że dalej chce postępować w ten sposób? W podobnej sytuacji dżentelmeni zazwyczaj godzą się na kompromis.

- Wiem o tym - odparł Crispin lodowatym głosem. - Ale w tym wypadku nie muszę być dżentelmenem. Moja żona z pewnością nie zachowała się jak dama, raczej jak tania dziwka.

- Jak pan uważa. Ostateczną formę pozwu prześlę do jej pełnomocników. To mniej żenujące niż na domowy adres.

- Po czyjej pan jest właściwie stronie, panie Ryder?

- Reprezentuję pana, sir. Ale osobiście uważam, że rozsądniej byłoby

zrezygnować z oskarżenia o cudzołóstwo. Obawiam się, że skandal, jaki wybuchnie, zrujnuje reputację i jej, i pana.

- Cóż, Mary Rose powinna była o tym pomyśleć zanim poszła do łóżka z innym facetem. Widzi pan, ona już zniszczyła moje życie. Nic już nie będzie takie jak przedtem. Mam złamane serce, panie Ryder. Jestem w rozpaczce. Ryder odłożył słuchawkę.

- No, mój drogi, to nie będzie łatwa sprawa - mruknął do siebie. - Zapamiętaj sobie moje słowa.

Travis zaprosił Mary Rose na kolację. Ku jej zadowoleniu, pani Gulbenkian wyszła na przyjęcie. Tylko w samotności mogła odzyskać tak potrzebny spokój. Co innego mówić o rozwodzie, co innego odejść od Crispina, ale dostać pozew...

Pokazała Travisowi otrzymane papiery.

- Rozmawiałam już z moim doradcą prawnym, Ridgewayem. Jutro po południu mamy się stawić w kancelarii.

Naprawdę mi przykro, że wciągam cię w to wszystko.

- Daj spokój. - Dolał jej gęstego, ciemnego barolo. Zamknęła oczy. Aromat wina niósł wspomnienie gorącego włoskiego lata. W bogatym bukiecie czuło się pola falujące żółcią i złotem pod rozpalonym niebem.

- Mmmmm. - Na chwilę zapomniała o wszystkich problemach.

- W każdym razie, kiedy tylko ta cholerna sprawa dobiegnie końca, powinniśmy wrócić na jakiś czas do Ameryki. Pisali do mnie znajomi z Nowego Jorku. Wojna skończy się lada dzień, a ja nie będę płakał za Anglią. Mam dość tej klaustrofobicznej wysepki. Czasem chce mi się wrzeszczeć i uciekać jak najdalej, najlepiej na bezkresne pustynie Arizony. W Ameryce można odetchnąć pełną piersią.

- Wiem, o co ci chodzi. Ja nie mogę pogodzić się z wszechwładzą zakichanych klas średnich. Jeśli nie masz odpowiedniego akcentu, odpowiednich ciuchów i nie pokazujesz się w odpowiednich miejscach, jesteś spalony. Nie wiem, jak potoczy się proces, ale cieszę się, że zostałeś przy mnie. Nie mogę się już doczekać miny Ridgeway'a, kiedy usłyszy całą prawdę.

- Wypijmy za to. - Uniósł kieliszek. - Chodź, odwiozę cię już do domu. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Odprowadził ją aż do samych drzwi.

- Na pewno wszystko w porządku? Jeśli chcesz, zostanę z tobą, chociaż chętnie przebrałbym się w świeże ubranie. Poza tym - uśmiechnął się - wiem, że niechętnie wpuszczasz obcych do łazienki. Kiedyś zaprojektuję dla ciebie dom ze specjalną, ściśle prywatną łazienką. Framuga będzie miała kontury twego ciała, tak że tylko ty będziesz mogła wejść. Ty albo

twoje dzieci. - Dostrzegł ból w jej oczach. - Przepraszam, Mary Rose. Nie chciałem cię urazić.

- OK. Może gdybyśmy mieli dzieci...? - Sama nie była pewna. -Nieeee - pocałowała Tralisa w policzek. - Crispin to skurczybyk i nie byłby dobrym ojcem. Zresztą nie chciałabym, żeby ci okropni Kearneyo-wie byli krewnymi moich dzieci. - Uśmiechnęła się blado.

Jak łatwo ją zranić, pomyślał, wracając do samochodu. Przeklinał Anglików i, dla równowagi, także Irlandczyków. Na myśl o nadchodzącym dniu przechodziły go dreszcze.

89

Dni płynęły powoli. Gęste lasy otaczały mały domek zwartym pierścieniem, ale żaden z jego mieszkańców nie zapomniał o brutalnej rzeczywistości. Elisabetta sądziła, że ucieczka na południe uodporniła ją na cierpienie innych, ale się myliła. Na nic zdawały się pocieszenia, że to odgłosy zwycięstwa i że wkrótce zapanuje cisza zwiastująca nowe, lepsze jutro.

Alianci zdobyli Neapol. Niemcy wycofywali się na północ.

Choć nie wychodziła z domu, oczyma wyobraźni widziała zniszczone miasto; Orlando i Regina zdawali szczegółowe relacje po każdej wyprawie. Neapolitańczycy zapłacili wysoką cenę za umiłowanie wolności.

Elisabetta nie była pewna, czy wolność jest warta tylu łez i poświęcenia. Walczący zaciekle żołnierze pewnie nie zadawali sobie takich pytań.

Lata wojny zniszczyły ją, jak kwas niepostrzeżenie niszczy jedwab.

Całymi dniami nie wstawała z łóżka. Nie wierzyła już, że kiedykolwiek odzyska dawną siłę. Dopiero teraz mogła pozwolić sobie na rozpacz i ból po utracie Maria. Dopadły jej ze zdwojoną siłą. Tarzała się po podłodze, krzyczała i szlochała. Nigdy dotąd nie cierpiała tak bardzo. Śmierć jedyne go syna była gorsza niż wszystko, czego dotychczas doświadczyła. Cierpiała także dlatego, że nie dane jej było utulić go w tej ostatniej chwili, nie mogła go pochować. Kiedy zostawała sama, wyła histerycznie.

Wtedy Regina natychmiast zabierała dzieci na spacer, a Lisa wyprowadzała Annę. Zdawało się jej, że raz czy dwa Anna zmarszczyła brwi, słysząc rozpacz teściowej.

- Ona wyzdrowieje, Liso. - Tommaso za wszelką cenę starał się ją pocieszyć. - Czas koi wszystkie rany.

382

- Tommaso, co z nami będzie? Z nami wszystkimi?

- Jak to co? Wrócimy do Asciano. Pobierzemy się i będziemy żyli długo i szczęśliwie. - Była to jego mantra, powtarzana kilka razy dziennie. - Signora Fosca wróci jako żona Claude'a. Znów będziemy wielką, szczęśliwą rodziną. Signor Francesco i ja będziemy siali i robili sery. A ty urodzisz mi mnóstwo ślicznych bambini. - Przytulił ją. -i co powiesz na moje plany?

Regina tymczasem z właściwym sobie wigorem rozpoczęła poszukiwania Francesca.

- Dwa strzały wpłynęły na historię całego świata - oznajmiła kiedyś Orlandowi. - Kula, która zabiła arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie, okrążyła Ziemię i sprawiła, że świat nigdy nie wrócił do dawnego stanu rzeczy. Druga, samobójczy strzał, zabiła tego szalonego zbrodniarza, Hitlera, i dzięki temu świat jest bezpieczny. Może teraz szybciej odnajdziemy Francesca.

Czyniła wszystko, co leżało w jej mocy, aż wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Dowiedziała się, że tuż przy granicy niemieckiej jest obóz dla Włochów. Zmuszano ich do niewolniczej pracy na okolicznych farmach.

- Muszę tam jechać i upewnić się, że Francesco jest wśród ocalonych - stwierdziła stanowczo Regina. - Nie, Elisabetto, nie pojedziesz ze mną, nie ma mowy. Nadal jesteś bardzo osłabiona, a w Niemczech panuje teraz mroźna zima. Zadzwoń, kiedy tylko dowiem się czegoś konkretnego. - Nie dała jej dojść do słowa. - Elisabetto, nie ma sensu, żebyś jechała taki szmat drogi tylko po to, żeby umrzeć w ramionach męża. To nie opera, moja droga, więc nie bawmy się w *Cyganerię*. Orlando jedzie ze mną. Ogrzeje mnie w chłodne noce i uratuje z każdej matni.

Elisabetta nie miała wyjścia. Wiedziała zresztą, że nie przetrzymałaby trudów podróży. Zrezygnowana, wróciła do łóżka.

Regina i Orlando wyjechali w tym samym tygodniu. Tommaso i Lisa zajmowali się domem. Elisabetta spała, płakała i się modliła. Pewnego dnia ponownie usłyszała śmiech wnucząt; dzieci najszybciej odzyskiwały utracony spokój. Powoli i ona wracała do siebie. Z zadowoleniem zerknęła w lustro; ostatnio nie była już taka blada, a jej wychudzone ciało nieco się zaokrągliło. Także Anna odzyskiwała dawną urodę. Czasami wydawało się, że w jej oczach błyszczy wątle światelko rozumu. Elisabetta panicznie obawiała się chwili, w której synowa ocknie się z letargu i ponownie przeżyje śmierć Maria. Być może to dzięki utracie pamięci przetrwała długą wędrówkę po wolność.

Anna mieszkała w obszernym, jasnym pokoju. Stał tam duży kredens, w którym przechowywano rodowe srebra. Nad kominkiem wisiało lustro w złoczonej oprawie. Godzinami przesiadywała przy oknie wychodzącym na szeroką łąkę.

Ostatnimi czasy coraz częściej zdarzało się, że Lisa zastawała ją we łzach. Nic, żadnych uczuć, żadnego głośnego płaczu, tylko obfite, nieme

384

strumienie łez. Za każdym razem pytała ją o powód, ale nie otrzymywała żadnej odpowiedzi.

Anna nie mogła jej odpowiedzieć, ale rozpoznawała już twarz widoczną w tunelu. Była to ciocia Marta. Ciocia Marta trzymała coś w ręku, coś, co chciała przekazać bratanicy. To coś pozwoli jej wyjść z tunelu. Anna nie wiedziała jednak do końca, czy tego chce. Było jej tu dobrze. Czułe ręce głaskały ją, małe dłonie bawiły się jej palcami. Małe usta wyciskały soczyste pocałunki, a woda spływała po jej policzkach. Nie była pewna, czego chce. Na razie lepiej poczekać.

Trzy tygodnie czekała Elisabetta na wieści od Reginy, aż wreszcie o drugiej w nocy zadzwonił telefon. Zerwała się natychmiast i zderzyła z Lisą, która już zbiegała ze schodów.

- Tak - podniecona dziewczyna oddała jej słuchawkę. - To signora Regina. - Słyszały, jak w pokoju obok Tommaso szuka butów.

- Elisabetta? - Głos Reginy zagłuszały szумы i trzaski. - Jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać.

- O, nie. - Ciężko oparła się o ścianę.

- Elisabetto, Elisabetto... To ja, Francesco.

Nie mogła mówić przez łzy. - To naprawdę ty? Kochanie, jak się czujesz?

- Dobrze. Elisabetto, od naszego rozstania marzyłem o tej chwili. Wracam do domu. Czekaj na mnie. Za tydzień będziemy razem. Najdroższa, kocham cię i tęsknię za tobą. Nic i nikt nie zniszczy mojej miłości do ciebie.

Oddał słuchawkę Reginie. - Elisabetto, musimy już kończyć. Wyruszamy w drogę, kiedy tylko jego dokumenty będą gotowe. Zadzwonię jeszcze raz, żebyście zabrali się do przygotowywania powitalnej uczy, dobrze?

- Tak - Elisabetta śmiała się i płakała na przemian. - Tak, tak.



Silas Ridgeway nie wierzył własnym uszom.

- Pani Kearney, nie jestem pewien, czy dobrze zrozumiałem. Na polecenie pani męża sfotografowano panią w łóżku, w którym był także pan Mainwaring, i pani twierdzi, że nie popełniła cudzołóstwa?

- Tak jest. - Kątem oka spojrzała na Trávisa. Był zdenerwowany, ale nic nie wskazywało na to, że chce się wycofać.

- Pozwoli pani, że przeczytam jej definicję „cudzołóstwa”: „Dobrowolny stosunek płciowy między osobą pozostającą w związku małżeńskim a osobą inną niż jej małżonek”. Więc odbyli państwo stosunek czy nie?

Przepraszam za brutalność, ale jeśli pani mąż wnosi o rozwód z pani winy, musimy wyjaśnić pewne sprawy na początku.

Travis podniósł głowę.

- Panie Ridgeway - oznajmił spokojnie. - Nie jestem w stanie odbyć stosunku płciowego.

Prawnik wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

- Jestem i byłem impotentem, panie Ridgeway - wyjaśnił. - Proszę, oto dokumentacja medyczna.

Ridgeway nie odrywał wzroku od czubków swoich palców. - Czy pan nie żartuje?

Szkoda, że zjadł obfite śniadanie. Przy sprawach takich jak ta powinien mieć pusty żołądek.

Pani Kearney to piękna kobieta, a i ten mężczyzna jest niebrzydki jak na goja. Ale ta sprawa...! Czemu zawsze jemu trafiają się takie dziwactwa? Doskonale znał odpowiedź na to pytanie: był najlepszym specjalistą do

366

spraw rozwodowych w całej Anglii. Przypuszczał, że to uczucie do żony i dzieci kazało mu z takim zaangażowaniem bronić skrzywdzonych kobiet. Umęczona twarz Mary Rose zdradzała, że nie miała ona łatwego życia. Nagle poczuł do niej szczerą sympatię.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć - poprosił. Nie sięgnął po pióro ani notes. Teraz nie czas na notatki. Zapisze wszystkie istotne rzeczy później, kiedy już pozna całą historię. Ona opowiadała, a on już planował, w jaki sposób rozegra ostateczną partię w sądzie. Każdy proces bowiem to dramat. Każdy ma w nim swoją rolę. Ridgeway wyczuwał podświadomie, że Mary Rose spisze się znakomicie.

Wymieniała wszystkie krzywdy, jakich doznała od Crispina, a prawnik szacował w myślach Trávisa.

Uznał, że doskonale się nadaje do roli dzielnego rycerza ratującego damę z opresji. Sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, godnego zaufania. Miał nadzieję, że Crispin okaże się bardziej szczeniacki. Tym lepiej wypadnie Travis, im większego smarkacza będzie miał za przeciwnika.

Szkoda, że i on, i pani Kearney to Amerykanie. Anglicy nie lubią przybyszów zza Oceanu, bo uważają ich za wulgarnych prostaków.

Mary Rose skończyła swoją opowieść.

- Dziękuję pani. Wiem już mniej więcej, jak poprowadzić tę sprawę. Zadzwoń do pani, kiedy tylko pełnomocnicy pana Kearneya przyślą mi oficjalnie kopię pozwu rozwodowego. Przypuszczam, że nie dojdzie do tego wcześniej niż na początku stycznia.

Zerknął na Trávisa. - Czy mógłby pan dostarczyć mi wszelkie wyniki badań?

- Testy psychiatryczne także?

- Wszystko, co pan ma, panie Mainwaring. To będzie... hm... dosyć nietypowa sprawa.

Wstał. Uścisnął dłoń Mary Rose i poklepał Trávisa po plecach.

- Dla żadnego z państwa nie będzie to przyjemne. Czuję się także w obowiązku przypomnieć wam, z jakim zapalem brukowce rzucają się na taki kasek. Miejmy nadzieję, że opowiedzą się po waszej stronie, bo jeśli nie, to... - Wzruszył ramionami.

- Dziękujemy panu, mecenasie. - Mary Rose położyła dłoń na klawce. - Bardzo panu dziękujemy.

Drzwi zamknęły się już za nimi, a on nadal potrząsał głową. Co za dziwaczna sytuacja. Kochanek, który nie skonsumował związku? Skoro nie doszło do pełnego stosunku, nie może być mowy o cudzołóstwie. To przejdzie do historii, pomyślał z dumą. Widział już tytuły w podręcznikach: „Kearney kontra Kearney. Prawnicy: Silas Ridgeway...” Swoją drogą ciekawe, co właściwie robili w łóżku? No, ale to nie jego sprawa, a już z całą pewnością nie mógłby opowiedzieć o tym żonie. Była dobrą, cnotliwą kobietą.

- Dobrze chociaż, że nie pytał, co właściwie robimy w łóżku. - Wrócili już do swojej oazy na Eaton Square.

Travis nie odpowiedział.

- Co ci jest? - Mary Rose uniosła się na łokciu i spojrzała na niego uważnie.

- To będzie koszmar.

- Słuchaj, w każdej chwili możesz się wycofać. W każdej chwili. Zrozumiem to, wierz mi.

Przecząco potrząsnął głową. - Nie, Mary Rose, nie pozwolę, by ten sukinsyn cię szantażował. Poza tym, nie wstydzę się naszej miłości. Przymknęła oczy. - To ty mnie kochasz, Travis?

- No pewnie. Nie myślisz chyba, że byłbym tu, gdybym cię nie kochał? Miałaś pecha i trafił ci się wybrakowany towar, ale jestem z tobą bardzo szczęśliwy.

- Nie wolno ci tak myśleć, Travis. Jest mi z tobą o wiele lepiej niż kiedykolwiek z Crispinem. - Wzdrygnęła się. - Nie miał orgazmu, dopóki nie sprawił mi bólu. Zdaję sobie sprawę, że każdy z nas skrywa mroczne strony swojej natury, ale nie chcę spędzić całego życia w ciemnościach. Seks powinien być radosnym spełnieniem, a nie perwersyjną torturą. Teraz nie obawiam się już niczego. Choćbym miała stracić wszystkie pieniądze, pozbędę się go.

Opadła na plecy.

- Chyba stałam się mistrzynią w lekceważeniu rzeczywistości. To mieszkanie to taki bezpieczny kokon. Uciekam do niego nie tylko od moich problemów osobistych, lecz także od świadomości, że jest wojna. Teraz wiem, że to tchórzostwo, ale tylko dzięki temu mogłam przetrwać. Widziałam zniszczenia, nieszczęścia i tragedie. Widziałam ludzi żebrzących na ulicach, młodych mężczyzn o kulach, rodziny bez dachu nad głową, domy spalone do fundamentów... I wiesz co, Travis? Ja po prostu nie umiałam się z tym uporać. Rozumiesz...? Czy ja w ogóle mówię do rzeczy? Wiem, że powinnam była być tam, na ulicach, ale jedyne, na co mnie stać, to te kilka godzin w szpitalu. Uśmiecham się i rozdaję tace z jedzeniem. Zawsze przed wszystkim uciekałam, szukałam dobrej zabawy, a tam, na świecie, nikt się już nie bawi. Tutaj, w łóżku z tobą, potrafię sprostać rzeczywistości. Po Świętach staniemy twarzą w twarz z okrutnym światem, ale na razie zapomnijmy o tym. Cieszymy się czasem, jaki nam pozostał.

Travis poczuł na policzkach delikatne muśnięcie palców.

- Opowiedz mi, co się stało, kiedy po raz pierwszy chciałeś być z kobietą.

Ukrył twarz na jej ramieniu. - Miałem wtedy szesnaście lat. Ona była królową balu, a ja królem. Mogłem wówczas wyjechać z miasta; zaoferowano mi stypendium, bo byłem najlepszym baseballistą, ale nie przyjąłem go. Marzyłem o architekturze wewnątrz. Mówiłem ci już, że nie przelewało

się u nas i mama dokonywała cudów, by zapłacić rachunki. Ojciec oszedł, kiedy byłem mały, więc zostaliśmy tylko we trójkę: mama, siostra i ja. Bardzo kochałem siostrę. Właściwie tylko ją kochałem.

- A matkę?

- Nie. Wiesz, to nie jest takie proste.

- Nic nie jest proste, zwłaszcza kiedy się ma szesnaście lat - mruknęła. Na chwilę stanęła jej przed oczami zapłakana twarz matki.

- W każdym razie, mama miała tylko mnie. Musiałem ją pocieszać, opiekować się nią... — zawahał się. - Chciała, żebym spał z nią w jednym łóżku. Dopóki żyła siostra, to ona spała z matką, ale potem... - Odetchnął głęboko. - Nie miałem wyboru. Ale szesnastoletni chłopak nie powinien leżeć z matką w tym samym łóżku.

Wspominał pierwsze nieudane zbliżenie. Była to klasyczna opowieść

o pierwszej miłości, o odkrywaniu nowego świata poprzez pieszczoty

i wstyd, chichoty i łzy, radość i upokorzenie.

- Starła się mi pomóc. - Dokładnie pamiętał tamtą noc po szkolnej potańcówce, kiedy zdecydowali się uczynić ów pierwszy krok w dorosłość. - To było tak, jakby niewidzialna ręka nie pozwalała mu stanąć. Nie mogłem nic na to poradzić. Oczywiście, dziewczyna rzuciła mnie zaraz potem. Od tego czasu trzymałem się z dala od dziewcząt.

Wiedziałem, że nie jestem homoseksualistą, bo podniecały mnie kobiety, nie mężczyźni. Przypuszczam, że to śmierć mojej siostry i fakt, że musiałem spać z matką w jednym łóżku, zrobiły ze mnie impotentą. Do dziś pamiętam jej zapach. Przytulała się do mnie we śnie, a mnie się zdawało, że się duszę, że nie mam czym oddychać.

Mary Rose nie poruszyła się. Jej koszula nocna była mokra; z Travisa wypływał ból minionych lat. Proces go załamie, pomyślała z obawą.

- Travis, czy zdajesz sobie sprawę, że o tym wszystkim będzie mowa na procesie? Czy wiesz, w co się pakujesz?

- Wiem, Mary Rose. To ty nie wiesz, że najgorsze mam już za sobą. Wyobraź sobie, że stoisz nago przed kilkoma lekarzami i grupą studentów, a oni omawiają między sobą twój przypadek, w ogóle nie zwracając na ciebie uwagi. Na sali sądowej przynajmniej nie muszę się rozbierać. Zresztą, za żadne skarby nie odmówiłbym sobie przyjemności ujrzenia miny Crispina, kiedy usłyszy, że jego oskarżenie jest bezpodstawne.

- A ja nie mogę się doczekać reakcji Amelii. Och, Travis, dlaczego rodzice krzywdzą swoje dzieci?

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że działają w dobrej wierze, a efekty... Moja mama była prostą kobietą, wiedziała jedynie, jak walczyć o byt. Za pierwsze zarobione pieniądze kupiłem jej mały domek i założyłem konto w banku.

Miała spokojną, dostatnią starość. Nigdy jednak tam

.nie nocowałem. Widziałem, że matka cierpi z tego powodu, ale nie zniósłbym jeszcze jednej nocy z nią w tym samym łóżku. Mary Rose uniosła się na łokciu.

24 - Dwie drogi

369

- Wiesz, ostatnio dużo myślałam. Nie możemy się kochać w biblijnym znaczeniu tego słowa, ale dzięki tobie nauczyłam się bardzo dużo o seksie. Sami wynajdujemy sposoby dawania sobie rozkoszy. Jestem z tobą o wiele szczęśliwsza, niż byłam z jakimkolwiek innym mężczyzną. Im chodziło tylko o jedno. Tak samo było z Crispinem. Nie dość, że jest sadystą, to na dodatek myśli wyłącznie o sobie: kończy i idzie spać. Nie potrafi dawać, chce tylko brać. No, ale to pewnie dlatego, że Amelia trzyma go za jaja.

- Chyba tak. Wiesz, większość matek próbuje to robić. Ja się wyrwałem. - Wzruszył ramionami. - I straciłem jaja.

- Och, Travis, nie opowiadaj bzdur. Pamiętaj, już do niej nie należysz.

- A do kogo?

Milczała. Bała się choćby myśleć o odpowiedzi na to pytanie.

91

Zobaczycie, na Gwiazdkę wrócimy do domu - Elisabetta szczerze wierzyła w to, co mówi.

- Mam taką nadzieję. - Lisa uniosła oczy do nieba. - Obym tylko zastała mamę całą i zdrową. - Zarumieniła się. - Chciałabym, żebyśmy spędzili Święta we trójkę: mama, Tommaso i ja.

Elisabetta podniosła głowę.

- Czy zamierzacie się pobrać?

- Tak, weźmiemy ślub w domu, w Asciano. Swoją drogą, to śmieszne, że dopiero wojna pozwoliła nam się odnaleźć.

- Chwilami wydaje mi się, że tylko w tak ciężkich czasach ludzie przestają myśleć o sobie i troszczyć się o innych. Co prawda, o nazistach nie można tego powiedzieć... chociaż, pomyśl o tamtym oficerze, który nas przepuścił, i o przyjacielu Tommasa, który nas ostrzegł...

Ich rozmowę przerwał dźwięk telefonu i Elisabetta ponownie usłyszała głos męża.

- Jadę do ciebie, cara. Już wkrótce będziemy razem.

- Nie uwierzę w to, dopóki cię nie dotknę. - Wstrząsały nią dreszcze. - To tak długo. Za długo.

- Nie oczekuj zbyt wiele. Jestem chudy jak szkielet.

- Nie obchodzi mnie, jak wyglądasz, i tak czekam na ciebie niecierpliwie.

- Regina mówi, że dotrzemy do was za pięć dni. Niektóre drogi nadal są nieprzejezdne, ale damy sobie radę.

- Uważaj na siebie, kochany. Wyprawimy prawdziwą ucztę powitalną!

390

Odłożyła słuchawkę i tanecznym krokiem wbiegła do kuchni.

- Liso! - Po chwili obie wirowały w rytmie walczyka. - Francesco będzie tu za pięć dni. Musimy zabrać się do roboty. Dzieci pierwsze usłyszały ciężarówkę. Bawiły się na dworze, kiedy wysłużony fiat wjechał na podwórze.

- Ciężarówka! Ciężarówka! - piszczele Giulio i Nicoletta. Francesco przyglądał się im uważnie.

Maluchy stały spokojnie, nagle onieśmiałe. Trzymały się za rączki. Kim jest ten nieznajomy chudy pan, który ma taką minę, jakby chciał im coś powiedzieć?

- Nie poznają mnie - poskarżył się Francesco.

- Przypomną sobie. Daj im trochę czasu. Elisabetto, jesteście! -krzyknęła Regina.

Jak na skrzydłach wybiegła z domu i wpadła prosto w ramiona męża.

- Och, caro. Wreszcie! - Odsunęła się o krok i spojrzała na niego uważnie. - Bardzo schudłeś. - Przesuwała palcami po głębokich bruzdach na jego twarzy. - Ale nadal jesteś moim Franceskiem!

Uśmiechnął się do kobiety, której wizerunek pielęgnował w pamięci przez tyle czasu. Myślał o niej zawsze i wszędzie. Kiedy go bito na posterunku, wołał jej imię. Kiedy zrywali mu paznokcie, modlił się do niej jak do świętej. Kiedy go kopali, wzywał ją do końca, do utraty przytomności. To ona nadawała sens jego życiu. I oto udało mu się wrócić do żony, do jego kobiety. Gdyby nie ona, oszalałby.

Dorośli zabrali dzieci do domu, zostawiając Elisabetę i Francesca sam na sam.

- Chodź, zaprowadzę cię do Anny.

- Regina mi mówiła, że straciła rozum.

- Czasem żałuję, że mnie nie spotkało to samo. Nie miałam jednak wyboru: musiałam zająć się dziećmi. Biedna Anna; najgorsze dopiero przed nią.

Czule objęci szli do synowej.

- Daliśmy jej najładniejszy pokój. Mówimy do niej, kiedy tylko mamy na to czas. Anno. - Podeszła do niej. - Zobacz, Francesco przyjechał. Wrócił z obozu, wiesz?

Wzięła ją za rękę i pomogła wstać. Francesco miał łzy w oczach.

- Anno. - Dotknął jej twarzy. - To ja, Francesco. - Czule głaskał jej policzki. Były gładkie i miękkie; wojna nie zostawiła na niej żadnych widocznych śladów. W świetle zachodzącego słońca była piękna jak zawsze.

- Nie możemy się poddawać. - Elisabetę zmęczyły emocje tego dnia. - Chodź, Anno. Musimy uczcić powrót Francesca.

Usiedli do stołu. Serce Elisabetty skurczyło się z bólu, kiedy spoglądała na twarze najbliższych; jednej osoby nie zobaczy już nigdy. Była jednak wdzięczna losowi za życie pozostałych.

392

Neapol głodował, ale ich stół uginał się pod ciężarem potraw; Oriando potrafił zdobyć wszystko na czarnym rynku. Jedli więc soczyste mięsiwa i owoce. Przywiózł nawet worek maki i Lisa upiekła prawdziwą tokańską pizzę.

- Żadne tam neapolitańskie dziwactwa - prychnęła. Francesco tłumaczył coś Nicoletcie. Pogłaskał ją po główce.

- Jestem z ciebie dumny, malutka - oznajmił.

Giulio, do tej pory grzecznie siedzący koło Anny, podbiegł do dziadka.

- A ze mnie?

- Z ciebie szczególnie, mój mały. Twój ojciec byłby równie dumny, gdyby był tu z nami. Zresztą, kto wie, może jest?

- Uśmiechnął się do zebranych i podniósł kieliszek. - Salute.

- Salute - odpowiedzieli chórem.

Francesco panował nad sobą cały dzień, ale wieczorem, kiedy został sam z Elisabetką, wybuchnął płaczem. Łzy, które powstrzymywał od dawna, popłynęły obfitym strumieniem. Uspokoił się dopiero po dłuższym czasie.

Westchnął ciężko. - Musimy odbudować nasze życie z gruzów, kochanie.

- Wiem o tym. I zrobimy to. - Nie wiedziała, skąd czerpie swoją pewność. - Mamy przecież siebie. Bez ciebie bym sobie nie poradziła. -Zasnęła.

Francesco leżał bez ruchu. Wierzył, że Elisabetką znajdzie dość siły, by zacząć nowe życie. Kobiety to potrafiły. Nie wiedział natomiast, czy on sam odnajdzie w sobie dosyć energii.



Ralph i jego synek Edgar jedli razem śniadanie. Mężczyzna z uśmiechem obserwował wysiłki niani, chcącej zmusić malca do zjedzenia jajka na miękko.

- Patrz, Edgar - zachęcała go. - Leci, leci samolocik...

- Nianiu, to bez sensu. Niech go niania nie zmusza. Moja opiekunka obrzydziła mi w ten sposób jajka do końca życia. Daj mu tosta z dżemem cytrynowym. Uwielbia takie jedzenie.

- Rozpuszcza go pan, majorze Fanshaw.

Ralph spojrział na chłopca. Ilekroć przebywał w pobliżu syna, dręczyło go poczucie winy. Winy, bo Belinda umarła przy porodzie. Nie docierały do niego żadne racjonalne argumenty; uważał, że to przez niego umarła i z jego powodu Edgar nie ma matki. Czy poród skończyłby się inaczej, gdyby wówczas był w Anglii? Czy Belinda naprawdę przece- niła własne siły, pracując z Mary Rose w szpitalu? Najwyższy czas opuścić kryjówkę i skontaktować się ze znajomymi. Raz podjąwszy decyzję, nie marnował czasu. Poszedł do gabinetu i wykręcił numer Kearneyów.

- Nie ma jej. - Głos Amelii ociekał nienawiścią.

- Czy wyjechali na dłużej? Bo jeśli tak, chciałbym zostawić dla niej wiadomość.

- Gdzieś ty się podziewał, Ralph? Wszystkie wróble na dachu ćwierkają, że Mary Rose rzuciła mego syna i wzięła sobie kochanka. Szykujemy się do sprawy rozwodowej.

- Naprawdę? - Ralph był przerażony. - Ależ to wywoła skandal.

393

- Cóż, powinna była pomyśleć o tym wcześniej, zanim przespała się z tym okropnym Amerykaninem.

- Rozumiem pani gniew, Amelio, ale czy nie ma pani przypadkiem jej adresu? Chciałbym porozmawiać z nią o mojej żonie. O mojej zmarłej żonie. Nie wiem, czy pani wiadomo, że...

- Tak, wiem. I bardzo ci współczuję - rzuciła zniecierpliwiona. -Zadzwoń do Rydera, naszego prawnika. Powiedz mu, że ja cię przysyłam. On ci poda jej adres. Chociaż nie wyobrażam sobie, o czym mógłbyś rozmawiać z tą kłamliwą suką.

Wymienili jeszcze kilka zdawkowych uwag i Ralph odłożył słuchawkę z westchnieniem ulgi. Nie miał pojęcia, czemu postanowił nawiązać kontakty z rodzajem ludzkim. Być może miało to coś wspólnego z jego snami. Ostatnio ciągle widywał w nich Annę. Chciał zobaczyć ją na jawie.

Zadzwoił do Rydera.

- Jestem starym przyjacielem Mary Rose Kearney. Pani Amelia Kearney poinformowała mnie, że może mi pan podać numer jej telefonu.

- Jeśli pani pułkownikowa Kearney tak powiedziała, proszę bardzo. Dam panu telefon do jej prawnika, dobrze? Mam tu gdzieś jej domowy numer, ale w tym stosie papierów...

Ralph zadzwonił do Silasa Ridgewaya.

- Przekażę pani Kearney, że pan dzwonił, majorze - obiecał adwokat i zapisał jego telefon.

Ralph uśmiechnął się ponuro. Nie ma nic gorszego niż wpaść w łapy prawników, stwierdził.

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Pogłaskał psa, przejrzał gazetę, dopił kawę. Potem poszedł po konia.

Niedługo później kłusował w dół zbocza, gotów przejść w pełny galop. Z całego serca chciałby mieć Annę u boku.

Ta myśl sprawiała, że czuł się winny, ale uparcie krążyła mu po głowie.

Rzadko zdarzało mu się widywać równie ponurych ludzi. Mary Rose i Travis byli zmęczeni, zrezygnowani, ospali. Z widocznym wysiłkiem zmuszali się do przestrzegania elementarnych zasad dobrego wychowania. Niezdarne wysiłki Ralpha, który chciał wypełnić rozmową przedłużającą się ciszę, spełzały na niczym. Od razu zorientował się, że nie ma sensu teraz pytać o Belinę.

- Cóż, sprawy nie wyglądają najlepiej. Naprawdę mi przykro, Mary Rose.

W odpowiedzi uśmiechnęła się blado.

- Nie zawsze jesteśmy tacy wypluci, ale dzisiaj składaliśmy oficjalne zeznania. To było okropne. Świadomość, że wszystko, co powiemy, będzie głośno odczytane w sądzie, wcale nie ułatwiała nam zadania. Wiesz, tak

trudno jest wyjaśnić w kilku słowach, dlaczego chciałam odejść od Crispina. Tylko Anna widziała moje sińce, a jest ona ostatnią osobą, którą wciągnęłabym w tę sprawę. Zresztą guzy i siniaki to nic w porównaniu z torturami psychicznymi. Życie z Crispinem to jednoosobowy obóz koncentracyjny. Robi mi się zimno na samą myśl o tym.

- Więc nie myśl. - Travis dotknął jej dłoni. - Niedługo wszystko będzie już za nami. Wyjedziemy z tego kraju zakłamanych snobów. My, Amerykanie, nie jesteśmy może idealni, ale mamy dość odwagi, by patrzeć przeciwnikom w twarz! - Potrząsnął głową. - Niedobrze mi się robi od ich hipokryzji.

Ralph spuścił głowę i utkwiał spojrzenie w talerzu ostryg. - Masz rację, ale nie wolno ci zapominać, że także w Anglii mieszkają uczciwi, dobrzy ludzie, tyle że rzadko się o nich mówi. Bronię tego kraju, bo miałem szczęście urodzić się w starej, bogatej rodzinie. Innych, gorzej obdarowanych przez los, nikt nie posłucha. Jedyna nadzieja w tym, że zatwardziali konserwatyści powymierają, a ich dzieci otworzą się na świat. Potrzeba nam ludzi, którym zależy na czymś więcej niż wygodnym życiu. - Uśmiechnął się gorzko. - Z drugiej strony, ostatnio cynicznie podchodzę do życia. Wojna mnie tego nauczyła. Widziałem niewyobrażalne okrucieństwa i bezgraniczną dobroć. Teraz sam już nie wiem, czego chcę. Na razie interesuje mnie tylko łowienie ryb i jazda konna. - Zawahał się. - A propos; Mary Rose, czy masz jakieś wieści od Anny?

- Nie, niestety. Byłam u niej tuż przed wojną. Potem straciłyśmy się z oczu. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon, ale było to wieki temu.

- W takim razie spróbuję do niej zadzwonić. Na wiosnę i tak muszę jechać do Rzymu. Jeśli nie dowiem się co z nimi, wezmę samochód z ambasady i zajrzę tam. - Przerwał na chwilę. - Bardzo chciałbym się z nią zobaczyć. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. To straszne, jak wielki wpływ ma wojna na nasze życie. Próbuję odnaleźć się w nowej sytuacji, nadrobić wszystko to, co straciłem... Mary Rose, bardzo się cieszę z naszego spotkania, to dotyczy również ciebie, Travis. Jeśli mógłbym coś dla was zrobić...

Pochylił się nad talerzem. Ostrożnie rozchylił ostatnią muszlę i skropił ostrygę sokiem z cytryny. - Chcę powiedzieć, że jestem gotów zeznawać na waszą korzyść. Bardzo dobrze znam Crispina i wiem, na co go stać.

Mary Rose przymknęła oczy. Bardzo potrzebowała takich słów. Dotychczas Travis znał jedynie jej wersję wydarzeń. Kamień spadł jej z serca, kiedy Ralph potwierdził jej słowa.

- Nie chodzi o sam rozwód - wyjaśniła. - **1** tak chciałam uwolnić się od Crispina. Ale nie mogę znieść tego, że miesza mnie z błotem. Nie dam się. Odpowiem mu pięknym za nadobne.

- Tak trzeba, Mary Rose. Nie zapominaj, że w twoich żyłach płynie

gorąca irlandzka krew. Będę trzymał za was kciuki. Nie daj się skurczybykom.

- Nie dam się. - Uśmiechnęła się po raz pierwszy tego wieczora. Sięgnęła po kieliszek szampana.

- Nasze zdrowie, Travis.

W jego oczach błyszczały wesołe iskierki.

- No - mruknął. - Głowa do góry.

Elisabetta i Francesco tryumfalnie wkraczali do Toskanii. Ich radość szybko jednak stłumił ponury widok. Niemcy chyba celowo zniszczyli posiadłość. Zniknęła aleja cyprysów; musiały po nich jeździć czołgi.

Bez słów przekroczyli próg domu. Elisabetta uniosła rękę do ust; obawiała się, że zacznie wymiotować. Przerażający obraz zniszczeń przyprawiał ją o dreszcze. Kiedy opuszczała ten dom po raz ostami, był oazą spokoju i piękna. Przez całe swoje dorosłe życie starała się stworzyć w nim szczęśliwe ognisko domowe. Teraz jej świątynię zbezczeszczono.

- Niech się pani nie martwi, signora. - Poczula na ramieniu lekką dłoń Lisy. - Tommaso i ja posprzątam raz-dwa i wszystko będzie jak dawniej. - Dziewczyna wiedziała jednak, że to tylko puste słowa; nie namaluje nowych obrazów, nie wyrzeźbi nowych kinkietów. Po wielkim żyrandolu w holu zostały tylko drobiny szkła. Niemcy wyraźnie używali go jako tarczy strzelniczej.

Tylko dzieci nie przejmowały się niczym. Giulio znalazł zdziczałego kotka w szopie. Wniósł go do domu z radosnym krzykiem. Elisabetta parsknęła śmiechem, choć z jej oczu płynęły łzy. Wpadła w histerię.

Francesco wziął ją w ramiona.

- Ćśśś, kochanie. - Kołysał ją czule.

- Straszny ze mnie głuptas - chlupała. - Powinnam dziękować Bogu, że jesteś cały i zdrowy, a nie roztkliwiać się nad domem.

Anna przycupnęła na połamanym krześle. Wszystko po niej spływa, zarówno dobre, jak i złe wieści, pomyślała Elisabetta, kiedy opanowała już szloch. Wzięła się w garść.

- Tommaso, Lisa, zabieramy się do roboty.

- Pójdę zobaczyć, ile szkód wyrządzili w obejściu - Francesco już zniknął za progiem. Rozumiał żonę, ale stan domu nie miał dla niego znaczenia. Najważniejsze, że tu wrócił.

Zatrzymał się w miejscu, w którym zginał jego syn. Prosił Boga o pomoc dla synowej.

- Mario, gdziekolwiek jesteś, wiedz, że znów jesteśmy w domu. Zajmę się Anną i dziećmi, przysięgam. - Przeżegnał się. Dopiero teraz nadchodził ból. Do tej pory Francesco nie miał czasu na rozpacz. Bał się kolejnej fali cierpienia, ale wiedział, że z Elisabetą u boku stawi czoło wszelkim przeciwnościom losu.

To w obozie nauczył się odsuwać od siebie smutek. Myślał tylko

0 Elisabetcie; wszystko inne straciło znaczenie. Teraz musiał nauczyć się żyć normalnie. Cały czas męczyły go obawy, że nie sprawdzi się jako mężczyzna. Nie wiedział, czy jeszcze kiedykolwiek będzie pożądał kobiety. Zmarszczył brwi. Wtedy, w obozie, marzył jedynie o tym, by jeszcze raz wziąć Elisabetę w ramiona, ale do tej pory nie udało mu się tego zrealizować. Był zbyt wycieńczony, żeby się kochać z żoną. Zastanawiał się, czy nie ma mu za złe przejściowej impotencji. Tyle przeżyli z dala od siebie. Sporo czasu upłynie, zanim poznają się na nowo. Postanowił, że tego wieczora wyprawia sobie prawdziwą ucztę. Na myśl mu przyszło stare powiedzenie: kiedy spadają na ciebie ciosy, baw się i szalej.

Zszedł do piwnicy i podszedł do najdalszej ściany. Tak jak przypuszczał, Niemcy nie znaleźli tajnej skrytki jego ojca, gdzie przechowywał kilka beczulek najlepszego barolo. Dzisiaj będą pili wspaniałe wino z włoskich winnic. Anna siedziała na tarasie, gdzie zostawiła ją Elisabetta. Młoda kobieta wyraźnie czuła na twarzy ciepłe promienie słońca, bo oczami szukała źródła światła.

- No, jeśli to nie jest powód do świętowania... - Francesco wziął ją za rękę. Jego spojrzenie padło na złotą obrączkę, która połączyła tę kobietę z jego synem.

Nagle powróciły wspomnienia: Mario bawiący się na tarasie. Był energicznym dzieckiem, żywe srebro o dużych, łagodnych oczach. Miał wiele dziewcząt, wśród nich tamtą pannę z Asciano, z którą był zaręczony.

Francesco był zadowolony, że nie doszło do ślubu. Kochał Annę z całego serca. Była jak powiew świeżego powietrza. Wnosiła rozmach

1 entuzjazm typowy dla Amerykanów. Nie było w niej charakterystycznej dla innych Jankesów bezpośredniości czy szorstkości. Miała jednak w sobie ową dziecięcą serdeczność, jaką widział u wielu jej rodaków. Lubił jej wieczny śmiech i jej optymizm, typowy dla członków dużych, mieszanych, otwartych społeczeństw.

Bardzo się to różniło od toskańskiego podejścia do życia. Nie ufać nikomu, z wyjątkiem rodziny, ale i na nich nie polegać; tak mogłoby brzmieć motto Toskanii.

Uśmiechnął się. Życie nauczyło go, że w stereotypach jest niewiele prawdy. Tam, w obozie, Toskańczycy trzymali się razem i pomagali sobie jak bracia. Co prawda, nie byli równie życzliwi ani dla Rzymian, którzy cały czas narzekali, ani dla Neapolitańczyków, którzy byli lisio przebiegli. Roześmiał się głośno i poszedł szukać Elisabetty.

Musi opowiedzieć jej

o życiu w obozie.

Po kolacji Elisabetta ogarnęła twarze zebranych radosnym spojrzeniem. Giulio spał. Ogień na kominku buzował wesoło.

Nie używali całego domu. Tommaso i Lisa zajmowali jeden pokój, bliźnięta spały w dawnej garderobie babki.

Przez wybite szyby napływało do kuchni zimne nocne powietrze, ale jedzenie i czerwone barolo wszystkich rozgrzały.

- Zabiorę Annę do łóżka - oznajmiła Elisabetta. Wzięła ją za rękę

1 młoda kobieta wstała, jak dobrze wychowane dziecko.

- Dobranoc. I dziękuję za wszystko, co zrobiliście. Byliście wspaniali. - Wyszła, prowadząc Annę za sobą.

- Bogu dzięki. - Francesco wszedł w żonę. Elisabetta oplótła go ramionami.

- Brakowało ci tego? - szepnęła.

Nie odpowiadał. Poruszał się coraz szybciej, pragnął jej coraz bardziej. Potem opadł na poduszkę koło niej.

- Jakże mogłoby mi tego nie brakować? - Czule całował jej powieki. - Najbardziej jednak chciałem cię przytulić.

Poczuć tuż przy mnie. I dotknąć twoich piersi. - Spojrzał na jej nagie ciało. - Jesteś piękna. - Musnął wargami obie sutki i położył się na plecach. Dopiero teraz zrozumiał, że naprawdę wrócił do domu. Dom to Elisabetta. Wszystko inne jest bez znaczenia.

Zasnął.

Powinna pani włożyć coś skromnego, na przykład prosty, czarny kostium i sznurek pereł. - Lord Kelston, który podjął się reprezentować Mary Rose przed sądem, miał haczykowany nos i cienkie wargi.

Początkowo nie chciał brać tej sprawy, ale potrzebował pieniędzy. Utrzymywanie dwóch domów, jednego w Szkocji, drugiego w Holland Park, pochłaniało olbrzymie sumy, żeby już nie wspomnieć o kosztownej edukacji szóstki dzieci... W dzisiejszych czasach nie ma się wyboru. Jednak nie tylko bogactwo Mary Rose skłoniło go do zmiany decyzji. Żałował jej. Nie wiadomo jakim cudem, w jego sercu tliły się resztki współczucia, których nie stłumiły długie lata na sali sądowej.

Miał nadzieję, że uda mu się odeprzeć zarzut cudzołóstwa. Zresztą, wszystko zależy od sędziego. W angielskim systemie prawnym sędzia robi to, co mu się żywnie podoba.

- Tak, właśnie tak. Sędzia może robić to, na co ma ochotę. - Po raz kolejny tłumaczył Travisowi zasady funkcjonowania brytyjskiej sprawiedliwości. Niestety, Travis nie mógł pojąć, że prawo angielskie tak bardzo różni się od amerykańskiego.

- W Stanach mamy konstytucję - powtarzał. - Każdy zna swoje prawa.

- Tak, ale nie jesteśmy w Ameryce. My, Anglicy, nie mamy konstytucji, bo bez sensu jest dawanie ludziom tylu praw. No, jakże to: każdy uważałby, że może sam się bronić czy odmawiać zeznań. Przecież to anarchia!

- Nieprawda - Travis obrzucił go zmęczonym spojrzeniem. - To po prostu szansa na uczciwy proces.



- Ależ państwa proces będzie jak najbardziej uczciwy, panie Mainwa-ring, moja w tym głowa. - Strzepnął niewidzialny pyłek z togi, poprawił perukę i wyszedł. Coś takiego, pomyślał. Żebym musiał uciekać z mojego gabinetu, żeby się pozbyć klienta! Biedny facet, ten Mainwaring. Nie ma pojęcia, co go czeka.

Zapukał do sąsiedniego biura. Chciał zobaczyć, co porabia jego przeciwnik.

- To jasne jak słońce. - Ratty Radcliffe, pełnomocnik Crispina, oparł nogi o biurko. - Twoja klientka nie ma szans.

Nasze dowody są nie do obalenia. Zdjęcie z facetem w łóżku... Niczego więcej nam nie trzeba.

- Ooo, mój drogi, nie dziel skóry na niedźwiedziu. Nigdy nic nie wiadomo: a jeśli mam asa w rękawie?

- W rękawie to możesz mieć najwyżej butelkę whisky. A propos, może wypijemy po szklaneczce, zanim pójdziemy do domów?

Kelston zachichotał. - Ty, do domu? Tak wcześnie? Nigdy w to nie uwierzę.

- No, niedokładnie do domu. Umówiłem się z Bunty. To taka milutka dziewczyna.

Kelston popijał swoją whisky i żałował, że urodził się katolikiem. Sama myśl o wzięciu w ramiona kobiety innej niż żona budziła w nim takie poczucie winy, że nigdy się na to nie zdecydował. Procesy takie jak ten utwierdzały go w przekonaniu, że zdrada małżeńska nie jest warta swojej ceny. Szkoda tylko, że ciało jego żony przypomina stary termofor. No, ale szóstka dzieci nie mogła nie zostawić żadnych śladów.

Travis milczał przez większość drogi powrotnej.

- Nie mogę zrozumieć tego ich systemu. Mam wrażenie, że tu nie ma żadnego prawa.

- Bo nie ma. Inaczej sadzą biednych, inaczej bogatych. O to wściekał się Robin Hood. Jak widzisz, od jego czasów niewiele się zmieniło.

Czekały ich smutne święta Bożego Narodzenia. Koniec wojny oznaczał powrót pani Gulbenkian do Hongkongu, więc mieli całe mieszkanie dla siebie.

- To nie mieści mi się w głowie. Dostąpili wątpliwego zaszczytu walki za ojczyznę, a teraz wracają do domu i nie mają niczego. - Mary Rose była przerażona. Miała na myśli zwolnionych z armii żołnierzy, którzy żebrali na ulicach.

Ona i Travis spacerowali po Hyde Parku. - Ani pracy, ani pieniędzy - pomstowała drżącym z oburzenia głosem.

- Proszę. - Wcisnęła pięcioletni banknot w dłoń mężczyzny w mundurze. Miał tylko jedną nogę.

- Dziękuję pani. - Popatrzył na nią przekrwionymi oczami.

- A jednak taka jest rzeczywistość. - Travis nie ukrywał swego przerażenia.

Termin rozprawy zbliżał się wielkimi krokami. Postanowili kiedyś, że do Gwiazdki nie myślą o przykrych sprawach, ale Boże Narodzenie już

minęło, podobnie jak ponury sylwester. Nie chciało im się nawet wyjść z domu. Usiedli naprzeciwko siebie, oboje smutni i niepewni. Na stoliku stała butelka szampana i resztki świątecznego puddingu. Travis zsunął tekturową czapkę na tył głowy.

- Do licha, Mary Rose, co za koszmarny wieczór! Mieliśmy wypić szampana, jeśli odzyskamy dobry humor, ale na to się nie zanosz.

Poprawiła się na krześle.

- Wiesz co? - rzuciła. - Upijmy się i zapomnijmy o bożym świecie.

- Niezły pomysł.

Kiedy szli spać, byli zalani w pestkę.

Travis zanosił się pijackim śmiechem. - Jestem taki wstawiony... - zaczął.

Mary Rose rzuciła się w jego stronę.

- Zatrzymaj ten cholerny pokój! Ciągłe się kręci. - Upadła na niego. Chichotali nieprzytomnie.

- Aaa, latam, latam. - Chciał ją zepchnąć z siebie, ale w rezultacie oboje wyładowali na podłodze.

- Travis... - Mary Rose wytrzeźwiała w mgnieniu oka.

- Óóó... nie mów nic... - nerwowo szarpał jej jedwabną bieliznę. - Szybko. - Wstrząsnął nim dreszcz strachu i pożądania. Jej zręczne dłonie pomogły mu odnaleźć właściwą drogę. Jego umysł rejestrował nowe doznania. Już nie silny uścisk palców, nie szorstkość ręcznika, lecz ciepła, jedwabista miękkość. Chciał wszystko zapamiętać, ale fale rozkoszy unosiły go wyżej i wyżej.

Kiedy otworzył oczy, zobaczyła w nich przede wszystkim wyrzuty sumienia.

- Kochanie, nic ci nie jest? To było takie samolubne z mojej strony.

- Wcale nie - Mary Rose przeciągnęła się rozmarzona. - Od wielu lat nie przeżyłam czegoś równie pięknego. -

Uniosła się na łokciu. - Czy zdajesz sobie sprawę, że właśnie zniszczyłeś naszą linię obrony?

- Nie, kochanie, nie zniszczyłem. Wtedy byłem impotentem, ale teraz już nie jestem. Za kilka minut spróbujemy powtórzyć to. Nie darowałbym sobie, gdyby miało skończyć się na jednym razie.

Podał jej papierosa i sam zaciągnął się dymem. - I pomyśleć, że straciłem tyle czasu. Postaram się jednak nadrobić te wszystkie lata. - Uśmiechnął się, gasząc papierosa. - Mary Rose, wyjdiesz za mnie?

Spojrzała na niego niepewnie. - Nie wiem, Travis. Do tej pory nie spisałam się w roli żony. Zadaj mi to pytanie po procesie. - Pocałowała go. - A teraz spróbujmy jeszcze raz. Przecież - oznajmiła surowym głosem starej nauczycielki - mogłoby się skończyć na jednym razie, a byłaby to wielka szkoda.

## 95

Tylko wiadomości od Daniela i Mary pozwoliły Biancharinim przetrwać Boże Narodzenie. Rozpacz po śmierci Maria wróciła z pełną siłą. Najgorszy moment nadszedł, gdy Elisabetta zorientowała się, że pończocha syna nie zawisnie już nigdy na kominku. Próbowwała przekonać Francesca, że powinni zaznaczyć, chociaż symbolicznie, jego obecność. On jednak był nieubłagany.

- Nie - powtarzał. - Musimy pozwolić mu odejść.

- Ale przecież nawet kiedy byli w Ameryce, wieszaliśmy ich pończochy - upierała się, choć wiedziała, że niczego nie osiągnie.

- Kochanie, wtedy oboje żyli. Musimy się pogodzić z myślą, że Mario zginaj i nigdy już do nas nie wróci. Zawsze będzie nam go brakowało, ale musimy żyć dalej. Sprowadzę kamieniarza i nasz syn będzie miał piękny pomnik.

Może w przyszłości, kiedy zdobędziemy trochę pieniędzy, wybudujemy małą kapliczkę.

Daniel i Mary odetchnęli z ulgą na wieść, że wszyscy są cali i zdrowi. Dopiero po chwili Francesco, który rozmawiał z nimi z poczty, doniósł o śmierci Maria. Dodał także, że Anna załamała się po stracie męża, ale wkrótce powinna wrócić do siebie.

- Nie powiedziałem im nic konkretnego - opowiadał Elisabecie. -W przyszłym tygodniu sprowadzimy doktora Rosellego, może on coś poradzi.

Westchnął ciężko. - Nie wiem już, co robić. I chyba nikt nie wie. Przyszedł list od Ralpa. Wcześniej próbował się dodzwonić, ale nie wiedział, że Niemcy zniszczyli niemal wszystkie linie telefoniczne w oko-

384

licy. Nieliczne, które jeszcze działały, pulsowały wiadomościami o śmierci i umieraniu.

Pisał, że na wiosnę będzie w Rzymie. Jeśli uda mu się zdobyć wystarczająco dużo benzyny, odwiedzi ich. Pytał o Annę.

Elisabetta odpisała mu swoją kulawą angielszczyzną. Wyraziła współczucie z powodu śmierci Belindy i doniosła mu o ich stracie. O Annie wspomniała tylko, że nie jest sobą; może wizyta Ralpa pomoże jej odzyskać równowagę?

Zastanawiała się, czy jeśli wiejski lekarz nic nie poradzi, londyńscy specjaliści nie mogliby pomóc.

Elisabetta robiła wszystko, by święta były jak najprzyjemniejsze dla dzieci. Bliźnięta przeszły tak bardzo dużo.

Chciała wynagrodzić im stracony czas.

Wciąż docierały do nich mrozące krew w żyłach opowieści o okrucieństwach, których jeszcze niedawno dopuszczali się Niemcy.

W Arezzo rozstrzelali wszystkich chłopców i mężczyzn w wieku od siedmiu do siedemdziesięciu lat. Niedaleko Asciano schwyłali oddział partyzantów. Zamknęli ich w stodole i wysadzili w powietrze. Ocalał tylko jeden. Zanim umarł, zdążył opowiedzieć, co się stało. Asciano zamarło ze zgrozy.

W pobliskim San Giovanni d'Asso nie było rodziny, w której nie noszono czarnych żałobnych opasek. Miasteczko płakało nad tymi, których głosy już nigdy nie zabrzmiały w wąskich uliczkach.

Francesco zabronił swoim chodzić do Asciano: niemal codziennie dochodziło tam do aktów przemocy.

Partyzanci walczyli z komunistami, faszyci zabijali i ich zabijano. W tym zamieszaniu załatwiano także stare porachunki.

- **Źle** się dzieje - mruzczał Francesco, wysiadając ze starego grucho-ta. - Lepiej siedźcie z dziećmi w domu.

Wraz z upływem tygodni praca posuwała się naprzód. Wszyscy zabrali się do roboty. Wstawiono szyby, a Lisa szorowała i pucowała zawzięcie.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym ona i Tommaso wzięli ślub w małej kapliczce niedaleko domu. Był chłodny, pogodny poranek. Słońce świeciło mocno, jakby chcąc wyrazić swoją aprobatę dla ceremonii.

W całym miasteczku nie można było kupić materiału na suknię ślubną ale Elisabetta znalazła na strychu kufer starych kreacji balowych. Dziękowała losowi, że Niemcy ich nie znaleźli.

- Patrz. - Z zachwytem przebierała w satynach i jedwabiach. - Mamy szczęście. Będiesz najpiękniejszą panną młodą w tym roku.

Dniami i nocami ślęczały nad zwojami tkanin, szyjąc, krojąc, przerabiając. Lisa miała pójść do ołtarza w kreacji z tafty koloru kości słoniowej.

- No tak, przecież nie mogłabyś mieć białej sukni, prawda? - zażartował kiedyś Tommaso.

25 - Dwie drogi

405

W odpowiedzi żartobliwie uderzyła go w ucho.

- Kupię ci czerwone podwiązki na nasz miesiąc miodowy - obiecał.

- Jaki miesiąc miodowy?

- Poczekaj, to sama zobaczysz. Już się nie mogę doczekać nocy poślubnej, kiedy się na ciebie rzucę jak dziki zwierz!

- Tommaso! - Parsknęła śmiechem. - Ale z ciebie głuptas.

- Wiem o tym. Wszyscy mężczyźni są głupi. Dlatego właśnie kobiety ich kochają.

Od dawna nie było w Asciano huczniejszego wesela. Miasteczko potrzebowało trochę zabawy.

Spizarnie świeciły pustkami. Niemcy zniszczyli pola, splądrowali piwnice. Z półek nie zwisały warkocze czosnku.

Nie było suszonych fig nadziewanych migdałami. Nie było pomidorów wysuszonych gorącym słońcem. Nie było szynek, nie było serów pecorino.

Mieszkańcy wiedzieli o tym doskonale, ale odczuwali potrzebę bycia razem, jak w pradawnej wspólnocie.

Anna była druhną honorową. Wyglądała pięknie w dopasowanej w talii sukni z satyny. Nicoletta dostała miniaturową kopię jej kreacji.

Lisa miała także welon. Zrobiły go ze starej koronkowej narzuty na ołtarz, którą Elisabetta znalazła w kaplicy.

Wybieliła ją na słońcu, wyprasowała ostrożnie i podarowała Lisie.

Mieszkańcy Asciano wstali, kiedy Tommaso i Lisa stanęli w progu kaplicy. Za nimi szła matka panny młodej, wsparta na ramieniu sąsiada, a następnie Elisabetta i Francesco, który prowadził Annę.

Gdy Lisa z odrzuconym do tyłu welonem mijala ich ławkę, Elisabetta dostrzegła wyraz oczu męża. Ucisnęła jego dłoń.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Niedługo dowiemy się czegoś o Fosce i Claudzie.

- Mam nadzieję - odparł. - Straciliśmy już syna. Nie zniósłbym, gdyby coś się stało mojej córce.

Świętowano do późna w nocy. Ludzie przynieśli własne talerze i prowiant; każdy dzielił się tym, czym mógł.

Niewiele mówiono o okropnościach ostatnich lat. Faszyści wiedzieli, że są źle widziani, więc nie przyszli. Dzieci biegały jak szalone dookoła stołów, krzycząc i skacząc. Starsi posyłali im spojrzenia pełne miłości.

Punktualnie o północy Tommaso zatrzymał przed Lisą stary samochód Francesca.

- Wsiadaj - polecił zdumionej żonie. - Jedziemy w podróż poślubną.

- Chyba zwariowałeś - obruszyła się. - Poza tym muszę pomóc przy sprzątanii.

- Wcale nie musisz. To przecież twój ślub. A teraz idziemy.

Wziął ją na ręce i zaniósł do samochodu. Towarzyszył im pogodny śmiech biesiadników.

- Słuchaj, daj mi się przebrać.

407

- Twoje ubrania są w bagażniku.

- Dokąd my właściwie jedziemy?

- Zobaczysz.

Mknęli przez ciemne lasy, by w końcu zatrzymać się przed małą chatką. Tommaso wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi. Wewnątrz zapraszająco świeciła lampka.

Zaintrygowana, wysiadła z auta, ostrożnie unosząc tren sukni.

- Gdzie my jesteśmy? - spytała niepewnie.

- Gdzieś we wszechświecie - odparł żartobliwie. W pobliżu wesoło szemrał strumyk.

Przez chwilę wydawało się, że Tommaso stracił zimną krew. Nerwowo krzątał się po malutkiej kuchni.

Lisa tymczasem czekała w pokoju, wpatrzona w ogień na kominku. Zdjęła suknię i welon i w samej bieliźnie usiadła na kanapie.

Wrócił z butelką wina i talerzykiem ciasteczek.

- Wyglądasz przepięknie w świetle ognia - szepnął. Podał jej kieliszek. - Nie mogę uwierzyć, że należysz do mnie.

- Ja też nie. - Nie wiadomo dlaczego oboje ogarnęła nieśmiałość.

- Liso, nie musimy się dzisiaj kochać. Ja tylko żartowałem, wiesz, wtedy...

Uśmiechnęła się szeroko. - Tommaso Roselli, chyba nie chcesz, by twoja żona była dziewicą po nocy poślubnej?

Odstawił kieliszek.

Lord Kelston bynajmniej nie był w dobrym humorze, kiedy zadzwonił do Mary Rose o ósmej rano.

- Skąd, u licha - grzmiał do słuchawki - Morning Echo zdobyło wasze zdjęcie w łóżku?

- O, cholera... przepraszam, lordzie Kelston. Nie chciałam przeklinać. - Obok niej Travis powoli budził się z głębokiego snu. - Przypuszczam, że to Crispin udostępnił je dziennikarzom. Wiedziałam, że jest mściwy, ale żeby posunąć się do czegoś takiego? Chyba że... Tak, to na pewno Amelia. Tylko ona mogłaby upaść tak nisko.

- Cóż, ta informacja niewiele nam pomoże. Radzę pani zapoznać się z treścią artykułu, zanim przyjedzie pani do sądu. W gmachu będzie pełno dziennikarzy.

- Przykro mi. - Z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Była załamana.

- Stara suka nas załatwiła. Echo, ten brukowiec, zamieściło nasze zdjęcie, to, które zrobił detektyw wynajęty przez Crispina. - Wzruszyła ramionami. - Cóż, przynajmniej je zobaczymy.

Travis już włożył spodnie i wciągał sweter przez głowę.

- Skocz do kiosku na Sloane Square. Kochanie, nie przejmuj się. I tak prędzej czy później opublikowano by to zdjęcie. Brukowce tylko czyhają na podobne okazje. Nie spodziewaliśmy się niczego lepszego po Crispinie i Amelii, więc głowa do góry. Nie mamy nic do stracenia.

To nie o to chodzi, rozmyślała, czekając na niego. Tylko jak można żyć z kimś, dzielić stół i łóżko, a potem zdradzić w tak ohydny sposób? Za kogo ja wyszłam?

408

Podeszła do okna, zniecierpliwiona długą nieobecnością Trávisa. Wreszcie, po, jak się jej wydawało, kilku godzinach, wyszedł z za rogu. Pochylił głowę nad gazetą.

- O nie! I na dodatek na pierwszej stronie! - Jak zakłęci wpatrywali się w swoje zdjęcie, szerokie na trzy szpalty.

- Skoro było mi przeznaczone pojawić się na pierwszej stronie Echa, wolałabym, żeby stało się to z innego powodu. Mogłabym, na przykład, wygrać jakieś zawody. Ale, na Boga, w łóżku z kochankiem! - Było jej wstyd. - Mam nadzieję, że nowojorskie dzienniki tego nie przedrukują. Matka dostałaby zawału. Nie, żeby sama tego nie robiła, ale dlatego, że nie umiałam zachować dyskrecji. No trudno. Takie jest życie.

Podeszła do szafy, zastanawiając się, w czym wystąpić na sali sądowej.

Zdecydowała się na bardzo skromny, czarny kostium. Jej strój uzupełniała czarna torebka z krokodylej skóry i odpowiednie pantofle. Postanowiła też włożyć czarny kapelusz z woalką zakrywającą całą twarz. Wiedziała, że wygląda znakomicie.



- Mogłoby być gorzej - mruknął później Travis i spróbował się uśmiechnąć.

Ponownie rzuciła okiem na zdjęcie.

- Cóż, nie jest to moja najlepsza fotografia - przyznała. - Właściwie oboje wyglądamy fatalnie.

Detektyw utrwalił ich na kliszy na chwilę przedtem, zanim się obudzili, porażeni fleszem. Na zdjęciu spała w ramionach Trávisa. Jeśli się nie znało wszystkich faktów, był to bardzo przekonujący dowód.

Wydeła usta. - A co tam - mruknęła w końcu. - Nie damy się. Ridgeway miał rację mówiąc, że gramy pewne role, więc grajmy. Popełniłam cudzołóstwo, jeśli nie w sensie fizycznym, to duchowym, i wiem

o tym, ale nie dopuszczę do tego, żeby byle dupek mnie szantażował. Teraz zjemy moje niezawodne śniadanie na stres: szampana i jajecznicę, a potem będziemy walczyć. Crispin nie wie jeszcze, że jestem spokojna, dopóki nie poczuję noża na gardle. Wtedy jednak walę na oślep.

- Taak, widzę w twoich oczach bojowy ogień. Jeśli tak dalej pójdzie, pod koniec rozprawy będę współczuł biednemu Crispinowi.

- Nie mów tak. - Uniosła głowę. - Zasłużył na wszystko, co go spotka.

Ledwo minęli bramę sądu, otoczył ich tłum dziennikarzy.

- No, kochanie, opowiedz nam, co się tak naprawdę stało?

- Hej, Jankesie, jak było z cudzą żoną?

Była przerażona. W ostatniej chwili powstrzymała się i nie wzięła Trávisa za rękę. Dziennikarze przepychali się łokciami, potracali ich

1 szturchali, oślepiali błyskami fleszy.

Przedarli się przez tłum. Mary Rose rozglądała się po cichym, dużym holu, kiedy na biało-czarnej posadzce zastukały kroki Ridgewaya.

- O, jesteście już! Dzwoniłem, żeby was ostrzec przed tą watahą, ale

nikt nie odbierał. Przykro mi, że dorwał was ten „komitet powitalny”. Musicie się teraz liczyć z tym, że tak będzie do końca procesu. Uważajcie na to, co robicie. Oczywiście nie możecie dopuścić, by widziano was razem w nocy.

Lord Kelston był już w lepszym humorze.

- Zaświadczenia lekarskie to dowody nie do podważenia. Wygramy, moi drodzy. Ale utrę nosa Radcliffe'owi. - Pochylił się nad filiżanką.

Siedzieli w sądowym bufecie, który, zdaniem Mary Rose, wyglądał jak tania kafejka. Kawa była okropna, ale przynajmniej gorąca i mocna. Upiła łyk, wciąż pamiętając, by nie patrzeć na Trávisa.

Wszelkie lekarskie zaświadczenia stały się już nieaktualne, ale to była tajemnica.

W przeciwnym kącie bufetu dostrzegła Crispina. Wyglądał schludnie i skromnie w szarym kaszmirowym garniturze. Jasne włosy bezładnie opadały mu na twarz. Zastanawiała się, czy brzydzi się całym tym zamieszaniem tak jak ona. Pewnie nie, zdecydowała po chwili. Lubił być w centrum zainteresowania, poza tym liczył na współczucie i sympatię.

Amelia siedziała obok syna. Miała na sobie koszmarne kostium z niebieskiej wełny. Jej stroju dopełniał obrzydliwy czarny kapelusz ozdobiony piórami. Szczyt złęgo gustu, pomyślała Mary Rose z niesmakiem. Nie widziała nikogo więcej z rodziny Kearneyów.

- Nie pojmuję, jak Mary Rose może być taka radosna - poskarżył się Crispin. - Powinna mieć tyle wstydu, żeby przynajmniej udawać zakłopotaną. Ja sam umarłbym ze wstydu, gdybym zobaczył moje zdjęcie w Echu, że już nie wspomnę o popełnieniu cudzołóstwa. Ona nie ma wstydu. To pewnie dlatego, że jest Amerykanką. Przecież to zwierzęta, nie ludzie.

- Tak, kochanie. - Amelia chciała go ułagodzić za wszelką cenę. Przez całą noc spacerował w tę i z powrotem po salonie w Savoyu.

Uparł się, by zamieszkali w apartamencie, który dawniej wynajmowała Mary Rose.

- Tutaj mnie zdradzała - mrucał pod nosem. Amelia zamówiła butelkę whisky; miała nadzieję, że Crispin upije się i pójdzie spać. On jednak zasnął dopiero o świcie.

- Oby wszystko dobrze poszło - jęknęła. Do tej pory nie mogła zapomnieć dezaprobaty, z jaką jej mąż odniósł się do całej sprawy.

- Umywam ręce, Amelio - oznajmił. - Żaden dżentelmen nie postąpiłby w ten sposób. Od początku wychowywałaś Crispina na łajdaka i, na Jowisza, udało ci się. Nie odważę się patrzeć ludziom prosto w oczy. Pomyśleć, że mój syn

oskarżył własną żonę... Mały romans to co innego, każdy w to się bawi prędzej czy później. Ale żeby informować opinię publiczną... Niesmaczne, wysoce niesmaczne. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Od tamtej rozmowy sypiał w gabinecie.

Amelia utkwiała wzrok w suficie. Teraz, po odejściu Mary Rose,

**390**

naprawdę nie stać ich na apartament w Savoyu. A jeśli coś pójdzie nie tak, nie będzie ich stać na nic w ogóle.

Wreszcie zapadła w niespokojny sen.

Sędzia siedział za drewnianym stołem na podwyższeniu. Obrzucił tłum ludzi nienawistnym spojrzeniem.

- O Boże. - Ridgeway nachylił się do ucha Mary Rose. - To Henry Saltash.

- Jaki on jest?

- Bardzo zapalczywy, ale potrafi zachować obiektywizm. No, zobaczymy.

- Wysoki Sądzie. - Radcliffe wstał energicznie. Niemal czuł już smak zwycięstwa. Cieszyła go obecność licznych dziennikarzy; to pomoże przeciągnąć opinię publiczną na stronę jego klienta.

Przejmującym głosem opowiadał ckliwą historię mężczyzny z dobrej rodziny, który był na tyle wspaniałomyślny, że zaproponował małżeństwo Amerykance wątpliwego prowadzenia. Odwdzięczyła się, łamiąc mu serce i zdradzając go ze swoim krajanem.

- A oto - dramatycznie zawiesił głos - dowód jej winy. - Ruchem ręki kazał woźnemu pokazać sędziemu zdjęcie.

Saltash ledwie rzucił na nie okiem. Znowu o nieprzyzwoicie wczesnej porze nudzą go jakimiś bzdurami. Widok ludzi w łóżku wcale nie poprawił mu humoru.

Westchnął tak głośno, że słyszano go w całej sali.

- Tak, to z całą pewnością wystarczający dowód. Jeśli jednak tak się sprawy mają, dlaczego druga strona odrzuca przyczyny rozvodu?

Łypnął na Kelstona. Znał go dobrze. Adwokat świetnie grał w golfa i nie podjąłby się tej sprawy, gdyby nie wierzył w zwycięstwo. Poza tym, on i Radcliffe nie znosili się od czasów szkolnych. Miejmy nadzieję, że Kelston szybko się upora, pomyślał sędzia i ukradkiem zerknął na zegarek. Miał zamiar wyjechać z Londynu o czwartej. Umówił się z przyjacielem na ryby.

- Wysoki Sądzie - zaczął Kelston. - Przyznaję, że pozwana i obecny tu pan Mainwaring spali ze sobą. - Słowo „spali” wymówił powoli i wyraźnie. - Nie mam zamiaru usprawiedliwiać ich postępowania. Proszę jednak pamiętać, iż są oni współnikami. Zajmują się projektowaniem wnętrz w najlepszych londyńskich domach.

- Jak się nazywa spółka? - zainteresował się sędzia.

- Mainwaring i Buchanan, Wysoki Sądzie. Pokiwał głową. - No tak, oczywiście.

Posłał serdeczny uśmiech Mary Rose. Co za urocza dziewczyna. Spojrzał na Crispina. Kearney... Nieznane nazwisko. Pewnie nuworysz. Irlandczyk? Prawdopodobnie. Z obrzydzeniem popatrzył na Amelię. Jak ona śmiała wejść w takim stroju na moją salę, zastanawiał się. To powinno być karalne.

412

- Pani Kearney była w separacji z mężem - tłumaczył Kelston. -Ostatnio wiele przeszła. Wspólnie z panem Mainwaringiem pracowali do późna w jej mieszkaniu. Była smutna, więc próbował ją pocieszyć. Nie przypuszczali, że ktoś ich szpieguje, bo nie mieli nic do ukrycia...

Saltash nie dał mu skończyć.

- Nic do ukrycia, lordzie Kelston? Nie powie mi pan chyba, że mężatka przyjmująca obcego mężczyznę w łóżku nie stara się tego ukryć?

- Nie, Wysoki Sądzie, jeśli zamiary owego mężczyzny są czysto platoniczne.

- Czysto platoniczne, lordzie Kelston? Zakładam, iż jest pan żonaty. Adwokat z trudem opanował uśmiech. Sędzia doskonale znał odpowiedź na swoje pytanie. Nieraz bawił u Kelstonów na obiedzie.

- Tak jest, Wysoki Sądzie, jestem żonaty.

- Co zrobiłaby pańska żona, gdyby oświadczył pan, że spędził noc z inną kobietą, którą pan li tylko platonicznie pocieszał?

- Nie uwierzyłaby, Wysoki Sądzie.

- No, pewnie, że by nie uwierzyła - burknął sędzia.

- Z tym, że ja mam sześcioro dzieci.

- A co to ma wspólnego ze sprawą?

- Bardzo wiele, Wysoki Sądzie. Pewien, hm... biologiczny defekt obecnego tu dżentelmena uniemożliwia mu popełnienie cudzołóstwa.

Brwi Saltasha zniknęły pod peruką. - Co proszę?

- Pan Mainwaring jest impotentem, Wysoki Sądzie.

- Chce pan powiedzieć... - Sędzia pochylił się do przodu. Nie wierzył własnym uszom.

Travis uporczywie wpatrywał się w podłogę i nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

Kelston podał sędziemu plik dokumentów. Saltash przejrzał je pobieżnie.

- Impotent absolutny.

- Absolutny, Wysoki Sądzie. Nie drgnie nawet o centymetr.

- Nie, nawet o milimetr.

Kiedy Saltash popatrzył na Travisa, w jego spojrzeniu błysnęło coś na kształt współczucia.

- W całej mojej karierze sędziowskiej nie spotkałem się z takim przypadkiem. Panowie - wskazał obu prawników - idziemy do mojego gabinetu.

- Sąd wyszedł! - wrzasnął woźny.

- Teraz możemy iść na lunch. - Ridgeway promieniał.

Mary Rose miała wielką ochotę pokazać język Crispinowi i Amelii, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

- Idę do toalety - szepnęła Travisowi do ucha. - Wiesz, teraz to się robi śmieszne. My wiemy, co oni wiedzą, ale oni nie wiedzą tego, co my.

414

Skrzywił się. - Myślę tylko o tym, że za tydzień już nas tu nie będzie.

Przestała się śmiać. - Tak, Travis. Ta farsa uświadomiła mi, jak bardzo chcę stąd wyjechać. Jeśli zostanę, zwariuję.

Niemal całe popołudnie przesiedzieli w bufecie. W pewnym momencie przybiegł Radcliffe i odbył krótką naradę z Amelią i Crispinem. Mary Rose usłyszała jej piskliwy okrzyk.

- To skandal! - awanturowała się.

Ridgeway zacierał ręce. - No, chyba się udało. Czas działa na naszą korzyść. Im później wznowią rozprawę, tym szybciej Saltash będzie chciał ją skończyć. Umówił się dziś na ryby.

Crispin i Amelia wrócili z rozmowy z prawnikami. Ryder co chwila wachał tabakę i kichał potężnie. Od rana zachowywał się tak, jakby żałował, że ma jakikolwiek związek z tą sprawą. Ruszył w kierunku Mary Rose.

- Witaj, moja droga - zawołał ze szczerą sympatią. - Wygląda na to, że będziemy musieli wycofać oskarżenie.

- Domagamy się opinii niezależnego biegłego! - wykrzykiwała Amelia za jego plecami.

Ryder wznosił oczy do nieba.

- To niemożliwe - wycodził przez zęby. - Pan Mainwaring konsultował się z najlepszymi specjalistami w kraju, więc nie ma kogo wezwać.

Ponownie skoncentrował się na Mary Rose. - Moja droga, czy jeśli wycofamy oskarżenie o cudzołóstwo, dotrzyma pani słowa i da eks-mał-żonkowi sto pięćdziesiąt tysięcy funtów? I, oczywiście, swoją część domu.

Zerknęła na Crispina. Siedział z pochyloną głową.

- Obiecałam mu pieniądze i dom i dotrzymam słowa. Proszę, mogę zaraz wypisać czek.

Głośno odsunęła krzesło i wstała. Na korytarzu słyszała głosy prawników.

- Proszę, oto czek. W zamian za to nie chcę już nigdy w życiu słyszeć

o Crispinie i jego rodzinie.

Podeszła do adwokatów.

- Panowie, udało nam się dojść do porozumienia - oznajmiła z uśmiechem. - Crispin może teraz zachować się tak, jak powinien od początku. Oby jak najmniej było dni, w których mężczyźni zapominają o honorze. Chyba możemy, Travis i ja, wymknąć się tylnym wyjściem przed orzeczeniem werdyktu? Tym sposobem uciekniemy prasie.

Uścisnęła dłoń Kelstona. - Dziękuję panu za wszystko.

Szybko pocałowała Ridgewaya w policzek. - A tak przy okazji, Travis

i ja zamierzamy się pobrać, kiedy tylko mój rozwód będzie prawomocny.

Wzięła go za rękę. Promieniał.

- Tędy proszę. - Woźny wskazywał im drogę. On także się uśmiechał. Wszyscy kochają zakochanych, pomyślał, zdumiony własnym sentymentalizmem.

393

„Mary Rose oczyszczona z zarzutów” - głosiły popołudniowe dzienniki. Inne oznajmiały, że „Facet nie daje rady”.  
Mary Rose i Travis czytali je w łóżku.

- Udowodnijmy im, że nie mają racji.

- Chętnie. - Pocałował ją w czubek nosa.

- Mary Rose, naprawdę za mnie wyjdiesz? Bałem się zapytać, bo może ty tylko żartowałaś?

- Ja nie żartuję na poważne tematy, Travis. Tak, bardzo chętnie wyjdę za ciebie.

Zasnęli wtuleni w siebie.

## 97

Wiejski lekarz nie potrafił określić, co dolega Annie. Powiedział, że straciła kontakt z otoczeniem. Jednak nie miał pojęcia, w jaki sposób sprowadzić ją z powrotem. Wezwał kolegów z Rzymu i Mediolanu, ale oni również byli bezradni.

- To wielkie nieszczęście - mruzcili i wyjeżdżali.

- Pewnego dnia signora Anna znów będzie taka jak kiedyś. - Lisa niezłomnie wierzyła w jej ozdrowienie.

Rozkwitła w małżeństwie. Nie mówiła jeszcze nikomu, że spodziewa się dziecka. Ona i Tommaso mieszkali w małym domku niedaleko fattorii.

Pewnego marcowego popołudnia żwir na podjeździe zachrzęcił pod kołami samochodu.

Zaintrygowana Elisabetta wybiegła na dwór. Zastanawiała się, kto to może być.

Ze starej, poobijanej taksówki wysiadła Fosca. Niosła zniszczoną walizkę obwiązaną sznurkiem. Była chuda i blada, ale matkę najbardziej przeraził wyraz jej oczu. Zniknęły gdzieś wesołe iskierki.

Wyjeżdżała roześmiana, zakochana dziewczyna. Wróciła zmęczona życiem kobieta.

Przytuliła ją z całych sił.

- Fosca! - Wybuchła płaczem. - To ty! To naprawdę ty! Zamartwialiśmy się brakiem wiadomości. Prosiłiśmy o pomoc Czerwony Krzyż, ale nie mogli was znaleźć.

Fosca nie ukrywała łez. - Nie mogłam dotrzeć do domu, chociaż już kilka miesięcy temu przekroczyłam granicę. Zostawiłam Claude'a, mamę.



Chciałam wrócić do was jak najszybciej, ale okradziono mnie. W tej walizce mieści się wszystko, co mi zostało.

- Kochanie... - Elisabetta postanowiła jeszcze nie pytać o Claude'a. -Najważniejsze, że masz nas. Wejźmy do domu. Ojciec będzie skakał z radości.

- Gdzie jest Mario? I Anna?

Poczuła, jak jej serce szaleńczo tłucze o żebra. Od miesiący wiedziała, że ta chwila nadejdzie, i bała się jej panicznie. Starła się opanować. Musi być silna.

- Mario nie żyje, Fosco - oznajmiła, patrząc jej prosto w oczy. -Niemcy go zastrzelili. A Anna straciła rozum. Prawdopodobnie nie będzie wiedziała, kim jesteś.

Twarz Foski pozostała nieruchoma. Nadal wyrażała rezygnację, uległość i zmęczenie. Tylko duże przerażone oczy zdradzały, że dotarły do niej słowa matki.

- Czy tragedie nigdy się nie skończą? - jęknęła po chwili.

- Kochanie, już niedługo wszystko będzie dobrze. - Elisabetta sama nie wierzyła w to, co mówi. Wojna wyrządziła tak wiele krzywd, że dla milionów ludzi rany nigdy się nie zablżnią.

Zaprowadziła Foskę do salonu. Francesco siedział przy biurku, pochylony nad rachunkami. Kiedy uniósł głowę i zobaczył córkę, z jego piersi wyrwał się głośny okrzyk radości.

- Fosca! - Porwał ją w ramiona. - Tak długo czekałem na tę chwilę! Dopiero kiedy przytuliła się do ojca, opadło z niej napięcie. Znow zaczęła płakać.

Usiadł na kanapie i posadził córkę sobie na kolanach, jak wówczas gdy była małą dziewczynką.

- Tatusiu, odeszłam od Claude'a. Musiałam. Nie umiem żyć jak on. Nie może znaleźć sobie miejsca. Pociąga go cygańska włóczęga, a ja chcę mieć dom i dzieci. Więc musiałam odejść. To boli, to bardzo boli. A teraz dowiaduję się, że Mario nie żyje.

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero tupot dziecięcych nóżek. To Giulio wpadł do pokoju i głośno domagał się podwieczorku. Fosca uśmiechnęła się przez łzy.

- Wygląda zupełnie jak Mario w jego wieku - stwierdziła, patrząc na krępego, silnego chłopca.

Elisabetta podeszła do wnuka.

- Giulio, niedługo dostaniesz podwieczorek, ale teraz muszę porozmawiać z twoją cicią.

Wróciła do córki.

- Lisa ma dzisiaj wolne. Wiesz, wyszła za Tommasa i chyba spodziewa się dziecka, tak więc mamy również dobre nowiny. Bez nich obojga nie dałabym sobie rady. Chodź, sprowadzimy Annę na dół. Nie przestrasz się jej stanem, Fosco. Fizycznie jest teraz piękniejsza niż kiedykolwiek.

418

Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach i nieśmiało patrzyła, jak matka delikatnie bierze bratową za rękę. Płakała.

- To coś nowego - odezwała się Elisabetta. - Może zaczyna wracać do siebie.

Fosca dotknęła pięknej twarzy.

- Anno - zapytała miękko. - Nie pamiętasz mnie? Żadnej reakcji. Oczy Anny pozostały ślepą ścianą błękitu. Fosca wzięła ją za drugą rękę i we trzy zeszły do kuchni.

Ralph przyjechał dwa tygodnie później. Gdy wszedł do kuchni, wypełnił swoją obecnością całe pomieszczenie.

Powitał rodzinę serdecznym uśmiechem, ale oczyma szukał Anny. Kiedy ją znalazł i nie doczekał się żadnej reakcji, spojrzał na pozostałych.

- Co się stało? - Był wstrząśnięty.

- Nie potrafiłam tego opisać w liście, ale po tym, jak widziałyśmy śmierć Maria, zamknęła się w sobie.

Sprowadziliśmy specjalistów z Rzymu i Mediolanu, ale mówią, że nie mogą nic zrobić. Tak więc możemy się tylko modlić i mieć nadzieję... - Głos Elisabetty zadrżał niebezpiecznie.

Ralph ciężko opadł na krzesło. Lisa od razu postawiła przed nim talerz toskańskiej zupy fasolowej.

- O Boże - jęknął. - Nie Anna.

Przez chwilę milczał, zdumiony, jak wiele nadziei wiązał z ich ponownym spotkaniem.

- Wybacz, Francesco, że przyjechałem bez uprzedzenia, ale nie mogłem się dodzwonić z Rzymu, więc po prostu wsiadłem w samochód...

- Zastanawialiśmy się niedawno, czy może w Londynie są jacyś lekarze, którzy mogliby jej pomóc - zagadnął Francesco.

- Na pewno są. Zajmę się tym zaraz po powrocie. - Sięgnął po łyżkę. Nie był głodny, ale nie chciał sprawić Lisie przykrości.

- Mam za to dobre wiadomości o Mary Rose - oświadczył, chcąc zmienić temat na weselszy. - Rozwodzi się z tym gadem, Crispinem. Oskarżył ją o cudzołóstwo, ale nie byłaby sobą, gdyby nie znalazła wyjścia z tej sytuacji. Właśnie wyjechała do Nowego Jorku z porządnym facetem, za którego wyjdzie, kiedy tylko uzyska rozwód.

- Jak tam twój synek? - zainteresowała się Elisabetta.

- Dobrze, dziękuję. - Wyjął fotografię Edgara z portfela. - Strasznie hałaśliwy malec. Obawiam się, że pójdzie w ślady taty: dobry w siodle, ale kiepski w szkole.

Później zapytał, czy mógłby odwiedzić Annę w jej pokoju.

- Oczywiście. - Elisabetta wskazała mu drogę.

Zanim zapukał do drzwi, wspominał swoją przysięgę sprzed lat. Ślubował wówczas, że pozwoli Annie odejść i w pełni rozkoszować się miłością Maria. Niełatwo było dotrzymać danego słowa. Jego uczucie

397

nigdy nie wygasło, ciągle żarzyło się w sercu, dając przyjemne ciepło. Było w nim zawsze, nawet podczas związku z Belindą. Czasem żar zmieniał się w ogień i wiele wysiłku kosztowało go stłumienie płomienia. Nigdy jednak nie wyrzekł się miłości do tej kobiety.

Wchodził po schodach z mieszanką radości i zawstydzenia, że, jakkolwiek by na to patrzeć, korzysta z cudzego nieszczęścia. U podstaw jego działania leżało jednak szczere, gorące uczucie. Tylko on wiedział, jak bardzo zasługiwało na jeszcze jedną szansę.

Zapukał do drzwi. Dopiero po chwili dotarło do niego, że nie uzyska żadnej odpowiedzi. Ostrożnie nacisnął klamkę.  
- Anno.

Wyglądała przez okno. Usiadł na krześle koło jej fotela.

- Anno, to ja, Ralph. - Teraz patrzyła mu w twarz. Nadal żadnej reakcji.

Mówił do niej przez całe popołudnie. Nie oczekiwał odpowiedzi, ale wierzył, że gdzieś w głębi kryje się dawna Anna, do której docierają jego słowa. Brał ją za rękę, głaskał po policzku.

Miał tydzień. Całe dni spędzał w jej pokoju. Francesco i Elisabetta obserwowali go ze współczuciem.

Piątego dnia wydało mu się, że Anna odwróciła głowę w jego stronę, kiedy wszedł do pokoju. Nie był pewien, więc nie wspomniał o tym nikomu.

Szóstego dnia się załamał. Właśnie opowiadał jej o śmierci Belindy, kiedy nagle zaczął płakać tak, jak nie płakał od lat. Chciał przeprosić, ale rozpacz ścisnęła mu gardło. Szlochał tak, że nie był w stanie wypowiedzieć jednego słowa.

Wreszcie uległ łkaniom i oparł głowę na kolanach Anny.

Nagle poczuł dotknięcie ręki. Znieruchomiał. I znów - delikatne muśnięcie palców. Uniósł głowę. Nie mylił się.

Anna wracała do rzeczywistości. Nie wiedział, jak się zachować, żeby jej nie przestraszyć.

- Anno - szepnął.

- Na Boga, Ralph, co ty tu robisz?

- Przyjechałem was odwiedzić.

Rozglądała się dokoła. - Jaki ładny pokój. Gdzie są wszyscy?

Dopiero teraz zrozumiał: Anna wróciła, ale do rzeczywistości, której już nie było. Straciła poczucie czasu i nadal żyła w przeszłości, którą zakończył fatalny strzał.

Był przerażony.

- Anno, poczekaj tu, a ja sprowadzę Elisabetę.

- Dobrze. - Wyjrzała przez okno. - Jaki piękny widok. To dziwne; jest wiosna, a ja myślałam, że mamy środek lata.

- Pójdę po Elisabetę. - Ralph już zbiegał po schodach. Szybko wyjaśnił wszystko Elisabecie, która jak na skrzydłach popędziła na górę.

- Anno. - Stała w progu.

- Elisabetta? - nie była pewna, czy poznaje teściową.

421

- Tak, kochanie. - Przycupnęła obok niej. - Anno, posłuchaj - zaczęła ostrożnie. - Odeszłaś od nas na wiele, wiele miesięcy. W tym czasie bardzo wiele się wydarzyło.

- Zastrzelili Maria. - Anna była przerażona. - Teraz sobie przypominam. - Zmarszczyła brwi. - Uciekałyśmy z dziećmi do lasu.

- Tak, dokładnie tak było. - Elisabecie spadł kamień z serca. Bała się, że na wieść o śmierci Maria, Anna ponownie zapadnie w odrętwienie. Ona jednak wiedziała.

Wstała.

- To było straszne. Nie chciałam dłużej żyć, ale moje ciało nie chciało umrzeć. Nie byłam w stanie porozumieć się z kimkolwiek. Przeżyłam pewnie tylko dlatego, że ty i Lisa opiekowałyście się mną. Wiedziałam, że jem, ale nie wiedziałam co. Miałam wrażenie, że tkwię w głębokim, ciemnym szybie. Czasami chyba płakałam. Elisabetto, jak ja sobie poradzę bez Maria?

Teściowa przytuliła ją do siebie.

- Kochanie, wszyscy musimy się nauczyć żyć bez niego. Wiem, co czujesz, ale nie zapominaj, że masz jego dzieci. Francesco był zdruzgotany, ale powoli wraca do siebie. Tworzymy dużą, kochającą się rodzinę i razem przetrwamy wszelkie burze. - Przycisnęła ją do piersi. - Kochanie, czas leczy wszystkie rany.

Anna odpowiedziała bladym uśmiechem, choć wewnątrz zwijała się z bólu.

- Nic mi nie będzie. Muszę teraz iść do dzieci. Gdzie są?

- W ogrodzie. - To Ralph odpowiedział na jej pytanie. - Pójdę po nie. - Nie posiadał się z radości. Anna wróciła do siebie.

- To szloch - powiedziała do Elisabetty. - To szloch Ralpa sprowadził mnie z powrotem. Przypominał moje łkania, ale ja nie potrafiłam okazać bólu. - Zamilkła na chwilę. - Właściwie dlaczego płakał?

- Jego żona umarła w połogu - wyjaśniła Elisabetta.

- Biedny Ralph. - Anna się zamyśliła. - Chodźmy na dół. Chcę przywitać się z Franceskiem.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Elisabetta nie musiała sprowadzać jej ze schodów.

W holu wpadły na bliźnięta.

- Giulio!... Nicoletta! - Anna tuliła oboje do piersi.

Francesco usłyszał hałas i przybiegł z podwórza. W ślad za nim wpadli Tommaso i Lisa.

- Anno! - Niemal zniknęła w szerokich ramionach teścia. Czerpała pociechę z jego prostej, szczerzej miłości. -

Wiedziałem, że wrócisz! Po prostu wiedziałem!

Lisa śmiała się i płakała jednocześnie.

Anna, nieco przestraszona całym zamieszaniem, trzymała dzieci za rączki.

399

- Tak, wróciłam. Koszmar się skończył.

Niepewnie rozglądała się po holu. Zmarszczyła brwi na widok zniszczonych mebli i pozdzieranych tapet.

- Kiedyś nasz dom będzie taki piękny jak dawniej, prawda? - zwróciła się do teścia.

- Oczywiście. Za rok nikt nie pozna, że Niemcy zniszczyli naszą posiadłość.

Stała spokojnie i słuchała, jak pewnym głosem zapowiada szczęśliwe jutro. - Tylko że Mario tego nie zobaczy - wtrąciła cicho. Odnalazła wzrok Ralpha.

- Czy pójdziesz ze mną na grób Maria? - Miała nadzieję, że jeśli podzieli się z nim swoim bólem, będzie cierpiała mniej.

Przytrzymał jej drzwi i weszli do zalanego słońcem ogrodu. Prowadził ją tą samą ścieżką wśród kasztanów i dębów, którą Francesco wskazał mu kilka dni wcześniej.

Stanęli przy kopczyku ziemi, jeszcze nie uwieńczonym nagrobkiem. Anna się rozplakała. Ralph otoczył ją ramieniem. Teraz było na to za wcześnie, ale miał nadzieję, że z czasem go pokocha. Nie mógł dać jej pierwszej, gorącej miłości, bo tego nauczył ją Mario. Mógł jednak zaoferować szczere uczucie do końca swoich dni. Był gotów poczekać. Miał przecież mnóstwo czasu.

W drodze do domu nie zdjął ramienia z jej pleców. Nie protestowała.

Nicoletta i Giulio czekali na schodach.

- Mamusiu, poczytaj nam.

Anna otarła łzy i uśmiechnęła się ciepło.

- Dobrze, kochani. Czego chcecie posłuchać?

- Jak Kubuś Puchatek pomaga Kłapouchemu odnaleźć ogon - zdecydowała Nicoletta.

Odeszła szybkim krokiem. Ralph nie spuszczał z niej oka. Pewnego dnia będziemy razem, obiecał sobie i wszedł do domu, by oblać to postanowienie kieliszkiem wyśmienitego barolo.